

HENNING

MANSELL

niespokojny  
człowiek



lesiojot

MROČNA SERIA



**HENNING**

**MANSELL**

**NIESPOKOJNY  
CZŁOWIEK**

*Człowiek zawsze zostawia ślady.  
Żaden człowiek nie jest też bez cienia...*

*Zapominamy to, co chcemy  
pamiętać, a pamiętamy to, co  
najchętniej byśmy zapomnieli...*

*(napisy sprayem na ścianach  
domów w Nowym Jorku)*

## PROLOG

Historia zaczyna się nagłym wybuchem wściekłości.

Tuż przedtem w szwedzkiej Kancelarii Rządu, gdzie to się wydarzyło, panował poranny spokój. Powodem tych emocji był raport, który złożono poprzedniego wieczoru i z którym - siedząc przy ciemnym biurku - zapoznawał się teraz premier.

Był wczesnowiosenny dzień w Sztokholmie 1983 roku, nad miastem wisiała bezkształtna, wilgotna mgiełka, a drzewa jeszcze nie zaczęły wypuszczać liści. W Kancelarii Premiera rozmawiano oczywiście o pogodzie równie dużo, co w innych miejscach pracy. W sprawach aury wszyscy zwracali się do Åkego Leandera, dozorca najświętszych rejonów Kancelarii Rządu. Uważano powszechnie, że właśnie on ma zawsze najpewniejsze informacje.

Kilka lat wcześniej Leander otrzymał tytuł brzmiący bardziej nobliwie niż po prostu „dozorca”. Być może przemianowano go na „przewodniczącego sekretariatu” albo jakoś podobnie. On sam jednak uważał się nadal za dozorcę i nawet przez myśl mu nie przeszło, że potrzebne jest nowe określenie na pełnioną przez niego funkcję.

Åke Leander był tam zawsze; nieustannie w pobliżu premierów i ministrów, którzy przychodzili i odchodzili. Obowiązkowy i dyskretny, stanowił niejako część wyposażenia.

Ktoś kiedyś zaproponował żartobliwie, żeby pośmiertnie uczynić go patronem Kancelarii Rządu, takim życzliwym duchem czuwającym nad ich staraniami, by jak najlepiej rządzić krajem zwanym Szwecją.

Swoją rozległą wiedzę na temat pogody Leander zawdzięczał hobby, któremu poświęcał się po pracy. Nigdy

nie był żonaty, zajmował niewielkie mieszkanie na Kungsholmen i właśnie tam otaczał się przyjaciółmi z całego świata, z którymi skwapliwie nawiązywał kontakty za pomocą komunikatów stacji krótkofalowych. Już dawno temu nauczył się na pamięć większości kodów obowiązujących w żargonie krótkofalarskim. Wiedział więc nie tylko, że QRT znaczy „przerwij nadawanie”, a AURORA tłumaczy zakłócenia w łączności radiowej intensywną zorzą polarną.

Prawie każdego wieczoru siedział ze słuchawkami na uszach i wysyłał QRZ: „woła was...”, a zaraz potem swoje imię. Jak głosi legenda, kiedyś dawno, dawno temu, ówczesny premier z jakiegoś bliżej nieznanego powodu chciał się dowiedzieć, jaka pogoda panuje w październiku i listopadzie na Pitcairn, odległej wyspie na Oceanie Spokojnym, gdzie marynarze, którzy zbuntowali się przeciwko kapitanowi Blighowi dowodzącemu „Bounty”, spalili opanowany przez siebie okręt i zostali tam już na zawsze. Dzień później Åke Leander przekazał premierowi żądane informacje, naturalnie o nic nie pytając. Jak już wspomniano, był bardzo dyskretny.

Åke Leander to człowiek, z którym nawet ludzie z MSZ-etu nie mogą się mierzyć pod względem liczby międzynarodowych kontaktów, mówiono o nim odrobinę złośliwie, gdy powolnym krokiem przemierzał korytarze. Ale nawet on nie potrafił przewidzieć tego wybuchu wściekłości, który tak niespodziewanie zakłócił panujący spokój.

Przeczytawszy ostatnią stronę, premier podniósł się i podszedł do okna. Za szybą krążyły mewy. Chodziło o okręty podwodne. Te przeklęte okręty podwodne, które - jak się przyjmuje - jesienią 1982 roku przekroczyły granice Szwecji i znalazły się na jej wodach terytorialnych.

W całym tym zamieszaniu Szwedzi poszli do wyborów i Olof Palme otrzymał od przewodniczącego riksdagu misję utworzenia rządu, gdy prawica, utraciwszy pokaźną część mandatów, znalazła się w parlamentarnej mniejszości.

Przejmując władzę, nowy rząd bezzwłocznie powołał komisję i powierzył jej wyjaśnienie sprawy okrętów podwodnych, których nigdy nie udało się zmusić do wypłynięcia na powierzchnię. Przewodniczącym komisji został Sven Andersson i właśnie teraz przedłożono rezultat jej wysiłków. Olof Palme przeczytał raport. I nic nie pojmował. Wnioski raportu były kompletnie niezrozumiałe. Ogarnęła go wściekłość.

Należy odnotować, że Olof Palme nie pierwszy raz rozłościł się na Svena Anderssona. Tak naprawdę jego niechęć miała swój początek pewnego czerwcowego dnia 1963 roku, na krótko przed świętem przesilenia letniego, kiedy na Riksbron w centrum Sztokholmu zatrzymano siwowłosego, elegancko ubranego pięćdziesięciosiedmioletniego mężczyznę. Zrobiono to tak dyskretnie, że żadna z przypadkowo znajdujących się w pobliżu osób niczego nie zauważyła. Zatrzymany mężczyzna nazywał się Wennerström, był pułkownikiem lotnictwa i - od tamtego momentu na moście - również zdemaskowanym szpiegiem na rzecz Związku Radzieckiego. W tym samym czasie ówczesny premier Szwecji, Tage Erlander, wracał z krótkiego urlopu spędzonego w Riva del Sole, w ośrodku wypoczynkowym należącym do RESOR AB.<sup>1</sup>

Gdy Erlander po wyjściu z samolotu został zaatakowany przez dziennikarzy, był nie tylko zupełnie nieprzygotowany - on po prostu o całej tej sprawie nie miał pojęcia. Nie wiedział nic ani o zatrzymaniu, ani o jakimś podejrzanym pułkowniku Wennerströmie. Możliwe, że zarówno to nazwisko, jak i podejrzenia zawirowały kiedyś w powietrzu niczym stary kurz, gdy minister obrony narodowej osobiście przedstawiał mu jeden ze swych nieregularnie opracowywanych raportów. Ale nie było to nic poważnego,

---

<sup>1</sup> Szwedzka sieć biur podróży i hoteli, będąca w posiadaniu organizacji ruchów społecznych i robotniczych w latach 1937-1991 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

nic godnego uwagi.

Z mętnej wody zimnej wojny zawsze dawało się wyłowić jakieś podejrzenia wobec radzieckich szpiegów. Dlatego odpowiedzi Erlandera były takie, a nie inne. Mężczyzna, który nieprzerwanie sprawował urząd premiera od lat, a dokładnie licząc: od lat siedemnastu, stał teraz jak idiota i nie wiedział, jak się zachować, ponieważ ani minister obrony narodowej Andersson, ani nikt inny wtajemniczony w sprawę nie poinformował go, na co się zanosi.

Podczas ostatniego etapu podróży, niespełna godzinnego lotu z Kopenhagi do Sztokholmu, mieli dość czasu, by zapoznać go z tą szokującą wiadomością, tak aby zdążył się przygotować do spotkania z rozgorączkowanymi dziennikarzami. Nikt jednak nie czekał na niego na duńskim lotnisku Kastrup i nikt nie towarzyszył mu w drodze do domu.

Nawet jeżeli nigdy nie przedostało się to do wiadomości publicznej, w ciągu kilku następnych dni Erlander był bliski rezygnacji ze stanowiska premiera i przewodniczącego partii socjaldemokratycznej. Nigdy wcześniej nie zawiódł się tak bardzo na swoich współpracownikach. A Olof Palme, którego już wtedy zaczęto uważać za kandydata Erlandera na swojego następcę, oczywiście lojalnie podzielał gniew z powodu nonszalancji, która doprowadziła do upokorzenia premiera. Palme czuwał przy swoim mistrzu jak wierny pies - tak mówiono w kołach zbliżonych do rządu. Nikt nie miał w zwyczaju mu się sprzeciwiać.

Olof Palme nigdy nie potrafił wybaczyć Svenowi Anderssonowi tego, na co naraził Erlandera.

Wielu zastanawiało się później, dlaczego Palme przyjął jednak Anderssona do swojego rządu. Właściwie nietrudno to zrozumieć. Gdyby Palme mógł, oczywiście by tego nie zrobił. Ale to po prostu nie było możliwe. Sven Andersson dysponował ogromną władzą i ogromnymi wpływami w kręgach partyjnych. Był synem robotnika, w przeciwieństwie do Olofa Palmego, który nie dość, że

skoligacony ze starą bałtycką arystokracją, to jeszcze miał w swoim rodzie oficerów i przede wszystkim pochodził z wyższej warstwy szwedzkiego społeczeństwa; sam zresztą był oficerem rezerwy. Nie miał natomiast absolutnie żadnych związków z aktywem partii. Olof Palme uchodził za renegata, który wprawdzie bardzo poważnie traktował swoje partyjno- polityczne przekonania, ale który mimo wszystko pozostał tylko politycznie obcym pielgrzymem przybyłym z dozgonną wizytą.

Åke Leander, który właśnie przechodził obok gabinetu premiera z ostro sformułowanym okólnikiem w rękę, informującym o tym, że urzędnicy kancelarii zaniedbują wieczornego zamykania drzwi, usłyszał wybuch wściekłości. Zatrzymał się na chwilę, ale zaraz ruszył dalej, jak gdyby nic się nie stało. Olof Palme nie potrafił dłużej powstrzymać gniewu. Odwrócił się do Svena Anderssona, który siedział skulony na szarej sofie w gabinecie premiera. Poczzerwieniał na twarzy, a jego ramionami wstrząsały osobiwe drgawki, charakterystyczne dla niego w chwilach wzburzenia.

- Przecież tu nie ma żadnych dowodów! - ryknął. - Tylko hipotezy, insynuacje, aluzje nielojalnych oficerów marynarki. Ten raport niczego nie wyjaśnia. Wręcz przeciwnie - on prowadzi nas prosto w polityczne bagno.

Dwa lata wcześniej, nocą z 27 na 28 października 1981 roku, radziecki okręt podwodny osiadł na mieliźnie w zatoce Gasefarden w pobliżu Karlskrony. Znalazł się nie tylko na szwedzkich wodach terytorialnych, ale również w strefie bazy wojskowej. Dowódca łodzi oznaczonej symbolem U-137, kapitan Anatolij Michajłowicz Guszczin, twierdził, że zboczył z kursu wskutek nieznannej awarii żyrokompasu. Szwedzcy oficerowie marynarki i zwykli rybacy byli święcie przekonani, że tylko bardzo pijany oficer mógł wpłynąć tak daleko w archipelag, nie wchodząc wcześniej na mieliżnę.

Odholowany 6 listopada na wody międzynarodowe okręt



U-137 zniknął tego samego dnia. Nie ulegało wątpliwości, że na szwedzkich wodach znajdowała się radziecka jednostka. Nie udało się jednak ustalić, czy chodziło o świadome naruszenie granic, czy o żeglugę w stanie nietrzeźwym. Ponieważ Rosjanie upierali się przy wadliwym kompasie, ich wersję uznano powszechnie za potwierdzenie faktu, że kapitan rzeczywiście był pijany. Oczywiście, żadna szanująca się flota nie przyzna się nigdy do tego, że któryś z jej oficerów pełnił służbę w stanie nietrzeźwym.

Wtedy istniały dowody. Ale gdzie podziały się teraz?

Nikt nie wie, co były minister obrony narodowej miał na obronę swoją i raportu. On sam nie prowadził żadnych notatek, a Olof Palme, zamordowany kilka lat później, też nie pozostawił po sobie świadectwa.

Również Åke Leander nigdy nie skomentował - ani ustnie, ani pisemnie - wybuchu wściekłości w biurze premiera. Na początku 1989 roku przeszedł na emeryturę i wycofał się do swojego mieszkania i przyjaciół w eterze. Ówczesny premier złożył mu serdeczne podziękowania za wieloletnią służbę i nikt nie odniósł wrażenia, że były dozorca powrócił później jako duch kancelarii, gdy jesienią 1998 roku odszedł w pokój na zawsze.

Tak więc od tego wybuchu gniewu wszystko się zaczęło. Historia o uwarunkowaniach polityki, wyprawa na bagna, gdzie prawda i fałsz zamieniały się miejscami i gdzie w końcu żadna sprawa nie została wyjaśniona.

# CZEŚĆ I

## WKROCZENIE NA BAGNA

### 1

W tym samym roku, w którym Kurt Wallander skończył pięćdziesiąt pięć lat, urzeczywistnił w końcu, ku własnemu zdziwieniu, noszone w sobie od dawna marzenie. Już od rozvodu z Moną, czyli od prawie piętnastu lat, myślał o tym, żeby opuścić Mariagatan, gdzie w ścianach mieszkało mnóstwo ciężkich wspomnień, i przeprowadzić się na wieś. Za każdym razem, gdy po mniej lub bardziej beznadziejnym dniu pracy wracał do domu, uświadamiał sobie, że kiedyś żył tu z rodziną. Teraz meble wpatrywały się w niego z niemym oskarżeniem.

Nigdy nie potrafił pogodzić się z myślą, że będzie tutaj mieszkał tak długo, aż zamieni się w bezradnego starca. Chociaż nie skończył jeszcze sześćdziesięciu lat, coraz częściej wspominał samotną starość ojca i wiedział, że nie chce jej powtórzyć. Wystarczyło, że widząc swoją twarz w lustrze każdego ranka przy goleniu, uświadamiał sobie, jak bardzo upodabnia się do niego. W młodości przypominał raczej matkę, ale teraz miał wrażenie, że coraz bardziej dościga go ojciec, niczym długodystansowiec, który początkowo daleko w tyle, z wolna dobiega do niego, im bliżej on sam jest niewidzialnej mety.

Jego widzenie świata było stosunkowo proste. Wallander nie chciał zostać zgorzkniałym, samotnie starzejącym się odludkiem, którego odwiedza tylko córka i może czasami któryś z byłych kolegów, bo nagle przypomniał sobie, że Kurt jeszcze żyje. Nie pokładał nadziei w religijnych,

budujących przekonaniach, że czeka go coś na drugim brzegu mrocznej rzeki. Tam jest tylko ta sama ciemność, z której kiedyś wyszedł.

Aż do pięćdziesiątych urodzin nosił w sobie niejasny lęk przed śmiercią, czyniąc z niego swoją osobistą mantrę i powtarzając, że „tak długo będzie martwy”. W ciągu tych wszystkich lat widział zbyt wielu nieżywych ludzi. W ich niemych twarzach nic nie wskazywało na to, że niebo przyjęło ich dusze. Podobnie jak wielu innych policjantów miał do czynienia z niezliczonymi

wariantami śmierci. Przy jakiejś okazji, zaraz po jego pięćdziesiątych urodzinach, które uczczono w komendzie tortem i pełną frazesów mową wygłoszoną przez ówczesnego szefa, Lizę Holgersson, Wallander zaczął w świeżo zakupionym notesie zapisywać wspomnienia o wszystkich zmarłych, których spotkał na swej drodze.

Było to dość makabryczne zajęcie i nigdy tak naprawdę nie pojął, co go w nim pociągało. Gdy dotarł do dziesiątego samobójcy, czterdziestoletniego mężczyzny, nałogowca z wszelkimi problemami, jakie tylko można sobie wyobrazić, poddał się. Mężczyzna zmarł na strychu, w domu przeznaczonym do rozbiórki, który dawał mu tymczasowe schronienie. Nazywał się Welin i powiesił się w taki sposób, żeby złamać kark, nie ryzykując uduszenia. Obducent powiedział później Wallanderowi, że samobójca dopiął swego. Był dla siebie naprawdę dobrym katem.

Przy tym mężczyźnie Wallander dał sobie spokój z przypadkami samobójstw i - chyba niezbyt mądrze - poświęcił kilka godzin na wyłuskiwanie z pamięci martwych dzieci i nastolatków. Wydało mu się to jednak zbyt odrażające i też szybko tego zaniechał. Potem, ogarnięty wstydem, spalił notatnik, jakby zajmował się czymś niemal perwersyjnym i zabronionym. Tak naprawdę był pogodnym człowiekiem. Chodziło tylko o to, że chciał w sobie potwierdzić właśnie tę cechę.

Śmierć zawsze była jego towarzyszką. W czasie służby sam pozbawił życia parę osób, choć nigdy, po zakończeniu

obowiązkowych dochodzeń, nie został oskarżony o bezprawne użycie przemocy.

Świadomość zabicia dwojga ludzi była jego osobistym krzyżem. Jeżeli nie śmiał się zbyt często, wynikało to z tego, że cały czas miał zmagać się z tym ciężarem.

Aż pewnego dnia podjął ostateczną decyzję. Znajdował się właśnie w pobliżu Löderup, niedaleko domu, w którym kiedyś mieszkał jego ojciec, i rozmawiał z rolnikiem, ofiarą okrutnego napadu. W drodze powrotnej do Ystad, przy jednej z wąskich żwirowych dróg, zobaczył szyld agencji nieruchomości. Decyzja pojawiła się znikąd. Zatrzymał się, zawrócił i odszukał dom wystawiony na sprzedaż. Jeszcze zanim wysiadł z samochodu, stwierdził, że nie obejdzie się bez remontu. Dom z muru pruskiego miał wcześniej kształt litery U. Teraz brakowało jednego z ramion - może spłonęło.

Wallander obszedł posiadłość. Była wczesna jesień. Pamiętał z tego dnia stado odlatujących na południe ptaków, regularną, prostą linię nad swoją głową. Zajrzawszy przez okna do środka, doszedł jednak do wniosku, że tylko dach wymaga generalnego przeglądu. Widok był zachwycający, w oddali majaczyło morze, a na nim może nawet któryś z promów płynących z Ystad do Polski. Tego wrześniowego popołudnia 2003 roku zapałał gwałtowną miłością do samotnego domu.

Pojechał prosto do agencji nieruchomości w Ystad. Cena okazała się na tyle przystępna, że stać go było na pożyczkę. Już następnego dnia wrócił tam z agentem, młodym mężczyzną, który mówił w wymuszony sposób i myślami krążył chyba zupełnie gdzie indziej. Ostatnimi właścicielami domu było dwoje młodych ludzi, którzy przeprowadzili się tu ze Sztokholmu i prawie natychmiast, jeszcze zanim zdążyli wstawić meble, postanowili się rozwieść. W ścianach tego pustego budynku nie kryło się jednak nic, co napawałoby go strachem. I co najważniejsze: mógł od razu w nim zamieszkać. Dach miał

ponoć wytrzymać jeszcze parę lat. Jedyne, co trzeba było zrobić, to pomalować kilka pokoi, może wymienić wannę i ewentualnie kupić nową kuchenkę. Ale kocioł grzewczy nie miał nawet piętnastu lat, podobnie jak instalacja elektryczna i rury kanalizacyjne.

Zanim stamtąd odjechali, Wallander zapytał, czy jest jeszcze jakiś inny kupiec. Owszem, odpowiedział agent z zasmuconą miną, jak gdyby zależało mu na tym, żeby to właśnie on kupił ten dom, dając mu jednocześnie do zrozumienia, że musi się zdecydować od razu. Ale Wallander nie zamierzał kupować kota w worku. Porozmawiał z kolegą, którego brat zajmował się inspekcjami technicznymi, i już dzień później miał zrobiony fachowy przegląd nieruchomości. Inspektor nie znalazł żadnych innych usterek poza tymi, o których już wiedział. Tego samego dnia Wallander dowiedział się w banku, że uznano go za wypłacalnego i że otrzyma wystarczająco dużą pożyczkę, żeby móc zapłacić za dom. Podczas tych wszystkich lat w Ystad Wallander oszczędzał z roztargnieniem, ale systematycznie. Oszczędności wystarczyłyby teraz na zaliczkę.

Wieczorem usiadł przy stole w kuchni i zrobił dokładną kalkulację. W jakiś sposób odczuwał podniosłość chwili. O północy podjął decyzję: postanowił kupić tę posiadłość o mrocznej nazwie Svarthojden<sup>2</sup>.

Mimo późnej pory zadzwonił do córki, która mieszkała w nowo wybudowanym osiedlu przy drodze wylotowej do Malmö. Jeszcze nie spała.

- Przyjdź do mnie. Mam ci coś do powiedzenia.
- W środku nocy?
- Wiem, że jutro nie pracujesz.

To była prawdziwa niespodzianka, gdy kilka lat temu, podczas spaceru po Mossby Strand, Linda obwieściła mu, że zamierza wstąpić w jego ślady. Już po kilku minutach zdał sobie sprawę, że jej postanowienie sprawiło mu

---

2 Svarthojden - dosłownie: Czarne Wzgórze.

radość. Jak gdyby właśnie tą decyzją nadała nowy sens wszystkim jego latom spędzonym w policji. Po ukończeniu szkoły policyjnej zaczęła pracować w Ystad. Przez pierwsze miesiące mieszkała u niego na Mariagatan. To był mniej udany pomysł, ponieważ Wallander, jak stary pies, lubił siedzieć tam, gdzie miał ochotę, poza tym z trudem przychodziło mu traktowanie córki jako dorosłej osoby. Ich relację uratował w ostatniej chwili gong oznajmiający, że Linda znalazła własne mieszkanie.

Tego wieczoru opowiedział jej o swoich planach. Na drugi dzień pojechała z nim do Svarthojden i od razu uznała, że to jest dom, który powinien kupić. Żadnego innego, tylko ten, na końcu drogi, na lekkim wzniesieniu, z widokiem na morze.

- Będzie cię tu nawiedzał dziadek - dodała - ale nie musisz się bać, on zostanie twoim aniołem stróżem.

To była wielka i szczęśliwa chwila w jego życiu, gdy podpisawszy umowę, nagle stał z okazałym pękiem kluczy w rękę. Wprowadził się 1 listopada. Wcześniej odmalował dwa pokoje, ale zrezygnował z kupna nowej kuchenki. Opuścił Mariagatan, nie wątpiąc ani przez moment w słuszność swojej decyzji. Tego dnia wiał bardzo porywisty południowo-wschodni wiatr.

Już pierwszego wieczoru, z powodu sztormu, Wallander został pozbawiony elektryczności. Zupełnie na to nieprzygotowany siedział w swoim nowym domu w ciemności. Belki nośne stropu trzeszczały i skrzypiały, okazało się, że w jednym miejscu przecieka dach. Ale on niczego nie żałował. To właśnie tutaj miał mieszkać.

Na podwórku stała psia buda. Wallander od małego marzył o psie. Kiedy skończył trzynaście lat i już stracił nadzieję, rodzice podarowali mu czworonoga. Kochał go bardziej niż cokolwiek innego. Później uświadomił sobie, że to właśnie Saga, jego psina, nauczyła go, czym naprawdę może być miłość. Kiedy miała trzy lata, zginęła pod kołami ciężarówki. Wallander nigdy wcześniej nie doświadczył w

życiu czegoś gorszego niż przeżywany wtedy smutek i szok. Bez trudu przypominał sobie teraz te wszystkie chaotyczne uczucia, mimo że od tamtego wydarzenia upłynęło ponad czterdzieści lat. Śmierć rozdaje ciosy, myślał. Potężną i bezlitosną pięścią.

Dwa tygodnie później sprawił sobie szczeniaka, czarnego labradora. Nie był do końca rasowy, ale właściciel określił go jako psa najwyższej klasy. Wallander już wcześniej postanowił, że pies będzie się wabił Jussi - na cześć szwedzkiego tenora, jednego z największych jego bohaterów.

Na początku grudnia Wallander zaprosił kolegów z pracy na parapetówkę. Również tego wieczoru zgasło światło, ale tym razem gospodarz był przygotowany. Wyciągnął świeczki i dwie stare, odziedziczone po ojcu lampy naftowe. Po niespełna godzinie prąd włączono. To był wieczór, który Wallander postanowił zapamiętać. Jeszcze nie zestarzał się na tyle, żeby nie mieć odwagi do zmian. Jeszcze miał przyjaciół, nie tylko kolegów z pracy, którzy przyjęli zaproszenie z jakiegoś wątpliwego poczucia obowiązku.

Późną nocą, kiedy pojechali już ostatni goście, wyszedł na spacer z Jussim. Wziął ze sobą latarkę, żeby nie potknąć się w ciemności. Nie był całkiem trzeźwy, a w okolicy nie brakowało ukrytych rowów wokół pól, które latem miały się zażółcić rzepakiem. Spuścił ze smyczy Jussiego. Niebo było zimne i bezchmurne, wiatr ucichł. Daleko na horyzoncie majaczyły światła jakiegoś statku. Tutaj doszedłem, pomyślał. Odważyłem się na wielką zmianę, na dodatek sprawiłem sobie psa. Pozostaje tylko pytanie: dokąd z tego miejsca dotrę?

Jussi wyłonił się z mroku jak bezgłośny cień. On też nie miał w pysku odpowiedzi na pytanie, które Wallander skierował prosto w ciemność.

Prawie cztery lata później, na początku 2007 roku, Wallander śnił właśnie o tej chwili, o nocy po przyjęciu w swoim nowym domu. To pytanie dalej jest aktualne, pomyślał, otworzywszy oczy. Minęły cztery lata, a ja ciągle nie wiem, dokąd zmierzam.

Było to po święcie Trzech Króli, we wtorek. W nocy nad Skanią przeciągnęła krótkotrwała śnieżycą i zniknęła szybko nad Bałtykiem. Pokażna zaspą zatarasowała wjazd do domu. Już kilka minut po szóstej rano Wallander zaczął odgarniać śnieg, podczas gdy Jussi węszył tropy zająca wzdłuż pobielonej miedzy. Wallander miał zacząć dzień od wizyty u lekarza, który kontrolował jego poziom cukru.

Minęło ponad dziesięć lat, odkąd zdiagnozowano u niego cukrzycę.

Początkowo udawało mu się utrzymywać cukier na właściwym poziomie za pomocą diety, ruchu i tabletek. Ale od kilku lat brał też codziennie zastrzyki insuliny. Po wizycie w przychodni Wallander planował dalszą pracę nad śledztwem, które od początku grudnia wypełniało mu całe dni. Sędziwy handlarz bronią i jego żona zostali dotkliwie pobici przez bandytów, którzy przywłaszczyli sobie sporą ilość broni. Mężczyzna wciąż leżał w śpiączce, jego stan był krytyczny. Kobieta odzyskała przytomność, ale przestała widzieć na jedno oko i doznała urazu kręgosłupa.

Kiedy Wallander jako jeden z pierwszych przybył na miejsce przestępstwa, do pięknego domu z dużym ogrodem, ponad dziesięć kilometrów na północ od Ystad, nie mógł opanować wzburzenia z powodu tej wścieklej agresji, której ofiarą padli staruszkowie. Pobito ich do nieprzytomności, związano sznurem i zostawiono na pastwę losu.

Mężczyzna, Olof Hansson, prowadził sklep z bronią we własnym domu. Przejął go po ojcu. Razem z żoną Hanną specjalizował się w rewolwerach i pistoletach, często miał unikatowe egzemplarze kolekcjonerskie. Złodzieje dobrze się przygotowali. Wallander i prokurator Erik Petren razem z innymi śledczymi przejrzyli zdjęcia z kamer



monitorujących. Doliczyli się pięciu sprawców, wszyscy byli zamaskowani. Jedna z kamer zarejestrowała moment, w którym Olof Hansson został uderzony w potylicę drewnianym kijem. W pomieszczeniu dał się słyszeć stłumiony jęk.

Wallander powrócił pamięcią do innej pary starszków, którą prawie dwadzieścia lat wcześniej zamordowano w Lenarp. W jego prywatnym kalendarium właśnie to śledztwo było jednym z najbardziej intensywnych, jakimi zajmował się podczas tych wszystkich lat pracy w Ystad. Dwóch ubiegających się o azyl uchodźców dokonało napadu, gdy zobaczyli wiekowego rolnika podejmującego w banku sporą sumę pieniędzy. A teraz Wallander zobaczył to jeszcze raz, jak powracający koszmar. Wydarzenia sprzed lat mieszały się z teraźniejszością. Ta sama bestialska przemoc, ta sama brutalność przerażająca go równie mocno dzisiaj, jak wtedy.

Już od ponad miesiąca pracowali nad tym, żeby złapać sprawców. Przez pierwsze tygodnie nie mieli ani namacalnych śladów, ani konkretnych pomysłów. Ale według Wallandera sam fakt, że wszystko zostało szczegółowo zaplanowane, stanowił już pewien trop. Z dużym prawdopodobieństwem powinni znaleźć sprawców wśród osób z kryminalną przeszłością. Przy jakiejś okazji Wallander pojechał do Hassleholmu, by porozmawiać z mężczyzną, który nazywał się Rune Berglund.

Spotkali się wieczorem przy stadionie. Berglund był kiedyś złodziejem, dwukrotnie został nawet skazany za brutalne pobicie. Potem zupełnie nieoczekiwanie nawrócił się i ku zdumieniu wszystkich naprawdę zszedł z drogi występku. Mimo że nie parał się już działalnością przestępczą, ciągle miał rozległe kontakty. Kiedyś Wallander wypożyczył go sobie jako informatora od policjanta z wydziału kryminalnego w Malmö. A później wracał do niego od czasu do czasu, gdy potrzebował odpowiednich informacji.

Cena była zawsze taka sama: dwa banknoty stukoronowe

na tacę. Berglund pracował od siódmej do szesnastej w zakładzie oponiarskim, a cały czas wolny spędzał w kościele niezależnym, gdzie znalazł Jezusa. Albo może na odwrót: to Jezus go odnalazł? Wallander nigdy nie wątpił, że jego datki trafiają tam, gdzie powinny.

Berglund nie okazał zdziwienia, usłyszawszy, w jakiej sprawie przybywa Wallander, ponieważ kradzież broni pod Ystad odbiła się szerokim echem w mediach. On też uważał, że może chodzić o pracę na zlecenie zagranicznych klientów. Liczne zabezpieczenia w domu Hanssona to naprawdę nic w porównaniu z tym, co widzi się na kontynencie. Tak więc dla szczerwanych złodziei złupienie firmy Hanssona było o wiele łatwiejsze niż jakiegoś innego obiektu za granicą. Obiecał, że odezwie się, jeżeli będzie wiedział coś więcej.

I faktycznie się odezwał, zadzwonił do Wallandera dzień przed Wigilią, typując gang złożony ze Szwedów i wynajętych Polaków.

W Wigilię zmarł Olof Hansson. Tym samym sprawa dotyczyła już nie tylko brutalnego napadu rabunkowego i pobicia, lecz również morderstwa. Zajmowały się nią głównie dwie policjantki, Ann-Louise Edenman z Lund oraz Kristina Magnusson, która podobnie jak Wallander przeprowadziła się z Malmö do Ystad. Bez uzgadniania z kimkolwiek prowadzącym śledztwo został Wallander. Od czasu do czasu wracał myślą do tego okresu, kiedy jego bezpośrednim przełożonym był doświadczony inspektor Rydberg. To było na początku pracy w Ystad.

Później Rydberg zachorował na raka i umarł. Przez wszystkie te lata Wallander bardzo odczuwał jego brak, bywało, że myślał o nim prawie codziennie. Ciągłe jeszcze zdarzało mu się przychodzić na jego grób z kwiatami, gdy prowadził jakieś szczególnie oporne śledztwo. Kiedy tak stał przed leżącym u jego stóp prostym kamieniem, pytał sam siebie, co zrobiłby Rydberg. I czasami zastanawiał się, czy Edenman albo Magnusson kiedyś w przyszłości zadadzą sobie pytanie, co on zrobiłby w tej sytuacji, w

której one się znajdują.

Nie wiedział. I chyba tak naprawdę nie chciał wiedzieć.

Dwunastego stycznia nieoczekiwanie zmieniło się całe życie Wallandera. Najpierw nastąpił przełom w dochodzeniu.

Kristina Magnusson wtargnęła jak wichur do pokoju, gdzie przeglądał właśnie kilka raportów o kradzieży broni, przesłanych mu przez Centralne Biuro Kryminalne. Widział po jej minie, że coś się stało. Dobrze to znał. Jemu też ciągle jeszcze zdarzało się, że otrzymawszy jakąś ważną informację, wpadał jak bomba do swoich kolegów.

- Hanna Hansson zaczęła mówić - oznajmiła. - Odzyskuje pamięć.

- I co powiedziała?

- Że rozpoznała co najmniej dwóch mężczyzn.

- Przecież byli zamaskowani.

- Mówi, że rozpoznała ich po głosie. Ci mężczyźni byli wcześniej w sklepie.

- Bez masek?

Kristina skinęła głową. Wallander natychmiast zrozumiał, co to oznacza.

- A więc są na starych nagraniach kamer monitorujących?

- Niewykluczone.

Wallander ocenił otrzymaną właśnie informację.

- Jesteś pewna, że ta kobieta się nie myli?

- Myślę, że nie ma nic z głową. No i jest bardzo zdecydowana.

- Czy wie, że jej mąż nie żyje?

- Nie. Obie córki są u niej w szpitalu, ale lekarze prosili, żeby na razie przemilczały śmierć ojca.

Wallander pokręcił głową, nieprzekonany.

- Jeżeli, jak twierdzisz, ta kobieta nie ma nic z głową, to na pewno już o tym wie. Widzi to w oczach córek

- A więc uważasz, że równie dobrze możemy jej o tym powiedzieć?

Wallander podniósł się z krzesła.

- Chodzi mi tylko o to, że nie powinniśmy sobie pozwolić na oszukiwanie samych siebie. Ta kobieta z pewnością zdaje sobie sprawę, że jej mąż nie żyje. Jak długo byli małżeństwem? Czterdzieści siedem lat? Zbierzmy wszystkich i zacznijmy przegląd nagrań z tych kamer.

Kiedy Wallander wyszedł na korytarz kilka kroków za Kristiną Magnusson, którą chętnie obserwował ukradkiem od tyłu, w jego pokoju zadzwonił telefon. Zawahał się, niezdecydowany, czy odebrać, ale w końcu zawrócił. To była Linda. Miała kilka dni urlopu po wyjątkowo pracowitym sylwestrze w Ystad, gdzie musiała się zmierzyć z wieloma rodzinnymi awanturami i burdami.

- Masz czas?

- W zasadzie nie. Pojawiła się szansa na zidentyfikowanie paru złodziei broni.

- Musimy się spotkać.

Wallander słyszał, że jest spięta. Zaniepokoił się, jak zawsze, gdy podejrzewał, że coś jej się stało.

- Czy to coś poważnego?

- Absolutnie nie.

- O pierwszej?

- Na Mossby Strand?

Wallander myślał, że córka żartuje.

- Mam wziąć kąpielówki?

- Mówię poważnie. Spotkamy się na plaży Mossby Strand, ale nie po to, żeby się kąpać.

- A co będziemy robić na tym chłodzie i wietrze?

- Będę tam o pierwszej. I ty też bądź.

Odłożyła słuchawkę, zanim zdążył zadać kolejne pytanie. O co jej chodzi? Stał nadal w miejscu, bezskutecznie szukając odpowiedzi. Później poszedł do sali konferencyjnej, w której mieli najlepszy telewizor i gdzie przez dwie godziny oglądali filmy z kamer monitorujących sklep Hanssona. O wpół do pierwszej, gdy została im mniej więcej połowa materiału, wstał i powiedział, że resztę obejrzą po drugiej. Martinsson, najstarszy stażem współpracownik Wallandera, spojrział na niego ze

zdziwieniem.

- Mamy przerwać właśnie teraz? W połowie? Raczej nigdy nie miałeś stałej pory lunchu?

- Nie idę na lunch. Mam inne spotkanie.

Wychodząc z pokoju, Wallander pomyślał, że niepotrzebnie użył tak ostrego tonu. Martinsson był nie tylko kolegą z pracy, ale również przyjacielem.

Podczas parapełówki w Svarthojden nikt inny tylko on wygłosił mowę na cześć jego, psa i domu. Jesteśmy jak sędziwa i trochę uciążliwa para, pomyślał, opuszczając komendę. Para staruszków, którzy sprzecniają się, ale głównie po to, żeby nie wyjść z wprawy.

Wsiadł do swojego peugeota, którym jeździł od czterech lat, i ruszył spod komendy. Ile razy przejeżdżałem tą drogą? Ile razy jeszcze nią przejadę? Czekając na czerwonym świetle, przypomniał sobie opowieść ojca o kuzynie, którego on sam nigdy nie spotkał. Kuzyn prowadził prom między kilkoma wyspami w Archipelagu Sztokholmskim, trasa była krótka, nie trwała dłużej niż pięć minut, tam i z powrotem, pływał tak przez okrągły rok.

Pewnego dnia coś w nim pękło. Prom był pełen samochodów, późne październikowe popołudnie. Mężczyzna za sterem nagle zmienił kurs i ruszył na otwarte morze. Później przyznał, że w bakach miał wystarczająco dużo ropy, żeby dopłynąć do któregoś z krajów nadbałtyckich. Ale to w zasadzie wszystko, co powiedział, kiedy w końcu został obezwładniony przez wzburzonych pasażerów, a zaalarmowana straż przybrzeżna skierowała prom na właściwy kurs. Nigdy nie potrafił wyjaśnić, dlaczego zrobił to, co zrobił.

Wallander pomyślał, że w pewnym sensie go rozumie.

Jechał wzdłuż wybrzeża na zachód. Samotne obłoki płynęły po niebie. Przez boczną szybę widział na horyzoncie ciemne kłębowiska chmur. Rano słyszał w radiu, że wieczorem znów może spaść śnieg. Tuż przed skrzyżowaniem z szosą do Marsvinsholmu wyprzedził go

motocykl. Motocyklista pomachał mu ręką i Wallander uzmysłowił sobie, że tego obawia się najbardziej: że pewnego dnia Linda ulegnie jakiemuś wypadkowi. Kiedy kilka lat temu zajechała przed jego dom nowo zakupioną maszyną, błyszczącym chromem harleyem davidsonem, zupełnie go zaskoczyła. Gdy tylko ściągnęła kask, zapytał, czy straciła rozum.

- Nie znasz wszystkich moich marzeń - odpowiedziała z szerokim uśmiechem, szczęśliwa. - Ja pewnie też nie wiem do końca, o czym ty marzysz.

- W każdym razie nie o motocyklu.

- Szkoda. Bo wtedy moglibyśmy jeździć razem.

Posunął się nawet do tego, że obiecał jej kupić samochód i płacić za benzynę, pod warunkiem że pozbędzie się jednośladu. Zdecydowanie odmówiła, a Wallander od razu wiedział, że bitwa jest przegrana. Linda odziedziczyła po nim ten upór; czymkolwiek by ją kusił, nie miał szans na odebranie jej motocykla.

Kiedy skręcił na opustoszały, wietrzny parking przy Mossby Strand, zdążyła już zdjąć kask i z rozwianymi włosami stała na jednej z wydm. Wallander wyłączył silnik i siedząc w samochodzie, patrzył na kobietę w ciemnym skórzanym kombinezonie i drogich butach z wysoką cholewką, które zamówiła sobie na miarę w pewnej kalifornijskiej firmie i na które wydała prawie całą miesięczną pensję.

Kiedyś była małą dziewczynką, siedziała na moich kolanach, a ja byłem jej największym bohaterem, pomyślał Wallander. Teraz skończyła trzydzieści sześć lat, podobnie jak ja pracuje w policji, ma bystry umysł i szeroki uśmiech. Czegóż więcej mogę wymagać?

Wyszedł na wiatr i przedarłszy się przez miękki piach, stanął u jej boku. Uśmiechnęła się do niego.

- Coś w tym miejscu się zdarzyło - powiedziała. - Pamiętasz co?

- Wyznałaś mi, że zostaniesz policjantką. Właśnie tutaj.

- Mam na myśli coś innego.

Wallander nagle zrozumiał, o co jej chodzi.

- Do brzegu przybił tu ponton z dwoma nieboszczykami - odparł. - Tak dawno temu, że nawet nie pamiętam dokładnie kiedy. Można by powiedzieć, że to wszystko rozgrywało się w innym świecie.

- Opowiedz o tym świecie.

- No chyba nie po to miałem tu przyjechać?

- Ale opowiedz, proszę.

Wallander wyciągnął rękę ku morzu.

- Nie wiedzieliśmy dużo o krajach po drugiej stronie. Czasami nawet chyba udawaliśmy, że nie istnieją. Byliśmy odcięci od naszych najbliższych sąsiadów. A oni od nas. Pewnego dnia przydryfował tu ponton i wszczęte później śledztwo zaprowadziło mnie na Łotwę, do Rygi. Odwiedziłem kraj po drugiej stronie nieistniejącej już dzisiaj żelaznej kurtyny. Wtedy świat był inny. Ani gorszy, ani lepszy, po prostu inny.

- Będę miała dziecko - powiedziała. - Jestem w ciąży.

Wallander wstrzymał oddech, jak gdyby nie zrozumiał jej słów. Po chwili wbił wzrok w jej brzuch ukryty pod czarną skórą. Wybuchnęła śmiechem.

- Jeszcze nic nie widać. Jestem dopiero w drugim miesiącu.

Wallander pamiętał później każdy szczegół tego spotkania. Zeszli na plażę i stali przy brzegu, kuląc się przed zimnymi podmuchami wiatru. Opowiedziała mu to, co chciał wiedzieć. Kiedy wrócił do komendy, spóźniony o całą godzinę, nieomal zapomniał o dochodzeniu, za które odpowiadał. Parę minut przed piątą, zanim znów zaczął padać śnieg, udało im się znaleźć zdjęcia dwóch mężczyzn, którzy najprawdopodobniej byli zamieszani w kradzież broni i brutalne morderstwo. Wallander podsumował to, co czuli wszyscy: właśnie zrobili ogromny krok w kierunku wyjaśnienia sprawy.

Narada dobiegła końca i gdy wszyscy zbierali swoje teczki i papiery, Wallander poczuł nieodpartą chęć, by podzielić się rozsadzającą go radością.

Ale naturalnie nic nie powiedział.

To po prostu nie leżało w jego naturze. Aż tak blisko nie dopuszczał do siebie swoich kolegów, nigdy.

## 2

Trzydziestego sierpnia 2007 roku, w szpitalu w Ystad, parę minut po drugiej po południu, Linda urodziła córkę, pierwszą wnuczkę Kurta Wallandera. Poród przebiegł prawidłowo o czasie, czyli w dniu wyznaczonym przez położną. Wallander wziął przezornie urlop i spędził dzień na próbach wymieszania cementu, którego chciał użyć do załatania szczelin w murze pod dachem werandy, zaraz przy drzwiach wejściowych. Nie szło mu najlepiej, ale przynajmniej miał zajęcie.

Kiedy zadzwonił telefon i Wallander dowiedział się, że od tej pory może tytułować się dziadkiem, zaczął płakać. Zaskoczyła go siła własnej reakcji, przez moment czuł się zupełnie bezbronny.

Nowinę usłyszał nie od Lindy, tylko od ojca dziecka, finansisty Hansa von Enkego. Ponieważ Wallander nie chciał okazać przed nim wzruszenia, podziękował szybko za wiadomość, przekazał pozdrowienia dla Lindy i zakończył rozmowę.

Później poszedł na długi spacer z Jussim. Nad Skanią utrzymywało się ciepło późnego lata; po nocnej burzy i deszczu powietrze było rześkie i łagodne. Wallander nareszcie mógł przyznać się do zdziwienia, jakie wielokrotnie budził w nim fakt, że Linda nigdy wcześniej nie wyrażała chęci, by zostać matką. Teraz skończyła trzydzieści siedem lat, co - w jego mniemaniu - dla kobiety wydawało się zbyt późnym wiekiem na rodzenie dzieci. Mona była o wiele młodsza, gdy przysła na świat Linda.

Z dyskretnej odległości śledził kolejne związki córki, kilku jej mężczyzn lubił bardziej niż innych. Kiedyś nabrał już prawie pewności, że w końcu znalazła tego właściwego, ale narzeczeni nagle się rozstali i Linda nigdy nie wyjaśniła



mu dlaczego. Choć jako ojciec i córka byli ze sobą dość blisko, nigdy nie poruszali pewnych tematów, nawet w najbardziej poufnych rozmowach. Do spraw objętych niewidzialnym tabu należała między innymi kwestia dzieci.

Tamtego dnia na wietrznej plaży Mossby opowiedziała mu o mężczyźnie, z którym oczekiwała dziecka. Jego istnienie stanowiło dla Wallandera niespodziankę. Był przekonany, że Linda chwilowo nie jest w żadnym stałym związku. Ale mylił się i opowieść córki bardzo go zaskoczyła.

Linda spotkała Hansa von Enkego u wspólnych przyjaciół, na ich przyjęciu zaręczynowym w Kopenhadze. Hans pochodził ze Sztokholmu, ale przez ostatnie dwa lata mieszkał w stolicy Danii, gdzie pracował w pewnej firmie finansowej, która zajmowała się głównie tworzeniem funduszy hedgingowych. Drażnił ją swoją pyszałkowatością.

Oznajmiła mu, dość bezceremonialnie, że jest zwykłą, kiepsko uposażoną policjantką i nie ma pojęcia, czym są fundusze hedgingowe. Czy w ogóle prawidłowo wymawia tę nazwę? Skończyło się tym, że poszli na długi nocny spacer po mieście i postanowili spotkać się ponownie. Hans von Enke był dwa lata młodszy od Lindy i podobnie jak ona bezdzietny. Choć o tym nie mówili, od samego początku znajomości wiedzieli, że będą się starać o dziecko.

Wieczorem, dwa dni po ujawnieniu wielkiej nowiny, Linda odwiedziła ojca razem z mężczyzną, z którym zdecydowała się związać swoje życie. Hans von Enke był wysoki i chudy, miał rzadkie włosy i przenikliwe, błękitne oczy. W jego towarzystwie Wallander momentalnie stracił pewność siebie, jego sposób wysławiania się był mu obcy. Nie mógł zrozumieć, co sprawiło, że Linda wybrała akurat tego człowieka.

A gdy dowiedział się, że Hans von Enke zarabia trzy razy więcej niż on sam i że oprócz tego co roku przysługuje mu premia dochodząca nawet do miliona koron, pomyślał ponuro, że zwabiły ją pieniądze. Tak niesłychanie go to

wzburzyło, że przy kolejnym spotkaniu z córką zapytał o to bez ogródek. Siedzieli w kawiarni w centrum Ystad.

Linda zezłościła się tak bardzo, że rzuciła w niego cynamonową drożdżówką i wyszła. Wybiegł za nią na ulicę i przeprosił ją. Nie, nie chodzi o pieniądze, powiedziała. To wielka i prawdziwa miłość, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczyła.

Wallander postanowił, że spróbuje spojrzeć na przeszłego zięcia łagodniejszym okiem. Za pośrednictwem internetu i pracownika banku, który czuwał nad jego lichymi interesami w Ystad, dowiedział się trochę o miejscu pracy Hansa. Nauczył się, czym są fundusze hedgingowe, przyswoił sobie też kilka innych pojęć, które podobno stanowią podstawę działalności nowoczesnych firm finansowych.

Przyjął zaproszenie do Kopenhagi i z Hansem w roli przewodnika obejrzał bogato wyposażone lokale biurowe przy Rundekarn, gdzie mieściła się siedziba spółki. Później Hans zaprosił go na lunch i kiedy Wallander wracał do Ystad, nie miał już problemu z poczuciem niższości, które dotknęło go tak bardzo przy pierwszym spotkaniu. W samochodzie zadzwonił do Lindy i oznajmił, że zaczyna doceniać wybranego przez nią mężczyznę.

- Ma tylko jeden mankament. Za mało włosów. Ale poza tym jest w porządku - odpowiedziała.

- Nie mogę się doczekać dnia, w którym pokażę mu nasze biuro.

- Już to zrobiłam. Był u nas z wizytą w zeszłym tygodniu. Nikt ci nie powiedział?

Oczywiście, że nikt mu nic nie powiedział. Wieczorem siedział przy stole w kuchni i z ołówkiem w ręku wyliczał roczne zarobki Hansa von Enkego. Zdumiał się, zobaczywszy końcową sumę. Jeszcze raz ogarnęło go niejasne nieprzyjemne uczucie.

On sam, po tych wszystkich latach, zarabiał niespełna czterdzieści tysięcy miesięcznie i uważał to za wysoką pensję. Ale to przecież nie on miał wychodzić za mąż, tylko

Linda. Pieniądze miały stać się - albo i nie - jej szczęściem, to nie jego sprawa.

W marcu Linda i Hans zamieszkali razem w kupionej przez młodego finansistę dużej willi pod Rydsgard. Hans dojeżdżał codziennie do Kopenhagi, a Linda pracowała jak do tej pory. Kiedy już się urządzili, córka zapytała Kurta, czy nie zechciałby przyjechać do nich w sobotę na obiad. Tego samego dnia mieli ich odwiedzić rodzice Hansa i na pewno chętnie poznaliby ojca Lindy.

- Rozmawiałam z mamą.

- Przyjdzie?

- Nie.

- Dlaczego?

Linda wzruszyła ramionami.

- Myślę, że jest chora.

- Z jakiego powodu?

Długo na niego patrzyła, zanim odpowiedziała.

- Z powodu alkoholu. Myślę, że teraz pije więcej niż kiedykolwiek

- Nie wiedziałem.

- O wielu rzeczach nie wiesz.

Wallander przyjął oczywiście zaproszenie na obiad, podczas którego miał poznać rodziców Hansa. Håkan von Enke, emerytowany komandor porucznik, dowodził kiedyś jednostkami pod- i nawodnymi, które specjalizowały się w wykrywaniu łodzi podwodnych. Linda podejrzewała również, choć nie miała co do tego zupełnej pewności, że przez jakiś czas należał do sztabu operacyjnego, który podejmował decyzje o otwarciu ognia przez wyznaczone jednostki sił zbrojnych. Louise, matka Hansa, była nauczycielką języków obcych. Hans nie miał rodzeństwa.

- Nie jestem przyzwyczajony do przebywania w towarzystwie arystokracji - powiedział pośępnie Wallander, gdy Linda umilkła.

- Oni są jak wszyscy inni ludzie. Myślę, że będziecie mieli o czym rozmawiać.

- Na przykład?
- To się okaże. Nie bądź tak negatywnie nastawiony.
- Nie jestem, tylko pytam.
- Obiad będzie o szóstej. Przyjdź na czas. I nie zabieraj ze sobą Jussiego, bo jeszcze narozrabia.
- Jussi jest bardzo posłusznym psem. W jakim wieku są rodzice Hansa?

- Håkan von Enke skończy niedługo siedemdziesiąt pięć lat. Louise jest kilka lat młodsza. A Jussi naprawdę nigdy nie słucha. Kto jak kto, ale ty powinienesz to wiedzieć. Nie udało ci się go wychować. Całe szczęście, że ze mną poszło ci trochę lepiej.

Wyszła z pokoju, zanim zdążył otworzyć usta. Przez moment miał ochotę unieść się gniewem, bo ostatnie słowo zawsze należało do niej. Ale nie udało mu się i znów pochylił się nad swoimi papierami.

Gdy Wallander wyjeżdżał w sobotę z Ystad na spotkanie z rodzicami Hansa, nad Skanią padała wyjątkowo łagodna - jak na tę porę roku - mżawka. Siedział w swoim biurze od samego rana i jeszcze raz, Bóg raczy wiedzieć który z kolei, przeglądał najważniejsze fragmenty materiału dochodzeniowego w sprawie śmierci handlarza bronią i wszystkich skradzionych rewolwerów.

Wprawdzie wydawało im się, że zidentyfikowali rabusiów, ale nie mieli jeszcze żadnych dowodów. Szukam konkretnego klucza, pomyślał, a na razie słyszę tylko odległy brzęk grubego pęku kluczy. Zdążył właśnie przejrzeć połowę obszernego materiału, gdy wybiła trzecia. Postanowił pojechać do domu, uciąć sobie kilkugodzinną drzemkę i przebrać się później do obiadu. Linda powiedziała mu, że rodzice Hansa są - jak na jej gust - odrobinę zbyt oficjalni i właśnie dlatego zaproponowała, żeby założył swój najlepszy garnitur.

- Mam tylko ten, w którym chodzę na pogrzeby - odpowiedział. - Ale może nie muszę wkładać białego krawata?

- Wcale nie musisz przychodzić, jeżeli myślisz, że będzie

aż tak źle.

- Próbowałem tylko zażartować.

- Słabo ci wyszło. Masz co najmniej trzy niebieskie krawaty. Wybierz któryś z nich.

Wracając o północy taksówką do domu, Wallander doszedł do wniosku, że spędził wieczór o wiele przyjemniej, niż się spodziewał. Dobrze mu się rozmawiało zarówno z sędziwym komandorem, jak i jego żoną. Zazwyczaj miał się na baczności przed obcymi ludźmi, zawsze wydawało mu się, że mniej lub bardziej nieudolnie skrywają pogardę żywioną dla niego jako policjanta.

U żadnego z rodziców Hansa nie zauważył jednak niczego takiego. Wręcz przeciwnie, odniósł wrażenie, że okazywali autentyczne zainteresowanie jego pracą. Håkan von Enke miał sprecyzowane poglądy na temat organizacji szwedzkiej policji i różnych niedociągnięć w kilku znanych sprawach kryminalnych. Wallander był skłonny przyznać mu rację.

Z kolei on zadawał pytania dotyczące łodzi podwodnych, marynarki wojennej i wyraźnego demontażu szwedzkich sił zbrojnych, a odpowiedzi, które otrzymywał, świadczyły zarówno o wiedzy rozmówcy, jak i o jego poczuciu humoru. Louise von Enke nie mówiła dużo. Uśmiechając się przyjaźnie, śledziła toczącą się przy stole konwersację.

Zadzwonili po taksówkę, po czym Linda wyszła z ojcem przed dom i odprowadziła go do furtki. Trzymając go pod rękę, oparła głowę na jego ramieniu. Zawsze tak robiła, gdy była z niego zadowolona.

- Czyli dobrze się spisałem? - spytał.

- Byłeś lepszy niż kiedykolwiek. Jak chcesz, to potrafisz.

- Potrafię co?

- Zachować się. A nawet zadawać inteligentne pytania o rzeczy niezwiązane z policją.

- Polubiłem ich. Ale o niej nie dowiedziałem się zbyt dużo.

- O Louise? Ona już taka jest. Mówi mało, za to słucha lepiej niż my wszyscy razem.

- A mnie się wydała dość tajemnicza.

Schronili się pod drzewem, bo ciągle mżyło.

- Nie znam nikogo, kto byłby bardziej tajemniczy niż ty - powiedziała Linda. - Przez wiele lat myślałam, że chcesz coś ukryć. Nauczyłam się jednak, że tylko niektórzy z tych tajemniczych naprawdę coś ukrywają.

- I ja do nich nie należę?

- Myślę, że nie. Mam rację?

- Tak sądzę. Ale może czasami człowiek nosi w sobie tajemnice, o których nawet nie wie?

Światła taksówki przecięły ciemność. Zbliżał się jeden z tych większych pojazdów, coraz popularniejszych w firmach przewozowych.

- Nie cierpię takich mikrobusów - zrzędził Wallander.

- Nie denerwuj się. Jutro przyprowadzę ci twój samochód.

- Po dziesiątej będę w komendzie. A teraz wracaj do domu i dowiedz się, co o mnie myślą. Jutro zdasz mi raport.

Linda przyjechała jego autem następnego dnia przed jedenastą.

- W porządku - powiedziała, wchodząc do jego pokoju jak zwykle bez pukania.

- Co w porządku?

- Spodobałeś się im. Håkan tak zabawnie się wyraził. Powiedział: „Twój ojciec jest niezwykłą intratą dla rodziny”.

- Nawet nie wiem, co to znaczy.

Położyła kluczyki na biurku. Spieszyła się, ponieważ na dziś zaplanowali wycieczkę z jej przyszłymi teściami. Wallander wyjrzał przez okno. Niebo zaczynało się przejaśniać.

- Zamierzacie wziąć ślub? - zapytał, zanim zniknęła za drzwiami.

- Im bardzo na tym zależy - odpowiedziała. - Byłabym wdzięczna, gdybyś ty jednak nie nalegał. Zobaczymy, czy do siebie pasujemy.

- Przecież będziecie mieli dziecko!

- Do tego się nadajemy. Ale życie ze sobą aż do śmierci to już zupełnie inna sprawa.

I poszła. Wallander przysłuchiwał się jej szybkim krokom. Obcasy kozaków stukwały o podłogę. Nie znam własnej córki, pomyślał. Kiedyś sądziłem, że ją znam. Teraz jednak widzę, że jest mi coraz bardziej obca.

Stał przy oknie i patrzył na starą wieżę ciśnień, gołębie, drzewa, błękitne niebo wyłaniające się spod coraz rzadszych chmur. Ogarnął go głęboki niepokój; wokół niego rozpostarła się pustka. A może tak naprawdę miał tę pustkę w sobie? Jak gdyby cały niepostrzeżenie zamienił się w klepsydrę, z której bezgłośnie wysypuje się piasek. Patrzył na gołębie i drzewa tak długo, aż poczuł, że niepokój go opuszcza. Usiadł przy biurku i uparcie zaczął przeglądać stopy leżących na nim raportów.

W połowie października, siedem miesięcy później, Wallander i jego koledzy zrobili takie postępy w śledztwie, że mogli zwrócić się do prokuratora z żądaniem aresztowania czterech podejrzanych. Dwóch z nich było obywatelami polskimi, zidentyfikowano ich na podstawie nagrań kamer monitorujących sklep Hanssona.

Oprócz tego policja zabezpieczyła wystarczająco dużo dowodów, żeby zatrzymać w Göteborgu dwóch mężczyzn, którzy mieli powiązania ze zorganizowaną siatką przestępczą kierowaną przez emigrantów z byłej Jugosławii. Wallander znowu pomyślał o tym brutalnym napadzie sprzed dwudziestu lat. Kiedy wyszło na jaw, że sprawcami morderstwa w Lenarp byli obcokrajowcy, doszło do licznych rasistowskich incydentów. Kilka razy zaatakowano obozy uchodźców, zamordowano zupełnie niewinną osobę. To były okropne czasy.

W czasie długiej i często żmudnej pracy dochodzeniowej Wallander przekonał się o wyjątkowych zdolnościach swoich dwóch najbliższych współpracownic. Miał dla nich coraz więcej uznania i może dzięki nim poczuł w sobie przypływ energii, której mu ostatnimi laty brakowało. Imponowała mu szczególnie Kristina Magnusson, przede

wszystkim swoją intuicją i uporem. Lubił zerkać na nią ukradkiem na korytarzach komendy.

Latem wypisano ze szpitala Hannę Hansson. Na skutek urazu oślepla na jedno oko i doznała nieodwracalnego uszkodzenia kręgosłupa. Przy jakiejś okazji Wallander rozmawiał z jej córką, która prowadziła stadninę koni pod Horby.

- Oka nikt jej nie zwróci - powiedziała. - Lekarze nie są też w stanie złagodzić bólu pleców. Ale nie to jest najgorsze. Wie pan, co jest najgorsze?

- Śmierć jej męża.

- To tak oczywiście, że nie trzeba o tym mówić. Chodzi mi o coś bardziej nieuchwytnego.

Wallander nie potrafił znaleźć odpowiedzi, na którą czekała.

- Strach - rzekła w końcu. - Mama zaczęła się bać ludzi. Boi się wychodzić, boi się spać, boi się być sama. Jak to wyleczyć? I jak kogoś za to skazać?

- Dobry oskarżyciel potrafi przekonać sąd, że zbrodni dokonano ze szczególnym okrucieństwem - odparł Wallander.

Kobieta pokręciła głową. Wątpiła w to, zresztą on w głębi ducha też w to nie wierzył. Szwedzkie sądy zaskakiwały go często swoją powściągliwością, gdy chodziło o odpowiednio surową kwalifikację czynów.

- Złapcie ich - powiedziała, zanim wyszła z jego pokoju. - Nie pozwólcie im tak po prostu uwolnić się od tego, co zrobili.

Wallander osobiście przeprowadził przesłuchania wstępne dwóch zatrzymanych Polaków. Obaj byli młodzi, nie mieli więcej niż po dwadzieścia lat. Patrząc na niego szydęro, wyjaśnili przez swoich tłumaczy, że nie mają nic wspólnego z kradzieżą broni, że wtedy nawet w ogóle nie przebywali w Szwecji i że nie zamierzają odpowiadać na kolejne pytania.

Wallander zachowywał zimną krew, tłumiąc czasami ochotę, by trzasnąć ich na odlew. Po jakimś czasie udało



mu się złamać jednego z nich. Pewnego dnia w listopadzie chłopak nagle zaczął się przyznawać. A potem poszło jak z płatka. W trakcie nalotu na mieszkanie w Staffanstorp znaleziono połowę skradzionej broni, a podczas rewizji w innym, na przedmieściach Sztokholmu - kolejne cztery sztuki. W dniu rozpoczęcia rozprawy sądowej, w grudniu, brakowało zaledwie trzech sztuk zrabowanej broni.

Tego samego ranka Wallander zebrał swoich ludzi w salce konferencyjnej komendy, gdzie czekały na nich kawa i ciasto. Zamierzał w kilku słowach wyrazić im uznanie, ale stracił wątek i ostatecznie zaczęli rozmawiać o trwających właśnie negocjacjach płacowych oraz o niezadowoleniu wszystkich z Głównego Zarządu Policji, który nieustannie wprowadzał nowe porządki i zmieniał priorytety.

Wallander spędził Boże Narodzenie z rodziną Lindy. Obserwował swoją wnuczkę, ciągle jeszcze bezimienną, ze zdziwieniem i cichą radością. Linda twierdziła, że dziewczynka jest podobna do niego, szczególnie jeżeli chodzi o oczy, ale Wallander nie widział żadnego podobieństwa, choć bardzo się starał je dostrzec.

- Powinna mieć jakieś imię - przypomniał w Wigilię, gdy siedzieli wieczorem przy lampce wina.

- Spokojnie, mamy czas - odpowiedziała Linda.

- Wychodzimy z założenia, że pewnego dnia imię pojawi się samo - dodał Hans.

- Dlaczego nazywam się Linda? - zapytała zniecierpliwiona. - Skąd wzięliście to imię?

- To był mój pomysł - powiedział Wallander. - Mona chciała, żebyś nazywała się inaczej, już nawet nie pamiętam jak. Ale dla mnie od początku byłaś Lindą. Twój dziadek natomiast upierał się przy Wenus.

- Wenus?

- Jak wiesz, on nie zawsze był rozsądny. Nie podoba ci się twoje imię?

- Jest niezłe - odpowiedziała. - I nie bój się. Jeżeli weźmiemy ślub, zachowam swoje nazwisko. Nigdy nie

zostanę Lindą von Enke.

- Może ja powinienem przyjąć nazwisko Wallander - odezwał się Hans. - Ale moi rodzice chyba nie byłiby zachwyceni.

Między świętami a sylwestrem Wallander porządkował papiery, które nazbierały się w ciągu całego roku. Od kilku lat miał taki zwyczaj: przed końcem starego roku torował drogę temu, co miało nastąpić w nowym. Na początku stycznia powinien zapaść wyrok w sprawie o kradzież broni.

Wallander rozmawiał z oskarżycielem, który domagał się najsurowszej kary, i miał nadzieję, że gdy następnym razem spotka córkę Hanny Hansson, będzie mógł spojrzeć jej w oczy.

Stało się tak, jak myślał. Sędziowie okazali się surowi. Oskarżeni o pobicie i morderstwo Polacy dostali po osiem lat więzienia. Wallander był przekonany, że odwołanie się od wyroku do sądu apelacyjnego nie przyniesie złagodzenia kary.

Wieczorem tego dnia, w którym sąd rejonowy ogłosił wyrok, Wallander postanowił obejrzeć jakiś film. Wykosztował się na antenę satelitarną i dzięki temu zyskał dostęp do niezliczonych kanałów. Wziął ze sobą do domu służbową broń, żeby ją wyczyścić. Miał zaległości w strzelaniu, wiedział, że musi zacząć ćwiczyć najpóźniej z początkiem lutego. Jego biurko nie było puste, chwilowo nie odpowiadał jednak za żadne pilne dochodzenie. Trzeba korzystać z okazji, pomyślał. Teraz mogę sobie obejrzeć film, jutro może być za późno.

Lecz kiedy wrócił do domu i przeszedł się na spacer z Jussim, nie umiał sobie znaleźć miejsca. Od czasu do czasu doskwierała mu w tym dalekim domu samotność, czuł się opuszczony i porzucony wśród pustych pól. Jak jakiś wrak, myślał czasami. Osiadłem na tej brunatnej glinie jak na mieliźnie. Zazwyczaj owo poczucie zagubienia mijało dość szybko. Ale właśnie tego wieczoru nie dawało za wygraną. Wallander usiadł przy kuchennym stole, rozłożył starą

gazetę i wyczyścił swoją broń.

Dochodziła ósma. Nie miał pojęcia, skąd pojawiła się ta myśl. Podjął decyzję w ciągu sekundy, przebrał się i pojechał z powrotem do Ystad. W zimowe wieczory miasto świeciło pustkami, zwłaszcza w tygodniu. Były otwarte najwyżej dwa, trzy lokale. Wallander zaparkował samochód i ruszył w kierunku restauracji znajdującej się przy rynku. W środku siedzieli nieliczni goście. Zajął miejsce przy narożnym stoliku, zamówił przystawkę i butelkę wina. Czekaając na jedzenie i wino, wlał w siebie kilka drinków. Tak właśnie to zapamiętał: wlewał w siebie alkohol, żeby zagłuszyć dręczący go niepokój. Kiedy kelner przyszedł z zamówioną potrawą i napełnił kieliszek winem, Wallander nie był już trzeźwy.

- Strasznie tu pusto. Gdzie się podzieli wszyscy goście?

Kelner wzruszył ramionami.

- W każdym razie tutaj ich nie ma - odpowiedział. - Mam nadzieję, że będzie panu smakowało.

Wallander rozgrzebał jedzenie na talerzu, ale opróżnienie butelki nie zajęło mu więcej niż pół godziny. Przeszukawszy kieszenie, wyciągnął komórkę i zaczął przeglądać numery zapisane w pamięci. Miał ochotę z kimś porozmawiać. Tylko z kim? Odłożył telefon, nie chciał, by ktoś usłyszał, że jest pijany. Butelka była pusta, a on wypił już więcej niż dużo. Mimo to zamówił do kawy koniak. Wkrótce kelner pojawił się z informacją, że zaraz zamykają. Zmęczonym wzrokiem obserwował wstającego niepewnie od stołu gościa.

- Taxi - wyrzucił z siebie Wallander.

Kelner zadzwonił z telefonu ściennego przy barze. Odłożywszy słuchawkę, skinął głową. Wallander uświadomił sobie, że się zatacza.

Wiatr na zewnątrz był przejmująco zimny. Wallander usiadł w taksówce na tylnym siedzeniu i ocknął się dopiero wtedy, gdy taksówkarz wjechał na jego podwórze. W domu rzucił z siebie ubranie, zostawił wszystko na podłodze i zasnął, ledwie przyłożył głowę do poduszki.

Pół godziny później do komendy wszedł wzburzony mężczyzna i zażądał widzenia z dyżurnym policjantem. Tej nocy był nim Martinsson. Mężczyzna wyjaśnił, że pracuje jako kelner, po czym położył przed policjantem plastikową torbę. Tkwił w niej pistolet, dokładnie taki sam jak Martinssona. Kelner wiedział, kim był klient restauracji, ponieważ Wallander z czasem stał się znaną osobą w mieście.

Martinsson przyjął doniesienie o przestępstwie, a potem długo przyglądał się broni służbowej Wallandera. Jak to możliwe, że jej zapomniał? I dlaczego zabrał ją ze sobą do restauracji?

Martinsson spojrział na zegarek. Właśnie minęła północ. W zasadzie powinien zadzwonić do Wallandera, zrezygnował jednak z tego pomysłu. Poczeka z tym do jutra. Na myśl o najbliższym dniu ogarnęło go nieprzyjemne uczucie.

### 3

Kiedy rano Wallander wszedł do komendy, w recepcji czekała na niego wiadomość od Martinssona. Zaklął pod nosem. Dręczył go kac i nudności. Jeżeli Martinsson chciał widzieć się z nim bezzwłocznie, to znaczy, że wydarzyło się coś, co wymagało jego natychmiastowej obecności. Czy nie mógłby poczekać kilka dni, pomyślał. Albo przynajmniej kilka godzin. On teraz marzył wyłącznie o tym, żeby zamknąć drzwi do swojego pokoju, wyłączyć telefon i pospać jeszcze parę godzin z nogami na biurku. Zdjął kurtkę, opróżnił stojącą na stole butelkę wody mineralnej i poszedł prosto do Martinssona, który zajmował jego poprzedni gabinet.

Zapukał i wszedł do środka. Gdy tylko spojrział na kolegę, zrozumiał, że stało się coś poważnego. Wallander zawsze umiał odczytywać z jego twarzy, jaki ma humor, co było dość istotne, ponieważ nastroje Martinssona nieustannie

wahały się od euforii do przygnębienia.

Zajął miejsce po drugiej stronie biurka.

- Co się stało? Nie zostawiasz mi takich wiadomości, jeśli nie dzieje się nic ważnego.

Martinsson przyglądał mu się ze zdziwieniem.

- W ogóle nie domyślasz się, o czym chcę z tobą rozmawiać?

- Nie. A powinienem?

Martinsson nie odpowiedział. Cały czas nie spuszczał wzroku z Wallandera, który czuł się jeszcze gorzej niż wcześniej.

- Nie mam zamiaru tu siedzieć i zgadywać - powiedział w końcu. - O co ci chodzi?

- Wciąż nie masz pojęcia, o czym chcę z tobą rozmawiać?

- Nie.

- To jeszcze bardziej pogarsza twoją sytuację.

Martinsson wysunął szufladę, wyjął służbową broń Wallandera i położył przed sobą na stole.

- Mam nadzieję, że teraz wiesz, o co mi chodzi.

Wallander wbił oczy w pistolet. Przeszywający go dreszcz przerażenia nieomal zagłuszył kaca i nudności. Wiedział, że poprzedniego dnia wieczorem wyczyścił swoją broń. Ale co było później? Gorączkowo szukał w pamięci. Z kuchennego stołu w jego domu pistolet przeniósł się na biurko Martinssona. Wallander nie miał pojęcia, co wydarzyło się między jednym a drugim epizodem, w jaki sposób pistolet znalazł się tam, gdzie teraz leżał. Nie miał żadnych wyjaśnień ani wymówek.

- Wczoraj wieczorem poszedłeś do knajpy - powiedział Martinsson. - Dlaczego wziąłeś ze sobą broń?

Wallander pokręcił głową z niedowierzaniem. Nie mógł sobie przypomnieć. Czy włożył ją do kurtki, zanim pojechał do Ystad? Jakkolwiek dziwnie to brzmiało, widocznie tak musiał zrobić.

- Nie wiem - wyznał. - Mam dziurę w głowie.

- O północy przyszedł tutaj kelner. Był wzburzony ponieważ na sofie, na której siedziałeś, znalazł pistolet.

Mgliste strzępy wspomnień zaczęły przesuwać mu się przed oczami. Może wyjął broń z kieszeni, kiedy szukał telefonu? Ale jak mógł jej zapomnieć?

- Zupełnie nie mam pojęcia, co się wydarzyło - powiedział. - Widocznie wsadziłem pistolet do kieszeni, jak wychodziłem z domu.

Martinsson wstał i otworzył drzwi.

- Napijesz się kawy?

Wallander pokręcił głową. Martinsson zniknął w korytarzu. Wallander przysunął do siebie broń i zobaczył, że jest naładowana. Jeszcze gorzej. Jak błyskawica przemknęła mu przez głowę myśl o samobójstwie. Odsunął pistolet lufą do okna. Wrócił Martinsson.

- Możesz mi jakoś pomóc?

- Tym razem nie. Kelner cię rozpoznał. Nie da się. Musisz iść prosto do szefa.

- Rozmawiałeś już z nim?

- Gdybym tego nie zrobił, popełniłbym wykroczenie służbowe.

Wallander nie miał nic więcej do powiedzenia. Siedzieli w milczeniu.

Próbował znaleźć wyjście z sytuacji, choć wiedział, że ono nie istnieje.

- Co teraz będzie? - zapytał w końcu.

- Przejrzałem regulamin. Zostanie wszczęte dochodzenie wewnętrzne. Istnieje oczywiście ryzyko, że ten kelner, nazywa się Ture Saage, jeżeli jeszcze tego nie wiesz, nagle wpadnie na pomysł, żeby pójść z tym do gazet. Teraz podobno można dostać trochę grosza, jak się przyjdzie z odpowiednią informacją. Nietrzeźwi policjanci, którzy rozrabiają po godzinach pracy, mogą podnieść sprzedaż nakładu.

- Chyba mu powiedziałeś, żeby trzymał język za zębami?

- Ba! Poinformowałem go nawet, że udostępnianie mediom treści dochodzenia policyjnego jest karalne. Niestety, podejrzewam, że mnie przejrzał.

- Mam z nim porozmawiać?

Martinsson pochylił się ku niemu przez stół. Wallander zobaczył z bliska zmęczoną i strapioną twarz. To go jeszcze bardziej zasmuciło.

- Od ilu lat pracujemy razem? Od dwudziestu? Więcej? Na początku to ty mi doradzałeś. Ganiłeś, ale też chwaliłeś. Teraz moja kolej, żeby ci powiedzieć: niczego nie rób. Cokolwiek zaczniesz kombinować, napytasz sobie jeszcze większej biedy. Nie rozmawiaj z kelnerem Ture Saagem, nie rozmawiaj z nikim. Oprócz Lennarta, do którego masz teraz pójść. Czeka na ciebie.

Wallander skinął głową i wstał.

- Spróbujemy zrobić wszystko, co się da w tej sytuacji - powiedział Martinsson.

Sądząc z tonu, jego przewidywania nie były najlepsze. Wallander wyciągnął rękę po pistolet. Martinsson pokręcił głową.

- Na razie zostanie tutaj.

Wallander wyszedł na korytarz. Kristina Magnusson przechodziła właśnie z kubkiem kawy. Kiwnęła głową. Wallander zrozumiał, że ona też wie. Tym razem nie odwrócił się, by popatrzeć na jej zgrabną figurę. Wszedł do toalety, zamknął się na klucz. Lustro nad umywalką było pęknięte. Dokładnie jak ja, pomyślał. Zmoczył czoło, wytarł je i zaczął wpatrywać się w swoje przekrwione oczy. Pęknięcie dzieliło twarz na dwie części.

Usiadł na sedesie. Pojawilo się w nim też inne uczucie, nie tylko wstyd i obawa z powodu tego, co zrobił. Nigdy mu się coś takiego nie zdarzyło. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przechowywał broń służbową niezgodnie z przepisami. Jeżeli zabierał pistolet do domu, zawsze zamykał go w szafie na broń, gdzie przechowywał śrutówkę, na którą miał licencję i której używał raz na jakiś czas, kiedy polował z sąsiadami na zające. To było coś więcej niż tylko zamroczenie alkoholem. Jakiś inny rodzaj niepamięci, zupełnie mu nieznaną. Mrok, w którym nie potrafił zapalić żadnej lampy.

Gdy w końcu podniósł się i ruszył w kierunku gabinetu

szefa, z pewnością minęło już ponad dwadzieścia minut. Jeżeli Martinsson zadzwonił i uprzedził go, że już idę, to na pewno teraz myślą, że uciekłem. Ale aż tak źle ze mną nie jest.

Rok wcześniej następcą dwóch szefowych policji w Ystad został Lennart Mattson. Był młody, nie miał jeszcze czterdziestu lat i zrobił oszałamiająco szybką karierę w administracji policyjnej, skąd obecnie pozyskiwano prawie wszystkich szefów. Jak większość aktywnych policjantów również Wallander uważał, że ten typ rekrutacji nie wróży policji niczego dobrego, przynajmniej jeżeli chodzi o wykonywanie jej zadań na co dzień.

A fakt, że Mattson pochodził ze Sztokholmu i trochę za często narzekał oraz że trudno mu zrozumieć dialekt skański, nie polepszał sytuacji. Wallander wiedział, że paru jego kolegów w rozmowach z szefem naprawdę wysilało się, żeby mówić jak najbardziej niezrozumiale. On sam nie brał udziału w tego rodzaju złośliwych demonstracjach. Postanowił trzymać się na uboczu i nie mieszać w sprawę Mattsona, przynajmniej dopóki on nie wtrącał się za bardzo w bezpośrednią pracę policyjną. Ponieważ wyglądało na to, że Mattson również żywił do niego szacunek, Wallander nie miał do tej pory problemów ze swoim nowym szefem.

Teraz jednak zrozumiał, że te czasy minęły bezpowrotnie.

Drzwi do gabinetu były lekko uchylone. Wallander zapukał i usłyszawszy jasny, nieomal piskliwy głos swojego zwierzchnika, wszedł do środka.

Usiadł na wzorzystej kanapie, z trudem wciśniętej do pomieszczenia. Mattson był zwolennikiem modelu komunikacji, w którym sam bardzo rzadko rozpoczynał rozmowę, nawet jeżeli to on wzywał na spotkanie. Chodziły pogłoski, że pewien konsultant z Głównego Zarządu Policji siedział z nim kiedyś w milczeniu przez pół godziny. Potem wstał, bez słowa wyszedł z gabinetu i odleciał do Sztokholmu.

Wallander pomyślał przez chwilę, że może powinien



rzucić mu wyzwanie, w ogóle się nie odzywając. Ale znów naszły go mdłości, chciał więc jak najszybciej wyjść na świeże powietrze.

- Nie potrafię wyjaśnić tego, co się stało - zaczął. - Rozumiem, że to niewybaczalne i że musisz wszcząć odpowiednie działania.

Mattson przygotował chyba swoje pytania zawczasu, bo padły momentalnie.

- Czy kiedyś zdarzyło ci się już coś takiego?

- Że zapomniałem swojej broni w knajpie? Jasne, że nie!

- Masz problemy z alkoholem?

Wallander zmarszczył czoło. Skąd Mattsonowi przyszło do głowy to pytanie?

- Panuję nad sobą - odpowiedział. - Kiedy byłem młodszy, piłem dość ostro w weekendy, ale teraz już nie.

- A mimo to chlałeś w restauracji w środku tygodnia?

- Nie chlałem, tylko jadłem kolację.

- Butelka wina, kilka drinków i koniak do kawy?

- Jeżeli już wszystko wiesz, to po co pytasz? To nie było żadne chłanie. Żaden rozsądny człowiek w tym kraju tak by tego nie nazwał. Jak się chleje, to źłomie się bimber albo wódkę, pije się po to, żeby upić się do nieprzytomności, tylko po to.

Mattson zawahał się, zanim zadał kolejne pytanie. Wallandera coraz bardziej irytował piskliwy głos szefa i zastanawiał się, czy ten siedzący przed nim mężczyzna ma w ogóle pojęcie o tym, jak bardzo bolesnych przeżyć może doświadczyć policjant na służbie.

- Mniej więcej dwadzieścia lat temu zostałeś zatrzymany przez kolegów, kiedy w stanie nietrzeźwym prowadziłeś samochód. Zatuszowali sprawę, nie poniosłeś wtedy żadnych konsekwencji. Ale rozumiesz chyba, że pytam cię o problemy z alkoholem, bo może je masz i tylko ukrywasz. Teraz okazuje się, że pociągają za sobą tak nieszczęśliwe skutki.

Wallander pamiętał tamto zdarzenie aż nazbyt dobrze. Pojechał wtedy do Malmö i jadł obiad z Moną. To było już

po rozwodzie, ale on ciągle jeszcze się łudził, że zdoła ją przekonać, żeby do niego wróciła. Skończyło się na kłótni, a później zobaczył, jak przyszedł po nią jakiś nieznany mu mężczyzna.

Wybuchła w nim taka zazdrość, że - wściekły - zupełnie stracił rozsądek i wrócił do domu, zamiast przenocować w hotelu albo przespać się w samochodzie. Przy wjeździe do Ystad zatrzymała go para kolegów z nocnego patrolu. Odwieźli go do domu, zaparkowali mu samochód, a później sprawa ucichła. Jeden z tych policjantów już nie żyje, drugi przeszedł na emeryturę. A mimo to w dalszym ciągu mówi się o tym w komendzie. To go zdumiało.

- Nie zaprzeczam. Ale to było, jak sam wspomniałeś, dwadzieścia lat temu. I dalej twierdzę, że nie mam problemów z alkoholem. A to, że poszedłem do lokalu w środku tygodnia, nie powinno obchodzić nikogo oprócz mnie.

- Muszę podjąć odpowiednie działania. Masz zaległy urlop i akurat nie prowadzisz żadnego poważniejszego śledztwa, dlatego proponuję, żebyś wziął tydzień wolnego. To oczywiste, że musimy wszczać dochodzenie wewnętrzne. Nic więcej teraz nie mogę powiedzieć.

Wallander wstał. Mattson ciągle siedział.

- Czy chciałbyś jeszcze coś dodać? - zapytał.

- Nie - odpowiedział Wallander. - Zrobię, jak mówisz. Wezmę urlop i pojedę do domu.

- Dobrze będzie, jak zostawisz tutaj swoją broń.

- Nie jestem idiotą - odparł Wallander. - Nawet jeżeli mnie za takiego uważasz.

Wallander ruszył prosto do swojego pokoju. Wziął kurtkę, zszedł do garażu i wsiadł do samochodu. Przeszło mu przez myśl, że być może po wczorajszych ekscesach ciągle jeszcze ma w organizmie alkohol. Ponieważ jednak już nic nie mogło zaszkodzić jego fatalnej sytuacji, pojechał do domu. Zerwał się silny północno-wschodni wiatr. Otwierając drzwi, Wallander trząsł się z zimna. Jussi radośnie podskakiwał na wybiegu, ale on nie miał siły

nawet pomyśleć o spacerze. Rozebrał się, położył i na szczęście zasnął. Otworzył oczy o dwunastej. Leżał i słuchał wiatru uderzającego o ściany domu.

Znów nie dawało mu spokoju poczucie, że coś jest nie tak jak powinno. Na jego życie nagle padł cień. Jak to się stało, że na drugi dzień nawet nie zauważył braku pistoletu? To tak, jak gdyby ktoś inny najpierw działał w jego imieniu, a później wyłączył mu pamięć, żeby on nie dowiedział się, co się stało.

Wstał, ubrał się, spróbował coś zjeść, mimo że ciągle było mu niedobrze. Korciło go, żeby nalać sobie kieliszek wina, ale nie uległ pokusie. Zmywał właśnie naczynia, gdy zadzwonił telefon.

- Jadę do ciebie - oznajmiła. - Chciałam się tylko upewnić, czy jesteś w domu.

Zakończyła rozmowę, zanim zdążył się odezwać. Dwadzieścia minut później

weszła do jego domu ze śpiącym dzieckiem. Usiadła naprzeciwko ojca na brązowej skórzanej sofie, którą kupił w roku przeprowadzki do Ystad. Dziewczynka spała obok w foteliku. Kurt chciał coś o niej powiedzieć, ale Linda pokręciła głową. Za chwilę, nie teraz, są ważniejsze sprawy.

- Słyszałam, co się stało - zaczęła. - Ale czuję się tak, jakbym nic nie wiedziała.

- Dzwonił do ciebie Martinsson?

- Zadzwonił do mnie po rozmowie z tobą. Był bardzo nieszczęśliwy.

- Nie tak nieszczęśliwy jak ja - odparł Wallander.

- Opowiedz mi to, czego nie wiem.

- Jeżeli przyszedł tutaj po to, żeby mnie przesłuchiwać, to możesz sobie od razu pójść.

- Chcę się tylko dowiedzieć prawdy. Akurat ciebie nigdy bym nie podejrzewała, że napytasz sobie biedy właśnie w taki sposób.

- Nikt nie umarł - powiedział Wallander. - Nikt nawet nie poniósł szkody. A poza tym każdemu mogą się zdarzyć

różne rzeczy. Chodzę po tym świecie już dość długo i wiem.

A później opowiedział jej całą historię, począwszy od niepokoju, który wygnał go z domu, a skończywszy na tym, że nie ma pojęcia, dlaczego wziął ze sobą broń. Linda długo siedziała bez słowa.

- Wierzę ci - powiedziała w końcu. - Wszystko, o czym mi tu teraz opowiadasz, świadczy w zasadzie o jednym: że jesteś samotny. Nagle tracisz kontrolę i nie ma przy tobie nikogo, kto by cię uspokoił, kto by cię powstrzymał przed nieprzemyślanymi działaniami. Tylko jedna rzecz nie daje mi spokoju.

- Jaka?

- Naprawdę wszystko mi powiedziałaś? Niczego nie przemilczałaś?

Wallander rozważył szybko, czy wspomnieć o tym osobliwym doznaniu

zapadającego w nim cienia. Jednak tylko pokręcił głową, nie miał niczego do dodania.

- Jak myślisz, co teraz będzie? - zapytała.

- Będzie dochodzenie wewnętrzne. A później nie wiem.

- Istnieje ryzyko, że będziesz zmuszony odejść?

- Chyba jestem za stary, żeby mnie zwolnili. A poza tym nie chodzi przecież o żadne poważne wykroczenie. Ale może zmuszą mnie do przejścia na emeryturę.

- Nie ucieszyłbyś się?

Wallander, który właśnie jadł jabłko, z całej siły cisnął ogryzkiem o ścianę.

- Czy nie powiedziałas przed chwilą, że mój problem to samotność?! - wrzasnął. - A co będzie, jak odeślą mnie na emeryturę? Wtedy już nic mi nie zostanie!

Jego podniesiony głos obudził dziecko.

- Przepraszam - wymamrotał.

- Boisz się - odpowiedziała. - I ja to rozumiem. Też bym się bała. Myślę, że nie powinno się przeproszać za swój lęk.

Linda została u niego do wieczora, ugotowała mu obiad i nie rozmawiali już więcej o tym, co się stało. W zimnym i porywistym wietrze odprowadził ją do samochodu.

- Poradzisz sobie teraz?

- Poradzę sobie, jak zawsze. Ale cieszę się, że pytasz.

Rano do Wallandera zadzwonił Lennart Mattson i chciał widzieć się z nim jeszcze tego samego dnia. W trakcie spotkania został przedstawiony inspektorowi dochodzeniowemu z Malmö, który miał go przesłuchać.

- Kiedy panu pasuje? - zapytał mężczyzna, który nazywał się Holmgren i był w wieku Wallandera.

- Teraz - powiedział Wallander. - Na co mamy właściwie czekać?

Zamknęli się w jednej z mniejszych sal konferencyjnych. Wallander starał się być precyzyjny, nie usprawiedliwiać się, nie wyszukiwać okoliczności łagodzących. Holmgren notował, od czasu do czasu prosił rozmówcę, by cofnął się, powtórzył odpowiedź i opowiadał dalej. Wallander pomyślał, że gdyby role były odwrócone, przesłuchanie z całą pewnością wyglądałoby podobnie. Mniej więcej po godzinie skończyli. Holmgren odłożył długopis i spojrzał na Wallandera nie jak na przestępcę, który właśnie przyznał się do winy, tylko jak na człowieka, który napisał sobie biedy. Jak gdyby składał mu wyrazy współczucia.

- Nie oddał pan strzału - powiedział. - Znajdując się pod wpływem alkoholu, zapomniał pan swojej broni służbowej w restauracji. To niezaprzeczalnie poważna rzecz, ale na dobrą sprawę nie dopuścił się pan żadnego czynu przestępczego. Nikogo pan nie pobił, na nikogo nie wywierał presji, nie przyjął łapówki.

- To znaczy, że nie zostanę zwolniony?

- Nie sądzę. Ale to nie ja decyduję.

- Ale gdyby pan spróbował zgadnąć?

- Nie chcę zgadywać. Poczekamy, zobaczymy.

Holmgren zaczął zbierać swoje papiery, układał je ostrożnie w swojej aktówce. Nagle przerwał.

- Oczywiście byłoby świetnie, gdyby nic nie przeciekło do mediów - powiedział. - Nigdy nic dobrego z tego nie wynika, jeśli nie da się wyciszyć takich spraw i zatrzymać

ich wewnątrz organizacji.

- Myślę, że nie musimy się tego obawiać - odparł Wallander. - Do tej pory nic się nie ukazało, wygląda więc na to, że nie doszło do przecieku.

Jednak się mylił. Jeszcze tego samego dnia ktoś niespodziewanie zapukał do drzwi jego domu. Wallander, który właśnie odpoczywał, wstał i ruszył do przedpokoju, przekonany, że to sąsiad z jakąś nowiną. Kiedy otworzył, fotograf momentalnie trzasnął mu flesztym w twarz. Obok stała reporterka, która przedstawiła się jako Lisa Halbing. Wallander od razu przejrzał jej sztuczny uśmiech.

- Możemy porozmawiać? - zapytała natarczywie.

- O czym? - odpowiedział pytaniem, czując, że zaczyna go boleć brzuch.

- A jak pan myśli?

- Nic nie myślę.

Fotograf robił zdjęcie za zdjęciem. Kierując się pierwszym impulsem, Wallander miał ochotę go uderzyć, ale oczywiście tego nie zrobił. Za to wymógł na nim obietnicę, że nie będzie fotografował w domu. To jego sfera prywatna. Kiedy i fotograf, i dziennikarka przyrzekli, że dostosują się do jego życzeń, wpuścił ich do środka i posadził przy kuchennym stole. Poczęstował kawą i resztkami babki, którą kilka dni temu dostał od jednej ze swoich sąsiadek, entuzjastki domowych wypieków.

- Z jakiej gazety? - zadał pytanie, stawiając na stole kawę. - Zapomniałem wcześniej zapytać.

- Powinna była powiedzieć od razu - odparła Lisa Halbing, która miała ostry makijaż i ukrywała swoją nadwagę pod luźną koszulą.

Z wyglądu przypominała Lindę, chociaż jego córka nigdy nie umalowałaby się tak wyzywająco.

- Pracuję dla różnych gazet - powiedziała. - Kiedy mam dobrą historię, wybieram ten dziennik, który najlepiej zapłaci.

- I właśnie teraz to ja jestem tą „dobrą historią”?

- W skali od jednego do dziesięciu plasuje się pan może

na czwartym miejscu, nie wyżej.

- A gdybym zabił kelnera w restauracji?

- Wtedy byłby pan perfekcyjną dziesiątką. Z czarnymi, grubymi nagłówkami na pierwszej stronie.

- Jak się pani o tym dowiedziała?

Fotograf nerwowo przebierał palcami po aparacie, ale ciągle dotrzymywał obietnicy. Lisa Halbing wciąż prezentowała swój chłodny uśmiech.

- Chyba pan rozumie, że nie zamierzam odpowiedzieć na to pytanie.

- Naturalnie. Przypuszczam, że dostała pani cynk od kelnera z restauracji.

- Akurat nie od niego. Ale na więcej pytań nie odpowiem.

Już po wszystkich Wallander doszedł do wniosku, że przeciek musiał pochodzić od kogoś z jego kolegów. To mógł być ktokolwiek, może nawet sam Lennart Mattson. Albo dlaczego nie inspektor dochodzeniowy z Malmö? Ile jest warta taka informacja? Przez te wszystkie lata, kiedy pracował w policji, przecieki do mediów stanowiły nieustanny problem. Ale on dotąd nie był osobiście narażony na ich konsekwencje. Sam nigdy też nie kontaktował się z dziennikarzami i nie słyszał, żeby robili to jego najbliżsi współpracownicy. Tylko co on tak naprawdę wiedział? Z absolutną pewnością: nic.

Tego samego wieczoru zadzwonił do Lindy i ostrzegł przed tym, co znajdzie w jutrzejszej gazecie.

- Powiedziałaś, jak było naprawdę?

- W każdym razie nikt nie może mi zarzucić łgarstwa.

- To dasz sobie radę. Im zawsze chodzi o wykrycie kłamstwa. Będzie o tym trochę głośno, ale bez nagonki.

Wallander nie spał dobrze tej nocy. Następnego dnia spodziewał się wielu telefonów, ale były tylko dwa. Najpierw zadzwoniła Kristina Magnusson, wzburzona z powodu tak absurdalnego nagłośnienia sprawy, a po chwili Lennart Mattson.

- To fatalnie, że złożyłaś oświadczenie - obwieścił mentorskim tonem.

Wallander wpadł w gniew.

- A co ty byś zrobił, gdyby na progu twojego domu stanęli fotograf i dziennikarz? Ludzie, którzy znają tę historię w najmniejszym szczególe? Zatrzasnąłbyś im drzwi przed nosem czy zaczął kłamać?

- Myślałem, że sam się z nimi skontaktowałeś - wyjaśnił Mattson bez przekonania.

- Jesteś głupszy, niż sądziłem.

Wallander rzucił słuchawkę i wyrwał sznur z gniazdka telefonicznego. Potem zadzwonił do Lindy z komórki i oznajmił, że jeśli będzie chciała z nim rozmawiać, to musi korzystać z tego numeru.

- Jedź z nami - poprosiła.

- Dokąd mam z wami jechać?

Sprawiła wrażenie zdziwionej.

- Nie mówiłam ci? Wybieramy się do Sztokholmu. Ojciec Hansa kończy siedemdziesiąt pięć lat. Wybierz się z nami!

- Nie. Wolę zostać w domu. Nie mam nastroju do świętowania. Wystarczy mi ten samotny wieczór w knajpie.

- Jedziemy pojutrze. Jeszcze się zastanów.

Kiedy kładł się tego wieczoru do łóżka, był przekonany, że nigdzie nie pojedzie, ale rano w dniu planowanego wyjazdu zmienił zdanie.

Sąsiedzi mogli zaopiekować się Jussim. Może dobrze byłoby, gdyby na parę dni zniknął.

Nie pojechał jednak samochodem z rodziną Lindy, tylko poleciał do Sztokholmu samolotem. Zatrzymał się w hotelu naprzeciwko Dworca Centralnego. Przeglądając popołudniówki, zobaczył, że historia o broni służbowej znalazła się już na mniej eksponowanym miejscu. Sensacją dnia był niezwykle zuchwały napad na bank w Göteborgu. Złodzieje mieli na twarzach maski przedstawiające członków zespołu Abba. Przyznał niechętnie, że pomyślał o rabusiach z wdzięcznością.

Tej nocy spał w hotelowym łóżku wyjątkowo spokojnie.



Przyjęcie urodzinowe Håkana von Enkego odbywało się w wynajętym lokalu w Djursholmie, bogatym przedmieściu stolicy. Wallander nigdy wcześniej tam nie był. Linda zapewniała go, że wystarczy zwykły garnitur. Von Enke z jednej strony nie cierpiał smokingów i fraków, ale z drugiej, uwielbiał przeróżne mundury, które nosił w czasie swojej długiej kariery w marynarce wojennej. Gdyby Wallander chciał, to mógłby oczywiście założyć policyjny mundur, ale wziął ze sobą odświętny garnitur. Ze względu na jego obecną sytuację paradowanie w mundurze byłoby raczej nie na miejscu.

Gdy szybka kolejka z lotniska Arlanda wjeżdżała na Dworzec Centralny, Wallander zastanawiał się, dlaczego zgodził się na ten wyjazd do Sztokholmu. Może powinien był wybrać się gdzie indziej? W czasie ostatnich trzydziestu lat nieraz robił krótkie wypady do Skagen, gdzie z lubością walał się po plaży, odwiedzał muzeum sztuki i oddawał się nicnierobieniu w pokoju wynajętym w którymś z pensjonatów. Właśnie do Skagen pojechał wiele lat temu, gdy rozważał, czy nie odejść z policji. Ale teraz był tutaj, by wziąć udział w urodzinowym przyjęciu.

Kiedy dotarł do Djursholmu, Håkan von Enke od razu się nim zaopiekował. Wyglądało na to, że autentycznie ucieszył się na jego widok. Podczas bankietu Wallander siedział na honorowym miejscu. Po jednej stronie miał Lindę, a po drugiej wdowę po jakimś kontradmirał. Wdowa nazywała się Hok, miała mniej więcej osiemdziesiąt lat, nosiła aparat słuchowy i łapczywie piła serwowane wino.

Już przy przystawkach zaczęła opowiadać lekko nieprzyzwoite historie. Wydała mu się interesująca, zwłaszcza gdy okazało się, że jedno z jej sześciorga dzieci pracowało w Lund jako ekspert medycyny sądowej. Wallander zetknął się z nim kilka razy i odniósł bardzo pozytywne wrażenie.

Wygłaszane w czasie bankietu mowy były liczne, ale wzorcowo krótkie. Militarna dyscyplina, pomyślał Wallander. Bawiły go żartobliwe komentarze mistrza ceremonii, którym był komandor Tobiasson. Kiedy wdowa po kontradmirał na moment ucichła z powodu awarii aparatu słuchowego, zastanowił się, jak wyglądałyby jego własne siedemdziesiąte piąte urodziny. Kto przyszedłby na bankiet, gdyby taki zorganizował?

Linda zdradziła mu, że to sam jubilat zaproponował wynajęcie lokalu. O ile Wallander dobrze zrozumiał, nawet Louise była zaskoczona tym pomysłem. Do tej pory bowiem jej mąż traktował swoje urodziny z wyraźną pogardą. Aż nagle zmienił zdanie i zaaranżował wystawne przyjęcie.

Kawę podano w sąsiedniej salce z wygodnymi meblami do siedzenia.

Kiedy skończył się obiad, Wallander wyszedł na oszklony taras, żeby rozprostować nogi. Potężny ogród otaczał budynek, który kiedyś należał do jednego z pierwszych i najbogatszych przemysłowców w Szwecji.

Wzdrygnął się, gdy nagle u jego boku bezgłośnie stanął Håkan von Enke. W rękę trzymał - niezwykle w tych czasach - starą, krótką fajkę. Wallander rozpoznał markę tytoniu. Mieszanka hamiltona. Przez krótki okres we wczesnej młodości, kiedy sam palił fajkę, używał właśnie tego gatunku.

- Zima - odezwał się Håkan von Enke. - I według prognozy pogody, nadciąga śnieżyca.

Ucichł na moment, wpatrzony w ciemne niebo.

- Kiedy człowiek znajduje się na pokładzie okrętu podwodnego, odpowiednio głęboko, zanikają wszelkie zjawiska pogodowo-atmosferyczne. Dookoła panuje całkowita cisza, podwodny Ocean Spokojny. Na Bałtyku wystarczy dwadzieścia pięć metrów, o ile za bardzo nie wieje przy powierzchni. Na Morzu Północnym jest trochę trudniej. Pamiętam, jak raz płynęliśmy ze Szkocji w czasie sztormu. Na trzydziestu metrach głębokości mieliśmy

piętnastostopniowy przechył. To wcale nie było przyjemne.

Zapalił fajkę i przyglądał się Wallanderowi badawczym wzrokiem.

- Czy to nazbyt poetyckie rozważania jak dla policjanta?

- Nie. Ale łódź podwodna to dla mnie obcy świat. I może powinienem dodać: przerażający.

Komandor porucznik wciągnął chciwie dym z fajki.

- Bądźmy szczerzy - powiedział. - To przyjęcie nudzi nas obu. Wszyscy wiedzą, że to ja je zorganizowałem. Zrobiłem to na życzenie wielu moich przyjaciół. Ale teraz możemy się ukryć w którymś z tych niewielkich pokoików w sąsiedztwie. Prędzej czy później moja żona zacznie mnie szukać, ale dopóki nas nie znajdzie, będziemy mieli spokój.

- Ale to ty jesteś tu główną postacią - zauważył Wallander.

- To tak jak w dobrej sztuce teatralnej - odpowiedział von Enke. - Jeśli chcemy wzmóc napięcie, nie powinniśmy pozwolić, by główny bohater ciągle przebywał na scenie. Część ważnych dla intrygi zdarzeń może równie dobrze rozgrywać się za kulisami.

Umilkł. Raptownie, stanowczo zbyt raptownie, pomyślał Wallander. Håkan von Enke utkwiał wzrok w jakimś punkcie za plecami rozmówcy. Wallander obejrzał się. Za ogrodem biegła jedna z lokalnych dróg, która trochę dalej łączyła się z główną szosą prowadzącą do Sztokholmu. Za ogrodzeniem, pod samą latarnią, zamajaczyła sylwetka mężczyzny. Stał obok samochodu z włączonym silnikiem. Spaliny wznosiły się i rzedły w żółtym świetle.

Wallander zauważył, że von Enke jest zaniepokojony.

- Chodźmy do któregoś z tych niewielkich pokoi - powiedział von Enke. - Weźmiemy tylko kawę.

Opuszczając taras, Wallander obejrzał się ponownie. Samochód zniknął, podobnie jak mężczyzna spod latarni. Może to był ktoś, kogo Håkan zapomniał zaprosić na przyjęcie, pomyślał. W każdym razie na pewno nikt związany ze mną. Żaden dziennikarz, który chce porozmawiać o zapomnianej broni.

Poszli po kawę, a później Håkan von Enke zaprowadził Wallandera do niewielkiej salki z miękkimi skórzanymi fotelami. Ściany były wyłożone brązową boazerią. Wallander odnotował brak okien. Håkan von Enke podążył za jego wzrokiem.

- Zaraz ci wyjaśnię, dlaczego ten pokój wygląda jak bunkier. W latach trzydziestych ubiegłego wieku przez jakiś czas ów dom należał do mężczyzny, który posiadał w Sztokholmie sporą liczbę klubów nocnych, większość z nich była nielegalna. Co noc uzbrojeni kurierzy objeżdżali lokale, zbierali utarg i wracali. Wtedy stała tutaj potężna kasa pancerna. Właśnie w tym pokoju siedzieli też księgowi, którzy prowadzili księgi rachunkowe, liczyli banknoty i wkładali je do sejfu. Kiedy właściciel wpadł za swoje machlojki, kasę rozpruto.

O ile mnie pamięć nie myli, mężczyzna nazywał się Göransson. Dostał surową karę, której nie przeżył. Powiesił się w swojej celi na Longholmen.

Von Enke zamilkł, upił łyk kawy i pociągnął zgaszoną fajkę. I właśnie wtedy, w tamtym pokoju, którego brązowe ściany nie przepuszczały niczego poza przytłumionym gwarem dochodzącym z przyjęcia, Wallander zrozumiał, że Håkan von Enke czegoś się boi. Wielokrotnie widział w swoim życiu niespokojnych ludzi, którzy obawiali się czegoś urojonego albo rzeczywistego. Był pewien, że się nie myli.

Rozmowa zaczęła się nieśmiało, von Enke powrócił do minionych lat, kiedy ciągle jeszcze był aktywny zawodowo jako oficer marynarki.

- Jesień 1980 roku - powiedział. - To już bardzo dawno temu, całe pokolenie, dwadzieścia osiem lat. Co wtedy robiłeś?

- Pracowałem jako policjant w Ystad. Linda była małą dziewczynką. Chciałem mieszkać bliżej starzejącego się ojca. Chciałem też, żeby Linda wzrastała w lepszym środowisku. W każdym razie to był jeden z powodów, dla

którego wyprowadziliśmy się z Malmö. A co później z tego wynikło, to już inna sprawa.

Von Enke sprawiał wrażenie, że nie słucha. Kontynuował swoją opowieść.

- Tamtej jesieni pracowałem w bałtyckiej bazie marynarki wojennej. Dwa lata wcześniej ustąpiłem z funkcji dowodzącego na jednym z naszych najlepszych okrętów podwodnych typu Sjoormen. Ludzie związani z marynarką nazywali je Ormen. W bazie zajmowałem tylko tymczasowe stanowisko. Chciałem jak najszybciej wrócić na morze, ale według planu miałem wejść w skład Dowództwa Operacyjnego Szwedzkiej Marynarki Wojennej.

We wrześniu siły morskie Układu Warszawskiego odbywały ćwiczenia przy wybrzeżu Ord i w Zatoce Pomorskiej. Operacja przebiegała pod nazwą Milobalt, pamiętam to do dziś. Nie było w tym nic dziwnego, oni zazwyczaj mieli swoje jesienne ćwiczenia mniej więcej w tym samym czasie co my. Tym razem brało w nich udział wyjątkowo dużo jednostek, ponieważ ćwiczyli zarówno desant, jak i podnoszenie okrętów podwodnych. Udało nam się to ustalić bez większego trudu.

Z FRA<sup>3</sup> dostaliśmy informację o wzmożonej korespondencji radiotelegraficznej między radzieckimi statkami marynarki wojennej a ich bazą pod Leningradem, ale wszystko było jak zwykle. Mieliśmy kontrolę nad ich działaniami i w naszych dziennikach pokładowych notowaliśmy rzeczy godne uwagi. A później nadszedł ten czwartek. To było 18 września, tę datę zapomnę chyba jako ostatnią.

Dyżurny oficer dowodzący na Olms „Ajax”, jednym z holowników floty przybrzeżnej, zadzwonił z informacją, że wykryli obcy okręt podwodny na szwedzkich wodach terytorialnych. Znajdowałem się w bazie, w jednej z

---

3 Försvarets Radioanstalt - Instytut Obrony Narodowej ds. Radiołączności, cywilna jednostka rządowa podlegająca Ministerstwu Obrony, odpowiedzialna za wywiad łączności.

czytelni map, szukałem bardziej szczegółowej mapy przeglądowej wybrzeża NRD, gdy nagle do środka wpadł podniecony poborowy. Nie udało mu się wyjaśnić, co się stało, wróciłem więc do centrali dowodzenia i porozmawiałem osobiście z oficerem dyżurnym na „Ajaksie”.

Powiedział, że w odległości trzystu metrów zaobserwował przez lornetkę anteny okrętu podwodnego. Po piętnastu sekundach okręt zanurzył się. Dyżurny, bystry chłop, powiedział, że obca jednostka najprawdopodobniej płynie na głębokości peryskopowej i odkrywszy holownik, zaczęła schodzić pod wodę. W czasie tego incydentu „Ajax” znajdował się na południe od wysepek Huvudskar, a okręt podwodny przyjął kurs na południowy zachód, co oznaczało, że poruszał się równoległe do granicy szwedzkich wód terytorialnych, ale zdecydowanie po naszej stronie.

Natychmiast sprawdziłem, czy w pobliżu nie przebywają jakieś szwedzkie okręty podwodne. Nie zajęło mi to dużo czasu. Nie przebywały. Zażądałem ponownie radiowej łączności z „Ajaksem” i zapytałem oficera dyżurnego, czy mógłby opisać zaobserwowany maszt albo peryskop. Z jego wyjaśnień wynikało niezbitcie, że chodzi o typ okrętów podwodnych, które w NATO nazywano Whiskey. W tamtym okresie używali ich wyłącznie Rosjanie i Polacy. Kiedy to zrozumiałem, serce zaczęło mi mocniej bić. Jednocześnie zadawałem sobie dwa pytania.

Von Enke zamilkł, jak gdyby wychodząc z założenia, że Wallander doskonale orientuje się, o jakie pytania chodzi. Zza drzwi dobiegły ich ożywione śmiechy, które po chwili ucichły.

- Chodziło pewnie o to, czy ten okręt podwodny znalazł się na szwedzkim terytorium przez przypadek - wtrącił Wallander. - Taką wersję podano, kiedy inna rosyjska łódź podwodna weszła na mieliznę pod Karlskroną.

- Na to pytanie zdążyłem już sobie odpowiedzieć. Żaden okręt marynarki wojennej nie jest tak dokładny w

nawigowaniu jak okręt podwodny. To się rozumie samo przez się. Jednostka, na którą natknął się „Ajax”, była tam w jakimś celu. Pytanie: w jakim? Żeby móc zwietrzyć okręt na głębokości peryskopowej, nie ryzykując wykrycia? W takim razie załoga nie była wystarczająco czujna. Ale było też oczywiście inne wyjaśnienie.

- Że okręt chciał zostać wykryty?

Von Enke skinął głową i jeszcze raz próbował zapalić swoją oporną fajkę.

- W tym drugim wypadku - mówił dalej - holownik był idealny. Na takim obiekcie nie ma nawet procy, której można by użyć jako broni. Załoga nie jest też odpowiednio wyszkolona i przygotowana do konfrontacji. Ponieważ dowodziłem, skontaktowałem się z dowódcą naczelnym. Zgodził się ze mną co do tego, żeby natychmiast wprowadzić do akcji helikopter do zwalczania okrętów podwodnych. Śmigłowiec za pomocą sonaru zidentyfikował ruchomy obiekt, który sklasyfikowaliśmy jako okręt podwodny. Pierwszy raz w życiu wydałem rozkaz o otwarciu ognia nie w celu ćwiczenia. Helikopter zrzucił ostrzegawczą bombę głębinową. A później tajemniczy okręt zniknął, straciliśmy z nim kontakt.

- Jak mógł tak po prostu zniknąć?

- Okręt podwodny ma wiele możliwości, żeby stać się niewidzialny. Może ukryć się w jakimś rowie morskim albo przy skałach; wtedy odbite od nich sygnały sonarowe dezorientują prowadzącego pościg. Mimo że wysłaliśmy na miejsce kilka helikopterów, już nigdy nie odnaleźliśmy tej tajemniczej jednostki.

- Ale czy na pewno nie została trafiona?

- Pierwsza bomba głębinowa według międzynarodowych przepisów ma być pociskiem ostrzegawczym. Dopiero na późniejszym etapie wolno zmusić okręt podwodny do wynurzenia się na powierzchnię w celu identyfikacji.

- A co było potem?

- W zasadzie nic. Wszczęto dochodzenie. Stwierdzono, że działałem prawidłowo. Może to była tylko uwertura do

wydarzeń dwa lata później, kiedy na szwedzkich wodach terytorialnych, szczególnie w Archipelagu Sztokholmskim, zaczęło roić się od okrętów podwodnych. Potwierdził się fakt nieustannego zainteresowania Rosjan naszymi wodami. A to wszystko działo się przecież w czasach, gdy jeszcze nikt nie sądził, że kiedyś runie mur berliński albo że Związek Radziecki przestanie istnieć. Łatwo o tym zapomnieć. Zimna wojna wtedy ciągle jeszcze trwała. Po tym incydencie w okolicach Uto marynarka dostała potężny zastrzyk finansowy. Ale na tym też się skończyło.

Von Enke umilkł ponownie i opróżnił filiżankę. Wallander miał właśnie wstać, gdy Håkan znów zaczął mówić.

- To jeszcze nie wszystko. Dwa lata później znów coś się stało. Zdążyłem awansować, należałem do ścisłego kierownictwa szwedzkiej marynarki wojennej. Mieliśmy siedzibę w Berdze. Znajdujący się tam sztab operacyjny pełnił służbę dwadzieścia cztery godziny na dobę. 1 października przeżyliśmy alarm, o którym nie śniliśmy nawet w najdziwniejszych fantazjach. Istniały pewne przesłanki świadczące o tym, że w zatoce Harsfarden, niedaleko naszej bazy na Muskö, znajduje się jeden albo więcej okrętów podwodnych. Nie chodziło więc już tylko o naruszenie szwedzkich wód terytorialnych; obce okręty pojawiły się na chronionym obszarze wojskowym. Pewnie to wszystko pamiętasz?

- Gazety były pełne doniesień, reporterzy telewizyjni wspinali się po śliskich skałach.

- Nie wiem, z czym to można porównać. Może z wylądowaniem zagranicznego śmigłowca na dziedzińcu zamku królewskiego. Tak to odczuwaliśmy, mając obce okręty podwodne w bezpośredniej bliskości naszych najbardziej tajnych obiektów militarnych.

- A ja właśnie wtedy dostałem potwierdzenie, że mogę zacząć pracować w Ystad.

Drzwi otworzyły się nagle, von Enke się wzdrygnął. Wallander zdążył zauważyć ruch jego prawej ręki w



kierunku wewnętrznej kieszeni marynarki. Po chwili ręka znów opadła na kolano. W progu stanęła podpita kobieta szukająca toalety. Gdy zniknęła, znów zostali sami.

- To było w październiku - podjął na nowo von Enke, kiedy kobieta zamknęła za sobą drzwi. - Czasami mieliśmy wrażenie, że nieznane okręty podwodne przypuściły atak na całe szwedzkie wybrzeże. Całe szczęście, że to nie ja byłem odpowiedzialny za kontakty z dziennikarzami, którzy zebrali się w Berdze. Przystosowaliśmy kilka sal koszarowych na pomieszczenia dla prasy. Cały czas byłem intensywnie zajęty pościgiem. Gdyby nie udało się nam zmusić do wypłynięcia na powierzchnię choć jednego okrętu, stracilibyśmy wiarygodność.

W końcu nadszedł ten wieczór: w zatoce Harsfarden zidentyfikowaliśmy okręt podwodny. Nie ulegało żadnej wątpliwości, wszyscy w dowództwie byliśmy o tym przekonani. Na mnie spoczywała odpowiedzialność za wydanie rozkazu o otwarciu ognia. Podczas tych kilku gorączkowych godzin kilkakrotnie rozmawiałem z dowódcą naczelnym i z nowym ministrem obrony narodowej. Nazywał się Andersson, o ile pamiętasz. Pochodził z Borlange.

- Mam jakieś mgliste wspomnienie, że nazywano go Czerwony Borje.

- Prawidłowa odpowiedź. Jednak nie podołał swoim obowiązkom. Myślę, że te okręty podwodne były dla niego zbyt trudnym zadaniem. Wrócił w strony rodzinne do Dalarny, a jego miejsce zajął Anders Tunborg. Jeden z najbardziej zaufanych chłopców Palmego. Wielu z moich kolegów nie miało do niego zaufania, ale moje kontakty z nim były poprawne. Nie wtrącał się, zadawał pytania. Odpowiedzi go zadowalały. Lecz pewnego razu, kiedy zadzwonił do mnie, nie mogłem się pozbyć wrażenia, że w tym samym pokoju znajduje się Palme, tuż przy nim. Nie wiem, czy rzeczywiście tak było. Ale to uczucie było niesamowicie silne.

- Co się stało?

Von Enke zrobił grymas, jakby niezadowolony, że Wallander mu przerywa. Ale już po chwili zaczął mówić dalej, jak gdyby nigdy nic.

- Zapędziliśmy jeden okręt w ślepią uliczkę, gdzie miał możliwości manewru ograniczone do tych, na które my chcieliśmy mu pozwolić. W rozmowie z dowódcą naczelnym oznajmiłem, że wkrótce za pomocą bomb głębinowych zmusimy obcy obiekt do wynurzenia się na powierzchnię. Potrzebna nam była jeszcze godzina na przygotowania. W wyniku operacji mieliśmy pokazać światu okręt podwodny, który bezprawnie porusza się po szwedzkich wodach.

Minęło trzydzieści minut. Wskazówki zegara na ścianie posuwały się nieznośnie wolno. Cały czas utrzymywałem kontakt z helikopterami i okrętami nawodnymi, które okrążyły intruza. Minęło czterdzieści pięć minut, wkrótce mieliśmy zacząć. I wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Von Enke znów przerwał i bez słowa wyszedł z pokoju. Wallander pomyślał, że może zrobiło mu się niedobrze. Po kilku minutach komandor porucznik wrócił z dwoma kieliszkami koniaku w ręce.

- W taki zimowy chłodny wieczór - powiedział - przyda się coś na rozgrzewkę. Wygląda na to, że nikt za nami nie tęskni. Możemy więc dalej rozmawiać w tym starym, zabytkowym pokoju bez kasy pancерnej.

Wallander czekał na ciąg dalszy. Nawet jeżeli opowieści o okrętach podwodnych nie wydawały mu się wcale fascynujące, zdecydowanie wolał towarzystwo von Enkego niż rozmowy z nieznanymi ludźmi.

- I wtedy wydarzyło się coś nieoczekiwanego - powtórzył jubilat. - Na cztery minuty przed rozpoczęciem akcji zadzwonił telefon ze Sztabu Obrony Narodowej. O ile wiem, był to jeden z niewielu telefonów, które z całą pewnością miały zabezpieczenie przed podsłuchem, a poza tym posiadał automatyczny deformator głosu. Dostałem wiadomość, której absolutnie się nie spodziewałem.

Domyślasz się jaką?

Ogrzewając w dłoniach kieliszek z koniakiem, Wallander pokręcił głową.

- Nakazano nam przerwanie akcji. Oniemiałem z wrażenia, po chwili poprosiłem o wyjaśnienie. Ale przynajmniej na początku takowego nie dostałem. Tylko ten bezpośredni rozkaz, żeby odwołać zrzucając bomb głębinowych. Nie mogłem oczywiście zrobić niczego innego, tylko się podporządkować. Kiedy helikoptery otrzymały tę wiadomość, zostały zaledwie dwie minuty do rozpoczęcia akcji. Nikt z nas znajdujących się w Berdze nie rozumiał, co się dzieje. Dokładnie dziesięć minut później przyszedł kolejny rozkaz. Jeszcze bardziej nieoczekiwany, jeżeli to w ogóle możliwe. Mieliśmy się wycofać.

Wallander słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

- Mieliście pozwolić mu uciec?

- Oczywiście, nikt tego nie powiedział. Przynajmniej nie wprost. Dostaliśmy rozkaz skoncentrowania się na innym obszarze przy krawędzi zatoki. Podobno tam śmigłowiec nawiązał kontakt z innym okrętem podwodnym. Dlaczego akurat ten okręt był ważniejszy od tego, który okrążyliśmy i właśnie mieliśmy zmusić do wypłynięcia na powierzchnię? Moi współpracownicy i ja nic nie rozumieliśmy.

Zażądałem bezpośredniej rozmowy z naczelnym dowódcą, ale był zajęty i nieuchwytny. Co w gruncie rzeczy wydawało się bardzo osobliwe, ponieważ to on sam wcześniej zatwierdził operację z użyciem broni. Próbowałem nawet skontaktować się z ministrem obrony narodowej albo jego sekretarzem stanu.

Nagle jednak wszyscy jakby zniknęli, wyłączyli telefony albo zostali zmuszeni do milczenia. Naczelnym dowódcą i ministrem zmuszeni do milczenia? Przez kogo? Rzecz jasna mógł tak zdecydować tylko rząd albo premier.

W ciągu tych godzin rozboleł mnie mocno brzuch. Nie rozumiałem otrzymywanych rozkazów. Przerwanie operacji przeczyło mojemu doświadczeniu i instynktowi. Naprawdę niewiele brakowało, bym odmówił wykonania

rozkazu. A to równałoby się zakończeniu mojej wojskowej kariery. Gdzieś jednak zachowałem odrobinę rozsądku. Przesunęliśmy więc nasze helikoptery i dwa okręty nadwodne we wskazany rejon. Zażądałem, żeby choć jeden śmigłowiec mógł zawisnąć nad miejscem, w którym z całą pewnością znajdował się okręt podwodny. Ale nie dostałem pozwolenia. Mieliśmy opuścić to miejsce, i to bezzwłocznie. Co też uczyniliśmy, z oczekiwanym rezultatem.

- Mianowicie?

- Oczywiście nie nawiązaliśmy kontaktu z żadnym okrętem podwodnym w nowym rejonie. Pracowaliśmy cały wieczór i całą noc. Czasami ciągle jeszcze się zastanawiam, ile tysięcy litrów paliwa wtedy zużyto.

- A co się stało z tym okrążonym przez was okrętem?

- Zniknął. Bez śladu.

Wallander myślał o tym, co usłyszał. Kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, odbywał służbę wojskową w pułku przeciwpancernym w Skovde. Nie wspominał jej z przyjemnością. W czasie rekrutacji starał się o przyjęcie do marynarki, ale skierowano go do prowincji Vastergötland. Nigdy nie miał problemów z zaakceptowaniem dyscypliny, trudno mu było jednak zrozumieć wiele rozkazów wydawanych w trakcie manewrów. Często odnosił wrażenie, że wszystkim kierował przypadek, chociaż podczas ćwiczeń miał przecież sobie wyobrazić, że uczestniczy w śmiertelnej konfrontacji z wrogiem.

Von Enke opróżnił swój kieliszek.

- Zacząłem zadawać pytania na temat tych wydarzeń. Nie powinienem był tego robić. Dość szybko zauważyłem, że to nie jest szczególnie mile widziane. Ludzie zaczęli się ode mnie odsuwać. Nawet ci koledzy, których uważałem za swoich najlepszych przyjaciół, dali mi do zrozumienia, że nie podoba im się moja dociekliwość. A ja chciałem się tylko dowiedzieć, dlaczego nagle wydano rozkazy tak diametralnie różne od pierwotnych.

Twierdzą, że byliśmy wtedy bliżej zdemaskowania

intruza niż kiedykolwiek wcześniej i kiedykolwiek później. Dwie minuty, nie dłużej. Początkowo nie byłem osamotniony w swoim wzburzeniu. Komandor porucznik Arosenius i pewien analityk ze Sztabu Obrony Narodowej wchodzili w skład sztabu pracującego tamtego dnia. Ale już po paru tygodniach obydwaj zaczęli się ode mnie odsuwać. Nie chcieli brać udziału w dociekaniu i zadawaniu pytań. W końcu i ja dałem spokój.

Von Enke odstawił kieliszek na stoliku i pochylił się ku Wallanderowi.

- Oczywiście nie zapomniałem o tym. W dalszym ciągu próbuję zrozumieć, co się wtedy stało, nie tylko tego dnia, w którym dobrowolnie wypuściliśmy z rąk obcy okręt podwodny. Analizuję wszystkie wydarzenia z tamtych lat. I myślę, że zacznam się zbliżać do jakiegoś rozwiązania.

- Rozwiązania zagadki okrętu, którego nie pozwolono wam zmusić do wyjścia na powierzchnię?

Skinął powoli głową, jeszcze raz zapalił fajkę, ale już nic nie powiedział. Wallander był ciekaw, czy historia, której właśnie wysłuchał, pozostanie nierozwiązana.

- I jakie jest wyjaśnienie?

Von Enke wykonał odmowny ruch dłonią.

- Jeszcze za wcześnie, żebym coś mógł powiedzieć. Ciągle nie dotarłem do sedna. Na razie nie mam nic więcej do dodania. Może lepiej, żebyśmy wrócili do gości.

Wstali i wyszli z pokoju. W drodze na taras Wallander natknął się na kobietę, która wcześniej na moment im przerwała. Dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę z gestu, który von Enke wykonał wtedy prawą ręką: sięgnął nią świadomy celu, później się zawahał, by w końcu opuścić ją na kolano.

Nawet jeżeli wydawało się to absurdalne, Wallander miał tylko jedno wyjaśnienie: von Enke był uzbrojony. Czy to naprawdę możliwe, myślał, spoglądając na nagi ogród za szybami. Emerytowany komandor uzbrojony podczas przyjęcia z okazji swoich siedemdziesiątych piątych urodzin?

Nie mógł w to uwierzyć, odepchnął więc tę myśl. Musiało mu się przywidzieć. Jedno zmaćcone wrażenie przeszło w drugie. Najpierw strach, później broń. Może jego intuicja traci ostrość, tak samo jak pogarsza się jego pamięć?

Nagle wyrosła przed nim Linda.

- Myślałam, że już poszedłeś.

- Jeszcze nie, ale zaraz będę się zbierał.

- Jestem pewna, że i Håkan, i Louise ucieszyli się, że przyleciałeś.

- Håkan opowiadał mi o okrętach podwodnych.

Linda uniosła brwi.

- Naprawdę? To dziwne.

- Dlaczego?

- Wiele razy próbowałam go namówić, żeby trochę powspominał, ale zawsze się wykręca, mówi, że nie ma ochoty. Mam wrażenie, że moje prośby wręcz go irytują.

Powiedziawszy to, odeszła, ponieważ zawołał ją Hans. Wallander stał w miejscu, zastanawiając się nad jej słowami. Dlaczego Håkan von Enke zwierzył się właśnie jemu?

Już później, po powrocie do Skanii i przemyśleniu opowieści von Enkego, Wallander zaczął zastanawiać się nad jeszcze jedną sprawą. Oczywiście w historii emerytowanego oficera było sporo niejasności i niedopowiedzeń. Ale on nie mógł dojść do ładu z samym założeniem, z „rozplanowaniem”, jak to nazywał. Czy Håkan von Enke ułożył taki plan już wtedy, kiedy dowiedział się, że Wallander weźmie udział w przyjęciu? Czy może był to nagły impuls, zrodzony w chwili, gdy komandor porucznik zauważył pod żółtą latarnią nieznanego mężczyznę?

Kim był ten mężczyzna? Na to pytanie Wallander nie potrafił udzielić odpowiedzi.

## 5

Trzy miesiące później, dokładnie 11 kwietnia, zdarzyło

się coś, co sprawiło, że Wallander jeszcze raz powrócił pamięcią do tego styczniowego wieczoru, kiedy siedząc w zamkniętym, dusznym pokoju, słuchał opowieści jubilata o wydarzeniach na morzu sprzed prawie trzydziestu lat.

To stało się nagle i zupełnie nieoczekiwanie dla wszystkich. Håkan von Enke zniknął bez śladu ze swojego mieszkania na Östermalmie. Każdego ranka, niezależnie od pogody, odbywał długi spacer. Akurat tego dnia w Sztokholmie mżyło. Von Enke jak zwykle wstał wcześniej rano i tuż po szóstej usiadł do śniadania. O godzinie siódmej zapukał do sypialni żony, żeby ją obudzić i powiedzieć, że wychodzi na spacer.

Przechadzka trwała zazwyczaj dwie godziny. Czasami, w szczególnie mroźne dni, skracał ją o połowę, ponieważ był kiedyś nałogowym palaczem i jego płuca nigdy się całkiem nie zregenerowały. Zawsze miał tę samą trasę. Z mieszkania na Grevgatan szedł w kierunku Valhallavagen, by później w lesku Lilljansskogen spacerować krętymi ścieżkami, które wyprowadzały go ponownie na Valhallavagen, skąd szedł dalej na południe, wzdłuż Sturegatan, gdzie skręcał w lewo w Karlavagen, którą w końcu wracał do domu. Maszerował szybko, podpierając się jedną z lasek po ojcu. Przychodził do mieszkania spocony i od razu brał kąpiel.

Ten poranek różnił się od innych tylko pod jednym względem: Håkan von Enke nie wrócił do domu. Louise wiedziała dokładnie, którymi drogami chadzał, dawniej mu towarzyszyła, ale zrezygnowała, gdy przestała za nim nadążać. Kiedy nie wrócił do domu o zwykłej porze, zaniepokoiła się. Wprawdzie miał świetną kondycję, ale mimo wszystko był starszym człowiekiem i coś mogło mu się stać. Nagły udar mózgu, pęknięte naczynie krwionośne.

Kiedyś umówili się, że zawsze będą mieli przy sobie telefony komórkowe. Gdy tego ranka odkryła, że mąż nie dotrzymał obietnicy - komórka leżała na jego biurku - natychmiast ruszyła go szukać. Wróciła do domu o jedenastej.

Przeszła śladem męża całą trasę, obawiając się cały czas, że znajdzie go nieżywego gdzieś na drodze, ale nigdzie go nie było, zniknął. Zadzwoiła do dwóch, może trzech jego przyjaciół, których ewentualnie mógł odwiedzić. Potwierdzili tylko jej obawy, że nikt go nie widział.

Teraz nie miała już wątpliwości, że coś się musiało stać. Mniej więcej o dwunastej zatelefonowała do syna w Kopenhadze. Ponieważ bardzo się denerwowała i od razu chciała zgłosić zaginięcie na policji, Hans starał się ją uspokoić. Postanowili poczekać jeszcze kilka godzin, mimo że Louise była przeciwna temu pomysłowi.

Zaraz po rozmowie z matką Hans zadzwonił do Lindy i to za jej pośrednictwem Wallander dowiedział się o wszystkim. Akurat usiłował nauczyć Jussiego, żeby stał spokojnie podczas wycierania łap. Dostał odpowiednie instrukcje od mieszkającego w Skurup tresera psów. Gdy zadzwonił telefon, właśnie zaczynał tracić wiarę w zdolność Jussiego do opanowania nowych nawyków. Linda opowiedziała o zaniepokojonej teściowej i zapytała o radę.

- Jesteś policjantką - odpowiedział Wallander. - Znasz procedury. Najpierw się czeka. Większość wraca.

- Ale Håkan nie zmieniał swoich nawyków od lat. Rozumiem niepokój Louise. Ona naprawdę nie jest histeryczką.

- Poczekaj do wieczora. Z pewnością wróci.

Wallander był przekonany, że Håkan von Enke wkrótce pojawi się w drzwiach swojego domu i będzie miał sensowne usprawiedliwienie swojej nieobecności. Bardziej dręczyła go ciekawość niż niepokój, zastanawiał się, co będzie tym usprawiedliwieniem. Ale Håkan von Enke nie wrócił ani tego, ani następnego dnia.

Późnym wieczorem 11 kwietnia Louise zgłosiła zaginięcie męża na policji. Jeszcze tej samej nocy, siedząc w policyjnym samochodzie, objechała wszystkie kręte dróżki w lasku Lilljansskogen, ale bez efektu. Następnego dnia przyjechał z Kopenhagi jej syn. Dopiero wtedy Wallander zrozumiał, że mimo wszystko coś mogło się stać.



Ciągle jeszcze nie wrócił do pracy. Dochodzenie wewnętrzne przeciągało się. Poza tym na początku lutego upadł na oblodzonej drodze przed domem i złamał sobie lewą rękę w przegubie. Nie tylko się poślizgnął, ale na dodatek zaczepił nogą o smycz Jussiego, ponieważ pies wciąż miał zwyczaj ciągnąć i szarpać, a oprócz tego zawsze szedł po złej stronie. Przegub dłoni został zagipsowany, a Wallander odesłany na zwolnienie chorobowe.

Nastąpił okres stałego zniecierpliwienia i gwałtownych wybuchów złości, które dotyczyły nie tylko jego samego i psa, ale również Lindę. Dlatego córka starała się nie odwiedzać go częściej niż to konieczne. Uważała, że coraz bardziej upodabnia się do dziadka, że staje się coraz bardziej ponury, porywczy, niecierpliwy. Niechętnie przyznał jej rację. Nie chciał być jak swój ojciec. Wszystkim innym, byle nie tym zgorzkniałym starcem, który powtarzał się bez końca, zarówno w swych obrazach komponowanych na sztalugach, jak i w poglądach na coraz bardziej niepojęty dla niego świat.

To był czas, kiedy Wallander czuł się w domu jak w klatce; zniewolony niedźwiedź, który nie potrafił dłużej odsuwać od siebie myśli, że ma prawie sześćdziesiąt lat i tym samym nieubłaganie wkracza w jesień życia. Mógł jeszcze żyć dziesięć albo nawet dwadzieścia lat, ale nie będzie mu dane doświadczyć czegoś innego niż pogłębiającej się starości.

Młodość była odległym wspomnieniem, wiek średni właśnie minął. Wallander stał za kulisami, żeby wyjść na scenę i zacząć trzeci i ostatni akt, w którym wszystko miało się wyjaśnić, w którym bohaterowie mieli zostać nagrodzeni, a niegodziwcy - umrzeć. Robił, co mógł, by nie musieć odgrywać tej tragicznej roli. Najchętniej opuściłby scenę ze śmiechem.

Najbardziej ze wszystkiego obawiał się niepamięci. Zanim wyruszał do Ystad albo Simrishamn, robił listę zakupów, ale później w sklepie odkrywał, że zapomniał ją

wziąć z domu. A może w ogóle nie zrobił żadnej listy? Nie pamiętał. Pewnego dnia, szczególnie zaniepokojony swoją coraz słabszą pamięcią, zamówił wizytę u lekarki, która w ogłoszeniu reklamowała się jako specjalistka od „dolegliwości starzenia się”. Ciągle miał rękę w gipsie, a oprócz tego nabawił się silnego przeziębienia.

Margareta Bengtsson przyjęła go w starej kamienicy w centrum Malmö. Ledwo ją zobaczył, od razu ocenił, że lekarka jest stanowczo za młoda, żeby mieć jakiegokolwiek pojęcie o niedoli starzejących się ludzi. Mimo nieodpartej ochoty, by zawrócić w drzwiach, wszedł grzecznie do środka, usiadł w czarnym skórzanym fotelu i opowiedział jej o swojej niedomagającej pamięci.

- Czy to Alzheimer? - zapytał pod koniec wizyty.

- Nie - odpowiedziała. - Nie sądzę. Ale oczywiście nikt nie wie, co pana czeka za najbliższym rogiem.

Za najbliższym rogiem, myślał Wallander, wracając w przejmującym wietrze do samochodu zaparkowanego właśnie u zbiegu ulic. Za rogiem czekał na niego mandat za parkowanie w niedozwolonym miejscu, wetknięty za wycieraczkę. Wallander wrzucił papier do samochodu, nie spojrzawszy nawet na wysokość grzywny, i włączył silnik.

Przed jego domem stał jakiś nieznajomy samochód. Dopiero gdy Wallander wysiadł ze swojego, zobaczył Martinssona, który przez sztachety ogrodzenia głąskał Jussiego po głowie.

- Właśnie miałem odjeżdżać - powiedział Martinsson. - Powiesiłem ci kartkę na drzwiach.

- Wysłali cię jako kuriera?

- Przyszedłem wyłącznie z własnej woli, żeby się dowiedzieć, jak sobie radzisz.

Weszli do domu. Martinsson czytał tytuły na grzbietach książek, które z biegiem lat złożyły się na całkiem pokaźną bibliotekę. Usiedli przy stole w kuchni i pili kawę. Wallander nie wspominał nic o swojej podróży do Malmö i wizycie u lekarza. Martinsson kiwnął głową, wskazując na unieruchomioną rękę.

- Zdejmą mi gips w przyszłym tygodniu - powiedział Wallander. - A jakie krążą plotki?

- O ręce?

- O mnie. O broni w knajpie.

- Lennart Mattson to wyjątkowo małomówny człowiek. Nie mam pojęcia, jak się sprawy mają. Ale musisz wiedzieć, że my cię wspieramy.

- Bzdura. Ty pewnie mnie wspierasz, ale ten przeciek musiał się przecież skądś wziąć. W komendzie jest sporo ludzi, którzy za mną nie przepadają.

Martinsson wzruszył ramionami.

- Tak to już jest i nic na to nie poradzimy. A kto przepada za mną?

Rozmawiali o wszystkim i o niczym. Wallander pomyślał, że Martinsson jest teraz jedyną osobą z tamtych czasów, kiedy on przeprowadził się do Ystad i zaczął tu pracować.

Jego gość wyglądał na przygnębionego, gdy tak siedział przy stole. Wallander zapytał, czy nie jest chory.

- Nie, nie jestem chory - odpowiedział Martinsson. - Ale nastawiony na to, że to już koniec. Koniec mojej kariery policyjnej.

- Też zapomniałeś pistoletu w knajpie?

- Nie daję rady.

Ku wielkiemu zdumieniu Wallandera Martinsson nagle zaczął płakać. Siedział z kubkiem w dłoniach jak bezradne dziecko, a łzy spływały mu po policzkach. Wallander nie miał pojęcia, co robić. Wprawdzie wcześniej nieraz widział przybitego kolegę, ale nigdy nie był świadkiem takiego załamania. Postanowił przeczekać. Gdy zadzwonił telefon, po prostu wyciągnął wtyczkę z gniazdka.

Martinsson wziął się w garść i wytarł twarz.

- Ależ się zachowuję! - powiedział. - Przepraszam.

- Za co ty przepraszasz? Ten, kto potrafi płakać przed drugim człowiekiem, wykazuje, według mnie, ogromną odwagę. Odwagę, której mnie niestety brak.

Martinsson opowiedział o swojej samotnej szamotaninie. Coraz bardziej wątpił we własne dokonania. Nie to, że był

niezadowolony z pracy. Chodziło mu bardziej o ich rolę w dzisiejszej Szwecji, o tę wciąż rosnącą przepaść między nadziejami obywateli a działaniami policji. Doszedł do takiego etapu, że każda noc była tylko bezsennym oczekiwaniem na dzień, o którym nie wiedział niczego ponad to, że będzie męczarnią.

- Odchodzę przed początkiem lata - powiedział. - Skontaktowałem się z jedną firmą w Malmö. Zatrudniają konsultantów do spraw bezpieczeństwa w niewielkich firmach i prywatnych nieruchomościach. Mogę tam zacząć od zaraz. W dodatku za znacznie większe pieniądze.

Wallander przypomniał sobie moment, wiele lat temu, kiedy Martinsson po raz pierwszy postanowił odejść. Wtedy udało mu się nakłonić go do pozostania. To było co najmniej piętnaście lat temu. Gdyby chciał spróbować go przekonać tym razem, byłoby to skazane na niepowodzenie. A poza tym jego własna sytuacja życiowa nie nastrojała do pozytywnego myślenia również o swojej przyszłości w policji. Nawet jeżeli nigdy w życiu nie zostałby konsultantem do spraw bezpieczeństwa.

- Chyba cię rozumiem - powiedział. - I uważam, że dobrze robisz. Zmień pracę, dopóki jesteś na tyle młody, że jeszcze możesz.

- Za parę lat stuknie mi pięćdziesiątka. Czy wtedy ciągle będę młody?

- Ja mam sześćdziesiąt - odpowiedział Wallander. - Definitywnie zostawiłem za sobą bramkę, przez którą przepuszczają tylko przyszłych starców.

Martinsson posiedział jeszcze chwilę, opowiadając o czekającej go w Malmö pracy. Jak gdyby chciał udowodnić koledze, że mimo wszystko ma na co czekać, że jego zapal nie całkiem ostygł.

Wallander odprowadził go do samochodu.

- Słyszałeś coś od Mattsona? - zapytał ostrożnie Martinsson.

- Prokurator ma do wyboru cztery możliwości. Rozmowę dyscyplinującą, której nie mogą zastosować w stosunku do

mnie. To przecież byłoby strojenie sobie kpin z całej grupy zawodowej. Sześćdziesięcioletni policjant siedzi jak niegrzeczny chłopiec przed wojewódzkim komendantem policji albo kimś w tym rodzaju i wysłuchuje karcącej tyrady.

- Naprawdę brali to pod uwagę? W takim razie chyba im się rzuciło na mózg.

- Mogą udzielić mi nagany - mówił dalej Wallander - albo potracić część pensji. Jako ostatnie wyjście w drodze na dno mają zwolnienie mnie z pracy. Przypuszczam, że dostanę mniejszą wypłatę.

Pożegnali się przy samochodzie. Martinsson zniknął w kłębach śnieżnego pyłu. Wallander wrócił do domu, zaczął wertować kalendarz i uświadomił sobie, że od tego nieszczęsnego wieczoru z zapomnianą bronią minął już ponad miesiąc.

Po zdjęciu gipsu nadal był na zwolnieniu lekarskim. 10 kwietnia ortopeda w szpitalu w Ystad stwierdził, że kości ręki nie zrosły się zgodnie z oczekiwaniami. Przez krótki, ale przerażający moment Wallander sądził, że trzeba będzie złamać przegub na nowo, na szczęście lekarz uspokoił go, że istnieją inne metody. Nie wolno mu było jednak używać ręki, dlatego nie mógł wrócić do pracy.

Po wizycie u lekarza został w mieście. Tego wieczoru w teatrze grali sztukę współczesnego amerykańskiego dramaturga. Wallander dostał bilet od Lindy, która się przeziębila i musiała zrezygnować ze spektaklu. Przez krótki czas jako nastolatka marzyła o zostaniu aktorką, ale prędko jej to przeszło. Teraz była wdzięczna, dość wcześnie bowiem zrozumiała, że nie nadaje się na scenę. Wallander nigdy nie wyczuwał rozczarowania w jej głosie, gdy o tym mówiła.

Już po dziesięciu minutach zaczął spoglądać na zegarek. Przedstawienie go nużyło. Średnio uzdolnieni aktorzy krążyli po pokoju, zostawiając tu i ówdzie swoje kwestie - na półce, na stole, a może na parapecie. Sztuka traktująca o rodzinie rozpadającej się z powodu wewnętrznych

napięć, nierozwiązanych konfliktów i wytartych marzeń nie zdołała go zainteresować. Kiedy w końcu nadszedł antrakt, Wallander poszedł po kurtkę i opuścił teatr. Cieszył się na tę sztukę, a teraz ogarnął go smutek. Czy to jego wina, czy może jednak przedstawienie naprawdę było takie nudne?

Samochód zostawił przy stacji kolejowej. Przeszedłszy przez tory, ruszył na skróty wydeptaną ścieżką, wiodącą na tyły dworcowego budynku z czerwonej cegły. Nagle ktoś pchnął go w plecy tak mocno, że stracił równowagę i upadł. Wyrosło przed nim dwóch młodych mężczyzn w wieku osiemnastu, może dziewiętnastu lat. Jeden z nich miał na sobie bluzę z kapturem naciągniętym na głowę, drugi - skórzaną kurtkę. Chłopak w bluzie trzymał w ręku nóż.

Zwykły kuchenny nóż, zdążył pomyśleć Wallander, zanim ten drugi uderzył go pięścią w twarz. Pękła mu górna warga i zaczęła krwawić. Po chwili przyjął nowy cios, tym razem w czoło. Chłopak był silny i bił mocno, jak gdyby powodowany złością. A później zaczął szarpać Wallandera za ubranie i zażądał portfela i telefonu. Nie spuszczać oka z noża, Wallander podniósł ramię, żeby się osłonić.

I nagle dotarło do niego, że ci dwaj są bardziej wystraszeni niż on sam i że naprawdę nie musi się przejmować tą drżącą ręką z metalowym ostrzem. Wziął zamach, aby kopnąć chłopaka z nożem. Nie trafił, ale zdołał wykręcić mu rękę. Nóż upadł na ziemię. Jednocześnie poczuł gwałtowne uderzenie w kark i znów się przewrócił. Cios był tak silny, że Wallander nie miał siły wstać. Klęcząc, czuł, jak chłód mokrej ziemi przenika przez nogawki, i pomyślał, że pewnie za chwilę pchną go ostrą stalą.

Ale już nic więcej się nie wydarzyło. Kiedy spojrzał w górę, zobaczył, że chłopcy zniknęli. Dotknął ręką karku i poczuł, że koszula zrobiła się lepka. Z wolna zaczął wstawać, pociemniało mu w oczach, przytrzymał się ogrodzenia. Wziął kilka głębokich oddechów i po chwili

ruszył w kierunku samochodu. Nigdzie nie widział napastników. Z karku lała się krew, ale nie na tyle obficie, żeby nie poradził sobie z tym w domu. Nie doznał chyba nawet najłżejszego wstrząsu mózgu.

Siedział w samochodzie i nie mógł się zdecydować, by przekręcić kluczyk w stacyjce. Z jednej rzeczywistości w drugą, pomyślał. Najpierw jestem w teatrze, czuję się znudzony, wychodzę stamtąd i wpadam z impetem w sam środek świata, który najczęściej oglądam z zewnątrz. A teraz ja sam tam leżałem, pobity i zagrożony.

Najbardziej jednak nie mógł przestać myśleć o nożu. Kiedyś, na początku swojej kariery zawodowej, gdy pracował jeszcze w Malmö, w Pildammsparken został poważnie zraniony nożem przez jakiegoś szaleńca, który nagle wpadł w amok. Gdyby ostrze weszło w jego ciało zaledwie parę centymetrów dalej, trafiłoby w serce. Wtedy nie przeżyłby tych wszystkich lat w Ystad i nie zobaczyłby, jak dorasta jego córka. Jego życie skończyłoby się, zanim tak naprawdę się zaczęło.

Pamiętał, co wtedy pomyślał: „Życie ma swój czas i śmierć ma swój”.

W samochodzie było zimno. Włączył silnik i ogrzewanie. Raz za razem w jego głowie przewijały się obrazy z napadu. Wciąż jeszcze znajdował się w szoku, ale czuł, jak narasta w nim wściekłość.

Wzdrygnął się, gdy ktoś zapukał w szybę. Był przygotowany na powrót napastników, ale mającąca za oknem twarz należała do starszej pani w berecie. Wallander uchylił drzwi.

- Nie wolno stać tak długo z włączonym silnikiem - powiedziała. - Jestem na spacerze z psem, patrzyłam na zegarek i wiem, ile czasu pan tu czeka i nie rusza.

Wallander nie odpowiedział, tylko skinął głową i odjechał. Tej nocy długo nie mógł usnąć. Kiedy spojrzał na zegarek ostatni raz, minęła piąta. Dzień później zniknął Håkan von Enke. A Wallander nigdy nie zgłosił na policji napadu, którego padł ofiarą. Nie powiedział o nim nikomu,

nawet Lindzie.

Kiedy von Enke nie wrócił po dwóch dniach, Wallander zrozumiał, że stało się coś poważnego. Ponieważ nadal był na zwolnieniu lekarskim, nie wahał się ani chwili, kiedy przyszły zięć zadzwonił i spytał, czy nie mógłby przyjechać do Sztokholmu. Z tego co rozumiał, o pomoc prosiła głównie Louise. W rozmowie telefonicznej z Hansem Wallander podkreślił, że nie chce mieszać się w pracę tamtejszej policji. Dochodzenie prowadzili jego stołeczni koledzy i tylko oni. Policjanci, którzy wtrącają się w nie swoje sprawy i wchodzą na niewłaściwą połowę boiska, nigdzie nie byli mile widziani.

W przeddzień wyjazdu do Sztokholmu, w jeden z tych coraz jaśniejszych przedwiosennych wieczorów, Wallander wybrał się do Lindy. Hansa jak zwykle nie było w domu, ponieważ od rana do nocy zajmował się czymś, co Kurt nazywał w duchu „finansowymi spekulacjami” i co zresztą doprowadziło do pierwszej i na razie jedynej sprzeczki między nim a zięciem in spe.

Oburzony Hans protestował przeciwko porównywaniu jego działalności zawodowej z czymś tak banalnym. Kiedy jednak Wallander zapytał, na czym dokładnie polega jego praca, nie usłyszał innej odpowiedzi niż ta, że chodzi właśnie o spekulacje walutami i papierami wartościowymi, derywaty i fundusze hedgingowe [o których Wallander nie miał zielonego pojęcia, do czego otwarcie się przyznał].

Wówczas wtrąciła się Linda, tłumacząc, że jej ojciec nie zna się na współczesnych tajemniczych - i przez to przerażających go - instrumentach finansowych. Dawniej z powodu podobnych słów wpadłby w gniew, ale gdy dostrzegł w jej głosie ciepło, rozłożył tylko ręce na znak, że dobrowolnie się poddaje.

A teraz znajdował się w ich domu. Dziewczynka, która wciąż jeszcze nie miała imienia, spała na dywaniku u stóp Lindy. Przyglądając się jej, Wallander uświadomił sobie nagle, może po raz pierwszy, że jego córka już nigdy więcej



nie usiądzie mu na kolanach. Gdy własnemu dziecku rodzi się dziecko, coś nieodwołalnie się kończy.

- Jak myślisz, co się stało Håkanowi? - zapytał. - Chodzi mi o twoje zdanie i jako policjantki, i jako partnerki Hansa.

Linda odpowiedziała natychmiast, dobrze przygotowana.

- Jestem pewna, że coś się stało. Obawiam się nawet, że Håkan nie żyje. To nie jest człowiek, który tak po prostu znika. Nigdy nie popełniłby samobójstwa, nie zostawiając jakiegoś wyjaśnienia. W ogóle nie popełniłby samobójstwa, ale to już inna sprawa. Gdyby dopuścił się jakiegoś przestępstwa, nie uciekałby przed karą. Uważam, że on nie zniknął dobrowolnie.

- Możesz mówić jaśniej?

- Muszę? Przecież chyba rozumiesz, co mam na myśli?

- Tak, ale chcę to usłyszeć od ciebie.

Wallander nie miał wątpliwości, że Linda dokładnie się przygotowała. Nie wypowiadała się tylko jako członek rodziny, była też bystrą młodą policjantką mającą swoje spostrzeżenia.

- Kiedy mówimy o niedobrowolności, istnieją dwie możliwe odpowiedzi. Pierwsza oznacza, że zdarzył się jakiś wypadek, że zaginiony utonął pod lodem albo że potrafił go samochód. Druga, że padł ofiarą świadomej przemocy, został porwany lub pozbawiony życia. Upłynęło już tyle czasu, że wypadek wydaje się mało prawdopodobny. Håkana nie ma w żadnym szpitalu. Ta droga jest więc zamknięta. Pozostaje tylko druga możliwość.

Wallander podniósł rękę i przerwał córce.

- Jest jeszcze jedno rozwiązanie - wtrącił. - I ty, i ja wiemy, że to się zdarza częściej, niż myślimy. Zwłaszcza gdy chodzi o starszych mężczyzn.

- Że uciekł z inną kobietą?

- Coś w tym rodzaju.

Pokręciła energicznie głową.

- Rozmawiałam o tym z Hansem. On zdecydowanie zaprzecza, jakoby istniał jakiś trup w szafie. Håkan był

wierny Louise przez całe życie.

Wallander zrobił nagły zwrot.

- A Louise? Czy ona też była wierna?

Tego pytania Linda sobie nie zadała, widział to po niej. Jeszcze nie nauczyła się wszystkiego o lawirowaniu w trakcie przesłuchania.

- Trudno mi sobie wyobrazić jej zdradę. To nie jest kobieta tego typu.

- Zła odpowiedź. Nigdy nie możesz powiedzieć o człowieku: „Ona nie jest taka”. Popelniasz wtedy błąd niedoceniaania.

- Wobec tego wyrażę to inaczej: nie sądzę, żeby miała kogoś na boku. Ale oczywiście nie wiem tego na pewno. Zapytaj ją!

- Nie mam zamiaru! W obecnej sytuacji to byłaby bezczelność.

Wallander zawahał się, zanim zadał kolejne pytanie, które powstało mu w głowie.

- Na pewno rozmawialiście trochę przez te ostatnie dni, ty i Hans. Przecież on nie może cały czas siedzieć tylko przy tych swoich komputerach. Co mówi? Zdziwiło go zniknięcie ojca?

- A dlaczego miałyby go nie zdziwić?

- Nie wiem. Ale kiedy byłem w Sztokholmie, miałem wrażenie, że Håkan był czymś zaniepokojony.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

- Dlatego, że to od siebie odsunąłem. Myślałem, że może mi się przywidziało.

- Twoja intuicja zazwyczaj cię nie zawodzi.

- Dziękuję, ale jestem jej coraz mniej pewny, tak jak zresztą innych rzeczy.

Linda siedziała w milczeniu. Wallander obserwował jej twarz. Podczas ciąży

przybrała na wadze, zaokrągliły się jej policzki. Widział po jej oczach, że jest zmęczona. Przypomniał sobie Monę i jej nieustanną złość na niego, że nigdy jej nie pomagał, kiedy Linda budziła się po nocach i krzyczała. Ciekawe, jak

Linda sobie radzi, pomyślał. Z pojawieniem się dziecka napinają się jednocześnie wszystkie struny. Ta i owa pęka.

- Coś mi mówi, że masz rację - rzekła w końcu. - Gdy się teraz zastanawiam, to przypominam sobie sytuacje, w których Håkan faktycznie wyglądał na niespokojnego. Wprawdzie ledwo zauważalnie, ale jednak. Czasami oglądał się za siebie.

- Dosłownie czy w przenośni?

- Dosłownie. Obracał głowę do tyłu. Dopiero teraz to do mnie dotarło.

- Przypominasz sobie coś jeszcze?

- Zawsze dokładnie sprawdzał, czy drzwi są zamknięte na klucz. I niektóre lampy zawsze musiały być zapalone.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Ale na przykład nigdy nie gasił lampki na biurku w swoim gabinecie i kinkietu przy drzwiach wejściowych w przedpokoju.

Sędziwy oficer marynarki, pomyślał Wallander, oświetlający nocą wodne szlaki. Samotne latarnie morskie w tajnym militarnym przesmyku, przez który normalnie nie przepływają żadne statki.

Właśnie wtedy obudziła się wnuczka. Wallander wziął ją na ręce i trzymał tak długo, aż przestała płakać.

Te zapalone lampy nie dawały mu spokoju jeszcze w pociągu do Sztokholmu. Spróbuje zgłębić ich tajemnicę. A może istniało jakieś całkowicie naturalne wyjaśnienie? W podobny sposób będzie musiał zbliżyć się do Håkana von Enkego, poruszając się po ścieżkach, o których istnieniu jeszcze nie wiedział.

Mimo wszystko jednak miał nadzieję, że to nagłe zniknięcie znajdzie sensowne i niedramatyczne rozwiązanie.

## 6

Pewnego razu pod koniec lat siedemdziesiątych pojechali z Moną na wycieczkę do Sztokholmu. Wallander pamiętał, że zatrzymali się wtedy w Sjöfartshotellet na Södermalmie

i właśnie tam teraz zadzwonił i zarezerwował pokój na dwie noce. Kiedy wysiadł z pociągu, nie mógł się zdecydować, czy pojechać taksówką, czy metrem. W końcu ruszył pieszo, z płaską torbą przewieszoną przez ramię. Ciągle było zimno, ale słonecznie; na horyzoncie nie kłębiły się żadne burzowe chmury.

To było pod koniec lata 1979 roku, przypomniał sobie, idąc przez starówkę. Pomysł podróży nie wyszedł od niego, to Mona nagle uświadomiła sobie, że nigdy nie była w stolicy, i jak najszybciej chciała nadrobić tę wstydliwą zaległość. Wykorzystali cztery dni z jego urlopu. Mona dostała się właśnie na studia i nie miała ani dochodów, ani ustawowo zagwarantowanego czasu wolnego. Linda mieszkała przez te kilka dni u koleżanki, właśnie skończyła drugą klasę.

To było na początku sierpnia, pamiętał. Gorące dni, od czasu do czasu gwałtowne burze, a potem znów nieznośny upał, przed którym chowali się w długich cieniach parkowych drzew. Wkrótce od tamtych wakacji minie trzydzieści lat, pomyślał, zbliżając się do Slussen i pokonując wzniesienie, na którym leżał hotel. Trzydzieści lat, całe pokolenie, a teraz tu wracam. Ale tym razem jestem sam.

Kiedy wszedł do środka, nic nie wydało mu się znajome. Przez moment pomyślał nawet, że może mieszkali w innym hotelu. Szybko otrząsnął się jednak z nieprzyjemnego wrażenia, zakazał sobie wszelkich myśli o przeszłości i wjechał windą na drugie piętro, gdzie znajdował się jego pokój. Odwinął narzutę i położył się na łóżku. Podróż była męcząca, upłynęła w towarzystwie krzyczących dzieci i kilku nietrzeźwych młodzieńców, którzy wsiedli w Alvesta. Zamknął oczy i próbował zasnąć.

Ocknąwszy się z drzemki, spojrzął na zegarek: spał najwyżej dziesięć minut. Wstał i podszedł do okna. Co tak naprawdę przydarzyło się Håkanowi von Enkemu? Jeżeli podsumować wszystkie informacje, te dostarczone mu przez Lindę i te własne, oparte na wieloletnim

doświadczeniu, to jaki będzie wynik? Wallander nie doszedł nawet do cienia wniosku.

Umówił się z Louise, że przyjdzie do niej do domu o siódmej wieczorem. Jeszcze raz zdecydował się pójść na piechotę. Przechodząc obok zamku królewskiego, zatrzymał się nagle. Był tutaj z Moną, wiedział to na pewno. Stanęli właśnie tu, na moście, i oboje stwierdzili, że bolą ich nogi. Wspomnienie było tak wyraźne, że nieomal słyszał tę rozmowę. Bywały chwile, kiedy ogarniał go niesamowity smutek z powodu nieudanego małżeństwa. Właśnie nadszedł taki moment. Wpatrując się w wirującą wodę, Wallander pomyślał, że jego życie coraz częściej polega na robieniu wątpliwych rozrachunków z tym wszystkim, czego zaczynało mu z czasem brakować.

Gdy zadzwonił do drzwi, Louise zdążyła już nakryć do wieczornej herbaty. Była niewyspana i zmęczona, ale mimo to osobiście spokojna. Na ścianach salonu wisiały portrety rodu von Enke i płótna batalistyczne w stonowanych kolorach. Podążała za wzrokiem Wallandera oglądającego obrazy.

- Håkan był w rodzinie pierwszym oficerem marynarki. Zarówno jego ojciec, jak i dziadek, i pradziadek służyli w wojsku jako oficerowie. Jeden z wujów był poza tym szambelanem u króla Oskara, nie pamiętam, czy pierwszego, czy drugiego. A tę szpadę, która stoi tam, w rogu, jakiś inny krewny dostał od Karola XIV za wyświadczone mu przysługi. Håkan twierdził, że ta grzeczność polegała na dostarczaniu jego wysokości odpowiednich młodych dam.

Zamilkła. Wallander wsłuchiwał się w tykanie zegara na półce nad kominkiem i odległy szum dochodzący z ulicy.

- Jak myślisz, co się stało?

- Szczerze mówiąc, nie wiem.

- Tego dnia, w którym zniknął: czy nie miałaś wrażenia, że coś było inaczej? Czy coś nie odbiegało od schematu jego zachowania?

- Nie. Wszystko było jak zwykle. Håkan działa rutynowo,

choć nie jest pedantem.

- A parę dni wcześniej? Tydzień wcześniej?

- Był przeziębiony. Jednego dnia zrezygnował ze swojego porannego spaceru. To wszystko.

- Odebrał jakąś pocztę? Ktoś do niego dzwonił? Ktoś przyszedł z wizytą?

- Rozmawiał kilka razy ze Stenem Nordlanderem, to jego najbliższy przyjaciel.

- Był na przyjęciu w Djursholmie?

- Nie, wtedy gdzieś wyjechał. Håkan i Sten spotkali się pierwszy raz na okręcie podwodnym, Håkan był kapitanem, a Sten szefem maszynowni. To było chyba jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych.

- A jak on komentuje to zniknięcie?

- Jest tak samo zaniepokojony jak wszyscy, ale też nie potrafi tego wyjaśnić. Powiedział w każdym razie, że chętnie z tobą porozmawia, jeśli się tu pojawisz.

Siedziała na kanapie naprzeciw niego. Wieczne słońce nagle rozjaśniło jej twarz. Louise przesunęła się do cienia. Wallander pomyślał, że jest jedną z tych kobiet, które próbują ukryć swoją urodę pod maską codzienności. Jak gdyby czytając w jego myślach, obdarowała go niepewnym uśmiechem. Wyciągnął swój notatnik i zapisał numery telefonów Stena Nordlandera. Odnotował, że Louise zna je na pamięć, zarówno stacjonarnego, jak i komórki.

Rozmawiali przez godzinę, ale Wallanderowi nie udało się uzyskać żadnych informacji, których by już nie znał. Potem Louise zaprowadziła go do gabinetu męża. Wzrok Wallandera spoczął na lampce na biurku.

- Nie gasił jej na noc.

- Kto tak powiedział?

- Linda. Nie gasił między innymi tej lampy.

Odpowiadając, zaciągnęła grube zasłony. W pokoju uniósł się ledwo wyczuwalny zapach tytoniu.

- Bał się ciemności - powiedziała i strzepnęła kurz z ciężkiej, ciemnej tkaniny. - Uważał, że to żenujące. Lęk przed ciemnością zrodził się na okrętach podwodnych, ale

strach pojawił się o wiele później, kiedy Håkan zszedł na ląd na dobre. Musiałam mu obiecać, że nikomu o tym nie powiem.

- A jednak wiedział o tym twój syn, który później opowiedział o tym Lindzie?

- Håkan musiał się jej zwierzyć bez mojej wiedzy.

Gdzieś w oddali zadzwonił telefon.

- Pokój jest do twojej dyspozycji - powiedziała, zanim zniknęła za wysokimi, dwuskrzydłowymi drzwiami.

Wallander przyłapał się na tym, że przygląda się jej w podobny sposób, w jaki zwykł obserwować Kristinę Magnusson. Usiadł przy biurku na krześle z zielonym, skórzanym obiciem na oparciu i siedzeniu. Rozejrzał się niespiesznie po pokoju. Zapalił lampę. Wokół wyłącznika zebrał się kurz. Wallander przesunął palcem po wypolerowanej mahoniowej powierzchni.

A później podniósł leżącą na biurku podkładkę. Miał ten zwyczaj od czasów, kiedy pracował pod kierunkiem Rydberga. Jeżeli na miejscu przestępstwa znajdowało się biurko, Rydberg zawsze od tego zaczynał. Z reguły nic tam nie było, ale nauczyciel Wallandera wyjaśniał z tajemniczą miną, że nawet pusta powierzchnia stanowi ważny ślad.

Na stole leżało kilka długopisów, szkło powiększające, stał niewielki kamień, porcelanowy wazonik w kształcie łabędzia i pudełko ze spinaczami. To wszystko. Obracając się powoli na krześle, Wallander rozglądał się po gabinecie. Na ścianach wisiały oprawione w ramki fotografie okrętów podwodnych i innych statków wojennych. Duże, kolorowe zdjęcie Hansa w czapce studenckiej. Fotografia ślubna: Håkan w mundurze, razem z Louise przechodzi pod szpalerem szabel. Fotografie starych ludzi, mężczyźni prawie bez wyjątku w mundurach.

Na jednej ze ścian wisiał obraz. Wallander podszedł bliżej, żeby przyrzeć mu się dokładnie. To była romantyczna wizja bitwy pod Trafalgarem: oparty o działo, umierający Nelson, wokół niego płaczący marynarze na klęczkach. Zdumiał go ten obraz. Taka szmira w tym

urządzonym z najwyższym smakiem mieszkaniu. Dlaczego Håkan go powiesił? Wallander uniósł ostrożnie płótno i odwrócił drugą stronę. Żadnego tekstu. Pusta podkładka na biurku, pusty rewers kiepskiego dzieła.

Za późno dziś na przeszukanie pokoju, pomyślał. Dochodzi wpół do dziewiątej, a to zajęłoby kilka godzin. Lepiej zacząć jutro. Opuścił gabinet i ruszył ku jednemu z dwóch salonów leżących w amfiladzie. Louise wyszła z kuchni. Wallander poczuł lekki zapach alkoholu, ale nie był pewien. Umówili się na następnego dnia, na dziewiątą.

Wkładając kurtkę w przedpokoju, nagle się zawahał.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział. - Wysypiasz się?

- Śpię może z godzinę. Jak mogę spać, kiedy nic nie wiem?

- Chcesz, żebym został?

- To miło z twojej strony, ale nie ma takiej potrzeby. Przywykłam do samotności. Nie zapominaj, że jestem żoną marynarza.

Całą długą drogę do hotelu przeszedł pieszo; wstąpił do włoskiej restauracji, która wyglądała na niewyszukaną i w której faktycznie podawano liche jedzenie. Nie chcąc ryzykować bezczynnego leżenia, zażył połowę tabletki nasennej. Pomyślał ponuro, że tak mu teraz przyszło imprezować: przywołuje sen, otwierając wieczko białego pudełeczka z pigułkami.

Kolejny dzień zaczął się w ten sam sposób co poprzedni: Louise poczęstowała Wallandera herbatą. Widać było wyraźnie, że w nocy prawie nie zmrużyła oka.

Przekazała mu wiadomość od inspektora Ytterberga, odpowiedzialnego za wyjaśnienie sprawy zaginięcia. Podała mu bezprzewodowy telefon i wyszła do kuchni. W wiszącym na ścianie lustrze Wallander widział jej odbicie - stała na środku nieruchoma, odwrócona do niego plecami.

Ytterberg mówił wyraźnym dialektem norlandzkim.

- Rozpoczęliśmy regularne dochodzenie. Wychodzimy z założenia, że coś się stało. O ile dobrze zrozumiałem, Louise von Enke chce, żeby pan przejrzał jego papiery.

- Jeszcze tego nie zrobiliście?



- Jego żona zrobiła przegląd, ale niczego nie znalazła. Przypuszczam, że chce, żeby pan to sprawdził.

- Macie jakieś przypuszczenia? Czy ktoś go widział?

- Jest tylko jeden nie do końca pewny świadek, który twierdzi, że widział go w Lilljansskog. Ale to wszystko.

Wallander słyszał, jak Ytterberg poprosił kogoś poirytowanym głosem, żeby przyszedł później.

- Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. Ludzie zapomnieli o pukaniu do drzwi.

- Pewnego pięknego dnia komendant główny każe nam wszystkim siedzieć razem na jednej otwartej przestrzeni, oczywiście dla zwiększenia efektywności - skomentował Wallander. - Będziemy mogli przesłuchiwać sobie nawzajem świadków, wtrącać się do nie swoich dochodzeń.

Ytterberg zaśmiał się chrapliwie. Wallander pomyślał, że właśnie nawiązał dobry kontakt z policją sztokholmską.

- Jeszcze jedna rzecz - dodał Ytterberg. - Zanim Håkan von Enke przeszedł na emeryturę, miał wysoki stopień oficerski. W takich wypadkach Säpo<sup>4</sup> rutynowo rzuca okiem na sprawę. Naszym kolegom z tajnych służb jak zwykle marzy się znalezienie jakiegoś potencjalnego szpiega.

Wallander nie krył zdumienia.

- Czy podejrzewa się go o coś?

- Naturalnie, że nie. Ale przecież koledzy z Säpo muszą się czymś wykazać, kiedy przyjdzie pora na dyskusje nad przyszlórocznym budżetem.

Wallander zrobił kilka kroków, odchodząc od drzwi kuchennych.

- A tak między nami - powiedział, ściszywszy głos. - Jak pan myśli, co się stało? Abstrahując od faktów, bazując wyłącznie na doświadczeniu.

- To wygląda poważnie. Ktoś go mógł napaść w lasku i

---

4 Säpo, Säkerhetspolisen - szwedzka służba specjalna odpowiadająca za bezpieczeństwo wewnętrzne i kontrwywiad. Organizacyjnie jest niezależną jednostką podległą Głównemu Zarządowi Policji.

uprowadzić. Tak teraz myślę.

Zanim zakończyli rozmowę, Ytterberg poprosił Wallandera o numer jego telefonu komórkowego. Kiedy wrócił do swojej filiżanki z herbatą, pomyślał, że chętniej napiłby się kawy. Louise wyszła z kuchni z pytającym spojrzeniem. Wallander pokręcił głową.

- Nic nowego, ale policja traktuje jego zniknięcie jak najbardziej poważnie.

Ciągle stała przy kanapie.

- Wiem, że nie żyje - odezwała się nagle. - Do tej pory odsuwałam od siebie najgorsze myśli, ale teraz już nie dają rady.

- To przekonanie musi mieć jakieś podstawy - zaczął ostrożnie Wallander. - Czy jest coś, co właśnie teraz skłania cię do takiego przypuszczenia?

- Żyłam z nim przez czterdzieści lat - powiedziała. - Nigdy by się tak wobec mnie nie zachował. Ani wobec mnie, ani wobec reszty rodziny.

Wyszła pospiesznie z pokoju. Wallander usłyszał, jak zamykają się drzwi do łazienki. Odczekał chwilę, wstał i skierował swe kroki w stronę korytarza prowadzącego do sypialni. Słyszał, że Louise płacze. Nie wzruszał się łatwo, ale teraz poczuł, że ściska mu się gardło. Wypił resztę herbaty i poszedł do gabinetu, który obejrzał poprzedniego wieczoru.

Zasłony były nadal zaciągnięte. Rozsunął je i wpuścił światło. A później zaczął przeszukiwać szuflady, jedną po drugiej. Wszędzie panował idealny porządek, wszystko znajdowało się na swoim miejscu. W jednej z szuflad leżały stare fajki, wyciory i coś w rodzaju szmatki do polerowania.

Wallander przeszedł do drugiego rzędu szuflad. Ten sam porządek, stare świadectwa szkolne, zaświadczenia, certyfikat pilota. W marcu 1958 roku Håkan von Enke uzyskał prawo prowadzenia samolotów jednosilnikowych, egzamin zdawał na lotnisku w Brommie. Czyli jego żywiołem były nie tylko głębiny, pomyślał Wallander.

Naśladował nie tylko ryby, ale również ptaki.

Wyjął świadectwo maturalne szkoły Norra Latin. Z historii i języka ojczystego Håkan uzyskał najwyższe oceny, podobnie z geografii. Z niemieckiego i religii miał zaledwie dostateczne. W kolejnej szufladzie spoczywał aparat fotograficzny i para wysłużonych słuchawek. Oglądając starą leicę, Wallander zauważył, że jest w niej film. Albo naświetlono dwanaście klitek, albo zostało jeszcze dwanaście zdjęć. Położył aparat na stole. Słuchawki też były sędziwe. Zgadywał, że pochodziły z lat pięćdziesiątych. Dlaczego Håkan je zachował?

W najniższej szufladzie nie znalazł niczego, nie licząc komiksu, który opowiadał historię Coopera. Ostatni Mohikanin. Gazetka była tak zaczytana, że niemal rozpadała się w rękach. Wallander przypomniał sobie, co kiedyś powiedział mu Rydberg: „Szukaj zawsze tego, co przełamuje schemat”. Co robił „Ilustrowany Klasyk” z 1962 roku w najniższej szufladzie Håkana von Enkego?

Nie słyszał, jak weszła Louise. Niespodziewanie po prostu stanęła w drzwiach. Starannie usunęła ślady wzruszenia, przypudrowała twarz. Wallander pokazał jej komiks.

- Dlaczego go zachował?

- Myślę, że dostał go od ojca przy jakiejś specjalnej okazji. Nigdy nie zdradził mi więcej szczegółów.

Znów zostawiła go samego. Wallander wyciągnął dużą szufladę znajdującą się między dwoma rzędami mniejszych. Panował w niej bałagan: listy, fotografie, wykorzystane bilety na samolot, żółta książeczka zdrowia, kilka rachunków. Dlaczego akurat tutaj był taki nieporządek? Wallander postanowił na razie nie ruszać zawartości i zostawił szufladę otwartą. Wyjął tylko książeczkę zdrowia.

Mężczyzna, którego ślady poznawał, w ciągu lat wielokrotnie się szczepił. Nie dalej jak trzy tygodnie temu przeciwko żółtej febrze, tężcowi i żółtacze. Między okładkami dokumentu leżała recepta na profilaktyczne leki

przeciw malarii. Wallander zmarszczył czoło. Żółta febra? Dokąd trzeba się wybierać, żeby potrzebować takiego zabezpieczenia? Odłożył kartę szczepień, nie znalazłszy odpowiedzi.

Wstał i zaczął studiować zawartość regałów. Jeżeli książki mówiły prawdę, to Håkan von Enke był ogromnie zainteresowany historią, szczególnie dawną historią Anglii i dwudziestowiecznym rozwojem marynarki. Nie brakowało pozycji z historii powszechnej oraz wspomnień różnych polityków. Wallander zanotował, że obok pamiętników Tage Erlandera stały autobiograficzne zapiski szpiega Wennerströma.

Ku swojemu zdziwieniu odkrył, że von Enke interesował się też współczesną poezją szwedzką. Nie rozpoznawał wszystkich nazwisk, ale niektóre z nich znał przynajmniej ze słyszenia, jak Sonnevi czy Tranströmer. Wyciągnął kilka tomików z półki, wszystkie były porozcinane. W jednym ze zbiorów Tranströmera ktoś zanotował na marginesie: „Olśniewający wiersz”. Wallander przeczytał i przyznał rację. Wiersz mówił o szumiących lasach iglastych. Jakiś metr bieżący zajmowały powieści Ivara Lo-Johanssona, następny - Vilhelma Moberga.

Obraz zaginionego mężczyzny zmieniał się nieustannie, pogłębiał. Wallander nie odniósł wrażenia, że komandor był próżny i chciał jedynie zaimponować otoczeniu swoim zainteresowaniem naukami humanistycznymi. Wiedział, że ma prawdziwego nosa do tego typu ludzi, ponieważ właśnie takich małostkowych ambicji nie cierpiał najbardziej.

Zostawił regały z książkami, otworzył szafę na dokumenty, zaczął wyciągać szufladę za szufladą. Wszędzie panował wzorowy ład: teczki, listy, raporty, kilka prywatnych dzienników okrętowych, ryciny okrętów podwodnych z adnotacją „prowadzony przeze mnie”. Wszystko w idealnym porządku, z wyjątkiem środkowej szuflady w biurku.

A jednak coś przykuło uwagę Wallandera, choć nie

potrafił powiedzieć co. Znów usiadł na krześle ze wzrokiem wbitym w otwartą szafę na dokumenty. W jednym rogu pokoju stał brązowy skórzany fotel, stolik z kilkoma książkami, lampa do czytania z czerwonym abażurem. Wallander podszedł bliżej. Obydwie książki na stole były otwarte.

Pierwsza miała już swoje lata. *Cicha wiosna* Rachel Carson jako jedna z pierwszych ostrzegła przed zgubnym wpływem człowieka Zachodu na środowisko naturalne całej planety. Druga pozycja traktowała o szwedzkich motylach; fragmenty tekstu przeplatały się z pięknymi barwnymi fotografiami. Motyle i zagrożona planeta, pomyślał Wallander. I nieporządek w środkowej szufladzie biurka. Nie potrafił połączyć tych elementów w całość.

Nagle odkrył, że spod fotela wystaje róg gazety. Pochylił się i podniósł angielskie, a może amerykańskie czasopismo poświęcone okrętom wojennym. Przeglądając je, znalazł tam wszystko, począwszy od artykułów o lotniskowcu „Ronald Reagan” po ryciny okrętów podwodnych, które były zaledwie w stadium projektu. Odłożywszy pismo, ponownie zaczął przyglądać się szafce na dokumenty. „Widzieć, nie widząc”. To była podstawowa rzecz, przed którą ostrzegął go Rydberg, twierdząc, że można przeoczyć to, co faktycznie się widzi.

Ponownie usiadł na krześle przy biurku i przejrzał zawartość szafki. W jednej z szuflad znalazł ściereczkę do wycierania kurzu. A więc von Enke dbał również o czystość, pomyślał Wallander. Ani pyłku na jego dokumentach, wzorowy porządek. Obrócił krzesło i jeszcze raz spojrzął na otwartą szufladę, w której papiery leżały w ogromnym nieładzie, jakby w jaskrawej sprzeczności do całej reszty. Ostrożnie zaczął przeglądać jej zawartość, ale nic nie przyciągnęło jego uwagi. Martwił go tylko ten bałagan. Przełamywał schemat, nie był naturalną częścią Håkana von Enkego. A może to właśnie nieład jest czymś naturalnym, a porządek czymś obcym?

Wallander znów wstał i sięgnął ręką na samą górę szafki

na dokumenty. Ściągnął leżący tam plik papierów. Raport na temat sytuacji politycznej w Kambodży napisany przez Roberta Jacksona i Evelyn Harrison. Ku swojemu zdumieniu odkrył, że ów raport pochodził z amerykańskiego Departamentu Obrony Narodowej. Dokument nosił datę marzec 2008 roku, czyli był zupełnie nowy. Jego treść musiała wyzwolić w nieznanym czytelniku silne emocje, bo w wielu miejscach podkreślił całe zdania, a na marginesie zrobił notatki opatrzone dużymi, wyrazistymi wykrzyknikami. Wallander próbował ustalić prawidłowe szwedzkie tłumaczenie angielskiego tytułu *On the challenges of Cambodia, based upon the legacies of the Pol Pot regime*, ale bez powodzenia.

Po chwili wrócił do salonu. Filiżanki zniknęły. Louise stała przy oknie, zapatrzona w ulicę. Odwróciła się dopiero wtedy, gdy chrząknął. Zrobiła to tak szybko, że wyglądała na przestraszoną. Wallander nagle przypomniał sobie gwałtowny ruch jej męża w trakcie przyjęcia w Djursholmie. Ten sam typ reakcji, pomyślał. Obydwoje są niespokojni, wystraszeni, jak gdyby coś im groziło.

Nie zamierzał zadać tego pytania, ono jak gdyby pojawiło się samo, gdy Wallander pomyślał o przyjęciu urodzinowym sprzed kilku miesięcy.

- Czy Håkan posiada broń?

- Nie, teraz już nie. Na pewno przedtem miał jakąś służbową. Ale tutaj, w domu? Nie, nigdy tu niczego takiego nie było.

- Nie macie domku letniskowego?

- Rozmawialiśmy o tym, ale zawsze tylko coś wynajmowaliśmy. Kiedy Hans był mały, każde lato spędzaliśmy na Uto. Ostatnimi laty jeździliśmy najczęściej na Riwierę, do wynajętego mieszkania. Zastanawialiśmy się nad kupnem jakiegoś domku, ale nigdy nic z tego nie wyszło.

- Nie ma żadnego innego miejsca, w którym Håkan mógłby przechowywać broń?

- Nie. A gdzie to miałyby być?

- Może ma gdzieś schowek? Na strychu. Albo w piwnicy.

- W piwnicy mamy trochę starych mebli i rzeczy z jego dzieciństwa. Ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby tam była jakaś broń.

Wyszła z pokoju. Kiedy po chwili wróciła, miała w ręku klucz do kłódki. Wallander wziął go od niej i schował do kieszeni. Louise zapytała, czy nie podać jeszcze herbaty. Podziękował. Nie zdobył się na odwagę, żeby poprosić o kawę.

Wrócił do gabinetu i znów zaczął przeglądać raport o politycznej sytuacji w Kambodży. Dlaczego leżał na szafce na dokumenty? Obok fotela stał podnózek. Wallander postawił go przed szafką, wspiął się na palce, żeby lepiej widzieć. Poza miejscem, na którym leżał plik papierów, górę mebla zalegał kurz. Wallander odstawił podnózek i stanął w bezruchu.

Nagle zrozumiał, co zaprzętało jego uwagę. Wyglądało na to, że brakuje papierów, przede wszystkim w przeznaczony na nie szafce. Żeby się upewnić, przejrzał wszystko jeszcze raz, zarówno w biurku, jak i na półkach szafy. Wszędzie odkrywał ślady po usuniętych dokumentach. Czy Håkan wyjął je sam? To oczywiście bardzo prawdopodobne, ale równie dobrze mogła to uczynić jego żona.

Wrócił do salonu. Louise siedziała na krześle, które wydawało się Wallanderowi wyjątkowo stare. Patrzyła na swoje ręce. Na jego widok wstała i ponownie zadała pytanie, czy nie ma ochoty na herbatę. Tym razem Wallander poprosił o więcej. Cekał, aż napelni jego filiżankę; swoją pozostawiła pustą.

- Niczego nie znalazłem. Czy ktoś miał wcześniej dostęp do jego papierów?

Spojrzała na niego badawczo. Jej poszarzała twarz była niemal zniekształcona zmęczeniem.

- Oczywiście ja je przeszukiwałam. Któż inny mógłby tu jeszcze być?

- Nie wiem, wygląda jednak na to, że brakuje

dokumentów, że nagle zburzono panujący tam ład. Naturalnie mogą się mylić.

- Odkąd zniknął, nikt nie zaglądał do gabinetu. Nie licząc mnie.

- Rozmawialiśmy już o tym wcześniej, lecz chciałbym jeszcze raz spytać o jego zamiłowanie do porządku.

- Nie cierpiał bałaganu.

- Ale nie był pedantem, o ile dobrze pamiętam?

- Kiedy mamy gości, pomaga mi nakrywać do stołu. Układa ładnie sztuce, stawia kieliszki tam, gdzie powinny stać. Jednak nie korzysta z linijki, żeby uzyskać proste linie. Czy to wystarczy jako odpowiedź?

- Jak najbardziej - odpowiedział łagodnie Wallander i z przykrością popatrzył na jej jeszcze bardziej zmęczoną twarz.

Wypił herbatę i zszedł do piwnicy, by obejrzyć schowek należący do rodziny.

Było tam kilka starych walizek, koń na biegunach, plastikowe skrzynki z zabawkami, nie tylko Hansa, ale również wcześniejszych pokoleń. O ścianę stało opartych kilka par nart i zdemontowany aparat do wykonywania odbitek fotograficznych.

Wallander usiadł ostrożnie na koniu na biegunach. Ta myśl pojawiła się równie gwałtownie jak tamten bezwzględny napad, którego ofiarą padł niedawno. Håkan von Enke nie żyje. Nie było żadnego innego wyjaśnienia. Po prostu nie żyje. To przekonanie nie tylko go zasmuciło, ale również wywołało w nim niepokój.

Håkan próbował mi coś opowiedzieć, pomyślał. Lecz tamtego wieczoru w zamkniętym pokoju w Djursholmie niestety nie zrozumiałem, co chciał mi przekazać.

Wczesnym świtem obudziła go kłótnia młodych ludzi w sąsiednim pokoju. Ściany były tak kiepsko izolowane, że słyszał wszystkie raniące słowa, jakimi się obrzucali. Wstał



i zaczął w neseserze szukać zatyczek do uszu, ale tym razem widocznie nie zabrał ich ze sobą. Uderzył mocno w ścianę, wymierzył dwa silne ciosy i jeszcze jeden, jak gdyby przesyłając pięścią końcowe przekleństwo. Kłótnia ustała natychmiast, a przynajmniej ściszyła się do takiego poziomu, że Wallander nie był w stanie rozróżnić poszczególnych słów.

Zanim zasnął ponownie, zaczął się zastanawiać, czy on też nie wdał się w jakąś głupią kłótnię z Moną, kiedy nocowali w hotelu podczas swojej podróży do Sztokholmu. Zdarzało się przecież, że spierali się o bezsensowne drobiazgi. Zawsze chodziło o drobiazgi, nigdy o coś naprawdę ważnego. Nasze sprzeczki nigdy nie były barwne, zawsze tylko szare, pomyślał. Czuliśmy smutek albo rozczarowanie, albo jedno i drugie, i oboje wiedzieliśmy, że to przejdzie. A mimo to kłóciliśmy się i obydwójce byliśmy tak samo głupi i mówiliśmy niemądre rzeczy, których natychmiast żalowaliśmy. Wypuszczaliśmy z ust całe stada ptaków, nie potrafiąc złapać ich za skrzydła.

Zasnął ponownie. Przyśnił mu się człowiek, który może był Rydbergiem, a może ojcem, i czekał na niego w deszczu. A on sam się spóźnił, chyba z powodu zepsutego samochodu, i wiedział, że dostanie za to spóźnienie reprimendę.

Po śniadaniu usiadł w holu i wybrał numer do Stena Nordlandera. Zaczął od domowego. Nikt nie odpowiadał. Telefon komórkowy również się nie odzywał. Wallander zostawił więc wiadomość. Podał swoje nazwisko i przedstawił sprawę, w jakiej dzwoni. Ale czym tak właściwie była jego sprawa? Szukanie zaginionego Håkana von Enkego należało do zadań sztokholmskiej policji, nie jego. Niewykluczone, że mógł zostać potraktowany jak samozwańczy prywatny śledczy, a od czasów morderstwa Olofa Palmego takie określenie brzmiało bardzo źle.

Sygnal telefonu przerwał mu rozmyślenia. Sten Nordlander mówił głębokim i chropowatym głosem.

- Wiem, kim pan jest - powiedział. - I Louise, i Håkan opowiadali mi o panu. Gdzie mogę po pana przyjechać?

Wallander stał na ulicy, gdy Sten Nordlander zatrzymał swoje auto przy krawężniku. Dodge z połowy lat pięćdziesiątych błyszczał chromem i białymi nakładkami na opony. Nordlander w młodości z pewnością był raggare<sup>5</sup>, jednym z tych młodych zmotoryzowanych ludzi, którzy wówczas tak wielu gorszyli. Teraz również miał skórzaną kurtkę, kowbojki, dżinsy i - mimo panującego chłodu - tylko cienki podkoszulek.

Wallander zastanawiał się, jak to możliwe, że ten mężczyzna jest bliskim przyjacielem Håkana von Enkego. Na pierwszy rzut oka trudno było wyobrazić sobie dwóch bardziej różniących się od siebie ludzi. Ale takie powierzchowne osądy są niebezpieczne. Rydberg często powtarzał: „Powierzchnia to coś, na czym człowiekowi prawie zawsze poślizgnie się noga”.

- Wskakuj - powiedział Sten Nordlander.

Wallander nie pytał, dokąd zmierzają, rozparł się wygodnie w fotelu z czerwonej skóry, bez wątpienia oryginalnym. Zadał kilka uprzejmych pytań o samochód i otrzymał równie uprzejme odpowiedzi. Przez chwilę jechali w milczeniu. Dwie duże kostki do gry wykonane z jakiegoś włochatego materiału kołysały się przy lusterku wstecznym.

W dzieciństwie Wallander wielokrotnie widział podobne samochody. Za kierownicą siedzieli mężczyźni w średnim wieku i w garniturach błyszczących równie intensywnie jak chromowane detale samochodu. Kupowali płótna ojca na tuziny, płacili pieniędzmi wyjmowanymi z grubych plików banknotów. „Jedwabni jeźdźcy”, tak ich wtedy nazywał. Dopiero wiele lat później zrozumiał, że płacąc tak

---

5 Raggare - członek szwedzkiej subkultury powstałej w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, działającej do dziś. Wywodzący się głównie ze środowisk robotniczych raggarrowcy są zafascynowani amerykańską kulturą rockandrollową, a ich podstawowym atrybutem jest amerykański krążownik szos.

śmiesznie mało za obrazy ojca, urażali jego dumę.

Posmutniał na to wspomnienie. Ten czas już nie powróci, minął na zawsze, pomyślał. Zaczął szukać pasów bezpieczeństwa.

- Samochód ma wartość zabytkową - powiedział Sten. - I dlatego został zwolniony z obowiązku posiadania pasów.

Znajdowali się gdzieś w Värmdö. Wallander już dawno stracił orientację i nie rozpoznawał ani kierunku, ani odległości. W końcu Nordlander zahamował i zatrzymał rozkołysany pojazd przy brązowym budynku, w którym mieściła się kawiarnia.

- Właścicielka tego lokalu to żona mojego przyjaciela, który był też przyjacielem Håkana - odezwał się Nordlander. - Teraz jest wdową. Ma na imię Matilda. Claes Hornvig, jej mąż, był zastępcą kapitana na jednym z okrętów Ormen, na którym obaj z Håkanem pływaliśmy.

Wallander skinął głową. Przypomniawszy sobie, że Håkan von Enke wspominał mu o tym typie łodzi podwodnych.

- Staramy się ją wspierać. Matilda potrzebuje pieniędzy. A poza tym parzy naprawdę świetną kawę.

Gościom przekraczającym próg lokalu przede wszystkim rzucał się w oczy stojący pośrodku peryskop. Sten Nordlander wyjaśnił jego pochodzenie i Wallander zrozumiał, że znalazł się w prywatnym muzeum okrętów podwodnych.

- To stało się naszym zwyczajem - powiedział mężczyzna.

- Każdy odbywający służbę na szwedzkich okrętach podwodnych, czy to zawodowo, czy w ramach poboru, musiał odbyć też przynajmniej jedną pielgrzymkę do kawiarni Matildy. I zawsze coś ze sobą przynosił, to było obowiązkowe. Jakiś skradziony kubek, jakiś koc, nawet sprawne stery i pokrętła. Prawdziwe święto zaczynało się naturalnie wtedy, gdy jakiś okręt wycofano z użytku i przeznaczono na złom. Każdy wtedy coś sobie zabierał i zawsze też znalazł się ktoś z symbolicznym workiem na datki dla Matildy. Nie wrzucaliśmy do niego pieniędzy, tylko na przykład głębościomierz wymontowany z

umarłego okrętu.

W wahadłowych drzwiach do kuchni ukazała się mniej więcej dwudziestoletnia kobieta.

- To Marie - powiedział Sten. - Wnuczka Matildy i Claesa. Matilda też tu się czasami pokazuje, ale ma już ponad dziewięćdziesiąt lat. Twierdzi, że jej matka dożyła stu jeden, a babcia stu trzech lat.

- To prawda - odezwała się dziewczyna. - Moja mama ma pięćdziesiąt i uważa, że przeżyła dopiero połowę życia.

Dostali kawę i drożdżówki. Sten zamówił oprócz tego napoleonkę. Tu i ówdzie przy stolikach siedzieli goście, głównie starsze osoby.

- Byłe załogi okrętów podwodnych? - zapytał Wallander, podążając za Stenem do najbardziej oddalonego pomieszczenia, które było puste.

- Niekoniecznie - odpowiedział Nordlander. - Ale wiele osób znam, przynajmniej z widzenia.

Stare mundury i okrętowe flagi sygnałowe zdobiły wszystkie ściany. Wallander odniósł wrażenie, że znalazł się w magazynie z rekwizytami do filmów wojennych. Usiedli przy narożnym stoliku. Nordlander wskazał na wiszącą nad nim, oprawioną w ramkę, czarnobiałą fotografię.

- Masz tutaj jeden z naszych okrętów Sjoorm. Numer dwa w drugim rzędzie to ja, numer cztery Håkan. Claes Hornvig nam wtedy nie towarzyszył.

Wallander pochylił się, by lepiej zobaczyć. Trudno było rozróżnić poszczególne twarze. Sten dodał, że zdjęcie zrobiono w Karlskronie, tuż przed wyruszeniem w dłuższy rejs.

- To może nie była jakaś wymarzona podróż - mówił dalej. - Mieliśmy płynąć z Karlskrony do cieśniny Kvarken, aż do ujścia rzeki Kalix, a później z powrotem. Listopad, zimno. O ile dobrze pamiętam, panował prawie nieustanny sztorm. Kołysało nami wszędzie, ponieważ Morze Botnickie jest stosunkowo płytkie. Nigdy nie zesliśmy na wystarczającą głębokość. Bałtyk to taka większa kałuża.

Sten Nordlander jadł łąpczywie swoje ciastko, ale wyglądało na to, że zupełnie nie zwraca uwagi na smak. Nagle odłożył widelczyk

- Co się mogło stać?

- Wiem niewiele więcej niż ty czy Louise.

Nordlander odsunął gwałtownie filiżankę z kawą. Wallander uświadomił sobie, że ten mężczyzna wygląda na równie zmęczonego jak żona von Enkego. Jeszcze jeden człowiek, który nie sypia, pomyślał.

- Przecież znasz go - powiedział Wallander. - Lepiej niż większość. Louise mówi, że byliście sobie szczególnie bliscy. Jeżeli tak jest, to twoja opinia liczy się o wiele bardziej niż opinia innych.

- Mówisz dokładnie tak jak policjant na Bergsgatan.

- No bo jestem policjantem!

Sten Nordlander skinął głową. Wydawał się bardzo spięty. Jego niepokój widać było w zaciśniętych szczękach, w ściągniętych kącikach ust.

- Jak to się stało, że zabrakło cię na jego ostatnim przyjęciu urodzinowym? - zapytał Wallander.

- Mam siostrę, która mieszka w Bergen, w Norwegii. Jej mąż zmarł zupełnie nieoczekiwanie. Potrzebowała mojej pomocy. A poza tym takie huczne bankiety nie są w moim guście. Håkan i ja mieliśmy swoją prywatną imprezę. Tydzień wcześniej.

- Gdzie?

- Tutaj. Wypiliśmy kawę i zjedliśmy po ciastku.

Nordlander wskazał na wiszącą na ścianie czapkę.

- Należała do Håkana. Podarował ją Matildzie, kiedy tu ostatnio razem świętowaliśmy.

- O czym rozmawialiście?

- O tym, o czym zawsze rozmawiamy: o wydarzeniach października 1982 roku. Służyłem na ścigaczu „Halland”, któremu wtedy nie zostało już wiele do emerytury. Teraz stoi w Göteborgu jako obiekt muzealny.

- A więc byłeś szefem maszynowni nie tylko na okrętach podwodnych?

- Zaczynałem na torpedowcu, później była korweta, a potem ścigacz, okręt podwodny i na koniec znów ścigacz. Kiedy na Bałtyku zaczęły się pojawiać obce okręty podwodne, znajdowaliśmy się na zachodnim wybrzeżu. Drugiego października, przy obiedzie, nasz dowódca Nyman powiedział, że w te pędy mamy ruszyć w kierunku Archipelagu Sztokholmskiego, żeby tam być w pogotowiu.

- Czy w czasie tych gorących dni miałeś kontakt z Håkanem?

- Dzwonił do mnie.

- Do domu czy na okręt?

- Na ścigacz. Wtedy w ogóle nie wracałem do domu. Wstrzymano wszystkie przepustki. Panowała pełna mobilizacja, spokojnie można to tak określić. To działo się w tych wspaniałych czasach, kiedy nikt jeszcze nie wiedział, że telefon komórkowy stanie się własnością każdego człowieka. Żołnierze obsługujący centralę telefoniczną schodzili na dół i uprzedzali o czekającej rozmowie. Håkan zazwyczaj dzwonił w nocy. Chciał, żebym odbierał rozmowy w swojej kajucie.

- Dlaczego?

- Chyba wołał, żeby nikt nie słyszał, o czym mówimy.

Gdy Nordlander odpowiadał, jego szorstki ton zdradzał jakby niechęć. Przez cały czas rozgniewał widelczykiem resztki ciastka.

- Praktycznie rzecz biorąc, między 1 a 15 października rozmawialiśmy ze sobą każdej nocy. Przypuszczam, że tak naprawdę nie wolno mu było komunikować się ze mną w ten sposób, ale mieliśmy do siebie zaufanie. Håkan czuł ciężar odpowiedzialności. Bomba głębinowa mogła zostać zrzucona w nieodpowiednim miejscu i zatopić okręt, zamiast tylko zmusić go do wypłynięcia na powierzchnię.

Sten Nordlander zamienił resztki napoleonki w mało apetyczną papkę. Odłożył widelczyk, rzucił na talerzyk papierową serwetkę.

- Ostatniego wieczoru dzwonił do mnie trzykrotnie. Późno w nocy, a może raczej już o świcie, zadzwonił ostatni

raz.

- Cały czas byłeś na pokładzie ścigacza?

- Znajdowaliśmy się milę morską na południowy wschód od zatoki Harsfarden. Wiało, ale nieszczególnie mocno. Na pokładzie panowała pełna gotowość. Oficerowie byli oczywiście poinformowani o sytuacji, ale reszta załogi wiedziała tylko o mobilizacji, nic o jej przyczynie.

- Czy naprawdę potrzebna była pogoń za okrętem podwodnym?

- Nie wiedzieliśmy przecież, co zrobią Rosjanie, jeśli uda się nam przejąć jeden z ich okrętów. Może chcieliby go odbić? Na północ od Gotlandii stacjonowała rosyjska flota wojenna; z wolna zaczęła się do nas zbliżać. Jeden z naszych telegrafistów powiedział, że nigdy wcześniej nie był świadkiem tak żywej rosyjskiej komunikacji radiowej, nawet podczas największych manewrów u brzegów Bałtyku. Byli niespokojni, to zrozumiałe.

Umilkł na widok Marie, która podeszła do nich i zapytała, czy chcą jeszcze kawy. Obydwaj podziękowali.

- Zajmijmy się najważniejszą sprawą - powiedział Wallander. - Jak przyjąłeś informację, że pozwolono odpłynąć prawie schwytanemu okrętowi podwodnemu?

- Naturalnie nie mogłem w to uwierzyć.

- Jak się o tym dowiedziałeś?

- Nyman nagle dostał rozkaz wycofania się w kierunku Landsort, mieliśmy tam czekać. Nie podano żadnego wyjaśnienia, a Nyman nie należy do tych, którzy zadają niepotrzebne pytania. Znajdowałem się w maszynowni, kiedy dostałem wiadomość o rozmowie telefonicznej. Pobiegnę do swojej kajuty. Håkan zapytał, czy jestem sam.

- Miał w zwyczaju pytać cię o to?

- Tylko wtedy, a tak w ogóle - nie. Potwierdziłem, że nikogo przy mnie nie ma. Upierał się, że to bardzo ważne, żebym powiedział mu prawdę. Pamiętam, że mnie tym zdenerwował. Nagle uświadomiłem sobie, że opuścił dowództwo operacyjne i dzwoni do mnie z automatu.

- Skąd to wiedziałeś? Powiedział ci o tym?

- Słyszałem, jak wrzuca monety. Automat telefoniczny był w mesie oficerskiej. Ponieważ nie mógł opuścić centrali dowodzenia na dłużej niż wizytę w toalecie, musiał tam biec.

- Tak powiedział?

Sten Nordlander przyjrzał mu się badawczo.

- Kto tu jest policjantem, ja czy ty? Słyszałem przecież, że jest zziajany.

Wallander nie dał się sprowokować. Kiwnął tylko głową na znak, że chce słuchać dalej.

- Był wzburzony, wściekły, ale i przestraszony, tak chyba można powiedzieć. Jak lont, który pali się z obu stron. Krzyczał, że to zdrada, że odmawia wykonania rozkazu i że ma zamiar zbombardować ten okręt podwodny niezależnie od tego, co inni mają do powiedzenia. A potem skończyły mu się monety. Jak gdyby urwała się taśma.

Wallander siedział wpatrzony w mężczyznę naprzeciwko, czekając na dalszy ciąg, który nigdy nie nastąpił.

- Czy to nie za ostre słowo: zdrada?

- Ale przecież to była zdrada! Zdrada narodowa. Pozwolono oddalić się okrętowi podwodnemu, który naruszył nasze granice.

- Kto był za to odpowiedzialny?

- Jedna albo kilka osób z najwyższego dowództwa, ogarniętych nagłymi wątpliwościami. Ci ludzie nie chcieli, żeby rosyjski okręt podwodny wypłynął na powierzchnię.

Do pokoju wszedł mężczyzna z filiżanką kawy. Zauważywszy stanowcze spojrzenie Nordlandera, wycofał się jednak bez słowa i poszukał miejsca w innym pomieszczeniu.

- Nie wiem, kim była ta albo te osoby. Łatwiej chyba odpowiedzieć na pytanie: dlaczego? Chociaż naturalnie w dalszym ciągu będą to tylko spekulacje. Jak się czegoś nie wie, to po prostu się nie wie.

- Czasami dobrze jest głośno myśleć. Nie zaszkodzi to nawet policjantom.



- Załóżmy, że na pokładzie tego okrętu podwodnego znajdowało się coś, co nie powinno było wpaść w ręce szwedzkich władz.

- A co to miałyby być?

Sten Nordlander ściszył głos, nie za bardzo, ale wystarczająco, żeby Wallander zwrócił na to uwagę.

- Można doprecyzować to założenie i powiedzieć, że nie chodziło o „coś”, tylko o „kogoś”. Jak by to wyglądało, gdyby na pokładzie znajdował się szwedzki oficer? Na przykład.

- Dlaczego tak sądzisz?

- To nie jest mój pomysł. To jedna z teorii Håkana. Miał ich wiele.

Wallander zastanowił się, zanim zaczął pytać dalej. Uświadomił sobie, że może powinien to wszystko notować.

- A co było później?

- Kiedy później?

Nordlander stawał się coraz bardziej opryskliwy. Wallander nie potrafił określić, czy to z powodu jego pytań, czy niepokoju o zaginionego przyjaciela.

- Håkan opowiadał mi, że zaczął wtedy zadawać pytania - powiedział.

- Próbował dociekać, co się wydarzyło. Prawie wszystko zostało oczywiście otoczone ścisłą tajemnicą. Niektórym dokumentom nadano najwyższą klauzulę tajności, co oznacza, że ich zawartość będzie można ujawnić dopiero po siedemdziesięciu latach. To w Szwecji najdłuższy okres, w jakim coś można obłożyć tajemnicą. Zazwyczaj zamyka się drzwi na czterdzieści lat. Ale właśnie w tym wypadku do niektórych papierów nie będzie dostępu przez siedemdziesiąt. Nawet nasza dzielna Marie, która tutaj podaje kawę, prawdopodobnie nie zdąży przeczytać ich przed swoją śmiercią.

- No ale z drugiej strony Marie wywodzi się z długowiecznej rodziny - zaprotestował Wallander.

Sten nie zareagował.

- Håkan potrafił być męczący, gdy sobie coś postanowił -

mówił dalej. - Czuł się tak, jakby naruszając granice, naruszano jednocześnie jego godność. Ktoś zdradził, i to porządnie. Mimo że sporo dziennikarzy zajmowało się sprawą tych okrętów podwodnych, Håkan ciągle nie był zadowolony. Koniecznie chciał dociec prawdy. Ryzykował swoją karierę.

- Z kim rozmawiał?

Odpowiedź padła momentalnie, jak smagnięcie bata poganiające niewidzialnego konia.

- Ze wszystkimi. Wszystkich pytał. Może nie króla, ale nieomalże. Ubiegał się o audiencję u premiera, to wiem na pewno. Zadzwoił do Tage G. Petersona, tego starego, szlachetnego socjaldemokraty w Kancelarii Premiera, i poprosił o chwilę spotkania z Palmem. Peterson odparł, że nie ma nawet chwili. Ale Håkan nie dawał za wygraną. „Niech pan wyjmie drugi terminarz”, zażądał. „Takie niecierpiące zwłoki spotkanie zawsze można gdzieś wcisnąć”. I uzyskał audiencję. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, w 1983 roku.

- Opowiedział ci o tym?

- Pojechałem tam z nim.

- Do Palmego?

- Można powiedzieć, że tego dnia byłem jego szoferem. Siedziałem w samochodzie i widziałem, jak ubrany w mundur i ciemny płaszcz, znika za bramą najświętszego, zaraz po zamku królewskim, miejsca w kraju. Spotkanie trwało jakieś pół godziny. Po dziesięciu minutach strażnik pouczył mnie, że podwożąc kogoś, mogę się na chwilę zatrzymać, ale nie wolno mi parkować. Opuściłem szybę i powiedziałem mu, że czekam na osobę, która odbywa ważne spotkanie z premierem, i nie mam najmniejszego zamiaru przesunąć się ani o centymetr. Zostawił mnie w spokoju. Håkan wrócił z czołem zroszonym potem.

Ruszyli w milczeniu.

- Przyjechaliśmy tutaj - powiedział Nordlander. - I usiedliśmy właśnie przy tym stoliku. Kiedy wychodziliśmy z samochodu, zaczął padać śnieg. Tamtego roku mieliśmy

w Sztokholmie prawdziwe białe święta. Śnieg leżał aż do sylwestra. A później wszystko splukał deszcz.

Marie wróciła z dzbankiem kawy. Tym razem obaj przystali na dolewkę. Kiedy Sten Nordlander wkładał do ust kostkę cukru, nagle dotarło do Wallandera, że jego rozmówca ma sztuczne zęby. Przez moment poczuł się nieswojo i znów przypomniał sobie, że od dłuższego czasu unika wizyt u dentysty.

Według Nordlandera, Håkan von Enke zrelacjonował mu wtedy spotkanie z Olofem Palmem w najdrobniejszych szczegółach. Został dobrze przyjęty. Palme zaczął od kilku pytań o jego wojskową karierę, z nutką autoironii wspominał o swoim stopniu oficera rezerwy, by po chwili uważnie wysłuchać opowieści von Enkego.

A Håkan postawił sprawę jasno. Jeżeli chodzi o lojalność wobec swojego pracodawcy, szwedzkich sił zbrojnych, w gabinecie premiera przekroczył wszelkie możliwe granice, twierdził Sten Nordlander. Szukając na własną rękę kontaktu z szefem rządu, spalił za sobą wszystkie mosty u naczelnego dowódcy i w jego sztabie. Nie miał już powrotu. A mimo to musiał powiedzieć, co mu leży na sercu.

Zakończył po dziesięciu minutach. Olof Palme słuchał z półotwartymi ustami, nieprzerwanie wpatrzony w rozmówcę. Zanim zaczął zadawać pytania, zastanowił się chwilę. Przede wszystkim chciał wiedzieć, czy wojsko jest pewne przynależności państwowej okrętu i czy on na pewno pochodził z Układu Warszawskiego. Håkan odpowiedział pytaniem: „A skąd miałyby pochodzić?”

Palme wykrzywił twarz w grymasie i tylko pokręcił głową. Przerwał Håkanowi, gdy ten zaczął mówić o zdradzie narodowej i o wojskowo- politycznym skandalu, oświadczył też, że taka dyskusja powinna toczyć się w inny sposób, nie sam na sam z premierem. I na tym stanęło. Do gabinetu zajrzał ostrożnie sekretarz, przypominając o kolejnym spotkaniu.

Håkan wyszedł spocony, ale jednocześnie z poczuciem ulgi, bo Palme go wysłuchał. Był pełen optymizmu i sądził,

że teraz coś na pewno się wydarzy. Premier niewątpliwie zrozumiał jego słowa o zdradzie i wytarga za ucho ministra obrony narodowej i naczelnego dowódcę, żądając wyjaśnień. Kto otworzył klatkę i wypuścił okręt podwodny? I przede wszystkim: dlaczego?

Sten Nordlander zamilkł i zerknął na swój zegarek.

- A co było potem? - zapytał Wallander.

- Boże Narodzenie. Przez parę dni wszystko stało w miejscu, ale na krótko przed Nowym Rokiem Håkan został wezwany do swojego najwyższego szefa. Dostał ostrą reprimendę za to, że za jego plecami spotkał się z Palmem. Håkan nie był jednak głupi i oczywiście zrozumiał od razu, że tak naprawdę krytykowaną osobą jest sam premier. Palme nie powinien był przyjmować oficera marynarki wojennej, który się pogubił.

- Ale Håkan nie przestał drążyć sprawy? Nie poddał się? Mimo że bojkotowano go towarzysko?

- Od tamtego czasu zajmował się nią bez przerwy. Przez dwadzieścia pięć lat.

- Byłeś jego najbliższym przyjacielem. Musiał rozmawiać z tobą o pogroźkach kierowanych pod jego adresem.

Sten Nordlander skinął głową w milczeniu, lecz nie skomentował pytania.

- A teraz zniknął?

- Nie żyje. Ktoś go zabił.

Odpowiedź padła nagle i zdecydowanie. Nordlander mówił o śmierci, jak gdyby była czymś oczywistym.

- Skąd ta pewność?

- A w co tu wątpić?

- Kto go zabił? I dlaczego?

- Nie mam pojęcia. Ale może on wiedział coś, co w końcu okazało się zbyt niebezpieczne.

- Od tego epizodu z naruszeniem szwedzkich wód minęło dwadzieścia pięć lat. Cóż może być w tym niebezpiecznego po tak długim czasie? Boże drogi, Związek Radziecki nie istnieje. Zdemontowano mur berliński. A Niemcy Wschodnie? Minęła cała epoka. Jakież to nagle mogły

pojawić się cienie?

- Nam się wydaje, że wszystko minęło. Ale może być tak, że ktoś za kulisami tylko zmienił kostiumy. Repertuar mógł ulec zmianie, wszystko jednak rozgrywa się na tej samej scenie.

Nordlander wstał.

- Możemy porozmawiać jeszcze jakiegoś innego dnia. Teraz czeka na mnie żona.

Odwiózł Wallandera do hotelu. Gdy mieli się żegnać, Kurt uświadomił sobie, że powinien zapytać o jeszcze jedną rzecz.

- Czy oprócz ciebie Håkan miał jakąś inną bliską osobę?

- Nikt nie był mu bliski. Może Louise. Stare wilki morskie są pełne rezerwy. Nie lubią wokół siebie tłoku. Nie sądzę, żebym był mu szczególnie bliski. Może byliśmy tylko trochę bliżej siebie.

Wallander zauważył, że Sten się waha. Powie czy nie?

- Steven Atkins - odezwał się w końcu. - Amerykański kapitan okrętów podwodnych. Odrobinę młodszy. O ile dobrze pamiętam, w przyszłym roku skończy siedemdziesiąt pięć lat.

Wallander zapisał nazwisko w swoim notatniku.

- Masz jego adres?

- Mieszka w Kalifornii, pod San Diego. Wcześniej stacjonował w Groton, w tej ogromnej bazie marynarki wojennej.

Wallander był ciekaw, dlaczego Louise nie wspomniała mu o Stevenie Atkinsie. Ale nie zamierzał dłużej zatrzymać Nordlandera, który chcąc jak najszybciej odjechać, niecierpliwie naciskał pedał gazu.

Wallander podążył wzrokiem za błyszczącym cackiem znikającym za wzniesieniem. A potem, już w swoim pokoju, analizował wszystko, co usłyszał. Håkan wciąż się nie odnalazł, a on nie posunął się ani o krok.

Następnego dnia rano zadzwoniła Linda i zapytała o nastroje w Sztokholmie. Nie ukrywał przed nią przeświadczenia Louise, że Håkan nie żyje.

- Hans nie chce w to uwierzyć - powiedziała. - Jest pewien, że ojciec żyje.

- Ale w głębi duszy chyba podejrzewa, że Louise może mieć rację.

- A ty jak myślisz?

- To nie wygląda zbyt dobrze.

Zapytał, czy nie rozmawiała z kimś w Ystad. Wiedział, że Linda miewa również prywatny kontakt z Kristiną Magnusson.

- Dochodzeniowiec wrócił do Malmö. A to chyba znaczy, że twoja sprawa wkrótce się rozstrzygnie.

- Może mnie wyrzucą - powiedział.

W jej głosie słychać było nieomal wzburzenie.

- Postąpiłeś oczywiście wyjątkowo nierozsądnie, biorąc ze sobą broń do lokalu. Ale jeżeli grozi ci wypowiedzenie, to musimy liczyć się z tym, że kilkuset szwedzkich policjantów też powinno stracić pracę. Za zdecydowanie cięższe wykroczenia wbrew regulaminowi.

- Liczę się z najgorszym - odparł Wallander ponuro.

- Jak się przestaniesz nad sobą uzalać, to znów możemy porozmawiać - rzuciła na koniec i odłożyła słuchawkę.

Wallander przyznał jej rację. Najprawdopodobniej udzieli mu upomnienia albo potrąca część pensji. Chwytał telefon, żeby do niej zadzwonić, ale rozmyślił się. Z pewnością zaczęliby się kłócić. Ubrał się, zjadł śniadanie i zadzwonił do Ytterberga, który obiecał przyjąć go o dziewiątej. Zapytał, czy znaleźli jakieś ślady, lecz odpowiedź była przecząca.

- Dostaliśmy informację, że widziano von Enkego w Södertalje - oznajmił Ytterberg. - Ciekawe, co miałyby tam robić. Trop okazał się fałszywy. Mężczyzna w mundurze. Przecież gdy nasz przyjaciel wyszedł na spacer, nie miał na

sobie uniformu.

- A jednak to dziwne, że nikt go nie widział - powiedział Wallander. - O ile dobrze rozumiałem, w lasku Lilljansskoggen zawsze jest mnóstwo ludzi: biegają, spacerują z psami.

- Zgadzam się - odparł Ytterberg. - To też nas martwi. Wygląda jednak na to, że nikt go nie zauważył. Proszę przyjść o dziewiątej, to porozmawiamy. Wyjdę po ciebie.

Swym wysokim wzrostem oraz krzepką budową Ytterberg przywiódł Wallanderowi na myśl któregoś z klasycznych szwedzkich zapaśników. Wallander spojrział ukradkiem na jego uszy w poszukiwaniu kalafiorowatych deformacji, charakterystycznych dla osób uprawiających ten sport. Nie dostrzegł jednak żadnych śladów dawnej kariery zapaśniczej. Zważywszy ogromną posturę, Ytterberg poruszał się zadziwiająco lekko. Holując pospiesznie Wallandera przez korytarze, niemal nie dotykał podłogi. W końcu dotarli do pogrążonego w chaosie gabinetu, w którym na środku znajdował się nadmuchiwany delfin kolosalnych rozmiarów.

- To dla wnuczki - powiedział Ytterberg. - Anna Laura Constance dostanie go w prezencie urodzinowym. W piątek kończy dziewięć lat. Masz wnuki?

- Właśnie niedawno urodziła mi się pierwsza wnuczka.

- Jak ma na imię?

- Na razie żadnego. Czekają, aż imię pojawi się samo.

Ytterberg mruknął coś niezrozumiale i opadł ciężko na krzesło. Wskazał na stojący w oknie ekspres do kawy, ale Wallander pokręcił przecząco głową.

- Wychodzimy z założenia, że chodzi o przestępstwo przeciwko życiu i zdrowiu - zaczął Ytterberg. - Od zniknięcia von Enkego upłynęło już zbyt dużo czasu. Cała sprawa jest bardzo dziwna. Nie mamy ani jednego tropu. Nikt go nie widział. Najprawdziwszy przypadek mężczyzny, który rozpląnął się w powietrzu. W lasku roi się od ludzi, ale nikt niczego nie zauważył. To się nie trzyma kupy.

- A może to znaczy, że von Enke odstąpił od codziennej marszruty i nie był w lasku?

Znaczy przynajmniej tyle, że coś się stało w drodze do Lilljansskogen. Cokolwiek się wydarzyło, to tak czy inaczej jest to bardzo osobliwe, że nikt niczego nie zauważył. Nie można zabić człowieka na Valhallavagen, nie zostawiając ani jednego śladu. Nie można też tak bez problemu wciągnąć dorosłego człowieka do samochodu.

- A może jednak mimo wszystko on zniknął dobrowolnie?

- Ponieważ nikt nie zwrócił na niego uwagi, nasuwa się właśnie takie przypuszczenie. A jednocześnie nic innego za tym nie przemawia.

Wallander skinął potakująco.

- Wspomniałeś, że Säpo zainteresowało się tą sprawą. Dołożyli coś od siebie?

Nie spuszczać wzroku z Wallandera, Ytterberg zmrużył oczy i odchylił się na krześle.

- Od kiedy to Säpo w tym kraju dołożyło od siebie coś rozsądnego? Mówią, że to zwykłe rutynowe działania, ponieważ zniknął oficer wysokiej rangi, nawet jeżeli od lat był w stanie spoczynku.

Ytterberg nalał sobie kawy do kubka. Wallander jeszcze raz pokręcił głową.

- Podczas ostatniego przyjęcia urodzinowego von Enke był jakby trochę niespokojny.

Ponieważ Wallander czuł, że może zaufać Ytterbergowi, opowiedział mu o epizodzie na tarasie i o wystraszonym Håkanie.

- I jeszcze coś - dodał na koniec. - Właśnie tamtego wieczoru miałem wrażenie, że Håkan chce mi się zwierzyć. Ale nic w jego opowieści nie tłumaczyło tego niepokoju, nic też nie wskazywało na to, że obdarzył mnie jakimś szczególnym zaufaniem.

- A więc czegoś się bał?

- Tak sądzę. Pomyślałem sobie wtedy, że kapitan okrętu podwodnego raczej nie lęka się urojonych zagrożeń. Życie pod wodą powinno go na nie uodpornić.



- Rozumiem, co masz na myśli - odpowiedział w zamyśleniu Ytterberg.

Nagle z korytarza dobiegł do nich podniesiony damski głos. Wallander

usłyszał, jak jakaś kobieta z wściekłością wykrzykuje, że jest „przesłuchiwana przez pajaca”. Po chwili znów zapadła cisza.

- Zdumiewa mnie też inna sprawa - uzupełnił Wallander. - Przeszukałem jego gabinet w mieszkaniu na Grevgatan. Odniosłem wrażenie, że ktoś tam wcześniej był i wyczyścił archiwum. Trudno mi to dokładniej określić, ale chyba wiesz, jak to jest. Znajdujesz u człowieka jakiś system porządkowania rzeczy, a przede wszystkim podążających jego śladem papierów.

Najprawdziwszą „pianę życia”, jak nazywał je kiedyś pewien stary inspektor. I nagle widzisz, że ten system się załamuje. Powstają osobliwe luki. Wszędzie panuje wzorowy porządek, oprócz jednej szuflady, w której zastałem istny groch z kapustą.

- Co powiedziała żona?

- Że nikogo tam nie było.

- A więc istnieją chyba tylko dwie możliwości. Albo to ona sama zrobiła czystkę z powodów, których nie zamierza zdradzić. Może teraz najzwyczajniej w świecie nie chce się przyznać do własnej ciekawości, bo uważa na przykład, że to żenujące. Albo zrobił to sam Håkan von Enke.

Usłyszawszy słowa kolegi, Wallander pogrążył się w zadumie. Coś powinien zrozumieć, jakiś nagle odsłonięty związek, który już po chwili stracił wyrazistość. Nie udało mu się uchwycić tej myśli, zanim umknęła.

- Powróćmy na chwilę do Säpo - zaproponował Wallander. - Czy naprawdę mogą coś na niego mieć? Jakieś dawne podejrzenia, które przeleżały w zakurzonej szufladzie, a teraz nagle znów okazały się interesujące?

- Zadałem to samo pytanie. I dostałem bardzo mętłą odpowiedź. Można to rozumieć na dwa sposoby. Albo tajniak, który u mnie był, nie miał żadnej konkretnej

informacji, co wcale by mnie nie zdziwiło. Każdy z nas odniósł przecież kiedyś wrażenie, że ludzie z Säpo mają masę wewnętrznych tajemnic, a jednocześnie trudno im zachować to, co wiedzą, wyłącznie dla siebie.

- Ale czy naprawdę znaleźli coś na von Enkego?

Ytterberg rozłożył ramiona i trącił niechcący swój kubek, który wyrócił się, zalewając wszystko kawą. Poirytowany policjant cisnął go do kosza na śmieci, po czym zaczął szybko wycierać biurko i zmoczone dokumenty ręcznikiem leżącym na jednej z półek za stołem. Wallander podejrzewał, że epizod z kawą zdarzył się nie po raz pierwszy.

- Nie znaleźli niczego - odpowiedział Ytterberg, gdy skończył wycierać. - Håkan von Enke jest na wskroś zacnym szwedzkim oficerem. Rozmawiałem z osobą, której nazwiska już nie pamiętam, ale która ma dostęp do spisu oficerów marynarki wojennej. Håkan von Enke to jak słońce bez plam. Zrobił szybką karierę, dość wcześnie uzyskał stopień komandora porucznika, ale później jakby przyhamował. Jego kariera straciła impet, chyba tak można powiedzieć.

Wallander, z brodą opartą na dłoni, zastanawiał się przez chwilę nad tym, co powiedział Sten Nordlander. Według niego Håkan ryzykował swoją karierę. Ytterberg czyścił paznokcie nożem do otwierania listów. Ktoś przechodził korytarzem, gwizdząc jakąś melodię. Ku swojemu zdziwieniu Wallander rozpoznał w niej stary przebój z czasów wojny.

- *We'll meet again... Don't know where, don't know when...*

- zanucił cichutko pod nosem.

- Jak długo zostaniesz w Sztokholmie? - zapytał Ytterberg, przerywając ciszę.

- Jadę do domu po południu.

- Zostaw mi swój numer telefonu, będę cię informował na bieżąco.

Ytterberg odprowadził go do wyjścia na Bergsgatan. Wallander ruszył w kierunku Kungsholms Torg, przywołał

taksówkę i wrócił do hotelu. Powiesiwszy na drzwiach tabliczkę „Proszę nie przeszkadzać”, położył się na łóżku i podjął w myślach wędrówkę do lokalu, gdzie w styczniu odbyło się urodzinowe przyjęcie zaginionego. Wyobraził sobie, że ściąga buty i skrada się na palcach, obserwując zapamiętane przez siebie gesty i słowa Håkana.

Wywracał swoje wspomnienia to na jedną, to na drugą stronę, szukając niespójności i pęknięć. A może to wszystko źle zinterpretował? Może to, co wziął za niepokój, wcale nim nie było? Wyraz twarzy człowieka można odczytać na tyle różnych sposobów. Mrużący oczy krótkowidze są czasem postrzegani jako bezczelni albo pełni pogardy. Mężczyzna, którego tropił, zniknął sześć dni temu. Wallander wiedział, że właśnie przekroczone pewną granicę czasową. Po tak długim czasie zaginięcia albo wracali, albo przynajmniej dawali znak życia. Po Håkanie nie pozostał najmniejszy ślad.

On po prostu zniknął, Wallander kontynuował milczącą konwersację sam ze sobą. Wychodzi na spacer i nie wraca. W domu zostaje jego paszport, mężczyzna nie ma przy sobie ani pieniędzy, ani nawet telefonu komórkowego. To był jeden z punktów, przy którym Wallander się zatrzymał, jedna z tych okoliczności, które wprowadzały go w największe zakłopotanie. Telefon stanowił zagadkę wymagającą rozwiązania, odpowiedzi. Håkan mógł naturalnie go zapomnieć. Ale dlaczego akurat tego dnia, w którym zaginął? To było mało prawdopodobne i potwierdzało wiarygodność tezy, że von Enke nie zniknął dobrowolnie.

Wallander przygotował się do powrotu do Ystad. Godzinę przed odjazdem pociągu przeznaczył na lunch w restauracji w pobliżu dworca. W czasie podróży rozwiązywał krzyżówki, zawsze zostawało mu kilka wyrazów, których - jak na złość - nie potrafił odgadnąć, przede wszystkim jednak intensywnie rozmyślał. Wrócił do domu tuż po dziewiątej. Kiedy odbierał od sąsiadów Jussiego, pies omal nie przewrócił go, skacząc z radości.

Gdy tylko przestąpił próg, poczuł dziwny zapach. Razem z Jussim wywęszyli źródło: kratkę ściekową w łazience. Wallander przepłukał ją dwoma wiadrami wody, ale odór nie złagodniał. Musiały zatkać się rury odprowadzające ścieki do szamba. Nie pozostało nic innego, jak zamknąć drzwi do łazienki. Znajomy hydraulik miewał ciągi alkoholowe, Wallander żywił nadzieję, że akurat teraz nie jest w takim okresie.

Gdy zadzwonił do niego następnego ranka, Jarmo odezwał się zupełnie trzeźwy. Fetor w łazience był równie dokuczliwy, jak poprzedniego dnia. Jarmo przybył po godzinie, a po kolejnej udało mu się wyczyścić rury. Odór zniknął prawie natychmiast. Wallander zapłacił mu za zlecenie na czarno. Nie pochwalał tego, ale Jarmo z zasady był przeciwny wystawianiu faktur. Miał mniej więcej czterdzieści lat i dziecko w każdej wsi.

Wallander zatrzymał go kilka lat wcześniej pod zarzutem paserstwa; chodziło o przedmioty skradzione z kilku magazynów. Mężczyzna okazał się jednak niewinny, zaszło jakieś nieporozumienie. Odkąd Wallander kupił ten dom, to właśnie Jarmo zajmował się jego notorycznie szwankującą kanalizacją.

- No i jak się zakończyła ta historia z bronią? - zapytał radośnie hydraulik, wkładając banknoty do grubego portfela.

- Jeszcze się nie zakończyła. Czekam na decyzję - odparł Wallander, który najchętniej w ogóle by o tym nie rozmawiał.

- Taki pijany to ja chyba nigdy nie byłem - powiedział Jarmo - żeby zapomnieć w knajpie klucza francuskiego.

Wallander nie znalazł żadnej odpowiedniej repliki. Pomachał tylko na pożegnanie, kiedy Jarmo zniknął w swoim przerdzewiałym samochodzie. A później zadzwonił na policję, bezpośrednio do Martinssona. Nagrany na sekretarkę głos oznajmił, że właśnie tego dnia Martinsson przebywa w Lund na seminarium poświęconym nielegalnym transportom uchodźców.

Wallander zastanawiał się przez chwilę, czy nie skontaktować się z Kristiną Magnusson, nie zadzwonił jednak do niej. Rozwiązał jeszcze parę nowych krzyżówek, odmroził lodówkę i poszedł na długi spacer z Jussim. Nudził się bez pracy, nie potrafił sobie znaleźć miejsca.

Gdy zadzwonił telefon, rzucił się na słuchawkę, jak gdyby od dawna czekał na wytęskniony sygnał. Młoda kobieta zapytała go szczebiotliwym głosem, czy nie byłby zainteresowany wynajęciem stołu do masażu, który mieści się w szafie i nie zajmuje dużo miejsca, nawet gdy jest rozłożony. Wallander rzucił słuchawkę na widełki, lecz za chwilę pożałował; przecież Bogu ducha winna dziewczyna nie zasłużyła na tak opryskliwą odpowiedź.

Telefon zadzwonił ponownie. Wallander zawahał się, ale w końcu odebrał. Coś zatrzeszczało na linii, rozmówca znajdował się daleko. Głos dochodził z pewnym opóźnieniem. Mężczyzna mówił po angielsku.

Krzyczał coś głośno, pytał, czy rozmawia z właściwą osobą, chodziło mu o Kurta Wallandera, czy właśnie z nim ma przyjemność?

- Tak, to ja - wrzasnął Wallander prosto w płynący ze słuchawki szum. - Ale kim pan jest?

Nagle wszystko ucichło, jak gdyby rozmowa została przerwana. Wallander już zamierzał odłożyć słuchawkę, kiedy wołający głos powrócił. Teraz słyszał go wyraźniej, był jakby bliżej.

- Wallander? Czy to ty, Kurt?

- Tak, to ja!

- Nazywam się Steven Atkins. Wiesz, kim jestem?

- Wiem. Jesteś przyjacielem Håkana.

- Znalazł się?

- Nie.

- Czy powiedziałaś „nie”?

- Tak, powiedziałem „nie”!

- A więc nie ma go już od tygodnia?

- Tak, mniej więcej.

Znów zaczęły się zakłócenia na linii. Wallander

przypuszczał, że Atkins korzysta z telefonu komórkowego.

- Niepokoję się - zawołał Atkins. - To nie jest człowiek, który ot tak sobie znika.

- Kiedy z nim ostatnio rozmawiałeś?

- W niedzielę, osiem dni temu. Po południu. *Swedish time*.

Dzień przed jego zaginięciem, pomyślał Wallander.

- Kto zadzwonił, ty czy on?

- On. Powiedział, że doszedł do pewnego wniosku.

- Na temat?

- Nie wiem. Tego mi nie zdradził.

- Naprawdę? Tylko tyle, że doszedł do wniosku? Chyba musiał powiedzieć coś więcej?

- Wcale nie musiał. Kiedy rozmawiał przez telefon, był bardzo ostrożny. Czasami dzwonił do mnie z automatu.

Znów zaczęło przerywać. Wallander wstrzymał oddech, nie chciał stracić kontaktu.

- Chcę wiedzieć, co się dzieje. Jestem zaniepokojony.

- Nie napomknął o planowanym wyjeździe?

- Sprawiał wrażenie zadowolonego jak nigdy. A przecież często bywał ponury. Starość mu doskwierała, bał się, że zabraknie mu czasu. Ile masz lat, Kurt?

- Sześćdziesiąt.

- To żaden wiek. Masz jakiś adres mailowy?

Wallander przeliterował z mozołem swój adres, ale nie przyznał się, że prawie nigdy z niego nie korzysta.

- Napisz do ciebie, Kurt - zawołał Atkins. - A może przyjedziesz nas odwiedzić? Ale najpierw znajdź Håkana, dobrze?

Ponowne zakłócenia na linii skończyły się kompletną ciszą.

Połączenie zostało przerwane. Wallander stał ze słuchawką w ręce. *Why don't you come over?* Odłożył ją na widełki i usiadł przy kuchennym stole. Dostał informacje od Stevena Atkinsa z odległej Kalifornii. A teraz odtwarzał w pamięci dialog, punkt po punkcie, słowo po słowie. Na dzień przed zniknięciem Håkan dzwoni do Kalifornii. Nie do Stena Nordlandera, nie do syna.

Czy to był świadomy wybór? Czy również ten ostatni raz Håkan dzwonił z automatu? Czy wyszedł do miasta, żeby zatelefonować? Na to pytanie nie znalazł odpowiedzi. Wallander zapisywał wszystkie myśli, dopóki nie przeanalizował dokładnie całej rozmowy. A potem podniósł się z krzesła, odszedł od stołu parę metrów i spojrzął na swój notatnik, jak malarz, który z odległości patrzy krytycznym okiem na sztalugi.

Naturalnie, to Sten Nordlander przekazał Atkinsowi jego numer telefonu. Nic w tym dziwnego. Atkins był równie zaniepokojony jak wszyscy inni. A może wcale nie? Nagle przeniknęło go osobliwe uczucie, że Håkan von Enke stał obok Atkinsa, gdy ten z nim przed chwilą rozmawiał. Natychmiast odsunął od siebie tę myśl, jakby była zbyt nieprzyzwoita.

Zupełnie nieoczekiwanie ogarnęło go znużenie. Mógł się niepokoić jak wszyscy pozostali. Ale to nie jego zadaniem jest szukanie zaginionego i spekulowanie na temat różnych okoliczności. Nudzę się i wypełniam pustkę jakimiś widmami, pomyślał. A może to taki rodzaj wprawki przygotowującej do nieszczęścia, które nastąpi prędzej czy później, kiedy nieuchronna emerytura dosięgnie również mnie?

Ugotował sobie coś do jedzenia, bez przekonania trochę posprzątał i zaczął czytać sprezentowaną mu przez Lindę historię szwedzkiej policji.

Właśnie zasnął z książką na piersi, gdy obudził go telefon.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - zaczął Ytterberg.

- Nie, absolutnie nie. Właśnie siedzę i czytam.

- Dokonałiśmy odkrycia - mówił. - Chcę, żebyś wiedział.

- Znaleźliście zwłoki?

- Zwęglone ciało. Parę godzin temu w doszczętnie spalonym baraku na Lidingo, niedaleko Lilljansskogen. Wiek raczej się zgadza. Ale w zasadzie nic nie przemawia za tym, że to von Enke. Nie powiedzieliśmy jeszcze nic żonie ani nikomu innemu.

- Gazety?

- Im w ogóle nic nie mówimy.

Tej nocy Wallander znów nie mógł spać. Co chwilę wstawał, brał do ręki książkę o historii szwedzkiej policji i prawie równie szybko ją odkładał. Leżący przy kominku Jussi wodził za nim wzrokiem. Czasami Wallander pozwalał mu spać w domu.

Kilka minut po szóstej zadzwonił Ytterberg. To nie były zwłoki Håkana. Obrączka na jednym ze zwięglonych palców pozwoliła na zidentyfikowanie mężczyzny. Z poczuciem ulgi Wallander zasnął ponownie i spał aż do dziewiątej. Jadł śniadanie, kiedy ponownie zadzwęczał telefon. Tym razem dzwonił Lennart Mattson.

- Dochodzenie dyscyplinarne zostało zakończone. Wydział kontroli postanowił potrącić ci z pensji pięć roboczodniówek.

- To wszystko?

- A co, nie wystarczy?

- Wystarczy, jak najbardziej! To znaczy, że wracam do pracy. Już w poniedziałek.

I tak też się stało. Wczesnym poniedziałkowym rankiem Wallander siedział na krześle za swoim biurkiem. Ale po Håkane dalej nie było śladu.

## 9

Zaginiony mężczyzna wciąż jeszcze się nie znalazł. A Wallander wrócił do pracy i niemal na każdym kroku widział wesołe miny kolegów uradowanych łagodnym wymiarem jego kary. Ktoś nawet zaproponował, żeby zrobić zbiórkę pieniędzy odliczonych przez szwedzkie państwo z pensji inspektora, ale oczywiście nic z tego nie wyszło.

Wallander podejrzewał, że niejeden z witających go w pracy tak naprawdę ukrywa radość z cudzego nieszczęścia, ale postanowił się tym nie przejmować. Nie miał przecież zamiaru wyszukiwać potencjalnych obłudników. Szkoda



mu było na to czasu, a poza tym z pewnością spałby o wiele gorzej, gdyby wieczorami, leżąc w łóżku, złościł się na kolegów, którzy drwili z niego za jego plecami.

Pierwsze dochodzenie Wallandera po zakończonym sukcesem śledztwie w sprawie kradzieży broni, za które zresztą dostał bukiet kwiatów od córki ofiar, dotyczyło poważnego pobicia na promie, który kursował między Ystad a Świnoujściem. To była wyjątkowo brutalna i smutna historia, choć miała klasyczny punkt wyjścia: brakowało wiarygodnych świadków i wszyscy wzajemnie się oskarżali.

Do pobicia doszło w ciasnej kabinie, jego ofiarą padła młoda mieszkanka Skurup. Kobieta wybrała się w tę nieszczęsną przejażdżkę ze swoim chłopakiem, o którym wiedziała, że jest zazdrosny i że alkohol wyzwała w nim agresję. Przez jakiś czas bawili się w towarzystwie młodych mężczyzn z Malmö, dla których jedynym celem podróży było niczym nieograniczone pijaństwo.

Wallander nawet trochę się nad tym zastanawiał. Jak to możliwe, że istnieją ludzie, dla których spędzanie wolnego czasu polega na upijaniu się do nieprzytomności, żeby później niczego nie pamiętać?

Początkowo prowadził dochodzenie zupełnie sam, od czasu do czasu w asyście Martinssona. Zwiększenie nakładów nie było potrzebne, ponieważ sprawców z pewnością dało się znaleźć wśród spotkanych przez kobietę pasażerów promu. Wystarczyło potrząsnąć drzewkiem wystarczająco mocno, żeby owoce zaczęły spadać. A później należało je tylko umieścić w odpowiednich wiaderkach: w jednym mieli znaleźć się niewinni, w drugim ten albo ci, którzy - pobiwszy dziewczynę dotkliwie i niemal oderwawszy jej lewe ucho - zostawili ją półżywą w kajucie.

W sprawie Håkana nie wydarzyło się nic nowego. Wallander prawie codziennie rozmawiał z Ytterbergiem, który wciąż nie mógł uwierzyć, że komandor zniknął z własnej woli. Świadczył o tym zostawiony w domu

paszport, a poza tym fakt, że nie używano karty kredytowej zaginionego. Ale przede wszystkim chodziło o charakter tego mężczyzny, twierdził Ytterberg. Po prostu Håkan von Enke to nie jest człowiek, który nagle znika i bez słowa opuszcza żonę. Tu się coś nie zgadza.

Wallander rozmawiał też dość często z Louise. Dzwoniła zawsze ona, najczęściej koło siódmej wieczorem, kiedy zazwyczaj był już w domu i jadł byle jaki obiad. Zrozumiał, że pogodziła się z myślą o śmierci męża. Na konkretne pytanie o sen odpowiedziała, że sypia całkiem dobrze dzięki środkom farmakologicznym.

Wszyscy czekają, pomyślał, odkładając słuchawkę. A tu ani dymu, ani popiołu. Håkan wyszedł, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i rozpułnął się w nim. Czy gdzieś rozkładają się jego zwłoki? A może właśnie je teraz kolację? Na innej planecie, pod innym nazwiskiem, z nieznaną osobą po drugiej stronie stołu?

Co sądził sam Wallander? Doświadczenie mówiło mu, że wszelkie przesłanki wskazują na śmierć zaginionego. Obawiał się, że pewnego dnia dowiedzą się o jakimś banalnym wydarzeniu, może o tragicznym w skutkach napadzie, który doprowadził do śmierci Håkana. Ale do końca nie był pewien. Mimo wszystko istniała jeszcze jakaś szansa, że von Enke zniknął z własnej woli, nawet jeżeli ciągle nie udało im się dociec, co mogło być przyczyną tego niespodziewanego manewru.

Najzagorzalszą przeciwniczką teorii o zamordowaniu von Enkego była Linda. To nie jest człowiek, którego tak po prostu się uśmierca, powiedziała lekko wzburzona, siedząc z ojcem w ich ulubionej cukierni. Córeczka spała obok w wózku. Linda również nie potrafiła zrozumieć, dlaczego teść miałby odejść bez słowa wyjaśnienia. Hans nigdy nie dzwonił z własnej inicjatywy, z rozmów z córką Wallander wnioskował, że on też jest przejęty. Ale nigdy nie pytał, nie chciał się wtrącać do ich życia.

Steven Atkins zaczął przysyłać długie maile, strona za stroną. Im dłuższe były jego listy, tym zwięźlej Wallander

odpowiadał. Chętnie napisałby więcej, ale czuł się tak niepewny w angielskim, że nie miał odwagi budować zbyt skomplikowanych konstrukcji.

Dowiedział się, że Atkins mieszka w pobliżu Point Loma, wielkiej bazy marynarki wojennej na obrzeżach San Diego w Kalifornii. Miał niewielki dom na osiedlu zamieszkanym prawie wyłącznie przez sędziwych weteranów. W najbliższym kwartale „można było, praktycznie biorąc, zebrać jedną albo dwie załogi okrętu podwodnego, do ostatniego żołnierza”. Wallander zastanawiał się, jak by to było żyć w dzielnicy zamieszkannej tylko przez byłych policjantów. Przeszedł go dreszcz zgrozy.

Atkins pisał o swoim życiu, o swojej rodzinie, dzieciach i wnukach. Przysłał nawet załączniki ze zdjęciami, które Wallander otworzył dopiero przy pomocy Lindy. To były pełne słońca fotografie ze statkami wojennymi w tle. Na pierwszym planie widniał Atkins w mundurze i jego wielka rodzina uśmiechająca się do obiektywu. Łysy i chudy Steven obejmował swą równie szczupłą i uśmiechniętą, ale niepozobawioną włosów żonę.

Wallander odniósł wrażenie, że zdjęcie wyjęto prosto z reklamy jakiegoś proszku do prania albo nowego rodzaju płatków śniadaniowych. Rumiana amerykańska rodzina machała do niego radośnie z ekranu.

Zaglądając do kalendarza, Wallander uświadomił sobie, że właśnie minął miesiąc, odkąd Håkan von Enke opuścił mieszkanie na Grevgatan, zamknął za sobą drzwi i nigdy nie powrócił. Akurat tego dnia rozmawiał długo przez telefon z Ytterbergiem. 11 maja Sztokholm zalewały strugi deszczu. Ytterberg wydawał się pełen zwątpienia, Wallander nie umiał ustalić, czy chodzi o pogodę, czy o powodzenie śledztwa. On sam siedział i myślał, jak znaleźć prawdziwego sprawcę tego smutnego pobicia na promie. Innymi słowy, tego dnia rozmawiało ze sobą dwóch zmęczonych i dość markotnych policjantów. Wallander zapytał, czy Säpo ciągle okazuje zainteresowanie sprawą zaginięcia Håkana.

- Od czasu do czasu pojawia się u nas niejaki William - odparł Ytterberg. - Szczerze mówiąc, nie wiem, czy to jego imię, czy nazwisko. Nie mogę też powiedzieć, że to mnie jakoś szczególnie obchodzi. Kiedy tu był ostatnio, miałem ochotę go udusić. Zapytałem, czy nie znaleźli czegoś, co mogłoby nam pomóc w śledztwie. Taka zwykła ludzka wymiana usług, co ponoć stanowi fundament demokratycznie wzniesionej budowli zwanej Szwecją. Choćby jakieś najmniejsze przypuszczenie na temat tego zaginięcia.

Ale oczywiście on nie miał żadnej hipotezy. Przynajmniej tak powiedział. A czy to prawda, tego nigdy się nie dowiemy. Cała ich egzystencja zawodowa polega na grze, w której najostrzejszymi narzędziami są kłamstwa i oszustwa. Że jako policjanci czasami dajemy się na to nabrać, to nic dziwnego, ale to przecież nie jest podstawą naszej egzystencji.

Po zakończonej rozmowie Wallander wrócił do otwartej na biurku teczki z zapisem przesłuchań. Obok leżało zdjęcie twarzy zmasakrowanej kobiety. Dlatego to wszystko robię, pomyślał. Ponieważ ona wygląda, jak wygląda, ponieważ ktoś ją nieomal zabił.

Kiedy po południu Wallander zjawił się w domu, Jussiemu coś dolegało. Leżał w budzie i nie chciał ani jeść, ani pić. Zaniepokojony Wallander oblał się zimnym potem. Natychmiast zadzwonił do znajomego weterynarza, który kiedyś pomógł mu odnaleźć mężczyznę znęcającego się bestialsko nad młodymi końmi, które pasły się na łąkach pod Ystad. Weterynarz mieszkał w Kåseberdze i obiecał przyjechać jak najszybciej.

Zbadawszy psa, nie miał wątpliwości, że Jussi po prostu zjadł coś nieodpowiedniego i że niedługo wróci do zdrowia. Tej nocy leżał na dywaniku przed kominkiem, a Wallander od czasu do czasu go doglądał. Rankiem pies stanął na własnych, choć odrobinę drżących łapach.

Wallander pojechał do pracy z ogromną ulgą. Kiedy włączył komputer, zanotował mimochodem, że minęło pięć

dni, odkąd dostał ostatnią wiadomość od Atkinsa. Może skończyły mu się historie do opowiedzenia, może zabrakło zdjęć do wysłania? Ale tego samego dnia przed dwunastą, właśnie gdy Wallander zaczął zastanawiać się, czy pojechać na lunch do domu, czy zjeść w mieście, zadzwonił telefon. Recepcjonistka poinformowała go, że ma gościa.

- Kto? I w jakiej sprawie?

- To obcokrajowiec. Wygląda na policjanta.

Wallander zszedł do recepcji. Od razu zrozumiał, kto do niego przyszedł z wizytą. Nie miał na sobie munduru policjanta, tylko uniform amerykańskiej marynarki wojennej. Z czapką pod pachą stał przed nim Steven Atkins.

- Nie zamierzałem pojawić się bez uprzedzenia - zaczął. - Niestety, pomyliłem się co do godziny przylotu do Kopenhagi. Dzwoniłem do ciebie i do domu, i na komórkę, ale nie odpowiadałeś, no więc przyjechałem tutaj.

- Czuję się naprawdę zaskoczony - odpowiedział Wallander. - Ale oczywiście miło cię widzieć! Czy dobrze zrozumiałem, że jesteś w Szwecji pierwszy raz?

- Tak. Mimo że Håkan, mój zaginiony przyjaciel, wielokrotnie mnie zapraszał, nigdy nie doszło do takiej wyprawy.

Zjedli lunch w restauracji, którą Wallander uważał za najlepszą w mieście. Atkins był uprzejmym człowiekiem; rozglądał się ciekawie dookoła, zadawał nie tylko grzecznościowe pytania i uważnie słuchał odpowiedzi. Początkowo Wallanderowi trudno było wyobrazić go sobie w roli dowódcy łodzi podwodnej, szczególnie jednego z największych amerykańskich okrętów o napędzie atomowym. Był jakby zbyt jowialny. Chociaż oczywiście Wallander zdawał sobie sprawę, że brakuje mu kwalifikacji, by oceniać, kto nadaje się na dowódcę okrętu podwodnego, a kto nie.

Atkins przyjechał do Szwecji wiedziony jedynie niepokojem o przyjaciela. Wallander wzruszył się, widząc jego troskę. Stary człowiek, któremu zabrakło drugiego

starego człowieka; niewątpliwie wiązała ich głęboka przyjaźń.

Amerykanin wynajął pokój w hotelu Hilton przy lotnisku Kastrup. Przyjechał do Ystad wynajętym samochodem.

- Musiałem przecież przejechać się tym długim mostem - powiedział ze śmiechem.

Wallander nagle pozazdrościł mu błyszczących białych zębów. Po posiłku zadzwonił do komendy i zostawił informację, że już dzisiaj nie wróci. A później - wskazując gościowi drogę - pojechał z nim do swojego domu. Atkins okazał się miłośnikiem psów i od razu przypadł do gustu Jussiemu, którego wzięli na smycz i razem wybrali się na długi spacer. Szli między polami, od czasu do czasu zatrzymywali się i podziwiali falujące łąny.

Nagle Atkins odwrócił się do Wallandera i zagryzł wargi.

- Czy Håkan nie żyje?

Wallander przejrzał jego taktykę. Amerykanin wypalił bez namysłu, uniemożliwiając mu ukrycie się za wymijającą odpowiedzią, która może nie do końca byłaby prawdziwa. Chciał mieć jasność. Przez moment zamienił się w dowódcę okrętu podwodnego, który żądał jasnego stanowiska, czy okręt jest stracony, czy nie.

- Nie wiemy. Po prostu zaginął bez śladu.

Atkins przyglądał mu się długo, potem niespiesznie skinął głową. Ruszyli dalej, po półgodzinie wrócili do domu. Wallander zaparzył kawę i razem usiedli przy stole w kuchni.

- Opowiadałeś o waszej ostatniej rozmowie telefonicznej - zaczął Wallander.

- Dlaczego człowiek mówi, że doszedł do jakiegoś wniosku, jeżeli jego rozmówca nie ma pojęcia, o co chodzi?

- Czasami wydaje się nam, że ta druga osoba wie, co mamy na myśli - odparł Atkins. - Może Håkan sądził, że wiem, o co chodzi?

- Rozmawialiście przecież wiele razy. Czy jakiś temat powracał? Czy coś było ważniejsze niż wszystko inne?

Wallander nie przygotował wcześniej swoich pytań.

Nasunęły się teraz same, tak po prostu, jakby od początku oczywiste.

- Byliśmy rówieśnikami - powiedział Atkins. - Obaj byliśmy dziećmi zimnej wojny. *The cold war*. Miałem dwadzieścia trzy lata, kiedy Rosjanie wystrzelili swój sputnik. Pamiętam, że wpadłem w panikę, pomyślałem, że zaczynają nas wyprzedzać. Håkan opowiadał kiedyś, że przeżył coś podobnego, ale łagodniej, nie czuł przerażenia. Rosjanie co prawda gdzieś tam się czaili, jednak dla niego nie byli takimi potworami jak dla mnie.

W każdym razie uformowały nas właśnie tamte czasy. Håkanowi nie podobało się, że Szwecja nie weszła do NATO. Uważał, że to fatalna pomyłka. Sądził, że neutralność to nie tylko coś niebezpiecznego i błędnego, ale również zwykła hipokryzja. Staliśmy po tej samej stronie barykady. Cokolwiek ze swoich mównic wygłaszali politycy, Szwecja nie znajdowała się przecież na neutralnej ziemi niczyjej.

Pamiętam po dziś dzień, jak Håkan zadzwonił do mnie, kiedy zdemaskowano tego szwedzkiego szpiega Wennerströma. To było w czerwcu 1963 roku. Pełniłem wtedy funkcję zastępcy kapitana na okręcie podwodnym, który miał wyruszyć na Pacyfik. Håkan nie oburzał się na zdradę pułkownika i jego szpiegostwo na rzecz Rosjan. On wręcz nie posiadał się z radości! Nareszcie Szwedzi będą mogli zrozumieć, co tu się naprawdę dzieje. Rosjanie infiltrowali wszystko, co zdołała stworzyć szwedzka obrona narodowa. Renegaci byli wszędzie, jedynie członkostwo w NATO mogło uratować Szwecję tego dnia, w którym Związek Radziecki zdecyduje się na atak.

Pytasz, czy coś powracało w naszych rozmowach? Polityka, zawsze o niej mówiliśmy. A szczególnie o tym, jak politycy ograniczają nasze możliwości zachowania równowagi sił w stosunku do Rosjan. Tak naprawdę nie przypominam sobie ani jednej rozmowy, która nie dotyczyłaby polityki.

- Jeżeli w waszych rozmowach dominowała polityka, w

takim razie o jakim wniosku mówił Håkan? Czy zdarzało się wcześniej, że wyciągał wnioski, z których tak bardzo się cieszył?

- Z tego co pamiętam, raczej nie. Ale znaliśmy się od prawie pięćdziesięciu lat. Wiele wspomnień się zatarło.

- Jak się spotkaliście?

- Tak jak to zazwyczaj bywa z ważnymi spotkaniami. Poznaliśmy się wskutek zadziwiającego splotu okoliczności.

Za oknem zaczęło padać. Atkins był o wiele bardziej fascynującym gawędziarzem niż mężczyzna, którego Wallander słuchał w pozbawionym okien pokoju w Djursholmie. Ale to może zasługa języka, pomyślał.

Zawsze mi się wydawało, że opowieści po angielsku są bogatsze albo nawet ważniejsze niż te wysłuchane w języku ojczystym.

- To było prawie pięćdziesiąt lat temu, dokładnie w sierpniu 1961 roku - powiedział Atkins stłumionym głosem. - Zobaczyliśmy się pierwszy raz chyba w najmniej typowym miejscu na spotkanie dwóch młodych oficerów marynarki wojennej. Pojechałem do Europy razem z ojcem, który był pułkownikiem w armii. Chciał mi pokazać Berlin, tę niewielką twierdzę w środku radzieckiej strefy. Lecieliśmy Pan-Amem z Hamburga, pamiętam, że na pokładzie znajdowali się głównie żołnierze i tylko kilku ubranych na ciemno duchownych.

Sytuacja w Europie była napięta, ale kiedy już dotarliśmy na miejsce, nigdzie nie widziałem żadnych wschodnich i zachodnich czołgów zwróconych przeciw sobie jak drapieżne zwierzęta gotowe do ataku. Któregoś wieczoru, w pobliżu Friedrichstrasse, nagle znaleźliśmy się w tłumie ludzi. Naprzeciw nas żołnierze ze wschodniej części rozciągali drut kolczasty, a później zaczęli wznosić ścianę z cegieł i cementu.

Obok mnie stał mężczyzna w moim wieku, w mundurze. Zapytałem go, skąd pochodzi. Odpowiedział, że ze Szwecji,



i to był właśnie Håkan. Tak się poznaliśmy. Staliśmy tam i patrzyliśmy, jak przedzielano Berlin murem, jak że tak powiem, okaleczano świat. Ulbricht, wschodnioniemiecki przywódca, wyjaśniał, że chodzi o „ratowanie wolności i stworzenie podwalin dla dalszego rozkwitu socjalistycznego państwa”.

Tego samego dnia zobaczyliśmy starszą, zapłakaną kobietę. Miała na sobie liche ubranie, a na twarzy wielką bliznę; jedno jej ucho było chyba czymś w rodzaju plastikowej protezy przymocowanej pod włosami, ale tego nie byliśmy pewni. Za to zobaczyliśmy wyraźnie i zapamiętaliśmy na zawsze jej gest: wyciągnęła rękę, jakby w poczuciu bezsilności wobec ludzi, którzy wznoszą mur tuż przed jej nosem. Ta uboga kobieta nie wisiała na krzyżu, tylko wyciągnęła rękę, wyciągnęła ją do nas.

Myślę, że właśnie w tym momencie obydwaj tak naprawdę zrozumieliśmy nasze zadanie. Mieliśmy ocalić wolny świat i pilnować, żeby żadne inne kraje nie zostały odgrozione więziennymi murami. Utwierdziliśmy się w tym przekonaniu jeszcze mocniej zaledwie parę tygodni później, kiedy Rosjanie wznowili próby z bronią atomową. Zdążyłem wrócić do Groton, gdzie pełniłem służbę, a Håkan siedział w pociągu i też jechał do domu.

Wymieniliśmy się wcześniej adresami i to był początek naszej przyjaźni trwającej po dziś dzień. Håkan miał wtedy dwadzieścia osiem lat, ja właśnie skończyłem dwadzieścia siedem. Czterdzieści siedem lat to szmat życia.

- Odwiedził cię kiedyś w Ameryce?

- Przyjeżdżał często. Na pewno był u nas z piętnaście razy, może więcej.

Odpowiedź zaskoczyła Wallandera. Myślał, że von Enke złożył zaledwie kilka wizyt w USA. Czy Linda tak mu powiedziała? A może sam to sobie wymyślił? W każdym razie teraz wiedział, że było inaczej.

- Wypada więc jedna podróż na trzy lata - zauważył Wallander.

- Był wielkim miłośnikiem Ameryki.

- Zatrzymał się na długo?

- Zazwyczaj co najmniej na trzy tygodnie. Towarzyszyła mu Louise. Dobrze się dogadywała z moją żoną. Zawsze cieszyliśmy się na ich przyjazd.

- Wiesz, że ich syn mieszka w Kopenhadze?

- Umówiłem się z nim na dzisiejszy wieczór.

- Czyli na pewno także wiesz, że Hans jest partnerem mojej córki?

- Wiem. Ale z nią spotkam się innym razem. Hans jest strasznie zapracowany. Mamy się zobaczyć dopiero po dziesiątej, w hotelu. Jutro lecę do Sztokholmu na spotkanie z Louise.

Przestało padać. Samolot podchodzący do lądowania w Sturup przelatywał nisko nad domem. Szyby w oknach zadrżały.

- Jak myślisz, co się mogło stać? - zapytał Wallander. - Znałeś go przecież lepiej niż ja.

- Nie wiem. I niechętnie odpowiadam w ten sposób. Niezdecydowanie przeczy całemu mojemu jestestwu. Ale trudno mi sobie wyobrazić, by Håkan odszedł dobrowolnie, by opuścić żonę, syna, a teraz jeszcze wnuczkę, by zostawił ich w niepewności i lęku. Wciążam na maszt białą flagę, wbrew sobie samemu.

Atkins opróżnił swoją filiżankę i wstał. Musiał wracać do Kopenhagi. Wallander udzielił mu wskazówek, jak powinien jechać, by w najprostszy sposób dotrzeć do głównej szosy. Tuż przed pożegnaniem mężczyzna wyjął z kieszeni niewielki kamień i wręczył go gospodarzowi.

- To prezent - wyjaśnił. - Słyszałem kiedyś, jak stary Indianin opowiadał o tradycji swojego szczepu. Chyba chodziło o Kiowa. Jeśli człowiek ma jakiś problem, wkłada sobie do ubrania kamień, najlepiej dość ciężki, i nosi go tak długo, dopóki nie wybrnie z kłopotów. Wtedy może go wyjąć i iść dalej, znowu z uczuciem lekkości. Włóż ten kamień do kieszeni i zostaw go tam, dopóki nie dowiemy się, co stało się z Håkanem.

To chyba najzwyczajniejszy szary granit, pomyślał

Wallander, pożegnawszy Atkinsa, który właśnie zniknął za wzniesieniem. Jednocześnie przypomniał sobie kamień leżący na biurku w mieszkaniu przy Grevgatan. Pomyślał o pierwszym spotkaniu Atkinsa z Håkanem. Wallander nie pamiętał wiele z tych sierpniowych dni 1961 roku. Jedyne, co pozostało mu w pamięci z tamtych czasów, kiedy skończył trzynaście lat, to prawdziwa burza hormonów, która - dopadłszy go - zamieniła jego życie w niekończące się marzenia. Marzenia o kobietach, zmyślonych albo rzeczywistych.

Wallander należał do pokolenia, które wchodziło w dorosłe życie w latach sześćdziesiątych. Nigdy jednak nie był zaangażowany w żaden z ruchów politycznych, nigdy nie brał udziału w marszach protestacyjnych w Malmö, nigdy do końca nie zrozumiał, o co chodziło w wojnie w Wietnamie, i nigdy nie interesował się ruchem wyzwoleniczym w krajach, o których nawet nie wiedział, gdzie leżą.

Linda nierzadko wypominała mu tę niewiedzę. Politykę najczęściej ignorował jako siłę wyższą, która określa możliwości policji w utrzymaniu ładu i porządku i w zasadzie do niczego więcej nie jest potrzebna. Wprawdzie chodził na wybory, ale zawsze wahał się do ostatniej chwili. Jego ojciec był zagorzałym socjaldemokratą i na tę partię najczęściej głosował również on, choć rzadko z prawdziwym przekonaniem.

Spotkanie z Atkinsem wzbudziło w nim niepokój. Szukał w swoim wnętrzu muru berlińskiego, ale nie potrafił go odnaleźć. Czy naprawdę żył tak ograniczonym życiem, że rozgrywane wokół niego wydarzenia nigdy go nie emocjonowały? A co go w ogóle poruszało? Oczywiście zdjęcia skrzywdzonych dzieci, ale też nie do tego stopnia, żeby podjął jakieś działania. Zawsze miał wymówkę w postaci pracy. W pracy bowiem udawało mu się czasami pomóc ludziom, usuwając z ulic sprawców przestępstw. Ale poza tym? Spojrzał na pola, na których jeszcze nic nie wyrosło. Nie znalazł jednak tego, czego szukał.

Wieczorem uprzątnął wszystko z biurka i wysypał na pusty blat puzzle, które rok temu dostał od Lindy na urodziny. Motywem był jeden z obrazów Degasa. Sortując metodycznie poszczególne elementy, ułożył wkrótce lewy dolny róg obrazu.

Cały czas rozmyślał o historii Håkana, choć najintensywniej zastanawiał się nad własnym losem.

Nie ustawał w poszukiwaniu muru berlińskiego, który nie istniał.

## 10

Pewnego popołudnia na początku czerwca zadzwonił do Wallandera niemłody już mężczyzna, którego Kurt z trudnością umiejscowił w pamięci. To nie było chyba aż tak dziwne, ponieważ nie widzieli się od ponad dziesięciu lat, a wcześniej spotkali się zaledwie kilka razy.

Ostatnio - na pogrzebie ojca Wallandera. Mężczyzna nazywał się Sigfrid Dahlberg i był jednym z jego sąsiadów. Czasami pomagał mu odgarniać śnieg i dbać o żwirową dróżkę. W podziękę stary Wallander ofiarowywał mu co roku jeden ze swoich obrazów. Kurt kilka razy próbował wyjaśnić ojcu, że sąsiad może wcale nie chce mieć na ścianach kilkunastu płócien, i to identycznych, ale jego argumenty były zbywane ponurym milczeniem.

Po śmierci ojca i sprzedaży jego domu Wallander nie utrzymywał kontaktu z Dahlbergami. A teraz oto dzwonił do niego stary Dahlberg. Jego żona Aina, którą Wallander prawdopodobnie widział jeden jedyny raz, miała już niewiele życia przed sobą. Chorowała na nieuleczalnego raka, nie dało się już niczego zrobić, kobieta pogodziła się ze swoim losem.

- Ale chce się z panem spotkać - powiedział Dahlberg. - Chce panu coś powiedzieć. Nie wiem co.

Wallander wahał się, w końcu jednak zwyciężyła ciekawość. Jeszcze tego samego dnia wsiadł w samochód i pojechał do domu opieki w Hammenhog, gdzie leżała Aina

Dahlberg. W recepcji przyjęła go pielęgniarka, która - oznajmiwszy z uśmiechem, że chodziła do równoległej klasy z Lindą - zaprowadziła go na oddział.

Wallandera nieprzyjemnie poruszył widok starych ludzi posuwających się niezdarnie z balkonikami albo siedzących nieruchomo ze wzrokiem wbitym w ścianę, ludzi odizolowanych od świata i otoczonych ciszą. Jego lęk przed starością wcale nie malał z upływem lat, wręcz przeciwnie - nieustannie się pogłębiał. Miał wrażenie, że jakaś niewidoczna dźwignia unosi go bezgłośnie do punktu, w którym przestanie już radzić sobie sam. Niepokoiły go reportaże w gazetach i telewizji o nagminnych przypadkach zaniedbań w opiece nad starszymi osobami; najczęściej chodziło o prywatne domy opieki, w których personel zredukowano poniżej granicy przyzwoitego minimum.

Zatrzymali się przed drzwiami.

- Aina Dahlberg jest ciężko chora - powiedziała pielęgniarka. - Ale pan jest policjantem, na pewno widział pan ludzi w bardzo różnym stanie, prawda?

Wallander momentalnie pożałował, że zgodził się na odwiedziny. Kobieta leżała w pokoju sama. Była straszliwie wychudzona, miała otwarte usta i wpatrywała się w niego szklistymi oczami, w których - jak mu się wydawało - widział tylko przerażenie. Czuł zapach moczu. Dokładnie jak tuż przed śmiercią ojca, kiedy został sam, a Gertrud już się nad nim nie litowała. Podszedł do łóżka i dotknął ręki Ainy. Nie poznawał jej, ale gdzieś jeszcze tliła się słaba iskierka tej kobiety, którą kiedyś spotkał. Ona natomiast wiedziała, kto przed nią stoi, i od razu zaczęła mówić, jakby w obawie, że nie starczy jej czasu, co zresztą było prawdą.

Wallander pochylił się, żeby lepiej słyszeć. Z ust kobiety dochodziło coś, co bardziej przypominało syk niż słowa. Poprosił, żeby powtórzyła, jeszcze raz i jeszcze raz, zanim zrozumiał, co chciała mu przekazać. Zakłopotany zapytał, jak się czuje. Nie potrafił powstrzymać tego idiotycznego

pytania. Poglaskał ją jeszcze po dłoni i wyszedł z pokoju.

W korytarzu zobaczył kobietę, która pieszczotliwie gładziła liście jakiejś rośliny doniczkowej. Oddalił się w pośpiechu. Dopiero gdy stanął przed budynkiem, zaczął się zastanawiać nad sensem wypowiedzianego przez Ainę Dahlberg zdania. „Miał pan ojca, który ogromnie pana kochał”. Dlaczego wezwała go, żeby mu to powiedzieć? Znajdował tylko jedno wyjaśnienie: myślała, że on o tym nie wie, i chciała mu to teraz przekazać, zanim sama odejdzie.

Wallander wrócił do Ystad i zaparkował niedaleko przystani żeglarskiej. Podszedł do ławki na samym końcu mola. To tu znajdował się jego konfesjonał bez księdza, jego szczególne miejsce, w którym zaszywał się, by w samotności rozstrzygać męczące go dylematy. Po zimnej i deszczowej wiośnie zapanował wreszcie pierwszy letni wyż. Wallander ściągnął kurtkę, wystawił twarz do słońca, zamknął oczy. Lecz natychmiast je otworzył. Twarz Ainy Dahlberg przesłoniła mu światło niczym błona. „Miał pan ojca, który ogromnie pana kochał”. Często zadawał sobie pytanie, czy tak naprawdę było. Fakt, że wybrał zawód policjanta, na zawsze pozostał między nimi kością niezgody. Nigdy się nie pojednali.

Ale przecież życie musiało być czymś więcej. Mona uważała, że jego ojciec jest okropny, nigdy nie chciała do niego jeździć. Skończyło się na tym, że jeśli wybierali się do Löderup, to tylko on i Linda. Wobec wnuczki stary Wallander zawsze był życzliwy. Dla niej miał cierpliwość, której jako dzieci nie zaznali ani Kurt, ani jego siostra Kristina.

Był człowiekiem, który nieustannie się wymykał, pomyślał Wallander. Czy ja też taki się staję?

Mężczyzna w jego wieku siedział na relingu niewielkiego kutra i czyścił sieć rybacką. Całkowicie skoncentrowany na swojej pracy nucił coś cicho pod nosem. Patrząc na niego, Wallander pomyślał, że akurat w tym momencie chętnie by się z nim zamienił, zamieniłby ławkę na sieć, a komendę

policii na piękną drewnianą łódź powleczoną pokostem.

Ojciec stanowił dla niego zagadkę. Czy on też jest równie wielką zagadką dla Lindy? Co powie kiedyś o dziadku jego wnuczka? Czy będzie w jej oczach jedynie siwym, małomównym i przesiadującym w domu starym policjantem, którego coraz rzadziej ktokolwiek odwiedza? Tego się obawiam, pomyślał, i mam do tego wszelkie podstawy. Nigdy należycie nie pielęgnowałem swoich znajomości i przyjaźni.

A teraz w wielu przypadkach było już za późno. Kilka bliskich mu osób nie żyło. Przede wszystkim Rydberg, ale również jego stary przyjaciel Sten Widen. Wallander nigdy nie rozumiał ludzi, którzy twierdzą, że śmierć nie przeszkadza w dalszym utrzymywaniu kontaktów ze zmarłym, że rozmowa toczy się dalej, mimo że jeden z jej uczestników spoczywa w grobie. Nigdy mu się to nie udało. Zmarli pozostali jedynie twarzami, których prawie nie pamiętał, a ich głosy już do niego nie przemawiały.

Niechętnie podniósł się z ławki, musiał wracać do komendy. Dochodzenie w sprawie pobicia na promie dobiegło końca, skazano jednego mężczyznę, choć Wallander miał pewność, że tak naprawdę sprawców było dwóch. Śledczym nie udało się odnieść całkowitego zwycięstwa, musieli zadowolić się połowicznym sukcesem: przestępca został skazany, ofiara uzyskała zadośćuczynienie, jeżeli ono w ogóle było możliwe, skoro kobiecie zmasakrowano twarz. Drugi sprawca prześlizgnął się jednak przez oka sieci i Wallander zastanawiał się, czy nie mogli lepiej przeprowadzić dochodzenia.

Wrócił ze swojej wycieczki na przystań o trzeciej po południu. Na biurku leżała wiadomość o telefonie od Ytterberga. Osoba przyjmująca informację dopisała, że sprawa jest pilna. W policyjnym życiu Wallandera wszystkie sprawy były niecierpiące zwłoki. Chyba nigdy nie odebrał wiadomości, która nie byłaby pilna. Dlatego też nie zadzwonił od razu, tylko najpierw - spełniając prośbę Lennarta Mattsona o komentarz - zaczął czytać pismo z

Głównego Zarządu Policji dotyczące kolejnej z nieustannych reorganizacji, którymi uszczęśliwiano poszczególne okręgi policyjne.

Tym razem proponowano stworzenie systemu, który w dni wolne od pracy zapewniałby bardziej widoczną obecność policji na ulicach nie tylko w wielkich aglomeracjach, ale również w takich miastach jak Ystad. Wallander czytał dokument, zzymając się na jego zawily, urzędowy język, a gdy skończył, doszedł do wniosku, że tak naprawdę nie pojmuje, o co w tym wszystkim chodzi. Napisał kilka nic niemówiących uwag i włożył papiery do koperty. Przed pójściem do domu zamierzał zostawić ją komendantowi w jego przegródce na korespondencję.

Później zadzwonił do Ytterberga, który odebrał natychmiast.

- Dzwoniłeś - powiedział Wallander.

- Ona też zniknęła.

- Kto?

- Louise. Louise von Enke. Jej też nie ma.

Wallander wstrzymał oddech. Czy na pewno dobrze zrozumiał? Poprosił Ytterberga, żeby powtórzył.

- Louise von Enke zniknęła.

- Ale co się stało?

Wallander usłyszał szelest papierów. Ytterberg szukał w swoich notatkach. Chciał złożyć dokładne sprawozdanie.

- Przez ostatnie lata małżeństwo von Enke zatrudniało do sprzątania Bułgarkę: ma pozwolenie na pobyt, a na imię dokładnie tak, jak bułgarska stolica, czyli Sofia, jeżeli czegoś nie przekręcą. Przychodzi do nich w poniedziałki, środy i piątki, na trzy godziny przed południem. W ostatni poniedziałek też była i wszystko wyglądało jak zwykle. Ta kobieta sprawia wrażenie osoby godnej zaufania, kiedy się z nią rozmawia.

Przekazane przez nią informacje są jasne i konkretne, a ona sama jak najbardziej przy zdrowych zmysłach. Oprócz tego mówi zadziwiająco dobrze po szwedzku, nawet z elementami slangu z Södermalmu. Ciekawe, skąd jej się to



wzięło? Kiedy wychodziła z mieszkania w poniedziałek około pierwszej, zapowiedziała się jak zwykle na środę. W środę, o dziewiątej rano, mieszkanie było puste. Sprzątaczką nie widziała w tym nic dziwnego, bo Louise nie zawsze czekała na nią w domu, więc nie zwracała sobie tym głowy.

Ale kiedy przyszła tam dzisiaj rano, zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Uważa, że od środy Louise nie pojawiła się w domu, bo wszystko było nietknięte. Louise nigdy nie wyjeżdżała na dłużej bez zapowiedzi. Tym razem jednak nie zostawiła żadnej wiadomości, niczego, tylko puste mieszkanie. Sofia zadzwoniła do Kopenhagi, do syna Louise, i Hans powiedział jej, że rozmawiał z matką w niedzielę, czyli licząc od dzisiaj, pięć dni temu. Później zadzwonił do mnie. A tak przy okazji, czy ty rozumiesz, czym on się zajmuje?

- Pieniędźmi - powiedział Wallander. - Niczym innym, tylko pieniędźmi.

- To musi być fascynujące zajęcie - odpowiedział w zamyśleniu Ytterberg.

Po chwili powrócił do swoich notatek.

- Hans podał mi numer telefonu do Sofii i razem z nią przeszukaliśmy mieszkanie. Okazało się, że ta dama z Bułgarii nieźle się orientuje w zawartości szaf i innych mebli. I w końcu powiedziała to, czego absolutnie nie chciałem usłyszeć. Przypuszczam, że wiesz, o co mi chodzi?

- Tak - odpowiedział Wallander. - Nic nie zginęło.

- No właśnie! Ani jedna torebka, żaden portfel, nawet paszport. Wszystko leżało w szufladzie, tam, gdzie Louise zwykła te rzeczy przechowywać.

- Telefon komórkowy?

- Ładował się w kuchni. Szczerze mówiąc, dopiero gdy zobaczyłem jej komórkę, naprawdę się zaniepokoiłem.

Wallander zamyślił się. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że po zniknięciu Håkana von Enkego nastąpi kolejne zaginięcie.

- To niesamowite - odezwał się w końcu. - Czy istnieje

jakieś sensowne wyjaśnienie tego wszystkiego?

- Ja takiego nie dostrzegam. Zadzwoiłem do najbliższych przyjaciół domu, ale nikt jej nie widział i nikt z nią nie rozmawiał od niedzieli, kiedy Louise zatelefonowała do Katariny Linden, żeby zapytać ją o wrażenia z jakiegoś górskiego hotelu w Norwegii, w którym tamta była. Linden twierdzi, że Louise zachowywała się jak zawsze. A potem już nikt z nią nie rozmawiał. Zaraz zrobimy naradę w grupie dochodzeniowej zajmującej się zaginięciem jej męża, ale najpierw chciałem porozmawiać z tobą. Głównie po to, żeby usłyszeć, jak zareagujesz.

- Moja pierwsza myśl jest taka: Louise wie, gdzie ukrywa się Håkan, i po prostu do niego dołączyła. Tylko przeczą temu paszport i telefon.

- Też tak pomyślałem. Ale dokładnie jak ty mam wątpliwości.

- A może mimo wszystko istnieje jakieś inne, racjonalne wyjaśnienie? Może zachorowała? Przewróciła się na ulicy?

- Szpitale sprawdziłem na samym początku. Według Sofii, której nie mamy powodu nie wierzyć, Louise zawsze nosiła w kurtce albo w płaszczu dowód osobisty. Ponieważ nie znaleźliśmy go w mieszkaniu, można przyjąć, że miała go przy sobie, kiedy ostatni raz wyszła z domu.

Wallander zastanawiał się, dlaczego Louise nie wspomniała mu o sprzątacze, która przychodziła do nich trzy razy w tygodniu. Hans też nic o niej nie powiedział. Ale to oczywiście nie musiało nic znaczyć. Rodzina von Enke należy do tej warstwy społecznej, w której dochodzące sprzątaczkę nie są niczym nadzwyczajnym. Nie trzeba o nich mówić, one po prostu są.

Ytterberg obiecał informować Wallandera na bieżąco. Właśnie kiedy mieli zakończyć rozmowę, Wallander zapytał, czy Ytterberg rozmawiał z Atkinsem w czasie jego wizyty w Sztokholmie.

- Myślisz, że on może nam dostarczyć jakichś informacji? - zapytał Ytterberg z powątpiewaniem.

To dość dziwne, pomyślał Wallander, że on nie rozumie,

jak bliskie były sobie te rodziny. Chyba że Atkins powiedział mu coś innego niż mnie?

- Która teraz jest godzina w Kalifornii? - zapytał Ytterberg. - To trochę bez sensu budzić ludzi w środku nocy.

- Między nami a wschodnim wybrzeżem jest sześć godzin różnicy - odpowiedział Wallander. - Jeżeli chodzi o Kalifornię, to... nie wiem. Ale mogę sprawdzić i zadzwonię do niego.

- Świetnie. To zamów rozmowę, a my za nią zapłacimy.

- Mój telefon służbowy jeszcze nie jest zablokowany - powiedział Wallander.

- Nie sądzę, żeby niezapłacone rachunki telefoniczne doprowadziły policję do bankructwa. Aż tak źle chyba jeszcze nie jest.

Wallander dowiedział się w informacji telefonicznej, że różnica czasowa wynosi dziewięć godzin. Ponieważ w San Diego wybiła dopiero szósta rano, postanowił poczekać kilka godzin. Zadzwonił za to do Lindy, która zdążyła już odbyć długą rozmowę z Hansem w Kopenhadze.

- Przyjedź do nas - zaproponowała. - Siedzę w domu, Klara śpi w wózku.

- Klara?

Linda uśmiechnęła się, słysząc jego zdziwienie.

- Podjęliśmy decyzję wczoraj wieczorem. Będzie miała na imię Klara. Właściwie już je ma.

- Tak jak moja mama, a twoja babcia?

- Jak wiesz, nigdy jej nie spotkałam. Wybraliśmy to imię chyba głównie dlatego, o ile nie weźmiesz mi tego za złe, że jest po prostu ładne. Pasuje do obydwu nazwisk. Klara Wallander i Klara von Enke.

- A jak się będzie nazywała?

- Na razie Wallander. A później zadecyduje sama. Przyjedziesz? Mogę cię poczęstować kawą na zaimprovizowanych chrzcinach.

- Ochrzciecie ją? Tak naprawdę?

Linda nie odpowiedziała na to pytanie, a Wallander był

na tyle mądry by już go nie powtórzyć.

Kwadrans później zahamował przed ich domem. Malowniczy ogród jarzył się od barw. Wallander pomyślał o swoich zaniedbanych grządkach. Kiedy mieszkał przy Mariagatan, zawsze wyobrażał sobie inne życie. Widział siebie, jak - klęcząc - wdycha wszystkie zapachy ziemi i piele rabaty.

Klara spała w wózku w cieniu gruszy. Wallander przyglądał się jej twarzyczce pod moskitierą.

- Klara to piękne imię. A jak na nie wpadliście?

- Zobaczyliśmy w gazecie. Jakaś kobieta o tym imieniu podczas wielkiego pożaru w Östersund dokonała wyjątkowego, wspaniałego czynu. Zdecydowaliśmy się prawie natychmiast.

Przechadzając się po ogrodzie, rozmawiali o ostatnich wydarzeniach. Zniknięcie Louise zaskoczyło Lindę i Hansa w równym stopniu jak wszystkich innych. Oni też nie zauważyli żadnych oznak. Nie zaobserwowali niczego, co wskazywałoby na to, że Louise miała jakiś plan i że zamierzała go urzeczywistnić.

- Czy to możliwe, że mamy do czynienia z jeszcze jednym przestępstwem przeciwko życiu i zdrowiu? - zapytał Wallander. - Oczywiście jeżeli przyjmiemy, że Håkan padł ofiarą takowego.

- Jeżeli komuś zależy na tym, żeby zniknęli obydwój - zastanawiała się głośno Linda - to jaki może mieć motyw?

- To jest właśnie pytanie - odparł Wallander, wpatrując się w krzew płomiennych róż. - Czy łączy ich coś, o czym nikt z nas nie ma pojęcia?

Szli dalej w milczeniu. Linda zastanawiała się głęboko.

- Tak mało wiemy o ludziach - powiedziała w końcu, kiedy znów znaleźli się przed domem.

Zajrzała pod przykrywającą wózek moskitierę. Klara spała z rączkami zaciśniętymi na kocyku.

- W pewnym sensie wiem o nich niewiele więcej niż o tym małym człowieczku - mówiła dalej.

- Uważałaś Håkana i Louise za tajemniczych?

- Absolutnie nie. Przeciwnie! Wobec mnie byli otwarci i przystępni.

- Niektórzy ludzie niekiedy celowo wprowadzają innych w błąd - powiedział Wallander w zamyśleniu. - Przystępność i otwartość mogą być czymś w rodzaju niewidzialnych kłódek zamykających rzeczywistość, której oni nie chcą ujawnić.

Zdążyli jeszcze wypić kawę w ogrodzie, zanim nadeszła pora, kiedy wypadało już zadzwonić do Atkinsa. Wallander wrócił do komendy i wybrał numer w swoim pokoju. Po czterech sygnałach Atkins zagrzmiął w słuchawce, jak gdyby gotów na przyjęcie rozkazu. Wallander opowiedział o tym, co się wydarzyło. Gdy zakończył, po drugiej stronie zapadła długa cisza. Zaczął się nawet obawiać, że połączenie zostało przerwane. Potem Atkins odezwał się pełnym głosem.

- To niemożliwe!

- A mimo to nie ma jej od poniedziałku, a może wtorku.

Wallander zrozumiał, że Atkins jest poruszony. Słyszał jego ciężki oddech. Zapytał, kiedy ostatni raz rozmawiał z Louise. Amerykanin zastanowił się chwilę, zanim odpowiedział.

- W piątek po południu. Dla niej to było popołudnie, dla mnie rano.

- Kto zadzwonił?

- Ona.

Wallander zmarszczył czoło. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Chodziło o coś szczególnego?

- Chciała złożyć mojej żonie życzenia z okazji urodzin. Zaskoczyła tym zarówno żonę, jak i mnie. Nigdy nie obchodziliśmy urodzin.

- A może był jeszcze jakiś inny powód, dla którego zadzwoniła?

- Odnieśliśmy wrażenie, że czuje się samotna i że chce z kimś pogadać. To przecież nietrudno zrozumieć.

- Spróbuj sobie przypomnieć: czy nie było w tej

rozmowie niczego, co można by teraz połączyć z faktem zaginięcia Louise?

Wallander ubolewał nad swoją kiepską angielszczyzną, ale Atkins rozumiał, co jego rozmówca ma na myśli. Znowu zastanowił się przez chwilę.

- Niczego - odpowiedział w końcu. - Była taka jak zawsze.

- Ale to nie może być przypadek. Najpierw znika on, później ona.

- To tak jak w tej wyliczance o dziesięciu Murzynkach - powiedział Atkins. - Znikają jeden po drugim. Brakuje już połowy rodziny, została tylko dwójka dzieci.

Wallander drgnął. Czyżby się przesłyszał?

- Jeżeli już, to została tylko jeszcze jedna osoba - zaczął ostrożnie. - Bo przecież chyba nie masz na myśli Lindy?

- Nie zapominajmy o siostrze - sprecyzował Atkins.

- Siostrze? Czy to znaczy, że Hans ma siostrę?

- Oczywiście. Ma na imię Signe. Nie wiem, czy wypowiadam to prawidłowo. Mogę ci przeliterować. Nie mieszkała w domu. Nie wiem dlaczego. Nie powinno się bez potrzeby grzebać w cudzym życiu. Nigdy jej nie spotkałem. Ale Håkan powiedział mi kiedyś, że ma córkę.

Wallander był zbyt zaskoczony, żeby zadać jakieś sensowne pytania, zakończył więc rozmowę. Stał w oknie i zapatrzył się w wieżę ciśniń. Hans ma siostrę o imieniu Signe. Dlaczego nikt do tej pory o tym nie wspomniał?

Tego wieczoru Wallander usiadł przy stole w kuchni i przejrzał wszystkie swoje notatki, które prowadził od dnia zniknięcia Håkana. Nigdzie w rodzinie nie znalazł jednak śladu córki. Signe nie istniała. Jakby nigdy jej nie było.

## CZEŚĆ II

### POD POWIERZCHNIĄ FAKTÓW

#### 11

Wallander był wzburzony. Dlatego ruszył do nietypowego dla siebie bezpośredniego ataku. Czuł się oszukany przez rodzinę, w której dwie osoby zaginęły, a istnienie trzeciej właśnie zostało odkryte. Pomyślał, że padł ofiarą zwykłych kłamstw wyższych sfer, ich rodzinnych tajemnic, które za każdą cenę chciano ukryć przed prawdopodobnie całkiem niezainteresowanym otoczeniem.

Po rozmowie z Atkinsem i długim wieczorem spędzonym na wręcz frenetycznym przeglądaniu wszystkich notatek dotyczących Håkana, poczuwszy od pamiętnego przyjęcia urodzinowego, Wallander zasnął jak kamień. Zadzwoił do Lindy zaraz po siódmej rano, z nadzieją, że zastanie Hansa, ale akurat tego ranka ojciec jego wnuczki wyszedł z domu już o szóstej.

- A cóż on robi tak wcześnie? - zapytał z irytacją Wallander. - O tej porze zamknięte są jeszcze wszystkie banki i chyba nikt nie handluje akcjami?

- A w Japonii? - odpowiedziała Linda. - Albo w Nowej Zelandii? Ekonomia nigdy nie śpi. Na azjatyckich giełdach panuje wielki ruch. Hans nieraz wychodzi do pracy tak wcześnie. Ale ty nie masz w zwyczaju dzwonić o siódmej. Nie złość się na mnie. Czy coś się stało?

- Chcę porozmawiać o Signe - odpowiedział Wallander.

- A kto to jest?

- Siostra twojego męża.

Słyszał, jak Linda dyszy w słuchawkę. Nowa myśl z

każdym oddechem.

- Przecież on nie ma siostry.

- Jesteś tego zupełnie pewna?

Linda знаła swego ojca i natychmiast zrozumiała, że tu chodzi o coś poważnego. Nigdy nie dzwoniłby tak wcześnie rano tylko po to, żeby sobie stroić żarty.

Klara zaczęła marudzić w łóżecku.

- Przyjedź do mnie - powiedziała. - Klara właśnie się budzi. Ranki są zazwyczaj ciężkie. Ciekawa jestem, czy ma to po tobie?

Godzinę później Wallander zatrzymał samochód na zwirowej alejce przed domem córki. Klara była już syta i zadowolona, a Linda ubrana. Wallander ciągle miał wrażenie, że ostatnio jest blada i zmęczona, zastanawiał się nawet, czy naprawdę ma się dobrze, ale oczywiście nie pytał. Pod tym względem była podobna do niego: nie lubiła, gdy ktoś się wtrącał.

Usiedli przy kuchennym stole. Wallander dobrze pamiętał leżący na nim obrus. Najpierw był w domu jego dzieciństwa, później u ojca w Löderup, a teraz jest tutaj. Jako dziecko często wodził palcem po skomplikowanym wzorku utworzonym przez czerwoną nitkę lamówki.

- Możesz mi wyjaśnić, co miałeś na myśli? - poprosiła Linda. - Powtarzam: Hans nie ma żadnej siostry.

- Wierzę ci - zapewnił Wallander. - Nie wiedziałaś nic o siostrze, podobnie jak ja. Ale ja teraz wiem.

Opowiedział jej o rozmowie telefonicznej z Atkinsem i o tym, jak Amerykanin napomknął o dziewczynie, która ma na imię Signe. To zapewne był tylko przypadek, że o niej wspomniał. Wystarczyłby odrobinę inny przebieg rozmowy, a tajemnicza siostra nadal byłaby kimś zupełnie nieznanym.

Linda słuchała w napięciu, coraz bardziej ściągając brwi.

- Hans nigdy mi nic nie mówił o swojej siostrze - powiedziała, gdy Wallander zamilkł. - To jakaś kompletnie niedorzeczna historia.

Wallander wskazał na telefon.



- Zadzwoń do niego i zadaj proste pytanie: dlaczego nie wspomniałeś mi, że masz siostrę?

- Jest od niego starsza czy młodsza?

Wallander zastanowił się. Wprawdzie Atkins nic o tym nie powiedział, ale dla niego nie ulegało wątpliwości, że chodzi o starszą siostrę. Gdyby przyszła na świat po narodzinach Hansa, trudniej byłoby utrzymać to w tajemnicy.

- Nie chcę teraz dzwonić - powiedziała. - Zapytam go, jak wróci do domu.

- O, nie - zaprotestował Wallander. - Mamy dwie zaginione osoby, musimy się tym zająć od razu. To nie jest sprawa prywatna, tylko policyjna. Jeśli ty nie chcesz, to ja zadzwonię.

- Może tak będzie lepiej - zgodziła się.

Wallander wystukał cyfry podanego mu przez Lindę numeru telefonu w Kopenhadze. Gdy sygnały dotarły na miejsce, ze słuchawki popłynęła muzyka klasyczna. Linda pochyliła się i słuchała.

- To linia bezpośrednio do niego - powiedziała. - Sama mu wybrałam tę muzykę. Przedtem miał jakieś okropne amerykańskie country. Artysta nazywał się Billy Ray Cyrus. Zmusiłam Hansa, żeby to zmienił. Zagroziłam mu, że już nigdy do niego nie zadzwonię. Zaraz powinien odebrać.

Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, Wallander usłyszał bowiem znajomy głos. Hans sprawiał wrażenie zestresowanego, niemal brakowało mu tchu. Co tak naprawdę działo się na tych azjatyckich giełdach?, pomyślał Wallander.

- Mam pytanie, które nie może dłużej czekać. Zresztą właśnie teraz siedzę przy stole w twojej kuchni.

- Louise - odezwał się Hans. - Albo Håkan? Znaleźli się?

- Chciałbym, żeby tak było. Ale tym razem chodzi o zupełnie inną osobę. Domyślasz się o kogo?

Wallander zauważył irytację Lindy, nie podobała jej się ta zabawa w kotka i myszkę. W myśli przyznał jej rację.

Powinien był od razu wyłożyć kawę na ławę.

- Chodzi o twoją siostrę - powiedział w końcu. - Twoją siostrę Signe.

W słuchawce zaległa cisza. Upłynęło kilkanaście sekund, zanim Hans odzyskał głos.

- Nie rozumiem, o czym ty mówisz. Czy to jakiś żart?

Linda pochyliła się nad stołem. Wallander trzymał słuchawkę w taki sposób, żeby ona też słyszała. Czuł, że Hans mówi prawdę.

- To nie jest żart. Ty naprawdę nie wiesz, że masz siostrę o imieniu Signe?

- Nie mam żadnego rodzeństwa. Czy mogę mówić z Lindą?

Wallander oddał w milczeniu słuchawkę córce, która powtórzyła to, co usłyszała przed chwilą od swojego ojca.

- Kiedy byłem dzieckiem, pytałem czasami rodziców, dlaczego nie mam rodzeństwa - powiedział Hans. - Zawsze dostawałem tę samą odpowiedź. Louise i Håkan uważali, że jedno dziecko wystarczy. Nigdy nie słyszałem o kimś, kto ma na imię Signe, nigdy nie widziałem jej zdjęć. Zawsze byłem jedynakiem.

- Trudno w to uwierzyć - powiedziała Linda.

Przez moment poniosły go nerwy i krzyknął prosto w słuchawkę:

- A myślisz, że mnie jest łatwo?!

Wallander wyjął córce telefon z ręki.

- Wierzę ci - uspokoił go. - Linda też ci wierzy. Ale musisz zrozumieć, że trzeba ustalić, jak to wszystko jest ze sobą powiązane, czy w ogóle jest powiązane, to szalenie ważne. Twoi rodzice zniknęli. A teraz nagle pojawia się jakaś siostra, o której nikt nic nie wie.

- Nie pojmuję tego - odpowiedział Hans. - Robi mi się niedobrze.

- Jakiegokolwiek jest wyjaśnienie, znajdę je.

Wallander znów oddał słuchawkę Lindzie. Słyszał jej spokojny głos, ale nie chciał wiedzieć, o czym mówią. Ponieważ rozmowa się przeciągała, napisał kilka słów na

kartce i położył ją przed córką na stole. Linda skinęła głową, zdjęła pęk kluczy wiszący na framudze okna i podała ojcu, który zanim wyszedł, najpierw przez chwilę przyglądał się śpiącej w łóżeczku Klarze. Leżała na brzuszku. Ostrożnie dotknął palcem jej policzka. Dziewczynka lekko drgnęła, ale się nie obudziła.

Wróciwszy do komendy, Wallander zadzwonił od razu do Stena Nordlandera; nawet nie ściągnął kurtki.

- Oczywiście, że mają jeszcze jedno dziecko - potwierdził mężczyzna. - Dziewczynkę, ciężko upośledzoną od urodzenia, całkowicie uzależnioną od pomocy innych. Nie mieli możliwości wychowywania jej w domu, potrzebowała specjalnej opieki od pierwszego dnia życia. Nigdy o niej nie mówili i uważałem, że należy to respektować.

- Czy ma na imię Signe?

- Tak.

- Wiesz, kiedy się urodziła?

Nordlander zastanowił się chwilę, zanim udzielił odpowiedzi.

- Jest chyba dziesięć lat starsza od swojego brata. Myślę, że jej narodziny były tak wielkim szokiem, że Håkan i Louise przez długi czas nie mieli odwagi na drugie dziecko.

- To znaczy, że Signe ma teraz ponad czterdzieści lat - powiedział Wallander.

- Wiesz, gdzie mieszka? W którym domu opieki?

- Håkan wspominał kiedyś o zakładzie pod Mariefred. Ale nigdy nie słyszałem jego nazwy.

Wallander szybko zakończył rozmowę. Czuł, że powinien się spieszyć, chociaż przecież tak naprawdę w ogóle nie miał z tą sprawą do czynienia. Wiedział, że przede wszystkim powinien skontaktować się z Ytterbergiem, ale ciekawość wiodła go w innym kierunku. Przewracał kartki swojego przeraźliwie zniszczonego notesu z telefonami, aż w końcu znalazł to, czego szukał: numer komórki do kobiety z wydziału spraw socjalnych w gminie Ystad.

Była córką jednej z dawnych pracownic administracji policji. Wallander poznał ją kilka lat wcześniej w związku z

aferą pedofilską. Nazywała się Sara Amander, odebrała prawie natychmiast. Zanim Wallander przeszedł do sprawy, zamienili kilka słów o życiu i pogodzie.

- Zakład dla niepełnosprawnych prowadzony przez lokalny samorząd, pod Mariefred. Może jest ich nawet więcej niż jeden? Potrzebuję adresów i telefonów.

- Może pan powiedzieć coś więcej? Chodzi o wrodzoną wadę mózgu?

- Myślę, że przede wszystkim chodzi o niepełnosprawność fizyczną. Jako dziecko potrzebowała specjalistycznej opieki od pierwszego dnia życia. Ale oczywiście w grę mogą też wchodzić zaburzenia psychiczne. Może to nawet lepiej, jeśli tak ułomny człowiek nie zdaje sobie sprawy ze swego nieszczęścia.

- Powinniśmy zachować powściągliwość w wypowiedaniu sądów na temat egzystencji innych - wtrąciła Sara Amander. - Jest wielu ludzi dotkniętych ogromnym kalectwem, ale przepelnionych zdumiewającą radością życia. Zobaczę, co mogę dla pana zrobić.

Wallander zakończył rozmowę, poszedł do automatu po kawę, porozmawiał chwilę z Kristiną Magnusson, która przypomniała mu o przyjęciu organizowanym spontanicznie przez kolegów w jej ogrodzie następnego wieczoru. Wallander o nim zapomniał, ale obiecał, że oczywiście przyjdzie. Wrócił do swojego pokoju i na wszelki wypadek napisał „ impreza u Kristiny” na kartce, którą położył obok telefonu.

Po kilku godzinach zadzwoniła Sara Amander. Miała dla niego dwa adresy. Prywatny dom opieki Amalienborg na przedmieściach Mariefred i zarządzany przez samorząd lokalny zakład Niklasgården, leżący niedaleko zamku Gripsholm. Wallander zanotował adresy i numery telefonów i właśnie miał wybrać pierwszy z nich, kiedy w półotwartych drzwiach pojawił się Martinsson. Wallander odłożył słuchawkę i zaprosił go skinieniem głowy do środka. Kolega wykrzywił twarz w grymasie.

- Co się stało?

- Pechowo zakończona partia pokera. Pogotowie właśnie odwiozło do szpitala mężczyznę, który dostał parę dźgnięć nożem. Jest tam już nasz radiowóz, ale tak czy owak my chyba też musimy pojechać.

Wallander wziął kurtkę i wyszedł za Martinssonem z pokoju. Odtworzenie przebiegu wydarzeń podczas partii pokera, która przerodziła się w brutalne pobicie, zajęło im całe popołudnie i część wieczoru. Wallander wrócił do komendy o ósmej i dopiero wtedy mógł zadzwonić pod numery, które dostał od Sary Amander.

Zaczął od Amalienborga. Odebrała uprzejma kobieta. W tej samej chwili, w której zadał pytanie o Signe von Enke, zrozumiał, że przyjął błędne założenie. To oczywiste, że nic mu nie powiedzą. Przecież instytucja zajmująca się ciężko chorymi ludźmi nie może przekazywać postronnym osobom nazwisk swoich pacjentów. Właśnie taką odpowiedź usłyszał. Nie otrzymał też odpowiedzi na pozostałe pytania, na przykład: czy mają pacjentów w różnym wieku, czy tylko dorosłych?

Uprzejma kobieta tłumaczyła cierpliwie, że nie może niczego więcej powiedzieć i że niestety nie jest w stanie mu pomóc, jakkolwiek by chciała. Wallander odłożył słuchawkę i pomyślał, że teraz powinien zadzwonić do Ytterberga. Ale nie zadzwonił. Nie było powodu, żeby mu teraz przeszkadzać. Rozmowa mogła poczekać do jutra.

Ponieważ wieczór był piękny, ciepły i bezwietrzny, Wallander wyniósł przygotowaną przez siebie kolację do ogrodu. Jussi leżał u jego stóp i chwycił kawałki jedzenia, które od czasu do czasu spadały z widelca. Na otaczających dom polach jarzył się żółto rzepak. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu ojciec nauczył go kiedyś, że ta roślina po łacinie to *Brassica napus*. Jej nazwa utkwiała mu w pamięci.

Ogarnięty nieprzyjemnym uczuciem, nagle przypomniał sobie zdarzenie sprzed wielu lat, kiedy to młoda, zdesperowana kobieta spaliła się żywcem na polu rzepaku. Odsunął od siebie to wspomnienie. Teraz chciał tylko

cieszyć się pięknym letnim wieczorem. Nawet jeżeli na obrzeżach jego życia istnieli ludzie będący ofiarami przemocy, upokorzenia i zbrodni, on sam czasami pragnął zapomnieć o bolesnych wydarzeniach i oddać się wyłącznie przyjemnościom.

Nie opuszczała go jednak myśl o siostrze Hansa. Usiłował wytłumaczyć ciszę, która ją otaczała. Próbował też wyobrazić sobie, co zrobiliby razem z Moną, gdyby urodziło im się dziecko wymagające od samego początku opieki obcych ludzi. Wzdrygnął się na samą myśl o tym. Gdy tak siedział, zagłębiony w myślach, zadzwonił telefon. Jussi nastawił uszu. Linda odezwała się przytłumionym głosem, wyjaśniła, że Hans śpi.

- Jest kompletnie zdruzgotany - powiedziała. - A najgorsze, że teraz nie ma nawet kogo o nią zapytać.

- Cały czas jej szukam. W ciągu paru dni powinienem ustalić, gdzie przebywa.

- Jesteś w stanie zrozumieć zachowanie Håkana i Louise?

- Nie. Ale może to był jedyny sposób, żeby sobie z tym poradzić. Po prostu udawać, że tak ciężko upośledzone dziecko nie istnieje.

A później opisał córce pola rzepaku i horyzont.

- Mam nadzieję, że za parę lat będzie tu biegała Klara - zakończył.

- Mimo wszystko powinieneś sprawić sobie kobietę.

- Nie można sobie sprawić kobiety!

- Ale żadnej nie znajdziesz, jeśli się choć trochę nie wysilisz! I w końcu zeżre cię samotność. Zamienisz się w marudnego, starego dziadka.

Wallander siedział na dworze prawie do wpół do jedenastej. Myślał o tym, co powiedziała Linda. Mimo wszystko spał później spokojnie i obudził się wypoczęty tuż po piątej. O wpół do siódmej wszedł do swojego pokoju w komendzie. Już wtedy w jego głowie zaczęła kiełkować pewna myśl. Przejrzał kalendarz i odkrył, że w zasadzie nic go nie trzyma w Ystad aż do święta przesilenia letniego. Historię z pokerem mogą zająć się inni.

Ponieważ jego szef też był rannym ptaszkiem, Wallander ruszył prosto do jego gabinetu. Lennart Mattson ledwie usiadł za biurkiem, gdy stanął przed nim Wallander i poprosił go o trzy dni urlopu. Od jutra.

- Zdaję sobie sprawę, że przychodzę z tym bez zapowiedzi. Ale to z powodów osobistych. W zamian mogę być do dyspozycji w czasie sobótkowego weekendu, mimo że mam wtedy wolne.

Lennart Mattson nie robił problemów i dał mu urlop. Wallander wrócił do swojego pokoju i zaczął szukać w internecie informacji na temat domów opieki Amalienborg i Niklasgården. Nie był w stanie ocenić, o który z nich może chodzić. W obydwu zajmowano się ludźmi z różnorakimi, raczej ciężkimi formami niepełnosprawności.

Tego wieczoru poszedł na przyjęcie w ogrodzie Kristiny Magnusson. Wiedział, że Linda też zamierzała tam być. Pojawiła się mniej więcej o dziewiątej, kiedy Klara w końcu zasnęła, a Hans zdążył wrócić do domu. Wallander odciągnął ją natychmiast na stronę i opowiedział o podróży, w którą chciał wyruszyć następnego dnia o świcie. Kiedy tak stał ze szklanką wody sodowej w ręce, Linda powiedziała mu, że właściwie spodziewała się tego.

O dziesiątej Wallander opuścił przyjęcie. Kristina Magnusson wyszła z nim na ulicę. W nagłym przypływie żądzy chciał ją przyciągnąć do siebie, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Miał nadzieję, że nie zauważyła jego ukrytych zamiarów, bo była odrobinę na rauszu.

Zanim pojechał na przyjęcie, zostawił Jussiego u sąsiadów. Wybieg dla psa świecił teraz pustką. Wallander położył się na zasłanym łóżku, nastawił budzik na trzecią i przespał kilka godzin. O czwartej usiadł za kierownicą i ruszył na północ. Świt był spowity przezroczystą mgiełką, ale dzień zapowiadał się pięknie.

Kilka minut po dwunastej Wallander dotarł do Mariefred. Zjadł lunch w przydrożnej restauracji, uciął sobie krótką drzemkę w samochodzie i zaczął szukać Amalienborga, zakładu opiekuńczego mieszczącego się w

starym budynku szkoły. Przy wejściu pokazał swoją legitymację policyjną, mając nadzieję, że dzięki niej dowie się przynajmniej, czy przybył w odpowiednie miejsce. Niepewna dziewczyna z recepcji zawołała kierowniczkę, która dokładnie studiowała dokument Wallandera.

- Signe von Enke - zaczął delikatnie. - Tylko to chciałbym wiedzieć. Mieszka tutaj czy nie? Chodzi o jej rodziców, którzy niestety zaginęli.

Kierowniczka miała identyfikator, na którym widniały jej imię i nazwisko: Anna Gustafsson.

Słuchając wyjaśnień Wallandera, przyglądała mu się uważnie.

- Czy chodzi o tego komandora? - zapytała.

- Tak, o niego - odpowiedział, nie kryjąc zdziwienia.

- Czytałam o nim w prasie.

- Pytam o jego córkę - nie dawał za wygraną Wallander. - Czy jest tu u państwa?

Anna Gustafsson pokręciła głową.

- Nie. Nie mamy tutaj żadnej Signe. Żadnej córki komandora. Mogę panu przysiąc.

Wallander ciągle jeszcze był w drodze, kiedy w okolicy rozpetęła się potężna burza. Lało tak mocno, że musiał się zatrzymać; widoczność zmalęła do zera. Zjechał na boczną drogę i wyłączył silnik. Siedząc tak, zamknięty jak w bańce, słuchał kropli deszczu tłukących o dach samochodu i próbował jeszcze raz przeanalizować okoliczności obydwu zaginięć.

Nawet jeżeli Håkan von Enke przepadł bez wieści jako pierwszy, stał się ofiarą przestępstwa albo uległ wypadkowi, to wcale nie musi znaczyć, że zniknięcie Louise jest bezpośrednią konsekwencją tego, co przydarzyło się jej mężowi. Wallander zapamiętał tę mądrość jeszcze z czasów, kiedy jego mentorem był Rydberg. Nieraz okazywało się, że zależne od siebie zdarzenia mają odwrotny związek przyczynowo-skutkowy;



to, które zaszło albo zostało odkryte jako ostatecznie, było początkiem, a nie końcem całego ciągu zdarzeń.

Wallander ponownie pomyślał o bałaganie w jednej z szuflad biurka Håkana. Kompas w jego głowie obracał się, nie mogąc wyznaczyć kierunku. Tak naprawdę wszystko mogło być tylko przywidzeniem. Nawet niepokój Håkana nie musiał mieć rzeczywistych podstaw. Już wcześniej Wallander od czasu do czasu zmagał się z widziadłami, chociaż najczęściej udawało mu się zachować wobec nich zimną krew.

W czasie swojej kariery nieraz szukał już zaginionych osób. Prawie zawsze od samego początku istniały znaki, które albo zapowiadały naturalne rozwiązanie, albo uzasadniały niepokój. Ale gdy chodziło o Håkana i Louise... nie miał pojęcia. To wszystko jest naprawdę bardzo niejasne, myślał, siedząc w samochodzie i przeczekując oberwanie chmury. Gęstniejąca mgła nie wróżyła lepszej widoczności.

Kiedy deszcz nareszcie ustał, Wallander odszukał Niklasgården: kompleks budynków pięknie położony nad jeziorem, oznaczonym na mapie jako Vangsjon. Białe, drewniane domy wyrastały z łagodnego zbocza, tu i ówdzie ozdobionego wiekową, dorodną brzezina; dalej były już tylko łąny zboża i pastwiska.

Wallander wysiadł z samochodu i wciągnął w płuca rześkie po deszczu powietrze. Wydawało mu się, że ogląda starą planszę, jedną z tych wiszących w klasie, kiedy chodził do szkoły podstawowej w Limhamn. Kolorowe rysunki z motywami biblijnymi: zawsze Palestyna, pasterze i stada owiec, poza tym szwedzkie krajobrazy w różnych wariantach.

Zakład Niklasgården rozpościerał się przed nim jak fragment z tamtych obrazów. Przez moment ogarnęła go tęsknota za czasami „kolorowych plansz”, ale natychmiast odsunął od siebie wspomnienia. Wiedział, że pod wpływem nostalgii za minionymi czasami myśl o nadchodzącej starości stanie się jeszcze bardziej dokuczliwa i

przerazająca.

Wyciągnął z plecaka lornetkę i przyłożywszy ją do oczu, przebiegł wzrokiem po budynkach oraz otaczającym je rozległym ogrodzie. Uśmiechnął się ponuro na myśl, że jest jak peryskop wynurzający się z pięknego letniego krajobrazu, jak lądowa łódź podwodna przerobiona dla niepoznaki na peugeota z porysowanym lakierem.

W cieniu drzew zauważył dwa wózki inwalidzkie. Ustawił ostrość i próbował trzymać lornetkę nieruchomo. W jednym wózku siedziała kobieta w nieokreślonym wieku, z głową zwieszoną na piersi. W drugim był mężczyzna, najprawdopodobniej dość młody, z głową odchylną do tyłu, jak gdyby brakowało mu oparcia.

Wallander opuścił lornetkę i ogarnięty nieprzyjemnym uczuciem pomyślał o tym, co go czeka. Wsiadł do samochodu i podjechał do głównego budynku, gdzie władze regionu witały go tablicami wskazującymi w różnych kierunkach. Wallander wszedł do recepcji, nacisnął guzik dzwonka i czekał. Gdzieś w oddali słychać było radio.

W sąsiednim pomieszczeniu otworzyły się drzwi i na progu stanęła mniej więcej czterdziestoletnia, uderzająco piękna kobieta. Miała krótkie, czarne włosy i ciemne oczy. Przywitała Wallandera z uśmiechem. Jej obcy akcent zdradzał, że najprawdopodobniej pochodzi z jakiegoś arabskojęzycznego kraju. Wallander wyjął legitymację i zadał swoje pytanie. Nie otrzymał jednak bezpośredniej odpowiedzi. Ciągłe uśmiechnięta kobieta nie przestawała mu się przyglądać.

- Pierwszy raz przychodzi do nas policjant - powiedziała.  
- W dodatku z tak daleka. Niestety, nie mogę zdradzić żadnych nazwisk. Wszyscy tutejsi mieszkańcy mają prawo do zachowania prywatności.

- Rozumiem - odpowiedział Wallander. - Jeśli zajdzie taka potrzeba, przyjdę z pozwoleniem od prokuratora, które da mi prawo do przeszukania tutaj każdego pokoju, przeczytania każdego papieru, każdego nazwiska. Ale

wolałbym tego uniknąć. Wystarczy, że skinie pani tylko głową albo nią pokręci. Obiecuję, że później stąd odejdę i już nie wrócę.

Zawahała się. Wallander nie mógł się nadziwić jej urodzie.

- Niech pan więc zada pytanie - odezwała się w końcu. - Rozumiem, o co panu chodzi.

- Czy mieszka tu Signe von Enke? Ma mniej więcej czterdzieści lat i jest niepełnosprawna od urodzenia.

Skinęła szybko głową; to wszystko. Ale Wallander nie potrzebował niczego więcej. Teraz już wiedział, gdzie przebywa Signe. By móc pójść dalej, będzie musiał porozmawiać z Ytterbergiem.

Kiedy w końcu zdołał oderwać wzrok od pięknej kobiety, przyszło mu na myśl kolejne pytanie. Znów na nią spojrzął.

- Chciałbym panią poprosić o jeszcze jedno skinienie - zaczął. - Albo zaprzeczenie. Kiedy ostatnio przyszedł tu ktoś do niej w odwiedziny?

Znów się zawahała. Nie mogła przecież odpowiedzieć gestem.

- Kilka miesięcy temu. Chyba w kwietniu. Mogę sprawdzić, jeśli to ważne.

- Bardzo ważne - odparł Wallander. - Byłbym pani bardzo wdzięczny.

Zniknęła w pokoju, z którego przed chwilą wyszła. Po kilku minutach wróciła z kartką w ręce.

- 10 kwietnia - powiedziała. - Wtedy miała ostatnie odwiedziny. Potem już nikt do niej nie przychodził. Nagle stała się bardzo samotnym człowiekiem.

Wallander zastanowił się. 10 kwietnia. Dzień później Håkan von Enke wyszedł ze swojego mieszkania. I nigdy nie wrócił.

- Przypuszczam, że odwiedzającym tego dnia był jej ojciec - powiedział powoli.

Skinęła głową. Naturalnie, że on.

Wallander opuścił Niklasgården i ruszył w kierunku Sztokholmu. Zatrzymał się przed domem na Grevgatan i

otworzył mieszkanie kluczami, które dostał od Lindy. Pomyślał, że musi wszystko zacząć od samego początku. Ale od początku czego?

Długo stał nieruchomo na środku salonu, próbował zrozumieć, ale znikąd żadnej wskazówki. Wokół niego wciąż tylko ta ogromna cisza. Głębia, w której nie czuć niepokoju morza.

## 12

Tej nocy Wallander spał w pustym mieszkaniu.

Ponieważ było gorąco, prawie upalnie, zostawił kilka otwartych okien i obserwował delikatny ruch cienkich firanek. Z ulicy od czasu do czasu dochodziły jakieś krzyki. Wallander miał wrażenie, że słucha cieni, które zazwyczaj słyszy się w dopiero co opuszczonych domach czy mieszkaniach. Nie poprosił Lindy o klucze, by zaoszczędzić na noclegu. Nauczony doświadczeniem zdawał sobie sprawę, że w śledztwie bardzo często najważniejsze są pierwsze wrażenia. Rzadko zdarzało się, by powroty wносиły coś nowego, ale tym razem wiedział, czego szuka.

Chodził po pokojach w samych skarpetach, żeby sąsiedzi nie zaczęli czegoś podejrzewać. Przeszukał pokój Håkana i dwie komody Louise. Przejrzał zarówno stojący w salonie ogromny regał na książki, jak i wszystkie inne szafy i półki. Kiedy o dziesiątej wieczorem wymknął się ostrożnie z mieszkania, by coś zjeść, nie miał żadnych wątpliwości. Wszystkie ślady po kalekiej dziewczynce zostały dokładnie usunięte.

Zjadł kolację w rzekomo węgierskiej restauracji, gdzie zarówno kelnerzy, jak i personel w otwartej kuchni mówili po włosku. Jadąc później powolną windą na trzecie piętro, zastanawiał się, gdzie będzie spał. W gabinecie Håkana stała kanapa. Ale w końcu położył się w salonie, gdzie Louise częstowała go herbatą, i przykrył kocem w szkocką kratę.

Okolo pierwszej w nocy przerwali mu sen jacyś głośni

przechodnie. I właśnie wtedy, leżąc w ciemnym pokoju, nagle zupełnie oprzytomniał. To niemożliwe, żeby nie istniał choćby najmniejszy ślad po dziewczynce, która teraz mieszka w Niklasgården. Wallander czuł wręcz organiczne wzburzenie właśnie z tego powodu, że nie znalazł zdjęć albo przynajmniej jakiegoś dokumentu, owych formalnych dowodów istnienia, towarzyszących od dnia narodzin każdemu szwedzkiemu obywatelowi.

Ponownie przemykał na palcach przez mieszkanie. Od czasu do czasu, w najciemniejszych kątach, przyświecał sobie niewielką latarką kieszonkową. Nie zapalał górnego światła, tylko pojedyncze lampki, obawiał się bowiem, że któryś z sąsiadów po drugiej stronie ulicy mógłby się tym zainteresować. Jednocześnie pomyślał o lampkach palących się nocami u Håkana.

Ale czy tak było naprawdę? Czy w rodzinie von Enke nie przekraczano tej niewidzialnej linii między prawdą a kłamstwem zbyt łatwo? Zatrzymawszy się przez chwilę w kuchni, próbował znaleźć odpowiedź. A potem ruszył niestrudzenie dalej, jak pies gończy, którego czasami w sobie wywoływał, i nie zamierzał spocząć, dopóki nie znajdzie jakichś śladów Signe. Przecież musiała je po sobie zostawić.

O czwartej nad ranem poszukiwania zakończyły się sukcesem. Na regale za kilkoma wielkimi albumami ze sztuką leżał niewielki album ze zdjęciami. Fotografie nie były liczne, ale solidnie przyklejone, większość w wyblakłych kolorach, kilka czarnobiałych. Nie widniały pod nimi żadne podpisy czy komentarze. Brakowało zdjęć z obojgiem rodzeństwa, lecz Wallander się ich nie spodziewał. Hans przyszedł na świat, w którym Signe już nie istniała; zniknęła, oddana do zakładu, wymazana.

Wallander doliczył się ledwie pięćdziesięciu fotografii. Większość z nich przedstawiała samą Signe leżącą w różnych pozycjach. Tylko na ostatnim zdjęciu trzyma ją matka; poważna, ze wzrokiem odwróconym od obiektywu. Na widok Louise, która z wyraźną niechęcią obejmuje

swoją córkę, Wallandera ogarnął smutek. Z fotografii była przerażająca pustka. Potrząsnął głową, zrobiło mu się przykro.

Znów położył się na sofie. Czuł zmęczenie, ale też ulgę. Zasnął natychmiast. Obudził się gwałtownie około ósmej, usłyszawszy klakson samochodu. Śniły mu się konie. Stado koni pędzących przez wydmy w Mossby prosto do morza. Próbował zinterpretować ten sen, jednak bez powodzenia. Prawie nigdy nie umiał sobie z tym poradzić, tak naprawdę nie wiedział, jak się do tego zabrać.

Przygotował kąpiel, wypił kawę i o dziewiątej zadzwonił do Ytterberga, który był zajęty jakąś naradą. Udało mu się przekazać wiadomość i wkrótce dostał w odpowiedzi SMS. Ytterberg proponował spotkanie o wpół do jedenastej przy ratuszu od strony jeziora. Kiedy przyjechał na rowerze, Wallander już na niego czekał. Usiedli w kawiarnianym ogródku.

- Co tutaj robisz? - zapytał Ytterberg. - Myślałem, że wolisz małe miasteczka i wiejskie krajobrazy.

- To prawda, wolę. Ale czasami człowiek jest zmuszony.

Opowiedział o Signe. Ytterberg słuchał uważnie, nie przerywając mu.

Wallander zakończył informacją o znalezionym w nocy albumie ze zdjęciami.

Miał go ze sobą w plastikowej torebce, którą teraz położył na stoliku. Ytterberg odsunął filiżankę z kawą, wytarł ręce i przejrzał ostrożnie fotografie.

- Ile ona może mieć teraz lat? - zapytał. - Czterdzieści?

- O ile dobrze zrozumiałem Atkinsa, chyba mniej więcej tyle.

- Ale tutaj są tylko zdjęcia z wczesnego dzieciństwa. Na tych ostatnich ma dwa, góra trzy lata.

- No właśnie - przytaknął Wallander. - Chyba że jest jeszcze gdzieś inny album. Chociaż nie wydaje mi się. Kiedy skończyła dwa lata, jak gdyby zapadła się pod ziemię.

Ytterberg wykrzywił twarz w grymasie i delikatnie

wsunął album z powrotem do torebki. Biały statek pasażerski przepływał przez zatokę Riddarfården. Wallander przesunął się z krzesłem do cienia.

- Zamierzam wrócić do Niklasgården - powiedział. - Mimo wszystko jestem dla tej kobiety jakby częścią rodziny. Potrzebuję twojego przyzwolenia. Powinieneś wiedzieć, co robię.

- Czego spodziewasz się po tym spotkaniu?

- Nie wiem. Jej ojciec odwiedził ją na dzień przed swoim zniknięciem. A potem już nikt do niej nie przyszedł.

Ytterberg zastanawiał się przez chwilę, zanim od powiedział.

- To rzeczywiście dziwne, że Louise nie była tam ani razu po zniknięciu Håkana. Jak to tłumaczysz?

- Wcale tego nie tłumaczę. Ale podobnie jak ty jestem ciekawy. Może pojedziemy do niej razem?

- Jedź sam. Zadzwoń tam i powiem, że masz prawo się z nią widzieć.

Wallander zszedł na brzeg mola i przyglądał się wodzie, podczas gdy

Ytterberg rozmawiał przez telefon. Słońce stało wysoko na błękitnym niebie. Prawdziwe lato, pomyślał. Po chwili podszedł do niego Ytterberg.

- Gotowe. Tylko musisz wiedzieć jedną rzecz. Kobieta, z którą rozmawiałem, powiedziała mi, że Signe von Enke nie mówi. Nie dlatego, że nie chce, tylko dlatego, że nie potrafi. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, ale wygląda na to, że urodziła się bez strun głosowych. Między innymi.

Wallander spojrzał na kolegę.

- Między innymi?

- Najwyraźniej jest bardzo upośledzona. Brakuje jej tego i owego. Prawdę mówiąc, cieszę się, że nie muszę tam jechać. A szczególnie dzisiaj.

- A co to dziś za szczególnie dzień?

- Piękna pogoda - odpowiedział Ytterberg. - Jeden z pierwszych prawdziwie letnich dni w tym roku. Nie chcę się niepotrzebnie denerwować.

- Czy mówiła z obcym akcentem? - zapytał Wallander, gdy opuszczali molo. - Ta kobieta z Niklasgården?

- Tak. Miała bardzo ładny głos. Przedstawiła się jako Fatima, o ile dobrze usłyszałem. Podejrzewam, że pochodzi z Iraku albo Iranu.

Wallander obiecał, że zadzwoni jeszcze tego samego dnia. Odjechał sprzed głównego wejścia do ratusza, zanim jakiś czujny strażnik zdążył odkryć jego niewłaściwie zaparkowany samochód. Opuścił miasto, by po godzinie zatrzymać się przed wejściem do Niklasgården. W recepcji stał starszy mężczyzna, który przedstawił się jako Artur Kallberg. Miał popołudniowy dyżur aż do północy.

- Zacznijmy od samego początku - powiedział Wallander. - Proszę mi opowiedzieć o chorobach Signe.

- Należy do naszych najbardziej upośledzonych pacjentów - odpowiedział Artur Kallberg. - Kiedy się urodziła, nikt nie dawał jej szans na przeżycie. Ale niektórzy chorzy mają w sobie wolę życia, której nikt z nas, zwykłych śmiertelników, nie potrafi pojąć.

- Ale tak bardziej konkretnie: to co jej dolega?

Mężczyzna zawahał się, zanim zaczął mówić dalej, jak gdyby szacował, czy Wallander poradzi sobie z ciężarem wszystkich faktów albo czy zasługuje na poznanie całej prawdy. Wallander zaczął się niecierpliwić.

- No, słucham. Proszę mówić dalej!

- Urodziła się bez obu rąk. Poza tym ma poważny defekt krtani, który sprawia, że nie potrafi mówić. Ma też wrodzoną wadę mózgu i niedorozwój kręgosłupa, co oznacza, że może poruszać się w bardzo ograniczonym zakresie.

- Czyli?

- Może trochę poruszać szyją i głową. Potrafi też mrugać.

Wallander spróbował wyobrazić sobie okropny scenariusz, w którym to Linda rodzi ciężko kalekie dziecko. Jak by zareagował, gdyby tak bezgraniczne nieszczęście spotkało Klarę? Czy w ogóle potrafił wczuć się w sytuację, w jakiej znaleźli się wtedy Håkan i Louise? Nie umiał



odpowiedzieć sobie na te pytania, nie wiedział nawet, co tak naprawdę myśli i czuje.

- Od jak dawna ona tutaj przebywa? - zapytał.

- Przez pierwsze lata życia była w domu opieki dla ciężko upośledzonych dzieci, na Lidingo - odpowiedział Kallberg.

- Ale ośrodek zamknięto w 1972 roku.

Wallander podniósł rękę.

- Bądźmy precyzyjni - powiedział. - Załóżmy że nie wiem niczego więcej o tej dziewczynie niż to, jak się nazywa.

- To może zaczniemy od tego, że przestanie ją pan nazywać „dziewczyną” - odparł Kallberg. - Signe kończy czterdzieści jeden lat. Niech pan zgadnie kiedy?

- Skąd mam to wiedzieć?

- Właśnie dzisiaj! Normalnie przyjechałby tu jej ojciec i spędził u niej całe popołudnie. Ale dziś nikt nie przyjedzie.

- Nie dało się nie zauważyć, że Kallberga ogarnia irytacja na samą myśl, że nikt nie odwiedzi Signe von Enke w dniu jej urodzin. Wallander to rozumiał.

Jedno pytanie było oczywiście ważniejsze niż wszystkie inne. Postanowił jednak z nim poczekać, zbierał informacje po kolei. Wyciągnął z kieszeni swój postrzępiony i wymięty notes.

- A więc urodziła się 8 czerwca 1967 roku? - spytał.

- Według dokumentów, które przejrzałem, ze szpitala przywieziono ją od razu do zakładu Nyhagahemmet na Lidingo. Gdy zaszła potrzeba rozbudowy tego ośrodka, właściciele sąsiadujących z nim nieruchomości zaczęli się obawiać, że spadnie wartość ich willi. Nie mam pojęcia, jakich użyli sposobów, by wstrzymać rozbudowę. Zresztą nie tylko rozbudowę, w końcu doprowadzili do likwidacji zakładu.

- I gdzie ją wtedy umieszczono?

- Przez jakiś czas była ofiarą istnej karuzeli w służbie zdrowia. Między innymi przebywała przez rok na Gotlandii, pod Hemse. Ale dwadzieścia dziewięć lat temu przyjechała do nas. I tutaj została.

Wallander notował. Od czasu do czasu, z makabrycznym

uporem, pojawiał się w jego głowie obraz Klary pozbawionej ramion.

- Proszę mi opowiedzieć o jej stanie ogólnym - poprosił Wallander. - W pewnym sensie już mnie pan o nim poinformował, ale chodzi mi o jej świadomość. Co rozumie? Co czuje?

- Tego nie wiemy. Signe jest zdolna tylko do podstawowych reakcji oraz specyficznej mowy ciała i mimiki, która może być trudna do zrozumienia dla kogoś z zewnątrz. Można powiedzieć, że traktujemy ją jak niemowlę, ale z długim doświadczeniem życiowym.

- Czy można sobie wyobrazić, o czym myśli?

- Nie. Lecz nic nie wskazuje na to, że jest świadoma swojego cierpienia. Nigdy nie uzewnętrzniła bólu ani rozpacz. I jeżeli faktycznie ich nie odczuwa, to wielka łaska.

Wallander pokiwał głową. Wydawało mu się, że rozumie. Doszedł do najważniejszego pytania.

- Jej ojciec przychodził ją odwiedzać - powiedział. - Jak często?

- Co najmniej raz w miesiącu, czasami nawet częściej. I to nie były krótkie wizyty. Zostawał u niej co najmniej kilka godzin.

- I co robił, skoro nie mogli ze sobą rozmawiać?

- Ona nie mogła, ale on... Siedział przy córce i opowiadał różne rzeczy. To było szalenie wzruszające. Opowiadał jej o życiu, o dniu codziennym, o wydarzeniach w małym i wielkim świecie. Mówił do niej jak do dorosłego człowieka, nigdy mu się to nie znudziło.

- A co się działo, kiedy wypływał w morze? Przez wiele lat był przecież dowódcą łodzi podwodnych i innych okrętów wojennych.

- Zawsze uprzedzał o swoich wyjazdach. Słyszałem, jak jej to wyjaśniał. To było rozczulające.

- A kto wtedy ją odwiedzał? Matka?

Odpowiedź Kallberga była konkretna i chłodna; padła bez wahania.

- Nigdy tu nie zawitała. Pracuję w Niklasgården od 1994 roku. Ani razu nie odwiedziła swojej córki. Przychodził do niej tylko ojciec.

- Twierdzi pan więc, że Louise nigdy tu nie była i nie odwiedziła córki?

- Nigdy.

- Czy to nie dziwne?

Kallberg wzruszył ramionami.

- Niekoniecznie. Niektórzy po prostu nie wytrzymują widoku cierpiących ludzi.

Kiedy Wallander chował notatnik do kieszeni, przemknęło mu przez myśl, że może mieć trudności z odczytaniem swojego niestarannego pisma.

- Chciałbym ją zobaczyć - powiedział. - Pod warunkiem że nie wywołam u niej niepokoju.

- Zapomniałem o tym powiedzieć - przyznał Kallberg. - Signe bardzo słabo widzi. Postrzega jedynie zamazane postacie na szarym tle. Przynajmniej tak przypuszczają lekarze.

- A więc rozpoznawała swojego ojca po głosie? - zastanawiał się głośno Wallander.

- Prawdopodobnie tak. Sądząc z jej mowy ciała, wyglądało na to, że tak.

Wallander podniósł się z krzesła. Kallberg ciągle siedział.

- Jest pan całkowicie pewny, że chce ją pan zobaczyć?

- Tak. Jestem pewny.

Co nie było oczywiście prawdą. W rzeczywistości zależało mu tylko na tym, żeby zobaczyć jej pokój.

Przeszli przez szklane drzwi, które bezgłośnie się za nimi zasunęły. Kallberg otworzył drzwi do pokoju leżącego na końcu korytarza. Pomieszczenie było jasne, z plastikową wykładziną na podłodze. Kilka krzeseł, regał z książkami i łóżko, w którym leżała zwinięta w kłębek Signe von Enke.

- Niech mi pan pozwoli zostać z nią sam na sam - powiedział Wallander. - Proszę poczekać na zewnątrz.

Gdy Kallberg wyszedł, Wallander błyskawicznie rozejrzał się dookoła. Dlaczego w pokoju pacjenta, który jest prawie

niewidomy i bez świadomości, stoi regał z książkami? Podszedł krok bliżej i przyjrzał się Signe. Miała jasne, krótkie włosy i przypominała swojego brata Hansa. Otwarte oczy wpatrywały się tępo w przestrzeń. Oddech był urywany, jak gdyby każdy haust powietrza sprawiał jej ból.

Wallander poczuł, jak ściska mu się gardło. Dlaczego człowiek musi się męczyć tak jak ona? Wegetować bez nadziei na cokolwiek, co nadałoby jego życiu choćby iluzoryczny sens? Ciągłe na nią patrzył, ale miał wrażenie, że Signe nie jest świadoma jego obecności. Czas zatrzymał się w miejscu. Oto stoję w osobliwym muzeum, pomyślał Wallander, i patrzę na zamurowanego człowieka. Patrzę na zamurowaną we własnym ciele księżniczkę z wieży.

Spojrzał na krzesło przy oknie. To na nim siadywał Håkan, kiedy przychodził w odwiedziny. Podszedł do regału i przykucnął. Na półce stały książki dla dzieci, książki z obrazkami. Signe zatrzymała się w rozwoju i na zawsze pozostała dzieckiem. Wallander przeszukał dokładnie półkę, wyciągał książkę za książką, sprawdzając, czy nic się za nimi nie kryje.

Między bajkami o słońiu Babar znalazł to, czego szukał. Tym razem nie album ze zdjęciami, takiego się tu nie spodziewał. Tak naprawdę do końca nie wiedział, czego szuka. Ale w mieszkaniu na Grevgatan czegoś brakowało, nie miał co do tego wątpliwości. Albo ktoś tam był i usunął część papierów, albo Håkan zrobił to sam. A jeżeli tak, to gdzie mógłby ukryć to, co chciał ukryć, jeżeli nie w tym pokoju?

Między bajkami o słońiu Babar, które czytali w dzieciństwie również on i Linda, leżał dziennik w twardych czarnych okładkach, opasany dwiema grubymi gumkami. Wallander zastanowił się przez moment, czy ma go tu otworzyć, ale szybko zmienił decyzję: zdjął kurtkę i owinął nią zeszyt. Signe leżała z otwartymi oczyma, nieruchoma.

Wallander uchylił drzwi. Kallberg stał przy jakiejś roślinie doniczkowej i rozgarniał palcem zdecydowanie za

suchą ziemię.

- To bardzo smutne. Na sam jej widok oblewa mnie zimny pot.

Wrócili do recepcji.

- Kiedyś przyszła tu studentka ze szkoły plastycznej - powiedział Kallberg. - Mieszkał u nas jej brat. Już nie żyje. Pytała, czy mogłaby rysować naszych pacjentów. Była niezwykle utalentowana, przyniosła swoje prace, by pokazać, co potrafi. Bardzo mi się spodobała jej propozycja, jednak zarząd uznał, że to mogłoby naruszać prywatność pacjentów.

- A co się dzieje, gdy umierają?

- Większość ma jakichś krewnych, ale niektórych chowamy bez udziału rodziny. Wtedy jak najwięcej z nas stara się przyjść na pogrzeb. Personel tutaj nie zmienia się zbyt często. W pewnym sensie stajemy się ich nową rodziną.

Wallander pożegnał się i ruszył w drogę powrotną. Zatrzymał się w Mariefred, gdzie zamówił sobie pizzę. Później usiadł z kubkiem kawy przy stoliku wystawionym na zewnątrz lokalu. Na horyzoncie kłębiły się burzowe chmury. W pobliżu niewielkiego domu towarowego stał jakiś mężczyzna z akordeonem. Był żebrakiem, a nie ulicznym muzykaniem, i grał tak fałszywie, że serce się kroilo.

Gdy muzyka stała się nie do zniesienia, Wallander opróżnił kubek i zawrócił do Sztokholmu. Wchodząc do mieszkania przy Grevgatan, usłyszał dzwonek telefonu. Sygnały roznosiły się echem po pustych pokojach. Tym razem nikt nie zostawił żadnej informacji. Wallander przesłuchał nagrane na sekretarkę wiadomości z gabinetu stomatologicznego i od krawcowej.

Louise proponowano nowy termin u dentysty, ponieważ ktoś inny zrezygnował z umówionej wcześniej wizyty. Ale kiedy? Wallander zanotował nazwisko lekarza: Skoldin. Krawcowa powiedziała tylko: „Garsonka jest gotowa”. Nie podała ani nazwiska, ani daty.

Nagle lunął rześysty deszcz. Wallander stanął przy oknie i obserwował stołeczną ulicę. Czuł się jak intruz. Ale przecież zniknięcie małżeństwa von Enke miało wpływ na życie bliskich mu osób. To dlatego teraz znajdował się tu, a nie gdzie indziej.

Po mniej więcej godzinie deszcz zelżał. Okazał się jednym z najintensywniejszych, jakie spadły tego lata na Sztokholm. Podtopione zostały liczne piwnice, a sygnalizacja świetlna na skrzyżowaniach przestała działać z powodu zwarć w przewodach elektrycznych. Lecz Wallander naturalnie tego nie zauważył, całkowicie pochłonięty notesem, który Håkan von Enke ukrył w pokoju córki.

Już po kilku minutach zorientował się, że ma przed sobą prawdziwy groch z kapustą. Były tam krótkie wiersze haiku, fotokopie fragmentów dziennika naczelnego dowódcy szwedzkich sił zbrojnych z 1982 roku, mniej lub bardziej niejasne aforyzmy sformułowane przez Håkana i pełno innych rzeczy: wycinki z prasy, fotografie, kilka rozmazanych akwarelek.

Wallander przewracał kartkę za kartką z narastającym poczuciem, że ten osobliwy pamiętnik jest najmniej spodziewaną rzeczą, jaka mogła wyjść spod ręki Håkana von Enkego. Najpierw przekartkował całość, próbując stworzyć sobie jakieś ogólne wyobrażenie. Później zaczął od początku, tym razem dokładniej. Kiedy w końcu zatrzasnął okładki i wyprostował plecy, pomyślał, że w zasadzie niczego mu to nie wyjaśniło.

Wyszedł do miasta, żeby coś zjeść. Deszczowe chmury opuściły Sztokholm. Kiedy wrócił do pustego mieszkania, wybiła dziewiąta wieczorem. Po raz trzeci wziął do ręki czarny zeszyt i zaczął przeglądać jego zawartość.

Szukał „tej drugiej” zawartości. Tego niewidzialnego pisma między wierszami. Które musi istnieć. Był tego pewien.

Dochodziła trzecia nad ranem. Wallander podniósł się z kanapy i podszedł do okna. Znów zaczęło padać; delikatna mżawka rosła mokre już ulice. Jeszcze raz powrócił w myślach do przyjęcia urodzinowego w Djursholmie i do opowieści Håkana o okrętach podwodnych. Nie miał wątpliwości, że już wtedy między bajkami Signe leżały ukryte papiery jej ojca. To utrzymywane w tajemnicy miejsce było bezpieczniejsze niż sejf.

Pewność Wallandera wynikała stąd, że niektóre dokumenty Håkan po prostu opatrzył datą. Ostatni - w przeddzień swoich siedemdziesiątych piątych urodzin. Potem odwiedził córkę co najmniej jeszcze raz, na dzień przed swoim zniknięciem, ale wtedy nie zrobił już żadnych notatek.

„Dalej nie zajdę. Ale zaszedłem wystarczająco daleko”. To były jego końcowe zapiski. Oprócz ostatniego słowa, które najwyraźniej zostało dopisane trochę później, innym długopisem. „Bagno”. Tylko to. Jedno jedyne słowo. Prawdopodobnie ostatnia rzecz napisana jego ręką, pomyślał Wallander. Nie był całkowicie pewien, ale akurat w tej chwili nie wydawało mu się to istotne. Inne odkrycia z zeszytu zdradzały o wiele więcej o tym mężczyźnie, który sięgnął po pióro.

Przede wszystkim chodziło o kopie dzienników naczelnego dowódcy, Lennarta Ljunga. Chociaż właściwie to nie same pamiętniki były ważne, tylko komentarze Håkana na marginesie. Często na czerwono, czasami przekreślone albo poprawione, z późniejszymi uzupełnieniami, a niekiedy dopisane dopiero po wielu latach zupełnie nowe myśli. Tu i ówdzie von Enke narysował też małe ludziki, diabełki z siekierą albo pogrzebaczem.

W jednym miejscu wkleił miniaturkę mapy morskiej przedstawiającej zatokę Harsfarden. Zaznaczył na niej czerwone punkty, naszkicował różne drogi, którymi

przemieszczały się nieznane okręty, a później wszystko z irytacją przekreślił, by zacząć od nowa. Również tam zanotował liczbę zrzuconych bomb głębinowych, zaminowane tory podwodne, kontakty z sonarem. Przed zmęczonymi oczami Wallandera czasami wszystko zlewało się w jedną rozmytą plamę. Wtedy wychodził do kuchni, przemywał twarz wodą i zaczynał od początku.

Håkan często przyciskał długopis tak mocno, że robił w papierze dziury. Jego notatki świadczyły o zupełnie innym temperamencie - niemal obsesji graniczącej z szaleństwem. Nic nie wskazywało na ten spokój, z jakim były dowódca okrętów podwodnych wygłaszał swój monolog w Djursholmie.

Wallander stał przy oknie i przysłuchiwał się kilku młodym mężczyznom, którzy wykrzykiwali sprośności i chwiejnym krokiem szli w środku nocy ulicą. Najbardziej wrzaskliwi to ci, którym nie udało się nikogo wyrwać, pomyślał; ci, którzy muszą wracać do domu sami. Ja też tak wiele razy krzychałem jakieś czterdzieści lat temu.

Wallander czytał fragmenty dzienników Ljunga tak dokładnie, że znał już niemal każde zdanie na pamięć. Środa, 24 września 1980 roku. Dowódca naczelny wizytuje podsztokholmski pułk przeciwlotniczy i stwierdza, że nadal są problemy z rekrutacją oficerów, mimo pieniędzy zainwestowanych w renowację koszar, by zwiększyć ich atrakcyjność.

W tym fragmencie Håkan nie zanotował niczego na marginesie. Czerwony długopis błysnął dopiero na samym dole strony, przeciął papier niczym miecz. „W ciągu dzisiejszego dnia ponownie powróciła kwestia okrętów podwodnych na szwedzkich wodach terytorialnych. W ubiegłym tygodniu odkryto okręt podwodny niedaleko Uto, bez wątplenia po niewłaściwej stronie granicy. Zaobserwowano części okrętu w położeniu nawodnym. Identyfikacja wskazuje bezsprzecznie na okręt należący do klasy Misky. Okręty tego typu posiadają Związek Radziecki i Polska”.



Tutaj notatki były trudne do odczytania. Wallander wziął szkło powiększające leżące na biurku Håkana i w końcu udało mu się odszyfrować poszczególne słowa. Von Enke pytał, jakie „części” zaobserwowano. Peryskop? Kiosk? Jak długo okręt był widoczny, kto go widział, jaki przyjął kurs? Irytowało go w dzienniku ubóstwo istotnych szczegółów. Przy słowie „Misky” dopisał: „NATO i Whiskey. Czyli zachodnioeuropejskie określenie na tego typu okręt podwodny”. Czerwonym długopisem podkreślił ostatnie wiersze na stronie. „Otwarto ogień ostrzegawczy, zarówno w postaci pitardów, jak i bomb głębinowych. Nie zdołano zmusić okrętu do wynurzenia się na powierzchnię. Przyjęto, że obiekt opuścił szwedzkie wody terytorialne”.

Wallander siedział przez chwilę, zastanawiając się, co może oznaczać „pitard”, ale nie znalazł żadnego wyjaśnienia ani we własnej głowie, ani w leżącym przed nim notesie. Na marginesie Håkan zanotował: „Okrętu podwodnego nie zmusza się do wypłynięcia na powierzchnię za pomocą sygnałów wczesnego ostrzegania, tylko za pomocą otwartego ognia. Dlaczego intruzowi pozwolono odpłynąć?”

Notatki obejmują okres do 28 września. Tego dnia Ljung rozmawia z szefem marynarki, który właśnie zakończył wizytę w Jugosławii. Håkana to kompletnie nie interesuje. Nie pozostawia ani jednego komentarza, ani jednego ludzika, ani jednego wykrzyknika. Ale poniżej, na tej samej stronie, naczelny dowódca wyraża swoje niezadowolenie z powodu pewnej wypowiedzi wydziału informacji marynarki wojennej. Apeluje do szefa marynarki, by porządnie zmył głowę osobie odpowiedzialnej. Na marginesie czerwonym długopisem notuje: „Ważniejsze byłoby zajęcie się innymi nadużyciami”.

Okręt podwodny w pobliżu Uto. Wallander pamiętał, że słyszał o nim w Djursholmie. „Właśnie wtedy to się zaczęło”, chyba tak wyraził się Håkan von Enke. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, czy padły dokładnie te, czy inne słowa.

Drugi fragment z dziennika był znacznie dłuższy. Obejmował okres od 5 do 15 października 1981 roku. To prawdziwie wielka rzecz, pomyślał Wallander. Szwecja jest na oczach całego świata. Wszyscy śledzą poczynania szwedzkiej marynarki i jej helikopterów, które pełną parą szukają okrętów podwodnych albo domniemanych okrętów podwodnych lub niepodwodnych. A w trakcie tego wszystkiego zmienia się w kraju rząd. Naczelnym dowódcą sił zbrojnych ma urwanie głowy z informowaniem zarówno ustępującego, jak i tworzącego się właśnie gabinetu.

W którymś momencie Torbjörn Falldin jakby zapomina, że ma odejść, na co wściekły Olof Palme wyraża swoje zdziwienie, że nie został dokładnie poinformowany o sytuacji w zatoce Harsfarden. Naczelnym dowódcą nie ma chwili wytchnienia. Lata jak kot z pęcherzem między Bergą a dwoma rządami, które następują sobie nawzajem na odciski. Oprócz tego musi odpowiadać na zjadliwe komentarze przywódcy moderatów, Adelsohna, który nie potrafi pojąć, dlaczego nie można zmusić okrętów do wyjścia na powierzchnię. W tym miejscu Håkan zauważa ironicznie, że nagle znalazł polityka zadającego takie same pytania jak on sam.

Wallander zaczął wpisywać nazwiska i daty do swojego podniszczonego notatnika. Do końca nie wiedział, dlaczego to robi. Może tylko po to, by uporządkować całą masę szczegółów, tak by później łatwiej móc uchwycić sens zapisanych na marginesie, coraz bardziej gorzkich komentarzy Håkana.

Niekiedy odnosił wrażenie, że ten człowiek próbował stworzyć inny przebieg wydarzeń. Von Enke pisze historię na nowo, pomyślał. Zupełnie jak ten szaleniec ze szpitala psychiatrycznego, który przez czterdzieści lat czytał klasyczne dzieła, a później dopisywał do nich nowe zakończenia, jeżeli uważał, że stare są zbyt tragiczne. Von Enke mówi, co powinno się było stać. A tym samym stawia pytanie, dlaczego tak się nie stało.

W którymś momencie w trakcie czytania Wallander

ściągnął koszulę i siedząc półnagi na kanapie, zaczął się zastanawiać, czy Håkan nie cierpiał na paranoję. Ale szybko odsunął tę myśl. Notatki na marginesie i między wierszami były wprawdzie gniewne, lecz jednocześnie jasne i logiczne, przynajmniej na ile on potrafił je zrozumieć.

Nagle, wcisnięte w tekst, pojawiły się proste wyrazy, tworząc niemal haiku.

*Pod powierzchnią faktów  
Nikt nie widzi Co się dzieje.  
Pod powierzchnią faktów  
Okręt przemysła  
Nikt nie chce go zmusić, by wypłynął.*

Czy tak naprawdę było? myślał Wallander. Czy to wszystko stanowiło jedynie grę pozorów? Czy nikt nigdy nie chciał zidentyfikować tego okrętu podwodnego? Ale dla Håkana istniało inne, ważniejsze pytanie. On nie ścigał obiektu pływającego, tylko człowieka. To właśnie powracało w jego notatkach jak uparty odgłos werbla. Kto podejmuje decyzje? Kto je zmienia? Kto?

W którymś miejscu Håkan von Enke zapisuje następujący komentarz: „Żeby znaleźć tę osobę albo osoby, które podejmowały decyzje, muszę odpowiedzieć na pytanie: dlaczego? O ile tak naprawdę odpowiedź na nie nie jest już znana”. Nie wydaje się w tym momencie poirytowany ani wzburzony, zachowuje spokój. Nie widać żadnych dziur w papierze.

Wallander nareszcie pojął tok rozumowania von Enkego. Rozkazy zostały wydane, zaczęto je po kolei wykonywać, aż tu nagle ktoś się wtrąca i zmienia decyzję, a okręty podwodne znikają. Von Enke nie podaje żadnych nazwisk, nie wskazuje winnych. Czasami nazywa niektóre osoby X albo Y, albo Z. Ukrywa je, pomyślał Wallander. A później chowa swoje notatki między bajkami Signe. I znika. A jeszcze później przepada bez śladu Louise.

Przejrzenie kopii dzienników Ljunga zajęło mu tej nocy niewątpliwie najwięcej czasu. Wallander nie zaniedbał jednak innych materiałów zawartych między czarnymi okładkami. Znalazł tam historię życia Håkana von Enkego, od dnia, w którym jako młody człowiek postanowił poświęcić się karierze oficerskiej. Fotografie, pamiątki, pocztówki. Świadectwa szkolne, egzaminy wojskowe, mianowania. Było tam też zdjęcie ślubne z Louise i kilka fotografii Hansa w różnym wieku.

Kiedy Wallander podszedł później do okna i wpatrywał się w letnią deszczową noc, pomyślał: Wiem już więcej, ale nie mogę powiedzieć, że wyjaśniło się coś konkretnego. Przede wszystkim nie to najważniejsze: dlaczego nie ma go od kilku miesięcy i dlaczego, na dodatek, zniknęła też Louise. Na te pytania nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Wiem jednak trochę więcej o Håkanie.

Z takimi myślami Wallander położył się w końcu na kanapie i przykrywszy się kocem, zasnął.

Obudził się następnego dnia z ciężką głową. Minęła właśnie ósma, w ustach czuł suchość, jak gdyby poprzedniego wieczoru był na zakrapianym przyjęciu. Ale ledwie otworzył oczy, od razu wiedział, co powinien zrobić. Wybrał numer telefonu, zanim nawet zdążył wypić kawę. Sten Nordlander odpowiedział po drugim sygnale.

- Jestem z powrotem w Sztokholmie - powiedział Wallander. - Muszę się z tobą zobaczyć.

- Miałem właśnie wyruszyć na przejażdżkę łodzią. Gdybyś zadzwonił dziesięć minut później, pewnie bym już nie odebrał. Jak chcesz, możesz ze mną popływać. I porozmawiać.

- Nie mam odpowiedniego stroju.

- Ale ja mam. Gdzie jesteś?

- Na Grevgatan.

- Zobaczymy się za pół godziny. Przyjadę po ciebie.

Sten Nordlander miał na sobie stary, zniszczony kombinezon z emblematem marynarki wojennej. Na

tylnym siedzeniu samochodu stał kosz z prowiantem i termosami. Wyjechali z miasta w kierunku Farsty, a później kluczyli bocznymi drogami, by w końcu dotrzeć do niewielkiej przystani, gdzie była przycumowana łódź. Sten Nordlander rzucił przelotne spojrzenie na plastikową torbę z czarnym notesem, ale nie powiedział ani słowa. Wallander postanowił, że poczeka, dopóki nie znajdą się na pokładzie.

Stali na pomoście i przyglądali się zacumowanej drewnianej łodzi, świeżo pociągniętej pokostem, błyszczącej.

- Prawdziwa pettersonówka<sup>6</sup> - powiedział Nordlander. - Oryginalna w każdym calu.

- Takich cacek już się nie buduje. Plastik oznacza mniej pracy na wiosnę, ale człowiek nigdy nie pokocha plastikowej łodzi w taki sam sposób. Drewniana pachnie jak bukiet kwiatów. A teraz pokażę ci Harsfarden.

Wallander zdziwił się. Kiedy wyjechali z miasta, zupełnie stracił orientację, myślał nawet, że zatrzymają się nad jakimś mniejszym jeziorem albo Melarem. Ale teraz zobaczył, że zatoka otwiera się na wyspę Uto, którą Nordlander właśnie pokazywał na mapie. Na północny zachód od niej leżały zatoki Mysingen, Harsfarden i najświętsze miejsce szwedzkiej marynarki: baza Muskö.

Wallander dostał prawie identyczny kombinezon jak ten, który miał na sobie były szef maszynowni, a jako dodatek granatową czapkę z daszkiem.

- Teraz wyglądasz jak trzeba - skomentował ubiór Wallandera właściciel łodzi.

Pettersonówka była wyposażona w silnik średnioprężny. Gdy zawarczał motor, wprawiony w ruch kołem zamachowym, Wallander odcumował łódź niezgrabnymi ruchami. Modlił się w duchu, żeby na morzu nie wiało.

Sten Nordlander oparł jedną rękę na przedniej szybie;

---

<sup>6</sup> Pettersonówka - typ drewnianej łodzi, której nazwa wywodzi się od nazwiska legendarnego szwedzkiego konstruktora Carla Gustafa Petterssona (1876-1953).

druga spoczywała na pięknie wyrzeźbionym drewnianym sterze.

- Dziesięć węzłów - powiedział. - To w sam raz. Tak żeby zaznać morza, a nie podskakiwać na falach i pędzić na oślep w stronę horyzontu. Co chciałeś mi powiedzieć?

- Byłem wczoraj u Signe. W domu opieki. Leży w łóżku zwinięta w kłębek jak dziecko, choć ma czterdzieści lat.

Sten Nordlander podniósł gwałtownie rękę.

- Nie zamierzam tego słuchać. Gdyby Håkan albo Louise chcieli mi o niej opowiedzieć, to na pewno by to zrobili.

- No to nic więcej nie powiem.

- Zadzwoiłeś po to, żeby opowiedzieć o Signe? Trudno mi w to uwierzyć.

- Znalazłem coś. Chciałbym, żebyś to później obejrzał, jak tylko gdzieś się zatrzymamy.

Wallander opisał swoje znalezisko, ale nie zdradził zawartości. Chciał, żeby Sten odkrył ją sam.

- To dość osobliwe - rzekł wreszcie, gdy Wallander zamilkł.

- Co cię tak dziwi?

- Że Håkan pisał dziennik. On nie był z tych piszących. Kiedyś pojechaliśmy razem do Anglii. Nie wysłał stamtąd nawet pocztówki, nie wiedział, co ma napisać, mówił. Jego dzienniki pokładowe też nie za bardzo nadawały się do czytania.

- A tutaj mamy nawet coś w rodzaju poezji.

- Strasznie trudno mi w to uwierzyć.

- Sam zobaczysz.

- O czym to jest?

- Większość traktuje o miejscu, do którego się zbliżamy.

- Muskö?

- Raczej o Harsfarden i okrętach podwodnych. Wydarzenia z początku lat osiemdziesiątych niemal całkowicie nim zawładnęły.

Sten Nordlander wskazał ręką w kierunku Muskö.

- Właśnie tam, w 1980 roku, trwały poszukiwania okrętu podwodnego.

- We wrześnie - dodał Wallander. - Szukano okrętu określanego w NATO mianem „Whiskey”. Prawdopodobnie był rosyjski, ale mógł też pochodzić z Polski.

Sten Nordlander spojrział na niego, mrużąc oczy.

- Jesteś obeznany w temacie!

Przekazał Wallanderowi ster, sam zaś wyjął filiżanki i termos z kawą. Wallander trzymał kurs w kierunku wskazanego punktu. Z przeciwka nadpłynęła motorówka obrony wybrzeża, minęła ich, podnosząc fale. Nordlander wyłączył silnik, łódź dryfowała spokojnie, podczas gdy on i Wallander pili kawę i jedli kanapki.

- Håkan nie był osamotniony w swoim oburzeniu - odezwał się Nordlander. - Było nas wielu. Zastanawialiśmy się, o co chodzi. Od afery Wennerströma upłynęło sporo lat, ale ciągle słyszało się różne pogłoski.

- O czym?

Sten Nordlander przekrzywił głowę, jak gdyby zmuszając Wallandera do powiedzenia głośno tego, co już dawno powinien wiedzieć.

- O szpiegach?

- To po prostu nie mieściło się w głowie, że te okręty, które bezsprzecznie znajdowały się w Harsfarden, cały czas były, że tak powiem, krok przed nami. Zachowywały się, jak gdyby znały naszą taktykę, jak gdyby wiedziały, gdzie leżą nasze zaminowane tory. Można było odnieść wrażenie, że ich załogi wręcz słyszały, o czym dyskutują nasi dowódcy. Chodziły plotki o szpiegu, którego ulokowano jeszcze lepiej niż Wennerströma. Nie zapominaj, że właśnie w tym czasie w Norwegii, w kręgach rządowych, obracał się człowiek o nazwisku Treholt, Arne Treholt. A sekretarz Willy'ego Brandta szpiegował na rzecz NRD. Te podejrzenia nigdy niczym nie zaowocowały. Nikogo nie zdemaskowano. Co oczywiście nie znaczy, że wśród nas nie poruszał się jakiś szpieg.

Wallander pomyślał o literach X, Y i Z.

- Ale musiały istnieć konkretne osoby, które podejrzewaliście?

- Niektórzy oficerowie marynarki uważali, że szpiegiem jest sam Palme. Ja zawsze twierdziłem, że to nonsens. Tak naprawdę nikt nie był wolny od podejrzeń. A oprócz tego atakowano nas na inne sposoby.

- Atakowano?

- Zarządzono oszczędności, redukcje. Pieniądze szły na broń raketową i lotnictwo. Marynarka przędła coraz cienie. Niektórzy dziennikarze mówili wtedy z pogardą o „budżetowych okrętach podwodnych”. Że niby wszystko było naszym wymysłem tylko po to, żeby zdobyć więcej środków dla marynarki wojennej.

- Czy kiedykolwiek powątpiewałeś?

- W co?

- W istnienie tych okrętów.

- Nigdy. To oczywiste, że były tam rosyjskie okręty podwodne.

Wallander wyjął z plastikowej torby czarny notes. Nabral pewności, że Sten

nigdy go wcześniej nie widział. Jego zdziwiona mina nie mogła być udawana. Nordlander wytarł ręce i ostrożnie rozłożył okładki na kolanach. Lekki wiaterek marszczył lustro wody.

Kartkował strony bez pośpiechu. Od czasu do czasu podnosił oczy, sprawdzając, dokąd dryfuje łódź. Po chwili znów wracał do dziennika. Kiedy przejrzał go w całości, oddał Wallanderowi, kręcąc głową.

- To mnie zdumiewa - powiedział. - A jednocześnie nie do końca. Wiedziałem przecież, że Håkan badał sprawę. Ale że robił to tak dokładnie, o tym nie miałem pojęcia. Jak to nazwać? Dziennik? Prywatne zapiski ku pamięci?

- Myślę, że można to czytać na dwa sposoby - odparł Wallander. - Po części tylko jako to, co tam jest napisane, ale również jako niedokończone dociekanie, co tak naprawdę się wydarzyło.

- Niedokończone?

On ma rację, pomyślał Wallander. Po co w ogóle to mówię? Przeciwnieństwem jest prawdopodobnie książka.



Coś skończonego i zamkniętego.

- Chyba masz słuszość - powiedział głośno. - Przypuszczam, że Håkan nie miał już nic do dodania. Ale co chciał osiągnąć?

- To trochę trwało, zanim zdałem sobie sprawę, jak często przesiadywał w archiwum, czytał raporty, sprawozdania i książki. Rozmawiał ze wszystkimi możliwymi ludźmi. Czasami ktoś do mnie dzwonił i pytał, co on wyprawia. Mówiłem wtedy tylko, że chce dociec, co tak naprawdę się wydarzyło.

- A to nie było popularne? Tak mi przynajmniej powiedział.

- Myślę, że w końcu zaczęto go uważać za kogoś, na kim nie można polegać. I w tym tkwił tragizm tej sytuacji. Bo w całej marynarce nie było bardziej uczciwego i sumiennego człowieka. To musiało go głęboko zranić, nawet jeżeli nigdy się nie skarżył.

Nordlander podniósł klapę motoru i przyjrzał się silnikowi.

- Jak piękne żywe serce - powiedział i spuścił klapę. - Kiedyś byłem chiefem na jednym z naszych dwóch ścigaczy klasy Halland i Smaland. Praca w jego maszynowni to jedno z największych przeżyć w moim życiu. Miał dwie turbiny parowe de Laval, które razem osiągały moc rzędu sześćdziesięciu tysięcy koni mechanicznych. Jednostka ważąca trzy i pół tysiąca ton wyciągała trzydzieści pięć węzłów. To dopiero była jazda! Wtedy dopiero chciało się żyć!

- Mam pytanie - wtrącił Wallander. - I chciałbym, żebyś potraktował je jako bardzo ważne. Czy wśród tego, co przed chwilą zobaczyłeś, było coś, co nie powinno się tam znaleźć?

- Coś tajnego? - zapytał Sten ze zmarszczonym czołem. - Niczego takiego nie zauważyłem.

- Czy coś cię zaskoczyło?

- Nie czytałem dokładnie. A komentarzy na marginesie nie potrafiłem nawet odszyfrować. Ale na pewno nic nie

wprawiło mnie w osłupienie.

- Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego ukrył ten materiał?

Sten Nordlander zwlekał z odpowiedzią. W zamyśleniu przyglądał się mijającemu ich w oddali jachtowi.

- Nie rozumiem, co w tym wszystkim miałyby być tajne - powiedział w końcu. - Przed czyimi oczami chciał to ukryć?

Wallander nagle wyostrzył swą czujność. Mężczyzna siedzący obok niego w kokpicie powiedział przed chwilą coś ważnego. Ale ta myśl umknęła Wallanderowi, jeszcze zanim zdążył ją sformułować. Zapamiętał jednak słowa.

Nordlander znów dodał gazu; płynęli z prędkością dziesięciu węzłów w kierunku zatok Mysingen i Harsfarden. Wallander stanął obok niego. W ciągu najbliższych godzin opłynęli wyspę Muskö i całą zatokę Harsfarden. Nordlander wskazywał i wyjaśniał, gdzie zrzucono bomby głębinowe i gdzie okręty podwodne mogły przemknąć przez nieaktywowane tory minowe. Na mapie morskiej Wallander mógł śledzić cały czas głębokość i ukryte mielizny. Zrozumiał, że nawigowanie tu w położeniu podwodnym wymaga bardzo doświadczonej załogi.

Gdy Nordlander uznał, że zobaczyli wystarczająco dużo, zmienił kurs i popłynęli w kierunku kilku wysepek i szkieł leżących w cieśninie między Orno i Uto. Dalej było już tylko otwarte morze. Sten pewną ręką wprowadził łódź do zatoczki przy jednej z wysepek. Przybili ostrożnie do skalistego brzegu.

- Niewiele osób zna to miejsce - powiedział, wyłączwszy motor. - Dlatego mam je prawie zawsze tylko dla siebie. Łap!

Wallander wskoczył na ląd z cumą w ręce, wziął od Stena koszyk i postawił na skale. Pachniało morzem i roślinami gnieżdżącymi się w szczelinach. Nagle poczuł się jak dziecko przed wyprawą na zupełnie nieznaną wyspę.

- Jak ona się nazywa?

- To malutka wysepka. Nie ma nazwy.

Nordlander bez słowa rozebrał się do naga i wskoczył do

morza.

Wallander widział tylko jego głowę, jak wynurza się i znika. Jak okręt podwodny, pomyślał. Schodzi pod wodę i wychodzi na powierzchnię.

Nordlander wdrapał się na skałę i z wiklinowego koszyka wyjął ogromny czerwony ręcznik.

- Powinieneś spróbować - powiedział. - Nie jest za ciepło, ale kąpiel dobrze by ci zrobiła.

- Innym razem. Ile tutaj woda może mieć stopni?

- Termometr leży za kompasem. Sprawdź temperaturę, a ja się wytrę i przygotuję coś do jedzenia.

Wallander odnalazł termometr z niewielką gumową piłeczką. Pozwolił mu dryfować przez chwilę przy skałe, zanim odczytał wynik.

- Jedenaście stopni - oznajmił, wróciwszy do Stena, który właśnie rozkładał posiłek. - Jak dla mnie, za mało. W zimie też się kąpiesz?

- Nie, ale czasami miałem na to ochotę. Jedzenie będzie gotowe za dziesięć minut. Obejdz sobie wysepkę dookoła. Może znajdziesz jakąś pocztę butelkową z leżącego do góry dnem rosyjskiego okrętu podwodnego.

Wallander zastanawiał się przez moment, czy Sten Nordlander mówi wszystko to na poważnie. Ale chyba raczej nie, bo nie należał do mężczyzn lubujących się w mrocznych podtekstach.

Usiadł na bloku skalnym, skąd miał niczym nieograniczony widok na horyzont. Zebrał kilka kamieni i zaczął wrzucać je do wody. Kiedy właściwie ostatnio puszczał kaczki? Przypomniawszy sobie wyprawę do parku narodowego Stenshuvud. Pojechał tam z Lindą, kiedy miała kilkanaście lat i niechętnie dawała się wyciągać na wycieczki. To wtedy puszczała kaczki i Linda opanowała tę sztukę o wiele lepiej niż on. A teraz na dobrą sprawę jest już prawie mężatką, myślał. Gdzieś tam w świecie czekał na nią mężczyzna i okazał się tym wymarzoną. Gdyby nie on, nie siedziałby teraz na jakiejś bezimiennej wysepce i nie wpatrywałby się w morze, rozmyślając o jego

zaginionych rodzicach.

Pewnego dnia nauczy również Klarę, jak rzucać na wodę płaskie kamyczki, żeby skakały po powierzchni niczym zwinne żabki.

Usłyszał wołanie Stena i już chciał wracać, ale ciągle siedział z ostatnim kamieniem w dłoni: szarym, niewielkim, odłupanym z litej szwedzkiej skały. Uderzyła go pewna myśl, początkowo niejasna, ale z każdą sekundą coraz wyraźniejsza.

Wstał dopiero wtedy, kiedy Sten zawołał go po raz drugi. Myśl zachował w pamięci.

Wieczorem pożegnał się z Nordlanderem przed bramą na Grevgatan i pospieszył do mieszkania. Okazało się, że miał rację. Kamyk, który wcześniej leżał na biurku Håkana, zniknął bez śladu.

## 14

Wycieczka morska zmęczyła Wallandera, ale jednocześnie sprowokowała do kilku refleksji. Nie tylko na temat zaginionego kamyka. Zastanowiła go jego nagła czujność wobec słów Nordlandera: „Przed czyimi oczami chciał to ukryć?” Håkan von Enke miał w zasadzie tylko jeden powód do ukrycia swojej książki. W dalszym ciągu coś trwało. Nie grzebał tylko i wyłącznie w przeszłości, nie próbował tchnąć życia w senną i zmumifikowaną prawdę. To, co wydarzyło się w tamtych czasach, ciągle miało powiązania z dniem dzisiejszym.

Wallander siedział nieruchomo na sofie i szukał tego, czego żarna nie zdołały jeszcze zemleć. Tu musi chodzić o ludzi. Żyjących ludzi, nie o tych od dawna umarłych. W którymś miejscu Håkan spisał w swoich notatkach listę nazwisk, które nic Wallanderowi nie mówiły. Z jednym wyjątkiem: wysoko postawiony w marynarce Sven-Erik Håkansson był często wymieniany w mediach w czasie polowania na okręty podwodne w latach osiemdziesiątych.

Oprócz krzyżyka przy jego nazwisku widniały również

wykrzyknik i znak zapytania. Co miały oznaczać? Håkan nie prowadził notatek przypadkowo, wszystko było dokładnie przemyślane, nawet jeżeli Wallanderowi jedynie częściowo udało się rozszyfrować jego tajny język.

Wyciągnął czarny notatnik i analizował nazwiska, zastanawiając się, czy ci ludzie byli zaangażowani w walkę z intruzami, czy może należeli do podejrzanych. A jeżeli tak, to o co?

Gwałtownie zaczerpnął powietrza. Wreszcie chyba zrozumiał. Håkan von Enke poszukiwał rosyjskiego szpiega. Kogoś, kto dostarczał rosyjskim okrętom podwodnym wystarczająco dużo informacji, by mogły zwodzić szwedzkich prześladowców, a nawet kierować ich decyzjami dotyczącymi użycia broni. Kogoś, kto nadal gdzieś tam był, ciągle niezdemaskowany. To przed nim ukrywał swoje notatki, to jego się bał.

Mężczyzna za ogrodzeniem, pomyślał Wallander. Czy właśnie jemu nie podobały się poszukiwania prowadzone przez Håkana?

Skierował światło stojącej obok lampy na sofę i jeszcze raz przejrzał zawartość grubego zeszytu. Zatrzymywał się przy tych notatkach, które mogły wskazywać na ślady ewentualnych szpiegów. Być może stanowiły one także odpowiedź na inne dręczące go pytanie: czy ktoś przypadkiem nie usunął części dokumentów z archiwum w gabinecie von Enkego. Najprawdopodobniej zrobił to sam Håkan.

To wszystko przypominało rosyjską matrioszkę: lalkę, która ma w środku inną lalkę, a ta kolejną i tak dalej. Håkan nie tylko ukrył swoje notatki, ale też uczynił ich zawartość niezrozumiałą dla osób postronnych. Postarał się o zasłonę dymną. A może raczej zaminowany tor, który z łatwością mógł aktywować, kiedy chciał, jeśli tylko w pobliżu znalazł się ktoś niepożądany.

W końcu Wallander zgasił światło. Ale nie mógł usnąć. Pod wpływem nagłego impulsu ubrał się i wyszedł na dwór. Dawniej, w czasach, kiedy samotność doskwierała mu

szczególnie mocno, szukał ukojenia w długich nocnych spacerach. Nie było w Ystad ulicy, której kiedyś nie przemierzyłby podczas swoich nocnych wędrówek. Teraz ruszył w kierunku Strandvagen, skręcił w lewo, by dojść do mostu prowadzącego na Djurgården.

Czerwcową noc była ciepła, tu i ówdzie spotykał jeszcze ludzi, wielu z nich głośnych, nietrzeźwych. Czuł się jak nieśmiały obcy przybysz, przemykający między cieniami. Minął lunapark Grona Lund i zawrócił dopiero przy muzeum Tielska Galleriet. Nie rozmyślał o niczym szczególnym, po prostu spacerował, zamiast spać, to wszystko. Gdy wrócił do mieszkania, od razu zasnął. Nocna wycieczka przyniosła pożądany skutek.

Dzień później pojechał do domu. Dotarł do Skanii późnym popołudniem. Najpierw zatrzymał się po drodze i zrobił zakupy, a potem odebrał od sąsiada Jussiego, który w dzikiej radości zostawił panu ślady brudnych łap na ubraniu. Kiedy zjadł i przespał się kilka godzin, usiadł z czarnym zeszytem przy stole w kuchni. Wyjął najsilniejsze szkło powiększające. Dostał je kiedyś od ojca, gdy jako nastolatek okazał nagłe zainteresowanie drobnymi robaczkami, od których roilo się w trawie. Ta lupa była jednym z niewielu prezentów, nie licząc psa Sagi, jakie kiedykolwiek otrzymał, dlatego też dbał o nią czule.

Tym razem skupił się na fotografiach znalezionych między czarnymi okładkami, teksty i notatki na marginesie zostawił w spokoju.

Jedna fotografia zdawała się nie pasować do pozostałych. Nie zwrócił uwagi na to wcześniej, ale zdjęcie miało zdecydowanie zbyt „cywilny” charakter. Wallander był przekonany, że w notesie nic nie znalazło się przypadkowo. Håkan von Enke to ostrożny myśliwy, ale też wyjątkowo świadomy celu.

Czarnobiała fotografia została wykonana przy jakimś obiekcie portowym. W tle widniała budowla bez okien, prawdopodobnie magazyn. W nieostrych rogu zdjęcia Wallander zidentyfikował, za pomocą szkła

powiększającego, dwa wózki widłowe i kilka ułożonych jedna na drugą skrzyń do przechowywania ryb.

Fotograf skierował obiektyw na dwóch mężczyzn stojących przy kutrze rybackim starszego typu. Jeden z nich jest w podeszłym wieku, drugi natomiast to bardzo młody chłopiec. Wallander zgadywał, że zdjęcie zrobiono w latach sześćdziesiątych. Wtedy bowiem noszono wełniane swetry, skórzane kurtki, zydwestki i olejaki. Na białym poszyciu statku widać wyraźne czarne ślady odrapań.

Za starszym mężczyzną i między jego nogami mającą litery numeru rejestracyjnego łodzi. Wallander nie miał wątpliwości, że ostatnia z nich to G. Pierwsza była niewidoczna, a środkowa to R albo T. Cyfry dało się odczytać bez trudu: 123. Wallander usiadł przy komputerze, wszedł do internetu i za pomocą kilku zapytań wyszukał miejsce rejestracji statku. Dość szybko stwierdził, że istnieje tylko jedna możliwość. Kombinacja liter przedstawiała się następująco: NRG. Kuter pochodził ze wschodniego wybrzeża, z okolic Norrköpingu. W kolejnym etapie poszukiwań w sieci Wallander dotarł do Urzędu Żeglugi Morskiej i Zarządu Rybołówstwa. Zapisał na kartce numery telefonów i wrócił do kuchennego stołu.

Wtedy zadzwonił telefon. Linda była ciekawa, dlaczego nie daje znaku życia.

- Tak po prostu znikasz - powiedziała. - Wystarczy już zaginionych.

- O mnie się nie musisz martwić - uspokoił ją. - Przyjechałem parę godzin temu, miałem zamiar odezwać się jutro.

- A dlaczego nie dzisiaj? - spytała. - I ja, i Hans chcemy się dowiedzieć, do czego doszedłeś.

- On jest w domu?

- Pracuje. Rano wygarnęłam mu, że ciągle go nie ma. Chciałam, żeby zrozumiał, że pewnego dnia ja też zacznę pracować. I co wtedy?

- No właśnie, co wtedy?

- Musi zacząć pomagać. Ale teraz opowiadaj!

Wallander próbował opisać swoje spotkanie z Signe, z samotną, pokurczoną istotą o jasnych włosach, ale nie zdążył nawet zacząć, bo Klara wybuchnęła płaczem i Linda musiała przerwać rozmowę. Obiecał zadzwonić następnego dnia.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił rano po przyjsciu do komendy, było odnalezienie Martinssona. Wallander chciał się dowiedzieć, czy będzie musiał pracować w święto przesilenia letniego, czy nie. Ze wszystkich kolegów Martinsson miał najlepsze rozeznanie w nieustannie zmieniającym się grafiku i w ciągu dziesięciu minut znalazł już odpowiedź. Mimo tego krótkiego urlopu Wallander nie musiał stawić się w pracy w świąteczny weekend. Martinsson zamierzał pojechać ze swoją najmłodszą córką do Danii, na obóz jogi.

- Nie wiem, co to oznacza - powiedział, nie kryjąc niepokoju. - Czy to naprawdę rozsądne, żeby trzynastoletnia dziewczynka była tak całkowicie pochłonięta uprawianiem jogi?

- Lepsze to niż wiele innych rzeczy.

- Starsze dzieci pasjonowały się końmi. To zdecydowanie spokojniejsze zajęcie. Ale ta nasza ostatnia pociecha jest inna.

- Wszyscy jesteśmy inni - odparł zagadkowo Wallander i wyszedł z pokoju.

Najpierw zadzwonił pod wyszukany poprzedniego wieczoru numer i dowiedział się, że kuter oznakowany NRG 123 należy do Eskila Lundberga, rybaka mieszkającego na wyspie Boko w południowej części archipelagu Gryt. Później odezwała się tylko automatyczna sekretarka; nagrał na niej wiadomość i podkreślił, że sprawa jest pilna.

Następnie zadzwonił do Lindy i dokończył rozmowę z poprzedniego dnia. I ona, i Hans chcieli najszybciej jak to tylko możliwe pojechać do Niklasgården i odwiedzić Signe. Wallander nie był zdziwiony, ale zastanawiał się, czy naprawdę zdają sobie sprawę, co ich tam czeka. Jak on



sam to sobie wyobrażał?

- Postanowiliśmy, że jednak będziemy świętować sobótkę - powiedziała. - Mimo tych wszystkich wydarzeń, mimo męki niepewności. Pomyśleliśmy, że się ucieszysz, jak przyjedziemy do ciebie.

- Jasne! Już się cieszę na waszą wizytę. A to ci dopiero niespodzianka!

Poszedł po kawę do automatu, który wyjątkowo działał bez zarzutu.

Zamienił parę słów z technikiem policyjnym. Ten opowiedział mu o nocy na trzęsawisku, gdzie jakaś obłąkana kobieta ponoć odebrała sobie życie, i o żabie, którą po powrocie do domu znalazł w jednej z wielu kieszeni kombinezonu, co niezbyt zachwyciło jego żonę.

Wróciwszy do pokoju, Wallander odszukał jeszcze jeden numer telefonu w swoim wysłużonym notesie. To miała być ostatnia tego dnia rozmowa w sprawie zaginionej pary, później zamierzał zająć się swoimi bieżącymi obowiązkami. Rano nagrał tylko wiadomość na automatycznej sekretarce, teraz, dzwoniąc na komórkę tego samego abonenta, miał więcej szczęścia.

- Hans-Olov.

Wallander rozpoznał cienki, niemal chłopięcy głos młodego profesora geologii, z którym miał kontakt kilka lat wcześniej. Okazał się wtedy cennym ekspertem; chodziło o stwierdzenie, skąd pochodził pył skalny w kieszeniach zmarłego mężczyzny znalezionej na plaży pod Svarte. Hans-Olov Uddmark po przeprowadzeniu szybkiej, ale wnikliwej analizy rozpoznał trzy różne rodzaje pyłu; miało to znaczenie dla identyfikacji miejsca zbrodni, które nie było tożsame z miejscem znalezienia zwłok, co ułatwiło ujęcie sprawcy.

Wallander usłyszał w słuchawce zapowiedź odlotu jakiegoś samolotu.

- Kłania się Wallander. Rozumiem, że jest pan na lotnisku?

- Tak, w Kastrup. Właśnie wróciłem z kongresu

geologicznego w Chile.

Wygląda na to, że zginęła moja walizka.

- Potrzebuję pańskiej pomocy. Chciałbym, żeby pan porównał kilka kamieni.

- Z miłą chęcią. Ale czy to nie może poczekać do jutra? Źle znoszę takie długie podróże.

Wallander przypomniał sobie, że Uddmark, mimo młodego wieku, ma nie mniej niż pięcioro potomków.

- Mam nadzieję, że prezenty dla dzieci nie były w walizce?

- Gorzej. Miałem w niej sporo pięknych kamieni.

- Czy pracuje pan nadal tam, gdzie ostatnio się spotkaliśmy? Jeżeli tak, to wyślę panu kamienie jeszcze dzisiaj.

- A co mam z nimi zrobić, oprócz określenia rodzaju skały?

- Chciałbym wiedzieć, czy któryś z nich na pewno nie występuje w USA. Jeśli to możliwe do stwierdzenia.

- A dokładniej w którym miejscu?

- W pobliżu San Diego w Kalifornii i na wschodnim wybrzeżu, w okolicach Bostonu.

- Zobaczę, co będę w stanie zrobić. Ale to niełatwe zadanie. Czy ma pan pojęcie, ile jest rodzajów skał?

Wallander odpowiedział, że nie wie, ponownie wyraził ubolewanie z powodu zaginionej walizki, zakończył rozmowę i pospieszył na poranną naradę, gdzie oczekiwano jego udziału. Ktoś położył mu na biurku kartkę z przypomnieniem, że to ważne. W salce konferencyjnej, do której wszedł jako ostatni, okna były otwarte na oścież. Zapowiadał się upalny dzień.

Wallander pomyślał o tych wszystkich zebraniach, które kiedyś sam prowadził. Od pewnego czasu nie musiał tego robić, ale miał ambiwalentne odczucia. Gdy na nim spoczywała główna odpowiedzialność, często marzył o dniu, kiedy ktoś inny przejmie po nim pałeczkę. A teraz, gdy inni kierowali dochodzeniami, zdarzało mu się tęsknić do czasów, kiedy to on ponaglał, oceniał pomysły i

wydawał dyrektywy.

Dzisiejszą naradę prowadził komisarz kryminalny Ove Sunde. Przybył do Ystad zaledwie rok temu z Vaxjö. Ktoś szepnął Wallanderowi na ucho, że Sunde poprosił o przeniesienie zarówno z powodu kłopotliwego rozwodu, jak i niezbyt udanego dochodzenia, które wywołało burzliwą dyskusję w lokalnym dzienniku „Smalandsposten”. Tak naprawdę pochodził z Göteborga i nigdy nie usiłował kryć się ze swoim dialektem.

Mówiono o nim, że jest zdolny, ale może odrobinę leniwy. Krążyły też plotki na temat nowej partnerki komisarza, kobiety tak młodej, że mogłaby być jego córką. Wallander nie ufał mężczyznom w tym wieku, którzy szukali towarzystwa zbyt młodych kobiet. Rzadko dobrze się to kończyło, często dochodziło do nowych kłopotliwych rozwodów.

Ale można by oczywiście dyskutować, czy jego własna nieprzerwana samotność była lepszym wyborem.

Sunde zaczął swoje sprawozdanie. Dotyczyło kobiety na trzęsawisku. Prawdopodobnie chodziło nie tylko o samobójstwo, ale również o morderstwo. Jej mąż leżał martwy w ich wspólnym domu w niewielkiej wiosce niedaleko Marsvinsholmu. W całej tej historii szczególnie niefortunne było to, że kilka dni wcześniej mężczyzna przyjechał do komendy w Ystad i powiedział, że jego żona chce go zabić. Policjant, który przyjął zgłoszenie, nie potraktował go jednak poważnie, ponieważ mężczyzna sprawiał wrażenie zdezorientowanego i podawał wykluczające się wzajemnie informacje.

Teraz chodziło o jak najszybsze odtworzenie przebiegu wydarzeń, tak by media nie zdążyły poznać szczegółów i nie rozdmuchały sprawy odprawionego z kwitkiem mężczyzny. Wallandera irytował nadgorliwy ton wypowiedzi Sundego. Objawiający się w ten sposób lęk przed opinią mediów uważał za zwykłe tchórzostwo. Jeżeli popełniło się błąd, trzeba ponieść konsekwencje.

Pomyślał, że powinien zwrócić na to uwagę, spokojnie i

rzeczowo, z naciskiem, ale nie bez humoru. Jednak nic nie powiedział. Po drugiej stronie stołu siedział Martinsson i uśmiechał się do niego. On z pewnością wie, czym mam teraz zajętą głowę, pomyślał Wallander. I zgadza się ze mną, niezależnie od tego, czy zaprotestuję, czy będę milczał.

Po naradzie pojechali do domu, w którym znaleziono zwłoki mężczyzny. Z fotografiami w rękach, w foliowych ochraniaczach na butach, przeszli z Martinssonem i technikiem przez kolejne pomieszczenia. Nagle Wallander doznał swoistego deja vu. Wydało mu się, że już kiedyś odwiedził ten dom i że dokonał „naocznych oględzin”, jakby powiedział Lennart Mattson, miejsca zbrodni.

Oczywiście nie była to prawda, złudzenie brało się stąd, że wykonywał tę samą czynność tak wiele razy. Kilka lat wcześniej kupił sobie na polecenie książkę o pewnym procesie karnym z początku XIX wieku. Czytając ją - początkowo pełen wątpliwości, później z coraz większym zaangażowaniem - Wallander miał wrażenie, że mógłby wkroczyć do akcji i razem z komisarzem policji i wójtem rozwiązać zagadkę morderstwa pary robotników folwarcznych na wyspie Vardo w pobliżu Sztokholmu.

Człowiek się nie zmienił; przestępstwa najczęściej stanowiły kopię występków wcześniejszych pokoleń. U ich podstaw zawsze leżały spory o pieniądze albo zazdrość, może jeszcze żądza zemsty. Na długo przed nim przeróżni policjanci, komisarze, wójtowie i prokuratorzy poczynili te same obserwacje. Tyle że oni teraz byli technicznie lepiej wyposażeni i potrafili skuteczniej zabezpieczać ślady. Nadal jednak najważniejsza była umiejętność obserwacji za pomocą własnych oczu.

Kiedy Wallander wszedł do sypialni, zatrzymał się gwałtownie i przerwał swoje rozważania. Na podłodze i po jednej stronie łóżka widniały ślady krwi. Ale jego uwagę przykuł pejzaż wiszący nad poduszkami u wezglowia. Obraz przedstawiał głuszca na tle lasu. Martinsson wyrósł nagle u boku Wallandera.

- Dzieło twojego ojca, prawda?

Wallander jednocześnie skinął głową i pokręcił nią z niedowierzaniem.

- Za każdym razem jestem tak samo zdumiony.

- Przynajmniej nie musiał się martwić, że będzie podrabiany - powiedział w zamyśleniu Martinsson.

- Jasne. Z artystycznego punktu widzenia to zwykły szajs.

- Nie mów tak - zaprotestował Martinsson.

- Mówię, jak jest. A gdzie mamy narzędzie zbrodni?

Wyszli na podwórze. Pod rozpiętą płachtą foliową leżała stara siekiera. Wallander widział wyraźnie, że jest zakrwawiona aż po trzonek.

- Czy jest jakiś sensowny motyw? Jak długo byli małżeństwem?

- W zeszłym roku obchodzili złote gody. Mają czwórkę dorosłych dzieci i sporą gromadkę wnucząt. Nikt nie może pojąć, co się stało.

- Czy w grę nie wchodzi pieniądze?

- Według sąsiadów obydwójce byli oszczędni, wręcz skąpi. Jeszcze nie wiemy, ile mają. Bank sprawdza. Ale możemy przyjąć, że trochę uzbierali.

- Wygląda na to, że doszło do bójki - powiedział Wallander po chwili zastanowienia. - On stawiał opór. Dopóki nie znajdziemy kobiety, dopóty nie możemy określić jej ran.

- Trzęsawisko nie jest duże. Prawdopodobnie znajdą ją jeszcze dzisiaj.

Opuścili to rozpaczliwe, opustoszałe miejsce zbrodni i wrócili na komendę.

Wallander nie mógł oprzeć się wrażeniu, że na chwilę letni krajobraz zamienił się w czarno-biały obraz. Przez jakiś czas kołysał się na krześle i w końcu jeszcze raz zadzwonił do Eskila Lundberga. Tym razem odpowiedziała jego żona i poinformowała, że mąż wypłynął w morze. W tle słychać było głosy małych dzieci. Zgadywał, że Eskil jest tym chłopcem z fotografii.

- Przypuszczam, że łowi ryby?

- A co innego miałyby robić? Rozwinął półtora kilometra sieci. Co drugi dzień dostarcza towar do Söderköpingu.

- Węgorze?

Odpowiedziała niemal urażona.

- Gdyby chciał łowić węgorze, zastawiałby żaki. Ale nie ma węgorzy. Niedługo nie będzie żadnych ryb.

- Czy ma jeszcze tę łódź?

- Którą?

- Ten duży kuter. NRG 123.

Wallander wyczuł rosnącą nieprzychylność kobiety, wręcz podejrzliwość.

- Próbował ją sprzedać już dawno temu, ale nikt nie chce tej ruiny w stanie rozkładu. Silnik odstąpił za sto koron. A o co panu chodzi?

- O rozmowę - odpowiedział życzliwie Wallander. - Czy Eskil ma przy sobie telefon?

- Na morzu jest słaby zasięg. Najlepiej będzie, jak pan spróbuje zadzwonić trochę później. Za jakieś dwie godziny mąż powinien być w domu.

- Dobrze, zadzwonię.

Udało mu się zakończyć rozmowę, zanim kobieta jeszcze raz zapytała, o co mu chodzi. Odchylił się i położył nogi na stole. Nie miał już żadnych zebrań, żadnych zadań, które wymagałyby jego obecności.

Chwycił kurtkę i opuścił komendę, na wszelki wypadek przez garaż, żeby nikt nie zdążył zatrzymać go w ostatniej chwili. Szedł w kierunku centrum miasta i nagle poczuł, że porusza się wyjątkowo lekkim krokiem. Mimo wszystko nie był aż tak stary, żeby nic mu już nie zostało. W słońcu i ciepłe wszystko wydawało się całkiem znośne.

Zjadł posiłek w pobliżu rynku, przeczytał „Ystads Allehanda” i jedną z popołudniówek. A później usiadł na ławce w rynku. Miał jeszcze trochę czasu. Zastanawiał się, gdzie znajdują się teraz Håkan i Louise. Żyją czy nie? Umówili się wcześniej, żeby wspólnie upozorować swoje zniknięcie? Wrócił w myślach do przypadku szpiega o nazwisku Bergling, trudno mu jednak było znaleźć jakieś

podobieństwo między poważnym komandorem porucznikiem a próżnym Berglingiem.

Dopuścił też inną myśl, która - jak niechętnie przyznał - mogła mieć decydujące znaczenie. Håkan von Enke regularnie odwiedzał swoją córkę. Czy naprawdę był gotów ją zostawić i zapaść się pod ziemię? Nieuchronny wniosek nasuwał się sam: von Enke nie żyje.

Naturalnie istnieje jeszcze inna możliwość, myślał Wallander, zapatrzony tępo w ludzi przeglądających stare płyty analogowe na jednym ze stoisk. Von Enke bał się. Czy mimo wszystko ten albo ci, których Håkan się obawiał, w końcu go dopadli? Wallander nie znał żadnych odpowiedzi, jedynie pytania, które musiał sformułować tak jasno i precyzyjnie jak to tylko możliwe.

Uznał, że może już zadzwonić na Boko. Kiedy wybierał numer, lekko podpity mężczyzna usiadł na drugim końcu drewnianej ławki. Po wielu sygnałach Wallander usłyszał męski głos. Zdecydował, że postawi sprawę jasno. Powiedział, jak się nazywa, nie krył też, że jest policjantem.

- Znalazłem pewną fotografię w notesie należącym do Håkana von Enkego. Czy zna pan tego człowieka?

- Nie.

Odpowiedź padła szybko i zdecydowanie. Wallander odniósł wrażenie, że Lundberg ma się na baczności.

- A może poznał pan jego żonę, Louise?

- Nie.

- Jednak wasze drogi musiały się kiedyś spotkać. Bo dlaczego von Enke miałyby zdjęcie, na którym jest pan i jakiś mężczyzna, prawdopodobnie pański ojciec? I łódź NRG 123. Nie należy do was?

- Tato kupił ją w Göteborgu na początku lat sześćdziesiątych. Kiedy zaczęto budować większe łodzie i zrezygnowano z drewna. Kupił ją tanio. Wtedy nie brakowało śledzia bałtyckiego.

Wallander opisał fotografię i zapytał, gdzie została zrobiona.

- W porcie Fyrudden - odpowiedział Lundberg. - Tam trzymaliśmy tę łódź. Nazywała się „Helga”, zbudowana w południowej Norwegii, o ile dobrze pamiętam, w Tonsbergu.

- Kto zrobił to zdjęcie?

- Najpewniej Gustav Holmqvist. Miał warsztat szkutniczy, a jak nie pracował, cały czas robił zdjęcia.

- A może pański ojciec znał Håkana von Enkego?

- Tato nie żyje. I on się nigdy z takimi nie zadawał.

- Co pan ma na myśli?

- Arystokratów.

- Håkan von Enke jest także marynarzem. Tak jak pan i pański ojciec.

- Nie znam go. Tato też nie.

- Więc jak on zdobył tę fotografię?

- Nie mam pojęcia.

- Może powinienem zapytać Gustava Holmqvista? Ma pan jego numer telefonu?

- Gustav nie ma telefonu. Od piętnastu lat nie żyje. Jego żona też umarła. Córka też. Nikt nie żyje.

Wallander zrozumiał, że więcej nic nie wskóra. Nie sądził, by Eskil Lundberg mówił nieprawdę. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że coś tu się nie zgadza. Nie wiedział tylko co.

Przeprosił za kłopot i siedział przez chwilę z telefonem w ręce. Pijany mężczyzna obok zdążył zasnąć. Wallander nagle go rozpoznał. To jeden z tych, których jakiś czas temu złapał za kilka włamań do willi. Po odsiedzeniu kary wyjechał z Ystad. Ale teraz widocznie wrócił.

Wallander podniósł się z ławki i ruszył w kierunku komendy. Powtarzał sobie w myśli przebieg rozmowy, słowo za słowem. Lundberg zupełnie nie był ciekaw, pomyślał. Czy naprawdę był tak mało zainteresowany, jak się wydaje? Czy może z góry wiedział, o co będzie pytał? Przez całą drogę rozkładał rozmowę na czynniki pierwsze, ale nie doszedł do żadnej jednoznacznej konkluzji.

Rozmyślenia przerwał mu Martinsson, który nagle



pojawił się w drzwiach.

- Znaleźliśmy tę kobiecinę - powiedział.

Wallander wpatrywał się w niego, nie rozumiejąc, o czym on mówi.

- Kogo?

- Tę, która zabiła męża siekierą, Evelinę Andersson. Kobietę na trzęsawisku. Właśnie znów się tam wybieram. Pojedziesz ze mną?

- Tak.

Wallander bezskutecznie łamał sobie głowę. Po prostu nie miał pojęcia, o co koledze chodzi.

Jechali samochodem Martinssona. Wallander ciągle nie wiedział dokąd i dlaczego. Czuł, że ogarnia go desperacja. Martinsson rzucił na niego okiem.

- Nie czujesz się dobrze?

- Wszystko w porządku.

Kurcz pamięci rozluźnił się dopiero za miastem.

To znów ten cień w środku głowy, pomyślał Wallander nieomal z wściekłością. Powrócił znowu, z całą mocą.

- Nagle mnie olśniło, że zapomniałem o wizycie u dentysty.

Martinsson przyhamował.

- Zawrócić?

- Ktoś inny może mnie odwieźć.

Wallander nawet nie popatrzył na wyciągniętą z bagna kobietę. Zabrał się samochodem patrolowym do Ystad. Wysiadł przy komendzie, podziękował za podwiezienie i poszedł do swojego peugeota. Czuł, jak przenika go przejmujący chłód. Luki w pamięci wzbudzały w nim przerażenie.

Kiedy po kilku chwilach znalazł się w swoim pokoju, postanowił, że porozmawia z lekarzem o tej nagłej ciemności zapadającej w jego umyśle. Właśnie gdy usiadł na krześle, telefon komórkowy wydał charakterystyczny dźwięk, oznajmiający nadejście SMS-a. Wiadomość była krótka i zwięzła. „Obydwa kamienie szwedzkie. Żaden z

wybrzeży USA. Hans-Olov”.

Wallander siedział nieruchomo. Nie umiał ogarnąć całości. Ale z całą pewnością wiedział, że coś się nie zgadza. Miał wrażenie, że jest blisko czegoś w rodzaju przełomu. Nie potrafił jednak rozstrzygnąć, co on miałyby oznaczać.

Tak jak nie potrafił rozstrzygnąć, czy małżonkowie von Enke oddalają się od niego.

Czy może z wolna przybliżają.

## 15

Na kilka dni przed sobótką Wallander ruszył wzdłuż wschodniego wybrzeża na północ. Zaraz za Vastervik o mało co nie zderzył się z łosiem. Zatrzymał się na najbliższym parkingu i zanim zebrał w sobie siły, by znów włączyć silnik, przez dłuższą chwilę siedział z walącym sercem, myśląc o Klarze. Droga biegła między innymi obok kawiarni, w której wiele lat temu - zmęczony i wycieńczony - znalazł nocleg w pomieszczeniu na zapleczu.

Później wielokrotnie, z nostalgiczną tęsknotą, wspominał kobietę, która prowadziła ten lokal. Teraz zwolnił, wjechał na podjazd przed budynkiem, ale nie wyszedł z samochodu. Siedział tak, wahając się, z rękami zaciśniętymi na kierownicy. Po chwili ruszył dalej na północ.

Wiedział oczywiście, dlaczego uciekł. Bał się, że przy kasie i ekspresie zastanie kogoś innego i będzie zmuszony przyznać, że również w tej kawiarni nie zatrzymał się czas i że już nigdy nie uda mu się wrócić do czegoś, co należy do przeszłości.

Dotarł do portu Fyrudden już o jedenastej, ponieważ jak zwykle jechał za szybko. Gdy wysiadł z peugeot, zobaczył, że magazyn z fotografii ciągle stoi na swoim miejscu, chociaż został przebudowany i ma teraz okna. Ale zniknęły skrzynie na ryby i duży kuter przy kei. Basen portowy wypełniały obecnie łodzie rekreacyjne. Wallander

zaparkował przy brunatnoczerwonym budynku straży przybrzeżnej, uiścił opłatę w punkcie kasowym i wyszedł na zewnętrzny pirs.

Cała ta podróż była jedną wielką niewiadomą. Jak w ruletce, pomyślał. Nie uprzedził Eskila Lundberga o swoim przyjeździe. Był pewien, że gdyby zadzwonił ze Skanii, rybak nie chciałby się z nim spotkać. Ale jeżeli będzie stał tu na nabrzeżu? Usiadł na drewnianej ławce i wybrał numer.

Wóz albo przewóz! Gdyby miał herb szlachecki z inskrypcją, gdyby kiedykolwiek nazywał się von Wallander, wówczas jako swojej dewizy używałby właśnie tych słów: wóz albo przewóz. W jego życiu zawsze tak było. Wystukał numer i miał nadzieję, że się uda. Lundberg podniósł słuchawkę.

- Mówi Wallander. Rozmawialiśmy ze sobą jakiś tydzień temu.

- Czego pan chce?

Jeżeli był zaskoczony, to dobrze się z tym krył, pomyślał Wallander. Lundberg należał widocznie do tych, którzy mają godną pozazdroszczenia właściwość: zawsze są przygotowani na wszystko. Na przykład na to, że nagle po drugiej stronie słuchawki odezwie się król albo wariat lub dlacego by nie, policjant z Ystad.

- Jestem w Fyrudden - kontynuował Wallander, chwytając byka za rogi. - Mam nadzieję, że znajdzie pan chwilę na spotkanie.

- Dlaczego nagle miałbym dziś więcej do powiedzenia niż tydzień temu?

W tym momencie, polegając na swoim wieloletnim policyjnym doświadczeniu, Wallander nabrał pewności. Lundberg naprawdę miał więcej do powiedzenia.

- Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać.

- Czy daje mi pan do zrozumienia, że chce mnie pan przesłuchać?

- Absolutnie nie. Chcę tylko z panem porozmawiać, pokazać tę znaną fotografię.

Lundberg zastanawiał się.

- Przyjadę po pana za godzinę - odparł w końcu.

Wallander wykorzystał ten czas na zjedzenie czegoś w kafeterii, z której miał widok na port, wyspy i - jeszcze dalej - na otwarte morze. Z wiszącej na ścianie mapy morskiej za szkłem Wallander wyczytał, że wyspa Boko leży w południowej części archipelagu, i dlatego zwracał szczególną uwagę na łodzie płynące z tamtej strony.

Wyobrażał sobie, że rybak powinien pojawić się w łodzi, która przynajmniej na oko przypomina drewnianą piękność Stena Nordlandera. Mylił się. Eskil Lundberg przyплыł otwartą plastikową motorówką napędzaną śmigłem na rufie, wypełnioną wiaderkami i koszami. Przybiwszy do nabrzeża, zaczął rozglądać się dokoła. Wallander uchwycił jego spojrzenie. Dopiero gdy ostrożnie zszedł do łodzi i omal nie wywrócił się na śliskim dnie, podali sobie ręce.

- Pomyślałem, żebyśmy pojechali do domu - powiedział Lundberg. - Jak na mój gust, tutaj jest zbyt dużo nieznanym.

Nie czekając na odpowiedź, wrzucił wsteczny bieg i ze zbyt szybką, według Wallandera, prędkością wypłynął z wejścia do portu. Jakiś mężczyzna z żaglówki przycumowanej do nabrzeża obserwował ich spektakularny wyjazd z wyraźną dezaprobatą. Potężny huk silnika uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę. Wallander usiadł w przedniej części dziobu i patrzył na mijane w szalonym tempie wyspy porośnięte drzewami lub zupełnie nagie. Pokonali cieśninę, o której Wallander po przestudiowaniu mapy w kafeterii wiedział, że nazywa się Halsosundet, i popłynęli dalej na południe. Wyspy leżały ciągle dość blisko siebie; tylko sporadycznie, tu i ówdzie, migało otwarte morze.

Lundberg miał na sobie spodnie z obciętymi nogawkami, podwinięte gumowce i bluzę z dość zaskakującym napisem: „Palę swoje śmieci sam”. Wallander ocenił go na pięćdziesiąt lat, może trochę więcej, co zgadzałyby się z

wiekiem chłopca na zdjęciu.

Skręcili w zatoczkę o brzegu porośniętym dębami i brzozaami, zatrzymali się przy brunatnoczerwonej, pachnącej dziegciem szopie na łodzie. Nieustannie wylatywały z niej i wlatywały do środka jaskółki. Przed szopą stały dwa duże piece wędzarnicze.

- Pańska żona powiedziała, że nie ma już węgorzy. Czy naprawdę jest aż tak źle?

- Jest jeszcze gorzej - odparł Lundberg. - Niedługo nie będzie żadnych ryb. Nie powiedziała panu tego?

W łagodnym zagłębieniu terenu, jakieś sto metrów od wody, stał dwupiętrowy dom mieszkalny w tym samym kolorze co szopa. Tu i ówdzie leżały porozrzucone plastikowe zabawki. Żona rybaka, Anna, przy powitaniu była równie chłodna jak podczas rozmowy telefonicznej.

W kuchni unosił się zapach gotowanych ziemniaków i ryb, z radia dochodziła ledwo słyszalna muzyka. Anna Lundberg postawiła na stole dzbanek z kawą i wyszła. Była w tym samym wieku co jej mąż, w pewnym sensie również z wyglądu przypominali siebie nawzajem.

Nagle z innego pokoju wbiegł do kuchni pies. Jaki piękny cocker-spaniel, pomyślał Wallander, głaszcząc go, podczas gdy Lundberg nalewał kawę do kubków.

Wallander położył fotografię na ceracie. Rybak z kieszonki na piersi wyjął okulary. Spojrzawszy szybko na zdjęcie, odsunął je od siebie.

- To musiał być 1968 albo 1969 rok. Jesienią, o ile dobrze sobie przypominam.

- A teraz znajduję to zdjęcie wśród papierów Håkana von Enkego...

Lundberg popatrzył Wallanderowi prosto w oczy i odparł:

- Nie wiem, kim jest ten człowiek.

- To wysokiej rangi oficer szwedzkiej marynarki. Komandor porucznik. Może znał go pański ojciec?

- To oczywiście możliwe. Chociaż raczej wątpliwe.

- Dlaczego?

- Nie zachwycał się szczególnie wojskowymi.
- Pan też jest na tej fotografii.
- Nie potrafię odpowiedzieć na pańskie pytania. Nawet gdybym chciał.

Wallander postanowił spróbować inaczej i zaczął od początku.

- Urodził się pan tu, na wyspie?
- Tak. Tak jak ojciec. Jestem czwartym pokoleniem.
- Kiedy on zmarł?
- W dziewięćdziesiątym czwartym. Dostał wylewu, jak zarzucał sieci. Nie wracał długo do domu, więc zadzwoniłem do straży przybrzeżnej. Lasseaman znalazł go, jak leżał w łodzi i dryfował w kierunku Björkskar. Staruszek właśnie tak chciał umrzeć.

Wallander wyczuł z tonu głosu, że stosunki między ojcem a synem nie były najlepsze.

- Zawsze tu pan mieszkał? Również za jego życia?
- Nie dałoby się. Nie można być parobkiem własnego ojca. Zwłaszcza takiego, który o wszystkim decyduje i zawsze ma rację. Nawet wtedy, gdy się myli.

Eskil Lundberg wybuchnął śmiechem.

- Zawsze chciał postawić na swoim, nie tylko wtedy, kiedy łowiliśmy ryby - mówił dalej. - Pamiętam, jak kiedyś wieczorem oglądaliśmy program rozrywkowy, coś w rodzaju teleturnieju. Pytanie brzmiało: u wybrzeży jakiego kraju leży Skala Gibraltarska. Ojciec twierdził, że Włoch, ja: że Hiszpanii. Kiedy okazało się, że mam rację, wyłączył telewizor i poszedł spać. Taki był.

- A więc wyprowadził się pan stąd?

Lundberg przechylił głowę i wykrzywił twarz w grymasie.

- Czy to ważne?
- Może się okazać, że tak.
- Niech pan opowie jeszcze raz, żebym wiedział, o co chodzi. Ktoś zaginął?

- Dwie osoby, małżonkowie von Enke. I w dzienniku prowadzonym przez tego komandora znalazłem tę oto fotografię.

- Powiedział pan, że oni mieszkają w Sztokholmie, tak? A sam przyjeżdża pan z Ystad. Jak to możliwe?

- Moja córka ma wyjść za mąż za syna zaginionych. Ma z nim dziecko. Zniknęli jej teściowie.

Eskil Lundberg skinął głową i być może spojrzął na Wallandera z nieco mniejszą podejrziwością.

- Wyprowadziłem się stąd, kiedy skończyłem szkołę. Dostałem pracę w niewielkiej fabryce pod Kalmarem. Mieszkałem tam przez rok. Później wróciłem do domu i zacząłem łowić ryby. Ale stosunki z ojcem nie układały się dobrze. Jak nie robiłem tego, co mi kazał, wściekał się, więc znów wyjechałem.

- Z powrotem do tej fabryki?

- Prosto na wschód. Na Gotlandię. Pracowałem w cementowni w Slite przez dwadzieścia lat, do czasu aż ojciec zaniemógł. Tam spotkałem swoją przyszłą żonę. Urodziło się nam dwoje dzieci. Wróciliśmy tutaj, żeby przejąć gospodarkę. Mama już nie żyła, siostra wyjechała do Danii, tylko my mogliśmy się tym wszystkim zająć. Mamy duże gospodarstwo, kawałek ziemi, tereny do połowu ryb, trzydzieści sześć niewielkich wysp i całe mnóstwo malutkich wysepek skalnych.

- To znaczy, że nie było tu pana na początku lat osiemdziesiątych?

- Jakiś tydzień w lecie, ale tak w ogóle to nie.

- Czy to możliwe, że pański ojciec miał wtedy kontakt z oficerem marynarki? A pan o tym nie wiedział?

Eskil Lundberg pokręcił energicznie głową.

- To by się nie zgadzało z jego poglądami. Ojciec uważał, że powinno się przyznawać premię za odstrzał szwedzkiej marynarki wojennej, zarówno prostych rekrutów, jak i zawodowych marynarzy. A szczególnie kapitanów.

- Dlaczego?

- Czasami podczas swoich manewrów wyciągali ile się dało. Po drugiej stronie wyspy, tam gdzie cumowaliśmy naszą łódź, mamy drewniane molo. Dwa sezony z rzędu fale z tych ich okrętów niszczyły nam pomost; zrywały

betonowe pływaki. A oni nigdy nie płacili za wyrządzone szkody. Ojciec pisał skargi, ale to nic nie pomogło. Wiele razy załogi wyrzucały resztki jedzenia do studni na wyspach. Jak ktoś wie, co znaczy studnia dla mieszkańców wyspy, to tak nie robi. Ale chodziło też o coś innego.

Nagle Lundberg znów się zawahał. Wallander odczekał, nie ponaglał go; zachowywał się jak cierpliwy lis.

- Na krótko przed śmiercią ojciec opowiedział mi o wydarzeniu z początku lat osiemdziesiątych - mówił dalej rybak. - Był już wtedy przykuty do łóżka. Można powiedzieć, że zmiękł i złagodniał, chyba po prostu zrozumiał, że to w końcu ja przejmę gospodarstwo.

Ponownie zamilkł, wstał i wyszedł z kuchni. Wallander pomyślał, że być może już nic więcej od niego nie usłyszy, lecz po chwili Lundberg wrócił z paroma starymi kalendarzami.

- Wrzesień 1982 roku. To jego zapiski. Notował połowy i pogodę, ale też jakieś szczególne wydarzenia. 19 września wydarzyło się coś niezwykłego.

Lundberg wysunął przed siebie kalendarz i wskazał na odpowiednią datę, pod którą jego ojciec zapisał starannie: „Prawie wciągnięty”.

- Co miał na myśli?

- Właśnie o tym mi opowiedział, kiedy leżał tam, w sypialni, jak na łożu śmierci. Najpierw myślałem, że odchodzi w mgłę demencji i zaćmienia umysłu. Ale jego opowieść była za bardzo szczegółowa, żeby uznać ją za nieprawdziwą. Nie mógł jej wyssać z palca.

- Niech pan zacznie od początku - poprosił Wallander. - Interesuje mnie właśnie ta jesień osiemdziesiątego drugiego roku.

Lundberg odsunął od siebie kubek, jak gdyby potrzebował więcej przestrzeni do opowiadania.

- Kiedy to się zdarzyło, łowił ryby na wschód od Gotlandii. Nagle łódź jakby gwałtownie wyhamowała. Coś szarpnęło trałem i łódź zaczęła się przechylać. Ojciec nie miał pojęcia, co się stało, myślał, że coś musiało się



wplątać w sieć. Wyostrzył czujność, ponieważ w młodości zdarzyło mu się wyciągnąć na powierzchnię granaty gazowe. Razem z dwoma innymi rybakami, którzy też byli na pokładzie, próbowali odciąć liny. Ale wtedy zauważyli, że łódź zmieniała położenie, a trał oderwał się od dna.

Udało się go wyciągnąć, razem ze stalowym cylindrem, mniej więcej metrowej długości. To nie był granat ani mina, raczej jakaś część silnika okrętowego. Cylinder był bardzo ciężki i wyglądało na to, że nie leżał w wodzie szczególnie długo. Próbowali zgadnąć, co to jest, ale nie udało im się. Po powrocie do domu ojciec dokładnie oglądał ten przedmiot, nie mógł jednak dociec, do czego służył. Zostawił go więc w spokoju i zajął się reparacją trału. Ojciec był skąpy i niczego nie wyrzucał. Ta historia ma jednak ciąg dalszy.

Lundberg przysunął do siebie kalendarz, przewrócił kilka stron, zatrzymał się przy 27 września i pokazał Wallanderowi kolejną notatkę: „Szukają”. Jedno słowo. Nic więcej.

- Prawie zapomniał o tym cylindrze, kiedy w miejscu, gdzie go znalazł, pojawiły się jednostki marynarki wojennej. Często łowił ryby na wschód od Gotlandii. Od razu zrozumiał, że to nie są zwykłe manewry. Okręty poruszały się w dziwny sposób. Stały w miejscu albo zataczały coraz ciasniejsze koła. Nie potrzebował wiele, żeby pojąć, czym się zajmują.

Eskil Lundberg zamknął kalendarz i popatrzył na Wallandera.

- Szukali zguby. To oczywiste. Ale ojciec ani myślał oddać im stalowego cylindra. To oni zniszczyli mu sieć. Łowił więc dalej ryby jak gdyby nigdy nic.

- I co było później?

- Okręty marynarki wojennej i nurkowie kręcili się tam przez całą jesień, aż do grudnia. Wtedy zniknęła ostatnia jednostka. Zaczęły krążyć pogłoski o jakimś zatoniętym okręcie podwodnym. Ale tam, gdzie szukali, było przecież za płytko dla okrętów podwodnych. Wojskowi nigdy nie

odzyskali swojego cylindra, a ojciec nigdy się nie dowiedział, co to było. Miał jednak powód do zadowolenia: w ten sposób zemścił się za zniszczony pomost. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby miał jakiś kontakt z wysokim rangą oficerem marynarki.

Siedzieli w milczeniu. Pies zaczął drapać się za uchem. Wallander próbował zrozumieć, jaki udział mógł mieć w tym, co właśnie usłyszał, Håkan von Enke.

- Myślę, że ciągle jeszcze tu jest - powiedział Lundberg.

Wallander sądził, że się przesłyszał, ale Eskil Lundberg zdążył już wstać od stołu.

- Cylinder - wyjaśnił. - Myślę, że leży w szopie.

Wyszli z domu razem z psem, który węszył u ich stóp. Zerwał się wiatr. Anna Lundberg rozwieszała pranie na sznurze rozciągniętym między dwoma starymi wiśniami. Białe poszewki łopotały na wietrze. Za szopą, w której przechowywano łodzie, na skalnych nierównościach stała druga szopa. W środku, u sufitu, świeciła samotna żarówka.

Wallander wszedł do pomieszczenia pełnego zapachów. Na jednej ze ścian wisiał przestarzały oścień do połowu węgorzy. Eskil Lundberg, pochylony w drugim kącie zawalonym rupieciami, rozgarniał zwoje lin, popsute czerpaki, stare korkowe pławiki i dziurawe sieci. Szarpał nimi i tarmosił, jak gdyby podzielał wściekłość ojca na wariackie manewry okrętów wojennych.

W końcu wyprostował się, odsunął na bok i wskazał ręką. Wallander dojrzał podłużny przedmiot z szarej stali, coś w rodzaju potężnego etui na cygaro, o średnicy może dwudziestu centymetrów. W jednym końcu, gdzie wieczko było trochę odchyłone, widać było jakieś przekaźniki i zwoje przewodów.

- Możemy go wyciągnąć - zaproponował Lundberg. - Ale musi mi pan pomóc.

Położyli cylinder na pomoście. Pies zaczął go natychmiast obwąchiwać.

Wallander próbował wyobrazić sobie przeznaczenie tego

przedmiotu. To nie wyglądało na część jakiegoś silnika. Raczej na coś związanego z radarem albo może wyrzutnią torped czy min.

Przykucnął i zaczął szukać numeru seryjnego albo miejsca wyprodukowania, ale niczego nie znalazł. Pies obwąchiwał mu twarz, dopóki Lundberg go nie przepędził.

- Jak pan myśli, co to może być? - zapytał Wallander, rozprostowawszy nogi.

- Nie wiem. Pojmuję z tego tyle samo, co mój ojciec. A on nie lubił takich sytuacji. Pod tym względem jesteśmy do siebie podobni. Chcemy zawsze poznać odpowiedzi na nasze pytania.

Zamilkł, a potem mówił dalej:

- Ja tego nie potrzebuję. Ale panu może się przyda.

Wallander dopiero po chwili zrozumiał, że mężczyzna ma na myśli stalowy cylinder leżący na ziemi.

- Chętnie go wezmę - powiedział, gdy przeszło mu przez myśl, że może Sten Nordlander potrafiłby wyjaśnić przeznaczenie tego walcowatego przedmiotu.

Włożyli go do łodzi, Wallander odczepił cumę. Lundberg skręcił na wschód i skierował się ku cieśninie między wyspami Boko i Bjorkskar. Mijali właśnie wysepkę z samotnym domkiem wśród drzew.

- To stary domek łowiecki - objaśnił Lundberg. - Nocowali tam w czasie polowań na ptaki morskie. A ojciec zaszywał się tu czasami na kilka dni, kiedy chciał sobie w spokoju pochłać. To świetna kryjówka dla kogoś, kto na jakiś czas chce zniknąć z powierzchni ziemi.

Przybili do nabrzeża. Wallander podjechał tyłem swoim samochodem. Razem umieścili stalowy cylinder na tylnym siedzeniu peugeota.

- Zastanawiam się nad jedną rzeczą - odezwał się nagle Lundeberg. - Powiedział pan, że oni zaginęli obydwójce. Czy dobrze zrozumiałem, że niejednocześnie?

- Dobrze pan zrozumiał. Håkan von Enke zaginął w kwietniu, a jego żona zaledwie kilka tygodni temu.

- Czy to nie dziwne? Że nie ma żadnych śladów? Gdzie on

się mógł podziac? Czy raczej oni?

- Na razie bierzemy pod uwagę wszystkie możliwości. Może żyją, a może są martwi. Tego nie wiemy.

Eskil Lundberg pokręcił głową. Wallander nagle dostrzegł w nim bojaźliwość.

Może ludzie właśnie tacy się stają, pomyślał, gdy żyją samotnie na wyspach, odosobnieni, odizolowani podczas srogich zim?

- Wciąż pozostaje pytanie o fotografię - nie dawał za wygraną Wallander.

- Nie potrafię na nie odpowiedzieć.

Może Lundberg wyrzucił z siebie te słowa zbyt szybko? Wallander nie miał pewności. Ale intuicyjnie przeczuwał, że to nie musi być prawda. Czy mimo wszystko ten mężczyzna chciał coś przed nim zataić?

- Może uda się panu innym razem. Nigdy nic nie wiadomo. Wspomnienia mogą przyjść nieoczekiwanie.

Wallander przyglądał się, jak Lundberg cofa łódź od nabrzeża. Zanim jego zwrotna motorówka ruszyła energicznie w kierunku cieśniny Halsosundet, obydwaj zdążyli podnieść ręce w jeszcze jednym geście pożegnania.

W drodze powrotnej Wallander wybrał inną trasę. Nie chciał jeszcze raz przejeżdżać obok tej niewielkiej kawiarni.

Dotarł do domu tak zmęczony i głodny, że postanowił poczekać z odebraniem Jussiego od sąsiadów. W oddali jeszcze grzmiało. Burza już przeszła, ciągle mokra trawa pod stopami pachniała świeżością.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Powiesił kurtkę, zdjął buty. Zatrzymał się w sieni, wstrzymał oddech, nasłuchiwał. Nikogo tu nie było, nic nie uległo zmianie, a mimo to Wallander wiedział, że ktoś pod jego nieobecność złożył mu wizytę.

W samych skarpetach wszedł do kuchni. Żadnej kartki na stole. Gdyby to była Linda, zostawiłaby wiadomość. Skierował kroki do salonu i obrócił się w nim powoli. Ktoś tu był. Ktoś przyszedł i wyszedł.

Wallander wciągnął gumowce i pospieszył na podwórze. Obszedł cały dom. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, zbliżył się do wybiegu Jussiego i kucnął przed jego budą.

Wsunął rękę do środka. To, co tam wcześniej włożył, leżało na swoim miejscu.

## 16

Blaszane pudełko odziedziczył po ojcu. Albo raczej znalazł je wśród pozostawionych obrazów, pędzli i puszek z farbami. Porządkując pracownię ojca po jego śmierci, Wallander wzruszał się do łez. Na jednym z najstarszych pędzli przeczytał, że został wyprodukowany w czasie wojny, w 1941 roku. To było życie ojca, pomyślał; nieustannie rosnąca góra zużytych pędzli, odkładanych w kącie, jeden za drugim.

Właśnie kiedy skończył sprzątać, kiedy powrzucał wszystko do papierowych worków i straciwszy cierpliwość, zamówił kontener na śmieci, właśnie wtedy znalazł blaszane pudełko. Było puste i zardzewiałe, ale wywołało w Wallanderze wspomnienie z dzieciństwa. To w nim spoczywały należące kiedyś do ojca zabawki z odległych czasów: solidnie wykonane i starannie pomalowane łożowiane żołnierzyki, tygielek lutowniczy, gipsowe formy. Pamiętał, że tam też leżały części zestawu Meccano.

Gdzie się podziały te wszystkie zabawki? Nie miał pojęcia. Przeszukał każdy kąt w domu i pracowni, ale nigdzie ich nie znalazł. Nawet przekopał łopatą i widłami starą stertę śmieci za domem - bezskutecznie. Blaszanym pojemnikiem był pusty i Wallander potraktował ten fakt symbolicznie; otrzymał w spadku coś, co sam mógł wypełnić treścią.

Wyczyścił pudełko i - na ile się dało - usunął rdzę, a później zaniósł je do piwnicy na Mariagatan. Przypomniawszy sobie o jego istnieniu dopiero podczas przeprowadzki do nowo kupionego domu w Svarthojden. A teraz wykorzystał

je jako schowek dla czarnego notatnika, który znalazł w pokoju Signe. W jakimś sensie to jest jej zeszyt, zeszyt Signe, pomyślał; i może to właśnie w nim kryje się wyjaśnienie zniknięcia jej rodziców.

Najlepszą kryjówką dla blaszanego pudełka okazało się wgłębienie pod deskami, na których spał Jussi. Wallander poczuł ulgę, gdy stwierdził, że notatnik leży na swoim miejscu. Postanowił natychmiast pójść po psa. Zagroda sąsiada znajdowała się po drugiej stronie rozległych pól z rzepakami, który zebrano w czasie jego nieobecności. Poszedł miedzą, a później polną drogą, porozmawiał trochę z dłubiącym przy traktorze sąsiadem i w końcu przywitał się z Jussim, który z radości skakał i szarpał łańcuchem na tyłach budynku.

Po powrocie do domu Wallander wtaszczył do środka stalowy cylinder, rozłożył na kuchennym stole gazety i zaczął go badać. Robił to ostrożnie, ponieważ gdzieś w głowie dzwonił mu cicho dzwonek alarmowy. Może w tym podłużnym przedmiocie znajduje się coś niebezpiecznego? Delikatnie wydłubał przekaźniki, wyciągnął zwoje cienkich kabeleków, wtyczki i kontakty prowadzące do różnych przewodów.

Pod spodem znalazł ślady czegoś, co mogło być oderwaną częścią mocującą, ale nie dojrzał żadnego numeru seryjnego ani informacji o właścicielu czy miejscu wyprodukowania. Przerwał demontaż, żeby zrobić sobie kolację. Usmażył omlet z pieczarkami z puszki i usiadł z talerzem przed telewizorem, gdzie bez zainteresowania śledził jakiś mecz piłki nożnej i próbował nie myśleć ani o cylindrze, ani o zaginionych. Pozwolił Jussiemu, który właśnie położył się u jego stóp, wylizać resztki z talerza.

Rozkojarzony patrzył, jak któraś z drużyn zdobywa gola, Bóg raczy wiedzieć, kto z kim grał, i w końcu wyszedł z psem. Był piękny letni wieczór. Wallander nie mógł się oprzeć, by usiąść na jednym z białych drewnianych krzeseł po zachodniej stronie domu, skąd miał wspaniałą widok na staczające się za horyzont słońce.

Ocknął się zdziwiony, że zasnął. Przez prawie godzinę nie istniał dla świata. Poczul suchość w ustach. Wrócił do domu i zmierzył poziom cukru. 15,2 - zdecydowanie powyżej normy. Przeniknął go dreszcz niepokoju. Przecież nie zanedbywał się, jadł według zaleceń, chodził na spacer, brał leki i zastrzyki. A mimo to stężenie cukru było stanowczo za wysokie. Nie przyszło mu do głowy żadne inne rozwiązanie niż to, że powinien zwiększyć dawki przyjmowanej systematycznie insuliny.

Przez chwilę siedział przy kuchennym stole, gdzie wcześniej nakłuł sobie palec, by sprawdzić poziom cukru. Znowu dopadło go przekleństwo starzejących się ludzi: przygnębienie i rezygnacja. Ponownie ogarnął go niepokój z powodu zaników pamięci. Siedzę tutaj, pomyślał, odkręcam śrubki i grzebię w jakimś stalowym cylindrze, zamiast pojechać do córki i zobaczyć się z wnuczką.

Zrobił to, co zwykle, kiedy gnębiła go melancholia: nalał szklankę wódki i wychylił ją jednym haustem. Jedna duża wódka, nie więcej, nie dwie, żadnych dolewek. Obejrzał cylinder jeszcze raz i postanowił, że na dzisiaj wystarczy, a później przygotował sobie ciepłą kąpiel i zasnął przed północą.

Następnego dnia, wcześniej rano, zadzwonił do Stena Nordlandera. Był na morzu, ale w ciągu godziny miał dopłynąć do lądu i obiecał oddzwonić.

- Czy coś się stało? - Sten próbował przekrzyczeć szum w słuchawce.

- Tak - odrzyknął Wallander. - Nie odnaleźliśmy zaginionych, ale znalazłem coś innego.

O wpół do ósmej odezwał się Martinsson, przypominając o przedpołudniowym zebraniu. Jeden ze szwedzkich gangów motocyklowych zamierzał kupić posiadłość pod Lund. Lennart Mattson zwołał z tego powodu naradę. Wallander obiecał pojawić się o dziesiątej.

Postanowił, że nie zdradzi Nordlanderowi miejsca, w którym znalazł cylinder. Po niechcianej wizycie, jaką ktoś

mu złożył w Svarthojden, zdecydował, że nie będzie ufał nikomu, a w każdym razie nie bezgranicznie. Oczywiście, ta wizyta wcale nie musiała mieć związku ze zniknięciem Håkana i Louise. Ale czemu w takim razie służyła?

Kiedy tylko wstał, dokładnie przeszukał cały dom. Jedno z okien wychodzących na wschód, w pokoju z nigdy nieużywanym łóżkiem gościnnym, było lekko uchylone. Wallander wiedział na pewno, że to nie on je otworzył. Złodziej mógł wejść i wyjść tą samą drogą, nie zostawiając szczególnie dużo śladów. Ale dlaczego niczego nie wziął? Wallander miał pewność, że niczego nie brakuje.

Widział tylko dwie możliwości: złodziej albo nie znalazł tego, czego szukał, albo chciał tu coś zostawić. Dlatego Wallander rozglądał się nie tylko za rzeczami, które zniknęły, ale również za tym, czego tutaj wcześniej nie było. Wczołgiwał się pod krzesła i łóżka, zaglądał pod kanapy, odwracał obrazy i wertował książki. Prawie godzinne poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Zastanawiał się, czy nie powinien porozmawiać z Nybergiem, technikiem policyjnym z komendy w Ystad, i poprosić go o poszukanie ewentualnych mikrofonów, ale odsunął od siebie tę myśl. To oznaczałoby zbyt wiele pytań, zbyt wiele plotek.

Zadzwoił Sten Nordlander i powiedział, że siedzi przy kawie w kawiarnianym ogródku w Sandhamn.

- Jestem w drodze na północ. Urlop rozciągnie mi się do Harnosand, później do fińskiego wybrzeża i z powrotem przez Wyspy Alandzkie. Dwa tygodnie sam na sam z wiatrem i falami.

- Marynarzowi morze nigdy się nie znudzi?

- Nigdy! A co takiego znalazłeś?

Wallander opisał stalowy cylinder z najdrobniejszymi szczegółami. Calówką należąca kiedyś do ojca, upstrzoną farbą, zmierzył dokładnie jego długość, a za pomocą sznurka określił średnicę.

- Gdzie to znalazłeś? - zapytał Sten Nordlander,



wysłuchawszy relacji.

- W piwnicy u Håkana i Louise - skłamał. - Wiesz, co to może być?

- Nie. Nie wiem, co to może być. Ale pomyślę nad tym. W ich piwnicy, mówisz?

- Tak. Nigdy nie widziałeś czegoś podobnego?

- Cylindry mogą mieć zastosowanie i w żegludze morskiej, i powietrznej, ale takiego przedmiotu sobie nie przypominam. Czy przeciąłeś jakiś kabel?

- Nie.

- To przetnij. Wnętrze może powiedzieć nam nieco więcej.

Wallander poszukał noża, ostrożnie rozciął jedną z czarnych koszulek i odsłonił jeszcze cieńsze, nitkowane kabelki. Opisał je Nordlanderowi.

- A więc to nie są przewody elektryczne. Raczej telekomunikacyjne. Ale co to tak naprawdę jest, bardziej szczegółowo, nie potrafię powiedzieć. Muszę pomyśleć.

- Daj znać, proszę, jeśli znajdziesz odpowiedź.

To dziwne, że nie ma informacji, gdzie to wyprodukowano. Numer seryjny i miejsce produkcji zazwyczaj są wytłoczone w stali. No i ciekawe, w jaki sposób ten cylinder znalazł się u Håkana. Skąd on go ma?

Spojrzawszy na zegarek, Wallander uświadomił sobie, że jeżeli nie chce pojawić się za późno w pracy, musi zaraz wyjść z domu. Sten Nordlander zakończył rozmowę, opisując z niesmakiem ogromny jacht wpływający właśnie do portu.

Zebrańce poświęcone gangowi motocyklowemu trwało prawie dwie godziny. Ślamazarne tempo prowadzonej przez Mattsona narady męczyło Wallandera. W końcu zniecierpliwiony brakiem praktycznych rozwiązań przerwał szefowi i spytał, czy nie można zablokować kupna, zwracając się bezpośrednio do właściciela posiadłości, a dopiero potem zająć się planowaniem strategii, która miałaby zakłócać i komplikować działalność gangu.

Ale Mattson, niezrażony, wciąż klepał jedno i to samo. Wallander trzymał w zanadrzu jeszcze jedną kartę przetargową, o której uczestnicy zebrania nie mieli pojęcia. Dostał tę wiadomość od Lindy, a ona otrzymała ją od kolegi ze Sztokholmu. Poprosił o głos.

- Jest jednak mała komplikacja - zaczął. - Pewien osławiony lekarz, znany z przeróżnych osobliwych wyczynów, wypisał zwolnienia lekarskie ni mniej, ni więcej, tylko czterem osobom należącym do tego skórczanego gangu. Wszystkim przyznano zasiłek chorobowy, ponieważ cierpią na ciężką depresję.

W sali panowała ogólna wesołość.

- Ów lekarz przeszedł na emeryturę i niestety przeprowadził się do Ystad. Kupił niewielki, ale piękny dom w centrum miasta. Oczywiście, istnieje ryzyko, że dalej będzie wypisywał zwolnienia tym biednym motocyklistom, którzy są tak przygnębieni, że nie mogą pracować. Sprawę lekarza bada teraz Zarząd Zdrowia i Opieki Społecznej, ale jak wiadomo, na nich nie za bardzo można polegać.

Wallander wstał i zapisał nazwisko lekarza na tablicy.

- Powinniśmy mieć tego człowieka na oku - dodał i opuścił salę.

Dla niego zebranie się skończyło.

Przez te wszystkie ciągnące się poranne godziny nie przestawał myśleć o cylindrze. Podjechał samochodem do biblioteki i poprosił o pomoc w wyszukaniu dostępnej literatury na temat okrętów podwodnych, okrętów wojennych w ogóle i opracowań popularnonaukowych dotyczących nowoczesnego prowadzenia wojny. Bibliotekarka, szkolna koleżanka Lindy, postawiła przed nim cały stos książek.

Zanim stamtąd wyszedł, poprosił jeszcze o wspomnienia szpiega Wennerströma. Zaniósł wszystko do samochodu, wybrał się do Saltsjobaden i zamówił lunch w restauracyjnym ogródku nad samym morzem. Właśnie gdy

postawiono przed nim talerz z jedzeniem, nadeszła Kristina Magnusson i zapytała, czy może się przysiąść. Utwierdziła go tylko w przekonaniu, że dzisiejsze zebranie było rozwlekłe i bezproduktywne.

- Myślałam, że zwariuję.

- Można się przyzwyczać. Skąd wiedziałaś, że mnie tu znajdziesz?

- Nie wiedziałam. Po prostu czułam, że muszę pobyc trochę na świeżym powietrzu.

Po lunchu poszli na spacer wzdłuż ścieżki rowerowej biegnącej przy brzegu. Wallander prawie się nie odzywał, mówiła przede wszystkim Kristina. Zrozumiał, że jest bardzo niezadowolona ze stosunków panujących w komendzie, chodziło również o sprawy organizacyjne. W końcu zatrzymał się i spojrzał na nią badawczo.

- Zamierzasz odejść? - zapytał.

- Nie. Ale dużo powinno się u nas zmienić. Zastanawiam się, jak by to było, gdybyś ty został szefem.

- To oznaczałoby katastrofę - odpowiedział Wallander. - Zupełnie nie potrafię dogadywać się z centralnymi urzędnikami, nie rozeznaję się w ich przepisach i zarządzeniach, nie mówiąc o układaniu budżetów, które i tak nigdy nie wystarczają.

W ten sposób zamknął rozmowę. Wrócili tą samą drogą i wymienili jeszcze kilka słów na temat nadchodzącej nocy świętojańskiej. Kristina wspomniała o zapowiadany deszczu i wietrze. Nie taką pogodą chciałem ugościć Klarę, pomyślał Wallander w duchu.

Trochę później, już w swoim pokoju w komendzie, przeczytał pobieżnie kilka raportów i ekspertyz technicznych, porozmawiał o jakiejś zaległej sprawie z patologiem z Lund, a resztę popołudnia poświęcił na lekturę wypożyczonych z biblioteki książek.

O czwartej zadzwonił do niego dziennikarz ze Sztokholmu. Wallander zupełnie zapomniał, że obiecał odpowiedzieć na ankietę do kolejnego numeru czasopisma „Svensk Polis”; pytania dotyczyły wdrażania nowych

policjantów do pracy. Właściwie nie miał żadnych poglądów na ten temat, ale oświadczył, że u nich w Ystad nie znają takich problemów, ponieważ już dawno wypracowali nieformalny system indywidualnych mentorów. Każdy nowo zatrudniony pracownik znajduje się pod opieką jednej starszej stażem osoby.

Wallander nie wspomniał jednak, że w tym roku nie zgodził się na rolę mentora, ponieważ pełnił ją nieustannie przez prawie piętnaście lat. Teraz ktoś inny miał przejąć te obowiązki.

Opuścił komendę o piątej, w drodze do domu zrobił zakupy. Gdy wychodził rano do pracy, na drzwiach i oknach zostawił dyskretne kawałeczki przezroczystej taśmy. Wszystkie były na swoim miejscu. Na obiad zjadł zapiekanekę rybną, a później poświęcił się książkom, które ułożył w stos na kuchennym stole. Czytał aż do północy. Kiedy kładł się spać, słyszał tłukące o dach krople deszczu. Zasnął natychmiast. Deszcz zawsze działał na niego usypiająco, już od dzieciństwa.

Kiedy następnego dnia Wallander wszedł do budynku komendy, był przemoczony do suchej nitki. Chciał zrobić sobie poranny spacer i dlatego zaparkował samochód przy dworcu kolejowym. Potraktował wysoki poziom cukru jako wyzwanie i postanowił ruszać się częściej i więcej. Gdzieś w połowie drogi spadł krótki, ale intensywny deszcz.

Wallander powiesił na krześle mokre spodnie i wyjął z szafy parę innych. Zakładając je, stwierdził, że przybrał na wadze. Wściekły trzasnął drzwiami szafy akurat wtedy, gdy do środka wszedł Nyberg. Ze zdziwieniem przyjął gwałtowną reakcję Wallandera.

- W złym humorze?

- W mokrych spodniach.

Nyberg skinął głową i odpowiedział w charakterystyczny dla siebie wesołkowato-posępny sposób.

- Doskonale cię rozumiem. Przemoczone stopy to pikuś, każdy wytrzyma. Ale ze spodniami już gorzej. To trochę jak

wtedy, kiedy człowiek się posika. Na początku jest przyjemnie, ale takie ciepełko szybko przechodzi.

Wallander usiadł w swoim pokoju i zadzwonił do Ytterberga, lecz nie zastał go w biurze i nie dowiedział się, kiedy wróci. Bezskutecznie też próbował dodzwonić się na jego telefon komórkowy. Kiedy szedł po kawę, natknął się na Martinssona, który chciał trochę pooddychać świeżym powietrzem. Usiedli przed komendą. Martinsson opowiedział o podpalaczu, który ciągle znajdował się na wolności.

- Czy tym razem go złapiemy? - zapytał Wallander.

- Zawsze go łapiemy. Pozostaje tylko pytanie, czy będziemy w stanie zatrzymać go na dłużej. Teraz mamy wiarygodnego świadka. Tym razem jest szansa, że go w końcu wsadzimy do więzienia.

Weszli do środka, każdy do swojego pokoju. Wallander został w pracy jeszcze parę godzin. Wrócił do domu, nie nawiązawszy kontaktu z nieuchwytnym Ytterbergiem. Ale zapisał sobie to, co najważniejsze, w punktach i zamierzał zadzwonić do niego wieczorem. To Ytterberg prowadził śledztwo. Wallander chciał mu przekazać znalezione przez siebie materiały: czarny zeszyt i stalowy cylinder. Niech teraz on wyciąga niezbędne i możliwe wnioski.

Wallander nie miał z tym nic wspólnego, nie prowadził śledztwa, był tylko ojcem córki, któremu nie podobało się, że jej przyszli teściowie zniknęli bez śladu. A teraz chciał skoncentrować się na świętowaniu nocy świętojańskiej i następującego po niej urlopu.

Ale nie wszystko ułożyło się po jego myśli. Kiedy zajechał przed dom, zobaczył zaparkowany przy nim nieznaną samochód. Nie miał pojęcia, do kogo mógł należeć ten dość mocno sfatygowany ford z przerdzewiałymi drzwiami. Zastanawiał się nad tym przez chwilę, zanim wszedł na podwórze. Na tym samym białym krześle, na którym zasnął poprzedniego wieczoru, siedziała jakaś kobieta.

Na stole przed nią stała otwarta butelka wina. Wallander

nie dostrzegł kieliszka czy choćby szklanki. Ogarnięty złym przeczuciem, podszedł do niej, by się przywitać.

## 17

Kobieta miała na imię Mona i była jego ekszoną. Ostatnio widzieli się dość dawno i przelotnie, w związku z ukończeniem przez Lindę szkoły policyjnej. Rozmawiali parę razy przez telefon, zawsze bardzo krótko, to wszystko.

Późnym wieczorem, kiedy Mona w końcu zasnęła w sypialni, a on sam po raz pierwszy przygotował łóżko sobie w pokoju gościnnym, poczuł się nieswojo. Mona ciągle zmieniała nastrój; kilkakrotnie wybuchała gniewem, by po chwili znów popaść w melancholię, czym wprawiała Wallandera w konsternację.

Już gdy się witali, nie była trzeźwa. Wstała z rozłożonymi ramionami i zatoczyła się gwałtownie; pewnie by upadła, gdyby on w ostatniej chwili jej nie podtrzymał. Miała napięty wyraz twarzy i zbyt ostry makijaż.

Dziewczyna, w której Wallander zakochał się czterdzieści lat temu, bardzo rzadko korzystała ze szminki, bo nie potrzebowała niczego podkreślać.

Przyjechała tego wieczoru do swojego byłego męża, ponieważ ktoś zranił ją tak bardzo, że tylko u niego mogła szukać wsparcia. A on usiadł przy niej w ogrodzie i patrząc na latające nad nimi jaskółki, nagle doznał osobliwego uczucia, że wrócił czas miniony. Wydało mu się, że za chwilę przybiegnie w podskokach pięcioletnia Linda i skupi na sobie całą ich uwagę. Ale ledwie zdążył wydukać parę słów na powitanie, Mona wybuchła niepohamowanym płaczem.

Wallander spieszył się. Przypomniawszy sobie ich ostatnie wspólne, ciężkie miesiące. Długo wierzył w jej zmienne stany emocjonalne, które jednak z czasem coraz bardziej przeobrażały się w aktorską grę. Zamiast na scenie Mona występowała w ich małżeństwie. Przyznała sobie rolę, do której tak naprawdę nie pasowała. Nie miała talentu

tragicznego, zresztą komicznego chyba też nie; raczej taki normalny, niewytrzymujący zbyt wielkich wahań nastroju.

A teraz znów siedziała zapłakana i Wallander, nie mogąc wpaść na żaden lepszy pomysł, podał jej rolkę papieru toaletowego, by wytarła sobie twarz. W końcu przestała płakać i zaczęła go dość bełkotliwie przeproszać. Wallander żałował, że nie ma tu Lindy, bo ona miała do niej zupełnie inne podejście.

Jednocześnie zbudziło się w nim inne uczucie, do którego nie chciał się przyznać, ale które wzbierało i odpływało zakazanymi falami. Zapragnął wziąć Monę za rękę i zaprowadzić do sypialni. Podniecała go jej obecność i niewiele brakowało, by odważył się to zrobić. Ale oczywiście nie zrobił. Była żona ruszyła zygzakiem w kierunku wybiegu dla psa, skąd dochodziło radosne szczekanie Jussiego. Wallander podążył za nią, bardziej w roli ochrony niż towarzysztwa, w każdej chwili gotowy ją złapać, nim upadnie.

Pies dość szybko się jej znudził, poza tym zaczęła marznąć, więc znów weszli do środka. Krążyła po całym domu, prosząc Wallandera, żeby jej „pokazał wszystko”, co wyraźnie podkreślała, jak gdyby zwiedzała jakąś galerię. Urządził swój dom „okazale”, brakowało jej słów, by opisać, jak „elegancko”, nawet jeżeli według niej już dawno temu powinien był wyrzucić tę potworną kanapę, którą kupili, kiedy jeszcze byli małżeństwem.

Zobaczywszy stojącą na komodzie fotografię ślubną, znów zaczęła płakać, tym razem tak sztucznie, że miał ochotę ją wyrzucić. Ale pozwolił się jej wypłakać, zaparzył kawę, schował stojącą w widocznym miejscu butelkę whisky i w końcu udało mu się nakłonić Monę, aby usiadła przy kuchennym stole.

Kochałem ją kiedyś bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę, pomyślał, siedząc z nią nad kubkiem kawy. Nawet gdybym teraz spotkał kolejną wielką miłość, Mona i tak pozostanie najważniejszą kobietą w moim życiu. To fakt, którego nic nie zmieni. Możliwe, że jedna miłość potrafi

zastąpić drugą, ale ta najstarsza pozostanie już na zawsze. Człowiek żyje życiem o podwójnym dnie, prawdopodobnie dlatego, żeby nie zatonać, gdy w jednym z nich powstanie dziura.

Po paru łykach kawy Mona zaczęła trzeźwieć. Również tę właściwość Wallander pamiętał z dawnych czasów; jego żona często sprawiała wrażenie bardziej pijanej, niż była naprawdę.

- Przepraszam - powiedziała. - Co ja wyprawiam, narzucam się bez sensu. Chcesz, żebym sobie poszła?

- Absolutnie nie. Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego przysłaś.

- Dlaczego jesteś taki niemły? Przecież nie możesz narzekać, że cię wciąż nachodzę?

Wallander wycofał się natychmiast, zagrożony atakiem. Ich ostatnie wspólne lata były nieustanną walką, w której on starał się nie dać wciągnąć do jej świata oskarżeń i gróźb. Mona twierdziła, że stosował podobną taktykę, i Wallander był skłonny przyznać jej rację. Obydwoje byli i sprawcami, i ofiarami tej skomplikowanej sytuacji, a przecięciem węzła gordyjskiego w tym przypadku okazał się zwykły rozwód; każdy poszedł w swoją stronę.

- Wyjaśnij mi - zaczął ostrożnie. - Skąd to twoje przygnębienie?

Odpowiedzią na pytanie była rozwlekła pieśń żałobna, sentymentalne

zawodzenie o pozornie nieskończonej liczbie wierszy, jej własna wersja smutnych ballad *Kors på Idas grav* i *Elvira Madigan*, pomyślał Wallander. Rok temu poznała nowego mężczyznę. W przeciwieństwie do poprzedniego nie był grającym w golfa rentierem, który zdaniem Wallandera dorobił się majątku na plądrowaniu spółek wydmuszek. Wręcz przeciwnie, był kimś tak przeciętnym jak handlowiec firmy ICA w Malmö, w wieku Mony, też wcześniej żonaty.

Ale nie minęło wiele czasu i Mona ku swojemu przerażeniu odkryła, że nawet zwykły, porządny detalista z



branży spożywczej może zdradzać psychopatyczne skłonności. Zaczął od kontrolowania jej i zawołanych gróźb, by w końcu posunąć się do fizycznej przemocy. Myślała naiwnie, że to przejdzie, że zazdrość kiedyś się skończy. Ale stało się inaczej i dlatego postanowiła z nim zerwać. A teraz mogła się zwrócić tylko do swojego byłego męża, ponieważ bała się, że handlowiec z branży spożywczej będzie ją prześladował. Po prostu ogarnęła ją strach i dlatego przyjechała właśnie do niego.

Wallander zastanawiał się, na ile ta historia jest prawdziwa. Wiedział, że Monie nie zawsze można ufać, zdarzało się jej kłamać, choć niekoniecznie w złej intencji. Jednak w tym wypadku powinien jej chyba uwierzyć i oczywiście poczuł się wzburzony, słysząc, że ktoś na nią podniósł rękę.

Gdy skończyła opowiadać, dostała mdłości i pobiegła do toalety. Wallander stał pod drzwiami i słyszał, jak wymiotuje; to nie była żadna gra wymyślona na potrzeby jednego widza. Później położyła się na kanapie, którą - jej zdaniem - powinien był wyrzucić, i popłakawszy odrobinę, zasnęła przykryta kocem.

Wallander usiadł w fotelu, próbując czytać książki wypożyczone z biblioteki, ale oczywiście nie mógł się skoncentrować. Po niespełna dwóch godzinach Mona ocknęła się. Kiedy zrozumiała, gdzie jest, znów napłynęły jej do oczu łzy, lecz tym razem Wallander powiedział: dość! Dodał, że jeśli sobie życzy, może dostać coś do jedzenia, przenocować, a na drugi dzień porozmawiać z Lindą, która na pewno doradzi jej o wiele lepiej niż on. Ponieważ nie była głodna, podgrzał jej tylko zupeę, a sam wypełnił sobie żołądek pokazną liczbą kanapek.

Gdy tak siedzieli w kuchni naprzeciwko siebie, Mona nagle zaczęła wspominać, jak dobrze im kiedyś było razem. Wallander zastanawiał się nawet, czy ekszona tak naprawdę nie przyjechała tutaj z zamiarem odzyskania jego względów. Gdyby spróbowała rok wcześniej, pewnie by się jej udało, pomyślał. Długo wierzyłem, że możemy do

siebie wrócić i żyć razem. Aż zrozumiałem, że to tylko złudzenie. Wszystko mieliśmy już za sobą, a ja sam za niczym nie tęskniłem i niczego nie pragnąłem.

Po kolacji chciała się czegoś napić. Odmówił jej. Dopóki jest u niego w domu, nie dostanie ani kropli alkoholu. Zawsze może wziąć taksówkę do miasta i przespać się w hotelu. Przez moment chciała się z nim spierać, ale zrezygnowała, widząc, że Wallander nie ma zamiaru ustąpić.

Kiedy o północy zdecydowała się iść spać, spróbowała go delikatnie przyciągnąć do siebie. On zrobił jednak unik i pogłaskał ją tylko po głowie, a potem wyszedł z sypialni. Kilkakrotnie stawał przy uchylonych drzwiach i nasłuchiwał. Długo leżała, nie mogąc zasnąć. Wreszcie zmorzył ją sen.

Wallander wyszedł na podwórze, spuścił psa i usiadł na ogrodowej huśtawce, która kiedyś stała przed domem jego ojca. Letnia noc była jasna, bezwietrzna, pełna zapachów. Jussi położył się u jego stóp. Zupełnie niespodziewanie Wallanderem zawładnęło nieprzyjemne uczucie. W życiu nie ma odwrotu, jakkolwiek w swojej naiwności by tego pragnął. Nie można cofnąć się ani o krok.

Zanim wszedł do pokoju gościnnego, wziął połowę tabletki nasennej, by mieć pewność, że zaśnie. Po prostu nie chciał więcej myśleć ani o kobiecie śpiącej w jego łóżku, ani o uczuciach, które ogarnęły go w ogrodzie.

Gdy obudził się rano, Mona - ku jego zdziwieniu - zdążyła już wyjechać. Zazwyczaj spał bardzo lekkim snem, ale tym razem nie słyszał, jak wstała i wyszła. Na stole w kuchni leżała napisana przez nią kartka: „Przepraszam, że siedziałam w ogrodzie, gdy przyjechałeś do domu”. Nic więcej, nic o tym, za co właściwie chciała przeprosić. Zastanawiał się, ile takich karteczek z przeprosinami położyła przed nim, gdy byli małżeństwem. Stos papierów, których ani nie chciał, ani nie potrafił policzyć.

Wypił kawę, dał Jussiemu jeść i zastanowił się, czy

powinien opowiedzieć Lindzie o wizycie Mony. Ponieważ jednak przede wszystkim chciał skontaktować się z Ytterbergiem, postanowił, że najpierw zadzwoni do niego.

Wiał porywisty, północny wiatr; lato chwilowo gdzieś zniknęło. Owce sąsiada pasły się na ogrodzonej łące, kilka łabędzi przecięło niebo lotem na wschód.

Ytterberg był w swoim gabinecie i odebrał od razu.

- Słyszałem, że mnie szukałeś. Znalazłeś małżonków von Enke?

- Nie. Ale jestem ciekaw, jak ci idzie.

- Nie mam nic nowego do przekazania.

- Nic?

- Nic. A ty coś masz?

Wallander zadzwonił po to, żeby zdać relację ze swojej wyprawy na Boko i opowiedzieć o znalezionym tam osobliwym cylindrze. Lecz teraz nagle zmienił zdanie. Nie miał pojęcia dlaczego. Kto jak kto, ale Ytterberg był godny zaufania.

- W zasadzie nie.

- Dam znać.

Po tej krótkiej, bezsensownej rozmowie Wallander pojechał do komendy. Musiał poświęcić ten dzień beznadziejnemu przypadkowi pobicia, w którym został wezwany na świadka. Wszyscy obwiniali wszystkich, a ofiara pobicia, po dwóch tygodniach w śpiączce, nie pamiętała szczegółów zajścia.

Wallander był pierwszym policjantem kryminalnym przybyłym na miejsce przestępstwa i dlatego to on miał przedstawić swoje spostrzeżenia na sali sądowej. A teraz w wielkich męczarniach usiłował sobie przypomnieć, co wtedy zobaczył. Nawet napisany przez niego wcześniej raport sprawiał wrażenie czegoś nierzeczywistego.

Nagle stanęła przed nim Linda. Było południe.

- Rozumiem, że miałaś niezapowiedzianą wizytę.

Wallander odsunął pootwierane teczki i przyjrzał się córce. Była jakby mniej pełna na twarzy. Może schudła

parę kilo?

- A więc Mona zapukała także do twoich drzwi?

- Zadzwoiła z Malmö. Narzekła, że byłeś złośliwy.

Wallander nie mógł wyjść ze zdziwienia.

- A co konkretnie miała na myśli?

- Wpuściłeś ją do domu z łaski, a przecież bardzo źle się czuła. Później prawie wcale nie dałeś jej kolacji, a na końcu zamknąłeś na klucz w sypialni.

- To nieprawda. Baba kłamie.

- Nie nazywaj tak mojej mamy - powiedziała Linda i zachmurzyła się.

- Czy chcesz, czy nie, ona kłamie. Przyjąłem ją, wpuściłem do środka, otarłem łzy i nawet zmienilem dla niej pościel.

- W każdym razie nie kłamała, jeżeli chodzi o jej nowego faceta. Jest dokładnie tak ujmujący jak każdy inny psychopata. W jakiś dziwny sposób mama zawsze ulega urokowi niewłaściwych mężczyzn.

- Dziękuję.

- Oczywiście, nie mam na myśli ciebie. Ale jej szalony golfista nie był o wiele lepszy od tego, którego spotkała ostatnio.

- Pozostaje pytanie: co ja mogę zrobić?

Kiedy Linda zastanawiała się, co powiedzieć, pocierała nos lewym palcem wskazującym. Dokładnie tak jak jej dziadek, pomyślał nagle Wallander. Nigdy tego wcześniej nie zauważył i teraz wybuchnął śmiechem. Popatrzyła na niego zdziwiona. Wyjaśnił. Ona też się roześmiała.

- Klara została w samochodzie - powiedziała. - Chciałam tylko zamienić parę słów na temat mamy. Porozmawiamy później.

- Mała siedzi sama w samochodzie? - zapytał przerażony.

- Jak mogłaś ją tak zostawić?

- Jest z nią moja przyjaciółka. A co myślałeś?

Odwróciła się w drzwiach.

- Mama chyba potrzebuje naszej pomocy.

- Zawsze jestem do dyspozycji - odpowiedział Wallander.

- Ale wolałbym, żeby była trzeźwa. I żeby dzwoniła, zanim przyjedzie.

- A ty zawsze jesteś trzeźwy? Zawsze uprzedzasz wszystkich przed wizytą? Nigdy nie czułeś się podle?

Nie czekając na odpowiedź, zniknęła w korytarzu. Wallander właśnie sięgnął po raport, gdy zadzwonił Ytterberg.

- Za parę dni idę na urlop. Zapomniałem ci o tym powiedzieć.

- Jakie masz plany?

- Pomieszkać parę tygodni w starym domku dróżnika kolejowego nad pięknym jeziorem, niedaleko Vasteras. Ale pozwól, że ci powiem, co myślę o sprawie von Enke. Trochę mi się spieszyło, kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem.

- Słucham.

- No więc tak: mam dwie teorie na temat ich zniknięcia i co do tego jesteśmy z kolegami zgodni. Ciekawe, czy ty też podzielisz nasze zdanie. Von Enke zaplanowali swoje zniknięcie wspólnie i z jakiegoś powodu postanowili zapaść się pod ziemię w dwóch różnych momentach. Można to wyjaśnić na wiele sposobów. Jeżeli na przykład wyjechali z zamiarem zmiany tożsamości, to Håkan mógł się udać w ustalone wcześniej miejsce jako pierwszy, żeby przygotować przyjazd żony i przywitać ją później na drodze usłanej płatkami róż i gałązkami palmowymi, że zacytuje Biblię.

Ale mogły też oczywiście istnieć inne powody. To jeden z tropów, którymi podążamy. W zasadzie jest jeszcze tylko jedno inne sensowne wyjaśnienie: użyto wobec nich przemocy. Krótko i węzłowato: oboje nie żyją. Trudno wytłumaczyć, dlaczego padli ofiarą brutalnych przestępców i dlaczego niejednocześnie. Ale oprócz tych dwóch możliwości nie widzimy innych. Jest tylko jedna wielka czarna dziura.

- Rozumowałbym chyba podobnie.

- Radziłem się najlepszych ekspertów w sprawie

wszelkich możliwych okoliczności zaginięć. Nasze zadanie jest o tyle łatwiejsze, że mamy tylko jeden cel.

- Znaleźć ich.

- Albo przynajmniej zrozumieć, dlaczego nie możemy ich znaleźć.

- Nie pojawiły się żadne nowe przesłanki?

- Nie. Ale powinniśmy także brać pod uwagę jeszcze jedną osobę.

- Masz na myśli syna?

- Koniecznie. Jeżeli bowiem przyjmujemy, że Louise i Håkan von Enke zaaranżowali swoje zniknięcie, to nasuwa się pytanie, dlaczego narazili go na coś tak okropnego. To przecież, oględnie mówiąc, nieludzkie. Nie sprawiali wrażeń okrutnych. Wiesz sam, poznałeś ich. Nasze informacje o Håkanie wskazują jednoznacznie, że był lubianym dowódcą i prostolinijnym oficerem. Mądrym, sprawiedliwym i zrównoważonym. Najgorsze, co o nim słyszeliśmy, sprowadzało się do tego, że od czasu do czasu mogło mu zabraknąć cierpliwości. A komu jej niekiedy nie brakuje?

Uczniowie Louise lubili ją jako nauczycielkę. Wiele osób, z którymi rozmawialiśmy, podkreślało jej małomówność. Ale to jeszcze nie rzuca na nią żadnych podejrzeń. Przecież muszą też istnieć słuchacze. W każdym razie to bardzo mało prawdopodobne, by von Enke prowadzili podwójne życie. Radziliśmy się nawet ekspertów z Europolu. Sam zamieniłem telefonicznie parę słów z francuską policjantką, mademoiselle Germain z Paryża, która powiedziała mi wiele mądrych rzeczy. Zgodziła się z moją tezą, że oczywiście powinniśmy też rozważyć to wszystko z zupełnie innej perspektywy.

Wallander pojął w lot, co Ytterberg ma na myśli.

- Jaką rolę mógł w tym ewentualnie odegrać Hans?

- No właśnie. Gdyby w grę wchodził wielki majątek, moglibyśmy zacząć od tej strony. Ale nie mamy do czynienia z zawrotnymi sumami; zasoby małżeństwa von Enke opiewają mniej więcej na milion koron, nie licząc

mieszkania własnościowego, które warte jest siedem albo osiem milionów. Dla przeciętnego śmiertelnika to oczywiście dużo pieniędzy. Jednak dzisiaj człowieka z takim majątkiem można nazwać tylko dobrze uposażonym, lecz już niekoniecznie bogatym.

- Rozmawiałeś z Hansem?

- Jakiś tydzień temu był w Sztokholmie na spotkaniu z inspekcją finansową.

Sam się ze mną skontaktował, umówiliśmy się na rozmowę. Odnoszę wrażenie, że jego niepokój jest autentyczny i że on naprawdę nie rozumie, co mogło się stać. A poza tym bardzo dobrze zarabia.

- A więc taki jest nasz stan wyjściowy?

- Tak, niezbyt dobry. Będziemy rzecz jasna kopać dalej, chociaż grunt jest twardy.

Nagle Ytterberg odłożył słuchawkę. Wallander słyszał, jak jego rozmówca przeklina. Po chwili wrócił.

- Teraz idę na urlop, ale zawsze jestem w pogotowiu.

- Obiecuję, że zadzwonię tylko wtedy, jeśli naprawdę zajdzie taka potrzeba.

Po zakończonej rozmowie Wallander usiadł przed wejściem do komendy. Zastanawiał się nad słowami Ytterberga.

Odpoczywał na ławce dość długo. Wizyta byłej żony zmęczyła go. Nie chciał, żeby Mona, stawiając nowe żądania, wprowadziła w jego życie chaos. Przy najbliższej okazji będzie musiał jej to wyjaśnić; powinien też pozyskać Lindę jako sprzymierzeńca. Rzecz jasna pomoże Monie, bez dwóch zdań, ale przeszłość już minęła i nie powróci.

Wallander ruszył do kiosku z kiełbaskami znajdującego się naprzeciw szpitala. Uważna kawka natychmiast podleciała i chapnęła grudkę puree ziemniaczanego, która spadła na ziemię z tacki.

Nagle ogarnęło go przeczucie, że o czymś zapomniał. Sprawdził, czy ma swoją broń. A może chodziło o coś innego? Teraz nawet nie miał pewności, czy przyszedł tu

pieszo, czy przyjechał samochodem.

Wyrzucił niedojedzoną porcję do kosza i jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Żadnego samochodu. Powoli zaczął iść w kierunku komendy. Mniej więcej w połowie drogi odzyskał pamięć. Oblał go zimny pot, czuł, jak wali mu serce. Nie mógł dłużej zwlekać z wizytą u lekarza. To zdarzyło się już trzeci raz w ciągu dość krótkiego czasu; chciał zrozumieć, co dzieje się w jego głowie.

Wróciwszy do komendy, zadzwonił do lekarki, u której był już wcześniej. Ustalili termin wizyty po świątecznym weekendzie. Na wszelki wypadek sprawdził później, czy jego broń służbowa faktycznie znajduje się pod kluczem tam, gdzie powinna być.

Resztę dnia poświęcił na przygotowanie swojego wystąpienia w sądzie. O szóstej zamknął ostatnią teczkę i rzucił ją na krzesło dla gości. Stał z kurtką w ręce, gotów do wyjścia, gdy nagle uderzyła go pewna myśl. Nie miał pojęcia, skąd się pojawiła. Dlaczego von Enke nie wziął ze sobą tajemnego pamiętnika po swojej ostatniej wizycie u Signe? Wallander widział tylko dwa wyjaśnienia. Håkan albo zamierzał wrócić, albo znalazł się w sytuacji, która uniemożliwiła mu powrót.

Usiadł ponownie przy biurku i odszukał numer telefonu do Niklasgården.

Odpowiedziała kobieta o pięknym głosie, mówiąca z obcym akcentem.

- Chciałem tylko zapytać, czy u Signe wszystko w porządku.

- Ona żyje w świecie, w którym nie zachodzi dużo zmian. Z wyjątkiem tego niewidzialnego ruchu w nas wszystkich, czyli starzenia się.

- Rozumiem, że jej ojciec nie pojawił się z wizytą?

- Czy to nie on zaginał? A może już się odnalazł?

- Nie. Tak tylko zapytałem.

- Ale był tu wczoraj jej wujek. Miałam co prawda wolne, widzę jednak wpis w książce odwiedzających.

Wallander wstrzymał oddech.



- Wujek?
- Wpisał się jako Gustaf von Enke. Przyszedł po południu i został mniej więcej godzinę.
- Czy to, co pani mówi, jest absolutnie pewne?
- Dlaczego miałabym zmyślać?
- No właśnie, dlaczego? Jeżeli wujek pojawi się jeszcze raz, proszę do mnie zadzwonić, dobrze?

Kobieta zaniepokoiła się

- Czy coś jest nie tak?

- Nie, absolutnie nie. Dziękuję i przepraszam za fatygę.

Wallander odłożył słuchawkę i siedział bez ruchu. Nie mylił się, był tego pewien. Poznał rodzinę von Enke wystarczająco dokładnie, by wiedzieć, że nie ma w niej żadnego wujka. Kimkolwiek był ten mężczyzna, który wczoraj odwiedził Signe, podał fałszywe nazwisko i stopień pokrewieństwa.

Wallander pojechał do domu. Odczuwany przez niego niepokój powrócił teraz ze zdwojoną siłą.

## 18

Na drugi dzień rano Wallander dostał gorączki i bolało go gardło. Jak długo się dało, wmawiał sobie, że to tylko przywidzenie, ale kiedy w końcu wyjął termometr, okazało się, że ma 38,9. Zadzwonił do pracy i powiedział, że jest chory. Większą część dnia spędził w łóżku i w kuchni, obłożony książkami z biblioteki, których jeszcze nie zdążył przejrzeć.

W nocy śnił o Signe. Był u niej z wizytą. Nagle odkrył, że w łóżku leży ktoś inny. W pokoju panowała ciemność; próbował zapalić światło, ale kontakt nie działał. Wyjął więc z kieszeni komórkę i użył jej jako latarki. W bladym, niebieskawym świetle ujrzał w łóżku Louise. Była kopią swojej córki. Ogarnął go strach, nad którym nie umiał zapanować. Kiedy chciał wydostać się z pokoju, okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz.

I wtedy się obudził. Zegar pokazywał czwartą, wstawał letni świt. Wallander czuł narastający ból gardła i gorączkę, chciał jak najszybciej znowu zasnąć. Rano próbował zinterpretować swój sen, ale nic nie wymyślił. Oprócz tego, że - jeżeli chodzi o zniknięcie Håkana i Louise von Enke - wszystko się na siebie nakłada.

Wstał, owinął szyję szalikiem, włączył komputer i zaczął szukać w internecie Gustafa von Enkego. Nie znalazł nikogo, kto by się tak nazywał. O ósmej zadzwonił do Ytterberga. Właśnie zaczynał swój ostatni dzień pracy przed urlopem. Był w drodze na szczególnie nieprzyjemne przesłuchanie mężczyzny, który usiłował udusić żonę i dwoje swoich dzieci, podobno dlatego, że chciał związać się z inną kobietą.

- Ale czy trzeba z tego powodu mordować dzieci? - spytał zdumiony.

- Jak w antycznej greckiej tragedii.

Wallander miał słabe rozeznanie w sztukach teatralnych napisanych ponad dwa tysiące lat temu. Kiedyś Linda wyciągnęła go do Malmö na inscenizację **Medei**. Sztuka poruszyła go, ale nie do tego stopnia, żeby regularnie zaczął chodzić do teatru. Ostatnie wyjście też nie wzmogło jego zainteresowania.

Opowiedział Ytterbergowi o rozmowie, którą odbył poprzedniego dnia z kobietą w Niklasgården.

- Jesteś absolutnie pewien?

- Tak - odpowiedział Wallander. - Nie istnieje żaden wujek. Kuzyn w Anglii to wszystko.

- To niewątpliwie bardzo dziwne.

- Wiem, że idziesz na urlop, ale może ktoś inny mógłby pojechać do Niklasgården i ustalić rysopis?

- Mamy tu Rebekę Andersson. Jest co prawda jeszcze młoda, ale fenomenalna, jeżeli chodzi o takie rzeczy. Porozmawiam z nią.

Sprawdzili, czy zgadzają się im numery telefonów, i Wallander już miał odłożyć słuchawkę, gdy Ytterberg zapytał:

- Czy czasami też czujesz coś takiego? Taką desperacką tęsknotę, żeby nie musieć wreszcie tkwić po szyję w tym bagnie?

- Zdarza się.

- Co w takim razie sprawia, że człowiek mimo wszystko wytrzymuje?

- Nie wiem. Może coś w rodzaju poczucia odpowiedzialności? Kiedyś miałem mentora, doświadczonego policjanta z kryminalnej. Nazywał się Rydberg. Zawsze powtarzał: „To kwestia odpowiedzialności, nic innego”.

Po półgodzinie zadzwoniła Rebeka Andersson.

Sprawdziła dane, które przekazał jej Ytterberg, i potwierdziła, że jeszcze przed południem wyruszy do Niklasgården.

Wallander przygotował sobie śniadanie i poszedł do toalety. Kiedy nacisnął spłuczkę, woda zaczęła wylewać się z muszli klozetowej. Próbował odetkać odpływ gumowym przepychaczem, ale bez powodzenia.

Kopnął z wściekłością sedes i poszedł zadzwonić do Jarmo. Hydraulik był gotów przyjąć zlecenie, lecz okazał się tak pijany, że Wallander zrezygnował z jego usług. Kolejne dwie godziny strawił na poszukiwaniu fachowca, który mógł by przepchać zatkaną rurę. Dochodziła dwunasta, kiedy na podwórze zajechał niewielki samochód dostawczy, a z niego wyskoczył radosny polski hydraulik, mówiący kompletnie niezrozumiałym szwedzkim.

Wallander przypomniał sobie dyskusję, jaką mniej więcej rok temu śledził w prasie. Chodziło o polskich rzemieślników, którzy ponoć zalewali Europę jak niechciany rój szarańczy. Ale Polakowi wystarczyło ledwie dwadzieścia minut, by poradzić sobie z problemem. Oprócz tego zażądał za usługę zdecydowanie mniej niż Jarmo.

Wallander wrócił do książek. Rebeka Andersson zadzwoniła z Niklasgården o drugiej.

- Zrozumiałam, że zależy panu na jak najszybszej informacji. Siedzę na ławce w ogrodzie. Jest cudowna

pogoda. Ma pan coś do pisania?

- Jestem gotów.

- Mężczyzna, około pięćdziesiątki, ubrany w nienagannie skrojony garnitur, w krawacie, bardzo uprzejmy, jasne kręcone włosy, niebieskie oczy. Mówił bezbłędnie po szwedzku, bez dialektalnych naleciałości, bez obcego akcentu. Jedna rzecz nie ulegała wątpliwości: nigdy wcześniej tu nie był. Musieli mu wskazać jej pokój. Ale nikt się temu nie dziwił.

- Co mówił?

- W zasadzie nic. Był tylko bardzo miły.

- A pokój?

- Poprosiłam dwie osoby, które tu pracują, każdą z osobna, żeby obejrzały pokój pod kątem ewentualnych zmian. Niczego nie znalazły. Według mnie mówiły z przekonaniem.

- A mimo wszystko ten mężczyzna siedział tam prawie dwie godziny.

- Nie do końca. Mamy rozbieżne informacje. Wygląda na to, że nie zapisuje się tu dokładnie godzin wizyt. Myślę, że ten nieznamy został w pokoju minimum godzinę, maksimum półtorej.

- A później?

- Później poszedł.

- Jak się tam dostał?

- Samochodem. Tak przypuszczam. Tyle że nikt go nie widział. Nagle po prostu zniknął.

Wallander zastanowił się chwilę, lecz już żadne pytanie nie przyszło mu do głowy, podziękował więc za pomoc. Zobaczył za oknem przemykający drogą żółty samochód listonosza. W szlafroku i drewniakach wyszedł po pocztę. W skrzynce leżał samotny list, ostemplowany w Ystad. Nadawcą był niejaki Robert Akerblom. To nazwisko wydało mu się znajome, choć nie mógł sobie przypomnieć, w jakiej sytuacji mógł się z nim spotkać.

Usiadł przy stole w kuchni i rozerwał kopertę. W środku było zdjęcie mężczyzny i dwóch młodych kobiet.

Momentalnie przypomniał sobie, kim jest ów człowiek. Odżyło w nim bolesne wspomnienie sprzed ponad piętnastu lat. Na początku lat dziewięćdziesiątych żona Akerbloma została brutalnie zamordowana, a całe wydarzenie miało osobliwe powiązania z Republiką Południowej Afryki i próbą zamachu na Nelsona Mandelę. Na odwrocie fotograf i przeczytał: „Przypominam o naszym istnieniu i dziękuję za wsparcie, jakiego nam pan udzielił w najcięższych chwilach naszego życia”.

Właśnie tego potrzebowałem, pomyślał Wallander. Potwierdzenia, że nasza praca może mieć istotne znaczenie dla wielu ludzi. Przypiął fotografię do ściany.

Dzień później była wigilia nocy świętojańskiej. Mimo że nie czuł się dobrze, postanowił pojechać na zakupy. Nie znosił tłoku w sklepach, właściwie w ogóle nie lubił robić sprawunków, ale tym razem na świątecznym stole nie mogło niczego zabraknąć. Alkohol, na szczęście, kupił już wcześniej. Zrobił listę zakupów i wyruszył do miasta.

Następnego dnia gardło nie dokuczało mu już tak bardzo, a gorączka zniknęła bez śladu. W nocy spadł deszcz, ale rano się przejaśniło. Spojrzawszy na horyzont, Wallander doszedł do wniosku, że raczej będą mogli siedzieć w ogrodzie. Kiedy Linda i jej rodzina przyjechali około piątej, wszystko już było gotowe. Córka pochwaliła jego starania i zaraz odciągnęła go na stronę.

- Przyjdzie jeszcze jedna osoba.

- Kto?

- Mama.

- Nie życzę sobie. Dlaczego? Wiesz przecież, jak to się ostatnio skończyło.

- A ja nie chcę, żeby w taki wieczór siedziała sama.

- Weźmiesz ją później do siebie?

- Nie bój się. I pomyśl, że pozwalając jej tutaj być z nami, robisz dobry uczynek.

- O której ma przyjść?

- Powiedziałam jej, że zaczynamy o wpół do szóstej. Powinna być lada moment.

- Ty będziesz odpowiedzialna za to, żeby się nie upiła.

- Załatwione. I nie zapominaj, że Hans ją lubi. A poza tym ona też ma prawo spotykać się z wnuczką.

Wallander już nic nie powiedział. Kiedy jednak na moment został sam w kuchni, wychylił kieliszek wódki dla uspokojenia.

Na początku wszystko toczyło się zupełnie dobrze. Ubrana odświeżenie Mona była w dobrym nastroju. Jedli, pili umiarkowanie, cieszyli się piękną pogodą. Wallander patrzył z podziwem na byłą żonę, która z całkowitą naturalnością zajmowała się wnuczką. Chwilami miał wrażenie, że znów ją widzi z Lindą.

Ale spokój nie trwał do końca wieczoru. Około jedenastej Mona ni stąd, ni zowąd zaczęła wypominać zaprzeszłe krzywdy. Nie pomogły interwencje Lindy, widocznie matka wypiła więcej, niż myśleli; może miała jakąś butelczynę schowaną w torebce. Wallander najpierw słuchał jej w milczeniu, w końcu jednak nie wytrzymał. Walnął pięścią w stół i poprosił Monę, żeby sobie poszła. Linda, też niezupełnie trzeźwa, zaczęła krzyczeć, żeby się uspokoił, że przecież mogło być gorzej.

Ale Wallander uważał inaczej. Kiedy po tych wszystkich latach zdał sobie wreszcie sprawę, że nie tęskni już za Moną, nagle jego uczucie przerodziło się w oskarżenie. To przecież przez nią nie znalazł sobie żadnej innej kobiety, z którą mógłby się związać. Wstał od stołu, wziął Jussiego i wyszedł z ogrodu.

Gdy wrócił po półgodzinie, wszyscy zbierali się do wyjścia. Mona siedziała już w samochodzie. Hans, który wypił tylko lampkę wina, miał prowadzić.

- Szkoda, że wyszło tak, jak wyszło - powiedziała Linda. - To był miły wieczór. Ale rozumiem teraz, że picie mamy zawsze będzie się tak kończyło.

- Czyli miałem rację?

- Jeżeli tak bardzo ci na tym zależy... Może faktycznie nie powinna była tu przyjeżdżać. Ale przynajmniej wiemy, że musimy się nią zająć. Nie miałam pojęcia, że moja mama

jest na najlepszej drodze do zapicia się na śmierć.

Pogłaskała go po policzku, objęli się.

- Bez ciebie bym sobie nie poradził.

- Niedługo będę mogła zostawiać u ciebie Klarę. Za jakiś rok. To szybko zleci.

Wallander pomachał im na pożegnanie, uprzątnął resztki ze stołu, a później

zrobił coś, co zdarzało mu się raz albo dwa razy do roku: zapalił cygaro.

Ochłodziło się. Myśli krążyły swobodnie. Zaczął wspominać swoich kolegów i koleżanki, z którymi chodził do szkoły w Limhamn. Jak im się poukładało w życiu? Kilka lat temu odbyło się jakieś jubileuszowe spotkanie, ale nie wziął w nim udziału. Teraz żałował. Życiorysy innych mogłyby ukazać jego własne życie w innej perspektywie.

Odłożył cygaro i poszukał w szufladzie starej fotografii szkolnej z 1962 roku. Byli w ostatniej klasie. Pamiętał twarze i prawie wszystkie imiona. Siv, najbardziej nieśmiała z nieśmiałych, matematyczny geniusz. On sam stał w górnym rzędzie, prawie najbardziej na lewo, z krótko ostrzyżoną głową i niepewnym uśmiechem na ustach. Miał na sobie szary sweter, pod spodem flanelową koszulę.

A teraz dobiliśmy do sześćdziesiątki, pomyślał. Nasze życie przechodzi z wolna w ostatnią fazę. Już nic radykalnie się nie zmieni.

Siedział w ogrodzie do drugiej w nocy, przez chwilę słyszał dobiegającą z oddali muzykę, może walc Callego Schewena, nie był pewien. A później położył się i spał do przedpołudnia. Nie wychodząc z łóżka, wziął się znowu za przeglądanie książek z biblioteki. Nagle usiadł gwałtownie. W książce o amerykańskich okrętach podwodnych i ich nieustannej rywalizacji w czasie zimnej wojny z rosyjskimi odpowiednikami natknął się na kilka czarnobiałych fotografii.

Wpatrzony w jedną z nich, poczuł, że szybciej zaczęło mu

bić serce. Nie ulegało wątpliwości. Zdjęcie przedstawiało dokładnie to, co przywiózł do domu z Boko. Wallander wyskoczył z łóżka i wyciągnął stalowy cylinder, ukryty za szafką ze starymi butami.

Posługując się angielskim słownikiem, upewnił się, czy nie rozumiał czegoś opacznie w rozdziale z tą fotografią. Mowa w nim była o Jamesie Bradleyu, który na początku lat siedemdziesiątych pełnił w amerykańskiej marynarce funkcję szefa dowództwa okrętów podwodnych. Podobno często spędzał noce w swoim gabinecie w Pentagonie, obmyślając nowe metody próby sił w rywalizacji z Rosjanami.

Jakiejś nocy w tej ogromnej, wyludnionej budowli, w której poza nim znajdowali się tylko spacerujący korytarzami strażnicy, wpadł na pewien pomysł. Koncepcja była tak odważna, że Bradley od razu postanowił skontaktować się z doradcą prezydenta Nixona do spraw bezpieczeństwa, Henrym Kissingerem. Jak głosiła ówczesna legenda, Kissinger bardzo rzadko słuchał kogoś dłużej niż pięć minut i nigdy dłużej niż dwadzieścia.

Bradley mówił przez trzy kwadransy. Kiedy wracał do Pentagonu, nie miał wątpliwości, że dostanie potrzebne mu pieniądze i sprzęt. Kissinger niczego nie obiecał, ale nietrudno było zauważyć, że pomysł go zafascynował.

Dość szybko postanowiono, że do supertajnego projektu zostanie wykorzystana jednostka „Halibut”, jeden z największych okrętów podwodnych amerykańskiej marynarki. Wallander otworzył szeroko usta, kiedy czytał o jego wadze, długości, uzbrojeniu, załodze, kadrze oficerskiej. W zasadzie okręt mógł być w nieustannej służbie przez okrągły rok, wystarczyło tylko od czasu do czasu uzupełnić zapasy świeżego powietrza i żywności.

Przeładunek prowiantu na otwartym morzu nie trwał dłużej niż godzinę. Ale żeby sprostać nowemu wyzwaniu, okręt wymagał kilku przeróbek. Musiał na przykład zostać wyposażony w komorę ciśnieniową dla nurków, którzy mieli wykonać najtrudniejszą część zadania na dnie morza.



Tak naprawdę pomysł Bradleya był bardzo prosty. Dla potrzeb komunikacji między sztabami na lądzie a wyposażonymi w broń jądrową okrętami podwodnymi z bazy w Pietropawłowsku Kamczackim Rosjanie położyli na dnie Morza Ochockiego kabel. Plan polegał na tym, żeby ów podwodny przewód wyposażać w urządzenia podsłuchowe.

Z ewentualnym montażem wiązała się jednak pewna trudność. Powierzchnia morza, którą należało wziąć pod uwagę, wynosiła ponad sześćset tysięcy kilometrów kwadratowych. Jak zatem zlokalizować sam kabel? Odpowiedź okazała się, podobnie jak sama idea, nieprawdopodobnie prosta.

Pewnej nocy w Pentagonie Bradley wrócił myślą do wakacji spędzonych nad Missisipi. I właśnie to wspomnienie z dzieciństwa rozwiązało poważny problem. U brzegu rzeki, w równych odstępach, stały tablice z napisem: „Kotwiczenie wzbronione. Kabel podwodny”. Jeżeli pominąć Władywostok, wschodnia Rosja była wtedy pustkowiem. W grę nie wchodziło więc zbyt wiele miejsc, w których mógł spoczywać ów kabel. Również w ZSRR istniało coś takiego jak tablice ostrzegawcze.

„Halibut” opuścił port i w położeniu podwodnym przepłynął Ocean Spokojny. Po pełnym przygód rejsie obfitującym w kontakty sonarowe z rosyjskimi okrętami podwodnymi, dotarł do wód terytorialnych Związku Radzieckiego. Wówczas nastąpił jeden z najbardziej ryzykownych momentów całej operacji: niezauważalne pokonanie jednej z cieśnin między Wyspami Kurylskimi. Udało się tylko dzięki temu, że „Halibut” został wyposażony w najbardziej zaawansowany system ostrzegający przed minami i sonarami przeciwnika.

W stosunkowo krótkim czasie odnaleziono też kabel i pozostała już tylko najtrudniejsza część zadania. Jak zamontować urządzenia podsłuchowe, nie wzbudzając podejrzeń Rosjan? Po wielu nieudanych próbach w końcu udało się i wkrótce na pokładzie „Halibuta” Amerykanie

słyszeli, jak łąd komunikuje się z rosyjskimi kapitanami na okrętach i na odwrót. Prezydent Nixon spotkał się z Bradleyem osobiście, by wyrazić mu swoją wdzięczność i pogratulować zakończonej sukcesem operacji.

Wallander wyszedł na dwór i usiadł w ogrodzie. Wiał chłodny wiatr, ale pod ścianą domu dało się znaleźć zaciszne miejsce. Jussi zniknął gdzieś na tyłach budynku. Pytania, które Wallander sobie teraz zadawał, były proste. Jakim sposobem stalowy cylinder znalazł się w szwedzkiej szopie? Jaki to ma związek z Håkanem i Louise? To bardziej skomplikowane, niż przypuszczałem, pomyślał. Kryje się za tym coś, czego nie jestem w stanie zrozumieć, brakuje mi wiedzy. Ktoś musi mi pomóc.

Wahał się, ale niespecjalnie długo. W końcu podszedł do telefonu i zadzwonił do Stena Nordlandera. Zasięg był jak zwykle kiepski, ale jakoś udało im się porozmawiać.

- Gdzie jesteś? - zapytał Wallander.

- W zatoce Gavle. Lekki wiatr z południowego wschodu, zachmurzenie umiarkowane, innymi słowy: cudownie! A ty co porabiasz?

- Jestem w domu. Musisz tu natychmiast przyjechać. Znalazłem coś, co powinieneś zobaczyć. Przyleć samolotem.

- Czyli to coś ważnego?

- Jestem przekonany, że to ważne. Ma na pewno jakiś związek ze zniknięciem Håkana.

- Przyznaję, że mnie zaciekawileś.

- Oczywiście, mogę się mylić. Wtedy od razu jutro wrócisz na swoją łódź. Zapłacę za bilety.

- To nie jest konieczne. Ale nie licz na mnie wcześniej niż późnym wieczorem. Mam jeszcze spory kawałek do brzegu.

- Odbiorę cię z lotniska, daj mi tylko znać, o której tu będziesz.

Sten Nordlander odezwał się z Arlandy dopiero o szóstej. Samolot do Malmö odlatywał godzinę później. Wallander przygotował się do wyjazdu. Zamknął Jussiego w domu z nadzieją, że poradzi sobie z ewentualnym włamywaczem.

Samolot wylądował punktualnie. Wallander czekał już na Nordlandera, gdy ten wszedł do hali przylotów przez bezszelestnie rozsuwające się drzwi. Pojechali razem do Svarthojden, by obejrzeć osobliwy walec.

## 19

Kiedy Wallander położył cylinder na stole w kuchni, Sten natychmiast go rozpoznał. Wprawdzie nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego w rzeczywistości, ale na rysunkach, szkicach i fotografiach oglądał wielokrotnie, dlatego nie miał wątpliwości, co przed sobą ma.

Nie krył zdumienia. Wallander postanowił, że nie będzie dłużej bawił się ze swoim gościem w kotka i myszkę. Jeżeli Nordlander był najlepszym przyjacielem Håkana za życia, to powinien, gdyby jednak los tak zrządził, być najlepszym przyjacielem również po jego śmierci. Wallander poczęstował gościa kawą i opowiedział o tym, jak trafił na cylinder. Nie pominął żadnego szczegółu; zaczął od fotografii dwóch mężczyzn na tle kutra i nie skończył, dopóki nie zdradził, co znalazł w mroku szopy rybackiej na Boko.

- No i jak? Uważasz, że warto było przyjechać z Gavle czy nie?

- Absolutnie warto! Jestem tak samo zaskoczony jak ty. To nie jest atrapa. I też nie wykluczam, że istnieje tu jakiś związek.

Minęła jedenasta. Nordlander nie przyjął zaproszenia na kolację, zadowolając się herbatą i paroma sucharkami. Wallander długo przerzucał pustawę opakowania w kuchennej szafce, zanim znalazł torebkę pokruszonych sucharków owsianych.

- Kusi mnie, żeby porozmawiać o tym już teraz - powiedział Nordlander - ale mój lekarz stanowczo zabrania mi siedzenia do późna w nocy, nieważne: z alkoholem czy bez. Dlatego pogadamy jutro. Pozwól tylko, że przed snem przejrzę tę książkę, w której znalazłeś fotografię.

Następny dzień był ciepły i bezwietrzny. Jakiś wielki ptak zawisł w powietrzu nad rowem. Zastygły w bezruchu Jussi przyglądał się drapieżnikowi z zafascynowaniem. Wallander wstał już o piątej, nie mogąc doczekać się opinii Nordlandera.

Sten wyszedł ze swojego pokoju o wpół do ósmej. Z wyraźną przyjemnością patrzył na ogród i krajobraz.

- Panuje ogólne przekonanie, że Skania to kraina płaska i nudna - powiedział.

- A tutaj widzę coś zupełnie innego. Pejzaż niczym łagodna martwa fala. Można tak powiedzieć? A tam, za morzem?

- Czasem też myślę podobnie. Ciemne i gęste lasy przerażają mnie. W tym otwartym krajobrazie trudno się ukryć. Ale to dobrze. Wszyscy niekiedy potrzebujemy się schować, tylko niektórzy robią to zbyt często.

Nagle Sten Nordlander spojrział na Wallandera bardzo uważnie.

- Czy myślisz o tym samym co ja? Też podejrzewasz, że Håkan i Louise, z nieznanym nam przyczyn, gdzie się ukrywają?

- Gdy chodzi o zaginionych, zawsze bierze się pod uwagę taką możliwość.

Po śniadaniu Sten zaproponował spacer.

- Każdego ranka potrzebuję trochę ruchu. Inaczej nie funkcjonuje mój układ trawienny.

Jussi czmychnął przed nimi i w mgnieniu oka był już tylko czarną kreską na tle pobliskich zagajników, gdzie niewielkie, wypełnione wodą niecki zawsze kryły coś interesującego dla węszących nozdrzy psa.

- Na początku lat siedemdziesiątych niekiedy rzeczywiście myśleliśmy, że Rosjanie są taką potęgą militarną, za jaką się uważają - zaczął Nordlander. - Parady z okazji rewolucji październikowej mówiły prawdę, przynajmniej tak to wyglądało, ale tysiące ekspertów wojskowych obserwowało transmisje telewizyjne, te

wszystkie pojazdy przetaczające się przed Kremlem, i zadawało sobie najważniejsze pytanie: a czego nam nie pokazują? Można powiedzieć, że w tamtych czasach zimna wojna toczyła się zupełnie na serio. Aż jak w tej bajce, trolle wyszły na słońce i popękały niczym bańki mydlane.

Zatrzymali się przy rowie, nad którym załamała się kładka. Wallander znalazł jakąś inną deskę, jeszcze nie tak przegniłą, i przerzucił ją na drugi brzeg.

- Trolle popękały - powtórzył Wallander. - Mój stary kolega Rydberg mówił tak, kiedy jakiś trop w śledztwie okazywał się zupełnie błędny.

- W tym wypadku chodziło o to, że rosyjska armia nie była tak potężna, jak myśleliśmy. Ta przerażająca świadomość dojrzewiała stopniowo u osób, które układały puzzle ze wszystkich informacji dostarczanych przez szpiegów, samoloty U-2 i najzwyklejsze wiadomości telewizyjne. Rosyjskie siły zbrojne każdego rodzaju okazały się mocno przestarzałe, a to, co widzieliśmy, było, wprawdzie dobrze wykonaną, ale tylko pustą skorupą.

Nie zrozum tego opacznie. Cały czas istniało realne i poważne niebezpieczeństwo konfliktu nuklearnego, naprawdę. Ale podobnie jak radziecka gospodarka, chyląca się ku ruinie razem z niewydolną biurokracją i partią, która nawet sama nie wierzyła w to, co robi, również i armia znajdowała się na skraju upadku. To oczywiście dawało do myślenia dowódcom w Pentagonie, w siedzibie NATO, również w Szwecji. Bo co oznaczałoby ujawnienie sekretu rosyjskiego niedźwiedzia, który tak naprawdę jest tylko niewielką, czupurną fretką?

- Czy nie zmalałaby groźba sądu ostatecznego?

Sten Nordlander nie krył zniecierpliwienia.

- Wojskowi raczej nie mają skłonności do filozofowania. Są bardziej praktyczni. Każdy zdolny generał albo admirał prawie zawsze jest też dobrym inżynierem. Dzień sądu ostatecznego nie był wtedy najbardziej palącą kwestią. A jak myślisz, co nią było?

- Wydatki na zbrojenia?

- Właśnie! Dlaczego Zachód miał uczestniczyć w wyścigu zbrojeń, jeżeli główny przeciwnik przestawał się liczyć? Nie tak łatwo znaleźć równie potężnego wroga. Naturalnie zarówno Chiny, jak i Indie były kolejnymi kandydatami, ale w tamtych czasach Chiny pod względem militarnym ciągle jeszcze należały do krajów nierozwiniętych. Ich obrona opierała się właściwie tylko na pozornie nieograniczonej liczbie żołnierzy, których w każdej chwili można było rzucić do walki.

Ale to nie uzasadniało przecież dalszego rozwoju zaawansowanej broni, jaką Zachód w całości przeznaczał na walkę z ZSRR. Nagle więc pojawił się istotny problem. Rozgłaszanie wiadomości o tym, że rosyjski niedźwiedź poważnie kuleje, okazało się wysoce niewłaściwe. Trzeba było zadbać o to, by trolle nigdy nie wyszły na słońce.

Dotarli do niewielkiego wzgórza, z którego rozciągał się widok na morze. Rok wcześniej Wallander i Linda wspólnymi siłami wnieśli tam starą ławkę, kupioną na jakiejś aukcji za symboliczną kwotę. Usiedli. Jussi zareagował na wezwanie, ale zbliżał się do mężczyzn z niechęcią.

- To wszystko rozgrywało się w czasach, kiedy Rosjanie naprawdę byli realnym zagrożeniem - mówił dalej Nordlander. - Tutaj, w Szwecji, uważaliśmy ich za niezwycięzonych, nie tylko w hokeja. Wierzyliśmy mocno we wroga, który miał nadejść ze Wschodu, i byliśmy szczególnie czujni wobec tego, co działo się na Bałtyku. To wtedy, pod koniec lat sześćdziesiątych, zaczęły krążyć te plotki.

Nordlander rozejrzał się, jak gdyby w obawie, że ktoś ich podsłuchuje. Przy szosie prowadzącej do Simrishamn pracował kombajn rolniczy. Od czasu do czasu dochodził do wzgórza odległy szum samochodów.

- Wiedzieliśmy, że Rosjanie mają dużą bazę okrętów wojennych w Leningradzie. Oprócz tego posiadali też kilka mniej lub bardziej tajnych baz w republikach nadbałtyckich i NRD. Nie tylko w Szwecji kruszyliśmy

skwały, żeby się w nich ukryć. Niemcy robili to już za Hitlera, a Rosjanie kontynuowali, zastępując swastykę czerwoną flagą. Zaczęły krążyć pogłoski o kablu telekomunikacyjnym. Kabel miał leżeć na dnie Bałtyku, między Leningradem a republikami nadbałtyckimi, i obsługiwać transmisję najważniejszych sygnałów. Zaczęto powszechnie uważać, że własne kable są bezpieczniejsze, minimalizowały bowiem ryzyko podsłuchu przez nieprzyjaciela. Nie zapominajmy, że Szwecja była w ten proceder mocno zamieszana. Na początku lat pięćdziesiątych zestrzelono nam samolot wywiadowczy i dzisiaj nikt nie ma wątpliwości, że jego załoga podsłuchiwała Rosjan.

- Mówisz, że kabel to tylko pogłoski?

- Przeciągnięto go na początku lat sześćdziesiątych, kiedy Rosjanie naprawdę wierzyli, że mogą się mierzyć z Amerykanami, a może nawet ich wyprzedzić. Pamiętasz, jak zbaranieliśmy na wieść o sputniku, gdy okazało się, że to Rosjanie, a nie Amerykanie wystrzelili go w przestrzeń kosmiczną? Rosjanie mieli powody, żeby wierzyć w swoją przewagę. Wtedy nieomalże udało im się dogonić przeciwnika. Teraz, już po fakcie, jakiś cynik mógłby powiedzieć, że właśnie wtedy powinni byli uderzyć, jeżeli zależało im na sprowokowaniu wojny i sędzie ostatecznym, o którym wspomniałeś.

W każdym razie o istnieniu kabla poinformował Brytyjczyków renegat pracujący w enerdowskiej służbie bezpieczeństwa, wielokrotnie odznaczany generał, który przeszedł na stronę wroga, zaznawszy trochę słodkiego życia w Londynie. Angielski wywiad sprzedał drogo tę wiadomość amerykańskim przyjacielom, którzy nieustannie czekali z wyciągniętą ręką. Problem polegał na tym, że amerykańskie nowoczesne okręty podwodne nie potrafiły pokonać Sundu niezauważone przez Rosjan.

Dlatego trzeba było szukać inaczej, tak aby nie rzucało się to w oczy. Miniokręty podwodne i tym podobny sprzęt. Ale brakowało dokładnych informacji. Gdzie leży kabel?

Czy przecina środek Bałtyku? A może wybrano najkrótszą drogę z Zatoki Fińskiej na południe, ku republikom nadbałtyckim? A może Rosjanie okazali się jeszcze sprytniejsi i położyli go niedaleko Gotlandii, ponieważ nikt by na to nie wpadł? Nie ustawano w poszukiwaniach, z myślą o tym, żeby zamontować na kablu taki sam cylinder podsłuchowy jak ten, który zainstalowano w pobliżu Kamczatki.

- Masz na myśli ten cylinder, który leży u mnie na stole?

- Nie wiem, czy akurat ten. Niewykluczone, że było ich więcej.

- Mimo wszystko to niesamowicie dziwne. Dzisiaj nie ma już supermocarstwa o nazwie ZSRR. Republiki nadbałtyckie uzyskały status suwerennych państw. NRD połączyła się z RFN. Czy tego typu sprzęt podsłuchowy nie powinien być w muzeum zimnej wojny?

- Można oczywiście tak sądzić. Nie potrafię na to odpowiedzieć. Chciałem ci tylko uświadomić, co znalazło się w twoim posiadaniu.

Ruszyli z powrotem do domu. Dopiero w ogrodzie Wallander zadał najważniejsze pytanie.

- Ale dokąd nas to prowadzi, jeżeli chodzi o Håkana i Louise?

- Nie wiem. Dla mnie to wszystko staje się coraz bardziej osobliwe. Co zamierzasz zrobić z cylindrem?

- Skontaktuję się z policją kryminalną w Sztokholmie. Mimo wszystko to oni prowadzą śledztwo. A co później zrobią na spółkę z Säpo i z wojskowymi, to już nie moja sprawa.

O jedenastej Wallander odwiózł Stena Nordlandera na lotnisko Sturup. Rozstali się przed żółtym budynkiem terminalu. Jeszcze raz, i ponownie bezskutecznie, Wallander usiłował wziąć na siebie koszty podróży. Jego gość tylko pokręcił głową.

- Chcę wiedzieć, co się stało. Nie zapominaj, że Håkan był moim najlepszym przyjacielem. Myślę o nim każdego dnia. O Louise też.



Wziął swoją torbę i zniknął za drzwiami. Wallander wszedł do samochodu i ruszył w drogę powrotną.

W domu poczuł się zmęczony i nawet zaczął się zastanawiać, czy znów nie bierze go przeziębienie. Postanowił wziąć prysznic. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, była plastikowa zasłona przy wannie. Nie dało się jej zasunąć.

Obudził się w sali szpitalnej. Przy łóżku stała Linda. W żyłę na wierzchu dłoni miał wenflon, przez który podawano mu kroplówkę. Nie mógł pojąć, dlaczego tu leży.

- Co się stało?

Linda zeznała rzeczowo, jak gdyby czytała raport policyjny. Jej słowa nie wywołały w nim żadnych wspomnień, wypełniły jedynie wyraźną pustkę. Zadzwoiła do niego koło szóstej, nie odpowiadał. Później próbowała jeszcze kilkakrotnie, aż do dziesiątej, kiedy w końcu zaniepokojona zostawiła Klarę z Hansem, który wyjątkowo był w domu, i pojechała do Löderup.

Znalazła go pod prysznicem, mokrego, nieprzytomnego. Zadzwoiła po karetkę pogotowia i od razu naprowadziła lekarza na właściwy trop. Ratownicy nie potrzebowali wiele czasu, by stwierdzić, że faktycznie chodzi o śpiączkę cukrzycową. Poziom cukru we krwi był tak niski, że Wallander stracił przytomność.

- Pamiętam, że byłem głodny - powiedział wolno, kiedy skończyła mówić. - Ale nic nie zjadłem.

- Mogłeś umrzeć.

Zobaczył w jej oczach łzy. Gdyby do niego nie pojechała, gdyby nie zaczął jej dręczyć niepokój, rzeczywiście umarłby pod prysznicem. Przeszedł go dreszcz. Właśnie tak mógł zakończyć życie: nagi, na łazienkowej posadzce.

- Zaniedbujesz się, tato. Kiedyś posuniesz się o ten jeden krok za daleko. Żądam od ciebie, żebyś był dziadkiem Klary jeszcze przez co najmniej piętnaście lat. Później możesz dysponować swoim życiem według własnego

uznania.

- Nie mogę zrozumieć, jak do tego doszło. Przecież nie pierwszy raz obniżył mi się cukier.

- Zapytaj o to lekarza. Ja rozmawiam z tobą o czymś innym. O obowiązku przeżycia.

Skinął tylko głową, bo każde wypowiedane słowo wiązało się z wysiłkiem. Ogarnęło go osobliwe, głuche zmęczenie.

- Co to za kroplówka?

- Nie wiem.

- Jak długo tu zostanę?

- Tego też nie wiem.

Podniosła się. Uderzyło go jej zmęczenie. W jakimś mglistym przeblysku świadomości pomyślał, że może siedziała przy nim bardzo długo.

- Idź już do domu - poprosił. - Poradzę sobie.

- Tak. Tym razem wyjdiesz z tego cało.

Pochyliła się nad nim, popatrzyła głęboko w oczy.

- Masz pozdrowienia od Klary. Ona też się cieszy, że tym razem twoje sprawy się wyjaśniły.

Wallander został sam. Zamknął oczy, chciał zapaść w sen. Najbardziej jednak pragnął obudzić się ze świadomością, że to wszystko wydarzyło się nie z jego winy.

Ale jeszcze tego samego dnia dowiedział się od swojego lekarza, który wprawdzie miał wolne, lecz mimo to przyszedł do szpitala, że skończyły się czasy, kiedy mógł sobie lekceważyć kontrolowanie poziomu cukru. Wallander był pacjentem Hansena od prawie dwudziestu lat i doskonale wiedział, że nie uspi czujności tego mało sentymentalnego doktora jakimiś głupimi wymówkami. Hansen powtarzał co chwila, że Wallander może sobie tańczyć na linie, nie przejmując się chorobą. Lecz kiedy coś podobnego zdarzy mu się następnym razem, musi liczyć się z następstwami, na które właściwie jest zbyt młody.

- Mam sześćdziesiąt lat. To nie znaczy, że jestem stary?

- Dwa pokolenia temu sześćdziesięcioletek był starcem. Ale nie dzisiaj. Organizm się starzeje, nic na to nie

możemy poradzić. Jednak z reguły żyjemy jeszcze jakieś piętnaście, dwadzieścia lat.

- A co teraz ze mną będzie?

- Zostanie pan tu do jutra. Moi koledzy dopilnują, żeby poziom cukru się wyrównał. Chcą się też upewnić, że nie stało się panu nic złego. A później może pan wrócić do domu i kontynuować swoje grzeszne życie.

- Ale ja raczej nie grzeszę.

Doktor Hansen był kilka lat starszy od Wallandera i żonaty nie mniej niż sześć razy. W Ystad chodziły słuchy, że konieczność płacenia alimentów zmusza go do pracy w czasie urlopu; podobno jeździł do Norwegii, daleko na północ, do okręgu Finnmark, gdzie żaden człowiek nie zapuszcza się bez potrzeby.

- A może właśnie tego brakuje w pańskim życiu? Odrobiny odświeżającego grzechu? Policyjnego skoku w bok?

Dopiero później, kiedy Hansen już poszedł, Wallander naprawdę zrozumiał, jak blisko był ostatecznego końca. Ogarnięty chwilową paniką, poczuł lęk przed śmiercią, silniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Przynajmniej w sytuacjach niezwiązanych z zawodem. Inny jest strach policjanta, inny - cywila.

Jeszcze raz przypomniał sobie moment, w którym jako bardzo młody policjant w czasie patrolu w Malmö został ciężko zraniony nożem. Był wtedy o włos od wielkiej ciemności. Teraz śmierć znów dyszała mu w kark i tym razem to on sam otworzył jej drzwi.

Tego samego wieczoru Wallander złożył sobie kilka obietnic, choć wiedział, że najprawdopodobniej nie zdoła ich dotrzymać. Chodziło o nawyki żywieniowe, ruch, nowe zainteresowania, ponowną walkę z samotnością. Ale przede wszystkim chodziło o to, żeby naprawdę wykorzystać urlop, nie pracować, nie szukać zaginionych teściów Lindy. Zrobić sobie wolne, odpocząć, wyspać się, chodzić na długie spacerunki po plaży, bawić się z Klarą.

Leżąc w szpitalnym łóżku, sporządzał pewien plan. W

ciągu najbliższych pięciu lat powinien przejść pieszo całe skańskie wybrzeże, od końca zrębu Hallandsasen do granicy z Blekinge. Już w momencie narodzin owego pomysłu Wallander zaczął wątpić, czy kiedykolwiek go zrealizuje. Ale pozwalając marzeniom przybierać coraz realniejsze kształty, czuł ulgę. I nie przejmował się tym, że już wkrótce miał powściągnąć wodze fantazji.

Kilka lat wcześniej, na obiedzie u Martinssona, spotkał emerytowanego nauczyciela, który opowiadał o swojej wędrówce do Santiago de Compostela. Wallander pomyślał wtedy, że podzieli tę klasyczną pielgrzymkę na kilka etapów i odbędzie ją sam, może w ciągu kolejnych pięciu lat. Zaczął nawet trenować, maszerując z plecakiem wypełnionym kamieniami.

Ale nadgorliwość nie popłaciła: nabawił się ostrogi piętowej w lewej stopie. Pielgrzymka dobiegła końca, zanim jeszcze się rozpoczęła. Przewlekły stan zapalny został wyleczony, między innymi serią bolesnych zastrzyków kortyzonu prosto w piętę. Może więc kilka skrupulatnie zaplanowanych wędrówek wzdłuż linii brzegowej Skanii mimo wszystko leży w zakresie jego możliwości?

Następnego dnia wypisano go ze szpitala i odesłano do domu. Odebrał Jussiego od sąsiadów, którzy zajęli się nim kolejny raz, i nie przystał na propozycję Lindy, która chciała przyjechać do niego i ugotować mu obiad. Czuł, że musi zapanować nad sytuacją bez pomocy córki. Jak człowiek jest sam, to jest sam, oznajmił jej przez telefon. A teraz powinien przynajmniej zadbać o to, żeby nie zmarnować sobie urlopu.

Zanim poszedł spać, napisał długi mail do Ytterberga. Nie wspomniał ani słowem o pobycie w szpitalu, wyjaśnił tylko, że musi wziąć trochę wolnego, ponieważ czuje się przepracowany, i że zamierza odpocząć od Håkana i Louise von Enke. „Po raz pierwszy dotarło do mnie, że ograniczają mnie zarówno wiek, jak i siły”, zakończył. „Nigdy tego wcześniej nie zauważyłem. Nie mam już czterdziestu lat i

pozostaje mi tylko pogodzić się z faktem, że czas miniony nie powróci. Myślę, że podobnie jak większość ludzi żyję w fałszywym przekonaniu, że mimo wszystko można wejść dwa razy do tej samej rzeki”.

Przeczytał cały tekst, nacisnął „wyślij” i wyłączył komputer. Kładąc się do łóżka, usłyszał odległy grzmot.

Nadciągał front burzowy. Ale letnie nocne niebo ciągle było jasne.

## 20

Następnego dnia nad okolicą przeciągnęła burza, omijając jednak dom Wallandera. Front przesunął się bardziej na wschód. Wallander wstał wypoczęty o ósmej. Mimo chłodnego ranka postanowił zjeść śniadanie w ogrodzie. Chcąc uczcić początek urlopu, położył na białym stole zerwaną z krzewu różę. Ledwo usiadł, zadzwonił telefon. Linda była ciekawa, jak się czuje.

- Dostałem ostrzeżenie. W tej chwili mam się dobrze. Od teraz zawsze będę nosił przy sobie telefon.

- Właśnie to chciałam ci powiedzieć.

- A co u was?

- Klara jest lekko przeziębiona. A Hans wziął tydzień wolnego.

- Z własnej woli czy wbrew niej?

- Z mojej woli! Nie ma odwagi zaprotestować. Postawiłam mu ultimatum.

- Jakie?

- Albo ja, albo praca. Klara nie podlega negocjacom.

Jedząc śniadanie, Wallander myślał o tym, jak bardzo Linda upodabnia się do dziadka. Ten sam uszczypliwy ton, ten sam lekko drwiący, ironiczny stosunek do otoczenia. Ale też skłonność do gniewu przyczajonego pod powierzchnią.

Położył nogi na krześle, rozparł się wygodnie, ziewnął i zamknął oczy. Nareszcie miał urlop.

Gdy znowu zadzwonił telefon, Wallander najpierw

postanowił, że nie odbierze, a ewentualną wiadomość odsłucha później. Jednak wyprostował się i odpowiedział.

- Tu Ytterberg. Obudziłem cię?

- Musiałbyś zadzwonić kilka godzin wcześniej.

- Znaleźliśmy Louise von Enke. Nie żyje.

Wallander wstrzymał oddech, jednocześnie podnosząc się z krzesła.

- Chciałem od razu do ciebie zadzwonić - mówił Ytterberg. - Nie możemy trzymać tej wiadomości w tajemnicy dłużej niż godzinę. Musimy poinformować syna i twoją córkę. Oprócz kuzyna w Anglii nie miała już więcej krewnych, prawda?

- Zapomniałeś o córce, która przebywa w Niklasgården. Przynajmniej personel powinien zostać poinformowany. Ale mogę to wziąć na siebie.

- Podejrzałem, że będziesz chciał to zrobić. Ale jeżeli nie, co oczywiście w pełni rozumiałe, to skontaktuję się z nimi sam.

- Zadzwonię - powiedział Wallander. - Podaj mi tylko najważniejsze informacje.

- Właściwie cała sytuacja jest absurdalna. Wczoraj wieczorem z domu seniora w Värmdö zniknęła kobieta cierpiąca na demencję. Ponieważ raz po raz udawała się na dłuższe wyprawy, dostała coś w rodzaju bransoletki z GPS-em, który miał ułatwić śledzenie jej ruchów. Staruszcze udało się jednak ściągnąć to cacko z przegubu dłoni i policja musiała zorganizować poszukiwania. Znaleziono ją bez trudu i o ile dobrze zrozumiałem, nie stała się jej żadna krzywda. Ale później zabłądziło dwoje poszukujących. Wyobrazasz sobie? Mieli tak słabą baterię w komórce, że nie pozostało nic innego jak ponownie przeczesać teren. Ich też w końcu odnaleziono, tyle że w drodze powrotnej natknięto się na jeszcze jedną osobę.

- Louise?

- Tak. Leżała przy leśnej ścieżce, mniej więcej trzy kilometry od najbliższej szosy. Ścieżka biegnie przez porębę. Właśnie stamtąd wróciłem.

- Została zamordowana?

- Nie. Najprawdopodobniej popełniła samobójstwo. Nie dopatrzyliśmy się żadnych oznak przemocy. Musiała przedawkować. Znaleźliśmy puste opakowanie po tabletkach nasennych. Jeśli buteleczka była pełna, Louise zażyła sto tabletek.

- A więc nie ma wątpliwości, że chodzi o samobójstwo?

- Z tego co wiemy teraz: nie. Ale oczywiście musimy poczekać na wyniki badania w zakładzie medycyny sądowej.

- Jak wyglądała?

- Leżała na boku, lekko skulona. Spódnica, szara bluzka, płaszcz. Buty i torebka z dokumentami i kluczami obok. Obwąchiwało ją jakieś zwierzę, jednak ciało było nienaruszone.

- Możesz opisać dokładniej, gdzie w Värmdö?

Ytterberg wyjaśnił i obiecał wysłać mail ze szkicem.

- Prześlę ci go od razu.

- Żadnych śladów Håkana?

- Żadnych.

- Dlaczego wybrała właśnie to miejsce? Porębę?

- Nie wiem. Naprawdę trudno to nazwać śmiercią w pięknej oprawie. Dokoła tylko zeschnięte gałęzie i spróchniałe pniaki. Wyślę ci mapkę. Zadzwoń, jakbyś coś miał.

- A co z twoim urlopem?

- Nie pierwszy raz w życiu przesunę go na później. Teraz, oczywiście, zajmę się tą sprawą.

Szkic terenu przyszedł po kilku minutach. Z ręką na słuchawce Wallander pomyślał, że właśnie to uczucie dzieli ze wszystkimi znanymi mu policjantami, to nieprzyjemne uczucie poprzedzające przekazanie wiadomości o śmierci. Tutaj nigdy nie można popaść w rutynę.

Śmierć zawsze w czymś przeszkadza, niezależnie od tego, kiedy nadchodzi. Wybierając numer, zauważył, że drży mu ręka. Odebrała Linda.

- To znów ty? Przecież przed chwilą rozmawialiśmy. Czy naprawdę wszystko w porządku?

- Czuję się dobrze. Jesteś sama?

- Hans zmienia pieluchę. Nie powiedziałam, że postawiłam mu ultimatum?

- Powiedziałaś. A teraz posłuchaj uważnie, ale najpierw usiądź.

Z tonu jego głosu wywnioskowała, że to coś poważnego; wiedziała, że ojciec nigdy nie przesadza.

- Louise nie żyje. Popełniła samobójstwo kilka dni temu. Znalaziono ją w nocy, albo raczej nad ranem, na leśnej drodze prowadzącej przez porębę w lasach Värmdö.

Milczała.

- Czy to prawda? - zapytała w końcu.

- To raczej nie ulega wątpliwości. Ale po Håkanie nie ma dalej ani śladu.

- To przecież okropne.

- Jak to przyjmie Hans?

- Nie wiem. Ale czy to naprawdę całkowicie pewne?

- Nie dzwoniłbym, gdyby Louise nie udało się zidentyfikować.

- Mam na myśli to, czy naprawdę popełniła samobójstwo. To do niej niepodobne. Nie w jej stylu.

- Idź teraz do Hansa. Jeśli będzie chciał ze mną porozmawiać, niech zadzwoni do domu. Mogę mu też podać numer do komendy w Sztokholmie.

Właśnie miał kończyć, gdy Linda mu przerwała.

- Ale gdzie się podziewała przez te wszystkie dni? Dlaczego popełniła samobójstwo dopiero teraz?

- Tak jak ty nie potrafisz na to odpowiedzieć. Miejmy nadzieję, że mimo całej tej tragedii śmierć Louise ułatwi nam znalezienie Håkana. Ale o tym rozmawiamy później.

Po rozmowie z Lindą zadzwonił do Niklasgården. Artur Kallberg był na urlopie, kobieta z recepcji również, w końcu udało się mu dotrzeć do zastępującej ich w czasie wakacji pielęgniarki, która jednak nie miała pojęcia o długiej historii Signe von Enke. Wallander odniósł nieprzyjemne wrażenie, że rozmawia ze ścianą. Choć może



akurat w tym wypadku to nawet lepiej, pomyślał.

Ledwie zdążył zakończyć rozmowę, zadzwonił Hans. Był wstrząśnięty i bliski płaczu. Wallander odpowiadał cierpliwie na wszystkie pytania i obiecał zadzwonić, gdy tylko będzie miał coś więcej do powiedzenia. Później słuchawkę przejęła Linda.

- Myślę, że jeszcze nie zrozumiał - powiedziała cicho.

- Nikt z nas nie zrozumiał.

- Co zażyła?

- Tabletki nasenne. Ytterberg nie podał nazwy. Może rohypnol? Czy jak im tam?

- Nigdy nie używała środków nasennych.

- Gdy kobiety chcą się pozbawić życia, zazwyczaj połykają tabletki.

- Zastanawia mnie jedna rzecz.

- Mianowicie?

- Naprawdę zdjęła buty?

- Tak mówi Ytterberg.

- Czy to nie dziwne? Gdyby była w domu, mogłabym to zrozumieć. Ale dlaczego człowiek ściąga buty, kiedy chce umrzeć na dworze?

- Nie mam pojęcia.

- Powiedział, co to były za buty?

- Nie. Ale pewnie dlatego, że nie zapytałem.

- Musisz powiedzieć nam wszystko - zażądała na koniec.

- Dlaczego miałbym coś przed wami ukrywać?

- O pewnych rzeczach zdarza ci się zapominać. Może kieruje tobą źle rozumiany wzgląd na nas. Kiedy dowiedzą się o tym media?

- Lada moment. Włącz telegazetę i zobacz. Zazwyczaj są szybcy.

Czekał z telefonem w ręce. Linda wróciła po jakiejś minucie.

- Napisali: „Odnaleziono Louise von Enke. Nie żyje. Żadnego śladu męża”.

- Porozmawiamy później.

Wallander włączył telewizor i stwierdził, że wiadomość

znalazła się w czołówce. Ale jeśli nie wydarzy się nic, co zmieniłoby albo pogłębiło obraz sytuacji, śmierć Louise wkrótce zejdzie na dalszy plan.

Przez resztę dnia Wallander próbował poświęcić się pracy w ogrodzie. Dość szybko przekonał się, że kupione w supermarkecie za pół ceny nożyce do strzyżenia żywopłotu są prawie bezużyteczne. Przyciął krzewy i kilka starych, częściowo uschłych drzew owocowych, w pełni świadomy, że takich zabiegów nie powinno się wykonywać w środku lata.

Myśłami nie opuszczał Louise. Nigdy nie zdążył jej poznać. Co właściwie o niej wiedział? Kim była kobieta, która z lekkim uśmiechem przysłuchiwała się rozmowom przy stole i rzadko mówiła coś sama? Pracowała jako nauczycielka niemieckiego, może też innych języków. Akurat tego nie pamiętał, a nie miał ochoty wchodzić do domu, by poszukać w notatkach.

Pewnego dnia urodziła córkę, pomyślał. Już na oddziale porodowym dowiedziała się o ciężkim kalectwie dziecka. Dziewczynka, której nadano imię Signe, nie miała szans na normalne życie. To było ich pierwsze dziecko. Jak takie wydarzenie wpływa na matkę? Chodził w kółko z bezużytecznymi nożycami ogrodowymi, nie znajdując żadnych sensownych odpowiedzi. Nie dręczył go jakiś głębszy smutek. Nieżyjącym nie można okazać współczucia. Zdawał sobie jednak sprawę, co mogą czuć Hans i Linda. A Klara już nigdy nie pozna babci Louise...

Jussi przybiegł, lekko kulejąc; w przednią łapę weszła mu drzazga. Wallander usiadł przy stoliku, założył okulary i wyjął zadrę za pomocą pincety. Pies okazał wdzięczność, znikając jak czarna kreska wzdłuż miedzy. Nad domem na dość niskiej wysokości przeleciał szybowiec. Wallander podążył za nim wzrokiem, mrużąc oczy. Ciągłe nie miał poczucia, że jest na urlopie. Cały czas widział przed sobą Louise leżącą przy ścieżce, która wiję się przez porębę.

I parę butów ułożonych równo obok ciała.

Wrzucił nożyce do szopy i położył się na huśtawce

ogrodowej. Szybowiec zniknął. Gdzieś w oddali pracowały traktory. Szum z głównej szosy nadchodził i zanikał falami. Wallander wstał. To wszystko przecież jest bez sensu. Wiadomo, że nie zacznie urlopu, dopóki nie przekona się na własne oczy. Czekala go więc kolejna podróż do Sztokholmu.

Poleciał do stolicy jeszcze tego samego wieczoru. Wcześniej zostawił Jussiego u sąsiada, który przyjaźnie, choć nie bez ironii, zapytał, czy pies mu się nie znudził. Już z lotniska zadzwonił do Lindy. Nie okazała zdziwienia, wręcz przeciwnie: oczekiwała po nim tej decyzji.

- Zrób dużo zdjęć - powiedziała. - Coś tutaj się nie zgadza.

- Nic się nie zgadza - odparł Wallander. - Dlatego tam jadę.

Przez prawie całą podróż zatykał uszy palcami; męczył go płacz siedzących za nim dzieci. W Sztokholmie znalazł pokój w niewielkim hotelu niedaleko Dworca Centralnego. Ledwo wszedł do środka, nadciągnęła gwałtowna ulewa. Stojąc przy oknie, obserwował chroniących się przed deszczem ludzi.

Czy można być bardziej samotnym, pomyślał nagle. Deszcz, pokój hotelowy i ja, sześćdziesięcioletni mężczyzna. Gdy się za siebie obejrzę, nikogo tu nie zobaczę. Ciekawe, co z Moną. Jej samotność jest prawdopodobnie równie wielka jak moja. Choć chyba jeszcze bardziej dotkliwa, bo ona cały czas próbuje ją ukryć, wlewając w siebie alkohol.

Gdy przestało padać, Wallander poszedł na dworzec i kupił szczegółowy plan miasta. Telefonicznie zamówił na następny dzień samochód. Ponieważ popyt na wynajmowane samochody latem wzrastał niebotycznie, jedyny dostępny jeszcze pojazd nie był szczególnie tani. Wallander przystał jednak na to.

Zjadł obiad na Starym Mieście. Popijając czerwone wino, nieoczekiwanie przypomniał sobie urlop sprzed wielu lat,

świeżo po rozwodzie z Moną, kiedy spotkał kobietę o imieniu Monika. Przyjechała do Ystad odwiedzić znajomych, wpadli na siebie na beznadziejnym dancingu, umówili się na obiad w Sztokholmie. Jeszcze zanim zjedli przystawkę, doszedł do wniosku, że to jedna wielka pomyłka. Zupełnie nie mieli o czym rozmawiać. Chwile milczenia wydłużały się coraz bardziej i Wallanderowi udało się wtedy dość solidnie upić. Wzniósł teraz za Monikę cichy toast, z nadzieją, że życie ułożyło się jej ciekawie.

Opuścił restaurację lekko zamroczony, powalęsał się po zaułkach Starówki, doszedł do mostu Skeppsbron i wrócił do hotelu. W nocy znów śnił o koniach wbiegających prosto do morza. Rano wyjął glukometr, nakłuł sobie palec. Poziom cukru był w normie. Dzień zaczął się dobrze.

Nad Sztokholmem zalegała ciężka powłoka chmur, gdy Wallander około dziesiątej dojechał do poręby w Värmdö. Resztki taśmy policyjnej powiewały na wietrze. Choć po ostatnim deszczu okolica nasiąknęła wodą, Wallanderowi udało się odnaleźć ślady oznakowania tam, gdzie znaleziono ciało.

Stał nieruchomo, wstrzymując oddech; nasłuchiwał. Pierwsze wrażenie zawsze było najważniejsze. Obracał się z wolna, rozglądając się dokoła. Miejsce, w którym leżały zwłoki Louise, spoczywało w niewielkiej dolince, z obu stron otoczonej blokami skał i nieznacznymi wzniesieniami gruntu. Jeśli faktycznie przyszła tutaj, by ukryć się przed oczami innych, to dokonała trafnego wyboru.

Nagle pomyślał o różach. O słowach Lindy, gdy pierwszy raz opowiadała mu o przyszłej teściowej. „To kobieta kochająca kwiaty; zawsze marzyła o pięknym rozarium, prawdziwa miłośniczka roślin doniczkowych”. Właśnie tak powiedziała, był pewien. A ta okolica w niczym nie przypominała pięknego ogrodu. Czy właśnie dlatego ją wybrała? Ponieważ śmierć nie jest piękna i nie ma nic

wspólnego z kwiatami i zadbanymi grządkami?

Obszedł miejsce dokoła, przyglądając mu się z różnych stron. Ten ostatni odcinek musiała przejść pieszo. Stamtąd, gdzie zaparkowałem samochód. Ale jak tam dotarła? Autobusem? Taksówką? Ktoś ją tu podwiózł? Podszedł do starej ambony na środku poręby. Ostrożnie wspiął się na górę po rozeschłych schodkach. Na deskach leżały niedopałki papierosów i kilka pustych puszek po piwie. W kącie spoczywała martwa mysz. Zszedł na dół. Znów krążył, spróbował sobie wyobrazić, że chodzi o jego własne samobójstwo. Ustronne, zaniedbane i brzydkie miejsce, buteleczka tabletek nasennych.

Zatrzymał się w pół kroku. Sto pigułek. Ytterberg nie wspomniał nic o butelce z wodą. Czy naprawdę można połknąć tak dużo tabletek bez popijania? Jeszcze raz przemierzył tę samą drogę. Deptał po własnych śladach, usiłując znaleźć to, co przeoczył za pierwszym razem. Wpatrywał się w ziemię równie intensywnie, jak intensywnie usiłował wejrzeć w swoje myśli, ale przede wszystkim w myśli Louise, owej milczącej kobiety, która uprzejmie i życzliwie słuchała tego, co mają do powiedzenia inni.

I właśnie wtedy dotarło do niego tak naprawdę, że znajduje się na skraju świata, o którym nic nie wie. To był świat Håkana i Louise von Enke, Wallander nigdy się nim wcześniej nie zajmował. Nie miał pojęcia, co zobaczył i poczuł na porębie, nie potrafił tego sprecyzować. Nie chodziło o żadne objawienie, raczej o przecucie, że znajduje się w pobliżu czegoś, czego nie potrafi zrozumieć, bo brakuje mu podstaw.

Wrócił do miasta, zaparkował na Grevgatan i kolejny raz wkroczył do mieszkania. Bezgłośnie przeszedł po opustoszałych pokojach, zebrał leżące na podłodze holu listy i wziął ze sobą rachunki, które miał uregulować Hans. Przeadresowywanie poczty jeszcze nie funkcjonowało tak jak powinno.

Przejrzał koperty w poszukiwaniu czegoś niezwykłego,

ale niczego nie znalazł. W mieszkaniu panował zaduch. Z bolącą głową, prawdopodobnie po wczorajszym kiepskim winie, Wallander ostrożnie otworzył okno wychodzące na ulicę. Rzucił okiem na automatyczną sekretarkę. Czerwona lampka sygnalizowała migotaniem nową wiadomość.

Wysłuchał: „Marta Hornelius zwraca się z pytaniem, czy Louise von Enke byłaby zainteresowana uczestnictwem w kółku czytelniczym, które rozpocznie działalność jesienią. Tematem będzie klasyczna literatura niemiecka”. To wszystko. Louise von Enke nie weźmie udziału już w żadnym kółku czytelniczym, pomyślał. Zamknęła okładki książek na zawsze.

Zaparzył kawę w kuchni, sprawdził, czy w lodówce nie ma jedzenia, które zaczęłoby się psuć, i przeszedł do pokoju, gdzie Louise miała dwie duże garderoby. Nie zwracając uwagi na ubrania, wyjął tylko wszystkie schowane tam buty. Wyniósł je do kuchni i zaczął ustawiać na stole. Dwadzieścia dwie pary, nie licząc dwóch par kaloszy. Żeby je wszystkie zmieścić, musiał zająć również blat kuchenny i zlewozmywak.

Założył okulary i metodycznie badał but za butem. Odnotował, że Louise miała dość duże stopy i że kupowała wyłącznie ekskluzywne marki. Nawet gumowce pochodziły z jakiejś włoskiej firmy i Wallander był przekonany, że kosztowały немало. Nie wiedział, czego szuka. Ale i on, i Linda od razu zwrócili uwagę na informację, że Louise przed śmiercią zdjęła buty i postawiła je obok siebie. To miało ładnie wyglądać, pomyślał. Ale dlaczego?

Przejrzenie obuwia zajęło mu pół godziny. Później zadzwonił do Lindy.

Opowiedział o wizycie w Värmdö.

- Ile masz w domu butów? - zapytał.

- Nie wiem.

- Louise ma dwadzieścia dwie pary, oprócz tych, które są teraz w posiadaniu policji. To mało czy dużo?

- Myślę, że w normie. Louise przykładała dużą wagę do ubioru.

- Tylko o to mi chodziło.
- Masz coś więcej do powiedzenia?
- Nie teraz.

Mimo jej protestów zakończył rozmowę i od razu zadzwonił do Ytterberga. Ku jego zdumieniu odpowiedziało jakieś dziecko. Po chwili słuchawkę przejął Ytterberg.

- Wnuczka uwielbia odbierać telefony. Jest dzisiaj u mnie w biurze.

- Nie chcę ci przeszkadzać, ale mam pytanie.

- Naprawdę nie przeszkadzasz! Tylko czy ty przypadkiem też nie jesteś teraz na urlopie? A może źle cię zrozumiałem?

- Tak, jestem na urlopie.

- Co chcesz wiedzieć? Nie mam niczego nowego, co mogłoby rzucić światło na śmierć Louise von Enke. Czekamy na ekspertyzę lekarską.

Wallander przypomniał sobie nagle spostrzeżenie na temat wody.

- Właściwie mam dwa pytania. Pierwsze jest proste. Jeżeli Louise połknęła tyle tabletek, musiała je czymś popić.

- Obok zwłok leżała nie do końca opróżniona butelka wody mineralnej. Nie wspomniałem o niej?

- Na pewno wspomniałeś, ale widocznie nie słuchałem wystarczająco uważnie. Ramlosa?

- Nie, chyba loka, ale nie jestem pewien. Czy to bardzo ważne?

- Absolutnie nie. No i jeszcze te buty.

- Znajdowały się obok ciała, starannie ułożone.

- Możesz je opisać?

- Brązowe, na niskim obcasie, raczej nowe.

- Myślisz, że założyła je z myślą o tym, by dojść w nich do poręby?

- No, to nie były w żadnym razie pantofle na bal.

- Ale nowe?

- Tak, wyglądały na nowe.

- Nie mam więcej pytań.
- Odezwę się, jak tylko lekarz przedstawi swoją opinię. Ale to trochę potrwa, wiadomo: urlopy.
- Czy macie pojęcie, jak dostała się do Varmdo?
- Nie - odparł Ytterberg. - Na to ciągle nie znaleźliśmy odpowiedzi.
- Tak tylko pytam. Jeszcze raz dzięki.

Wallander siedział w pustym mieszkaniu, ściskając telefon w ręce, jak gdyby to była ostatnia rzecz, jaka mu została w życiu. „Brązowe buty, nowe. Żadne pantofle na bal”. Powoli, starannie zaczął z powrotem wkładać obuwie Louise do garderoby.

Na drugi dzień wcześniej rano ruszył do Ystad. Jeszcze tego samego popołudnia reklamował w sklepie nożyce do żywopłotu, twierdząc, że są beznadziejne. Ponieważ wyjątkowo wybuchnął gniewem, a jeden z szefów marketu wiedział, kim jest Wallander, dostał lepsze narzędzie bez dopłaty.

Kiedy wrócił do domu, zobaczył, że próbował się z nim skontaktować Ytterberg. Oddzwonił.

- Zabijeś mi ćwieka - powiedział Ytterberg. - Musiałem jeszcze raz przyjrzeć się tym butom. Tak jak mówiłem, są prawie zupełnie nieużywane.

- Nie musiałeś tego robić ze względu na mnie.

- Ale tak w ogóle to nie chodziło mi o buty - mówił dalej nieporuszony Ytterberg. - Skoro już zacząłem przeglądać jej rzeczy, zajrzałem jeszcze raz do torebki i odkryłem coś w rodzaju wewnętrznego schowka czy ukrytej kieszonki. I znalazłem tam coś bardzo interesującego.

Wallander wstrzymał oddech.

- Papiery. Dokumenty. Wszystko po rosyjsku. A oprócz nich mikrofilmy. Nie wiem, co to za materiały, ale wystarczająco zadziwiające, żeby podnieść słuchawkę i zadzwonić do naszych tajnych kolegów.

Wallanderowi trudno było zrozumieć właśnie usłyszaną informację.

- A więc to znaczy, że nosiła przy sobie tajne materiały?



- Nie wiemy. Ale mikrofilm to mikrofilm, ukryte kieszonki pozostają ukryte, a rosyjski to rosyjski. Chciałem cię o tym powiadomić. Możliwe, że na razie powinniśmy zachować tę wiadomość dla siebie. Zanim sprawdzimy, co to w ogóle jest. Odezwę się, jak będę miał coś więcej na ten temat.

Po zakończonej rozmowie Wallander usiadł w ogrodzie. Było wyraźnie cieplej. Zapowiadał się piękny letni wieczór. Ale Wallander zaczął marznąć.

## CZEŚĆ III

### SEN ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

21

Wallander absolutnie nie zamierzał dotrzymać złożonej obietnicy. Postanowił bezzwłocznie porozmawiać z Lindą i Hansem. Gdy chodziło o wybór między respektowaniem rodziny a lojalnością wobec szwedzkiej służby bezpieczeństwa, nie żywił żadnych wątpliwości. Chciał złożyć córce i jej towarzyszowi życia sprawozdanie z tego, co właśnie usłyszał, słowo po słowie. Miał wobec nich taki obowiązek.

Jednak po rozmowie z Ytterbergiem przez dłuższą chwilę po prostu tylko siedział. Pierwszą jego reakcją było przekonanie, że coś tu się nie zgadza. Już sama myśl wydawała mu się absurdalna: Louise agentką rosyjskiego wywiadu? Mimo że w jej torebce, ba, w ukrytej kieszonce, znaleziono osobliwe dokumenty, nie mógł w to uwierzyć.

Ale dlaczego sztokholmski kolega miałby opowiadać coś niezgodnego z prawdą? Wallander spotkał go kilka razy i nabrał do niego zaufania. Wiedział, że Ytterberg nigdy nie skontaktowałby się z nim, gdyby nie był przekonany o swojej racji.

Wiedział już też, co sam powinien zrobić. Zaprzeczając faktom, w niczym by Louise nie pomógł. Musi potraktować te wiadomości poważnie. Cokolwiek później się okaże, nie musi to oznaczać, że raport zawiera błędy. Być może trzeba będzie tylko wyciągnąć inne wnioski.

Kiedy Wallander przyjechał do Lindy i Hansa, pili właśnie kawę, kołysząc się na huśtawce ogrodowej. Wózek z Klarą stał obok, w cieniu drzewa.

Wallander usiadł na najbliższym krześle i zdał im

szczegółową relację. Obydwoje zareagowali podobnie: na ich czołach pojawiły się zmarszczki, na twarzach - niedowierzanie. Nagle Wallanderowi przemknęło przez głowę nazwisko Wennerströma, pułkownika, który niespełna pół wieku temu sprzedał niejedną szwedzką tajemnicę wojskową. Jednak myśl o jakimkolwiek związku między Louise a przebiegłym mężczyzną, który przez tyle lat zajmował się szpiegostwem, wydała mu się niedorzeczna.

- Nie wątpię w to, co usłyszałem - zakończył. - Tak jak nie wątpię, że musi istnieć jakieś sensowne wyjaśnienie, dlaczego Louise miała te dokumenty w torebce.

Linda potrząsnęła głową. Spojrzała najpierw na męża, a później prosto w oczy ojcu.

- Czy to wszystko prawda?

- To chyba jasne, że nie jechałbym do was, żeby opowiadać bzdury. Zreferowałem tylko, czego się do wiedziałem.

- Nie musisz się denerwować. Przecież mamy prawo pytać.

- Nie denerwuję się. Ale proszę o niezadawanie niepotrzebnych pytań.

Zrozumieli, że są na najlepszej drodze do bezsensownej kłótni, i obydwójce

opanowali emocje. Hans nie zwracał na nich uwagi.

Wallander wyczytał w jego twarzy przygnębienie.

- Czy coś ci przychodzi na myśl? - zapytał ostrożnie. - Mimo wszystko to ty znałeś ją najlepiej.

- Zupełnie nic. Dopiero co dowiedziałem się o nieznanym mi siostrze. A teraz wybucha kolejna bomba. Mam wrażenie, że rodzice są mi coraz bardziej obcy. Jak w odwróconej lornetce. Oddalają się i znikają.

- Nic nie budzi w tobie jakichś skojarzeń? Odległych wspomnień? Nie przychodzą ci do głowy wypowiedziane kiedyś słowa? Ludzie goszczący u was w domu?

- Kompletnie nic. Czuję tylko, że zaczyna mnie boleć brzuch.

Linda chwyciła Hansa za rękę. Wallander podszedł do wózka stojącego w cieniu jabłoni. Przy moskitierze brzęczał trzmiel. Wallander ostrożnie uniósł siatkę i przez chwilę przyglądał się śpiącemu maleństwu. Przypomniał sobie Lindę w wózku, nieustanny lęk Mony i własną radość z dziecka.

Wrócił na swoje krzesło.

- Śpi.

- Mona opowiadała, że krzyczałam po nocach.

- Tak, często płakałaś. Zazwyczaj to ja wstawałam, żeby się tobą zająć.

- Mona zapamiętała to inaczej.

- Nigdy szczególnie nie przejmowała się prawdą. Myśli, że pamięta to, co tak naprawdę zapomniała. To ja nosiłem cię na rękach, podczas gdy ona spała w najlepsze. Bywało, że szedłem do pracy zaledwie po paru godzinach snu.

- Klara prawie nigdy nas nie budzi.

-To błogosławieństwo dla rodziców. Niektóre nieprzespane i przekrzywane noce były naprawdę okropne.

- I to ty mnie nosiłeś na rękach?

- Niekiedy z watą w uszach. Ale to ja chodziłem w kółko. Wszystko inne jest nieprawdą, niezależnie od tego, co twierdzi Mona.

Hans odstawił kubek tak gwałtownie, że kawa wylała się na stół. Najwyraźniej nie przysłuchiwał się rozmowie.

- Gdzie mama była przez ten cały czas? I gdzie jest Håkan?

- A ty jak myślisz? Co przychodzi ci do głowy? Teraz, gdy zmienia się obraz sytuacji?

Wallander popatrzył zdumiony na Lindę. W myślach sformułował dokładnie te same pytania, ale to ona je zadała. Była po prostu szybsza.

- Nie potrafię odpowiedzieć. Coś mi mówi, że ojciec żyje. To dziwne, właśnie teraz, kiedy dowiedziałem się o śmierci mamy, nabrałem przekonania, że on żyje.

Wallander przejął pałeczkę i postawił kolejne pytanie.

- Dlaczego? Coś musi cię skłaniać do tej myśli.

- Nie wiem.

Wallander wcale nie oczekiwał, że Hans akurat w tym momencie będzie miał wiele do powiedzenia. Zrozumiał, że dystans dzielący członków rodziny von Enke jest dość pokaźny.

Zatrzymał się chwilę przy tej refleksji, wiedziony przeczuciem, że to może być jakiś trop. Co naprawdę wiedzieli o sobie nawzajem Håkan i Louise? Czy w małżeństwie mieli przed sobą równie dużo tajemnic, co w rodzinie? A może właśnie było na odwrót? Może żyli w bardzo bliskich stosunkach?

Na razie nie potrafił na to odpowiedzieć, utknął w miejscu. Hans wstał i zniknął w domu.

- Musi zadzwonić do Kopenhagi - wyjaśniła Linda. - Właśnie postanowiliśmy, kiedy przyszedłeś.

- Co postanowiliście?

- Że nie pójdzie dziś do pracy.

- Czy ten człowiek nigdy nie ma wolnego?

- Na światowych giełdach panuje ogromny niepokój. Hans się tym martwi i dlatego cały czas pracuje.

- Z Islandczykami?

Przyjrzała mu się z rezerwą.

- Silisz się na ironię? Nie zapominaj, że mówisz o ojcu mojego dziecka!

- Gdy mi pokazywał swoje biuro, siedzieli tam jacyś Islandczycy. Czy to musi być ironia, że akurat to sobie przypomniałem?

Linda z rezygnacją machnęła ręką. Hans wrócił do nich na huśtawkę. Rozmawiali przez chwilę o pogrzebie Louise. Wallander nie potrafił powiedzieć, kiedy wydadzą ciało z zakładu medycyny sądowej.

- Czy to nie dziwne? - zapytał Hans. - Wczoraj przyszła do mnie duża koperta ze zdjęciami z przyjęcia urodzinowego Håkana. Ich autor długo się zbierał, żeby je wysłać. Jest ich co najmniej setka.

- Chcesz, żebyśmy je obejrzel?

- Może nie teraz.

Hans wzruszył ramionami.

- Położyłem je tam, gdzie leżą listy gości i inne papiery związane z przyjęciem, między innymi kopie wszystkich rachunków.

Wallander, pogrążony w myślach, słyszał słowa Hansa jak przez mgłę. Nagle ocknął się z zadumy.

- Czy dobrze usłyszałem? Powiedziałeś: listy gości?

- Wszystko zostało przygotowane bardzo dokładnie. Ojciec nie na próżno był oficerem. Skrupulatnie odnotował gości, którzy faktycznie przyszli, którzy zawiadomili, że nie przyjdą, i w końcu tych, którzy łamiąc wszelkie zasady, ani się nie pojawili, ani nie uprzedzili, że ich nie będzie.

- A jak to się stało, że te listy są u ciebie?

- Dlatego że ani ojciec, ani mama nie mają szczególnej smykałki do komputerów. Zrobiłem wydruki, miałem też wpisać komentarze ojca, Bóg raczy wiedzieć po co. Ale nigdy ich nie wpisałem.

Wallander myślał intensywnie, przygryzając wargę. Po chwili wstał.

- Chciałbym przejrzeć te listy. Fotografie też. Mogę je wziąć ze sobą do domu, jeśli macie inne plany.

- Trudno mieć inne plany przy małym dziecku - odparła Linda. - Zapomniałeś? Klara zaraz się obudzi i to będzie koniec niebiańskiej ciszy. Jak cię znam, to lepiej, żebyś pojechał do domu. Tam będziesz miał trochę więcej spokoju.

Hans wszedł ponownie do środka i po chwili wrócił, trzymając w ręku foliowe koszulki pełne dokumentów i zdjęć. Linda odprowadziła ojca do samochodu. Gdzieś w oddali zagrzmiało. Stała szybko przed drzwiami, które Wallander właśnie zamierzał otworzyć.

- Myślisz, że mogli się pomylić? Że tak naprawdę chodzi o morderstwo?

- Nic za tym nie przemawia. Ytterberg to zdolny, doświadczony policjant. Widzi to, co widzi. Przy najmniejszym podejrzeniu na pewno by zareagował.

- Opowiedz mi jeszcze raz, jak wyglądała, gdy ją znaleźli.

- Buty starannie ustawione przy zwłokach. Louise na boku, bez butów. Ubranie w nienagannym porządku. A więc nie upadła, tylko położyła się sama.

- No ale buty?

- A czy nie ma takiego powiedzenia, które dziś wyszło z użycia? „Umarły wystawia swoje buty”, czy jakoś tak?

Linda niecierpliwie potrząsnęła głową.

- A co miała na sobie?

Wallander usiłował sobie przypomnieć, co na to pytanie odpowiedział Ytterberg.

- Czarną spódnicę, białą bluzkę i podkolanówki.

Linda pokręciła głową.

- Nigdy nie widziałam, żeby ich używała. Albo chodziła w rajstopach, albo z gołymi nogami.

- Jesteś pewna?

- Całkowicie. No chyba że jeździła na nartach; wtedy zakładała grube wełniane skarpety. Ale to nie ma tutaj nic do rzeczy.

Wallander próbował dociec, co to mogło oznaczać. Nie wątpił, że Linda wie, o czym mówi. Kiedy była pewna, tak jak teraz, zazwyczaj miała rację.

- Nie znajduję żadnego sensownego wyjaśnienia. Przekażę twoje wątpliwości Sztokholmowi.

Odsunęła się na bok i zatrzasnęła za ojcem drzwi, gdy już usiadł za kierownicą.

- Louise nie należała do kobiet, które popełniają samobójstwo - powiedziała.

- A jednak je popełniła.

Linda pokręciła w milczeniu głową. Wallander wiedział, że przekazała mu istotne informacje i teraz oczekuje wytłumaczenia. Nie musieli jednak rozmawiać o tym w tej chwili. Włączył silnik i odjechał. Przy głównej szosie, pod wpływem impulsu, skręcił w przeciwną stronę. Zostawił za sobą Ystad i drogą wzdłuż wybrzeża pojechał w kierunku Trelleborga. Czuł potrzebę ruchu. Przy Mossby Strand, wśród zwykłych przyczep kempingowych, stało kilka kamperów.

Wallander zaparkował na poboczu i ruszył w kierunku plaży. Zawsze gdy tu wracał, odżywało w nim poczucie, że właśnie ten wąski pas wybrzeża - ani szczególnie wyjątkowy, ani piękny - stanowi jedno z centralnych miejsc w jego życiu. Bywał tutaj z małutką Lindą i tutaj próbował pogodzić się z Moną, kiedy zażądała rozwodu. Na tej plaży niespełna dziesięć lat temu Linda oznajmiła, że zamierza zostać policjantką i że właśnie została przyjęta do szkoły policyjnej w Sztokholmie. Również w tym miejscu zdradziła mu, że nosi pod sercem Klarę.

Tutaj prawie dwadzieścia lat temu przydryfował gumowy ponton ze zwłokami dwóch mężczyzn. Z widocznymi śladami tortur, bezimienni, dopiero o wiele później zostali zidentyfikowani jako obywatele Łotwy. Wallander pamiętał dokładnie, gdzie przybili do brzegu. Nieomal poczuł teraz wiejący wtedy lodowaty wiatr, znów zobaczył kolegów, zebranych wokół czerwonego pontonu, i Nyberga, który z ponurą miną usiłował dociec, co spotkało tych mężczyzn, dlaczego ich zastrzelono, dlaczego nie utonęli.

Szedł plażą, zmuszając do wysiłku zeszywniałe od siedzenia ciało. Nie przestawał myśleć o tym, co powiedziała Linda. Przecież ludzie popełniają samobójstwa, niezależnie od tego, czy to wydaje się nam prawdopodobne, czy nie, odpowiedział w duchu. Kilka osób, których nigdy nie podejrzewałbym o chęć zakończenia życia z własnej woli, uczyniło to bez wahania, choć - w większości - według wcześniej ustalonego planu. Iluż to zmarłych odcinałem ze sznura, na którym się powiesili? Ile razy zbierałem resztki po strzale śrutówką prosto w twarz? Na palcach jednej ręki mogę policzyć krewnych, którzy zeznali, że nie byli zaskoczeni.

Wallander przedłużył spacer tak bardzo, że po powrocie do samochodu poczuł się solidnie zmęczony. Usiadł za kierownicą i z jednej z foliowych koszulek zaczął wyjmować fotografie. Przyglądał się im bliżej na chybił trafił. Sporo twarzy wydawało mu się znajomych, innych zupełnie nie pamiętał. Odłożył zdjęcia i pojechał do domu. Jeśli chciał



ten materiał jakoś spożytkować, musiał mu poświęcić o wiele więcej uwagi niż teraz, naprędce, w samochodzie.

Dopiero wieczorem usiadł przy stole w kuchni. Właśnie od tego powinienem zacząć, pomyślał. Od fotograficznego zapisu dużej i doskonale zorganizowanej uroczystości rodzinnej z udziałem jubilata i jego żony. Przyglądał się fotografii za fotografią. Ponieważ w tle prawie zawsze znajdowały się stoły, Wallander bez trudu mógł ocenić, czy zdjęcia wykonano przed posiłkiem, w jego trakcie, czy po nim.

Zdjęć było sto cztery, wiele nieostrych i bez wyraźnego motywu. Na sześćdziesięciu czterech widnieli albo Håkan, albo Louise, na dwunastu - obydwój. Na dwóch patrzyli na siebie: ona uśmiechnięta, on poważny. Wallander ułożył je w rzędzie, grupując według przypuszczalnej chronologii.

Uderzył go niezmierny wyraz powagi na twarzy Håkana. Czy to zwykła powściągliwość oficera, czy może raczej niepokój, o którym wkrótce miał ze mną rozmawiać, zastanawiał się Wallander. Nie potrafię tego rozstrzygnąć. Wygląda na to, że już podczas kolacji był podenerwowany. Natomiast jego żona nieustannie się uśmiechała. Z jednym wyjątkiem, ale akurat wtedy nie była świadoma obecności fotografa.

Czy to jedyne prawdziwe zdjęcie, pomyślał Wallander, czy zwykły zbieg okoliczności? Przeszedł do fotografii, na których uchwycono pokaźne grupy zaproszonych gości. Życzliwi starsi ludzie, pogodny nastrój. Na przyjęcie do Håkana von Enkego nie przyszli biedacy, mruknął pod nosem. Tych ludzi stać było na świetne samopoczucie.

Odsunął zdjęcia, by przejrzeć listy gości. Doliczył się stu dwóch osób. Nazwiska zapisano w porządku alfabetycznym. Sporo było par małżeńskich.

Ciągle studiował pierwszą listę, gdy zadzwonił telefon.

- Jestem strasznie ciekawa - wyznała Linda. - Znalazłeś coś?

- Niczego, czego bym już wcześniej nie wiedział. Louise jest ciągle uśmiechnięta, a Håkan poważny. Czy on nigdy

się nie uśmiechał?

- Dość rzadko. Ale uśmiech Louise jest prawdziwy. Niczego nim nie maskowała. Myślę też, że potrafiła wyczuć pozorantów.

- Przeglądam teraz listy gości, sto dwa nazwiska. Nie znam prawie nikogo. Alven, Alm, Appelgren, Berntsius...

- Pamiętam go - przerwała mu Linda. - Sten Berntsius. Wysoki rangą oficer marynarki wojennej. Spotkałam go na pewnej nieprzyjemnej kolacji u Håkana i Louise. Towarzyszyła mu żona; biedne, przerażone stworzenie, które co chwilę się czerwieniło i wlewało w siebie zdecydowanie za dużo wina. A Sten Berntsius był potworny.

- Pod jakim względem?

- Nienawidził Palmego.

Wallander zmarszczył czoło.

- Jak długo znasz Hansa? Parę lat? Od 2006 roku? O ile się nie mylę, właśnie wtedy minęło dwadzieścia lat od zamordowania Palmego.

- Nienawiść żyje długo.

- Mam to traktować poważnie? Że parę lat temu jadłaś kolację z ludźmi, którzy wyrażali się niepochlebnie o premierze zamordowanym dwa dziesięciolecia wcześniej?

- Mówię zupełnie poważnie. Sten Berntsius zaczął od tego, że Palme był szpiegiem na rzecz Związku Radzieckiego. Nazwał go kryptokomunistą, zdrajcą i Bóg wie kim jeszcze.

- A co na to Håkan i Louise?

- Niestety, Håkan się z nim zgadzał. Louise nie mówiła dużo, próbowała zażegnać ewentualny konflikt. Ale zrobiła się niemiła atmosfera.

Wallander zastanowił się. Dla niego Olof Palme był przede wszystkim symbolem najbardziej dramatycznego niepowodzenia szwedzkiej policji<sup>7</sup>. Prawie zupełnie nie

---

<sup>7</sup> Olof Palme zginął zastrzelony 28 lutego 1986 roku w centrum Sztokholmu. Pomimo wieloletniego śledztwa szwedzkiej policji do dziś nie udało się znaleźć sprawcy zabójstwa.

pamiętał go jako polityka. Przemawiał w ostrym tonie? Nie zawsze miał szczególnie przyjazny uśmiech? Wallander nie mógł zdecydować, które obrazy z przeszłości są prawdziwe. Za czasów Palmego polityka zupełnie go nie interesowała.

W tamtych latach usiłował uporządkować własne życie, a oprócz tego musiał zмагаć się ze swym niełatwym ojcem.

- Palme był premierem, kiedy obce okręty podwodne nurkowały sobie w naszych wodach - powiedział. - Przypuszczam, że właśnie to doprowadziło rozmowę na jego temat.

- Nie do końca. O ile pamiętam, chodziło głównie o upadek szwedzkiej armii, który ponoć zaczął się za czasów Palmego. To on miał być odpowiedzialny za to, że Szwecja nie potrafi się już bronić. Berntsius twierdził, że wiara w to, że Rosja będzie zawsze tak pokojowa jak teraz, to wielki błąd.

- Jakie poglądy polityczne mieli tak naprawdę rodzice Hansa?

- Oczywiście, obydwójce byli wyjątkowo konserwatywni. Louise chciała sprawiać wrażenie osoby, która gardzi wszystkim, co ma związek z polityką, ale to nie była prawda.

- A więc mimo wszystko nosiła maskę?

- Możliwe. Daj znać, jeśli znajdziesz coś ważnego.

Wallander wyszedł na dwór i nakarmił psa. Jussi miał zmierzwioną sierść i wyglądał na zmęczonego. Wallander zaczął się zastanawiać, czy to prawda, że psy i ich właściciele z czasem upodabniają się do siebie. W takim razie już na dobre dostał się w szpony starości. Czy to możliwe, że dojrzał do tego katastrofalnego starczego wieku, w którym coraz bardziej opada się z sił?

Otrząsnął się ze złych myśli i wrócił do domu. Kiedy jednak ponownie usiadł przy stole, uświadomił sobie bezsens swoich działań. Ani listy gości, ani fotografie nie kryły przecież niczego, co mogłoby rzucić nowe światło na zaginionych. Nic tam nie było. Cokolwiek się stało, wyjaśnienie musi tkwić gdzieś indziej. Jego poszukiwania

wydały mu się niedorzeczne. Nie szukał igły, szukał stogu siana.

Zebrał wszystkie rzeczy leżące na stole i zaniósł do przedpokoju. Jutro je odda i postara się już nie myśleć ani o zmarłej Louise, ani o zaginionym Håkanie. Wkrótce pojedą do Östergötland, do położonego pięknie nad jeziorem kościoła Kristbergskyrka, gdzie znajduje się stuletni grobowiec rodziny von Enke. Właśnie tam miała spocząć Louise.

Hans wspomniał mu o testamencie, w którym rodzice zastrzegli, że nie chcą być poddani kremacji. Wallander usiadł w fotelu i zamknął oczy. A jaka jest jego wola? Nie miał grobowca rodzinnego, nie czuł żadnej cmentarnej przynależności. Prochy matki zostały rozproszone w ogrodzie pamięci<sup>8</sup> w Malmö, ojciec spoczywał na jednym z cmentarzy w Ystad. O planach Kristiny, siostry mieszkającej w Sztokholmie, nie miał pojęcia.

Przebudził się gwałtownie, ciągle siedząc w fotelu. Przez chwilę słuchał odgłosów letniej nocy. Ze snu wyrwało go ujadanie psa. Wstał. Koszula była mokra od potu. Jussiemu musiało się coś przyśnić, nigdy nie czekał bez powodu. Idąc ku drzwiom, Wallander poczuł, że zdrętwiały mu nogi. Potrząsnął nimi, by przywrócić je do życia, ciągle wsłuchany w letnią ciemność. Pies umilkł na moment, ale gdy tylko dojrzał na schodach pana, znów zaczął skakać i ujadać. Wallander rozejrzał się dokoła. Może kręci się tu jakiś lis, pomyślał. Przeszedł przez podwórze. Pachniało trawą.

Bezwietrznie, spokojnie. Podrapał Jussiego za uszami.

- Dlaczego czekałeś? - zapytał cicho. - Poczułeś jakieś zwierzę? A może psy też miewają koszmarne sny?

Podszedł do miedzy i mrużąc oczy, próbował ogarnąć wzrokiem pola. Wszędzie tylko cienie, choć na wschodzie

---

<sup>8</sup> Wydzielona część cmentarza, gdzie rozsypuje się prochy osób, które nie chcą być pochowane w indywidualnym grobie; rodzaj popularnego w Szwecji zbiorowego i anonimowego miejsca pochówku, zazwyczaj w formie ogrodu.

niejasne przeczucie świtu.

Spojrzał na zegarek, za kwadrans druga. Przespał w fotelu prawie cztery godziny. Wzdrygnął się zziębnięty, a potem zawrócił i położył się do łóżka. Sen jednak nie przychodził.

- Kurt Wallander leży w łóżku i myśli o śmierci - powiedział głośno do siebie.

To prawda. Rzeczywiście myślał o śmierci. Często to robił. Od dnia, w

którym jako młody policjant przeżył dźgnięcie nożem, zaledwie śmieszny centymetr od serca, od tego dnia śmierć zawsze towarzyszyła mu w życiu.

Widział ją w lustrze każdego ranka, lecz teraz stanęła nagle u jego boku. Miał sześćdziesiąt lat, cukrzycę, lekką nadwagę. Nie dbał należycie o swoje zdrowie, ruszał się za mało, pił za dużo, jadł byle jak i nieregularnie. Od czasu do czasu zmuszał się do dyscypliny, ale dość szybko znów zaczynał ją łamać. Leżał w ciemności ogarnięty paniką. Czuł się pozbawiony swobody ruchów, nie miał żadnej możliwości wyboru. Albo radykalnie zmieni tryb życia, albo umrze przed czasem. Albo spróbuje dożyć przynajmniej siedemdziesięciu lat, albo będzie musiał liczyć się z ryzykiem rychłej śmierci.

A wtedy Klara straci dziadka Kurta, podobnie jak - z ciągle jeszcze niewyjaśnionych przyczyn - straciła babcię Louise.

Przewracał się z boku na bok do czwartej. Lęk przychodził i odpływał falami. Kiedy w końcu usnął, serce przepełniał mu żal za tym wszystkim, co bezpowrotnie minęło.

Ledwie się obudził, niewyspany i z bólem głowy, usłyszał terkotanie telefonu. Było parę minut po siódmej. Wallander, przekonany, że to znów żadna szczegółów Linda, nie miał zamiaru odpowiadać. Mogła poczekać. Jeżeli ojciec nie odbiera, to znaczy, że śpi. Lecz przy czwartym sygnale wyskoczył z łóżka i chwycił za słuchawkę. Ytterberg był rześki i pełen energii.

- Obudziłem cię?

- Prawie. Próbuję korzystać z urlopu. Ale nieszczęśliwie mi się to udaje.

- Będę się streszczał. Choć podejrzewam, że jesteś zainteresowany tym, co trzymam w ręce. Mam dokument z zakładu medycyny sądowej. Doktor Anahit Indoyan. Upłynęło trochę czasu, zanim wpadłem na to, że jest kobietą.

- Osobliwe nazwisko - zauważył Wallander.

- W całym kraju zaczynają się pojawiać osobliwe nazwiska - dodał posępnie Ytterberg. - To nie jest absolutnie jakieś negatywne stwierdzenie. Chodzi mi tylko o to, że musimy walczyć z pewnym nawykiem; już nie wszyscy nazywają się Andersson.

- Wallander i Ytterberg dadzą sobie radę. Nie ma nas chyba zbyt wielu. Parę tysięcy?

- Pani Anahit, ze zwykłej ciekawości zajrzałem w jej dane personalne, pochodzi z Armenii. Pisze bezbłędnie po szwedzku. Poddała analizie substancje chemiczne znalezione w ciele Louise von Enke. Natknęła się na coś wyjątkowo ciekawego.

Wallander wstrzymał oddech w oczekiwaniu na ciąg dalszy. Słyszał, jak Ytterberg wertuje papiery.

- Mamy do czynienia z preparatem, który w uproszczeniu można nazwać środkiem nasennym. Indoyan udało się zidentyfikować tylko niektóre składniki, są też bowiem takie, których nie rozpoznaje. Albo raczej: nie potrafi powiedzieć, o jakie substancje chodzi. Nie zamierza się jednak poddać. A na końcu raportu pozwala sobie na interesującą uwagę: mieszanka wykazuje mniej lub bardziej nieokreślone podobieństwa z preparatami używanymi w czasach NRD.

- NRD?

- Czyżbyś mimo wszystko jeszcze się nie obudził?

Wallander nie rozumiał, o co Ytterbergowi chodzi.

- Cud sportowy w Niemieckiej Republice Demokratycznej, nie pamiętasz? Ci wszyscy wspaniali

pływacy i lekkoatleci. Dzisiaj wiemy, że poddawano ich działaniu chemii na skalę, o jakiej nikt nigdy wcześniej nie słyszał. Enerdowscy cudowni sportowcy okazali się gromadą potworów nafaszerowanych anabolikami. Poza tym nie ulega wątpliwości, że wszystko było ze sobą powiązane. Pracownicy Stasi i ludzie zatrudnieni w laboratoriach sportowych działali ręka w rękę. Dzielili się swoimi doświadczeniami. Dlatego - zakończył Ytterberg - pani Anahit pozwala sobie na spekulacje, że znaleziony przez nią preparat być może da się powiązać z byłą NRD.

- Czyli z krajem, który nie istnieje od... dwudziestu lat?

- Niezupełnie. W 1989 roku runął mur berliński. Pamiętam, bo właśnie tamtej jesieni ożeniłem się po raz drugi.

Yttreberg zamilkł. Wallander zbierał myśli.

- To brzmi bardzo dziwnie - skomentował po chwili.

- Prawda? Ale pomyślałem, że to cię zainteresuje. Wysłać kopię do komendy?

- Mam urlop. Ale mogę podjechać i odebrać.

- Ciąg dalszy nastąpi. A teraz idę z żoną do lasu.

Wallander odłożył słuchawkę. Relacja Ytterberga natchnęła go pewną myślą. Nagle wiedział, co ma zrobić.

Parę minut po ósmej wsiadł do samochodu i ruszył na północny zachód. Cel podróży leżał w pobliżu Höör, w niewielkim domu, który lata świetności miał już dawno za sobą.

## 22

Wallander odebrał raport w recepcji komendy. W drodze do Höör uczynił coś, na co bardzo rzadko sobie pozwalał. Zatrzymał się za północnymi rogatkami Ystad i zabrał autostopowiczkę. Kobieta miała około trzydziestu lat, długie ciemne włosy i przerzucony przez ramię plecaczek. Nie potrafił sobie odpowiedzieć, dlaczego na jej widok zahamował, może ze zwykłej ciekawości? W czasie ostatnich lat z dróg u wylotów miast i z poboczy zniknęli

prawie wszyscy autostopowicze. Tanie linie autobusowe i lotnicze sprawiły, że ten sposób podróżowania przeszedł do historii.

Dwa razy w młodości, mając siedemnaście i osiemnaście lat, Wallander jeździł autostopem po Europie, mimo że ojciec zdecydowanie sprzeciwiał się tym eskapadom. Dwa razy udało mu się dotrzeć do Paryża i wrócić do domu. Zapamiętał chwile rozpaczliwego czekania przy mokrych szosach, stanowczo za ciężki plecak i zanudzających go kierowców.

Ale najbardziej wbiły mu się w pamięć dwa wydarzenia. To pierwsze miało początek pod Gandawą. Padał deszcz, Wallander był w drodze do domu, w zasadzie bez grosza przy duszy. Zatrzymał się wtedy samochód, który zawiózł go do samego Helsingborga. Wallander nigdy nie zapomniał tego uczucia szczęścia: za jednym zamachem wrócił do Szwecji!

Drugie wspomnienie też pochodziło z Belgii. W pewien sobotni wieczór, tym razem w drodze do Paryża, utknął w niewielkiej miejscowości, z daleka od głównych dróg. Wykosztował się na talerz zupy w podrzędnej restauracji, a później poszedł na poszukiwanie byle jakiego wiaduktu, pod którym mógłby się przespać. Wtem zobaczył stojącego przed jakimś pomnikiem mężczyznę, który uniósł trąbkę do ust, by odegrać wzruszający capstrzyk. Wallander zrozumiał, że to dla uczczenia pamięci żołnierzy poległych w dwóch ostatnich wojnach. Nigdy nie zapomniał tej przejmującej chwili.

A teraz, wczesnym rankiem, na poboczu stała kobieta z uniesionym w górę kciukiem. Jak gdyby z innej epoki. Podbiegła do samochodu i usiadła obok niego. Ucieszyła się, że dojedzie do Höör, była bowiem w drodze do Smalandii. Bił od niej ostry zapach perfum, sprawiała wrażenie zmęczonej. Na spódnicy, którą obciągnęła za kolana, widniały plamy po jakimś płynie. Wallander pożałował swojej decyzji od razu, gdy tylko się zatrzymał. Dlaczego miałby zapraszać do środka kompletnie obcą



osobę?

O czym będzie z nią rozmawiał? Autostopowiczka milczała. Wallander też. Z plecaka dobiegł dźwięk telefonu. Kobieta wyjęła komórkę, spojrzała na wyświetlacz, ale nie odebrała.

- Telefony tylko przeszkadzają - skomentował Wallander.
- Jak się nie chce, to nie trzeba odbierać.

Mówiła wyraźnym skańskim dialektem. Wallander zgadywał, że pochodzi z Malmö, z robotniczego środowiska. Próbował wyobrazić sobie jej życie. Nie miała obrączki. Jedno krótkie spojrzenie na jej ręce zdradziło obgryzione, zdeformowane paznokcie. Odrzucił myśl o tym, że pracuje w służbie zdrowia albo jako fryzjerka. Nie była też chyba kelnerką. A poza tym zachowywała się niespokojnie. Przygryzła dolną wargę i nieomal zaczęła ją żuć.

- Długo pani czekała?

- Jakies piętnaście minut. Musiałam wysiąść z poprzedniego samochodu. Kierowca okazał się uciążliwy.

Odpowiadała rzeczowo, ale jakby nieobecna, niechętna rozmowie.

Postanowił, że przestanie wprawiać ją w zakłopotanie. Wkrótce miała wysiąść w Höör, już nigdy się nie spotkają. Bawiąc się nadawaniem jej imion, zdecydował, że zapamięta ją jako Carolę, która pojawiła się znikąd i która lada moment zniknie w lusterku wstecznym.

Zapytał, gdzie się ma zatrzymać.

- Jestem głodna. W pobliżu jakiejś kafejki.

Skręcił ku przydrożnej restauracji. Kobieta uśmiechnęła się niepewnie, podziękowała i zniknęła za drzwiami. Wallander włączył wsteczny bieg, cofnął i nagle uświadomił sobie, że nie wie, dokąd zmierza. W głowie miał totalną pustkę. Przyjechał do Höör, wysadził z samochodu autostopowiczkę. Ale dlaczego się tu znalazł? Czuł narastającą panikę. Próbował się uspokoić, zamknął oczy i czekał, aż wszystko znów wróci do normy.

Minęła minuta, zanim przypomniał sobie cel podróży. Skąd bierze się ta niespodziewana pustka w głowie? Co

powoduje takie przerwy w dostawie prądu? Dlaczego lekarze nie potrafią powiedzieć, co się z nim dzieje?

Ruszył dalej. Pamiętał doskonale trasę, choć mężczyznę, do którego teraz jechał, odwiedził ostatnio pięć, sześć lat temu. Droga wiała się przez niewielki obszar leśny, mijała kilka łąk, na których pasły się kuce islandzkie, a w końcu ginęła w dolinie. Stał tam dom z czerwonej cegły, tak samo bliski ruiny teraz jak poprzednim razem. Jedyнным świadectwem zmiany była zupełnie nowa skrzynka na listy przy otwartej furtce, tam gdzie zawracał listonosz i samochód wywożący śmieci.

Na skrzynce czerwieniało wyraźne nazwisko EBER. Wallander wyłączył silnik, pozostał jednak za kierownicą. Przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Hermanem Eberem. To była sprawa sprzed ponad dwudziestu lat. W osiemdziesiątym piątym albo szóstym ów mężczyzna przedostał się nielegalnie z NRD do Szwecji i poprosił o azyl polityczny, którego zresztą wkrótce mu udzielono. Wallander przesłuchiwał go jako pierwszy, gdy Eber nieoczekiwanie pojawił się na komendzie policji w Ystad i oznajmił, że jest uciekinierem.

Ciągle miał w pamięci tę wstępną, nieporadną rozmowę po angielsku i swoją własną nieufność do człowieka, który opowiedział o przynależności do enerdowskiej tajnej policji *Stasi* i o grożącym mu niebezpieczeństwie, w razie gdyby nie przyznano mu statusu uchodźcy. Sprawa dość szybko zniknęła z biurka Wallandera, lecz Eber, otrzymawszy prawo stałego pobytu, nie dał o sobie zapomnieć. W zaskakująco krótkim czasie nauczył się posługiwać niemal płynną szwedzczyzną i pewnego dnia przyszedł z podziękowaniami. „Za co mi pan dziękuje?“, zapytał wtedy Wallander. Eber wyjaśnił, jak bardzo zdziwił go fakt, że policjant może być życzliwy wobec człowieka z nieprzyjaznego kraju.

Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że jadowita propaganda wschodnioniemiecka skierowana przeciwko krajom Zachodu w ogromnej mierze nie odpowiada

rzeczywistości. Ale komuś przecież musiał podziękować. I symbolicznie wybór padł na Wallandera. A później ostrożnie zaczęli się spotykać, ponieważ okazało się, że Eber pasjonuje się włoską operą. Kiedy padał mur berliński, Niemiec ze łzami w oczach siedział u Wallandera na Mariagatan i oglądał w telewizji bezpośrednią transmisję z otwarcia granicy. Podczas długich seansów opowiadał o swojej drodze od fascynacji enerdowskim systemem politycznym do coraz głębszego zwątpienia.

Z czasem zaczął czuć obrzydzenie do siebie samego. Był jednym z wielu, którzy podsłuchiwali, prześladowali i nękali innych obywateli. Należał do uprzywilejowanych; kiedyś podczas wielkiego bankietu przywitał się z nim sam Erich Honecker. Wtedy rozpierała go duma, bo uściśnął mu dłoń wielki przywódca. Później chciał uznać ten epizod za niebyły. W końcu dręczące go wątpliwości i poczucie, że NRD to projekt skazany na śmierć, stały się tak silne, że zdecydował się uciec. Wybór Szwecji był nie tyle kwestią przypadku, ile wiary w najlepsze możliwości ucieczki. Z fałszywym paszportem bez trudu dostał się na pokład promu do Trelleborga.

Wallander wiedział, że Eber w dalszym ciągu obawia się demonów przeszłości. Niemiecka Republika Demokratyczna nie istniała, ale żyły jeszcze jego ofiary. Nikt nie potrafił znaleźć lekarstwa na ten strach; być może Niemiec miał żyć z nim aż do śmierci. Z upływem lat stawał się coraz bardziej zamknięty w sobie, coraz bardziej stronił od ludzi. Ich spotkania odbywały się niezmiernie rzadko, a w końcu zupełnie ustały.

Do ostatniej wizyty Wallandera w Höör przyczyniła się plotka, że Eber choruje. Pojechał do niego, by sprawdzić, jak jest naprawdę. Herman nie zmienił się wcale, może trochę zeszczupłał. Był młodszy od niego o jakieś dziesięć lat, ale starzał się jakby w szybszym tempie. Wracając wtedy do domu, Wallander długo myślał o losie enerdowskiego uciekiniera. Spotkanie nie było udane, siedzieli tylko w milczeniu naprzeciw siebie.

Drzwi ceglanego domu uchyliły się. Wallander wysiadł z samochodu.

- To ja! - zawołał. - Nikt inny, tylko twój stary przyjaciel z Ystad.

Herman Eber stanął na schodach. Miał na sobie znoszony dres, prawdopodobnie jedno z niewielu ubrań, które wziął ze sobą, uciekając z NRD. Podwórze przypominało złomowisko. Wallanderowi przyszło nagle do głowy, że może wokół domu są pozostawiane sidła.

Herman mrużył oczy, jakby nieprzyzwyczajony do światła dziennego.

- Kurt! Kiedy ty mnie ostatnio odwiedziłeś?

- Kopę lat temu. Ale czy ty kiedykolwiek próbowałeś się ze mną skontaktować? Czy wiesz, że przeprowadziłem się i mieszkam za miastem?

Herman Eber pokręcił przecząco głową. Prawie zupełnie wyłysiał. Jego rozbiegane oczy utwierdziły Wallandera w przekonaniu, że dawna obawa przed zemstą ciągle jeszcze w nim żyje.

Eber wskazał na wpół zmurszały stół ogrodowy i kilka rozpadających się krzesel. Wallander zrozumiał, że nie zostanie wpuszczony do domu. Herman nigdy szczególnie nie dbał o porządek, do tej pory jednak nigdy nie odmówił gościowi z Ystad wejścia do środka. Może sprawy posunęły się za daleko, pomyślał Wallander. Może ten człowiek tonie w śmieciach? Ostrożnie usiadł na krześle, które wyglądało na najmniej chybotliwe.

Gospodarz oparł się o ścianę domu. Wallander był ciekaw, czy Hermanowi udało się zachować tę niebywałą, charakterystyczną dla niego przenikliwość umysłu. Był niewątpliwie inteligentnym człowiekiem, mimo że żył w sposób, który przeczył jego intelektualnym predyspozycjom. Niejeden raz zaskoczył Wallandera, przychodząc na umówione spotkanie nieumyty i wręcz śmierdzący. Nosił się osobliwie i czasami w środku zimy zakładał letnie ubranie.

Ale pod powierzchownością, która mogła zarówno

wprawiać w osłupienie, jak i odstręczać, krył się wyjątkowo jasny umysł. Wallander zwrócił na to uwagę jeszcze we wczesnym okresie ich znajomości. Sposób, w jaki Eber analizował nieistniejący już enerdowski cud, umożliwił Wallanderowi zrozumienie systemu społecznego i wejrzenie w politykę, które wcześniej były mu zupełnie obce.

Na pytania o swoją pracę w *Stasi* zazwyczaj reagował niechęcią i rozdrażnieniem. Nie uwolnił się od ciężaru winy, ciągle jeszcze sprawiało mu to ból. Czasami jednak, pod wpływem chwili i okazywanej przez Wallandera ogromnej cierpliwości, w końcu zaczynał opowiadać. Pewnego dnia zdradził, że przez jakiś czas pracował w tajnej sekcji zajmującej się pozbawianiem ludzi życia. To dlatego właśnie, zapoznawszy się z raportem zakładu medycyny sądowej, Wallander od razu pomyślał o nim.

Eber usiadł koło gościa. Tym razem nie wydzielał przykrego zapachu. Na środku zagraconego podwórza znajdował się niewielki dziecięcy basen wypełniony wodą. Na stoliczku obok leżały: ręcznik, mydło, pilniki do paznokci i inne instrumenty, które w wyobraźni Wallandera zamieniały się w narzędzia tortur. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Eber w brodziku po prostu się mył.

Wyszedł na schody z papierami w ręku. Zza jednego i drugiego ucha wystawał mu ołówek z gumką. Przez te wszystkie lata w Szwecji Herman Eber utrzymywał się z układania krzyżówek dla rozmaitych niemieckich gazet. Specjalizował się w szczególnie zawiłych łamigłówkach dla najbardziej zaawansowanych. Skonstruowanie krzyżówki to niełatwa sztuka. Nie chodziło o to, by pospłatać słowa i zostawić jak najmniej czarnych kratek. Zazwyczaj w grę wchodziło coś innego: jakiś trudny do rozwikłania temat, może jakieś skojarzenia myślowe łączące postacie historyczne. Tak zwykł opisywać swoją pracę.

Wallander skinął głową, wskazując trzymane przez Ebera papiery.

- Nowe trudności?

- Najtrudniejsza ze wszystkich. Krzyżówka, której najbardziej eleganckie tropy odnajdziemy w filozofii starożytnej.

- Ale przecież chyba chodzi o to, żeby ludzie potrafili rozwiązać twoje zagadki?

Herman nie odpowiedział. Wallanderowi przeszło nagle przez myśl, że siedzący obok niego mężczyzna w starym dresie marzy o zrobieniu krzyżówki, której nikt nie zdoła rozwiązać. Może mimo wszystko oszalał ze strachu? Albo traci zmysły, bo wydaje mu się, że napierają na niego wzgórza otaczające dolinę? Trudno powiedzieć. W gruncie rzeczy Eber ciągle był dla niego zupełnie obcym człowiekiem.

- Potrzebuję twojej pomocy.

Wallander położył na stole protokół z zakładu medycyny sądowej, a później spokojnie i rzeczowo opowiedział o przebiegu wypadków.

Herman nałożył na nos brudne okulary. Przestudiował dokument, po czym nagle wstał i zniknął w czeluściach domu. Wallander czekał, choć gdy po upływie kwadransa nic się nie wydarzyło, pomyślał, że może Eber poszedł spać albo wziął się do gotowania obiadu i zapomniał o gościu siedzącym na rozchwianym krześle. Ogarniała go coraz większa niecierpliwość, nie przestawał jednak czekać. Postanowił dać mu jeszcze pięć minut.

I właśnie wtedy Herman pojawił się w drzwiach. W ręce trzymał kilka pożółkłych kartek, a pod pachą jakąś opasłą książkę.

- To rzeczy z zupełnie innego świata. Musiałem trochę poszukać.

- Wygląda na to, że coś znalazłeś?

- Mądry z ciebie człowiek, że przyszedłeś z tym do mnie. Jestem chyba jedyną osobą, która potrafi ci pomóc. Ale musisz zrozumieć, że ta sprawa budzi we mnie wiele złych wspomnień. Kiedy zacząłem szukać, rozplakałem się. Słyszałeś?

Wallander potrząsnął głową, prawie pewien, że Eber

przesadza. Na jego twarzy nie widać było śladów łez.

- Rozpoznaję wymienione tu substancje - mówił dalej gospodarz. - Budzą mnie ze snu śpiącej królowny, w którym najchętniej chciałbym trwać przez resztę życia.

- Czyli wiesz, co to jest?

- Przypuszczalnie tak. Składniki chemiczne, te wytworzone sztucznie substancje, są w dużej mierze takie same jak te, którymi kiedyś się zajmowałem.

Zamilkł. Wallander nie ponaglał. Herman nie lubił, gdy mu przerywano. Kiedyś po kilku szklaneczkach whisky wyznał, że ma to związek z władzą, jaką posiadał, będąc oficerem *Stasi*. Wtedy nikt nie miał odwagi sprzeciwić się Eberowi.

Ścisnął książkę w dłoniach, jakby to było Pismo Święte. Wyraźnie wahał się. Wallander miał się na baczności. Na skraju brodzika przysiadł kos. Eber natychmiast trzasnął książką w stół. Ptak odleciał. Wallander przypomniał sobie, że Niemiec cierpi na tajemniczy, niewytłumaczalny lęk przed ptakami.

- Powiedz - poprosił. - Jakie substancje udało ci się zidentyfikować?

- Miałem z nimi do czynienia tysiąc lat temu. Myślałem, że zniknęły z mojego życia na dobre. A ty przychodzisz pewnego pięknego, letniego dnia i przypominasz mi o czymś, o czym najchętniej bym zapomniał.

- A co chcesz zapomnieć?

Herman westchnął i podrapał się po łysinie. Wallander wiedział, że nie może teraz ustąpić. W przeciwnym razie ten człowiek wyszuka sobie nowe drogi do swojej nory i ukryje się w nieskończonych wywodach na temat krzyżówek.

- No więc co chcesz zapomnieć? - powtórzył.

Herman kołysał się na krześle, milcząc. Wallander zaczął tracić cierpliwość.

- Kto zmarł, nie ma teraz znaczenia - dodał ostrzej. - Chcę się dowiedzieć, czy potrafisz zidentyfikować te substancje.

- Znajdowałem się kiedyś w ich pobliżu.

- To nie jest wystarczająca odpowiedź. „W pobliżu”? Mów jaśniej! Nie zapominaj, że kiedyś obiecałeś mi wyświadczyć przysługę.

- Nie zapominam.

Eber pokręcił głową. Na jego twarzy malowała się udręka.

- Nie musisz się spieszyć - dodał łagodniej Wallander. - Potrzebuję twojej odpowiedzi, twoich uwag i przemyśleń. Ale mogę poczekać. Jak chcesz, przyjdę trochę później.

- Nie, nie! Zostań! Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby wrócić do przeszłości. To trochę tak jakbyś mnie zmuszał do wykopania tunelu, który właśnie dokładnie wypełniłem ziemią.

Wallander podniósł się z krzesła.

- Idę na spacer. Pooglądam sobie konie.

- Pół godziny. Nie potrzebuję więcej.

Herman otarł pot z czoła. Wallander opuścił dolinę i ruszył ku najbliższemu pastwisku. Kuce natychmiast podeszły do ogrodzenia i zaczęły obwąchiwać mu ręce. Znowu odżyła w jego pamięci mała Linda. Kiedy skończyła dwanaście lat, przyszła kiedyś ze szkoły i oznajmiła, że chce mieć konia. To było podczas najcięższego okresu małżeństwa z Moną, zakończonego później decyzją o rozwodzie.

Wallander od razu pomyślał o przyjacielu Stenie Widenie, trenerze kłusaków. W swoich stajniach zawsze trzymał kilka wierzchowców, na pewno pozwoliłby Lindzie pojeździć konno. Ale Mona nie wyraziła zgody. W rezultacie Linda zamknęła się w swoim pokoju. Późniejsze wydarzenia były już tylko mglistym wspomnieniem. W każdym razie Linda nigdy więcej nie wspominała o koniach. Nigdy.

Po trzydziestu minutach zawrócił do doliny. Poczul zrywający się wiatr, od południa niebo zasnuło się chmurami. Gdy otwierał rozklekotaną furtkę, zobaczył Ebera siedzącego nieruchomo na krześle. Na stole leżał jeszcze jeden pokaźny tom, stary kalendarz w brązowych okładkach. Herman zaczął opowiadać, gdy tylko Wallander



usiadł obok. Kiedy był wzburzony, tak jak teraz, mówił piskliwym głosem, niemal krzyczał.

Ogarnięty niepokojem, Wallander nieraz próbował sobie wyobrazić, jak by się czuł przesłuchiwany przez Ebera w czasach, gdy on jeszcze wierzył, że NRD to raj na ziemi.

- Igor Kirow - zaczął Eber - alias Borys. To był jego pseudonim artystyczny. Obywatel rosyjski, odpowiedzialny za łączność z jedną z sekcji specjalnych KGB w Moskwie. Przyjechał do Berlina na kilka miesięcy przed powstaniem muru. Spotkałem go parę razy, ale nie miałem z nim bezpośrednio do czynienia. Krążące na jego temat plotki były jednoznaczne: Borys to człowiek, który zna się na rzeczy. W swoim otoczeniu nie tolerował nieprawidłowości i niedbalstwa.

Nie minęło kilka miesięcy, a wielu najwyższych urzędników *Stasi* zostało albo przeniesionych, albo zdegradowanych. Można powiedzieć, że był prawdziwą rosyjską gwiazdą, przerażającym sercem Berlina. Po niespełna pół roku rozbił jedną z najlepszych brytyjskich siatek wywiadowczych. W trybie doraźnym stracono trzech albo czterech agentów. Normalnie wymieniono by ich na uwięzionych w Londynie agentów z ZSRR i NRD. Ale Borys poszedł prosto do Ulbrichta i zażądał dla angielskich szpiegów kary śmierci. Chciał w ten sposób udzielić przestrogi zarówno zagranicy, jak i tym, którzy w Niemczech Wschodnich myśleli przypadkiem o dopuszczeniu się zdrady stanu.

Jeszcze przed upływem roku Borys stał się w Berlinie wzbudzającą postrach legendą. Mówiono o nim, że żyje skromnie. Nikt nie wiedział, czy ma żonę i dzieci, czy pije, czy chociaż gra w szachy. Z całą pewnością jednak można było powiedzieć, że w niesamowicie umiejętny sposób zorganizował współpracę między *Stasi* i KGB. Gdy nadszedł koniec, wszyscy stali z rozdziawionymi ustami. Całe Niemcy Wschodnie otwałyby kolektywnie narodowe usta, gdyby tylko do wiadomości publicznej podano, co się stało. Ale naturalnie całą sprawę zatuszowano.

- A co się stało?

- Pewnego dnia Borys zniknął. Magik nakrył mu głowę chusteczką, myk, i już go nie było. Ale oczywiście nikt nie bił brawo. Wielki bohater sprzedał duszę Anglikom i oczywiście też Amerykanom. Nie mam pojęcia, jak mu się udało ukryć, że to on odpowiadał za stracenie brytyjskich agentów. A może wcale nie musiał? Do sprawnego funkcjonowania służb bezpieczeństwa niezbędny jest cynizm. Zarówno *Stasi*, jak i KGB dostały upokarzającego prztyczka w nos.

Poleciało wiele głów, Ulbricht pojechał do Moskwy i wrócił z położonymi po sobie uszami, nawet jeżeli to nie on był winien, że Borysa nie zdemaskowano.

O mały włos popadłby w niełaskę również Markus Wolf, wielki przywódca *Stasi*. I pewnie tak by się stało, gdyby nie wydał rozkazu, który koniec końców przyczynił się do tego, że teraz tu ze mną siedzisz. To była sprawa szczególnej wagi.

Wallander domyślał się, o co chodziło.

- Borys miał umrzeć?

- Tak. Ale nie tylko umrzeć. Miał też okazać skruchę. Miał zostawić list pożegnalny, w którym wyzna, że jego zdrada jest niewybaczalna. Miał wysławiać zarówno ZSRR, jak i NRD, by w końcu z ogromną pogardą dla samego siebie i za pomocą równie dużej dozy specjalnie przez nas spreparowanych środków nasennych odebrać sobie życie.

- Jak to się odbyło?

- W tamtych czasach pracowałem w podberlińskim laboratorium, które co dość osobliwe, leżało niedaleko Wannsee, gdzie naziści kiedyś ustalili, jak rozwiązać kwestię żydowską. Nagle pojawił się tam zupełnie nowy pracownik

Eber przerwał na chwilę i wskazał na kalendarz w brązowych okładkach.

- Widziałem, że zwróciłeś na niego uwagę. Musiałem dopiero przypomnieć sobie nazwisko tego człowieka. Zawiodła mnie pamięć, choć to mi się raczej nie zdarza. A

jak z twoją pamięcią?

- W porządku - odpowiedział wymijająco Wallander. -  
Opowiadaj dalej.

Herman wyraźnie zauważył niechęć gościa do zwierzeń.  
Wallander

pomyślał, że ludzie pracujący w służbie bezpieczeństwa muszą mieć szczególnie dobrze rozwiniętą wrażliwość na zmiany w tonie głosu i inne podteksty. Najmniejsza niezręczność, jeden jedyny błąd w ocenie i człowiek mógł skończyć przed plutonem egzekucyjnym.

- Klaus Dietmar - powiedział Eber. - Przyszedł do nas bezpośrednio od pływaczek, wiem to na pewno, mimo że nigdy nie był ich oficjalnym trenerem. To między innymi on przyczynił się do słynnego cudu sportowego. Miał wątlą posturę i dziewczęce dłonie, poruszał się bezgłośnie. Łatwo było odnieść złudne wrażenie, że całym sobą przeprosza za to, że żyje. W rzeczywistości był to fanatyczny komunista, który co wieczór przed zgaszeniem lampki nocnej odmawiał modlitwę za Waltera Ulbrichta. Kierował moją grupą. Nasze zadanie polegało na stworzeniu preparatu, który miał zabić Igora Kirowa, nie zostawiając po sobie więcej śladów niż zwykły środek nasenny.

Eber podniósł się z krzesła i znów zniknął za drzwiami. Wallander nie mógł oprzeć się pokusie, by zajrzeć do środka. Podeszedł do okna w szczytowej ścianie domu. Sprawdziły się jego przypuszczenia. W pokoju panował przeraźliwy bałagan. Gazety, ubrania, odpadki, talerze i resztki jedzenia wypełniały każdą wolną przestrzeń. Przez środek tej kupy śmieci biegło coś w rodzaju wydeptanej ścieżki. Wallander miał wrażenie, że odór z wnętrza przenika przez szyby. Słońce schowało się za chmurami.

Eber wrócił, poprawiając sobie spodnie od dresu. Usiadł i zaczął drapać się po brodzie, jak gdyby nagle dotknął go uciążliwy świąd. Wallander pomyślał, że ma przed sobą człowieka, z którym nie chciałby się zamienić rolami. Przez moment był nieskończenie wdzięczny, że jest tym, kim jest.

- Pracowaliśmy nad tym dwa lata - odezwał się ponownie

Eber, oglądając swoje brudne paznokcie. - Wielu z nas uważało, że *Stasi* przeznaczą zbyt wiele środków na sprawę Igora Kirowa. Ale tutaj chodziło o prestiż. Ten człowiek został zaprzysiężony w najświętszym kościele komunizmu i nie można mu było pozwolić na śmierć w grzechu.

Znalezienie chemicznej kombinacji, która przypominała najczęściej przepisywane w Anglii tabletki nasenne, nie zajęło nam szczególnie dużo czasu. Problem polegał na tym, żeby znaleźć odpowiedni moment i przedrzeć się przez nieustannie otaczające Borysa środki bezpieczeństwa. Największym wyzwaniem było jednak uspianie jego własnej czujności. Przecież wiedział, co uczynił. Wiedział, jakie psy podążają jego tropem.

Nagle Herman zaniósł się kaszlem. Zacharczało mu w płucach. Wallander czekał. Wzmagający się chłodny wiatr smagał go po karku.

- Prawdziwy agent wie, że najważniejsza w jego życiu jest ciągła zmiana przyzwyczajzeń - mówił dalej Herman. - Kirow też o tym wiedział. Ale przeoczył jeden niewielki szczegół. I przyplącił to życiem. W każdą sobotę, koło trzeciej, chodził do pubu w Notting Hill, gdzie oglądał transmisje meczów piłkarskich. Siedział zawsze przy tym samym stoliku i pił zawsze rosyjską herbatę. Przychodził za dziesięć trzecia i wychodził po zakończonym meczu. Nasi ludzie, którzy mogli wejść wszędzie, obserwowali go przez dłuższy czas i w końcu znaleźli sposób na sprzątnięcie Igora Kirowa.

Najsłabszym ogniwem były dwie kelnerki, czasem zastępowane przez przypadkowe dziewczyny. Mogliśmy zamiast nich podstawić nasze. Egzekucja odbyła się pewnej grudniowej soboty w 1972 roku. Fałszywe kelnerki podały mu zatrutą herbatę. W raporcie, który miałem możliwość przeczytać, zanotowano skrupulatnie, że ostatni obejrzany przez Kirowa mecz to spotkanie między Birmingham a Leicester, zakończone remisem jeden do jednego.

Borys wrócił do swojego mieszkania, gdzie godzinę później zmarł we własnym łóżku. Brytyjska służba

bezpieczeństwa początkowo nie miała wątpliwości, że chodzi o samobójstwo; list napisany ręką Kirowa i z jego odciskami palców był nazbyt przekonujący. Tajna policja nie posiadała się z radości. Igora Kirowa w końcu dosięgnął nieuchronny los.

Eber zadał kilka pytań na temat zmarłej kobiety. Wallander odpowiedział tak szczegółowo, jak tylko potrafił. Ale ciągle narastała w nim niecierpliwość. Nie miał ochoty udzielać żadnych odpowiedzi. Herman wyczuł jego irytację i zamilkł.

- A więc uważasz, że Louise zmarła zatruta tym samym preparatem co Kirow?

- Na to wygląda.

- Co oznacza, że została zamordowana? A samobójstwo było upozorowane?

- Jeżeli raport z zakładu medycyny sądowej się zgadza, to tak właśnie mogło być.

Wallander pokręcił głową z niedowierzaniem. Nie potrafił sobie tego wyobrazić.

- Jacy ludzie sporządzają dzisiaj tego typu preparaty? Nie ma już ani NRD, ani *Stasi*. A ty siedzisz w Szwecji i układasz krzyżówki.

- Tajne służby bezpieczeństwa istnieją zawsze. Zmieniają nazwę, ale nie przestają działać. Ten, kto sądzi, że ostatnimi czasy szpiegostwo zmalało, niczego nie rozumie. I nie zapominaj, że ciągle żyje wielu byłych mistrzów.

- Mistrzów?

Eber odpowiedział nieomal urażony:

- Cokolwiek robiliśmy, cokolwiek ludzie o nas mówią, byliśmy specjalistami. Dobrze wiedzieliśmy, czym się zajmujemy.

- Dlaczego właśnie Louise von Enke miała by umrzeć w ten sposób?

- Na to pytanie, oczywiście, nie umiem odpowiedzieć.

- Ale jesteś pewien?

- Na tyle pewien, na ile potrafię; na podstawie danych, które mi przekazałeś.

Wallandera nagle ogarnęło zmęczenie i niepokój. Wstał, podał Eberowi rękę.

- Na pewno jeszcze do ciebie wrócę - powiedział na pożegnanie.

- Akurat to wiem. W naszym świecie spotykamy się w najdziwniejszych momentach.

Wallander wsiadł do samochodu i ruszył do domu. Przy rondzie przed wjazdem do Ystad zaczęło padać. Kiedy przebiegał od samochodu do drzwi wejściowych, lało jak z cebra. Jussi czekał na wybiegu. Wallander usiadł przy stole w kuchni i patrzył na tłukące w szybę krople deszczu. Woda ściekała mu z włosów.

Nie wątpił, że Herman Eber ma rację. Louise von Enke nie popełniła samobójstwa. Została zamordowana.

## 23

Wallander wyciągnął z lodówki sztukę mięsa, która razem z połową kalafiora miała złożyć się na porządny posiłek. Kiedy usiadł przy stole i rozłożył kupioną w drodze do domu popołudniówkę, pomyślał, że odkąd sięga pamięcią, jako dorosły człowiek zawsze lubił jeść sam. Wolał, gdy nikt mu nie przeszkadzał w spokojnym przeglądaniu gazety. Tym razem jednak z rozkładówki wpatrywała się w niego powiększona fotografia, krzyczał dramatyczny nagłówek.

Wallander nie wierzył własnym oczom. Przed sobą miał twarz autostopowiczki. Z rosnącym zdumieniem przeczytał o tym, jak dzień wcześniej właśnie ta kobieta w centrum Malmö, w mieszkaniu przy Sodra Forstadsgatan, zabiła swoich rodziców, a potem zbiegła. Policja nie podała informacji o motywie zbrodni. Ale nie ulegało wątpliwości, że to ona, nie żadna Carola, tylko Anna-Lena, popełniła owo brutalne morderstwo.

Policjant, którego nazwisko Wallander przypominał sobie jak przez mgłę, opisał wydarzenie jako bezprzykładne użycie przemocy, nieopanowany atak szału i prawdziwą rzeź w niewielkim mieszkaniu należącym do jej rodziny. Policja poszukiwała kobiety, w całym kraju ogłoszono stan

pełnej gotowości.

Wallander odsunął od siebie i gazetę, i talerz. Jeszcze raz pomyślał, że to może tylko przywidzenie. To nie mogła być ta sama osoba. Ale po chwili chwycił za telefon i wybrał prywatny numer do Martinssona.

- Przyjedź do mnie do domu.
- Kąpię się z wnukami. To aż tak pilne?
- Tak, to sprawa niecierpiąca zwłoki.

Dokładnie trzydzieści minut później Martinsson wjechał na podwórze. Wallander czekał już na niego przy furtce. Deszcz ustał, niebo znów się przejaśniło. Martinsson, który wystarczająco dobrze znał zachowania kolegi, nie miał wątpliwości, że stało się coś poważnego. Wypuszczony z wybiegu Jussi tańczył wokół nóg gościa. Wallander z trudem go uspokoił i zmusił do leżenia.

- W końcu nauczyłeś go posłuszeństwa - skomentował Martinsson.

- Nie do końca. Chodźmy do kuchni.

Weszli do środka. Wallander wskazał na fotografię w gazecie.

- Kilka godzin temu podwoziłem ją do Höör. Powiedziała, że jedzie do Smalandii. To oczywiście nie musi być prawda. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że na podstawie tych zdjęć już ją rozpoznano. Ale policja powinna zacząć poszukiwania w Höör.

Martinsson wpatrywał się w Wallandera.

- Pamiętam jak dziś, że mówiliśmy o tym w ubiegłym roku. Że nigdy nie zabieramy autostopowiczów, ani ty, ani ja.

- Dzisiaj rano zrobiłem wyjątek.
- W drodze do Höör?
- Tam mieszka mój przyjaciel.
- W Höör?

- Może nie wiesz wszystkiego o moich przyjaciółach? Dlaczego jeden z nich nie miałby tam mieszkać? A ty nie masz przyjaciela na Hebyrdach? Każde wypowiedziane przeze mnie słowo jest prawdziwe.

Martinsson przytaknął skinieniem głowy. Wyciągnął z kieszeni notatnik. Długopis nie chciał pisać. Wallander podał mu nowy i przykrył ściereczką jedzenie, na którym zaczęły siadać muchy. Martinsson zapisał, jak była ubrana, co mówiła, zanotował dokładny czas wydarzeń. Właśnie wyciągnął telefon, gdy Wallander powstrzymał go na chwilę.

- Może wystarczy, jak powiesz, że wiadomość pochodzi od anonimowego informatora?

- Sam na to wpadłem. Nie zdradzę przecież, że poszukiwanej kobiecie pomógł w ucieczce sławny policjant z Ystad.

- Nie wiedziałem, kim jest.

- Ale wiesz dokładnie, co napiszą, jeśli prawda wyjdzie na jaw. W sezonie ogórkowym to byłaby wspaniała wiadomość na pierwsze strony gazet.

Wallander przysłuchiwał się rozmowie Martinssona z dyżurnym w komendzie.

- Telefon był anonimowy - zakończył Martinsson. - Nie mam pojęcia, skąd mieli mój prywatny numer. Ale rozmówca był trzeźwy i jak najbardziej wiarygodny.

- A któż jest nietrzeźwy w porze lunchu? - zapytał skwaszony Wallander. - Czy naprawdę musiałeś to mówić?

- Kiedy złapiemy kobietę, w trakcie przesłuchania powie, że podwiózł ją nieznany mężczyzna. To wszystko. Nie dowie się, że to byłeś ty. I nikt inny też się nie dowie.

Nagle Wallander przypomniał sobie, że autostopowiczka zdradziła coś więcej.

- Powiedziała, że do tego miejsca, z którego ją zabrałem, dojechała innym samochodem i że kierowca był uciążliwy. Zapomniałem o tym wspomnieć.

Martinsson wskazał na fotografię w gazecie.

- Przyciąga uwagę, niezależnie od tego, czy jest morderczynią, czy nie. Powiedziałeś, że miała krótką, żółtą spódnicę?

- Była bardzo atrakcyjna. Oprócz tych poobgryzanych paznokci. Nic nie działa na mnie bardziej odstręczająco.



Martinsson uśmiechnął się i spojrział na kolegę z lekkim zdziwieniem.

- Prawie przestaliśmy o nich rozmawiać. O kobietach, które pojawiają się na naszej drodze. Kiedyś często o nich gawędziliśmy.

Wallander chciał go zatrzymać na kawie, ale Martinsson podziękował. Pomachał mu więc tylko na pożegnanie i dokończył przerwany posiłek, który wprawdzie nie smakował już tak dobrze, ale sycił. Kiedy potem wrócił z długiego spaceru z Jussim, przyciął żywoplot na tyłach domu i przymocował przekrzywioną skrzynkę na listy.

Cały czas myślał o tym, czego dowiedział się od Hermana Ebera. Kusilo go, by zadzwonić do Ytterberga, postanowił jednak poczekać do następnego dnia. Musiał się nad tym wszystkim zastanowić. Samobójstwo zamieniało się w morderstwo, i to w sposób, którego nie potrafił pojąć. Jednocześnie zaczęło męczyć go poczucie, że coś przeoczył. I nie tylko on, ale również wszyscy inni zaangażowani w śledztwo. Nie potrafił jednak odpowiedzieć na pytanie, co to mogło być. Znow chodziło o intuicję, w której przydatność coraz bardziej powątpiewał.

O piątej po południu Wallander niespodziewanie się rozchorował. W ciągu pół godziny dostał gorączki i zaczął wymiotować. Podejrzewał, że nie dosmażył mięsa, które dzień wcześniej, w drodze ze sklepu, zbyt długo leżało w nagrzanym bagażniku. Położył się na kanapie, przerzucal kanały w telewizji i od czasu do czasu robił wypadki do toalety.

Kiedy koło dziewiątej zadzwonił telefon, wracał właśnie z łazienki po kolejnym gwałtownym ataku torsji. Podniósł słuchawkę. Linda zaniepokoiła się objawami. Kiedy jednak zrozumiała, że to nie ma związku z insuliną, odzyskała spokój.

- Jutro na pewno będziesz zdrowy. Próbuj pić herbatę.
- Nie mogę. Od razu zwracam.
- No to pij wodę.

- A jak myślisz, co robię?
- Jesz za mało warzyw.
- A jaki to ma związek z nudnościami?
- Przyjadę jutro i zaopiekuję się tobą. Zaczynasz zrzedzić jak dziadek.

Wallander zwinął się w kłębek na kanapie, ale wkrótce ponownie

zwymiotował. Po godzinie snu wydawało mu się, że ma się lepiej, jednak po chwili znów musiał biec do toalety. Jeszcze raz, w poczuciu bezsilności, zaczął przerzucać kanały. Nie znalazł nic godnego uwagi. W końcu zatrzymał się przy programie pokazującym tajski boks. Niewysoki i szczupły Tajlandczyk powalił rosnącego Holendra perfekcyjnym kopnięciem w głowę. Wallander niemal poczuł ból we własnym ciele.

Koło północy zasnął. Zbudził się nad ranem ze świeżym wspomnieniem snu o Hermanie Eberze i Louise von Enke. Była piąta. Żołądkowe dolegliwości najwyraźniej minęły, Wallander odczuwał jednak ogólne osłabienie i ból głowy. Zaparzył herbatę i tym razem jej nie zwymiotował. Przez okno widział Jussiego, który stał całkiem nieruchomo. Z wyciągniętą łapą, ze wzrokiem utkwionym w niewidoczny punkt, wypatrywał czegoś w oddali. Może sarny, która o świcie wybiegła z zagajnika w pole?

Wallander pomyślał, że jego ojciec mógłby przetworzyć ten obraz na jeden ze swoich wiecznie powtarzanych motywów. Wietrzący pies o świcie. Wybrał jednak pejzaż, do którego od czasu do czasu z monotonną precyzją domalowywał głuszca.

Wallander wrócił myślami do swojego snu. Stał w zaśmieconym domu Ebera. Louise, balansując na drabinie, wieszala żółte firanki. Gdy zapytał ją, gdzie się ukrywała w ciągu tych ostatnich tygodni, spadła z drabiny i zmarła na miejscu. Przez górę śmieci szedł w jego kierunku Eber. Miał na sobie zielony niemiecki mundur wojskowy, był bardzo młody i bezzębny, usta ziały czernią. Próbował coś powiedzieć, ale Wallander nie zdołał zrozumieć jego słów.

Właśnie wtedy obudził się z uczuciem niepokoju i bezradności. Nie dokuczał mu już żołądek, dręczyła go Louise i jej śmierć. Ta cała historia się zmienia, pomyślał. Wcześniej wychodził z założenia, że główną postacią jest Håkan. A jeżeli była nią Louise? Od tego powinienem zacząć, uświadomił sobie. Przejrzę wszystko jeszcze raz, zmienię tylko perspektywę, przyjmę inny punkt widzenia. Aby jednak osiągnąć jasność myślenia, potrzebował dodatkowo kilku godzin snu. Rozebrał się i wszedł do łóżka. Po belce u sufitu piał się pająk. Kurt Wallander już spał.

O godzinie ósmej, kiedy właśnie skończył lekkie śniadanie, Linda zatrzymała samochód przy skrzynce na listy. Miała ze sobą Klarę i już z daleka wołała, by nawet nie zamierzał się do niej zbliżyć, obawiała się ryzyka zarażenia ich grypą żołądkową. Miał stać co najmniej dwa metry dalej. Ogarnęła go irytacja. Nie podobało mu się, że córka przyjechała tak wcześnie. Gdy chociaż raz miał wolny ranek, chciał mieć go tylko dla siebie. Usiedli przed domem.

- Lepiej się czujesz?

- O wiele lepiej.

- A nie mówiłam?

- Czego nie mówiłaś? Że jem za mało warzyw? Nie masz pojęcia o tym, co jem, a czego nie.

Linda westchnęła. Postanowiła zbyć wybuch ojca milczeniem. Nagle Wallander odkrył w jej włosach niebieskie pasemka.

- Niebieski kolor na głowie?

- Mnie się podoba.

- A co na to Hans?

- On też uważa, że to ładny kolor.

- Pozwól, że będę wątpił. Dlaczego on nie może zająć się dzieckiem, jeśli tak bardzo boisz się, że was zarażę?

- Dzisiaj nie miał wyboru i musiał pójść do pracy.

Przez jej twarz przemknął nagle cień zatroskania.

- Skąd ten jego niepokój?

- W globalnym sektorze finansowym pojawiają się ruchy, które trudno mu zrozumieć.

- Jeżeli chodzi o mnie, to nie mam pojęcia, o czym w ogóle mówisz. „Ruchy w globalnym sektorze finansowym”? Myślałem, że Hans zajmuje się akcjami?

- Akcjami też. Ale również derywatami, opcjami, funduszami hedgingowymi.

Wallander uniósł ręce w obronnym geście.

- Nie muszę wiedzieć więcej o czymś, czego i tak nie pojmuję.

Poszedł po szklanekę wody. Klara przemieszczała się radośnie po podwórzu.

- Co słyhać u Mony?

- Unika ludzi, nie podnosi słuchawki. Nie otwiera, kiedy dzwonię do drzwi, choć wiem, że jest w domu.

- To znaczy, że dalej pije?

- Nie wiem. Chwilowo czuję, że brak mi sił, żeby zająć się jeszcze jednym dzieckiem. Wystarczy ta mała.

Samolot schodzący do lądowania w Sturup przeleciał nad nimi z hukiem. Gdy hałas się oddalił, Wallander opowiedział Lindzie o wizycie u Hermana Ebera. Zrelacjonował szczegółowo całą rozmowę i swoje przemyślenia. Im bardziej był pewien, że Louise została zamordowana, tym bardziej pogłębiała się druga część zagadki. Dlaczego komuś zależało na śmierci tej kobiety? W jaki sposób ta cicha osoba mogła mieć związek z Niemiecką Republiką Demokratyczną, krajem nieistniejącym i dawno pogrzebanym? Jeżeli w ogóle istniał taki związek?

Wallander zamilkł. Klara raczkowała wokół nóg mamy, Linda w końcu powoli pokręciła głową.

- Nie kwestionuję tego, co powiedziałaś. Ale w takim razie co to wszystko znaczy?

- Nie wiem. Teraz kołacze mi się po głowie tylko jedno pytanie: kim tak naprawdę była Louise von Enke? Czego o niej nie wiem?

- A co my właściwie wiemy o drugim człowieku? Czy to nie o tym stale mi przypominasz? Żeby się nie zdumiewać?

A poza tym istnieje pewne powiązanie z komunistycznymi Niemcami - dodała Linda po namyśle. - Nie mówiłam ci o tym?

- Nic więcej ponad to, że interesowała się klasyczną literaturą niemiecką i że była nauczycielką niemieckiego.

- Myślę o czymś, co zdarzyło się bardzo dawno temu - mówiła dalej Linda. - Prawie pięćdziesiąt lat temu. Zanim pojawił się Hans, przed narodzinami Signe. W zasadzie powinieneś o tym porozmawiać z Hansem.

- Zacznijmy od tego, co ty wiesz.

- Nie jest tego dużo. Na początku lat sześćdziesiątych Louise była w NRD z grupą młodych, obiecujących zawodniczek w skokach do wody. To było coś w rodzaju wymiany sportowej. Louise trenowała te dziewczęta. Podobno sama w młodości świetnie skakała. Akurat o tym nic nie wiem. O ile dobrze pamiętam, w ciągu paru lat bawiła kilka razy w Berlinie i Lipsku. A później nagle wyjazdy się skończyły. Hans twierdzi, że istnieje tylko jedno sensowne wyjaśnienie.

- Jakie?

- Po prostu Håkan wyperswadował jej te wycieczki do NRD. Fakt, że żona jeździła do kraju uważanego za wrogi, mógł zaszkodzić jego karierze wojskowej. Nietrudno sobie wyobrazić, że szwedzcy oficerowie i politycy traktowali Niemcy Wschodnie jako najpotworniejszego wasala Związku Radzieckiego.

- Ale nie masz co do tego pewności?

- Louise zawsze podporządkowywała się mężowi. Myślę, że wtedy, na początku lat sześćdziesiątych, sytuacja właśnie tak wyglądała. Håkan zmierzał do zdobycia wysokich stanowisk w marynarce wojennej.

- Czy wiesz coś o jej reakcji?

- Nie. Nic.

Raczkująca ciągle Klara uklęła się czymś nagle i zaczęła płakać. Wallander ciężko znosił krzyk dzieci, odszedł więc na chwilę, by pogłaskać Jussiego. Został przy wybiegu, aż dziewczynka ucichła.

- A co robieś, jak ja płakałam?

- Dawniej moje uszy więcej znosiły.

Siedzieli w milczeniu, obserwując Klarę, która badała kwiat mniszka wyzierający spod kamieni.

- Kiedy zniknęli, oczywiście cały czas się zastanawiałam - odezwała się nagle Linda. - Wracałam do przeszłości, próbowałam przypomnieć sobie szczegóły rozmów, ich sposób zachowania się wobec siebie i wobec innych. Usiłowałam wyciągnąć z Hansa wszystko, co wie. Wszystko, co jemu wydawało się oczywiste, i dlatego wychodził z założenia, że ja też wiem. Parę dni temu znów zaczęło mi się wydawać, że coś się nie zgadza, że nie powiedział mi całej prawdy.

- O czym?

- O pieniądzach.

- Jakich pieniądzach?

- Najprawdopodobniej zostało o wiele więcej pieniędzy, niż myślałam. Håkan i Louise żyli dostatnio. Nie afiszowali się luksusem, nie popadali w przesadę. Ale gdyby chcieli, mogliby żyć na wyższej stopie.

- O jakich sumach mówimy?

- Nie przerywaj mi - odpowiedziała szorstko. - Zaraz do tego dojdę. Opowiadam w swoim rytmie. To oczywiście osobny problem, że Hans nie powiedział mi tego, co powinien. To mnie denerwuje i muszę z nim o tym prędzej czy później porozmawiać.

- Czy to znaczy, że pieniądze w jakiś sposób mogą mieć decydujące znaczenie?

- Nie, nie podoba mi się tylko to, że Hans nie do końca jasno się wyraża. Ale nie musimy teraz o tym mówić.

Wallander znów uniósł ręce na znak skruchy i nie zadawał już więcej pytań. Gdy Linda odkryła, że Klara z zadowoleniem przeżuwa mniszka, wyjęła jej żółtą papkę z buzi, co wywołało kolejny wybuch rozpaczliwego płaczu. Wallander postanowił zachować tym razem stoicki spokój i pozostał na miejscu. Jussi obserwował to wszystko zza swojego ogrodzenia, przechadzając się smętnie tam i z

powrotem. Oto moja rodzina, pomyślał Wallander. Wszyscy w komplecie, oprócz siostry Kristiny i byłej żony, która zapija się na śmierć.

Po chwili całe zamieszanie minęło, Klara ruszyła na czworakach na kolejną wyprawę badawczą, Linda kołysała się na krześle.

- Nie gwarantuję, że wytrzyma - ostrzegł Wallander.

- Stare meble dziadka. Jak krzesło się rozleci, to i tak przeżyję, bo spadnę na zaniedbany kwietnik.

Wallander nie odpowiedział. Irytowało go, że Linda ciągle go obserwuje i wypomina wszystkie zauważone niedociągnięcia.

- Kiedy obudziłam się dziś rano, nie mogłam przestać o tym myśleć. To pytanie nie dawało mi spokoju, niezależnie od tego, jak ważna jest sprawa Håkana i Louise. Nie rozumiem, jak mogłam go nie zadać przez te wszystkie lata. Ani tobie, tato, ani mamie. Może bałam się odpowiedzi? Nikt nie chce zostać powołany do życia przez przypadek.

Wallander momentalnie zwiększył czujność. Linda niesłychanie rzadko mówiła o Monie „mama”. Nie potrafił sobie też przypomnieć, kiedy ostatnio zwróciła się do niego „tato”, oprócz tych sytuacji, w których przemawiała przez nią złość albo ironia.

- Nie bój się - rzuciła. - Widzę, że już się zaczynasz niepokoić. Chcę się tylko dowiedzieć, jak się spotkaliście. Pierwsze spotkanie moich rodziców. Tak naprawdę nic o nim nie wiem.

- Moja pamięć nie jest najlepsza - odparł Wallander. - Ale też nie najgorsza. Spotkaliśmy się w sześćdziesiątym ósmym na promie kursującym między Kopenhagą i Malmö, późnym wieczorem. To był taki zwykły, powolny prom, nie żaden poduszkiowiec.

- Czterdzieści lat temu?

- Obydwoje byliśmy bardzo młodzi. Mona siedziała przy stoliku, panował okropny tłok, zapytałem, czy mogę się przysiąść, nie miała nic przeciwko temu. Opowiem chętnie więcej, ale innym razem. Nie jestem przygotowany na

grzebanie we własnej przeszłości. Powróćmy może do tych pieniędzy. No więc o jakie sumy chodzi?

- O parę milionów. Ale nie uda ci się wywinąć. Musisz mi powiedzieć, co wydarzyło się później, kiedy prom przybił do Malmö.

- Akurat wtedy nic się nie wydarzyło. Obiecuję, że opowiem, ale później.

Czyli odłożyli gdzieś kilka milionów? Skąd one pochodzą?

- Z oszczędności.

Zmarszczył czoło. To dość dużo jak na zaskórniaki. Sam nie mógł pomarzyć o odłożeniu nawet części takich pieniędzy.

- Czy to naprawdę możliwe? Czy w grę nie wchodzi przestępstwa podatkowe albo inne machlojki?

- Według Hansa nie.

- Ale sama powiedziałaś, że nie wyrażał się dość jasno o tych pieniądzach?

- Bo też nie musiał w ogóle o nich mówić. Jeszcze parę miesięcy temu należały do jego rodziców i to oni decydowali, co z nimi zrobić.

- A co zrobili?

- Poprosili Hansa, żeby je gdzieś ulokował. Rozważnie, bez większego ryzyka.

Wallander zastanawiał się. Coś mu mówiło, że właśnie ta wiadomość może

mieć duże znaczenie. W czasie całej swojej kariery policyjnej niejednokrotnie przekonał się, że pieniądze bywają przyczyną najgorszych i najbardziej brutalnych przestępstw. Żaden inny motyw nie występował tak często i w tak różnych wariantach.

- Kto zarządzał finansami? Obydwoje czy tylko Håkan?

- Hans.

- To musimy z nim porozmawiać.

- Nie my, tylko ja. Jak czegoś się dowiem, to nie omieszkam ci powiedzieć.

Klara siedziała na trawie i ziewała. Wallander zauważył, że córka dała lekko



znak głową, podniósł więc dziewczynkę i położył ją ostrożnie na huśtawce ogrodowej. Odpowiedziała mu uśmiechem.

- Próbuję sobie wyobrazić, jak trzymałeś mnie w ramionach. Ale to dość trudne.

- Dlaczego?

- Nie wiem. I wcale nie przemawia przeze mnie złośliwość.

Nad polami przelatywała para łabędzi. Oboje podążyli wzrokiem za białymi kreskami i łopotem skrzydeł.

- Czy to prawda? - odezwała się Linda. - Że Louise została zamordowana?

- Śledztwo ciągle jest w toku. Uważamy, że wiele za tym przemawia.

- Ale dlaczego? Przez kogo? Cała ta sprawa z rosyjskimi tajemnicami w torebce. Przecież to jakiś nonsens.

- W torebce miała szwedzkie tajemnice. Przeznaczone dla Rosjan. Słuchaj uważnie, co się do ciebie mówi.

Myślał, że córka się zezłości, skinęła jednak tylko głową na znak, że przyznaje mu rację.

- Pozostaje jednak pytanie - mówił dalej Wallander - gdzie jest Håkan?

- Żywy czy martwy?

- Po śmierci Louise Håkan wydaje mi się coraz bardziej żywy. To wbrew logice, wiem; taka reakcja nie ma żadnego racjonalnego wytłumaczenia. No chyba że będzie nim doświadczenie policyjne, które po tylu latach mam niemałe. Ale nawet tu moje przeżycia nie są jednoznaczne. A mimo to wydaje mi się, że on żyje.

- Czy to on zabił Louise?

- Nic na to nie wskazuje.

- Ale też nic nie zaprzecza?

Wallander skinął w milczeniu głową. Myśli córki znów podążyły tym samym torem co jego.

Pół godziny później wróciła do domu.

Wieczorem Wallander wyszedł z Jussim. Stanął przy

miedzy, żeby się wysikać. W powietrzu unosił się intensywny zapach świeżo skoszonej trawy.

Raptem uświadomił sobie, że przynajmniej co do jednej sprawy ma jasność. Cokolwiek się stało, zaczęło się od Håkana von Enkego. Na nim również kiedyś się to skończy. Louise była zaledwie pośrednim ogniwem. Nawet jeżeli przed chwilą w to wątpił.

Nie wiedział jednak, co to oznacza. Wracał do domu jeszcze bardziej zakłopotany. Jedyнным niezaprzeczalnym faktem było to, że pewnego razu, w lokalu w Djursholmie, stał przed nim niespokojny Håkan von Enke.

Właśnie tam to wszystko się zaczyna, pomyślał Wallander. Zaczyna się od niespokojnego człowieka. Tak musi być. Po prostu: musi.

## 24

„Pewnej lipcowej nocy”.

Wallander siedział z piórem w dłoni. Pomyślał, że wstęp listu, który właśnie zaczął pisać, brzmi jak tytuł kiepskiego szwedzkiego filmu z lat pięćdziesiątych. Albo jakiejś lepszej powieści powstałej kilkadziesiąt lat wcześniej, zapamiętanej z dzieciństwa i należącej do dziadka, który zmarł na długo przed narodzinami Kurta.

Ale opis był adekwatny. Nastął lipiec i trwała noc. Wallander zdążył się położyć, gdy nagle przypomniał sobie, że jego siostra Kristina za kilka dni będzie obchodzić urodziny. Z tej okazji zwykł wysyłać jej list z życzeniami; jedyny list, jaki pisał w ciągu roku. Ponieważ nie czuł zmęczenia, pisanie posłużyło mu za świetny pretekst, żeby wstać z łóżka, a nie przewracać się z boku na bok.

Usiadł przy stole w kuchni z kartką papieru i wiecznym piórem, które podarowała mu Linda, gdy skończył pięćdziesiąt lat. Pierwsze słowa zostawił w niezmienionej formie: „Pewnej lipcowej nocy”. Nie napisał dużo. Kiedy opowiedział o radości, której źródłem jest Klara, poczuł, że wyczerpał temat. Z roku na rok listy stawały się coraz krótsze. Ciekawe, jak to się skończy, pomyślał ponuro.

Przeczytał całość, doszedł do wniosku, że wyszło mu dość marnie, lecz naprawdę nie miał już nic do dodania.

Kontakt z Kristiną, dość intensywny w ostatnich latach życia ojca, urwał się później prawie zupełnie. Spotkali się zaledwie kilka razy, gdy Wallander, będąc w Sztokholmie, przypomniał sobie, by do niej zadzwonić. Byli bardzo różni, a poza tym zachowali zupełnie odmienne wspomnienia z dzieciństwa i zazwyczaj już po krótkiej chwili milki, patrząc na siebie z niedowierzaniem: naprawdę nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia?

Zakleił kopertę i wrócił do łóżka. Przez uchylone okno, z oddali, dochodziły odgłosy jakiegoś przyjęcia z muzyką. Coś zaszeleściło w trawie. Jak dobrze, że wyprowadziłem się z mieszkania na Mariagatan, pomyślał. Tutaj, na wsi, rejestrował dźwięki, których nigdy wcześniej nie słyszał. By nie wspomnieć o odczuwanych tu zapachach.

Leżąc w łóżku, myślał o swojej wieczornej wizycie w komendzie. Nie planował jej wcześniej. Kiedy jednak koło dziewiątej stwierdził, że komputer domowy nie działa, postanowił pojechać do Ystad. Żeby nie natknąć się na dyżurujących kolegów, wszedł do środka przez piwnicę. Wystukał kod w elektronicznym zamku i dotarł do swojego pokoju, nie spotkawszy nikogo po drodze. W którymś z mijanych pomieszczeń trwała rozmowa. Jeden z mężczyzn był zdecydowanie nietrzeźwy. Wallander poczuł ulgę, że nie musi teraz prowadzić takiego przesłuchania.

Zanim poszedł na urlop, dołożył wszelkich starań, by stos papierów pozostawionych na biurku był jak najmniejszy. Teraz biurko wyglądało niemal zachęcająco. Rzucił kurtkę na krzesło dla petentów i włączył komputer. Czekał, aż otworzą się odpowiednie programy, z zamkniętej na klucz szuflady wyjął dwie teczki. Markerem napisał na nich kiedyś imiona Louise i Håkana. Teraz odłożył tę pierwszą i skoncentrował się na drugiej.

Jednocześnie myślał o rozmowie z Lindą, odbytej kilka godzin wcześniej. Zadzwoniła do niego, gdy Klara usnęła, a Hans pojechał do sklepu po pieluchy. Bez zbędnych słów

zdała mu raport z tego, co Hans odpowiedział na pytania o pieniądze rodziców oraz związku matki z byłą NRD i na temat ewentualnych tajemnic, do których jej nie dopuścił. Najpierw poczuł się dotknięty nieufnością Lindy. Trochę czasu zajęło jej przekonanie go, że koniec końców chodzi tylko i wyłącznie o to, by dowiedzieć się, co się stało z jego rodzicami. Mimo wszystko balansowali przecież na granicy czegoś, co mogło być morderstwem. Kiedy Hans zrozumiał jej intencje, uspokoił się i odpowiadał tak szczegółowo, jak tylko potrafił.

Z tylnej kieszeni Wallander wyjął i wyprostował poskładaną kartkę, na której zanotował najważniejsze punkty rozmowy z córką.

Rodzice Hansa zwrócili się do syna z prośbą o osobiste zarządzanie pieniędzmi dopiero wtedy, gdy dostał obecną posiadłość. Suma opiewała na niecałe dwa miliony, które teraz wzrosły do ponad dwóch i pół, i składała się z ich własnych oszczędności oraz z otrzymanego przez Louise spadku. Jakie były proporcje między spuścizną po krewnej matki a zasobami rodziców, o tym Hans nie miał pojęcia. Krewna nazywała się Hanna Edling, zmarła w 1976 roku i była właścicielką ekskluzywnych butików z odzieżą w zachodniej Szwecji. W grę nie wchodziły jakiegokolwiek oszustwa podatkowe, nawet jeżeli Håkan von Enke zżymał się na wprowadzony przez socjaldemokratów - i w jego mniemaniu grabieżczy - podatek od majątku. Teraz, kiedy podatek zniesiono, Hans nie miał możliwości, co wyznał z bólem serca, poinformować ojca o dodatkowych koronach wpływających na jego konto.

- Hans powiedział, że rodzice mieli szczególny stosunek do pieniędzy - wyjaśniła Linda. - „O pieniądzach się nie mówi, pieniądze się posiada”.

- Gdyby to było takie proste - odpowiedział Wallander. - To brzmi jak wyznanie prawdziwych arystokratów.

- Bo oni są arystokracją. Dobrze o tym wiesz i nie musimy temu poświęcać więcej uwagi.

Dwa razy do roku Hans prezentował rodzicom zyski i

ewentualne straty. Sporadycznie Håkan dzwonił do niego z propozycjami atrakcyjnych inwestycji, o których przeczytał w prasie. Ale nie wtrącał się, nie sprawdzał, czy syn słucha jego rad, czy nie. Zainteresowanie Louise lokatą kapitału było jeszcze bardziej nikłe.

Choć w ubiegłym roku niespodziewanie zażądała dla siebie wypłaty dwustu tysięcy koron. Hans bardzo się zdziwił, ponieważ rzadko kiedy życzyli sobie tak dużej sumy. A poza tym wypłat dokonywał zawsze Håkan, gdy na przykład planowali jakiś rejs albo dłuższy pobyt na Lazurowym Wybrzeżu. Zapytał matkę, na co jej potrzebne pieniądze, ale nie odpowiedziała. Kazała mu tylko wykonać polecenie.

- A poza tym nie chciała, żeby wspominał o tym Håkanowi - dodała Linda. - I chyba właśnie to można uznać za coś najbardziej dziwnego. Przecież prędzej czy później Håkan zwróciłby na to uwagę.

- To nie musiały być żadne wielkie tajemnice - odrzekł z powątpiewaniem Wallander. - Może szykowała jakąś niespodziankę?

- Może. Ale Hans powiedział też, że wtedy pierwszy raz w życiu zabrzmiała w jej głosie groźba skierowana do niego.

- Użył właśnie tego słowa? „Groźba”?

- Tak.

- Czy to nie dziwne? To bardzo mocne sformułowanie.

- Jestem przekonana, że Hans niezwykle precyzyjnie dobierał słowa.

Wallander zanotował na kartce wyraz „groźba”. Jeśli tak faktycznie było, to

nagle ujawniało się inne oblicze tej nieustannie uśmiechniętej kobiety.

- A co Hans powiedział o NRD?

Linda na wszelkie sposoby próbowała, podkreśliła to wyraźnie, wzbudzić w nim odpowiednie wspomnienia, lecz on takich wspomnień po prostu nie miał. Oprócz jednego mglistego obrazu z wczesnego dzieciństwa: mama wróciła z Berlina z kilkoma drewnianymi zabawkami. Ale to

wszystko. Hans nie pamiętał, jak długo jej nie było i czy cokolwiek wiedział, dlaczego wyjechała. W tym czasie mieli w domu gospozię i Hans przebywał w towarzystwie Katariny częściej niż z rodzicami.

Håkana odkomenderowano do zadań na morzu, a Louise uczyła niemieckiego w Szkole Francuskiej i jeszcze jakimś innym sztokholmskim liceum. Niewykluczone, że kiedyś w domu mieli na obiedzie gości mówiących po niemiecku. Bardzo niewyraźnie przypominał sobie umundurowanych mężczyzn, którzy śpiewali pijackie piosenki w jakimś obcym języku.

- Jestem pewna - zakończyła Linda. - On naprawdę niczego więcej nie pamięta. Co oznacza, że albo faktycznie nie było nic więcej do zapamiętania, albo że Louise świadomie próbowała ukryć przed nim swoją enerdowską przygodę. Tylko dlaczego miałyby to robić?

- Nie wiem - odparł Wallander. - Wizyty Szwedów w Niemczech Wschodnich nigdy nie były nielegalne. Robiliśmy z nimi interesy jak ze wszystkimi innymi. Natomiast obywatelom NRD nie było łatwo wyjechać do Szwecji. Mur berliński wzniesiono przecież po to, żeby przeszkodzić potencjalnym uciekinierom.

- To działo się w innej, nie mojej epoce. Ja tylko pamiętam burzenie muru, a nie jego budowę.

Na tym rozmowa się skończyła. Gdzieś w oddali otwierały się i zamykały jakieś drzwi. Wallander zaczął metodycznie przeglądać materiały dotyczące zniknięcia von Enkego i pomyślał, że tak naprawdę mógłby wyciągnąć przynajmniej jeden wniosek. Nauczony doświadczeniem wiedział, że jeżeli nie odnaleziono Håkana do tej pory, to wszystko przemawia za jego śmiercią. A mimo to postanowił, że będzie traktował go jako żywego, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

Po chwili odsunął od siebie teczkę i usiadł wygodnie w fotelu. Może on już w tym pozbawionym okien pokoju w Djursholmie wiedział, że wkrótce zniknie? Czy miał nadzieję, że wyczyta coś między wierszami jego

opowieści?

Wyprostował się gwałtownie, ze zniecierpliwieniem. Wciąż wszystko stoi w miejscu, a on przecież chce iść dalej! Zaczął surfować po internecie, nie wiedząc do końca, czego szuka. Przeglądał oficjalne informacje dotyczące marynarki wojennej. Krok po kroku podążał śladami kariery zaginionego komandora porucznika. Przebiegała zwyczajnie, bez spektakularnych awansów. Wiele osób z jego rocznika zrobiło o wiele bardziej błyskotliwe kariery.

Po jakiejś godzinie szperania w sieci Wallander zatrzymał się przy fotografii, która nagle pojawiła się na ekranie. Zrobiono ją podczas przyjęcia w MSZ-ecie dla zagranicznych attache wojskowych. W grupie młodych oficerów stał Håkan von Enke. Patrzył w obiektyw z szerokim, swobodnym uśmiechem. Wallander zastanawiał się nad wymową tego starego zdjęcia. Usiłując dotrzeć do miejsca, w którym będzie widział wyraźniej, pomyślał. Gdzie w końcu się dowiem, kim naprawdę jest ten niespokojny człowiek, którego spotkałem w Djursholmie.

Wzdrygnął się na dźwięk pukania. Drzwi otworzyły się, zanim zdążył odpowiedzieć. Stał w nich Nyberg w błękitnej kurtce i bejsbolówce. Na widok kolegi zatrzymał się w pół kroku.

- Myślałem, że nikogo nie ma - powiedział. - Chodzę i gaszę niepotrzebne lampy. Światło widać przez szparę nad progiem. To pewnie zupełnie bezsensowne, ale przecież nie powinno się marnować energii.

- Dlaczego pukasz, jeśli zakładasz, że pokój jest pusty?

Nyberg ściągnął czapkę i zaczął drapać się po głowie. Ciągle ten sam gest, pomyślał Wallander. Robi go zawsze, gdy jest zakłopotany, odkąd pamiętam. Ciekawe, co ja robię, kiedy jestem zmieszany?

- Nie potrafię ci sensownie odpowiedzieć. Może z przyzwyczajenia? Zanim wchodzimy do środka, pukamy, prawda? A tak z innej beczki, to nie jesteś przypadkiem na urlopie?

- Jestem. Ale zabawiam się szukaniem teściów Lindy.

Nyberg skinął głową. Wallander rozmawiał z nim kilka razy na temat niewyjaśnionych zaginięć. Miał duży szacunek dla jego poglądów, chociaż nie zawsze łatwo się z nim współpracowało. Słynny był jego porywczy temperament. Ostatnimi czasy Wallander nie padał jednak zbyt często ofiarą wybuchów Nyberga. W ich cieniu żyli teraz głównie lekarze sądowi i technicy kryminalni.

Nieoczekiwany gość ciągle stał na progu z czapką w ręce.

- Wiesz, że na Boże Narodzenie przechodzę na emeryturę?

- Nie, nie miałem pojęcia.

- Uważam, że nadszedł czas, żeby powiedzieć: dość!

Ta wiadomość była dla Wallandera prawdziwym zaskoczeniem. Żył chyba w jakimś nieświadomym przekonaniu, że Nyberg zawsze tu będzie pełnił służbę, dzień po dniu, że w słońcu albo w zimnym deszczu będzie grzebał w gliniastej ziemi, szukając śladów na potrzeby kolejnego śledztwa. Kiedyś, w zamierzchłych czasach, Nyberg był żonaty i z całą pewnością miał dzieci, a mimo to postrzegano go jako samotnika w zielonej bejsbolówce, który miewa napady wściekłości, ale jednocześnie cieszy się opinią najzdolniejszego i najbardziej doświadczonego dochodzeniowca.

- I co będziesz robił? - zapytał obojętnie Wallander. - Na tej emeryturze?

- Przeprowadzę się - odparł Nyberg z nagłą wesołością. - Pojadę daleko, daleko stąd.

- Można zapytać dokąd? Do Hiszpanii?

Nyberg wbił w niego wzrok, jakby usłyszał coś wyjątkowo niestosownego. Wallander pomyślał błyskawicznie, że może jednak usłyszy jeden z tych słynnych wybuchów złości.

- A co miałbym robić w Hiszpanii? Pocić się? Wyjadę na północ. Kupiłem stary, piękny, choć trochę zniszczony dom na granicy między Harjedalen a Jamtlandią. Najbliższy sąsiad mieszka dopiero parę kilometrów dalej; gdzie nie spojrzeć: same drzewa.

- Ale przecież jesteś ze Skanii? O ile dobrze pamiętam,



urodziłeś się w Hassleholmie? Co ty tam będziesz robił, w tych nieprzebytych lasach?

- Będę miał spokój. I podobno trochę mniej tam wieje, między drzewami.

- Nie wytrzymasz. Za bardzo jesteś przyzwyczajony do otwartych przestrzeni.

- To moje odwieczne pragnienie - powiedział po prostu Nyberg. - Lasy. Kiedy tam pojechałem i znalazłem tę chałupę, od razu poczułem się w domu. I już. A jak długo ty chcesz tu jeszcze pociągnąć?

Wallander wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Trudno mi sobie wyobrazić życie bez tego pokoju.

- A mnie nie - odparł radośnie Nyberg. - Nauczę się polować i spiszę swoje wspomnienia.

Wallander zdumiał się.

- Chcesz napisać książkę?

- A dlaczego nie? Mam sporo do opowiedzenia. A oprócz tego ludzie interesują się teraz moim zawodem bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Wallander zrozumiał, że Nyberg nie żartuje. I prawdopodobnie, dzięki swojemu uporowi, nie tylko napisze książkę, ale jeszcze ją wyda.

- Będziesz pisał o mnie?

- Tobie się upieczę - odpowiedział wesoło Nyberg. - Ale innym nie. Opowiem o zabawnej praktyce rekrutowania szefów, którzy nie mają bladego pojęcia o zwyczajnej policyjnej robocie. Nie zapomnij zgasić światła, jak będziesz szedł do domu.

Nyberg obrócił się i miał właśnie wyjść, gdy Wallander zatrzymał go w ostatniej chwili. Nie mógł przestać o tym myśleć.

- Kiedy potrzebujesz czasu do namysłu, zawsze drapiesz się po głowie. A co ja robię?

Nyberg wskazał na jego nos.

- Pocierasz skrzydełka nosa. Czasem aż do czerwoności.

Nyberg skinął i zniknął za drzwiami. Wallander pomyślał,

że będzie mu go brakowało. I uświadomił sobie, że on sam też powinien już wkrótce poważnie przemyśleć własną sytuację. Jak długo jeszcze zdoła pracować w zawodzie policjanta? I co będzie później robił? Naturalnie nigdy nie przeprowadzi się do lasu, na samą myśl o tym przeszły mu po plecach ciarki. Nie napisze też żadnych wspomnień. Brakowało mu i cierpliwości, i umiejętności językowych.

Pozostawiwszy swoje pytania bez odpowiedzi, uchylił okno i wrócił do komputera oraz życia zaginionego Håkana. Puszczając wodze wyobraźni, próbował znaleźć inne drogi zdobycia informacji. Czytał o NRD i wschodniemieckich manewrach floty wojennej na południowym Bałtyku, o których opowiadali zarówno Sten Nordlander, jak i Håkan von Enke. Najwięcej czasu poświęcił na incydenty z obcymi okrętami podwodnymi we wczesnych latach osiemdziesiątych.

Od czasu do czasu zapisywał jakieś nazwisko, zdarzenie, refleksję. Nie znalazł jednak w obrazie Håkana ani jednej rysy. Tak jak nie odkrył nic intrygującego o Louise, kiedy zrobił wirtualny wypad do Szkoły Francuskiej. Po prostu niczego tam nie było. Przyszło mu do głowy, że Linda wybrała na teściów wzorcowe egzemplarze prawych mieszczan.

Przynajmniej na pozór.

O wpół do dwunastej zaczął ziewać. Wciąż surfując, znalazł się na kompletnych peryferiach tego, co mogło wzbudzić zainteresowanie. Raptem zatrzymał się i przybliżył twarz do ekranu, na którym widniał artykuł zamieszczony na początku 1987 roku w jednej z popołudniówek. Pewien dociekliwy dziennikarz dotarł do informacji o prywatnym stołecznym lokalu, w którym często bawili się starsi oficerowie marynarki wojennej.

Imprezy były najwyraźniej otoczone tajemnicą, zaledwie garstka miała możliwość wstępu i żaden z oficerów, z którymi reporter próbował porozmawiać, nie chciał się wypowiedzieć. Uczyniła to natomiast jedna z kelnerek,

Fanny Klarström. Opowiedziała o prowadzonych w lokalu okropnych rozmowach, z których ziała nienawiść do Palmego, opowiedziała o aroganckich oficerach i o swojej decyzji odejścia z pracy, ponieważ dłużej już nie mogła wytrzymać. Wśród stałych bywalców lokalu wymieniono między innymi Håkana von Enkego.

Wallander wydrukował dwie strony z artykułem i zdjęciem Fanny Klarström. Ocenił jej ówczesny wiek na jakieś pięćdziesiąt lat, co oznaczało, że ciągle jeszcze może żyć. Notując nazwisko dziennikarza, pomyślał, że w kontekście zaginięcia Håkana natknął się właśnie już na drugi lokal rozrywkowy. Złożył kartki na czworo i schował w tylnej kieszeni spodni.

Pojawiające się od czasu do czasu pogłoski o tajnych stowarzyszeniach, również w niektórych kręgach policyjnych, nie należały do rzadkości. Wallander nigdy jednak nie został zaproszony do któregoś z nich. Jedyne, co mu się kiedyś zdarzyło, to propozycja Rydberga, który dawno, dawno temu rzucił pomysł comiesięcznych obiadów w restauracji na zamku Svaneholm. Nigdy nic z tego nie wyszło.

Wyłączył komputer i opuścił swój pokój. W połowie korytarza zawrócił, by zgasić światło. Wyszedł tą samą drogą, którą przyszedł: przez piwnicę. Ze swojej szafki zabrał do prania kilka brudnych ręczników i koszul.

Na parkingu wciągnął w płuca letnią noc. Jeszcze trochę pożyje. Jeszcze nie zabrakło mu woli życia.

Pojechał do domu, zasnął, śnił niespokojnie o Monie, lecz obudził się wypoczęty. Wstał pospiesznie z łóżka, chcąc jak najlepiej spożytkować tę przepelniającą go niespodziewanie energię. Jeszcze nie wybiła ósma, gdy usiadł przy telefonie z zamiarem odnalezienia dziennikarza, który ponad dwadzieścia lat temu napisał artykuł o tajnych spotkaniach oficerów marynarki.

Po kilku nieudanych próbach w biurze numerów popatrzył zniecierpliwiony na zepsuty komputer i zaczął się

zastanawiać, komu poprzeshkadzać: Lindzie czy Martinssonowi. Wybrał kolegę. Odebrało jedno z wnucząt. Wallander nie zdołał nawiązać sensownej konwersacji z młodą osobą, na szczęście słuchawkę szybko przejął Martinsson.

- Rozmawiałeś właśnie z Astrid. Ma trzy lata, wściekle rude włosy i uwielbia mnie ciągnąć za resztki tego, co mam na głowie.

- Zepsuł mi się komputer. Mógłbym cię prosić o małą przysługę?

- Mogę oddzwonić za parę minut?

Gdy odezwał się po pięciu minutach, dostał od Wallandera nazwisko dziennikarza. Odnalezienie Torbjörna Setterwalla nie zajęło mu dużo czasu.

- Spóźniłeś się o trzy lata - powiedział Martinsson.

- To znaczy?

- To znaczy, że Torbjörn Setterwall zginął. W osobliwym wypadku, w windzie. Miał pięćdziesiąt cztery lata, zostawił żonę i trójkę dzieci. Jak można umrzeć w windzie?

- Może się zerwała. Albo go jakoś przygniotła.

- Nie na wiele ci się zdała moja pomoc.

- Mam jeszcze jedno nazwisko - oznajmił Wallander. - Tym razem to może być trochę trudniejsze. A poza tym istnieje, niestety, ryzyko, że ona też nie żyje.

- Jak się nazywa?

- Fanny Klarström.

- Dziennikarka?

- Kelnerka.

- Zobaczymy. Tak jak mówisz, może być trudniej. Ale ani imię, ani nazwisko nie należą do najbardziej pospolitych.

Wallander czekał, aż Martinsson coś znajdzie. Słyszał, jak stukając w klawiaturę, nuci coś pod nosem. Zazwyczaj ponury kolega jest widocznie w świetnym nastroju, pomyślał. Miejmy nadzieję, że na dłużej.

- Odezwę się za chwilę - powiedział Martinsson. - To trochę potrwa.

Trwało niespełna dwadzieścia minut. Kiedy zadzwonił

ponownie, poinformował Wallandera, że osiemdziesięcioletnia Fanny Klarström mieszka w Markaryd, w Smalandii, i jest właścicielką niewielkiego mieszkania w domu seniora o nazwie Lillgården.

- Jak ty to robisz? - zapytał Wallander. - Jesteś pewien, że to ta osoba?

- Absolutnie pewien.

- Dlaczego?

- Bo z nią przed chwilą rozmawiałem - wyznał Martinsson ku wielkiemu zdumieniu kolegi. - Zadzwoiłem do niej i potwierdziła, że przez prawie pięćdziesiąt lat była kelnerką.

- Nie do wiary. Musisz mi kiedyś wyjaśnić, co takiego robisz, co mnie się nie udaje.

- Zaczynij od [hitta.se](http://hitta.se).

Wallander zapisał adres i numer telefonu Fanny Klarström. Od Martinssona dowiedział się też, że kobieta ma wiekowy i zachrypnięty głos, ale umysł niezmacony.

Po rozmowie wyszedł na dwór. Słońce jaśniało na błękitnym niebie. Kanie pływały się w powietrzu, wypatrując łupu w zagłębieniach między polami. Wallander myślał o tęsknocie Nyberga za gęstym, nieprzebytym lasem. A czego pragnął on sam, oprócz tego, co już posiadał? Niczego, uświadomił sobie. No, może jedynie tego, by w środku zimy móc sobie pozwolić na wyjazd na południe. Jakieś niewielkie mieszkanie w Hiszpanii.

Ale od razu odrzucił tę myśl. Nie czułby się tam dobrze, otoczony obcymi ludźmi i językiem, którego nigdy nie udałoby mu się opanować w wystarczającym stopniu. W ten czy inny sposób Skania stanie się jego stacją końcową. Będzie mieszkał w swoim domu tak długo jak to możliwe. A gdy nadejdzie czas, że przestanie sobie radzić sam, to pozostanie mu tylko żywić nadzieję, że wszystko pójdzie szybko. Bardziej niż czegokolwiek obawiał się bowiem starości będącej tylko i wyłącznie oczekiwaniem na koniec, okresem, w którym normalne życie będzie nieosiągalne.

Podjął decyzję: pojedzie do Markaryd i spotka się z tą

kelnerką. Nie miał pojęcia, czego właściwie oczekuje po rozmowie z nią. Ale nie mógł uwolnić się od ciekawości, którą niewątpliwie wzbudził w nim artykuł znaleziony w sieci. Otworzył swój stary szkolny atlas. Markaryd leżał zaledwie kilka godzin jazdy od niego.

Wyruszył jeszcze tego samego dnia, porozmawiawszy najpierw z Lindą. Słuchała go uważnie. Kiedy skończył, zaproponowała, że z nim pojedzie. Oburzony zapytał, czy zdaje sobie sprawę, na co naraża Klarę, zmuszając ją do kilkugodzinnego siedzenia w samochodzie w jeden z najbardziej upalnych dni lata, bo na taki się zanosilo.

- Hans jest dzisiaj w domu. Może się zająć swoim dzieckiem.

- To oczywiście zupełnie zmienia postać rzeczy.

- Ale ty nie chcesz, żebym z tobą pojechała. Poznają to po twoim głosie.

- Dlaczego tak mówisz?

- Dlatego że to prawda.

To była prawda. Wallander nastawił się na samotną wyprawę na północ, ku smalandzkim lasom. Takie podróże bez towarzystwa dostarczały mu prostych przyjemności. Lubił to uczucie, gdy zostawał za kierownicą sam z własnymi myślami, z wyłączonym radiem i mając możliwość postoju, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota.

Zrozumiał, że Linda go przejrzała.

- Przestaliśmy być przyjaciółmi? - zapytał.

- Nie. Ale czasami jesteś zbyt cudaczny, jak na mój gust.

- Nie wybieramy sobie rodziców. A jeżeli jestem cudaczny, to odziedziczyłem tę cechę po twoim dziadku, który był naprawdę oryginalnym człowiekiem.

- Powodzenia! I daj znać, jak zajedziesz na miejsce. A tak w ogóle, słowo daję, nie poddajesz się!

- A ty się poddajesz?

Zaśmiała się cicho.

- Nigdy. Nie wiem nawet, jak to się pisze.

Wyjechał z domu o jedenastej. Około pierwszej dotarł do

Almhult i w tłumie innych głodomorów zjadł lunch w restauracji Ikei. Długa kolejka do kasy wprawiła go w irytację. Jadł zdecydowanie za szybko i nerwowo. A potem trochę pobłądził i dojechał do celu godzinę później, niż planował. Na stacji benzynowej w Markaryd dowiedział się, jak najprościej dotrzeć do Lillgården. Gdy już na miejscu wysiadł z samochodu, odniósł wrażenie, że znalazł się w Niklasgården. Przebiegło mu przez myśl, że mężczyzna podający się za wujka Signe być może ponownie ją odwiedził. Musi to sprawdzić, kiedy tylko znajdzie chwilę czasu.

Starszy mężczyzna w niebieskim kombinezonie siedział w kucki nad odwróconą do góry nogami kosiarką. Spomiędzy noży wydłubywał patykiem kępki posklejanej trawy. Wallander zapytał o mieszkanie Fanny Klarström. Mężczyzna podniósł się i wyprostował plecy. Mówił niełatwym do zrozumienia dialektem smalandzkim.

- O tam, przy samym końcu, na parterze.

- Jak się ma pani Klarström?

Mężczyzna omiół Wallandera spojrzeniem, w którym była i ciekawość, i podejrziwość.

- Fanny jest stara i zmęczona. A kim pan jest, że pyta?

Wallander wyciągnął legitymację policyjną i momentalnie tego pożałował.

Po co narażać starszą kobietę na ryzyko plotek w związku z wizytą policjanta? Ale już było za późno. Mężczyzna w niebieskim kombinezonie dokładnie studiował plastikową kartę.

- Słyszę, że jest pan ze Skanii. Ystad?

- Jak widać.

- I przyjeżdża aż do Markaryd?

- W zasadzie nie chodzi o żadną sprawę policyjną - powiedział Wallander najżyczliwiej, jak tylko umiał. - To bardziej prywatna wizyta.

- To dobrze. Bo Fanny prawie nikt nigdy nie odwiedza.

Wallander kiwnął głową w kierunku kosiarki.

- Powinien pan używać ochraniaczy na uszy.

- Nie słyszę hałasu. Zniszczyłem sobie słuch jako górnik, jeszcze w młodości.

Wallander wszedł do budynku i podążył korytarzem w lewo. W jednym z

okien zobaczył starca wpatrzonego nieruchomo w jakiś niewidoczny punkt na tyłach zniszczonego domu. Wzdrygnął się. Po chwili stanął przed drzwiami z tabliczką, na której oprócz nazwiska lokatorki jaśniały pastelowe kwiaty.

Przez moment zamierzał stamtąd odejść. Potem nacisnął dzwonek.

## 25

Otworzywszy bezzwłocznie, jak gdyby stała pod drzwiami w oczekiwaniu na Wallandera od setek lat, Fanny Klarström spojrzała na niego z szerokim uśmiechem. Jestem utęsknionym gościem, zdążył pomyśleć, zanim staruszka wepchnęła go do środka i zatrzasnęła drzwi.

Wkroczył w utracony już świat.

Fanny Klarström pachniała tak, jakby ktoś w pobliżu właśnie dorzucił do ogniska olchowego drewna. Wokół niej roznosiła się woń, jaką zapamiętał z dzieciństwa, kiedy przez jakiś czas był skautem. Pewnego razu wyruszył ze swoim zastępem na tak zwany hajk. Rozbili obóz na brzegu jeziora, prawdopodobnie Krageholmssjon, które później Wallander kojarzył z bardzo ponurymi wydarzeniami, i palili tam świeżo ściętą olchą. Ale czy nad skańskimi jeziorami naprawdę rosną olchy? Będzie to musiał kiedyś zbadać.

Fanny Klarström miała starannie ułożone, fiołkowe włosy i delikatny, gustowny makijaż, jak gdyby cały czas gotowa na przyjęcie nieoczekiwanych gości. Uśmiechając się, obnażyła piękne zęby, co wzbudziło w Wallanderze zazdrość. Jego problemy z uzębieniem zaczęły się, kiedy miał zaledwie dwanaście lat, i od tamtej pory prowadził nieustanną walkę z higieną jamy ustnej i dentystami, którzy zawsze mieli mu coś do zarzucenia. Ciągle jeszcze



miał prawie wszystkie trzonowce, ale ostatnio stomatolog ostrzegł go przed skutkami paradontozy, jeszcze raz apelując o skuteczniejsze czyszczenie zębów.

Fanny Klarström w wieku osiemdziesięciu czterech lat miała wszystkie swoje zęby, które na dodatek błyszcząły jak u dwudziestolatki. Nie pytając, kim jest i w jakiej sprawie przychodzi, zaprosiła go do niewielkiego salonu, gdzie ściany pokrywały oprawione w ramki fotografie. W oknach i na półkach stały mniej lub bardziej pnące zadbane rośliny doniczkowe. Tutaj nie ma ani pyłku kurzu, pomyślał Wallander. Tutaj mieszka jak najbardziej żywotny człowiek. Usiadł we wskazanym rogu sofy i przystał na filiżankę kawy.

Podczas gdy kobieta uwijała się w kuchni, Wallander obszedł pokój, przyglądając się fotografiom na ścianach. Znalazł pamiątkę ślubną z 1942 roku: Fanny Klarström razem z wyprężonym na baczność mężczyzną w garniturze i o zaczesanych na mokro włosach. Po chwili zidentyfikował go na innym zdjęciu: ubrany w kombinezon, na statku, sfotografowany od dołu, z nadbrzeża. Wędrując dalej, odkrył, że mieli tylko jedno dziecko. Gdy usłyszał pobrzękiwanie porcelany, znów usiadł na sofie.

Kobieta serwowała pewną ręką, wykazując umiejętności nabyte w ciągu swego długiego życia zawodowego. Nie wylała ani kropli. Usiadła naprzeciw gościa w dość wysłużonym fotelu. Nagle na jej kolanach usadowił się niewidoczny dotąd bury kot. Kawa była mocna, Wallander zakrztusił się i przez chwilę zanosił kaszlem, aż do oczu napłynęły mu łzy. Gdy atak minął, Fanny podała mu serwetkę. Wycierając oczy, zauważył napis „Hotel Billingen”.

- Może zacznę od tego, że wytłumaczę, co mnie do pani sprowadza - powiedział.

- Uprzejmi ludzie są zawsze mile widziani.

Mówiła wyraźnym dialektem sztokholmskim. Wallander zastanawiał się, co sprawiło, że na starość wybrała tak odległe miejsce jak Markaryd.

Położył kopię artykułu na stole nakrytym wyszywanym obrusem. Nawet nie próbowała udawać, że zaczyna czytać; rzuciła tylko okiem na oba zdjęcia. Chyba pamiętała.

Wallander nie chciał przystąpić do rzeczy od razu, z grzeczności okazał zainteresowanie wiszącymi na ścianach fotografiami. Ich właścicielka opowiedziała bez wahania. Streściła swe życie w krótkich słowach.

W 1941 roku Fanny, wówczas Andersson, spotkała młodego marynarza Arnego Klarströma.

- To była wielka i cudowna namiętność - wyznała. - Spotkaliśmy się na statku płynącym z Grona Lund. Gdy wysiadałam przy Slussen, potknęłam się. Pomógł mi się podnieść. Co by się stało, gdybym się nie przewróciła? Słusznie można powiedzieć, że tracąc równowagę, wpadłam prosto w ramiona wielkiej miłości. Która trwała dokładnie dwa lata. Pobraliśmy się, zaszłam w ciążę.

Arne bardzo długo wahał się, czy nie zrezygnować z pływania w konwojach. Łatwo zapomnieć, jak wielu szwedzkich marynarzy zginęło w tamtych latach od wybuchów min, mimo że nie byliśmy bezpośrednio zamieszani w trwającą wojnę. Ale Arne sądził najwyraźniej, że jest nieśmiertelny, a ja nie potrafiłam sobie wyobrazić, że coś mu się może stać.

Gunnar urodził się w styczniu 1943 roku, dwunastego, o wpół do siódmej rano. Arne był wtedy w domu, zobaczył syna jeden jedyny raz. Dziewięć dni później jego statek wpłynął na minę na Morzu Północnym. Nigdy nie odnaleziono ani okrętu, ani załogi.

Zamilkła i przebiegła wzrokiem po oprawionych w ramki fotografiach.

- Zostałam sama - mówiła dalej po chwili - z utraconą namiętnością i maleńkim synem. Próbowałam znaleźć innego mężczyznę. Byłam przecież jeszcze taka młoda. Ale żaden nie mógł się równać z Arnem. On już na zawsze pozostał tym, kim był: moim mężem, nieważne, żywym czy martwym. Nie umiałam go nikim zastąpić.

Nagle zaczęła płakać, bez ceregieli, bezgłośnie. Wallander poczuł, jak wzruszenie ściska mu gardło. Delikatnie podsunął jej serwetkę, którą przed chwilą sama mu wręczyła.

- Czasem tęsknię za kimś, z kim mogłabym popłakać - powiedziała, ciągle ze łzami w oczach. - Może dlatego samotność bywa tak dokuczliwa? I pomyśleć, że muszę zapraszać do domu kompletnie nieznanego mi człowieka, żeby móc się w jego towarzystwie wypłakać!

- A syn? - zapytał ostrożnie Wallander.

- Mieszka w Abisko. Bardzo daleko stąd. Przyjeżdża tu raz do roku, czasami sam, czasami z żoną i dziećmi. Namawia mnie, żebym się tam przeprowadziła. Ale to za daleko na północ, za zimno. Starym kelnerkom puchną nogi i niełatwo im wytrzymać mróz.

- A co syn robi w Abisko?

- Coś z lasami. Myślę, że liczy drzewa.

Wallander był ciekaw, czy Abisko leży daleko od tego lasu, w którym postanowił osiąść Nyberg. Podejrzał, że tak. Czy Abisko nie znajduje się w Lapplandii?

- Ale przyjechała pani na południe, do Markaryd?

- Mieszkałam tu kilka lat jako dziecko, zanim przeprowadziliśmy się do Sztokholmu. Tak naprawdę nigdy nie chciałam stąd wyjeżdżać. Wróciłam tu, żeby udowodnić, że ciągle jeszcze mam w sobie upór. Poza tym tu żyje się taniej. A kelnerka nigdy nie dorobi się majątku.

- Pracowała pani jako kelnerka przez całe życie?

- Tak, przez wszystkie lata. Filiżanki, kieliszki, talerze, tam i z powrotem, nigdy niezatrzymująca się taśma produkcyjna. Restauracje, hotele, kiedyś nawet bankiet noblowski. Pamiętam, że miałam zaszczyt podawać Ernestowi Hemingwayowi. Spojrzał na mnie jeden jedyny raz.

Miałam na końcu języka, że powinien napisać książkę o okrutnym losie, jaki spotkał załogi żaglowców wojennych. Ale oczywiście nic nie powiedziałam. To był chyba rok 1954. Arne w każdym razie nie żył od dawna, Gunnar

stawał się nastolatkiem.

- Czasami podawała pani również w prywatnych lokalach?

- Lubiłam zmiany. A poza tym nie milczałam, gdy restaurator nie zachowywał się tak jak powinien. Protestowałam w imieniu koleżanek, nie tylko w swoim własnym, a to oznaczało, że od czasu do czasu wyrzucano mnie z pracy. W tamtych latach udzielałam się też w związkach zawodowych.

- Porozmawiajmy o tym lokalu rozrywkowym - powiedział Wallander, sądząc, że nadszedł odpowiedni moment.

Wskazał na artykuł. Włożyła okulary zawieszane na szyi, przejrzała tekst i odsunęła go na bok.

- Już panu wyjaśniam - powiedziała ze śmiechem. - Podawanie kolacji tym nieprzyjemnym oficerom bardzo się opłacało. Niezamożna kelnerka jak ja czasami w jeden taki wieczór zarabiała tyle, co normalnie przez cały miesiąc, jak dobrze poszło. Niektórzy, pod koniec już porządnie pijani, rozrzucali wokół siebie setki jak gnój. Mogło się sporo zbierać.

- Gdzie znajdował się ten lokal?

- Na Östermalmie, nie ma tego w artykule? Należał do człowieka, który był wcześniej zamieszany w nazistowski ruch Pera Engdahla. Abstrahując od jego ohydnych poglądów politycznych, miał niezaprzeczalny talent kucharski. Dorobił się niemałych pieniędzy jako prywatny szef kuchni dla wysokich rangą oficerów niemieckich, którzy uciekli do Argentyny. Zarabiał świetnie, podawał jedzenie, jakiego oczekiwano, pokrzykiwał *Heil Hitler* i pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy wrócił do domu, kupił właśnie ten lokal. Wszystko, co panu teraz mówię, usłyszałam z tak zwanego pewnego źródła.

- Czyli od kogo?

Zawahała się.

- Od kilku osób, które opuściły ruch Engdahla.

Wallander domyślił się, że nie do końca zdaje sobie

sprawę z jej przeszłości.

- Czy dobrze zrozumiałem? Zgaduję, że nie była pani zaangażowana tylko i wyłącznie w działalność związkową, ale również polityczną?

- Byłam aktywną komunistką. I w jakiś sposób jestem nią po dziś dzień. Idea solidarnego świata to jedyna rzecz, w którą ciągle jeszcze wierzę. Jedyna polityczna prawda, której nie można podać w wątpliwość, przynajmniej według mnie.

- Czy to miało związek z wyborem miejsca pracy?

- Poproszono mnie o to w partii. Nie bez znaczenia była wiedza, na jakie tematy rozprawiają konserwatywni oficerowie marynarki, kiedy zostają zupełnie sami. Nikt nie przypuszczał, że kelnerka o spuchniętych nogach może notować w pamięci ich rozmowy.

Wallander usiłował zrozumieć znaczenie usłyszanych właśnie informacji.

- Czy istniało ryzyko niewłaściwego wykorzystania tego, czego się pani tam dowiadywała?

Łzy zdążyły obeschnąć, kobieta popatrzyła na niego z rozbawieniem.

- „Niewłaściwego wykorzystania”? Fanny Klarström nigdy nie była szpiegiem, jeżeli o to panu chodzi. Nie rozumiem, dlaczego policjanci zawsze muszą wyrażać się tak zawile? Rozmawiałam z towarzyszami w grupie partyjnej, to wszystko. W ten sam sposób, w jaki inni opowiadali o postawach motorniczych albo ekspedientek. W latach pięćdziesiątych nie tylko prawica miała nas, komunistów, za potencjalnych zdrajców ojczyzny. W tym samym chórze śpiewali też socjaldemokraci. Ale oczywiście nigdy nimi nie byliśmy.

- Zapomnijmy więc o tym pytaniu. Ale jestem policjantem, zadałem je nie bez przyczyny.

- To było ponad pięćdziesiąt lat temu. Cokolwiek wtedy powiedziano i cokolwiek się wtedy zdarzyło, uległo przedawnieniu i nie ma znaczenia.

- Nie do końca - zaproponował Wallander. - Historia to nie

tylko coś, co zostało za nami, ale także to, co ciągle nam towarzyszy.

Nie skomentowała jego wypowiedzi. Nie był pewien, czy rozumiała, co miał na myśli. Ponownie skierował jej uwagę na artykuł leżący na stole. Uświadomił sobie, że Fanny Klarström ma niezrealizowaną potrzebę konwersacji, a to mogło oznaczać nieskończenie długą rozmowę.

Czy jej sytuacja nie unaoczniała mu teraz własnej przyszłości? Postarzały, samotny, chwytą każdego przechodzącego człowieka i zatrzymuje go przy sobie tak długo jak tylko się da?

Kelnerka miała dobrą pamięć. Rozpoznała na brudnoszarym zdjęciu prawie wszystkich umundurowanych mężczyzn. Jej komentarze były ostre jak brzytwa, nierzadko złośliwe. Wallander zrozumiał jednak, że każde słowo znajduje pokrycie w rzeczywistości. Bywał tam na przykład komandor porucznik Sunesson, znany z opowiadania sprośnych historii, które Fanny uważała za „tylko i wyłącznie ordynarne, w żadnym wypadku śmieszne”. Sunesson należał do najbardziej zagorzałych przeciwników Palmego i bez ogródek przedstawiał różne sposoby likwidacji „sowieckiego szpiega”.

- Pamiętam taką potworną sytuację związaną z tym człowiekiem - powiedziała. - Dwa dni po tym, jak Palme został zastrzelony na ulicy, ci oficerowie mieli jedną ze swoich ostatnich zaplanowanych kolacji. Sunesson wstał nagle i wznosił toast za to, że Palme w końcu wykazał się zdrowym rozsądkiem, zszedł z tego świata i że już nie będzie zatruwał życia porządnym obywatelom. Pamiętam te słowa jak dziś. Miałam wtedy wielką ochotę wylać mu coś na głowę. To był okropny wieczór.

Wallander wskazał na Håkana von Enkego.

- A jak zapamiętała pani tego człowieka?

- Jeden z lepszych. Nie pił za dużo, rzadko kiedy się odzywał, najczęściej tylko słuchał. Był też z tych najbardziej

uprzejmych wobec mnie. Dostrzegając mnie, że tak powiem.

- A jeżeli chodzi o nienawiść do Palmego? Strach przed Rosjanami?

- Podzielał je z pozostałymi. Wszyscy naturalnie uważali, że Szwecja powinna wejść do NATO, że to wstyd, że nie jesteśmy dopuszczeni. Oprócz tego wielu z nich było zdania, że Szwecja jak najszybciej powinna zaopatrzyć się w broń jądrową. Gdyby tylko wyposażyc w nią kilka okrętów podwodnych, moglibyśmy w końcu bronić swoich granic na poważnie. Większość rozmów dotyczyła pojedynku między Bogiem a Szatanem.

- Gdzie Szatan pochodził ze wschodu?

- A Bóg Ojciec nazywał się USA. Już w latach pięćdziesiątych mówiło się o tym, że amerykańskie samoloty przelatują nad szwedzkim terytorium, a służby radarowe nie wszczynają alarmu. Widocznie rząd i kierownictwo obrony narodowej doszli do porozumienia i amerykańskim lotnikom było więcej wolno. Nasi kontrolerzy ruchu lotniczego mieli odpowiednie kody, których używali Amerykanie. A później ci ostatni startowali w norweskich bazach i już bez przeszkód lecieli dalej w kierunku ZSRR. Pamiętam, że dyskutowaliśmy o tym z towarzyszami w wielkim wzburzeniu.

- A jak wyglądała sprawa okrętów podwodnych?

- To był oczywiście nieustanny temat rozmów.

- Chodziło o ten, który utknął na mieliźnie pod Karlskroną? I te w Harsfarden?

Jej odpowiedź zaskoczyła go.

- To były przecież dwie różne sprawy!

- Jak to?

- Pod Karlskroną osiadła na mieliźnie jednostka bez wątpienia rosyjska. Ale nie ma żadnych dowodów na to, co kryło się pod powierzchnią w zatoce Harsfarden. I o to też chyba chodziło.

- Co pani ma na myśli?

- Zdarzało się, że oficerowie wznosili toast za tego nieszczęsnego kapitana, jak mu tam było?

- Guszczin.

- Tak, Guszczin. Biedny Gusse, mówiło się. Był tak pijany, że wpłynął okrętem na szwedzkie skały. No więc Szwecja miała w końcu ten rosyjski okręt podwodny, na którym jej tak zależało, prawda? Nie ulegało wątpliwości, że to właśnie Rosjanie bawili się w chowanego na naszych wodach terytorialnych. Ale w wypadku Harsfarden nigdy nie wznoszono toastów za rosyjskich kapitanów. Rozumie pan, o co mi chodzi?

- A więc sądzi pani, że to nie Rosjanie kręcili się po Harsfarden?

- Nie ma prawie żadnych dowodów na potwierdzenie ani jednej, ani drugiej tezy.

Fanny Klarström z ogromnym zaangażowaniem zaczęła opowiadać o tym, o czym Wallander niewiele wiedział. Takie pojęcia jak „zimna wojna” czy „polityka neutralności” nadal stanowiły dla niego zlepek słów bez głębszej treści. Zdawał sobie sprawę, że ma szalenie ograniczoną wiedzę historyczną, nigdy nie próbował temu zaprzeczać. Nigdy nie był też historią szczególnie zainteresowany. Teraz słuchał jednak z ogromną uwagą.

- A więc to Rosja była wrogiem? - zapytał.

- Nikt z wojskowych nie uważał inaczej. Oficerowie rozmawiali ze sobą tak, jakbyśmy już znajdowali się w stanie wojny z Rosjanami. Nikomu nawet nie przeszło przez myśl, że naszej suwerenności równie dobrze mogły zagrażać Stany Zjednoczone.

- Jaki był właściwie cel tych kolacji?

- Chodziło o to, żeby dobrze zjeść i wypić, i ponarzekać na polityków, którzy „zagrażali szwedzkiej suwerenności państwowej”. Zawsze używano właśnie takiego sformułowania. Głównym wrogiem byli socjaldemokraci. Choć wszyscy wiedzieli, że Olof Palme to przekonany socjaldemokrata, w tamtych kręgach z uporem nazywano go „komunistą”.

Fanny Klarström wstała, by nie zważając na protesty Wallandera, zaparzyć więcej kawy. Już teraz czuł pieczenie



w żołądku. Kiedy wróciła, wyjaśnił jej prawdziwy powód swojej wizyty.

- Czy nie pisali o tej zaginionej parze w gazetach? - zapytała, gdy skończył opowiadać.

- Kobieta, Louise, właśnie została odnaleziona pod Sztokholmem. Nie żyje.

- Biedna! Co się stało?

- Prawdopodobnie padła ofiarą morderstwa.

- Dlaczego?

- Na to nie mamy jeszcze odpowiedzi.

- A jej mąż to ten na zdjęciu?

- Håkan von Enke. Jeśli pani jeszcze coś o nim pamięta, chętnie bym się tego dowiedział.

Przeglądała się fotografii w zamyśleniu.

- Trudno mi przypomnieć sobie coś więcej - odezwała się w końcu. - Myślę, że powiedziałam już wszystko, co miałam o nim do powiedzenia. Ale może to też coś o nim mówi? Nie robił wokół siebie szumu, najczęściej siedział w milczeniu, nie należał do tych, którzy najwięcej pili i najwięcej gardłowali. Pamiętam jego niegasnący uśmiech.

Wallander zmarszczył czoło. Czy to możliwe, że coś się jej pomyliło?

- Jest pani pewna, że się uśmiechał? Ja odniosłem wrażenie, że to wyjątkowo poważny człowiek.

- Mogę się mylić. Ale jestem pewna, że nie należał do podżegaczy wojennych.

Wręcz przeciwnie; pamiętam, że był jednym z niewielu, którzy czasami próbowali przemawiać za pokojem. Utkwiło mi to w pamięci, ponieważ się tym interesowałam.

- Czym?

- Pokojem. Należałam do tych, którzy już w latach pięćdziesiątych żądali, by Szwecja zrezygnowała z posiadania broni jądrowej.

- A więc Håkan von Enke mówił o pokoju?

- Tak to pamiętam. Ale to oczywiście było dawno temu.

- Czy nie przypomina sobie pani niczego więcej?

Wallander widział, że Fanny naprawdę wyczerpała pamięć.

Umoczył usta w kawie, starając się jej nie pić. Przegryzł sucharkiem. Wtem poczuł, że wypadła mu plomba. Momentalnie przeszył go promieniujący z zęba ból. Zawinął plombę w papierową serwetkę i schował do kieszeni. Był środek lata, jego dentysta na pewno ma urlop, będzie więc musiał pójść na jakieś pogotowie stomatologiczne.

Z irytacją pomyślał o rozpadającym się ciele, co chwila mu coś odpadało. Kiedy przestaną funkcjonować najważniejsze ogniwa, będzie po wszystkim.

- Ameryka! - wyrwała go z zadumy Fanny. - Wiedziałam, że było coś jeszcze.

Utkwił jej w pamięci epizod, który zapamiętała dość dokładnie, ponieważ wywarł na niej ogromne wrażenie.

- To była jedna z ostatnich kolacji, podczas których obsługiwałam oficerów marynarki. Najwyraźniej zażyczyli sobie, żeby wokół nich uwijały się młodsze damy, w krótkich spódniczkach i o zgrabniejszych nogach. Dla mnie to nie miało żadnego znaczenia, miałam serdecznie dość nadskakiwania tym panom. Spotykali się w pierwszy wtorek każdego miesiąca. To musiało być w 1987 roku, wczesną wiosną. Pamiętam, bo złamałam wtedy palec lewej ręki i przez dłuższy czas nie mogłam pracować.

W tamten wtorek wróciłam właśnie ze zwolnienia, to był marzec. Kawę i alkohol do niej podawano zazwyczaj w mrocznym saloniku ze skórzanymi fotelami i ciemnymi regałami pełnymi książek. Pamiętam tę salkę, bo czytanie zawsze sprawiało mi przyjemność. Któregoś razu przyszłam trochę wcześniej i zanim zaczęliśmy nakrywać do stołu, weszłam tam, by obejrzeć sobie stojące na półkach lektury. Jakież było moje zdziwienie, kiedy odkryłam, że to tylko atrapy, grzbiety książek bez zawartości! Najwyraźniej właściciel lokalu, albo raczej zatrudniony przez niego architekt wnętrz, kupił te fałszywe książki w jakiejś rekwizytorni. Pamiętam, że jeszcze bardziej straciłam szacunek dla tych ludzi.

Poprawiła się w fotelu, jak gdyby potrzebowała wygodniejszej pozycji, by nie stracić wątku.

- Nagle jeden z gości zaczął mówić o szpiegach. Obchodziłam wtedy stoliki z butelką drogiego koniaku. Rozmowy o agentach nie należały do rzadkości, sprawa Wennerströma była popularnym tematem. Kiedy w żyłach zaczynał już krążyć alkohol, wielu bywalców lokalu deklarowało chęć zgładzenia właśnie Wennerströma. Pamiętam admirała, nazywał się chyba von Hartman, który chciał go powoli udusić struną bałałajki.

Niespodziewanie włączył się do rozmowy Håkan von Enke. Zapytał, dlaczego nikt nie przejmuje się ewentualnymi szpiegami ze Stanów Zjednoczonych. Przecież oni też mogą działać w Szwecji. Spotkał się ze zmasowanym protestem kolegów. Dyskusja przerodziła się w potworną kłótnię; wielu oficerów podało w wątpliwość lojalność von Enkego. Naturalnie wszyscy byli solidnie podpicci; oprócz może właśnie Håkana von Enkego, który wzburzył się tak bardzo, że opuścił lokal.

Nigdy się to wcześniej nie zdarzyło, przynajmniej nie za moich czasów. Czy jeszcze tam wrócił, nie mam pojęcia, bo później zatrudniono owe młode, piękne kelnerki. Zapamiętałam to wydarzenie tak dokładnie, ponieważ razem z przyjaciółmi myśleliśmy w podobnych kategoriach.

Jeżeli Rosjanie mieli swoich agentów w Szwecji, a z pewnością mieli, to Amerykanie nie pozostawiali rzecz jasna w tyle. Ale ci oficerowie nie przyjmowali tego do wiadomości. Albo nie dawali po sobie poznać, że biorą to pod uwagę.

Wstała, by dolać swojemu gościowi kawy. Wallander, najgrzeczniej jak potrafił, przykrył filizankę dłonią. Kiedy znowu usiadła, spojrzał na jej spuchnięte, pokryte żyłakami nogi. Wyobraził ją sobie w lokalu, wśród podchmielonych oficerów.

- Tyle pamiętam. Czy to panu jakoś pomoże?

- Z pewnością. Każda informacja może okazać się cenna, każda zwiększa szansę na wyjaśnienie zagadki.

Fanny zdjęła okulary i przyjrzała mu się bacznie.

- Czy on też nie żyje?

- Nie wiemy.

- Czy mógł ją zabić?

- Tego też nie wiemy. Choć oczywiście wszystko jest możliwe.

- Tak to już bywa - westchnęła. - Mężowie zabijają żony. Czasami twierdzą, że później zamierzali popełnić samobójstwo. Ale wielu nie ma na to odwagi.

- Tak - potwierdził Wallander. - To się zdarza dość często. Jak przyjdzie co do czego, to wielu mężczyzn okazuje się tchórzami.

Nagle znów zaczęła płakać, po policzkach płynęły ledwo widoczne łzy. Wallanderowi jeszcze raz ścisnęło się gardło. Samotność nie jest piękna, pomyślał. Ta kobieta siedzi tutaj, wśród milczących fotografii, i tylko samotność dotrzymuje jej towarzystwa.

- Nigdy wcześniej nie zdarzało mi się płakać - powiedziała, wycierając policzki. - Ale on do mnie powraca, mój mąż. Im jestem starsza, tym częściej.

Myślę, że czeka na mnie tam, na dnie, przyciąga do siebie. Niedługo do niego dołączę. Mam wrażenie, że już przeżyłam swoje życie. Ale ono nie daje za wygraną. Stare, zmęczone serce ciągle jeszcze stuka. Po czyjejś jesieni do drzwi wiosna innych zapuka.

- Mówi pani wierszem!

- Wiem - odpowiedziała ze śmiechem. - Ot, stara kobieta w samotnych chwilach wpada w poetycki nastrój.

Wallander podniósł się z sofy i podziękował.

Fanny upierała się, by odprowadzić go do samochodu, mimo że bolały ją nogi, widział to. Mężczyzna z kosiarką gdzieś zniknął.

- Lato niesie z sobą tęsknotę - powiedziała, chwytając go za rękę. - Mój mąż nie żyje od ponad sześćdziesięciu lat. A mimo to czasami strasznie za nim tęsknię, tak jak wtedy gdy się spotkaliśmy, tak jak w ciągu tych kilku wspólnych lat. Czy policjant też może doświadczyć czegoś podobnego?

- Tak, może - odpowiedział Wallander. - Może, jak najbardziej.

Pomachała mu na pożegnanie. Już nigdy więcej jej nie zobaczę, pomyślał. Opuszczając Markaryd, zostawił za sobą nastrój melancholii, ale jedna rzecz nie dawała mu spokoju: komentarz kobiety o mężach, którzy zabijają żony, a później nie mają wystarczająco dużo odwagi, by odebrać sobie życie.

Po spotkaniu z Hermanem Eberem od razu przyszło mu do głowy, że Håkan von Enke mógł zabić Louise. Nie było jednak żadnego motywu, żadnych dowodów, żadnych śladów. Traktował tę myśl jako jedną z wielu możliwości. Ale słowa Fanny Klarström sprawiły, że poczuł się zmuszony powrócić do tej kruchej hipotezy. Jadąc przez smalandzkie lasy, usiłował wyobrazić sobie bieg zdarzeń, w których wyniku Louise została zamordowana przez męża.

Kiedy przyjechał do domu, ciągle nie miał jasności. Zanim zasnął tego wieczoru, długo myślał o Fanny Klarström.

## 26

Ze snu wyrwał go brzęczyk telefonu, który kiedyś należał do ojca. Wallander miał do tego starego aparatu szczególny sentyment i dlatego ocalił go spośród rupieci, z których opróżnił dom w Löderup przed sprzedażą posiadłości. Odczekał kilka sygnałów, ale w końcu wstał z łóżka i podniósł słuchawkę. Dzwoniła jedna z tych nowych dziewczyn w recepcji; pracująca w niej przez długie lata Ebba przeszła na emeryturę i przeprowadziła się z mężem do centrum Malmö, gdzie mieszkały ich dzieci. Wallander nie mógł sobie przypomnieć imienia nowej recepcjonistki, może Anna? Nie był pewien.

- Mam tu kobietę, która prosi o pański adres - powiedziała. - Podam go jej tylko za pana zgodą. Przyjechała z zagranicy.

- Oczywiście. Wszystkie znane mi kobiety przyjeżdżają z zagranicy.

Został przy telefonie i już przy trzecim podejściu udało

mu się znaleźć dentystę, który mógł go przyjąć godzinę później. Wrócił do domu z nową plombą koło dwunastej. Właśnie zastanawiał się, co zjeść na lunch, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

Poznał od razu stojącą przed nim kobietę, choć ona przez te wszystkie lata też się zmieniła. Ale to była ona, Baiba Liepa z Rygi, starsza, trochę bledsza.

- Boże drogi, to ty pytałaś o mój adres?

- Nie chcę ci przeszkadzać.

- Jak mogłabyś mi przeszkadzać?

Przyciągnął ją do siebie, objął i poczuł, że naprawdę wychudła. Od ich burzliwego romansu minęło ponad piętnaście lat, od ostatniej rozmowy - z pewnością ponad dziesięć. Wallander wypił wtedy stanowczo za dużo i zadzwonił do niej w środku nocy. Później rzecz jasna bardzo tego żałował i postanowił, że już nigdy nie będzie szukał z nią kontaktu. Ale teraz na jej widok wezbrały w nim tłumione uczucia.

To była największa namiętność, jakiej dał się porwać w całym swoim życiu. Ich związek pozwolił mu spojrzeć inaczej na nieudane małżeństwo z Moną. Z Baibą oddawał się zmysłowości, o której wcześniej nie miał pojęcia. Wtedy myślał nawet o rozpoczęciu nowego życia. Pragnął się z nią ożenić, lecz ona nie chciała. Nie chciała jeszcze raz wiązać się z policjantem i być może ponownie zostać wdową.

A teraz stali naprzeciw siebie w salonie. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę wróciła, z odległych czasów i przestrzeni.

- Nie sądziłem, że to będzie możliwe - powiedział. - Że znów się spotkamy.

- Nigdy się nie odezwałeś.

- Tak. Nie odezwałem się. Chciałem, żeby to, co się skończyło, było skończone.

Podprowadził ją do sofy i usiadł obok. Nagle tknęło go przecucie, że nie wszystko jest tak jak powinno. Baiba była zbyt blada, zbyt szczupła, może również zbyt powolna i ociężała.

Odgadła jego myśli, zawsze umiała je odgadywać, i chwyciła go za rękę.

- Bardzo chciałam się z tobą spotkać. Myślimy, że ludzie na zawsze znikają z naszego życia. Ale pewnego dnia budzimy się z przeświadczeniem, że wcale nic nie minęło. Nie można całkowicie uwolnić się od osób, które kiedyś dla nas wiele znaczyły.

- Coś sprawiło, że przyjechałaś. Że przyjechałaś w ogóle, i właśnie teraz.

- Napiliabym się chętnie herbaty. Naprawdę ci nie przeszkadzam?

- Mieszka tu ze mną pies. To wszystko.

- Jak się miewa twoja córka?

- Pamiętasz jej imię?

Baiba wyglądała na urażoną. Wallander przypomniał sobie, jak łatwo było ją zranić.

- Naprawdę myślisz, że zapomniałam Lindę?

- Sądziłem tylko, że wszystko, co ma jakikolwiek związek ze mną, zostało wymazane z twojej pamięci.

- Masz jedną cechę, za którą nigdy nie przepadałam. To twoje dramatyzowanie, gdy chodzi o poważne sprawy. Jak można „wymazać” człowieka, którego się kiedyś kochało?

Wallander wstał, by zagotować wodę na herbatę.

- Pójdę z tobą do kuchni - powiedziała, podnosząc się z sofy.

Widząc, ile wysiłku ją to kosztuje, Wallander zrozumiał, że jest chora.

Baiba nalala wody do czajnika i postawiła go na płytce kuchenki, zachowując

się jak u siebie w domu. Wallander wyjął filiżanki odziedziczone po matce; to jedyna pamiątka po niej. Usiedli przy kuchennym stole.

- Ładnie mieszkasz. Pamiętam, że mówiłeś o przeprowadzce na wieś. Ale chyba nigdy ci do końca nie wierzyłam.

- Ja też w to nie wierzyłem. I w to, że sprawię sobie psa.

- Jak ona ma na imię?

- To on. Wabi się Jussi.

Rozmowa wygasła. Wallander spoglądał na Baibę ukradkiem. Wlewające się przez okno jaskrawe słońce podkreślało jej wymizerowane rysy.

- Nigdy nie wyprowadziłam się z Rygi - odezwała się nagle. - Dwa razy udało mi się zamienić mieszkanie na lepsze. Ale myśl o życiu na wsi wydaje mi się prawie nie do zniesienia. Kiedy byłam dzieckiem, ulokowano mnie u dziadków. Te parę lat w biedzie już na zawsze będę kojarzyła z łotewską wsią. Niewykluczone, że dziś to już nieprawdziwy obraz, jednak ja nie potrafię się od niego uwolnić.

- Kiedyś pracowałaś na uniwersytecie. Co robisz teraz?

Nie odpowiedziała od razu, piła niespiesznie herbatę, odsunęła od siebie filiżankę.

- Z wykształcenia jestem właściwie inżynierem - zaczęła. - Zapomniałeś? Kiedy się spotkaliśmy, tłumaczyłam literaturę fachową na potrzeby politechniki. Ale już się tym nie zajmuję. Nie teraz, kiedy jestem chora.

- Co ci dolega?

Odpowiedziała spokojnie, jak gdyby to, co ma do powiedzenia, nie budziło żadnego niepokoju.

- Śmierć. Mam raka. Ale nie chcę teraz o tym mówić. Pozwolisz, że położę się na chwilę, żeby odpocząć? Zażywam środki przeciwbólowe, które są tak silne, że prawie usypiam.

Ruszyła w kierunku sofy, ale Wallander poprowadził ją do sypialni, gdzie parę dni temu zmienił pościel. Wyglądził materac, zanim pomógł jej się położyć. Głowa prawie zniknęła w puszystej poduszce. Baiba uśmiechnęła się, jakby na wspomnienie czegoś.

- Czy nie leżałam parę razy w tym łóżku?

- Masz absolutną rację. Łóżko jest stare.

- No więc zapisuję to sobie w pamięci. A teraz spróbuję się zdrzemnąć. Przez jakąś godzinę. W komendzie powiedzieli mi, że masz urlop.

- Możesz spać, ile chcesz.



Nie był pewien, czy usłyszała ostatnie słowa, czy już usnęła. Dlaczego do mnie przyjechała? Nie podołam jeszcze jednemu nieszczęściu. Mam dość śmierci i tragedii, pijących nałogowo żon i zamordowanych teściowych. Momentalnie pożałował tych myśli, usiadł ostrożnie na skraju łóżka, w nogach, i przyglądał się uważnie Baibie. Wspomnienie wielkiej miłości odżyło w nim z taką siłą, że zaczął drżeć ze wzruszenia. Nie chce, żeby umarła, pomyślał, chce, żeby żyła! Może teraz jest gotowa na ponowny związek z policjantem?

Wyszedł na dwór i usiadł na krześle w ogrodzie. A później wypuścił z wybiegu Jussiego. Na podwórzu stał stary citroen z łotewską rejestracją. Wallander włączył komórkę i zobaczył, że dzwoniła do niego Linda. Ucieszyła się, słysząc jego głos.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że Hans dostał premię. Kilkaset tysięcy koron. To znaczy, że możemy zacząć przebudowę domu.

- A czy naprawdę zasłużył na te pieniądze? - zapytał skwaszony Wallander.

- A dlaczego miałyby nie zasłużyć?

Wallander opowiedział o wizycie Baiiby. Linda słuchała historii kobiety śpiącej teraz w łóżku ojca.

- Widziałam ją na zdjęciu - powiedziała później. - Wspominałeś mi o niej dawno temu. Ale zdaniem mamy ona była tylko łotewską prostytutką.

Wallander nie potrafił opanować wściekłości.

- Twoja matka czasami potrafi być okropnym człowiekiem. A mówienie takich rzeczy to podłość. Baiba ma wiele cech, których brakuje Monie. Kiedy to powiedziała?

- Skąd mam to pamiętać?

- Zaraz do niej zadzwonię i powiem, żeby już nigdy nie próbowała się ze mną kontaktować!

- Czy to naprawdę coś zmieni? Była po prostu zazdrosna. A zazdrosny człowiek mówi różne głupie rzeczy.

Z niechęcią przyznał jej rację i uspokoił się. Powiedział

też w końcu, że Baiba jest chora.

- Przyjechała, żeby się z tobą pożegnać? To strasznie smutne.

- Też tak najpierw pomyślałem. Jej przyjazd ucieszył mnie i zdziwił. Ale już po kilku minutach poczułem się załamany. Wydaje mi się, że ostatnio otacza mnie tylko śmierć i inne nieszczęścia.

- Zawsze były blisko ciebie. To jeden z pierwszych tematów, które poruszaliśmy w szkole policyjnej. Co tak naprawdę czeka nas w przyszłym zawodzie? Ale nie zapomnij, że masz też Klarę.

- Tak, ale ja nie o tym teraz mówię. Mówię o wrażeniu, że starość skrada się do mnie, że wyciąga po mnie pazury. Krąg moich przyjaciół będzie się już tylko przerzedzał. Po śmierci ojca uświadomiłem sobie, że teraz na mnie kolej, rozumiesz, o co mi chodzi? Klara stoi na końcu tej kolejki życia, ja na samym początku.

- Jeżeli do ciebie przyjechała, to dlatego, że coś dla niej znaczysz. I tylko to jest teraz ważne.

- Przyjedź tutaj - zaproponował Wallander. - Chciałbym, żebyś choć raz spotkała kobietę, która jako jedyna coś dla mnie znaczyła.

- Oprócz Mony?

- To rozumie się samo przez się.

Linda zawahała się.

- Mam teraz u siebie przyjaciółkę. Rakel, pamiętasz ją? Pracuje jako policjantka w Malmö. Świetnie się dogaduje z Klarą.

- Nie weźmiesz ze sobą małej?

- Przyjadę niedługo, sama.

O trzeciej wjechała z impetem na podwórze, samochodem zarzuciło przy zakręcie i Linda zahamowała gwałtownie, by nie potrącić Citroëna Baiby. Wallander obawiał się, że córka prowadzi za szybko. A jednocześnie cieszył się za każdym razem, gdy nie przyjeżdżała motocyklem. O czym nie omieszkął jej od czasu do czasu powiedzieć. Reagowała na to zawsze tym samym fuknięciem.

Baiba w tym czasie zdążyła się obudzić, wypić trochę wody i jeszcze jedną filiżankę herbaty. Wallander zobaczył kątem oka, jak robi sobie zastrzyk w udo. Przez moment mignęła mu naga i znów poczuł, jak wzbiera w nim rozpacz po stracie tego, co minęło, co nigdy nie powróci i nigdy nie zostanie przeżyte na nowo.

Spędziła sporo czasu w łazience. Wyszła z niej jakby trochę mniej zmęczona. Gdy witała się z Lindą, Wallander poczuł, że to wydarzenie o wielkiej doniosłości. Widział teraz tę Baibę, którą przed wieloma laty spotkał na Łotwie.

Linda objęła ją, jakby to była najbardziej naturalna rzecz na świecie, i powiedziała, że niezmiernie cieszy się ze spotkania z wielką miłością ojca. Wallander popadł w zakłopotanie, ale jednocześnie nie posiadał się z radości. Gdyby Mona, mimo że ciągle był na nią zły, też tutaj przyszła, gdyby Linda trzymała na ręku Klarę, miałyby przed sobą cztery najważniejsze i w pewien sposób jedyne kobiety swojego życia. Wielki dzień, pomyślał; w środku lata, w samą porę, bo starość zakrada się podstępnie coraz bliżej.

Kiedy Linda zrozumiała, że gość nie dostał jeszcze nic do jedzenia, odesłała ojca do kuchni, by usmażył omlet. Przez otwarte okno Wallander usłyszał śmiech Baiby, co wywołało jeszcze wyraźniejsze wspomnienia. Do oczu napłynęły mu łzy. Pomyślał, że robi się ckliwy. Nigdy wcześniej nie popadał w sentymentalizm, w każdym razie nie na trzeźwo.

Przesunęli się w cień i zjedli w ogrodzie. Wallander przysłuchiwał się uważnie, gdy Linda pytała o Łotwę, na której nigdy nie była. Przez krótką chwilę ponownie tworzymy rodzinę, pomyślał. Wkrótce to się skończy. I powstanie wówczas najtrudniejsza kwestia: co wtedy pozostanie?

Linda spędziła z nimi ponad godzinę. Zanim zaczęła się zbierać do powrotu, pokazała Baibie zdjęcie Klary.

- Chyba będzie podobna do dziadka Kurta - zawyrokowała Łotyszka.

- Niech Bóg broni! - krzyknął Wallander.

- Nie wierz mu - wyjaśniła Linda. - Na niczym mu tak nie zależy, jak na tym, żeby Klara się do niego upodobniła. Do zobaczenia! - dodała, wstając.

Baiba nie odezwała się. Nie rozmawiali o śmierci.

Siedzieli przed domem i ni stąd, ni zowąd zaczęli opowiadać o swoim życiu. Baiba stawiała mnóstwo pytań, Wallander odpowiadał w miarę możliwości. Obydwoje żyli samotnie. Baiba próbowała jakieś dziesięć lat temu odnaleźć się w związku z pewnym lekarzem, ale po pół roku zrezygnowała. Nie miała dzieci. Wallander nigdy nie dowiedział się, czy cierpi z tego powodu.

- Miałam dobre życie - powiedziała z naciskiem. - Gdy w końcu otwarły się granice, mogłam podróżować. Żyłam skromnie, pisałam artykuły do gazet, pracowałam jako konsultantka dla zagranicznych firm, które planowały inwestycje na Łotwie. Zresztą najlepiej płatne okazało się zlecenie ze szwedzkiego banku, który teraz jest największym bankiem w naszym kraju. Dwa razy do roku wyjeżdżałam w dłuższą podróż i teraz wiem o niebo więcej o świecie, w którym żyję, niż wtedy, gdy się spotkaliśmy. Miałam dobre życie. Samotne, ale dobre.

- Budzenie się w pojedynkę zawsze było dla mnie udręką - oznajmił i od razu zaczął się zastanawiać, czy to faktycznie prawda.

Baiba odpowiedziała ze śmiechem.

- Żyłam samotnie, jeśli nie liczyć epizodu z lekarzem, ale to nie znaczy, że zawsze budziłam się sama. Człowiek nie musi żyć w celibacie tylko dlatego, że nie ma stałego partnera.

Wyobrażając sobie obcego mężczyznę u boku Baiby, w jej łóżku, Wallander poczuł ukłucie zazdrości. Lecz oczywiście nic nie powiedział.

Nagle zaczęła mówić o chorobie. Była - jak zwykle, gdy chodziło o poważną sprawę - niezwykle rzeczowa.

- Zaczęło się od niespodziewanego zmęczenia. Dość szybko jednak zrozumiałam, że kryje się za tym coś groźniejszego. Początkowo lekarze nie mogli niczego

znaleźć. Wypalenie, wiek, nikt nie potrafił mi udzielić odpowiedzi, która wydawałaby się prawidłowa. W końcu zamówiłam wizytę u pewnego specjalisty w Bonn; słyszałam o nim, że potrafi rozwiązywać zagadki, z którymi nie poradzili sobie inni lekarze.

Po kilkudniowych badaniach postawił diagnozę. Okazało się, że cierpię na rzadki rodzaj nowotworu wątroby. Wracalam do Rygi z wyrokiem śmierci, jak z niewidocznym stemplem w paszporcie. Przyznaję otwarcie, że wykorzystałam wszystkie możliwe kontakty i dostałam bardzo krótki termin operacji. Ale było już za późno, rak zdążył się rozprzestrzenić.

Kilka tygodni temu dowiedziałam się, że mam też przerzuty w mózgu. Nie minął nawet rok. Nie dożyję Bożego Narodzenia, umrę najprawdopodobniej jesienią. Próbuję wykorzystać pozostały mi czas według własnego uznania. Chciałam zobaczyć jeszcze parę miejsc na świecie, odwiedzić kilka osób. Jesteś jedną z nich, może tą, którą najbardziej chciałam spotkać.

Wallander wybuchnął niepohamowanym płaczem. Chwyliła go za rękę, co jeszcze bardziej pogorszyło sytuację. Wstał i poszedł na tyły domu. Wrócił po dłuższej chwili, już opanowany.

- Nie chcę wnosić do twojego domu smutku. Mam nadzieję, że rozumiesz, dlaczego musiałam tu przyjechać.

- Nigdy nie zapomniałem naszego wspólnego czasu. Często marzyłem o tym, żeby przeżyć go jeszcze raz. Teraz, kiedy tu jesteś, muszę ci zadać jedno pytanie. Czy kiedykolwiek żałowałaś?

- Że nie przystałam na twoją propozycję małżeństwa?

- To pytanie ciągle mnie prześladowuje.

- Nigdy. To była słuszna decyzja wtedy i taką musi pozostać również dzisiaj, po tych wszystkich latach.

Wallander milczał. Rozumiał ją. Dlaczego w ogóle miałyby rozważać związek z zagranicznym policjantem, kiedy właśnie został zamordowany jej mąż, też policjant? Wallander przypomniał sobie, jak usiłował ją przekonać. A

gdyby role się odwróciły? Jak zareagowałby sam? Jakiego by dokonał wyboru?

Długo siedzieli w milczeniu. W końcu Baiba podniosła się, przesunęła dłonią po jego włosach i weszła do domu. Ponieważ widział, że znów dostała bóleści, przypuszczał, że poszła zrobić sobie zastrzyk. Ale gdy po jakimś czasie ciągle nie wracała, poszedł za nią do środka. Usnęła na jego łóżku. Ocknęła się dopiero późnym popołudniem i gdy tylko odzyskała poczucie rzeczywistości, zapytała, czy może przenocować. Na drugi dzień zamierzała popłynąć promem do Polski, by stamtąd pojechać samochodem na Łotwę.

- To przecież straszny kawał drogi! - wyrzucił z siebie zdenerwowany Wallander. - Pojadę z tobą, odwiozę cię do domu. A później wrócę samolotem.

Pokręciła głową, powiedziała, że chce wracać do domu sama, tak jak tutaj przyjechała. Gdy zaczął nalegać, poirytowana niespodziewanie zaczęła na niego krzyczeć. Po chwili raptownie ucichła, a potem poprosiła o wybaczenie.

Wallander usiadł na skraju łóżka i chwycił ją za rękę.

- Wiem, o czym myślisz - rzekła. - Jak długo jeszcze? Kiedy Baiba umrze? Gdybym miała choćby najmniejsze przecucie, że nadeszła pora, nie zatrzymałabym się u ciebie. W ogóle bym nie przyjechała. Ale zostało mi prawdopodobnie jeszcze parę miesięcy. Kiedy poczuję, że zbliża się prawdziwy i nieuchronny koniec, nie będę przedłużała cierpienia. Mam dostęp i do tabletek, i do zastrzyków. Zamierzam umrzeć z butelką szampana przy łóżku. Chcę wznieść toast za to, że mimo wszystko dane mi było przeżyć tę osobliwą przygodę: narodziny, życie i pewnego dnia już tylko ciemność.

- Nie boisz się?

Od razu chciał ugryźć się w język. Jak mógł zadać takie pytanie umierającemu człowiekowi? Ale Baiba absolutnie się tym nie przejęła. Z rozpaczą i zażenowaniem pomyślał, że już wtedy, przed kilkunastu laty, musiała przyzwyczaić się do popełnianych przez niego niezręczności, które jednak rzadko wynikały ze złej woli.

- Nie - odparła. - Nie boję się. Mam za mało czasu. Nie mogę zmarnować go na coś, co tylko pogorszy sytuację.

Wstała z łóżka, by rozejrzeć się po domu. Wtem zatrzymała się przy regale z książkami. Odkryła poświęcony Łotwie album, który kiedyś podarowała Wallanderowi.

- Czy kiedykolwiek do niego zajrzałeś? - zapytała z uśmiechem.

- Wiele razy.

To była prawda.

W późniejszych wspomnieniach ta doba spędzona z Baibą jawiła mu się jako przestrzeń, w której zatrzymały się wszystkie zegary i ustał wszelki ruch. Baiba jadła bardzo mało, przeważnie leżała w łóżku, przykryta tylko prześcieradłem, od czasu do czasu brała zastrzyk i chciała, żeby Wallander ciągle był przy niej.

Leżeli w łóżku, czuwali, trochę rozmawiali, równie często milczeli, gdy Baibie zabrakło sił albo gdy po prostu zasnęła. Kilka razy zdarzyło się zdrzemnąć także Wallanderowi, budził się jednak gwałtownie już po kilku minutach, nieprzyzwyczajony do tak bliskiej obecności innej osoby.

Opowiadała o minionych latach, o zdumiewających przemianach, jakie nastąpiły w jej ojczyźnie.

- Wtedy nic nie wiedzieliśmy - powiedziała. - Pamiętasz radziecką jednostkę Czarnych Beretów, która kilkakrotnie, z niepohamowaną agresją, ostrzelała Rygę? Dzisiaj mogę otwarcie przyznać, że wtedy nie wierzyłam w oderwanie się od Związku Radzieckiego. Wyobrażałam sobie jeszcze brutalniejszy terror.

Najgorsze było to, że nikt nie wiedział, komu można zaufać. Czy moi sąsiedzi mogli zyskać na naszej wolności, czy wręcz przeciwnie, obawiali się jej? Którzy z nich współpracowali ze wszechobecną KGB, jednym wielkim uchem, przed którym nikt nie mógł się ukryć? Dzisiaj wiem, że nie miałam racji, i jestem za to wdzięczna. A jednocześnie nikt nie ma pojęcia, dokąd Łotwa zmierza. Kapitalizm nie rozwiąże problemów socjalizmu czy gospodarki planowej, tak jak demokracja nie rozwiąże

wszystkich kryzysów ekonomicznych. Moim zdaniem żyjemy teraz ponad stan.

- A przecież mówi się cały czas o bałtyckich tygrysach? - rzucił Wallander. - O byłych republikach radzieckich, które rozwijają się tak samo dynamicznie jak słynne kraje azjatyckie?

Pokręciła głową z nasrożoną miną.

- Żyjemy z pożyczonych pieniędzy. Między innymi szwedzkich. Nie uważam się za szczególnie biegłą w ekonomii, ale jestem pewna, że szwedzkie banki udzielają Łotyszom ogromnych pożyczek, nie dbając o wystarczające zabezpieczenia kredytowe. A to się może skończyć tylko w jeden sposób.

- Źle?

- Bardzo źle. Również dla szwedzkich banków.

Wallander pomyślał o wczesnych latach dziewięćdziesiątych, kiedy byli tam razem. Pamiętał strach, który krył się w sercu każdego człowieka. Nadal tak naprawdę nie pojął tego wszystkiego, co wtedy zaszło. Politycznie doniosłe wydarzenia pozornie zmieniły Europę w dramatyczny sposób, zmieniając tym samym układ sił między ZSRR a Stanami Zjednoczonymi.

Zanim Wallander pojechał do Rygi, by pomóc rozwiązać zagadkę dwóch zamordowanych mężczyzn w pontonie, nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, że trzy sąsiadujące ze Szwecją kraje znajdują się pod okupacją obcego mocarstwa. Jak do tego doszło, że tak wielu ludzi z jego pokolenia, urodzonych pod koniec lat czterdziestych, po drugiej wojnie światowej, nigdy naprawdę nie zrozumiało, że zimna wojna też jest wojną, a jej konsekwencją są okupowane i ciemnione narody? W pewnym sensie można było odnieść wrażenie, że w latach sześćdziesiątych daleki Wietnam leżał bliżej szwedzkiej granicy niż kraje nadbałtyckie.

- Nam też trudno to było zrozumieć - powiedziała Baiba późną nocą, gdy pierwszy brzask zaczął barwić niebo. - Za każdym Łotyszem stoi Rosjanin, zwykliśmy mówić. Ale za



każdym Rosjaninem też ktoś stał.

- Kto?

- Także w krajach nadbałtyckich rosyjski sposób myślenia był uzależniony od działań USA.

- A więc za każdym Rosjaninem stał Amerykanin.

- Rzecz jasna, można to tak wyrazić. Ale nikt nie będzie tego wiedział na pewno, dopóki rosyjscy historycy nie zdradzą, co się wówczas naprawdę wydarzyło.

Wtedy, podczas tej ostrożnej rozmowy o czasach, które bezpowrotnie minęły, skończyło się ich niespodziewane spotkanie. Wallander zasnął zaraz po piątej, pamiętał ostatni rzut oka na zegarek. Kiedy obudził się godzinę później, Baiby już nie było. Wybiegł na podwórze, ale jej samochód również zniknął.

Pod kamieniem na stole w ogrodzie zostawiła fotografię. Wallander pamiętał, jak pozowali do niej w maju 1991 roku, pod Pomnikiem Wolności w Rydze. Sfotografował ich przypadkowy przechodzień. Stali bardzo blisko siebie, uśmiechnięci, Baiba z głową opartą na jego ramieniu. Obok zdjęcia położyła kartkę, najprawdopodobniej wyrwaną z kalendarza. Nie było na niej nic więcej, tylko proste, narysowane odręcznie serce.

Wallander pomyślał, że natychmiast musi pojechać do Ystad, na przystań promową. Zdążył usiąść za kierownicą i włączyć silnik, gdy uświadomił sobie, że właśnie tego - ze względu na Baibę - nie powinien robić. Wrócił do sypialni i położył się do łóżka, które ciągle było przesycone jej zapachem.

Czuł się zmęczony i dość szybko zasnął. Pierwsza myśl po przebudzeniu kilka godzin później dotyczyła jej słów: za każdym Rosjaninem też ktoś stał. Miał wrażenie, że Baiba naprowadziła jego myśli w sprawie Håkana i Louise na nowy tor. Za każdym Rosjaninem też ktoś stał.

Kto, pomyślał, stał za nimi? I kto z nich stał za kim? Nie znalazł odpowiedzi, ale uświadomił sobie, że to pytanie

mogło okazać się ważne. Postara się je zapamiętać.

Wyszedł na dwór, wyciągnął drabinę, której zazwyczaj używał kominiarz, i wspiał się na dach z lornetką w ręce. Stamtąd widział wyraźnie biały prom zdążający do Polski. Na pokładzie statku odpływała bezpowrotnie osoba, której zawdzięczał najszcześniejszy i najbardziej intensywny okres w swoim życiu. Przejął go bezgraniczny, bolesny smutek. Przez moment wydało mu się, że sobie z nim nie poradzi.

Ciągle jeszcze siedział na dachu, gdy przyjechała znajoma ciężarówka. Ale mężczyzna zabierający worek z odpadkami nie zwrócił uwagi na Wallandera, który przycupnął koło komina niczym wrona.

## 27

Wallander podążył wzrokiem za odjeżdżającym samochodem. Prom do Polski zniknął w mglistej warstwie chmur, która zbliżała się do lądu. Przerazały go własne myśli. Po długiej bezsennej nocy, właśnie gdy na chwilę się zdrzemnął, Baiba wyjechała. Do Ystad i ku wieczności. O ile wieczność istniała, bo nikt tego nie był pewien. Ale Baiba znajdowała się już bliżej przepaści prowadzącej prosto w nieznane. Powiedziała, że chodzi o kilka miesięcy, nie dłużej.

Nagle zobaczył siebie samego w całej wyrazistości: użalającego się nad sobą, godnego politowania mężczyznę. Siedział teraz na dachu i tak naprawdę liczyło się jedynie to, że to nie on ma umrzeć, tylko Baiba.

W końcu zszedł na dół i zabrał Jussiego na spacer, który tym razem bardziej przypominał ucieczkę. Wreszcie udało się Wallanderowi pogodzić z myślą, że jest tym, kim jest. Zdolnym i nawet dość bystrym policjantem.

Przez całe życie próbował reprezentować siły dobra, a jeżeli mu się to nie udało, nie był w tym osamotniony. Cóż można zrobić więcej, niż tylko nieustannie próbować?

Zachmurzyło się. W oczekiwaniu na deszcz poszedł z

psem polami, które albo właśnie skoszono, albo leżały odłogiem, albo czekały na kombajny. Co pięćdziesiąty krok usiłował myśleć o czymś innym, ale jakoś mu to nie wychodziło. Bawili się w ten sposób z Lindą, kiedy jeszcze była dzieckiem. Ale zabawa stała się czymś poważnym jakiś czas temu, gdy szukał mordercy grupki młodych ludzi, którzy w noc świętojańską odgrywali maskaradę.

Wallander przestraszył się wtedy, że stracił umiejętność odczytywania znaków na miejscu popełnienia przestępstwa, że nie potrafi wykorzystać tych kilku tropów, jakie mimo wszystko były im dane. I wtedy z pomocą przysłała stara zabawa. Wallander dosłownie doszedł do wyjaśnień w różnych fazach śledztwa. A teraz próbował żonglować myślami o sobie samym, o życiu, o odwadze Baiby wobec nieuchronności tego, co ją spotkało, i o tym, że on sam z pewnością takiej odwagi nie ma. Bez pośpiechu maszerował polnymi drogami i niejedną miedzą; spuścił Jussiego ze smyczy.

Spocony z wysiłku, usiadł na chwilę przy niewielkim stawie, gdzie poniewierały się fragmenty zapomnianych, zardzewiałych narzędzi rolniczych. Powąchawszy wodę, Jussi napił się trochę i położył obok. Chmury się przerzedziły, wyglądało na to, że jednak nie będzie padać. Z oddali doszedł go dźwięk jakichś pojazdów na sygnale. Tym razem to tylko wozy strażackie, żadnej karetki ani kolegów, pomyślał.

Zamknął oczy, próbując wyobrazić sobie Baibę. Syreny były coraz bliżej, teraz gdzieś za nim, na drodze prowadzącej do Simrishamn. Odwrócił się. Lornetka, którą miał ze sobą na dachu, ciągle wisiała mu na szyi. Syreny było słyhać już bardzo wyraźnie. Wstał. Czyżby paliło się u sąsiadów? Żeby tylko nie u Hanssonów! Elin jest zupełnie niedołączna, a Runemu trudno poruszać się bez laski. Syreny były tuż-tuż.

Przyłożył lornetkę do oczu i ku swemu przerażeniu ujrzał wozy strażackie skręcające na jego podwórze. Ruszył biegiem w kierunku domu, z Jussim na przedzie. Od czasu

do czasu zatrzymywał się, by spojrzeć przez lornetkę. Za każdym razem spodziewał się widoku płomieni buchających przez dach, na którym jeszcze niedawno siedział, albo kłębow dymu wydobywających się przez rozbite okna. Nic takiego nie zobaczył. Jedynie samochody i strażaków w ruchu, syreny milczały.

Kiedy z walącym sercem zatrzymał się przed domem, zobaczył, jak dowódca jednostki, Peter Edler, głaszcze Jussiego, który przybiegł na miejsce na długo przed swoim panem. Strażak uśmiechnął się surowo na widok zataczającego się ze zmęczenia gospodarza. Razem z kolegami zamierzał właśnie odjechać. Był piegowatym mężczyzną w wieku Wallandera; w jego mowie wyczuwało się lekki dialekt smalandzki. Obaj spotykali się od czasu do czasu w związku z niektórymi dochodzeniami. Wallander miał dla niego ogromny szacunek i cenił jego wyrafinowany humor.

- Jeden z moich chłopaków wiedział, że to ty tutaj mieszkasz - powiedział Edler, ciągle głaszcząc psa.

- Co się stało?

- W zasadzie to ja powinienem cię o to zapytać.

- Pali się?

- Nie wygląda na to. Ale łatwo mogło się zacząć palić.

Wallander spojrzał na strażaka, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Wyszedłem na spacer. Może jakieś trzydzieści minut temu.

Edler skinął w kierunku domu.

- Chodź ze mną.

W środku uderzył ich ostry, niemal żrący odór. Śmierdziało spaloną gumą. Weszli do kuchni. Strażacy otworzyli okno, żeby wywietrzyć. Na jednym z krążków kuchenki stała patelnia, a tuż obok zwęglona podkładka. Edler powąchał żeliwne naczynie, z którego ciągle unosił się lekki dym.

- Jajka sadzone? Kielbasa z ziemniakami?

- Jajka.

- A później wyszedłeś, nie wyłączywszy pod patelnią? A poza tym zostawiłeś obok łatwopalną podkładkę. Do jakiego stopnia lekkomyślny może być inspektor kryminalny?

Edler pokręcił głową. Wyszli na zewnątrz. Strażacy zajęli miejsca w wozach, czekali na dowódcę.

- Nic takiego nie zdarzyło mi się nigdy wcześniej - zapewnił Wallander.

- Najlepiej, żeby nigdy się nie powtórzyło.

Edler rozejrzył się wkoło, sycąc oczy krajobrazem.

- W końcu jednak zamieszkałeś na wsi. Szczerze mówiąc, nigdy nie wierzyłem, że ci się to uda. Masz tu naprawdę piękny widok.

- A ty dalej w tym samym miejscu?

- W tym samym domu, w centrum. Gunnel chce się przeprowadzić za miasto, ale ja się nie zgadzam. Przynajmniej dopóki pracuję.

- To znaczy jak długo?

Edler otrząsnął się. Uderzył w błyszczący kask, który trzymał przy udzie, jak gdyby to była broń.

- Tak długo, jak długo będę mógł albo jak długo mi pozwolą. Trzy, cztery lata.

A co później, nie mam pojęcia. Nie potrafię siedzieć w domu i rozwiązywać krzyżówek.

- Możesz je zacząć konstruować - odparł Wallander, myśląc o Hermanie Eberze.

Edler popatrzył na niego ze zdziwieniem, ale nie dociekał sensu propozycji. Zainteresowała go za to przyszłość Wallandera. Można by sądzić, że oczekiwał równie ponurej wizji.

- Myślę, że jeszcze chyba popracuję kilka lat. A potem też mnie odstawią na boczny tor. Może stworzymy coś wspólnymi siłami? Niewielki zespół, który będzie jeździł po kraju i instruował ludzi, jak zabezpieczyć się przed pożarem i włamaniami? Taką małą firmę „Zbrodnia i Pożoga”.

- Można się zabezpieczyć przed włamaniami?

- Raczej nie. Ale można nauczyć ludzi, jak za pomocą prostych metod sprawić, żeby złodzieje niechętnie zabierali się za niektóre wille i mieszkania.

Edler spojrział na niego z powątpiewaniem.

- Naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

- Staram się. Tyle że złodzieje są jak dzieci. Szybko się uczą.

Edler jeszcze raz pokręcił głową i pozostawiwszy to - ogłędnie mówiąc - kiepskie porównanie bez komentarza, wszedł do samochodu.

- Nie zapominaj o wyłączaniu kuchenki! - zawołał na pożegnanie. - W każdym razie mądrze zainwestowałeś! Bardzo dobrze, że masz detektor dymu podłączony bezpośrednio do nas. To mógł być groźny pożar, cały dom mógł stanąć w płomieniach. A wtedy w środku lata musiałbyś się zmagać z koszmarną dymiącą ruiną.

Wallander nie odpowiedział. To Linda upierała się przy tym rozwiązaniu. Zapłaciła, podarowała pod choinkę i dopilnowała instalacji.

Nakarmił Jussiego i właśnie miał włączyć kosiarkę, gdy na podwórze wjechała Linda. Tym razem nie miała ze sobą Klary. Od razu zauważył, że kipi gniewem. Przypuszczał, że natknęła się na wozy strażackie.

- Co tutaj robiła straż pożarna? - zapytała.

- Zabłądzili - skłamał. - U sąsiadów w stodole zaczął iskrzyć przewód elektryczny.

- W której stodole?

- U Hanssonów.

- Co to za sąsiedzi?

- A po co mam ci to wyjaśniać? Przecież i tak nie wiesz, gdzie mają zagrodę.

W ręce trzymała swój plecaczek. Nagle z całej siły cisnęła nim w ojca. Zdążył

się uchylić i dostał tylko w ramię. Wzburzony podniósł go z ziemi.

- Co ty wyprawiasz?

- I kto by pomyślał, że będę musiała słuchać, jak kłamiesz mi w żywe oczy!

- Nie kłamię.

- Straż pożarna była u ciebie! Zatrzymałam się u sąsiada, rozmawiałam z nim. Widział cię na podwórzu, widział dwa wozy strażackie.

- Zapomniałem wyłączyć kuchenkę.

- Spaleś?

Wskazał na pola, które jeszcze przed chwilą przemierzał. Ciągle czuł ten forsowny marsz w nogach.

- Byłem na spacerze z Jussim.

Bez słowa wyrwała mu z rąk plecaczek i weszła do środka. Wallander zastanawiał się, czy nie wsiąść do samochodu i po prostu nie odjechać. Podejrzewał, że Linda nie od razu przestanie rozwodzić się nad kłamstwem i bezbrzeżną niedbałością ojca. Jej oburzenie niechybnie przyczyni się do tego, że on też się zdenerwuje. Zresztą już czuł się zdenerwowany. Nie miał pojęcia, co Linda nosi w tym swoim plecaczku, ale lekki nie był; ból w ramieniu nie ustawał. Coraz bardziej oburzony uświadomił sobie, że po raz pierwszy użyła wobec niego przemocy fizycznej.

Wyszła z domu.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy parę tygodni temu? W ten dzień, kiedy lało jak z cebra, a ja byłam u ciebie z Klarą?

- Jak mógłbym spamiętać wszystko, o czym mówimy?

- Mówiliśmy o tym, że kiedy Klara tylko trochę podrośnie, będzie mogła tutaj u ciebie mieszkać.

- Porozmawiajmy spokojnie - zaproponował Wallander. - Zainstalowałaś u mnie czujnik dymu. Teraz wiemy, że działa. Dom się nie spalił. Zapomniałem wyłączyć kuchenkę. Czy nigdy ci się to nie zdarzyło?

Odpowiedź padła błyskawicznie.

- Nigdy, odkąd urodziła się Klara.

- Myślę, że mnie też się to nie przytrafiło, jak byłaś mała.

Wybuch gniewu rozszedł się po kościach. Obydwoje byli dobrymi szermierzami, żadne z nich jednak nie miało

wystarczająco dużo siły, by zadać decydujący cios. Linda usiadła na jednym z krzeseł przed domem. Wallander ciągle stał, niepewny, czy córka znów nie wybuchnie złością. Ale w jej oczach malował się teraz raczej lekki niepokój.

- Zrobiłeś się zapominalski?

- Zawsze taki byłem. Do pewnego stopnia, oczywiście. Może lepiej określić to słowem roztargniony?

- Ale bardziej niż kiedyś?

Usiadł, nagle zmęczony swoimi wykrętami i mówieniem nieprawdy.

- Tak mi się wydaje. Czasami znikają całe bloki czasu. Jak topniejący lód.

- Co masz na myśli?

Opowiedział o podróży do Höör. Pomiął jednak historię z autostopowiczką.

- Nagle nie miałem zielonego pojęcia, po co tam przyjechałem. To było tak, jakbym znajdował się w jaskrawo oświetlonym pomieszczeniu, w którym ktoś zgasił światło bez ostrzeżenia. Nie wiem, jak długo siedziałem w ciemności. Jakbym nie zdawał sobie sprawy, kim jestem.

- Czy coś podobnego zdarzyło ci się wcześniej?

- Nie w takim stopniu. Byłem w Malmö u lekarki, specjalistki. Powiedziała, że się przepracowuję. Że ciągle mi się wydaje, że jestem żwawym trzydziestopięciolatkiem i że mam tyle samo sił co kiedyś.

- Nie podoba mi się to. Idź do innego lekarza.

Skinął głową, lecz nic nie powiedział. Linda zniknęła na chwilę w domu i wróciła z dwiema szklankami wody. Wallander zapytał ostrożnie, całkiem a propos, czy policja znalazła tę kobietę z Malmö, która zamordowała swoich rodziców.

- Słyszałam, że złapano ją w Vaxjö. Kierowca, którego poprosiła o podwiezienie, zaczął coś podejrzewać. Zaprosił ją na kawę do przydrożnej restauracji za miastem i zadzwonił na policję. Próbowwała wbić sobie w serce nóż, który miała przy sobie, ale nie udało jej się.



- Czy kiedykolwiek życzyłaś mi śmierci? - zapytał z ulgą, gdy okazało się, że o pomocy, której udzielił uciekającej kobiecie, nikt więcej się nie dowiedział. Martinsson nie puścił pary z ust, tak jak obiecał.

- Oczywiście! - odpowiedziała, wybuchając śmiechem. - Wiele razy. Ostatnio parę minut temu. Miejmy nadzieję, że staruszek nie dożyje totalnego zramolenia, pomyślałam. Wszystkie dzieci od czasu do czasu życzą sobie, żeby ich rodzice umarli. A ile razy ty chciałaś mojej śmierci?

- Nigdy.

- Mam w to wierzyć?

- Tak.

- Pocieszę cię, że Monę chciałam wysłać na tamten świat o wiele częściej. Ale oczywiście z przerażeniem myślę o tym dniu, kiedy was już nie będzie. A tak w ogóle to udało się nam z Hansem przekonać Monę, żeby poddała się leczeniu.

Jussi dostrzegł zającą i zaczął szczeakać. Bez słowa obserwowali, jak usilnie próbuje wydostać się z wybiegu. Zając zniknął i Jussi zamilkł.

- Przyjechałam do ciebie z innego powodu - odezwała się nagle.

- Czy coś się stało Klarze?

- Nie, z małą wszystko w porządku. Hans został z nią dzisiaj w domu. Zmuszam go, żeby poczuwał się do odpowiedzialności. Myślę, że to docenia. Chyba trudno sobie wyobrazić coś bardziej odległego od świata bankowości niż przebywanie w towarzystwie Klary.

- To co się stało?

- Wczoraj pojechałam do Kopenhagi. Razem z dwiema przyjaciółkami. Wieczorem byliśmy na koncercie Madonny, idolki mojej młodości.

Niesamowite przeżycie. Rozstałyśmy się po kolacji. Miałam zarezerwowany pokój w luksusowym hotelu d'Angleterre. Firma Hansa ma tam spory rabat. Ponieważ czułam się w świetnym nastroju i nie chciało mi się spać, poszłam na spacer wzdłuż Straget. Deptak był pełen ludzi, usiadłam na ławce i wtedy go zobaczyłam.

- Kogo?

- Håkana.

Wallander wstrzymał oddech, nie spuszczać oczu z córki. Nie miała wątpliwości, widział to, nie wahała się.

- Jesteś pewna?

- Nie chodzi mi tylko o wygląd, twarz, którą widziałam zaledwie chwilę. Chodzi o sposób poruszania się, podniesione ramiona, krótkie, pospieszne kroki.

- A więc co tak naprawdę zobaczyłaś?

- Usiadłam na ławce przy niewielkim placu na Straget, nie pamiętam, jak się nazywa. Håkan przyszedł od strony Nyhavn i zmierzał w zachodnim kierunku. Kiedy go rozpoznałam, już mnie minął. Najpierw włosy na karku, później jego chód, a na końcu płaszcz.

- Płaszcz?

- Poznałam go.

- Przecież istnieją tysiące podobnych płaszczy?

- Ale prochowiec Håkana jest tylko jeden. Cienki, granatowy, przypominający płaszcze przeciwdeszczowe marynarzy. Nie potrafię go lepiej opisać. Właśnie taki zobaczyłam.

- Co zrobiłaś?

- Pomyśl sam! Koncert Madonny, przyjaciółki, kolacja, letnia noc, ja wolna jak ptak. I nagle w tłumie miga mi Håkan. Siedziałam jak zamurowana, może przez piętnaście sekund. A potem pospieszyłam za nim. Ale było już za późno. Zniknął. Wszędzie roilo się od ludzi, przecznice, taksówek, restauracji.

Przeszłam całym deptakiem aż do ratusza i z powrotem, lecz go nie odnalazłam.

Wallander opróżnił szklanekę. Nawet jeżeli to, co usłyszał, brzmiało nieprawdopodobnie, wiedział, że Linda ma bystre oko i rzadko się myli, gdy chodzi o identyfikowanie ludzi.

- Cofnijmy się o krok - powiedział. - O ile cię dobrze zrozumiałem, Håkan zdążył przejść koło twojej ławki, zanim odkryłaś, że to on. Ale powiedziałaś, że mignęła ci jego twarz. A więc musiał się odwrócić?

- Tak. Obejrzał się przez ramię.

- Dlaczego?

Zmarszczyła czoło.

- Skąd mam to wiedzieć?

- To proste i sensowne pytanie. Spodziewał się kogoś za swoimi plecami? Był niespokojny? Zrobił to zupełnie przypadkowo czy może coś usłyszał? Istnieje mnóstwo możliwych odpowiedzi.

- Sądę, że sprawdzał, czy nikt za nim nie idzie.

- Sądźysz?

- Nie wiem na pewno. Ale tak, sądę, że sprawdzał, czy ktoś nie idzie za nim jak niechciany cień.

- Sprawiał wrażenie niespokojnego? Bał się?

- Nie potrafię powiedzieć.

Wallander zastanowił się nad tym, co usłyszał. Dwa albo trzy pytania pozostawały bez odpowiedzi.

- Czy mógł cię zauważyć?

- Nie.

- Skąd ta pewność?

- Bo spojrzalby w kierunku ławki. A nie spojrzął.

- Opowiedziałas to Hansowi?

- Tak. Strasznie się zdenerwował i powiedział, że musiało mi się przywidzieć.

- Chciałaś się upewnić, czy w tajemnicy nie spotyka się z ojcem?

Potwierdziła w milczeniu skinieniem głowy.

Słońce wślizgnęło się między chmury, z oddali słyhać było nadchodzącą burzę. Weszli do domu. Wallander chciał zatrzymać córkę na lunch, ale musiała już wracać do domu. Właśnie kiedy zbierała się do wyjścia, spadła gwałtowna ulewa. Podwórze momentalnie zamieniło się w koszmarnie błocko. Wallander postanowił, że jeszcze w tym tygodniu zamówi kilka ładunków żwiru, żeby nie musieć po każdej burzy brodzić w błocie.

- Jestem pewna - powtórzyła. - W Kopenhadze widziałam Håkana. Całego i zdrowego.

- Czyli już wiemy. Håkan nie podzielił losu żony. Żyje. To

zmienia postać rzeczy.

Linda skinęła głową. Obydwoje zdawali sobie z tego sprawę - teraz nie mogli wykluczyć możliwości, że to on zamordował Louise. Ale wiedzieli też, że nie powinni się zbytnio spieszyć. Może Håkan ukrywał się z jakiegoś innego, nieznanego jeszcze powodu? Ze strachu? Może przed kimś uciekał? Dlaczego chował się w cieniu?

Stali w milczeniu, pogrążeni w myślach. Deszcz minął tak szybko, jak przyszedł.

- Co robił w Kopenhadze? - zapytał Wallander. - Widzę tylko jedno sensowne wyjaśnienie.

- Żeby spotkać się z Hansem. Tak przypuszczasz, prawda? Może po to, aby rozwiązać ewentualne problemy z pieniędzmi? Ale ja jestem święcie przekonana, że Hans nie kłamie.

- Ja też w to nie wątpię. Tyle że nie musieli skontaktować się wczoraj. Może zrobią to jutro?

- Wtedy Hans mi o tym powie.

- Może - odparł Wallander w zadumie.

- Dlaczego miałyby nie powiedzieć?

- Z lojalnością bywa różnie. A jeżeli ojciec nakaze mu, żeby zachował spotkanie w tajemnicy, również przed tobą? Jeżeli przedstawi mu powód, którego Hans nie będzie w stanie podać w wątpliwość?

- Zauważę, jeśli będzie coś przede mną ukrywał.

- Nauczyłem się jednej rzeczy - powiedział Wallander, stawiając ostrożnie stopę na błotnistej powierzchni. - Że nigdy nie możemy być pewni myśli i wyobrażeń innych ludzi.

- No więc co mam robić?

- Na razie nic nie mów. O nic nie pytaj. Muszę się zastanowić, co to może znaczyć. Ty też. No i oczywiście porozmawiam z Ytterbergiem.

Odprowadził ją do samochodu. Trzymała go za ramię, żeby się nie poślizgnąć.

- Powinieneś coś zrobić z podwórzem. Myślałeś o tym, żeby wysypać je żwirem?

- Właśnie przyszło mi to do głowy - odpowiedział Wallander.

Gdy tylko usiadła za kierownicą, znów zaczęła mówić o Baibie.

- Naprawdę jest tak źle, że niedługo umrze?

- Tak.

- Kiedy odjechała?

- O świcie.

- Jakie to uczucie: spotkać ją po latach?

- Przyjechała, żeby się pożegnać. Ma raka i wkrótce umrze. Myślę, że sama bez mojej pomocy potrafisz się domyślić, jakie to uczucie.

- To musiało być okropne.

Wallander odwrócił się do niej plecami i ukrył za węglem. Nie chciał wybuchnąć płaczem. Nie dlatego, że bał się okazać słabość, ale ze względu na samego siebie. Po prostu nie chciał myśleć o własnej śmierci, ponieważ w gruncie rzeczy to była jedyna rzecz, która go przerażała. Stał tak, dopóki nie usłyszał, jak Linda włącza silnik i odjeżdża. Domyśliła się, że ojciec chce, by zostawić go w spokoju.

Kiedy wszedł do kuchni, usiadł przy stole naprzeciw tego miejsca, w którym zazwyczaj jadał. Myślał o tym, co Linda powiedziała o Håkaniu. Znów wrócili do punktu wyjścia.

Wallander zrobił jedno okrążenie i teraz w jakimś sensie stał ponownie tam, gdzie wszystko się zaczęło.

## 28

Wallander wspiał się po chybotliwej drabinie na strych. Uderzył go zatęchły zapach wilgoci i pleśni. Uświadomił sobie, że któregoś dnia będzie zmuszony zerwać cały dach. Ale jeszcze nie teraz, może za rok, a w najlepszym razie za dwa.

Wiedział mniej więcej, gdzie kiedyś postawił pudełko, którego teraz szukał. Ale chwilowo jego uwagę przykuł karton z logo firmy przewozowej z Helsingborga. W środku znajdował się jego cały zbiór płyt analogowych. Przez

wszystkie lata w mieszkaniu na Mariagatan stał gramofon. Ale kiedy w końcu się zepsuł, Wallander bezskutecznie próbował znaleźć kogoś, kto umiałby go naprawić.

W trakcie porządków związanych z przeprowadzką gramofon trafił na śmietnik, płyty znalazły jednak miejsce na strychu nowego domu. A teraz Wallander siedział na podłodze poddasza i wertował stare longplaye. Każda koperta zawierała wspomnienie, czasami jasne i trwałe, czasami sygnalizowane jedynie przebłyskiem twarzy, zapachu, uczucia.

Jako bardzo młody nastolatek był niemal fanatycznym wielbicielem zespołu *The Spotnicks*. Gdy teraz przeglądał obwoluty ich czterech pierwszych płyt, uświadomił sobie, że ciągle pamięta tytuł każdej piosenki. Rozeszło się w nim echo muzyki i elektrycznych gitar. Znalazł też płytę Mahalii Jackson.

Dostał ją kiedyś od jednego z „jedwabnych jeźdźców”, którzy kupowali obrazy ojca. Ów mężczyzna prawdopodobnie sprawiedliwie dzielił życie kramarza między obrazy i płyty. Pewnego dnia Wallander pomógł mu przenieść płótna do samochodu i w podziękowanie otrzymał album tej wokalistki. Muzyka gospel wywarła wtedy na nim ogromne wrażenie. *Go down, Moses*, wspominał, przywołując obraz swojego pierwszego trzeszczącego adapteru z głośnikami wbudowanymi w wieko.

Nagle w jego ręce znalazła się płyta Edith Piaf. Na czarnobiałej okładce widniała jej twarz w zbliżeniu. Dostał ją od Mony, która nie cierpiała *Sputników* i wolała słuchać takich grup, jak *Streaplery* czy *Sven-Ingvars*, ale przede wszystkim tej drobniutkiej francuskiej piosenkarki. Zarówno Mona, jak i Wallander nie rozumieli ani słowa z tego, co śpiewała, ale jej głos poruszał ich obydwój do głębi.

Za Piaf stała płyta Johna Coltrane'a. Skąd się tu wzięła? Nie mógł sobie przypomnieć. Kiedy wyjął ją z obwoluty odkrył, że jest prawie nieużywana. Mimo wysiłków nie usłyszał w sobie ani jednego dźwięku saksofonu. Płyta

pozostała niema.

Na samym końcu znajdowały się dwa albumy z muzyką operową: *Traviata* i *Rigoletto*. W przeciwieństwie do Coltranea były zupełnie zdarte.

Ciągle siedząc, zaczął się zastanawiać, czy może powinien znieść karton na dół, kupić nowy gramofon i na nowo zacząć słuchać staroci. Ostatecznie jednak przesunął pudło gdzieś na bok. Teraz odtwarzał muzykę z kaset i płyt kompaktowych. Nie potrzebował trzeszczących winylowych krążków. Należały do przeszłości i chyba lepiej, by zostały w mroku poddasza.

Wallander zniósł odnalezione pudełko ze strychu, postawił w kuchni i wyjął z niego pokaźną kupkę klocków lego. Rozrzucił je po całym stole. Kiedyś ów zestaw dostała od niego malutka Linda, a on wygrał go na jakiejś loterii.

Pomysł pochodził od Rydberga. Pewnego wiosennego wieczoru siedzieli razem też w kuchni, to było na kilka lat przed jego śmiercią. Jakiś zamaskowany mężczyzna, wymachując śrutówką o skróconej lufie, dokonał wtedy w Ystad i okolicy kilku napadów. Aby uporządkować wydarzenia i być może odgadnąć ich przebieg, Rydberg przyniósł talię kart i za jej pomocą zobrazował poczynania mężczyzny. Nieznany sprawca był waletem pik. Wallander przekonał się wówczas, jak łatwo można dokonać analizy postępowania przestępcy, jego metod, a nawet sposobu myślenia. Kiedy później sam korzystał z metody Rydberga, zamiast kart używał klocków lego. Ale nigdy się przed nim do tego nie przyznał.

Wybrał małżonków von Enke, różne daty, miejsca i wydarzenia. Strażak w czerwonym kasku przedstawiał Håkana, a dziewczynka, którą Linda swego czasu nazywała Kopciuszką - Louise. Obok położył grupkę maszerujących żołnierzy. Wyobrażali najważniejsze pytania ciągle pozostające bez odpowiedzi. Kto podawał się za wujka Signe von Enke? Dlaczego jej ojciec nagle wyszedł z cienia? Gdzie przebywał do tej pory i dlaczego się

ukrywał?

Przypomniał sobie, że musi zadzwonić do Niklasgården. Już po chwili wiedział, że ostatnio nikt nie złożył wizyty Signe. Ani jej ojciec, ani nieznany wujek.

Wallander siedział z plastikowym klokiem w ręce. Ktoś tu mówi nieprawdę, pomyślał. Ze wszystkich osób, z którymi rozmawiałem o Håkanie i Louise von Enke, któraś kłamie. Albo kłamie, albo fałszuje prawdę, nie mówiąc wszystkiego. Kto? I jeszcze raz: dlaczego?

Zadzwonił telefon. Wallander wstał i wyszedł z nim przed dom. Linda zaczęła bez żadnego wstępu.

- Rozmawiałam z Hansem. Chyba go za bardzo przycisnęłam. Zdenerwował się i wyszedł z domu. Jak wróci, to go przeproszę.

- Mona nigdy tego nie robiła.

- Czego? Nie wychodziła z domu czy nie przeproszała?

- Często wychodziła z domu. To był ostateczny argument na poparcie tego lub owego. Trzaśnięcie drzwiami. Zawsze wracała bez słowa przeproszam.

Linda zaśmiała się. Nerwowo, pomyślał Wallander. Prawdopodobnie pokłócili się o wiele bardziej, ale córka nie chce się przede mną do tego przyznać.

- Według Mony było dokładnie odwrotnie - powiedziała.

- To ty trzaskałeś drzwiami i to ty nie przeproszałeś.

- Sądziłem, że jesteśmy zgodni co do tego, że Mona często zmyśla?

- Ty też mówisz rzeczy niezgodne z prawdą - odparła Linda. - Żadne z moich rodziców nie jest na wskroś uczciwym człowiekiem.

Wallander zezłościł się.

- A ty jesteś? Na wskroś uczciwa?

- Nie. Ale też nigdy nie twierdziłam, że jestem.

- No więc do rzeczy!

- Przeszkadzam ci?

Wallander nie bez satysfakcji postanowił, że skłamie.

- Gotuję obiad.



Momentalnie go przejrzała.

- Na dworze? Przecież słyszę ptaki.

- Grilluję.

- Nie cierpisz grillowania.

- Co ty wiesz o tym, czego nie cierpię, a co lubię? No więc co chciałaś mi powiedzieć?

- Rozmawiałam z Hansem. Zapewnia, że nie kontaktował się z ojcem. Z rachunków należących do rodziny nie zniknęły żadne oszczędności, oprócz tych, które podjęła Louise, zanim zaginęła. Hans przejął teraz całą ich korespondencję. Ani z banku, ani w żaden inny sposób nie podjęto żadnych pieniędzy.

Wallander nagle zdał sobie sprawę, że ta kwestia może być ważniejsza, niż mu się dotychczas wydawało.

- Z czego żył Håkan, odkąd wyszedł z domu? Nagle pojawia się w Kopenhadze. Najwyraźniej pieniądze nie są mu potrzebne, ponieważ ani nie kontaktuje się z synem, ani nie pobiera nic z bankomatu. To może znaczyć, że pomaga mu ktoś inny. Albo że mają konto, o którym Hans nie wie?

- To oczywiście możliwe. Ale Hans dzięki swoim kontaktom w bankach sprawdził to bardzo dokładnie. Niczego nie znalazł. Choć naturalnie istnieje wiele sposobów na ukrycie pieniędzy.

Wallander milczał. Nie miał więcej pytań. Zastanawiał się teraz całkiem poważnie nad tym, czy fakt, że Håkan nie potrzebuje środków do życia, nie jest jakąś wskazówką. Klara zaczęła płakać.

- Muszę kończyć - powiedziała Linda.

- Słyszę. Czyli zapominamy o ewentualnych kontaktach Hansa z ojcem?

- Tak.

Rozmowa dobiegła końca. Wallander odłożył telefon i przeniósł się na huśtawkę ogrodową. Bujał się niespiesznie, odpychał jedną nogą. Oczami wyobraźni zobaczył, jak Håkan von Enke przemierza Straget. Idzie szybko, od czasu do czasu zatrzymuje się i ogląda za siebie,

po chwili rusza dalej. Wtem znika w jakiejś przecznicy albo w tłumie wypełniającym deptak.

Wallander wzdrygnął się i ocknął z zamyślenia. Zaczęło padać, krople deszczu łaskotały jego gołą stopę na ziemi. Podniósł się i wszedł do domu. Zamknął drzwi i przez moment stał bez ruchu. Jakby nagle ujrzał przed sobą cały kontekst, wciąż trochę mglisty, ale teraz rozjaśniony przecuciem. Jakby dostrzegął, gdzie przebywa Håkan.

Kryjówka, pomyślał. Znikając, von Enke doskonale wiedział, co ma robić. Ze spaceru w centrum miasta udał się w miejsce, gdzie nikt go nie będzie mógł odnaleźć. Wallander nabrał teraz przekonania, że Louise nie czuła się przygotowana na zniknięcie męża, że jej niepokój był prawdziwy. Za dowód nie służyły mu żadne nowe fakty, jedynie owo niezachwiane przeświadczenie.

Szedł do kuchni powoli, jak gdyby obawiając się, że po drodze umkną mu te ważne myśli. Pod stopami czuł chłód kamiennej posadzki. Klocki lego leżały nieruszone. Wallander usiadł przy stole. Kryjówka, pomyślał jeszcze raz. Wszystko zaplanowane, świetnie zorganizowane; kapitan okrętu podwodnego potrafi zaaranżować swoje życie w najdrobniejszych szczegółach. Spróbował wyobrazić sobie tę kryjówkę Håkana. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że tak naprawdę wie, gdzie ona jest, że był w jej pobliżu, tylko nie zwrócił na nią uwagi.

Pochylił się nad stołem i ustawił rząd figurek lego. Każda wyobrażała osobę, która miała do czynienia z Håkanem i Louise: Stena Nordlandera, Signe, Stevena Atkinsa przed domem w San Diego. Ale również ludzi znajdujących się bardziej na peryferiach. Przyglądając się plastikowym postaciom, zastanawiał się, kto mógł Håkanowi udzielić pomocy, kto zatroszczył się o wszystko, co niezbędne, z pieniędzmi włącznie.

Właśnie tego szukam, pomyślał Wallander. Kryjówki. Ciekawe, czy Ytterberg rozumuje podobnie, czy może bawi się innymi klockami? Wystukał jego numer. Deszcz

zamienił się w ulewę, ciężkie krople bębniły o zewnętrzne parapety. Zasięg był dość kiepski, Ytterberg znajdował się gdzieś na dworze.

- Siedzę w ogródku restauracyjnym, właśnie płacę rachunek. Zadzwoń za chwilę, dobrze?

Oddzwonił po dwudziestu minutach, już ze swojego biura na Bergsgatan.

- Należę do tych, którzy nie mają problemów z powrotem do roboty - odpowiedział na pytanie Wallandera, jak mu się pracuje po urlopie.

- U mnie jest zupełnie inaczej. Koniec urlopu oznacza powrót do biurka, które inni zasłali papierami, dołączając do nich wesołe karteczki z informacją o swoich planowanych wyjazdach.

Zaczął od relacji ze spotkania z Hermanem Eberem; sztokholmski kolega słuchał uważnie, zadawał wiele pytań. Następnie opowiedział o pojawieniu się Håkana. Zdał dokładny raport z tego, co usłyszał od Lindy, i - o ile to możliwe - jeszcze bardziej utwierdził się w przekonaniu, że nie mogła się mylić.

Na pytanie Ytterberga odparł więc bez wahania.

- Nie, nie mogła się pomylić. Ale rozumiem, że pytasz. To osobliwy zbieg okoliczności.

- Nie ma więc cienia wątpliwości, że to on?

- Nie ma. Znam swoją córkę. Jeżeli mówi, że to Håkan, to na pewno był on. Żaden sobowtór, żaden mężczyzna podobny do niego, tylko właśnie Håkan von Enke.

- A co mówi zięć?

- Ojciec nie pojawił się w Kopenhadze, żeby się z nim spotkać. Nie mamy powodów, żeby mu nie wierzyć.

- Ale czy to prawdopodobne, że von Enke nie chciał się skontaktować z synem?

- Nie potrafię rozstrzygnąć, co jest prawdopodobne, a co nie. Lecz nie sądzę, żeby Hans był na tyle głupi, by próbować oszukać Lindę.

- Oszukać swoją partnerkę czy oszukać twoją córkę?

- Przede wszystkim kobietę, z którą ma dziecko. Jeśli to

w ogóle jest jakaś różnica.

Roztrząsali jeszcze przez chwilę kwestię pojawienia się von Enkego. Dla Ytterberga oznaczało to jedno: trzeba rozważyć, w jaki sposób Håkan mógłby mieć coś wspólnego ze śmiercią Louise.

- Nie wiem jak ty - powiedział - ale w głębi duszy myślałem, że on też nie żyje. Przynajmniej odkąd znaleźliśmy jego żonę w Värmdö.

- Ja się cały czas wahałem. Ale gdybym był odpowiedzialny za dochodzenie, prawdopodobnie rozumowałbym podobnie.

W końcu Wallander w skrócie, lecz szczegółowo przedstawił swoje przemyślenia na temat kryjówki von Enkego.

- Tajne dokumenty - odezwał się Ytterberg - które znaleźliśmy w torebce Louise, skłaniają do następujących wniosków: ponieważ Håkan się ukrywa, można sobie pozwolić na stwierdzenie, że on też jest w to zamieszany, że pracowali razem.

- Jako szpieczy?

- W takim razie nie byłiby pierwszym małżeństwem w tym kraju. Nawet jeżeli bezpośrednio wplątana jest najprawdopodobniej tylko jedna osoba.

- Myślisz o Stigu Berglingu i jego żonie?

- A są jacyś inni?

Od czasu do czasu Ytterberg przyjmował arogancki ton, którego Wallander normalnie nie tolerował. Takie ironiczne odpowiedzi kolegów z komendy w Ystad strasznie by go zirytowały. Teraz jednak nie zareagował. Ytterberg najwyraźniej nie był świadomy tonu swojego głosu.

- Czy wiemy już coś o zawartości mikrofilmów? Armia, przemysł zbrojeniowy, polityka zagraniczna?

- Nic. Ale odnoszę wrażenie, że nasi tajni koledzy są zaniepokojeni. Zażądali od nas calusieńkiej dokumentacji tego mizernego dochodzenia. A na jutro dostałem wezwanie na rozmowę z komandorem porucznikiem

Holmem, który ponoć odgrywa dość ważną rolę w wywiadzie wojskowym.

- Chętnie bym się później dowiedział, o co cię pytał.

- To rzeczywiście dobry sposób, żeby się zorientować, co rozmówca już wie. Innymi słowy, chodzi ci o pytania, których nie zada?

- Tak, właśnie o to.

- Odezwę się.

Na koniec wymienili kilka uwag o pogodzie. Wallander zawałał się, zanim zgarnął wszystkie klocki lego do pudełka. Postanowił, że przez resztę dnia da odpocząć myślom o Håkanie i jego nieżyjącej żonie. Mimo wszystko miał coś w rodzaju urlopu. Zrobił listę zakupów, wsiadł do samochodu i ruszył do Ystad. Właśnie kiedy chciał zapłacić w kasie, odkrył, że nie wziął ze sobą portfela. Zostawił więc zakupy w sklepie, podszedł do komendy i pożyczył pięćset koron od Nyberga, który akurat pojawił się na korytarzu. Miał obandażowaną głowę.

- Co ci się stało?

- Wywróciłem się na rowerze.

- Nie jeździsz w kasku?

- Niestety nie.

Zrozumiawszy, że Nyberg nie ma ochoty na dalszą konwersację, Wallander zapewnił go tylko, że odda pieniądze następnego dnia, wrócił do sklepu, a potem pojechał do domu. Wieczorem obejrzał film dokumentalny o rosnącej na całym świecie górze śmieci i położył się wyjątkowo wcześnie, bo już o jedenastej. Zanim usnął pół godziny później, zdążył jeszcze przejrzeć gazetę. Wyrwał go ze snu krzyk jakiegoś nocnego ptaka, może sowy, ale tylko na moment.

Ciągle go pamiętał, gdy obudził się o szóstej rano. Wstał od razu, wyspany i wypoczęty. Nad polami unosiła się mgła. Przez okno sypialni widział Jussiego, jak siedzi

nieruchomo za ogrodzeniem ze wzrokiem utkwionym gdzieś w oddali.

Kiedy był młody, nawet przez myśl mu nie przeszło, że właśnie tak będzie pędził życie po sześćdziesiątce. Że stojąc rano przy oknie, będzie podziwiał zamglone skańskie równiny, we własnym domu, mając psa i córkę, która niedawno urodziła pierwszą wnuczkę. Ogarnięty melancholią ruszył do łazienki, gdzie poranny prysznic pomógł mu otrząsnąć się z zadumy i lekkiego smutku.

Zanim po śniadaniu wyszedł z Jussim na spacer, sprawdził dokładnie wszystkie płytki na kuchence. Pies zniknął momentalnie w poszarpanych obłokach mgły. Wallander czuł wyjątkową jasność umysłu i radość życia, nic nie wydawało mu się szczególnie trudne. Nagle zaczął biec wzdłuż polnej drogi, rzucając wyzwanie ogarniającej go przez ostatnie miesiące gnuśności. Biegł, dopóki nie poczuł się kompletnie wyczerpany. Słońce przygrzewało coraz mocniej, ściągnął więc przepoconą koszulę, z niesmakiem spojrzął na zbyt wydatny brzuch i postanowił, jak wiele razy wcześniej, że zacznie się odchudzać.

W drodze powrotnej usłyszał sygnał komórki. Ktoś odezwał się do niego w obcym języku, jakiś kobiecy głos, ale bardzo odległy, prawie niesłyszalny w potężnym szumie eteru. Zaledwie po kilku sekundach połączenie się urwało. Pomyślał, że to mogła być Baiba. Wydawało mu się nawet, że mimo zakłóceń rozpoznał jej głos. Telefon nie zadzwonił ponownie, Wallander ruszył więc do domu. Potem usiadł w ogrodzie z filiżanką kawy.

Zapowiadał się piękny lipcowy dzień. Wallander postanowił pojechać na wycieczkę i w zupełnym odosobnieniu zażyć drobnych przyjemności: zwinąć się w kłębek gdzieś między wydmami i zdrzemnąć na chwilę po jedzeniu. Wyciągnął stary koszyk, pozostałość z czasów dzieciństwa. Mama przechowywała w nim kiedyś kłęбки wełny, druty i rozpoczęte robótki. Teraz Wallander włożył do niego kanapki, termos, dwa jabłka i kilka

nieprzeczytanych numerów „Szwedzkiego Policjanta”.

Nie wybiła jeszcze jedenasta, gdy sprawdziwszy ponownie kuchenkę, zamknął drzwi na klucz. Pojechał do Sandhammaren, gdzie wśród wydm i niewysokich drzew znalazł samotne i zaciszne miejsce. Posilił się, przejrzał gazety i owinął kocem. Dość szybko zmorzył go sen.

Obudził się zziębnięty. Słońce zaszło za chmury, w powietrzu czuło się chłód, koc leżał obok. Wallander otulił się nim dokładnie raz jeszcze, pod głowę położył zwiniętą kurtkę. Po chwili znów wyszło słońce. Wtem przypomniał sobie sen sprzed lat, który od czasu do czasu powracał, by w końcu zniknąć równie szybko, jak się pojawiał. W tym śnie oddawał się erotycznym igraszkom z czarną kobietą bez twarzy.

Abstrahując od potwornego incydentu podczas urlopu na Karaibach, gdzie kiedyś upił się tak bardzo, że zaprosił do hotelu prostytutkę, nigdy nie był w związku z ciemnoskórą kobietą. Nigdy też specjalnie za niczym takim nie tęsknił. Kobieta ze snu pojawiała się w jego głowie bez zapowiedzi, by po kilku miesiącach zniknąć ponownie.

Znad horyzontu nadciągała burza. Wallander zebrał rzeczy i wrócił do samochodu. Mijając Kåseberg<sup>^</sup> skręcił do portu, gdzie kupił wędzoną rybę. W chwili gdy wszedł do domu, zadzwieczał telefon. Dzwoniła ta sama osoba co przed południem. Tym razem słyszalność była o wiele lepsza i Wallander momentalnie zrozumiał, że to nie Baiba. Kobieta mówiła kiepską angielszczyzną.

- Kurt Wallander?

- Tak, to ja.

- Mam na imię Lilja. Wie pan, kim jestem?

- Nie.

Ni stąd, ni zowąd kobieta zaczęła płakać. Krzyczała rozpaczliwie prosto w jego ucho. Wallander przeraził się.

- Baiba! - wyrzuciła z siebie. - Baiba!

- Tak, co z nią? Znam Baibę.

- Nie żyje!

Torba z Kåsebergi wypadła mu z ręki i runęła na

podłogę.

- Naprawdę nie żyje? Była tutaj dwa dni temu.

- Wiem. Była moją przyjaciółką. A teraz nie żyje.

Wallander czuł, jak łomocze mu serce. Usiadł na stołku przy drzwiach. Ze wzburzonej i nie do końca składowej relacji Lilji zrozumiał później przebieg zdarzeń. Zaledwie kilkadziesiąt kilometrów przed Rygą Baiba z dużą prędkością wypadła z drogi, uderzyła z całej siły w mur, rozbijając i samochód, i siebie samą. Zmarła na miejscu. Lilja powtarzała to raz za razem, jak gdyby chcąc uchronić Wallandera przed boleścią bez dna. Ale na próżno: wzbierająca w nim rozpacz była bezgraniczna.

Nagle rozmowa znów się przerwała, zupełnie niespodziewanie. Wallander nie zdążył zapisać numeru telefonu Lilji. Siedząc na stołku w przedpokoju, czekał na ponowny sygnał. Kiedy zrozumiał, że widocznie nie tak łatwo się do niego dodzwonić, poszedł do kuchni. Torba z wędzoną rybą ciągle leżała na podłodze. Zupełnie nie wiedział, co ma zrobić.

Zapalił świeczkę i postawił na stole. Musiała jechać bez przerwy, pomyślał. Od portu w Świnoujściu, dokąd przyплыnęła promem, przez Polskę, Litwę i prawie do samej Rygi. Zasnęła za kierownicą? Czy świadomie zjechała z szosy, prosto w śmierć? Wiedział, że wypadki samochodowe samotnych kierowców często są zakamuflowanymi samobójstwami.

Kiedyś pracowała u nich w administracji kobieta w średnim wieku, po rozwodzie, z problemami alkoholowymi. Kilka lat temu wybrała właśnie ten sposób. A jednak nie sądził, żeby Baiba zrobiła to świadomie. Skoro wyruszyła w podróż, by pożegnać się z przyjaciółmi i kochankami, to chyba nie chciała zakończyć życia w zaaranżowanym wypadku. Nie potrafił sobie wyobrazić innego wyjaśnienia niż to, że opanowana sennością straciła panowanie nad kierownicą.

Chciał zadzwonić do Lindy. Nie potrafił sam poradzić sobie z tym, co się stało. W pewnych sytuacjach po prostu



musiał mieć kogoś przy sobie. Wybrał numer, ale przerwał połączenie, gdy pierwsze sygnały dotarły do córki. Za wcześniej, przecież nie ma jej jeszcze nic do powiedzenia. Rzucił komórkę na sofę, wyszedł do Jussiego, wypuścił go z wybiegu i siedząc przy nim, nie przestawał go głaskać. Gdy znowu zadzwieczał telefon, rzucił się biegiem do domu. Tym razem Lilja była spokojniejsza. Opanowanym głosem udzielała odpowiedzi, z których Wallander mógł teraz odtworzyć przebieg zdarzeń. Jedna rzecz nie dawała mu jednak spokoju.

- Dlaczego pani do mnie dzwoni? Skąd pani o mnie wie?

- Baiba mnie prosiła.

- Prosiła o co?

- Żeby zadzwonić do pana po jej śmierci. Ale oczywiście nie sądziłam, że to nastąpi tak szybko. Baiba myślała, że może nawet dożyje Bożego Narodzenia.

- Mnie mówiła o jesieni.

- Różnym ludziom mówiła różne rzeczy. Myślę, że chciała nas wszystkich pozostawić w niepewności, w jakiej sama trwała.

Lilja wyjaśniła też, kim jest: długoletnią przyjaciółką Baiby i jej koleżanką z pracy. Znały się od kilkudziesięciu lat.

- Wiedziałam o panu. Pewnego dnia Baiba zadzwoniła do mnie i powiedziała: „Przyjechał do Rygi, ten mój szwedzki przyjaciel. Po południu wezmę go do kawiarni w hotelu Latvia. Przyjdź tam, to go zobaczysz”. Przyszłam, zobaczyłam.

- Myślę, że Baiba kiedyś o pani wspominała. Ale chyba nigdy się nie spotkaliśmy?

- Nie, nigdy. Ale widziałam pana. Baiba zawsze bardzo pana lubiła, a wtedy... tak, wtedy pana kochała.

Znów wybuchnęła płaczem. Wallander czekał. Gdzieś w oddali przetaczała się burza. Słyszał, jak Lilja kaszle i wyciera nos.

- A co teraz będzie? - zapytał, kiedy wróciła.

- Nie wiem.

- A jej najbliżsi?  
- Została matka i rodzeństwo.  
- Jeżeli jej matka żyje, to musi być bardzo sędziwa? Nie przypominam sobie, żeby Baiba o niej wspominała.  
- Ma dziewięćdziesiąt pięć lat i jasny umysł. Rozumie, że jej córka nie żyje. Ich relacje od samego początku były dość skomplikowane.  
- Chciałbym wiedzieć, kiedy będzie pogrzeb.  
- Obiecuję, że do pana zadzwonię.  
- A co mówiła o mnie? - zapytał na koniec.  
- Niewiele.  
- Ale coś musiała powiedzieć?  
- Tak. Ale niedużo. Mimo że się przyjaźniłyśmy. Rzadko kiedy dopuszczala innych do siebie tak naprawdę.  
- Wiem - odparł. - Też ją znałem, chociaż oczywiście w zupełnie inny sposób niż pani.  
Położył się na łóżku i wbił oczy w sufit, gdzie jakiś miesiąc wcześniej pojawiła się wilgotna plama. Leżał tak bardzo długo, potem w końcu wrócił do kuchni.  
Po ósmej zadzwonił do Lindy i opowiedział, co się stało. Bardzo trudno było mu o tym mówić; przepęlniała go rozpacz, z którą nie potrafił sobie poradzić.

## 29

Czternastego lipca, o jedenastej przed południem, w kaplicy w centrum Rygi odbył się pogrzeb Baiby Liepy. Wallander przyleciał dzień wcześniej z Kopenhagi. Gdy wysiadł z samolotu, wszystko od razu wydało mu się znajome, mimo że budynek terminalu został przebudowany. Zniknęły też radzieckie samoloty wojskowe, które na początku lat dziewięćdziesiątych stały na płycie lotniska.

Przez okno taksówki oglądał miasto, w którym zaszły ogromne zmiany. Na peryferiach jeszcze tu i ówdzie widniały rozpadające się obojścia, w których świnie ryły w oborniku. Na zabudowę centrum składały się te same stare

budynki, ale szyldy były inne, fasady odmalowane, chodniki naprawione. Największą różnicę dawało się zauważyć jednak po ludziach, po ich ubraniach i sznurach samochodów przy światłach sygnalizacyjnych i wjazdach na centralnie położone parkingi.

Na Rygę spadł tego dnia ciepły deszcz. Lilja Blooms zadzwoniła do Wallandera i poinformowała go o szczegółach pogrzebu. Zapytał tylko o to, czy jego obecność nie będzie odebrana jako coś niewłaściwego.

- A dlaczego pan tak sądzi?

- Może nie znam wszystkich relacji rodzinnych?

- Każdy wie, kim pan jest - odpowiedziała Lilja. - Baiba opowiadała o panu, nigdy nie robiła z waszego związku tajemnicy.

- Pozostaje jedynie kwestia, co o mnie mówiła.

- Skąd u pana ten niepokój? Myślałam, że się kochaliście. Myślałam, że się pobierzecie. Wszyscy tak myśleliśmy.

- Ona nie chciała.

Zorientował się, że tym wyznaniem wprowadził ją w zdumienie.

- A nam się wydawało, że to pan się wycofał. Baiba nic nie mówiła na ten temat. Minęło dużo czasu, zanim zrozumieliśmy, że się rozstaliście. Ale tak naprawdę ona nigdy nie chciała o tym rozmawiać.

To Linda pomogła mu podjąć decyzję o tym, że powinien być na pogrzebie. Przyjechała zaraz po pierwszym telefonie. Była tak przejęta i wzruszona, że weszła do ojca ze łzami w oczach. A to sprawiło, że on również mógł sobie pozwolić na jawne opłakiwanie Baiby. Długo opowiadał córce o wspomnieniach z czasów, gdy byli razem.

- Jej mąż Karlis Liepa został zamordowany. To było zabójstwo na tle politycznym, wtedy cały czas dochodziło do spieć między Rosjanami a Łotyszami. To dlatego pojechałem do Rygi: żeby pomóc w wyjaśnieniu morderstwa. Oczywiście nie miałem pojęcia o przepaściach, jakie otworzyły się w tym kraju. Myślę, że dopiero wtedy zacząłem rozumieć, jak wyglądał świat w

czasie zimnej wojny. To było siedemnaście lat temu.

- Pamiętam tę twoją podróż - powiedziała Linda. - Chodziłam wtedy na uniwersytet ludowy i nie miałam pojęcia, co chcę robić w życiu. Chociaż w głębi ducha powinnam była wiedzieć, że chcę zostać policjantką.

- O ile mnie pamięć nie myli, mówiłaś o wszystkim innym, tylko nie o pracy w policji?

- To powinno wzbudzić w tobie podejrzenia. I pomyśleć, że nawet nie przeczuwałeś, co mi wtedy chodziło po głowie!

- Nie przeczuwałem też historii z Baibą, kiedy Karlis Liepa pojawił się na komendzie w Ystad.

Wallander pamiętał tamtejsze wydarzenia bardzo wyraźnie. Pominąwszy nieustanne palenie, wywołujące protesty niepalących policjantów, Karlis Liepa był spokojnym, niepozornym mężczyzną, z którym Wallander dobrze się rozumiał. Pewnego wieczoru, podczas straszliwej śnieżycy, zabrał go do mieszkania na Mariagatan, poczęstował whisky i ku swojej radości odkrył, że major Liepa prawie tak samo uwielbia operę jak on. Słuchali nagrania *Turandota* z Marią Callas, a za oknem śnieg wirował na wietrze hulającym po opustoszałych ulicach.

Ciekawe, gdzie się podziała ta płyta? Nie znalazł jej w kartonie na strychu. Z pomocą przyszła mu Linda, mówiąc, że płyta jest u niej w domu.

- Dostałam ją od ciebie wtedy, kiedy marzyłam o karierze aktorki, pamiętasz? Wymyśliłam, że przygotuję monodram o tragicznym losie Marii Callas. Możesz to sobie wyobrazić? Jeśli kogoś nie przypominam, to właśnie tej niskiej i pulchnej greckiej śpiewaczki operowej.

- O starganych nerwach - dodał Wallander.

- A czym się właściwie zajmowała Baiba? Była nauczycielką?

- Gdy ją spotkałem, tłumaczyła teksty techniczne z angielskiego. Ale robiła też chyba wiele innych rzeczy.

- Powinieneś pojechać na pogrzeb. Dla twojego własnego

dobra.

To nie było takie proste, ale w końcu go przekonała. Dopilnowała również, by kupił nowe ubranie. Zabrała go do sklepu w Malmö i wyjaśniła - kiedy zdumiony komentował cenę - że to garnitur świetnej jakości, który będzie mu służył do końca życia.

- Nie będziesz już na wielu weselach - oznajmiła. - W twoim wieku rośnie raczej liczba pogrzebów.

Zamruczał coś niewyraźnie pod nosem i zapłacił. Linda nie poprosiła o powtórzenie odpowiedzi.

Wysiadł z taksówki i wszedł z niewielką walizką do hotelu Latvia. Nie było już kawiarenki, w której Lilja Blooms widziała go z Baibą, od razu to zauważył. Zameldował się w recepcji, dostał klucz z numerem 1516. Kiedy wysiadł z windy i stanął przed drzwiami, nagle wydało mu się, że wtedy też mieszkał w tym pokoju. Był pewien, że numer zawierał zarówno piątkę, jak i szóstkę.

Otworzył, wszedł do środka. Wystrój wnętrza zupełnie nie zgadzał się ze wspomnieniami. Ale widok z okna był ten sam: piękny kościół, którego nazwy nie zapamiętał. Rozpakował walizkę, powiesił nowy garnitur na wieszaku. Świadomość, że właśnie w tym hotelu, ba, może nawet w tym pokoju, po raz pierwszy spotkał Baibę, przeobraziła się w ból nie do zniesienia.

Wszedł do łazienki i opłukał twarz. Było dopiero wpół do pierwszej. Nie miał żadnych planów, może oprócz spaceru. Chciał opłakiwać Baibę, wspominając ją taką, jaką była, gdy spotkali się pierwszy raz.

Nagle przemknęła mu przez głowę myśl, z którą nigdy nie miał odwagi zmierzyć się wprost. Czy miłość do Baiby była silniejsza niż ta, jaką kiedyś czuł do Mony? Mimo że to ona była matką Lindy? Nie wiedział i chyba już nigdy nie będzie pewny odpowiedzi.

Wyszedł do miasta, powąłęsał się po ulicach, zjadł obiad w jakiejś restauracji, choć tak naprawdę nie był głodny. Wieczorem usiadł w jednym z hotelowych barów. Podeszła

do niego mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna i zapytała, czy nie potrzebuje towarzystwa. Nawet nie odpowiedział, pokręcił tylko głową. Na krótko przed zamknięciem hotelowej restauracji zamówił jakieś spaghetti, którego prawie nie ruszył. Wypił za to sporo czerwonego wina i wstając od stolika, nie czuł się do końca trzeźwy.

Padający podczas kolacji deszcz ustał, niebo się wypogodziło. Wallander poszedł do pokoju po kurtkę i ruszył na wędrowkę po wilgotnym mieście. Doszedł do Pomnika Wolności, pod którym kiedyś został uwieczniony na fotografii z Baibą. Przed monumentem kilku młodych skateboardzistów jeździło na deskorolkach. Wrócił do hotelu bardzo późno. Zasnął na łóżku w ubraniu, ściągnąwszy tylko buty.

Rano obudziło go pukanie. Zanim ocknął się ze snu, w chaotycznych wyobrażeniach ujrzał za drzwiami Baibę. Ale kiedy je otworzył, zobaczył tylko nieznaną młodą kobietę. Na samą myśl, że młodziutkie prostytutki pojawiają się tu o każdej porze dnia i nocy, wezbrała w nim złość. Już miał zatrzaskać drzwi, gdy nagle zaintrygowany wyrazem twarzy dziewczyny, zawahał się.

- Kurt Wallander? - zapytała. - Nie wie pan, kim jestem. Ale znał pan moją mamę.

Wallander zmarszczył czoło; ciągle nie mógł się zdecydować, w końcu jednak wpuścił ją do pokoju. A więc Baiba miała córkę, o której nic nie wiedział? Z przerażeniem pomyślał nawet, że to może być jego dziecko. Ale błyskawicznie odrzucił tę myśl. Baiba na pewno by mu powiedziała. Wskazał dziewczynie fotel, sam usiadł na skraju łóżka. Miała jasne włosy i może osiemnaście, dziewiętnaście lat. Bez makijażu, w prostym ubraniu.

- Mam na imię Wiera - powiedziała. - Moja mama nazywała się Inese.

Skojarzył od razu. Inese, przyjaciółka Baiby, spotkał ją podczas pierwszego

pobytu w Rydze. Była jego przewodniczką w nocnych wyprawach do tajnego ugrupowania narodowowyzwoleńczego, które prosiło o pomoc. I widział, jak zginęła w trakcie potwornej strzelaniny, w lokalu ugrupowania zaatakowanego przez politycznych przeciwników. Ciągle jeszcze miał przed oczami jej obraz: zakrwawiona, osuwająca się na wywrócone krzesło.

- Tak. Spotkałem pani matkę. Nie znałem jej bliżej. Ale wiem, że była przyjaciółką Baiby.

- Lilja powiedziała, że pan przyjedzie na pogrzeb. Miałam zaledwie dwa lata, jak mama zginęła. Nie chcę przeszkadzać. Chciałam tylko pana zobaczyć, ponieważ kiedyś spotkał pan moją mamę, a ja sama nie mam żadnych związanych z nią wspomnień.

- Pamiętam ją jako bardzo piękną kobietę. A oprócz tego odważną i silną.

- Czy to prawda, że był pan przy niej, gdy umarła?

Zadała pytanie szybko i bez wahania. Wallander skinął głową.

- Pytam wszystkich napotkanych ludzi, którzy ją pamiętają. Zawsze bowiem jest szansa, że któryś ze szczegółów nabierze nowego znaczenia, inny się pogłębi, a jeszcze inny okaże zupełnie nowy.

- Minęło tyle lat. Nie wiem, co pamiętam naprawdę, a co jest tylko moim wyobrażeniem.

Robił wszystko, co w jego mocy, by przypomnieć sobie jak najwięcej. Przedstawił Wierze obraz tamtego zdarzenia i pojedynczych detali tak wyraźnie, jak potrafił. Usiłował być szczery. Ale kiedy doszedł do momentu, w którym Inese upadła bezwładnie na przewrócone krzesło, powiedział jedynie, że zmarła na miejscu, jak tylko dosięgły ją strzały.

Zadawała kolejne pytania, ale on wyznał jej już wszystko, co pamiętał; nie potrafił dodać niczego więcej. Wiera podniosła się z fotela i wygładziła białą spódnicę. Przez moment wydało mu się, że jest bardzo podobna do matki. Nie był jednak pewien; obrazy z przeszłości mogły być

zwodnicze.

- Kim jest pani ojciec?

- Nie wiem. Mama powiedziała Baibie, że mi opowie, jak podrosnę. Ale nawet Baiba nie wiedziała. Inese nie zdradziła tego żadnej ze swoich przyjaciółek. Czasami myślę, że pochodził ze Związku Radzieckiego.

- Dlaczego?

- Dlatego że mama nigdy nie ujawniła, kim on jest. Może się wstydziła? Dziękuję, że mnie pan przyjął, chociaż w pierwszej chwili miał pan ochotę zatrzaskać drzwi, widziałam. Myślał pan, że jestem na sprzedaż? Naprawdę tak pan o nas myśli?

- Nie wiem, co myślałem.

- Lilja przyjdzie tutaj o dziesiątej. Prosiła mnie, żebym to przekazała. Będzie panu towarzyszyć w drodze do kaplicy.

Odprowadził ją do drzwi i jeszcze przez chwilę podążył za nią wzrokiem, aż zniknęła w korytarzu, gdzieś przy windach. Później włożył odświętny garnitur i zszedł do restauracji, by zjeść śniadanie, choć zupełnie nie czuł głodu.

Na lotnisku Kastrup, dzień wcześniej, kupił dwie piersiówki wódki. Jedną z nich włożył teraz do wewnętrznej kieszeni marynarki. W windzie odkręcił zakrętkę i pociągnął spory łyk.

Stał przy recepcji, gdy Lilja Blooms pojawiła się za szklanymi drzwiami. Podeszła do niego bez chwili wahania. Baiba musiała pokazać jej jedną z niewielu istniejących fotografii, pomyślał.

Lilja była niewysoką i krągłą kobietą o bardzo krótkich włosach. Zupełnie nie odpowiadała jego wyobrażeniom. Myślał, że jest bardziej podobna do Baiby. Przy powitaniu uświadomił sobie, że czuje się zażenowany, nie miał pojęcia dlaczego.

- Kaplica jest niedaleko stąd - powiedziała. - Dziesięć minut na piechotę. Zdążę zapalić. Może pan tutaj poczekać.



- Wyjdę z panią.

Stali przed hotelem, w słońcu. Lilja w ciemnych okularach i z papierosem w ręku.

- Była nietrzeźwa - powiedziała nagle.

Minęła chwila, zanim Wallander zrozumiał, o co jej chodzi.

- Baiba?

- Była nietrzeźwa w chwili śmierci. Wykazała to sekcja zwłok. Miała wysoki poziom alkoholu we krwi, kiedy zjechała z drogi.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- Mnie też. Wszyscy jej przyjaciele się nad tym zastanawiają. Ale z drugiej strony, co wiemy o tym, jak rozumuje śmiertelnie chory człowiek?

- Sądzi pani, że popełniła samobójstwo? Że zrobiła to świadomie? Wjechała w ten mur?

- Takie rozważania niczemu nie służą, ponieważ nigdy nie dowiemy się z całą pewnością, jak było naprawdę. Nie znaleziono żadnych śladów hamowania. Kierowca jadący za nią zeznał, że nie jechała szczególnie szybko, ale dość nierówno.

Wallander próbował sobie to wszystko wyobrazić, ostatnie chwile życia Baiby. Doszedł do wniosku, że nie potrafi ustalić, czy to był wypadek, czy samobójstwo. Jednocześnie przyszła mu do głowy inna myśl. Czy Louise von Enke mimo wszystko nie padła ofiarą nieszczęśliwego wypadku? Może nie chodziło ani o morderstwo, ani o celowe odebranie sobie życia?

Przerwał rozmyślenia, ponieważ Lilja zgasiła papierosa i zaproponowała, by już poszli. Wallander przeprosił ją na moment, poszukał toalety w hotelowym foyer i pociągnął jeszcze jeden łyk wódki. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Zobaczył starzejącego się mężczyznę, przejętego niepokojem o resztę własnego życia.

Doszli do kaplicy i wkroczyli w ciemność pogłębianą ostrym słońcem na zewnątrz. Dopiero po chwili oczy Wallandera przywykły do półmroku.

Wtem przyszło mu na myśl, że pogrzeb Baiby jest czymś w rodzaju ćwiczenia poprzedzającego jego własny koniec. Przerażony, przez moment chciał po prostu wstać i wyjść. Nie powinien był przyjeżdżać do Rygi, nic tu po nim.

Siedział jednak na miejscu i udało mu się - głównie dzięki wypitemu alkoholowi - nie wybuchnąć płaczem, nawet wówczas, kiedy zauważył rozpacz siedzącej obok Lilji Blooms. Ta trumna jest jak bezludna wyspa wyrzucona w morze, schronienie i miejsce wiecznego spoczynku człowieka, którego kiedyś kochałem, pomyślał.

Z jakiegoś niepojętego powodu ujrzał nagle przed sobą Håkana von Enkego. Poirytowany, odsunął od siebie niechciany obraz.

Czuł się coraz bardziej nietrzeźwy. Miał wrażenie, że ceremonia pogrzebowa w zasadzie w ogóle go nie dotyczy. Po jej zakończeniu, korzystając z tego, że Lilja podeszła do matki Baiby, wymknął się dyskretnie z kaplicy. Nie obejrzał się ani razu, poszedł prosto do hotelu i poprosił w recepcji o pomoc w zmianie rezerwacji biletu. Pierwotnie zamierzał zostać jeszcze jeden dzień, lecz teraz chciał wrócić do domu tak szybko jak to tylko możliwe.

Znalazło się wolne miejsce w popołudniowym samolocie do Kopenhagi. Spakował walizkę i nawet się nie przebierając, natychmiast opuścił hotel w obawie, że Lilja zacznie go szukać. Pojechał taksówką na lotnisko i czekając na odprawę, trzy godziny siedział na ławce przed terminalem.

Na pokładzie samolotu nie żałował sobie alkoholu. W Ystad wziął taksówkę i niemal z niej wypadł, gdy dojechali na miejsce. Jussi był jak zwykle u sąsiadów, Wallander postanowił odebrać go dopiero następnego dnia. Zwalił się na łóżko jak kłoda, spał bardzo głęboko i kiedy przed dziewiątą rano otworzył oczy, był wyspany. Z żalem pomyślał o tym, jak uciekł z kaplicy, nie żegnając się z Lilją. Za parę dni będzie musiał do niej zadzwonić i jakoś to sensownie wytłumaczyć. Tylko co jej powie?

Męczyły go nudności. Nigdzie nie mógł znaleźć tabletek od bólu głowy, choć przeszukał całą łazienkę i wszystkie szuflady w kuchni. Na samą myśl o tym, że musiałby pojechać do Ystad, zrobiło mu się jeszcze bardziej niedobrze. Zapytał najbliższą sąsiadkę, czy nie ma jakichś środków przeciwbólowych. Stojąc u niej w kuchni, rozpuścił dwa białe krążki w szklance wody, dostał też kilka dodatkowych na później.

Kiedy wrócił do domu, zamknął Jussiego za ogrodzeniem. W pokoju migiała lampka automatycznej sekretarki. Wiadomość zostawił Sten Nordlander. Wallander odszukał numer jego komórki i zadzwonił. Po chwili w słuchawce usłyszał wycie wiatru.

- Oddzwonię za moment! - krzyczał Nordlander. - Muszę tylko znaleźć jakieś zaciszne miejsce.

- Jestem w domu.

- Za dziesięć minut. Dobrze się czujesz?

- Tak.

- Zadzwoń.

Wallander czekał przy stole w kuchni. Jussi obchodził swój wybieg, szukając śladów obecności myszy lub ptaków. Od czasu do czasu spoglądał na kuchenne okno. Wallander pomachał mu ręką. Pies nie zareagował, nie zauważył go, wiedział tylko, że pan jest w środku. Ale gdy otworzyło się okno, momentalnie zaczął machać ogonem i opierając się o metalowe pręty, stanął na tylnych łapach.

Zadzwonił telefon. Sten Nordlander znalazł miejsce osłonięte od wiatru. Wycie ustało.

- Jestem na morzu - powiedział. - Na niewielkiej nagiej wysepce w pobliżu o wiele większej Moji. Wiesz gdzie?

- Nie.

- To najbardziej na wschód wysunięta część Archipelagu Sztokholmskiego. Pięknie tu jest.

- Dobrze, że zadzwoniłeś - powiedział Wallander. - Stało się coś ważnego. Właśnie miałem się do ciebie odezwać. Håkan się pokazał.

W pośpiechu zdał mu relację.

- To ciekawe! - skomentował Nordlander. - Właśnie gdy schodziłem na tę wysepkę, myślałem o nim.

- Z jakiegoś szczególnego powodu?

- Lubił wyspy. Kiedyś opowiedział mi o marzeniu z czasów młodości, żeby zwiedzić wyspy na wszystkich morzach świata.

- Czy kiedykolwiek próbował to urzeczywistnić?

- Nie sądzę. Louise nie lubiła ani latać, ani podróżować statkiem.

- Czy to nie było przyczyną jakichś problemów?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Czuł się z nią bardzo związany, a ona z nim. Marzenia nie muszą tracić na wartości tylko dlatego, że się ich nie urzeczywistnia.

Połączenie było kiepskie, wysepka, na której zatrzymał się Nordlander, leżała na granicy zasięgu. Umówili się, że Sten zadzwoni jeszcze raz, kiedy dopłynie do stałego lądu.

Wallander powoli odłożył telefon na stół. Siedział w bezruchu. Nagle zdał sobie sprawę, że doskonale wie, gdzie jest Håkan. Sten Nordlander wskazał mu kierunek. Nie miał ani całkowitej pewności, ani żadnych dowodów. A mimo to wiedział.

Nieoczekiwanie przyszła mu na myśl książka stojąca na półce u Signe von Enke, obok opowieści o przygodach słonia Babar. Bajka o śpiącej królownie. Spałem długim snem, pomyślał Wallander. Dopiero teraz się budzę i widzę to, co powinienem był zrozumieć wcześniej: gdzie jest Håkan. Chyba faktycznie się starzeję, jeżeli nie dostrzegam tego, co mam przed oczami.

Jussi zaczął szczekać. Wallander wyszedł, by dać mu jeść.

Na drugi dzień rano usiadł za kierownicą. Żona rolnika popatrzyła na niego ze zdziwieniem, gdy znów przyprzewodził psa.

Zapytała, jak długo go nie będzie. Powiedział prawdę. Nie wiedział. Nie miał najmniejszego pojęcia.

Udało mu się wynająć plastikową, niezabudowaną motorówkę, która miała niecałe sześć metrów długości, a na rufie silnik przyczepny Evinrude o mocy siedmiu koni. Od jej właściciela pożyczył też mapę morską. Wybrał właśnie tę łódź, ponieważ była na tyle nieduża, że dało się nią manewrować za pomocą wiosł, co jak przypuszczał, mogło okazać się nieodzowne. Podpisując umowę wynajmu, pokazał legitymację policyjną. Mężczyzna drgnął.

- Wszystko w porządku - uspokoił go Wallander. - Potrzebuję zapasowego kanistra z benzyną. Może oddam łódź jutro, może zatrzymam ją parę dni. Ma pan numer karty kredytowej, więc nie powinno być problemów z płatnością.

- Policjant z wizytą - zainteresował się mężczyzna. - Coś się stało?

- Nic, poza tym, że chcę zrobić niespodziankę przyjacielowi, który właśnie kończy pięćdziesiąt lat.

Wallander nie obmyślał swoich kłamstw. Uciekał się do nich z przyzwyczajenia. Jakby z rozpędu.

Łódź kołysała się na wodzie, wciśnięta między dwie spore motorówki, jedna z nich była marki Storo. Silnik nie miał zapłonu elektrycznego, ale zapalił za pierwszym szarpnięciem linki. Właściciel, mówiący z fińskim akcentem, zapewniał, że na tym motorze można polegać.

- Używam go sam, jak łowię ryby - dodał. - Problem polega na tym, że prawie w ogóle nie ma ryb. Ale łowię tak czy owak.

Dochodziła czwarta po południu. Wallander przyjechał do Valdemarsvik godzinę wcześniej. Posiłił się w lokalu będącym chyba jedyną gospodą w miasteczku, a później odnalazł pobliską wypożyczalnię łodzi, która leżała nad brzegiem podłużnej zatoki. Miał ze sobą plecak, do którego włożył między innymi latarki kieszonkowe i zapasowy prowiant. Wziął też ze sobą grubsze ubranie, mimo że

akurat to popołudnie było bardzo ciepłe.

W drodze do prowincji Östergötland kilkakrotnie jechał w potężnym deszczu. W okolicach Ronneby zaskoczyła go tak gwałtowna ulewa, że musiał zjechać z drogi i przeczekać na postoju. Przy akompaniamencie ogromnych kropli bębniących o dach, obserwując spływające po szybie strugi wody, zadawał sobie pytanie, czy rzeczywiście prawidłowo rozumuje. Czy ciągle jeszcze ma dobrego nosa, czy tym razem zawiodła go umiejętność trafnego przewidywania.

Siedział tak, pochłonięty myślami, przez prawie pół godziny, gdy w końcu deszcz ustał. Ruszył w dalszą drogę i wkrótce dotarł do Valdemarsvik. Niebo się wypogodziło. Tylko sporadycznie wodę w zatoce marszczyły łagodne powiewy wiatru. W powietrzu unosił się zapach mułu i błota. Wallander pamiętał go z poprzedniej wizyty.

Włączył silnik i odpłynął. Mężczyzna z wypożyczalni długo stał na brzegu i patrzył za oddalającym się policjantem, zanim wrócił do biura. Wallander postanowił, że wydostanie się z tej długiej zatoki jeszcze za dnia. A później zamierzał dobić do jakiejś wysepki, by poczekać na wieczór i zmierzch. Próbował wyliczyć obecną fazę księżyca, ale bez powodzenia.

Mógł zadzwonić do Lindy. Ponieważ jednak nie chciał zdradzić ani miejsca swojego pobytu, ani celu podróży, zrezygnował. Pomyślał, że jak tylko wypłynie z zatoki, spróbuje skontaktować się z Martinssonem. Jeżeli w ogóle zadzwoni. Powodzenie zadania, które sam sobie zlecił, nie miało zależeć od tego, czy zaświeci księżyc, czy zapanują ciemności. Wallander był po prostu ciekaw, co go czeka.

Kiedy w końcu między wyspami zamajaczyło otwarte morze, zwolnił obroty silnika i przestudiował leżącą przed nim zafoliowaną mapę. Upewniwszy się co do współrzędnych geograficznych, wybrał miejsce niedaleko celu, gdzie mógłby przeczekać do wieczora. Niestety, było

już zajęte. Przy skałach cumowało kilka łodzi. Ruszył więc dalej, by zatrzymać się przy niewielkiej wysepce porośniętej zaledwie kilkoma drzewami.

Wyłączył silnik i dobił do brzegu, wiosłując. Włożył kurtkę, wysiadł na brzeg, oparł się o drzewo i napił kawy z termosu. A potem zadzwonił do Martinssona. Jeszcze raz odpowiedziało dziecko, być może to samo co poprzednio. Po chwili słuchawkę przejął Martinsson.

- Masz szczęście. Moja mała wnuczka przejęła obowiązki sekretarki.

- Księżyc - zaczął Wallander.

- Co z nim?

- Pytasz za szybko. Jeszcze nie skończyłem.

- Przepraszam. Wnuczęta wymagają stałej uwagi.

- Rozumiem i nie przeszkadzałbym ci, gdyby sprawa nie nagliła. Masz jakiś kalendarz? W jakiej fazie się teraz znajduje?

- Księżyc? To jest twoje pytanie? Bierzesz udział w wyprawie astronomicznej?

- Niewykluczone. Ale możesz mi udzielić informacji?

- Musisz chwilę poczekać.

Martinsson odłożył słuchawkę. Z tonu kolegi zrozumiał, że nie ma co liczyć na więcej wyjaśnień.

- Księżyc jest w nowiu - powiedział, gdy wrócił do telefonu. - Wygląda jak cieniutki sierp. Przy założeniu, że nie wylądowałaś gdzieś poza Szwecją.

- Nie, nie wylądowałem. Dzięki za pomoc. Potem ci wyjaśnię.

- Przywykłem do czekania.

- Czekania na co?

- Na wyjaśnienia. Również od własnych dzieci, które nie robią tego, co im każę. Ale to już raczej przeszłość.

- Linda też taka była - odpowiedział Wallander, udając zainteresowanego.

Jeszcze raz podziękował koledze za pomoc i zakończył rozmowę. Zjadł parę

kanapek, a później położył się z kamieniem pod głową.

Ból pojawił się znikąd. Wallander leżał na plecach, wpatrzony w niebo, w oddali krzyczały mewy, gdy nagle w lewym ramieniu poczuł okropne ukłucie, które po chwili rozlało się po piersi i brzuchu. Najpierw pomyślał, że to może jakiś ostry kamień. Dopiero po pewnym czasie zrozumiał, że ból szarpie go od wewnątrz, i nabrał przekonania, że stało się to, czego zawsze się obawiał: dostał zawału serca.

Leżał nieruchomo, zdrętwiały ze strachu; wstrzymał oddech z obawy, że każdy kolejny ruch zaburzy pracę bijącego resztkami sił serca.

Odżyło w nim wyraźne wspomnienie śmierci matki. Jak gdyby jej ostatnie chwile życia rozgrywały się tuż obok. Nie miała nawet pięćdziesięciu lat. Nigdy nie pracowała poza domem, próbowała pogodzić rolę żony grymaśnego mężczyzny o niepewnych dochodach z rolą matki dwojga dzieci: Kristiny i Kurta. Mieszkali wtedy w Limhamn, dzieląc dom z rodziną, której ojciec Wallandera nie cierpiał.

Pewnego razu Bogu ducha winny sąsiad z czystej zyczliwości zapytał, czy malowanie innych motywów zamiast ciągle tego samego krajobrazu nie byłoby miłym urozmaiceniem. Wallander, który słyszał tę rozmowę, pamiętał, że maszynista kolejowy posłużył się przykładem z własnego życia zawodowego. Po długim okresie ustawicznych kursów między Malmö a Awestą z radością zaczął prowadzić ekspresową lokomotywę parową kursującą do Göteborga, a czasami nawet do Oslo. Rozwścieczony propozycją stary Wallander zerwał znajomość z Nilsem Perssonem. A matka później usiłowała załagodzić sytuację i mimo wszystko utrzymywać w miarę poprawne stosunki sąsiedzkie.

Jej śmierć przysła nagle, pewnego popołudnia wczesną jesienią 1962 roku. Matka wieszała pranie w ogrodzie. Wallander właśnie wrócił ze szkoły, siedział w kuchni, jadł podwieczorek. Gdy spojrział w okno pierwszy raz, zobaczył



ją, jak stoi z poszewką i klamerkami w ręce. Wrócił do kanapek. Kiedy spojrział ponownie, klęczała z rękami mocno przyciśniętymi do piersi. Najpierw pomyślał, że coś jej spadło na ziemię, po chwili jednak przewróciła się na bok, powoli, jak gdyby walcząc do końca.

Wybiegł z domu, krzyczał, ale nie było już dla niej ratunku. Lekarz, który później przeprowadził sekcję zwłok, powiedział, że miała bardzo rozległy zawał. Nawet gdyby leżała w szpitalu, nie potrafiliby jej pomóc.

Zobaczył to wszystko jeszcze raz w migotliwych, rwanych obrazach, usiłując nie myśleć o własnym bólu. Nie chciał zakończyć życia przed czasem, jak to zrobiła matka, a najbardziej chyba nie chciał umrzeć samotnie właśnie tu, na maleńkiej bałtyckiej wysepce.

Modlił się cicho i żarliwie. Nie zwracał się do Boga, raczej do siebie samego, z prośbą o to, by wytrzymać, by nie dać wciągnąć się w ciszę. I w końcu dotarło do niego, że ból nie narasta, że serce ciągle bije. Próbował zmusić się do spokoju i rozsądnych działań; nie mógł sobie pozwolić na uleganie desperackiej i ślepej panice. Usiadł ostrożnie i po omacku zaczął szukać ręką telefonu, który wcześniej położył koło plecaka. Wybrał numer do Lindy, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. W jaki sposób mogłaby mu teraz pomóc? Jeśli naprawdę ma zawał, to powinien zadzwonić na pogotowie.

Ale coś go powstrzymywało. Może wrażenie, że ból maleje? Tętno wyczuwalne na przegubie dłoni było miarowe. Poruszył lewą ręką i znalazł pozycję, w której prawie nie czuł bólu, ale też kilka innych pozycji, w których ból wzrastał. To się zupełnie nie zgadzało z objawami ostrego zawału serca. Siedząc, zmierzył tętno. Siedemdziesiąt cztery uderzenia na minutę. A więc w normie. To stres, pomyślał. Organizm symuluje dolegliwość, która może mnie dotknąć, jeżeli się nie uspokoje, jeżeli ciągle będzie mi się wydawało, że jestem niezastąpionym policjantem i że nie potrzebuję prawdziwego urlopu.

Znów się położył. Ból malał, teraz ćmił już tylko, jak gdyby przypominając o zagrożeniu.

Godzinę później Wallander odważył się przyjąć do wiadomości, że nie padł ofiarą zawału. To było tylko ostrzeżenie. Może powinien wrócić do domu, zadzwonić do Ytterberga i opowiedzieć o swoim odkryciu? Postanowił jednak zostać. Jeżeli zaszedł aż tak daleko, to musi się teraz przekonać, czy faktycznie ma rację. A później, niezależnie od rezultatu, z czystym sumieniem będzie mógł przekazać sprawę Ytterbergowi i przestać o niej myśleć.

Poczuł ogromną ulgę. To było coś w rodzaju zachłyśnięcia się życiem, dawno nie przeżył czegoś takiego. Miał ochotę wstać i krzyżeć na całe gardło, prosto w bezkres morza. Ale siedział oparty o drzewo, patrzył na przepływające łodzie, wdychał zapach wody. Dzień był ciągle ciepły. Położył się, nakrył kurtką i zasnął. Kiedy otworzył oczy po dziesięciu, może piętnastu minutach, nie czuł bólu. Wstał i wyruszył na rekonesans po wyspie. Od strony południowej skała wznosiła się prawie pionowo, musiał się trochę namęczyć, by przejść przy samej wodzie.

Wtem przystanął, skulił się. Jakies dwadzieścia metrów przed sobą miał rozpadlinę skalną; a obok zakotwiczoną łódź i wciągniętą na brzeg jolę. W szczelinie dostrzegł dwoje ludzi. Kochali się. Przywarł do skały, ciągle na zgiętych nogach; nie mógł oprzeć się pokusie, by na nich popatrzeć. Byli bardzo młodzi, nie mieli więcej niż po dwadzieścia lat. Jak zaczarowany wpatrywał się w ich nagie ciała, w końcu jednak oderwał wzrok i bezgłośnie wrócił tą samą drogą, którą przyszedł.

Kilka godzin później, już o zmierzchu, zobaczył odpływającą z wyspy motorówkę z jolą na holu. Wstał i pomachał im ręką. Siedzący w kokpicie dziewczyna i chłopak odpowiedzieli tym samym gestem.

Zazdrościł im. Ale nie ogarnęły go mroczne myśli. Nigdy nie czuł tęsknoty za powrotem do lat młodości. Jego najwcześniejsze doświadczenia erotyczne wiązały się - jak u większości rówieśników - z niepewnością,

onieśmieleniem i czymś zgoła żenującym. Z niedowierzaniem wysłuchiwał opowieści kolegów o kolejnych zdobyczach i wyczynach. Dopiero przy Monie nauczył się doznawać prawdziwej rozkoszy zmysłowej. Przez pierwsze wspólne lata prowadzili życie seksualne, o jakim mu się nawet nie śniło. Również z kilkoma innymi kobietami doświadczył wspaniałych przeżyć, ale nigdy tak silnych jak te z Moną na początku ich związku. Jedynym wyjątkiem była Baiba.

Nigdy jednak nie kochał się z żadną kobietą na skalistej wysepce z widokiem na otwarte morze. Najbliżej ekstrawaganckiej sytuacji znalazł się chyba wtedy, gdy lekko podpity zaciągnął żonę do toalety w pociągu, przerwało im jednak wściekłe walenie pięścią w drzwi. Mona wyszła z kabiny potwornie zażenowana i w porywie złości wymogła na Wallanderze oświadczenie, że już nigdy nie narazi jej na takie erotyczne wycieczki.

I nigdy więcej nie naraził. Pod koniec ich długiego związku i małżeństwa namiętność zupełnie wygasła, chociaż u Wallandera powróciła na chwilę ze zdwojoną siłą właśnie wtedy, gdy Mona zażądała rozwodu. Ona nie chciała go już jednak przyjąć i bezpowrotnie zatrzasnęła przed nim drzwi.

Nagle wyraźnie zobaczył przed sobą całe swoje życie. Doliczył się w nim czterech przełomowych momentów. Pierwszy nastąpił wtedy, gdy wbrew woli dominującego ojca zostałem policjantem, pomyślał. Drugi: kiedy na służbie zabiłem człowieka i chciałem odejść, ale ostatecznie postanowiłem zostać w zawodzie. Trzeci: gdy opuściłem Mariagatan, kupiłem dom na wsi i sprawiłem sobie Jussiego. A czwarty nastąpił chyba wtedy, kiedy w końcu zaakceptowałem fakt, że już nigdy nie będziemy razem, Mona i ja. To chyba najcięższe doświadczenie w moim życiu.

Ale zawsze sam dokonywałem wyborów, nie wahałem się w nieskończoność, by któregoś dnia stwierdzić, że już za późno. I zawdzięczam to tylko i wyłącznie sobie. Kiedy

widzę wokół ludzi ogarniętych rozgoryczeniem, cieszę się, że do nich nie należę. Mimo wszystko starałem się odpowiadać za swoje życie, nie odpłynęło mi gdzieś, porwane przypadkowym prądem.

Wieczorem zaatakowały go komary, które pojawiły się z nadejściem zmierzchu. Na szczęście pamiętał, żeby wziąć ze sobą jakiś skuteczny środek. Wciągnął na głowę kaptur anoraka. Z pobliskich cieśnin i zatok słychać było coraz mniej motorówek. Gdzieś samotny jacht wypływał z wiatrem w otwarte morze.

Wallander opuścił wysepkę o północy przy akompaniamencie bzyczących komarów. Podążał za ciemniejącymi sylwetkami wysp wzdłuż szlaku, który wytyczył za pomocą mapy morskiej. Prowadził niespiesznie, od czasu do czasu sprawdzając, czy przypadkiem nie zszedł z kursu. Dopływając do celu, zwolnił jeszcze bardziej, by w końcu się zatrzymać. Od lądu nadeszła lekka bryza. Podniósł silnik i zaczął wiosłować. Co jakiś czas zatrzymywał wiosła i próbował przeniknąć wzrokiem ciemność. Niepokoiło go, że nie widzi żadnego światła. Powinno się palić, zastanawiał się. Nie powinno być ciemno.

Podpłynął do brzegu i ostrożnie wysiadł z łodzi. Zaszurała po kamieniach, kiedy wciągał jej dziób na plażę. Przymocował cumę do rosnących w pobliżu olch. Jeszcze na morzu przygotował sobie latarki. Jedną schował do kieszeni, drugą trzymał w ręce. Ale w plecaku miał też poza tym coś, czego teraz szukał wśród resztek prowiantu i ciepłych ubrań. Włożył tam wcześniej broń służbową.

Wahał się do ostatniej chwili. W końcu jednak postanowił zabrać ją, razem z naładowanym magazynkiem. Nie potrafił wytłumaczyć dlaczego.

Nic nie wskazywało na to, że naraża się na szczególnie groźne niebezpieczeństwo. Ale Louise nie żyje, pomyślał. A Herman Eber przekonał mnie, że została zamordowana. Dopóki nie dowiem się więcej, muszę zakładać, że sprawcą może być Håkan, nawet jeżeli nie mam ani dowodów, ani

motywu.

Włożył magazynek do pistoletu, upewnił się, że broń jest zabezpieczona. Zapalił latarkę i sprawdził, czy działa nałożony na nią niebieski filtr. Światło było słabe, trudne do wykrycia dla kogoś, kto nie jest wystarczająco czujny.

Wsluchiwał się w ciemność. Szum morza uniemożliwiał wychwycenie jakichkolwiek dźwięków. Wallander włożył plecak do łodzi i przyświecając sobie latarką, sprawdził cumę. W końcu ruszył w głąb wyspy. Nadbrzeżne zarośla okazały się bardzo gęste. Już po kilku metrach wszedł prosto w sieć krzyżaka i kiedy spostrzegł pajaka na swoim anoraku, zaczął gwałtownie wymachiwać rękami. Węże mu nie przeszkadzały, ale pajaków nie cierpiał.

Zamiast przedzierać się przez chaszczę, pomaszerował więc wzdłuż brzegu, w poszukiwaniu niezarośniętego przesmyku. Po mniej więcej pięćdziesięciu metrach doszedł do miejsca z resztkami starego slipu. Ponieważ nigdy wcześniej nie był na wyspie, widział ją tylko z łodzi, nie potrafił zorientować się w terenie. Wtedy przepływali koło niej od zachodu. Tym razem przybił do brzegu od wschodu, z nadzieją, że dotarł na tyły wyspy.

W którejś kieszeni zadźwięczała komórka. Zaskoczony upuścił latarkę. Po pierwszym dzwonku zabrzączał kolejny. Przeklinając pod nosem, Wallander szarpał ubranie, próbując jak najszybciej dotrzeć do telefonu. Zanim go w końcu wyłączył, zdążyło przebrzmieć sześć sygnałów. Zobaczywszy na ekraniku imię Lindy, schował aparat do przedniej kieszeni i zasunął zamek błyskawiczny. Ciągle miał w uszach elektroniczny dzwonek; jak alarm. Nasłuchiwał. Ale w ciemności nic nie było widać ani słyhać. Tylko morze szumiało.

Stąpał ostrożnie, aż zamajaczyły przed nim kontury ciemnego domu. Stanął za dębem, ciągle nie widział żadnego światła. Myliłem się, pomyślał. Nikogo tu nie ma. Po prostu wyciągnąłem fałszywy wniosek.

Po chwili jednak dojrzał jaśniejszą smugę między framugą okna a zaciągniętą zasłoną. Gdy podszedł bliżej,

zauważył podobne szpary w pozostałych oknach. Obszedł ostrożnie drewniany budynek. Panowało w nim totalne zaciemnienie, jak gdyby trwała wojna i każde źródło światła było zakazane, by nie naprowadzić wroga na właściwy trop. A wróg to ja, pomyślał Wallander.

Przyłożył ucho do ściany, nasłuchiwał. Słyszał niewyraźne głosy, od czasu do czasu zmieszane z muzyką. Radio albo telewizor, nie potrafił rozstrzygnąć. Wycofał się w mrok, próbował zdecydować, co dalej. Znalazł się w punkcie, w którym zabrakło mu planu. Co powinien teraz zrobić? Poczekać do rana i dopiero wtedy zapukać do drzwi, by zobaczyć, kto je otworzy?

Wahał się. Irytowało go własne niezdecydowanie. Czego tak naprawdę się obawia?

Nie zdążył sobie odpowiedzieć. Na ramieniu poczuł bowiem czyjąś dłoń. Drgnął i obejrzał się za siebie. Nawet jeżeli udał się w tę podróż, by spotkać Håkana, jego widok mimo wszystko wprawił go w zdumienie. Von Enke stał w ciemności, nieogolony, nieostrzyżony, ubrany w bluzę od dresu i dżinsy.

Przyglądali się sobie w milczeniu. Wallander z latarką w ręku, Håkan stojąc boso na wilgotnej ziemi.

- Przypuszczam, że usłyszałeś telefon - powiedział Wallander.

Von Enke pokręcił głową. Wydawał się nie tylko wystraszony, ale również zasmucony.

- Zainstalowałem alarm wokół domu. Przez ostatnie dziesięć minut próbowałem odgadnąć, kto tutaj mógł przypląnąć.

- To tylko ja - oświadczył Wallander.

- Tak. To tylko ty.

Weszli do domu. Dopiero w środku, w świetle, Wallander odkrył, że również Håkan ma przy sobie broń, wepchnięty za pasek spodni pistolet. Wtedy, w Djursholmie, trzymał broń pod marynarką.

Kogo on się obawia, zastanawiał się Wallander. Przed kim się właściwie ukrywa?

Wewnątrz nie słyhać było szumu morza. Wallander studiował twarz mężczyzny, którego od tak dawna uważano za zaginionego.

Długo siedzieli w milczeniu. Potem zaczęli rozmawiać. Powoli i ostrożnie, jak gdyby zbliżali się do siebie z zachowaniem największej czujności.

## CZEŚĆ IV

### OBRAZ POZORNY

#### 31

To była długa noc. Wallander miał nieodparte wrażenie, że ta wlokąca się rozmowa ze złapanym uciekinierem to jakby bezpośrednia kontynuacja pogawędki sprzed sześciu miesięcy, w tym pokoju bez okien, w lokalu pod Sztokholmem. Powoli zaczynał rozumieć coś, co go zdumiewało, ale co również doskonale tłumaczyło ówczesny niepokój Håkana von Enkego.

Wallander nie miał wrażenia, że oto niczym jakiś Stanley odnalazł swojego Livingstone'a. Po prostu odgadł prawidłowo, to wszystko. Intuicja jeszcze raz wskazała mu właściwą drogę. Jeżeli nawet von Enke był zdziwiony, że wykryto jego schronienie, nie okazywał tego. Wallander pomyślał, że stary kapitan okrętów podwodnych po prostu zachował zimną krew. Nie dał się zaskoczyć, bez względu na okoliczności.

Domek łowiecki, na pozór taki prosty, w środku okazał zupełnie inne oblicze. Przekraczając próg, Wallander znalazł się w dużym salonie, którego od otwartej kuchni nie odgradzały żadne ściany. Jedynym pomieszczeniem z drzwiami była dobudowana łazienka. W jednym kącie pokoju stało łóżko. Cóż za spartańskie posłanie, pomyślał Wallander.

Prawie jak koja albo niewielka kajuta, jaką na pokładzie okrętu musi się zadowolić nawet oficer. Na środku stał ogromny stół zasłany książkami, teczkami na dokumenty, papierami. Na jednej z krótszych ścian wisiała półka z radiem, na stoliku pod nią znajdowały się telewizor i gramofon, a obok stary fotel z bordową tapicerką.



- Nie sądziłem, że masz tu prąd.

- W podziemnej komorze skalnej jest generator. Nie słyhać pracy silnika nawet wtedy, kiedy morze jest zupełnie spokojne.

Håkan stał przy kuchence i parzył kawę. Wallander w milczeniu usiłował przygotować się do rozmowy. Ale teraz, kiedy właśnie odnalazł człowieka, którego tak długo szukał, nagle nie wiedział, o co ma go zapytać. Wszystko, nad czym wcześniej rozmyślał, wydawało mu się w tej chwili jedną wielką plątaniną niedojrzałych wniosków.

- Czy dobrze pamiętam, że nie dodajesz ani mleka, ani cukru?

- Tak, dobrze pamiętasz.

- Niestety, nie mam żadnego ciasta do kawy. Jesteś głodny?

- Nie.

Håkan uprzątnął książki i papiery z części stołu. Wallander zauważył, że większość lektur traktuje o nowoczesnym prowadzeniu wojny i aktualnej polityce. Jedna z nich, zaczytana do szczytu, nosiła ni mniej, ni więcej tytuł *Groźba okrętów podwodnych*.

Kawa była bardzo mocna. Von Enke pił herbatę. Wallander pożałował, że też o nią nie poprosił.

Dochodziła za dziesięć pierwsza.

- Rozumiem, oczywiście, że masz wiele pytań - zaczął von Enke. - Może się jednak zdarzyć, że ani nie będę umiał, ani nie będę chciał na wszystkie odpowiedzieć. Ale zanim do tego przejdziemy, chciałbym najpierw zapytać cię o kilka rzeczy. Przede wszystkim: przyplynałeś tu sam?

- Tak.

- Kto jeszcze wie o tym, gdzie jesteś?

- Nikt.

Wallander zauważył, że Håkan powątpiewa w prawdziwość jego odpowiedzi.

- Nikt - powtórzył. - To wyłącznie moja podróż. Nikt nie jest zamieszany w tę wyprawę.

- Nawet Linda?

- Nawet ona.

- Jak się tu dostałeś?

- Przy płynąłem niewielką motorówką. Jeśli chcesz, mogę ci podać nazwisko właściciela wypożyczalni. Ale on nie ma pojęcia, dokąd popłynąłem. Powiedziałem mu, że chcę zrobić urodzinową niespodziankę staremu przyjacielowi. Jestem pewien, że mi uwierzył.

- Gdzie jest łódź?

Wallander wskazał za siebie.

- Po drugiej stronie wyspy. Wciągnięta na brzeg, przycumowana do kilku olch.

Håkan siedział przez chwilę bez słowa, wpatrzony w kubek z herbatą. Wallander czekał.

- Oczywiście, liczyłem się z tym, że w końcu ktoś mnie odnajdzie - odezwał się von Enke. - Ale przyznaję: nie sądziłem, że to będziesz ty.

- A kogo spodziewałeś się spotkać w ciemności?

Håkan tylko pokręcił głową. Wallander postanowił, że na razie zostawi to pytanie w spokoju.

- Jak mnie znalazłeś?

W głosie von Enkego dało się słyszeć zmęczenie. Życie w ukryciu musiało być bardzo wyczerpujące, mimo że uciekinier nie przemieszczał się nieustannie z miejsca na miejsce.

- Kiedy przyjechałem na Boko, zapadła mi w pamięć uwaga Eskila Lundberga, że ten domek byłby perfekcyjnym miejscem dla kogoś, kto chce zniknąć z powierzchni ziemi. Przeżyliśmy tędy w drodze powrotnej. Wiesz, oczywiście, że złożyłem mu wizytę? Te słowa zaczęły we mnie kiełkować. Kiedy później dowiedziałem się, że darzysz wyspy szczególnym uczuciem, zrozumiałem, że mogłeś się tu zaszyć.

- Kto ci powiedział o wyspach?

Wallander postanowił, że na razie nie będzie wplątywał w to Stena Nordlandera, głównie ze względu na inną odpowiedź, której nie dałoby się sprawdzić.

- Louise.

Von Enke skinął głową w milczeniu. A potem wyprostował się, jakby poczuł się gotów.

- Możemy to zrobić na dwa sposoby - wyjaśnił Wallander. - Albo opowiesz sam, albo ja będę zadawał ci pytania.

- Czy jestem o coś oskarżony?

- Nie. Ale twoja żona nie żyje. W tej sprawie automatycznie podejrzenie pada na ciebie.

- Rozumiem to jak najbardziej.

Samobójstwo albo morderstwo, przemknęło Wallanderowi przez głowę. Doskonale wiesz, o które chodzi. Zdał sobie sprawę, że musi posuwać się ostrożnie. Miał przed sobą człowieka, którego mimo wszystko znał bardzo mało.

- Opowiadaj - zaproponował Wallander. - Przerwę ci, jeśli coś będzie niejasne albo czegoś nie zrozumiem. Możesz zacząć od Djursholmu. Od przyjęcia urodzinowego.

Håkan von Enke pokręcił energicznie głową. Zmęczenie jakby z niego opadło. Podszedł do kuchenki, zalał wrzątkiem nową torebkę herbaty. Stał tak przez chwilę z kubkiem w ręku.

- To byłoby od końca. Muszę zacząć o wiele wcześniej. Jest tylko jeden punkt wyjścia - powiedział. - Prosty, ale najprawdziwszy. Kochałem żonę ponad wszystko. Niech Bóg mi wybaczy, co teraz powiem, ale kochałem ją bardziej niż syna. Louise była samą radością w moim życiu: patrzeć na nią, widzieć jej uśmiech, słyszeć, jak się krząta w sąsiednim pokoju...

Zamilkł i utkwiał w Wallanderze oczy, w których było coś intensywnego i jednocześnie wyzywającego. Håkan von Enke żądał od rozmówcy odpowiedzi albo jakiegokolwiek reakcji.

- Tak - odparł Wallander. - Wierzę ci. To z pewnością prawda.

Håkan zaczął swoją opowieść.

- Musimy cofnąć się do zamierzchłej przeszłości. Nie ma powodu, abym miał opowiedzieć wszystko w

najdrobniejszych szczegółach. To zajęłoby zbyt dużo czasu i nie jest niezbędne. Ale musimy zacząć od lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Pełniłem wtedy czynną służbę na statkach marynarki wojennej, między innymi jako dowódca na jednym z naszych najnowocześniejszych trałowców.

Louise pracowała w tamtych latach jako nauczycielka. Wolny czas poświęcała młodym skoczkiniom do wody i od czasu do czasu jeździła z nimi do Europy Wschodniej, przede wszystkim do NRD, która wtedy odnosiła wielkie sukcesy w wyszukiwaniu i kształtowaniu nowych talentów. Dzisiaj wiemy, że to była kombinacja szaleńczego, niemal niewolniczego treningu i zaawansowanego stosowania różnych środków dopingujących.

Pod koniec lat siedemdziesiątych zostałem przeniesiony do służby w sztabie i zacząłem pracować w najwyższym dowództwie operacyjnym szwedzkiej marynarki wojennej. To oznaczało mnóstwo pracy, również w domu. Parę razy w tygodniu przynosiłem ze sobą tajne dokumenty. Miałem w mieszkaniu szafkę na broń, ponieważ trochę polowałem, głównie na sarny, ale czasem brałem też udział w corocznym polowaniu na łosie. Zamykałem w niej swoją broń i amunicję, a na noc i wtedy, gdy wychodziliśmy razem, na przykład do teatru albo na jakieś przyjęcie, wkładałem tam aktówkę z dokumentami.

Przerwał na moment, wyjął ostrożnie torebkę herbaty z kubka, położył ją na talerzyku obok i po chwili mówił dalej.

- Kiedy dostrzegamy, że coś jest nie tak, jak być powinno? Te niemal niezauważalne ślady wskazujące na to, że coś się przesunęło, coś jest inaczej? Przypuszczam, że jako policjantowi często zdarzają ci się sytuacje, kiedy odczuwasz coś podobnego. Pewnego ranka, gdy otwierałem szafkę na broń, zwróciłem uwagę, że coś jest nie tak. Ciągle pamiętam to uczucie. Właśnie miałem wyjąć swoją brązową aktówkę, ale powstrzymałem się. Czy naprawdę położyłem ją tak, a nie inaczej? Nie zgadzało mi się coś z zamkiem i rączką.

Wahałem się pięć sekund, nie dłużej. A później odsunąłem od siebie tę myśl. Zawsze sprawdzałem, czy wszystkie papiery są na miejscu. Tego ranka nie zrobiłem wyjątku. A później przestałem o tym myśleć. Uważam się za dobrego obserwatora z niekiepską pamięcią. Przynajmniej tak było wtedy. Z upływem lat wszystkie nasze funkcje stopniowo słabną. Możemy tylko bezradnie obserwować powolny upadek. Jesteś znacznie młodszy ode mnie. Ale może masz już własne doświadczenia w tym zakresie?

- Wzrok - odpowiedział Wallander. - Co dwa lata muszę kupować nowe okulary do czytania. Słuch już też nie ten sam co dawniej.

- Tylko węch wychodzi ze starzenia się obronną ręką. To mój jedyny zmysł niedrażniony zębem czasu. Zapachy kwiatów są równie wyraźne i intensywne jak przed laty.

Znowu siedzieli w milczeniu. Wallander usłyszał za plecami jakiś szmer w ścianie.

- Myszy - wyjaśnił Håkan. - Kiedy tu przypląnąłem, było zimno. Chwilami ze ścian dochodziło piekielne szuranie i chrobotanie. Pewnego dnia nie usłyszę już myszy harcujących w pułapie...

- Nie chcę przerywać twojej opowieści - powiedział Wallander - ale gdy wtedy zniknąłeś, od razu znalazłeś się tutaj?

- Ktoś po mnie przyjechał.

- Kto?

Von Enke potrząsnął głową, odmawiając odpowiedzi. Wallander nie nalegał.

- Wracam do szafki z bronią - kontynuował Håkan. - Kilka miesięcy później jeszcze raz odniosłem wrażenie, że aktówka została przesunięta. Oczywiście, znowu pomyślałem, że mi się tylko wydaje. Dokumenty w teczce znajdowały się w takim samym porządku, w jakim je zostawiłem. Mimo to zacząłem się niepokoić. Kluczyki do szafki leżały pod wagą na listy, na biurku. Jediną osobą, która o nich wiedziała, była Louise. Zrobiłem wtedy coś, co

w takiej sytuacji powinien zrobić każdy człowiek

- Co?

- Po prostu ją zapytałem. Siedziała w kuchni i jadła śniadanie.

- Co odpowiedziała?

- Zaprzeczyła. I zadała oczywiste pytanie, dlaczego nagle miałyby zainteresować się szafką na broń. Myślę, że nie podobało jej się przechowywanie broni w domu, choć nigdy nie powiedziała tego głośno. Pamiętam, że było mi wstyd, gdy schodziłem do samochodu, który miał mnie zawieźć do bazy. Ze względu na stanowisko przysługiwało mi wtedy prawo do prywatnego kierowcy.

- A co było później?

Wallander zauważył, że jego pytania przeszkadzają von Enkemu, który najwyraźniej sam chciał decydować o tempie i porządku opowieści. Uniósłszy ręce w przeproszającym geście, obiecał więcej nie przerywać.

- Byłem przekonany, że Louise powiedziała wtedy prawdę. Ale później jeszcze niejedną raz miałem wrażenie, że ktoś grzebał mi w teczce i dokumentach. Wbrew własnej woli zacząłem przygotowywać malutkie, niewidoczne pułapki. Świadomie układałem papiery w nieprawidłowej kolejności, wsuwałem włosy do zamka teczki, zostawiałem tłuste plamy na rączce.

Najtrudniej przychodziło mi zrozumienie motywu. Dlaczego Louise miałyby się interesować moimi dokumentami? Nie mieściło mi się w głowie, że mogła to robić z czystej ciekawości albo dlatego, że była zazdrosna. Wiedziała, że nie ma absolutnie żadnego powodu do zazdrości. Dopiero rok później po raz pierwszy zadałem sobie pytanie, czy to, co wydawało się nie do pomyślenia, faktycznie jest możliwe.

Von Enke zrobił krótką pauzę.

- Czy Louise miała kontakt z jakimś obcym mocarstwem? To wydawało się niewiarygodne z bardzo prostego powodu. Przynoszone przeze mnie do domu papiery rzadko miały charakter dokumentów, którymi mogłyby się

zainteresować obce służby wywiadowcze. Nie wyzbyłem się jednak wątpliwości. Wciąż łapałem się na tym, że nie dowierzam żonie. Zacząłem ją podejrzewać, nie mając żadnych innych dowodów, oprócz niejasnych przeczuć i paru włosów, które leżały inaczej. Wreszcie, a doszliśmy już do końca lat siedemdziesiątych, postanowiłem raz na zawsze przekonać się, czy moje podejrzania wobec Louise są uzasadnione, czy nie.

Wstał i przez chwilę szukał czegoś w kącie pokoju, gdzie leżało mnóstwo rulonów. Potem rozłożył na stole mapę Bałtyku. Przycisnął jej rogi kilkoma kamieniami.

- Jesienią 1979 roku - zaczął - a dokładniej na przełomie sierpnia i września. Mieliśmy w planach zwykłe powakacyjne manewry z udziałem większości jednostek marynarki wojennej. Nic szczególnego. Ponieważ pracowałem wtedy w sztabie, przypadała mi jedynie rola obserwatora. Mniej więcej miesiąc przed rozpoczęciem ćwiczeń, kiedy wszystkie plany i rozkłady były gotowe, marszruty wytyczone, a okręty przyporządkowane odpowiednim sektorom, przygotowałem na swój użytek własny plan.

Stworzyłem dokument i opatrzyłem go klauzulą tajności. Podpisał go nawet dowódca naczelny, oczywiście nic o tym nie wiedząc. Do jednego z manewrów dodałem szczególnie tajny element: jeden z naszych okrętów podwodnych miał przećwiczyć wyjątkowo zaawansowaną technikę tankowania paliwa za pomocą jednostki sterowanej radarem. Wszystko było naturalnie moim wymysłem, ale całej operacji nie brakowało sporej dozy prawdopodobieństwa. Podąłem dokładną pozycję i godzinę rozpoczęcia ćwiczeń. Wiedziałem, że w tym samym czasie w pobliżu miał się znajdować ścigacz „Smaland” z obserwatorami na pokładzie. Wziąłem ten dokument ze sobą do domu, zamknąłem na noc w szafce z bronią, a rano, zanim pojechałem do pracy, schowałem go dość dobrze w biurku.

Powtarzałem tę samą procedurę przez kilka dni. Na

drugi tydzień umieściłem spreparowane papiery w skrytce bankowej, wynajętej specjalnie w tym celu. Zastanawiałem się, czy ich po prostu nie zniszczyć, ale pomyślałem, że mogą się przydać jako dowód. Ten miesiąc, który pozostał do rozpoczęcia manewrów, był najgorszym okresem w moim życiu. Wobec Louise musiałem zachowywać się jak gdyby nigdy nic. A przecież zastawiłem na nią pułapkę, która w przypadku potwierdzenia się moich obaw miała zniszczyć nas oboje.

Wskazał palcem na mapie. Wallander pochylił się, by zobaczyć, że chodziło o punkt na północny wschód od wyspy Gotska Sandön.

- Tutaj miało dojść do spotkania między okrętem podwodnym a nieistniejącym tankowcem. To miejsce leżało poza bezpośrednią strefą manewrów. Na odległość obserwowały nas rosyjskie jednostki, nie było w tym nic dziwnego. W podobny sposób my śledziliśmy ćwiczenia wojsk Układu Warszawskiego. Uprzejmie zachowywaliśmy należyty, nieprovokujący dystans. Nie bez przyczyny wybrałem właśnie ten, a nie inny punkt. Naczelnym dowódcą miał rano wysiąść w Berdze, a to znaczyło, że ścigacz w drodze na manewry znalazłby się w odpowiednim miejscu w tym samym czasie, w którym zaplanowałem fikcyjną operację.

- Nie chcę przerywać - wtrącił Wallander - ale czy to naprawdę możliwe, żeby przy tak wielkiej liczbie okrętów zachować zaplanowany rozkład jazdy?

- To było w pewnym sensie celem całych manewrów. Na wojnie potrzebne są nie tylko pieniądze, ale również niemal stuprocentowa punktualność.

Wallander drgnął, gdy coś uderzyło o dach. Nie zauważył żadnej reakcji u swojego rozmówcy.

- Gałąź - wyjaśnił krótko Håkan. - Czasami spadają na dach. Zaoferowałem się, że własnoręcznie zetnę ten stary, zeschnięty dąb. Ale na wyspie nie ma piły spalinowej, a pień jest bardzo gruby. To drzewo zapaściło tu korzenie chyba jeszcze w dziewiętnastym wieku.



Po chwili von Enke wrócił do wydarzeń z końca sierpnia 1979 roku.

- Jesienne manewry zostały okraszone czymś wyjątkowym i zupełnie niezaplanowanym. Na południe od Sztokholmu rozszalał się sztorm, przed którym meteorologowie nie do końca zdążyli nas ostrzec. Na skutek awarii steru okręt podwodny pod dowództwem jednego z naszych najzdolniejszych młodszych kapitanów, Hansa-Olova Fredhalla, musiał zostać odholowany do Bråviken, gdzie czekał w zaciszu na kolejny transport do Muskö.

Nie zazdroszczę tym, którzy byli wtedy na jego pokładzie. Okręty podwodne potrafią się dość mocno huścić. Oprócz tego pod Havringe zaczęła przeciekać jedna z korwet. Na szczęście nie zatонуła, ale całą załogę ewakuowano na inną jednostkę. Większość ćwiczeń przebiegała jednak zgodnie z planem. Gdy wchodziliśmy w ostatnią fazę manewrów, wiało już zdecydowanie mniej. Przyznaję, że byłem niespokojny i przez kilka nocy przed wymyśloną operacją nie mogłem spać. Ale chyba nikt nie uważał, że zachowuję się dziwnie.

Wysadziliśmy na brzeg zadowolonego naczelnego dowódcę. Kapitan ścigacza, którym płynęliśmy, rozkazał nagle rozwinięcie maksymalnej prędkości, chciał sprawdzić, czy jednostka jest w zadowalającym stanie. Przez moment niepokoiłem się, że minimy wyznaczone miejsce za wcześnie. Lecz wysoka fala sprawiła, że prędkość okrętu nie przekroczyła tej, z którą się liczyłem. Spędziłem rano na mostku kapitańskim. Nikt się temu nie dziwił, przecież mimo wszystko sam byłem dowódcą.

Kapitan przekazał obowiązki swojemu zastępcy, Jorgenowi Mattssonowi. Była dziewiąta czterdzieści pięć. To właśnie on w pewnym momencie wręczył mi lornetkę i wskazał przed siebie. Padał deszcz, zalegała dość gęsta mgła. Nie miałem jednak wątpliwości, co ukazało się jego oczom. Przed nami, od strony bakburty, stały dwie łodzie rybackie wyposażone w całą aparaturę monitorującą, te

wszystkie anteny, które tak dobrze znaleźliśmy z patrolowców rosyjskiej marynarki wojennej. Z pewnością nie mieli ryb w ładowniach. Bez wątpienia siedzieli w nich rosyjscy technicy przechwytyjący nasze komunikaty. Może powinienem dodać, że znajdowaliśmy się na wodach międzynarodowych. Rosjanie mieli prawo tam być.

- Czekali na okręt podwodny i ten osobliwy tankowiec?

- Ale o tym Mattsson naturalnie nie miał pojęcia. „Co oni tam wyprawiają? Tak daleko od strefy ćwiczeń?” Po dziś dzień pamiętam, co mu wtedy odpowiedziałem: „A może to są prawdziwe kutry rybackie?” Mój żart nie przypadł mu jednak do gustu. Zadzwoił po kapitana, który już po chwili stał na mostku. Ścigacz zatrzymał się, zdaliśmy raport o obecności obcych łodzi rybackich, przyleciał nawet helikopter i krążył przez jakiś czas nad Rosjanami. W końcu zostawiliśmy ich w spokoju i popłynęliśmy dalej. A ja zdążyłem już zejść do siebie.

- Dowiedziałeś się tego, czego nie chciałeś się dowiedzieć?

- Tak to przeżyłem, że dostałem mdłości, jakich wcześniej nie spowodowała żadna choroba morska. Gdy tylko wróciłem do kabiny, zwymiotowałem. A później położyłem się w koi i pomyślałem, że już nic nie będzie tak jak przedtem. Nie wchodziła w grę inna możliwość niż ta, że moje sfalszowane dokumenty dostały się w ręce ludzi Układu Warszawskiego dzięki działaniom Louise. Niewykluczone, że miała współpracownika, liczyłem wręcz na to; wolałbym, oczywiście, żeby to nie ona była tym bezpośrednim ogniwem obcego wywiadu, tylko pomocniczką szpiega, który dba o decydujące kontakty.

Ale nawet w to nie mogłem uwierzyć. Zbadałem jej życie w najdrobniejszych szczegółach. Nie spotykała się z nikim regularnie. Nadal nie miałem pojęcia, jak to robiła. Nie wiedziałem, w jaki sposób skopiowała te fałszywe papiery. Sfotografowała je czy sporządziła odpis? A może tylko zapamiętała? I jak przekazała zdobyte informacje? Jeszcze ważniejsze było inne pytanie: skąd ona brała te wszystkie

tajne dokumenty? Licha zawartość mojej szafki przecież nie była wystarczająca. Z kim współpracowała?

Nie wiedziałem, mimo że przez ponad rok cały swój wolny czas poświęcałem na zastanawianie się nad tym, co się stało. Musiałem jednak uwierzyć własnym oczom. Leżałem w kajucie, czułem wibracje potężnych silników. Nie miałem drogi odwrotu. Uświadomiłem sobie, że żyję w związku z kobietą, której nie znam. Co oznaczało również, że nie znam samego siebie. Jak mogłem się tak bardzo pomylić?

Von Enke wstał i zwinął mapę. Odłożył ją na półkę, otworzył drzwi i wyszedł na dwór. Jego opowieść nie zdążyła jeszcze dotrzeć do świadomości Wallandera. Była zbyt obszerna i szczegółowa. Ciągłe istniało zbyt wiele pytań wymagających odpowiedzi.

Po chwili von Enke wrócił, zamknął drzwi i sprawdził, czy zapiął rozprek.

- Opowiedziałeś o faktach sprzed ponad dwudziestu lat - powiedział Wallander. - Upłynęło sporo czasu. Dlaczego więc do ostatnich wydarzeń doszło właśnie teraz?

Håkan odparł szorstko, nie kryjąc niechęci.

- A co powiedziałem na samym początku rozmowy? Zapomniałeś? Powiedziałem, że kochałem Louise. To się nigdy nie zmieniło. Niezależnie od tego, co zrobiła.

- Musiałeś przecież pociągnąć ją do odpowiedzialności?

- Musiałem?

- To, że dopuściła się zdrady kraju, to jedna sprawa. Ale zawiodła przecież i ciebie! Wykradała twoje tajemnice. Nie mogłeś żyć z nią, nie ujawniając, co o niej wiesz.

- Nie mogłem?

Wallander nie potrafił w to uwierzyć. Lecz mężczyzna, który teraz obracał w rękach pusty kubek, był przekonujący.

- A zatem nic jej nie powiedziałeś?

- Nigdy.

- Nigdy, przenigdy? To brzmi nieprawdopodobnie.

- A jednak to prawda. Przestałem przynosić do domu

tajne dokumenty. To nie stało się nagle. Zmienił się zakres moich obowiązków zawodowych i tym mogłem wytłumaczyć pustą aktówkę.

- Louise musiała coś zauważyć. W przeciwnym razie to wydaje się niemożliwe.

- Nigdy niczego nie dostrzegłem. Zachowywała się jak zwykle. Po kilku latach myślałem, że to był tylko zły sen. Oczywiście, mogę się mylić. Równie dobrze mogła zrozumieć, że ją przejrzałem. Tak więc żyliśmy obok siebie, dzieliliśmy tajemnicę, nie mając pewności, co o sobie nawzajem wiemy. I tak było do dnia, w którym wszystko miało się zmienić.

Wallander bardziej przeczuwał, niż wiedział, co Håkan ma na myśli.

- Myślisz o obcych okrętach podwodnych?

- Tak. Wtedy bowiem zaczęły krążyć pogłoski o tym, że naczelny dowódca podejrzewa istnienie szpiega w szwedzkiej armii. Pierwsze ostrzeżenia nadeszły od rosyjskiego agenta, który ujawnił się i poprosił o azyl w Londynie.

W szwedzkich siłach zbrojnych miał znajdować się szpieg, którego Rosjanie bardzo cenili. To był podobno ktoś nietuzinkowy, ktoś, kto potrafił zdobyć naprawdę ważne informacje.

Wallander pokręcił powoli głową.

- Trudno to zrozumieć - odezwał się. - Szpieg w szwedzkiej armii. Twoja żona była nauczycielką, w wolnym czasie trenowała młode zdolne skoczkinie do wody. W jaki sposób miała dostęp do tajemnic wojskowych, jeżeli twoja aktówka świeciła pustkami?

- Pamiętam rosyjskiego uciekiniera, nazywał się Ragulin. Jeden z wielu, którzy wtedy poprosili o azyl. Czasami trudno było ich rozróżnić. Nie znał, oczywiście, nazwiska ani innych szczegółów dotyczących osoby, którą Rosjanie wręcz wielbili. Ale wiedział coś, co dramatycznie zmieniało postać rzeczy. Również jeżeli chodzi o mnie.

- Co wiedział?

Håkan odstawił kubek, jak gdyby potrzebował zebrać się w sobie. Wallander zdążył pomyśleć o Kirowie, innym rosyjskim uciekinierze, wspomnianym przez Hermana Ebera.

- To była kobieta - powiedział w końcu. - Ragulin słyszał, że szwedzki agent jest kobietą.

Wallander siedział w milczeniu. Myszy chrobotowały cichutko w ścianach.

## 32

We wnęce okiennej stała butelka z niedokończonym okrętem w środku. Wallander zwrócił na nią uwagę dopiero wtedy, gdy Håkan po raz drugi podniósł się i wyszedł z domu, jakby nie mógł pogodzić się z tym okrutnym wyznaniem, że jego żona okazała się szpiegiem. Kiedy nagle przeprosił i opuścił pokój, błyszczały mu oczy. Nie zamknął za sobą drzwi. Zaczęło świtać; minęło ryzyko, że ktoś dojrzy sączące się z domu światło. Kiedy wrócił, zastał Wallandera przy oknie, studiującego misterne rękodzieło, które wkrótce miało zamienić się w gotową miniaturkę okrętu.

- „Santa Maria” - objaśnił von Enke. - Żaglowiec Kolumba. To pozwala mi rozproszyć myśli. Nauczyłem się tej sztuki od pewnego starego maszynisty, który popadł w alkoholizm. Nie mógł dłużej pracować na okrętach. Chodził więc po Karlskronie i opowiadał różne niestworzone rzeczy o wszystkim i wszystkich. Ale, co osobliwe, potrafił robić miniatury statków, mimo że według wszelkiego prawdopodobieństwa powinny mu drzeć ręce. Ja sam nigdy nie miałem wcześniej czasu, dopiero tutaj, na wyspie...

- Na bezimiennej wyspie - wtrącił Wallander.

- Nazywam ją Blåskär. Musi mieć jakieś imię. Blakulla i Bla Jungfrun są już zaklepane.

Znów usiedli przy stole. Jakby bez słów doszli do porozumienia, że sen może poczekać. Zaczęli rozmawiać i

nie mogli teraz skończyć ot tak. Wallander zrozumiał, że nadeszła jego kolej, Håkan czekał na pytania.

Wrócił do punktu wyjścia.

- Kiedy skończyłeś siedemdziesiąt pięć lat, chciałeś ze mną porozmawiać. Ale do dziś nie pojmuję, dlaczego postanowiłeś opowiedzieć o tych zdarzeniach właśnie mnie? Nigdy też właściwie nie dobrnęliśmy do końca. Pewnych rzeczy nigdy nie zrozumiałem. I dalej nie rozumiem.

- Sądziłem, że powinienes się dowiedzieć. Mój syn i twoja córka, nasze jedyne dzieci, przeżyją ze sobą, miejmy nadzieję, całe życie.

- Nie. To mi nie wystarczy za odpowiedź. Jestem przekonany że był jakiś inny powód. I muszę ci powiedzieć, jak bardzo mnie to oburzyło, że nie wyznałeś wtedy całej prawdy.

Von Enke patrzył na niego, nie rozumiejąc.

- Ty i Louise macie córkę, która jest w Niklasgården. Jak widzisz, wiem, gdzie Signe spędza swoje życie. A ty nic o niej nie powiedziałeś. Nawet własnemu synowi.

Håkan wpatrywał się w niego skamieniały. Tego człowieka trudno zaskoczyć, pomyślał Wallander. Ale teraz naprawdę zbaraniał.

- Byłem tam - mówił dalej. - I widziałem ją. Wiem poza tym, że systematycznie ją odwiedzałeś. I że złożyłeś jej wizytę na dzień przed zniknięciem. Możemy oczywiście brnąć w kłamstwa, możemy zamienić tę rozmowę w pogawędkę, która niczego nie wyjaśni, a tylko zaciemni i tak już niejasny obraz. Wybór należy do nas. Albo mówiąc poprawniej: do ciebie. Ja już wybrałem.

Wallander obserwował von Enkego, nie rozumiejąc, dlaczego się waha.

- Masz, oczywiście, rację - odezwał się w końcu Håkan. - Ja po prostu przyzwyczailem się do ciągłego negocjowania jej istnienia.

- Dlaczego?

- Ze względu na Louise. Zawsze miała wobec Signe

osobliwe poczucie winy. Mimo że kalectwo naszej córki nie było spowodowane ani urazem przy porodzie, ani nie wynikało z diety w czasie ciąży. Nigdy o niej nie rozmawialiśmy. Dla Louise Signe po prostu nie istniała. Ale dla mnie jak najbardziej. Zawsze mnie dręczyło to, że nie mogłem nic powiedzieć Hansowi.

Wallander milczał. Von Enke nagle zrozumiał dlaczego.

- Powiedziałaś mu? Czy to było konieczne?

- Uznałem, że jeżeli nie poinformuję go o siostrze, zachowam się niegodziwie.

- Jak zareagował?

- Był wstrząśnięty, co zrozumiałe. Miał prawo czuć się oszukany.

Håkan pokręcił wolno głową.

- Obiecałem Louise i nie mogłem złamać obietnicy.

- Sam musisz z nim o tym porozmawiać. Albo i nie. Co w jakimś sensie prowadzi do zupełnie innego pytania: co robiłeś kilka dni temu w Kopenhadze?

Zdziwienie von Enkego było autentyczne. Wallander poczuł, że ma przewagę. Pozostała tylko kwestia, jak ją wykorzystać, by zmusić mężczyznę po drugiej stronie stołu do mówienia prawdy. Miał bowiem jeszcze wiele pytań do niego.

- Skąd wiesz, że byłem w Kopenhadze?

- Na razie pozostawię to pytanie bez odpowiedzi.

- Dlaczego?

- Dlatego że to teraz nie ma znaczenia. A poza tym to ja zadaję tutaj pytania.

- Czy mam rozumieć, że poddajesz mnie normalnemu przesłuchaniu?

- Nie. Ale nie zapominaj, że znikając, wystawiłeś swojego syna i moją córkę na ciężkie przejścia. Na samą myśl o tym, jak się zachowałeś, wzbiera we mnie wściekłość. Żeby nad nią zapanować, musisz po prostu odpowiadać na moje pytania zgodnie z prawdą.

- Postaram się.

Wallander zaczął na nowo.

- Kontaktowałeś się z Hansem?

- Nie.

- Miałeś taki zamiar?

- Nie.

- Co tam robiłeś?

- Podjąłem pieniądze.

- Przed chwilą powiedziałeś, że nie miałeś kontaktu z synem? A o ile wiem, to on zarządza waszymi finansami.

- Mieliśmy z Louise konto w Danske Bank, tylko dla siebie. Już na emeryturze dostałem kilka zleceń konsultingowych od firmy produkującej systemy broni na potrzeby marynarki wojennej. Honorarium wypłacano w dolarach. Wiem, że to szachrajstwo wobec urzędu skarbowego.

- O jakie sumy chodziło?

- Myślę, że to teraz nieważne. Chyba że chcesz mnie oskarżyć o popełnienie przestępstwa podatkowego.

- Są dużo poważniejsze sprawy, o które możesz być oskarżony. A teraz odpowiedz na pytanie!

- Około pół miliona koron szwedzkich.

- Dlaczego założyliście konto w duńskim banku?

- Korona duńska była stabilna i miała się dobrze.

- Nie miałeś żadnego innego powodu, by przyjechać do Kopenhagi?

- Nie.

- Jak się tam dostałeś?

- Pociągiem z Norrköping. A najpierw taksówką. Eskil, którego spotkałeś, podwiózł mnie łodzią do Fyrudden. I odebrał, gdy wróciłem.

Wallander chwilowo nie miał powodu, by wątpić w prawdziwość odpowiedzi.

- Czy Louise wiedziała o twoich czarnych dochodach?

- Miała do nich taki sam dostęp jak ja. Żadne z nas nie czuło wyrzutów sumienia. Obydwoje uważaliśmy, że szwedzkie podatki są bezwstydnie wysokie.

- Dlaczego potrzebowałeś pieniędzy właśnie teraz?

- Ponieważ skończyły mi się zapasy. Nawet jeżeli



człowiek żyje po spartańsku, to mimo wszystko wydaje pieniądze.

Wallander na jakiś czas zrezygnował z dalszych pytań o podróż do Kopenhagi i powrócił do Djursholmu.

- Zastanawia mnie jedna rzecz i tylko ty możesz mi to wyjaśnić. Kiedy wyszliśmy na taras, dostrzegłeś za moimi plecami mężczyznę stojącego na ulicy. Przyznaję, że sporo o tej chwili myślałem. Kim on był?

- Nie wiem.

- Ale zaniepokoiłeś się na jego widok?

- Zdjął mnie strach!

To nie była odpowiedź, to był ryk. Wallander wyostrzył czujność. Może to długie ukrywanie się było dla von Enkego mimo wszystko zbyt wielkim obciążeniem? Postanowił, że będzie działać ostrożniej.

- A jak myślisz, kto to mógł być?

- Odpowiedziałem już, że nie wiem. To w gruncie rzeczy też nie jest ważne. Ten człowiek pojawił się tam, żeby swoją obecnością mi przypomnieć. Tak przynajmniej myślę.

- Co ci miał przypomnieć? Proszę, nie każ mi wyciągać z siebie każdej odpowiedzi.

- W jakiś sposób współpracownicy Louise musieli zrozumieć, że zacząłem ją podejrzewać. Może sama ich poinformowała? Już wcześniej niekiedy odnosiłem wrażenie, że jestem pod obserwacją. Nigdy jednak tak wyraźnie jak wtedy w Djursholmie.

- Twierdzisz więc, że byłeś śledzony?

- Nie regularnie. Ale czasami widziałem, że ktoś za mną chodzi.

- Jak długo to trwało?

- Nie wiem. Może od dawna, tylko wcześniej tego nie zauważyłem? Może od lat?

- Przejdźmy z tarasu do pokoju bez okien - kontynuował Wallander. - Chciałeś się gdzieś zaszyć i porozmawiać. Ale do dzisiaj nie wiem, dlaczego wybrałeś właśnie mnie na swojego spowiednika.

- Nie miałem żadnego planu. Działalem pod wpływem impulsu. Czasami sam czuję się zaskoczony własnymi decyzjami. Przypuszczam, że tobie też się to zdarza. Cała ta uroczystość była okropna. Skończyłem siedemdziesiąt pięć lat i brałem udział w przyjęciu urodzinowym, którego tak naprawdę nie chciałem. Może ogarnęło mnie coś w rodzaju paniki?

- Już później pomyślałem, że twoja opowieść musiała pewnie zawierać jakieś ukryte przesłanie. Czy to słuszne przypuszczenie?

- Nie. Chciałem to po prostu opowiedzieć. A może też sprawdzić, czy odważyłbym się powierzyć ci później tajemnicę? Wyznać, że moja żona najprawdopodobniej zdradza swój kraj?

- Nie mogłeś porozmawiać o tym z kimś innym? Na przykład ze Stenem Nordlanderem? Przecież to twój najbliższy przyjaciel.

- Wstydziłem się już na samą myśl o wyjawieniu mu tej tragicznej sytuacji.

- A Steven Watkins? Jemu opowiedziałeś o córce.

- Nie byłem wtedy trzeźwy. Wypiliśmy ogromne ilości whisky. Później żałowałem swojej otwartości. Miałem nadzieję, że niewiele zapamiętał. Najwyraźniej jednak nie zapomniał.

- Sądził, że ja też wiem.

- Co mówią moi przyjaciele o zniknięciu?

- Są niespokojni. Wstrząśnięci. Kiedy się dowiedzą, że cały czas siedziałeś tu, w ukryciu, puszcza im nerwy. Podejrzewam, że możesz ich stracić. Co prowadzi do kolejnego pytania: dlaczego zniknąłeś?

- Czulem się zagrożony. Mężczyzna za ogrodzeniem to tylko coś w rodzaju preludium. Nagle zacząłem odkrywać śledzące mnie cienie, gdziekolwiek się ruszyłem. To było coś nowego. Odbierałem dziwne telefony. Jak gdyby zawsze wiedzieli, gdzie jestem. Pewnego dnia, gdy oglądałem wystawę w Muzeum Morskim, podszedł do mnie woźny i powiedział, że mam telefon. Jakiś mężczyzna

ostrzegął mnie łamanym szwedzkim. Nie powiedział, przed czym, tylko to, że powinienem uważać.

Nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Nigdy wcześniej tak się nie bałem. Byłem bliski pójścia na policję, chciałem zadenuncjować Louise. Myślałem, żeby wysłać im anonim. W końcu zabrakło mi sił. Wynająłem domek łowiecki. Eskil przyjechał do Sztokholmu i zabrał mnie spod stadionu w trakcie mojego porannego spaceru. Od tamtej pory cały czas siedzę tutaj, z wyjątkiem tego wypadu do Kopenhagi.

- Wciąż nie potrafię zrozumieć, dlaczego nie skonfrontowałeś Louise ze swoimi podejrzeniami, które przecież z czasem zamieniły się w przeświadczenie. Jak mogłeś żyć z osobą, która była szpiegiem?

- To nieprawda. Skonfrontowałem. Nawet dwukrotnie. Pierwszy raz w roku śmierci Olofa Palmego, która oczywiście nie ma tutaj nic do rzeczy, ale to był niespokojny czas. Bywało, że siedziałem w towarzystwie kolegów i przy kawie rozmawialiśmy o domniemanym szpiegu, który grasuje wśród nas. Znalazłem się w okropnej sytuacji: pogryzając drożdżówkę, rozprawiałem o ewentualnym agencie, którym mogła być moja żona.

Wallander zaczął nagle kichać, raz za razem. Von Enke przeczekał atak.

- To było latem 1986 roku. Pojechaliśmy na Riwierę z parą przyjaciół, komandorem porucznikiem Frusem i jego żoną; grywaliśmy z nimi w brydża. Mieszkaliśmy w hotelu w Mentonie. Pewnego dnia jedliśmy obiad sami, ponieważ do Frusów przyjechała z wizytą jedna z córek. Wieczorem poszliśmy na spacer po mieście. Nagle zatrzymałem się w pół kroku i zapytałem ją bez ogródek. Nie przygotowywałem się, po prostu coś we mnie pękło, chyba tak. Stałem przed nią i zadałem pytanie: jesteś szpiegiem czy nie? Zezłościła się, najpierw odmówiła odpowiedzi i podniosła rękę, jakby chciała mnie uderzyć.

Po chwili opanowała się i zupełnie spokojnie odparła, że oczywiście nie jest żadnym szpiegiem. Jak mogło mi przyjść do głowy coś tak niedorzecznego? Co miałyby do

przekazania obcemu państwu? Pamiętam, że się uśmiechała. Nie potraktowała mnie poważnie, więc ja też nie mogłem tego zrobić. Nie wierzyłem, że Louise potrafi tak doskonale udawać. Przeprosiłem ją, wytłumaczyłem się zmęczeniem. Przez resztę tamtego lata byłem przekonany, że się pomyliłem. Ale jesienią ponownie ogarnęły mnie wątpliwości.

- Co się stało?

- To samo. Dokumenty w szafce na broń, wrażenie, że ktoś przesuwają aktówkę.

- Zauważyłeś jakąś różnicę po tym, jak w Mentonie wspomniała jej o swoich podejrzaniach?

Zastanowił się, zanim odpowiedział.

- Oczywiście, wielokrotnie sam zadawałem sobie to pytanie. Czasami wydawało mi się, że zachowywała się inaczej, czasami nie. Po dziś dzień nie mam pewności.

- W jakich okolicznościach postawiłeś ją pod ścianą po raz drugi?

- To było zimą 1996 roku, dokładnie dziesięć lat później. Siedzieliśmy w domu przy kuchennym stole, jedliśmy śniadanie. Za oknem padał śnieg. Ni stąd, ni zowąd zapytała mnie o to, co mówiłem do niej w nocy przez sen. Podobno krzychałem, że ona jest szpiegiem.

- A krzychałeś?

- Nie wiem. Zdarza mi się mówić przez sen, ale przecież sam tego nigdy nie pamiętam.

- Co odpowiedziałeś?

- Przyjąłem inny punkt wyjścia. Zapytałem ją, czy ten mój sen mógł być prawdą.

- A co ona na to?

- Rzuciła we mnie serwetką i wyszła z kuchni. Wróciła po dziesięciu minutach. Pamiętam, że spojrzałem na zegarek. Minęło dokładnie dziewięć minut i czterdzieści pięć sekund. Przeprosiła, znów była sobą i wyjaśniła raz na zawsze, jak powiedziała, że nie chce więcej słyszeć o tych absurdalnych podejrzaniach. Jeżeli będę je powtarzał, to uzna, że albo postradałem zmysły, albo cierpię na

demencję.

- A co było później?

- Nic. Ale moje obawy nie zmaląły. Nie przestawały też krążyć plotki o szpiegu w szwedzkich siłach zbrojnych. Dwa lata później sprawy zaszły tak daleko, że najzupełniej poważnie myślałem, iż postradałem zmysły.

- Co się stało?

- Zostałem wezwany na przesłuchanie przez wojskową służbę bezpieczeństwa. Nie postawiono przeciw mnie żadnych konkretnych zarzutów. Przez pewien czas należałem jednak do grupy osób podejrzanych o szpiegostwo. Groteskowa sytuacja. Pamiętam, rozumowałem w ten sposób: jeżeli to prawda, że Louise sprzedaje Rosjanom tajemnice wojskowe, to znalazła sobie perfekcyjny kamuflaż.

- Ciebie?

- Tak. Mnie.

- A co było później?

- Nic. Fałszywe pogłoski o wielkim szpiegu pojawiały się i znikwały, czasami z mniejszą, czasami z większą siłą. Wielu z nas wzywano na przesłuchania, nawet po przejściu na emeryturę. A ja miałem wciąż nieodparte wrażenie, że jestem pod obserwacją.

Von Enke wstał, zgasił palące się wciąż lampy, podniósł rolety. Szary świt i równie szare morze zamajaczyły między drzewami. Wallander podszedł do okna. Na zewnątrz wiało coraz mocniej. Zaniepokoił się o łódź. Håkan poszedł z nim, by sprawdzić cumy. Na grzbietach fal kołysało się kilka edredonów. Słońce niespiesznie rozpraszało nocną mgłę. Łódź była na swoim miejscu. Wspólnymi siłami wciągnęli dziób jeszcze wyżej na kamienisty brzeg.

- Kto zabił Louise? - zapytał Wallander, gdy uporali się z łodzią.

Von Enke odwrócił się i spojrział na niego. Wallander pomyślał, że pewnie mniej więcej w ten sposób Håkan odezwał się do żony w Mentonie.

- Kto ją zabił? Pytasz o to mnie? Wiem tylko, że to nie ja. A co na to policja? Jakie jest twoje zdanie?

- Wydaje mi się, że policjant prowadzący śledztwo w Sztokholmie jest kompetentny. Ale on nie wie. Może powinienem dodać: na razie. Zazwyczaj nie poddajemy się po pierwszych niepowodzeniach.

Wrócili do domku w milczeniu, usiedli na swoich miejscach przy stole i kontynuowali rozmowę.

- Zacznijmy od początku - zaproponował Wallander. - Dlaczego zniknęła? Dla nas, obserwatorów z zewnątrz, sensownym wyjaśnieniem było to, że wcześniej się umówiliście.

- Ale to nieprawda. Dowiedziałem się o jej zniknięciu z gazet. Przeżyłem szok.

- A więc Louise nie wiedziała, gdzie się podziałeś?

- Nie.

- Jak długo zamierzałeś się ukrywać?

- Chciałem pobyć w spokoju, zastanowić się. Grożono mi śmiercią. Musiałem znaleźć jakieś wyjście.

- Spotkałem się z Louise kilka razy. Była prawdziwie i głęboko zaniepokojona twoim zniknięciem.

- Oszukała cię, tak jak oszukała mnie.

- Nie jestem pewien. Nie mogła kochać cię równie mocno jak ty ją?

Von Enke nie odpowiedział, pokręcił tylko głową.

- Udało ci się? - zapytał Wallander. - Znalazłeś wyjście?

- Nie.

- Musiałeś tutaj myśleć, roztrząsać, spędzać bezsenne noce. Wierzę ci, gdy zapewniasz, że kochałeś Louise. A jednak nie opuściłeś kryjówki, kiedy umarła. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wraz z jej śmiercią powinna zniknąć wisząca nad tobą groźba. Nie potrafię tego ułożyć w całość.

- Od jej śmierci schudłem prawie dziesięć kilo. Nie mogę jeść, mam kłopoty ze snem. Próbuje zrozumieć, co się wydarzyło, ale bez powodzenia. To tak jak gdyby Louise stała się dla mnie obcym człowiekiem. Nie wiem, z kim się

spotykała, co doprowadziło do jej śmierci. Nie potrafię udzielić żadnych odpowiedzi.

- Czy kiedykolwiek odniosłeś wrażenie, że Louise się boi?

- Nigdy.

- Zdradzę ci coś, o czym nie wspomniano w mediach; policja na razie nie chce podawać szczegółów do publicznej wiadomości.

Wallander opowiedział o podejrzaniach, że Louise została otruta środkiem, którego używano wcześniej w NRD.

- Wygląda na to, że cały czas miałeś rację - zakończył. - Na jakimś etapie życia twoja żona została agentką rosyjskiego wywiadu. Robiła to, o co ją podejrzewałeś. To ona była tym szpiegiem, o którym krążyły pogłoski.

Von Enke podniósł się gwałtownie i wyszedł z domu. Wallander czekał. Po jakimś czasie, lekko zaniepokojony, wyszedł na zewnątrz. Znalazł Håkana leżącego w rozpadlinie skalnej po tej stronie wyspy, która wychodziła na otwarte morze. Usiadł na kamieniu obok.

- Musisz wrócić - powiedział. - Nic się nie wyjaśni, jeżeli ciągle będziesz się tu ukrywał.

- A może i na mnie czeka ta sama trucizna? Czy moja śmierć coś polepszy?

- Na pewno nie. Ale policja może ci zapewnić ochronę.

- Muszę się oswoić z myślą, że mimo wszystko miałem rację. Muszę spróbować zrozumieć, dlaczego i jak ona to wszystko robiła. Dopiero potem mogę wrócić.

- Nie powinieneś zwlekać z tym zbyt długo - powiedział Wallander, wstając.

Ruszył w kierunku domku łowieckiego. Teraz on zaparzył kawę. Głowa

ciężła mu po nieprzespanej nocy. Jeszcze przed powrotem Håkana zdążył wypić dwa kubki.

- Porozmawiajmy o Signe - zaczął. - Odwiedziłem ją i znalazłem skoroszyt, który ukryłeś wśród jej książek.

- Kochałem córkę. Ale składałem jej wizyty w tajemnicy.

Louise nic o nich nie wiedziała.

- A więc tylko ty ją odwiedzałeś?

- Tak.

- Mylisz się. Po twoim zniknięciu był tam, co najmniej raz, inny człowiek. Podał się za twojego brata.

Von Enke pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nie mam brata. Jedynie dalekiego krewnego w Anglii, to wszystko.

- Wierzę ci - odparł Wallander. - Nie mamy pojęcia, kim jest ten mężczyzna, który odwiedził twoją córkę. Co być może oznacza, że sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana, niż przypuszczaliśmy, i ty, i ja.

Na twarzy von Enkego odmalowała się wyraźna zmiana. Nic, o czym do tej pory rozmawiali, nie wzbudziło w nim takiego niepokoju, jak wiadomość, że jakiś nieznajomy złożył Signe wizytę w Niklasgården.

Dochodziła szósta. Długa nocna rozmowa dobiegła końca. Rozmówcom zabrakło po prostu sił.

- Jadę - oznajmił Wallander. - Na razie jestem jedyną osobą, która wie, gdzie się znajdujesz. Ale nie możesz zwlekać z powrotem w nieskończoność. Poza tym będę cię jeszcze nękał pytaniami. Zastanów się, kim mógł być ten gość w Niklasgården. Ktoś musiał za tobą pojechać. Kto? Dlaczego? To nie koniec naszej rozmowy.

- Powiedz Hansowi i Lindzie, że mam się dobrze. Nie chcę, żeby się niepokoili. Powiedz im, że do ciebie napisałem.

- Powiem, że zadzwoniłeś. Linda od razu zażądałaby tego twojego listu.

Poszli razem na brzeg i wspólnie zepchnęli łódź do wody. Zanim opuścili

domek łowiecki, Wallander dostał numer telefonu von Enkego, z zastrzeżeniem, że zasięg na wyspie nie jest najlepszy. Wiatr przybrał na sile. Wallander, trochę zdenerwowany swoją podróżą do domu, wsiadł do łodzi i opuścił silnik.



- Chcę wiedzieć, co się stało Louise - powiedział von Enke. - Muszę się dowiedzieć, kto ją zabił. Muszę się dowiedzieć, dlaczego wybrała życie zdrajczyni kraju.

Silnik zapalił już przy pierwszej próbie. Wallander pomachał ręką na pożegnanie i skierował stewę ku lądowi. Gdy zamierzał skręcić za cypelkiem, obejrzał się ostatni raz. Håkan ciągle stał na brzegu.

W tym samym momencie Wallandera tknęło przecucie, że coś jest nie tak, jak być powinno. Nie miał pojęcia dlaczego. Lecz ogarniające go wrażenie było niezwykle silne.

Pokonał długą cieśninę, oddał łódź i ruszył w drogę powrotną do Skanii. Zatrzymał się na parkingu pod Gamleby i w samochodzie zapadł w kilkugodzinną drzemkę.

Obudził się zdrtwiałym. Nieustannie trapiło go to samo doznanie. Po długiej nocy z Håkanem dręczyła go właściwie tylko ta jedna rzecz. To było coś w rodzaju ostrzeżenia. Coś się nie zgadzało. Musiał coś przeoczyć.

Wjeżdżając na swoje podwórze, wiele godzin później, ciągle nie wiedział, co uszło jego uwadze. Pomyślał tylko: nic nie jest takie, jakim nam się wydaje.

### 33

Następnego dnia Wallander napisał streszczenie rozmowy z Håkanem. Później jeszcze raz przejrzał cały zebrany materiał. Louise wciąż wydawała się osobą całkowicie anonimową. Jeżeli faktycznie sprzedawała informacje Rosjanom, to bardzo umiejętnie skrywała się pod maską osoby bezbarwnej i nieokreślonej. Kim była naprawdę?, myślał Wallander. Może należała do ludzi, których potrafimy zrozumieć dopiero po ich śmierci? A może i wtedy nie?

Tego lipcowego dnia w całej Skanii padał deszcz i wiał silny wiatr. Obserwując nędzną pogodę przez okna,

Wallander pomyślał, że to lato ma szansę zapisać się w jego pamięci jako jedno z najbrzydszych. Mimo wszystko zmusił się do wyjścia z Jussim na długi spacer. Chciał dotlenić krew i oczyścić umysł. Zatęsknił intensywnie za słońcem i spokojem; chciał rozłożyć się wygodnie w ogrodzie i nie wyteżać mózgu, który teraz pracował na pełnych obrotach.

Kiedy wrócił ze spaceru, zdjął mokre ubranie i w znoszonym szlafroku usiadł przy telefonie. Zaczął kartkować swój notes, pełen przekreślonych numerów, poprawek i dopisków. Dzień wcześniej, jadąc samochodem, przypomniał sobie o starym koledze szkolnym, Sölvem Hagbergu, który ewentualnie mógłby mu przyjść z pomocą. To właśnie jego numeru telefonu teraz szukał.

Zapisał go parę lat temu, kiedy zupełnie przypadkowo spotkali się na ulicy w Malmö. Hagberg był nietypowy już jako dziecko. Wallander przypomniał sobie ze wstydem, że sam należał do tych, którzy dręczyli go za wadę wzroku i za autentyczny zapał do nauki w szkole. Jednak każda próba złamania dumy tego kujona kończyła się niepowodzeniem.

Wszystkie groźby, kuksańce i kopniaki nie robiły na nim najmniejszego wrażenia.

Po zakończeniu szkoły nie mieli ze sobą kontaktu aż do dnia, w którym Wallander ku swemu zdumieniu odkrył, że były kolega bierze udział w telewizyjnym teleturnieju *Kvitt eller Dubbelt*<sup>9</sup>. Jeszcze większe zdziwienie wzbudziło w nim to, że Sölve odpowiadał na pytania dotyczące historii szwedzkiej floty. Już w szkole nie należał do najszcuplejszych, co naturalnie czyniło z niego łatwą ofiarę mobbingu.

Jeżeli wtedy miał nadwagę, to teraz był najzwyczajniej potwornie gruby. Wyglądało to tak, jakby wtoczył się do studia na niewidzialnych kółeczkach. Był łysy, nosił

---

<sup>9</sup> *Kvitt eller Dubbelt* - szwedzki teleturniej nadawany cyklicznie od 1957 do lat osiemdziesiątych, mający wiele wspólnych cech z polską *Wielką grą*.

okulary bez oprawek i mówił tym samym niezrozumiałym dialektem co w latach szkolnych. Mona skomentowała z obrzydzeniem jego wygląd i wyszła do kuchni, by zaparzyć kawę, podczas gdy Wallander patrzył, jak Sölve z niesłychaną pewnością siebie odpowiada prawidłowo na pytanie za pytaniem. Udzielał precyzyjnych, wyczerpujących odpowiedzi i oczywiście wygrał.

Nie zawahał się ani razu. Wiedział naprawdę wszystko o długiej i skomplikowanej historii floty. W młodości marzył o tym, by odbyć służbę wojskową w marynarce, a później zostać zawodowym oficerem. Rzecz jasna ze względu na warunki fizyczne nie przyjęto go w poczet rekrutów. Poniżony wrócił wówczas do swoich ksiązek i modeli okrętów. A teraz wziął odwet.

Na krótko zainteresowała się nim prasa. Tu i ówdzie pojawił się wywiad z tym osobliwym człowiekiem, który wciąż mieszkał w Limhamn, a utrzymywał się z prowadzenia wykładów i pisania artykułów do czasopism i roczników wydawanych przez różne instytucje wojskowe. Przy każdej okazji wspomniano również potężne archiwum Hagberga, zawierające szczegółowe i nieustannie aktualizowane dane na temat oficerów szwedzkiej marynarki, począwszy od XVII wieku. Może właśnie w tym archiwum Wallander odnajdzie informacje, które powiedzą mu coś więcej o Håkanie von Enkem?

W końcu znalazł numer, zapisany na pomazanym marginesie przy literze H. Przysunął do siebie aparat i wystukał odpowiednie cyfry. Odebrała jakaś kobieta. Wallander przedstawił się i zapytał o Sölvego.

- Sölve nie żyje.

Wallander zaniemówił. Kobieta po chwili upewniła się, czy nie odłożył słuchawki.

- Jestem. Nie wiedziałem, że umarł.

- Dwa lata temu. Na atak serca. Miał cykl wykładów w Ronneby, dla emerytowanych maszynistów marynarki wojennej. W trakcie obiadu nagle osunął się na podłogę. Dostałam osobliwą wiadomość, że „zmarł między daniem

głównym a deserem”.

- Jest pani jego żoną?

- Asta Hagberg. Byliśmy małżeństwem przez dwadzieścia sześć lat. Mówiłam mu, że musi schudnąć. Przejął się tym na tyle, że zamiast czterech kostek cukru do kawy brał trzy. A kim pan jest?

Wallander wyjaśnił i zawiedziony postanowił zakończyć rozmowę tak szybko jak to tylko możliwe.

- Był pan jednym z tych, którzy go wyśmiewali - powiedziała niespodziewanie, kiedy umilkł. - Pamiętam nazwisko. Jednym z tych, którzy go zadreczali w szkole. Miał was wszystkich zapisanych, dokładnie śledził wasze życie. Nie wstydził się i z radością notował, że komuś powinęła się noga. Dlaczego pan dzwoni? Czego pan chce?

- Myślałem, że będę mógł zajrzeć do jego archiwum.

- Sölve nie żyje, ale może ja potrafię panu pomóc? Nawet jeżeli nie jestem pewna, czy mam na to ochotę. Dlaczego nie zostawiliście go w spokoju?

- Myślę, że nikt z nas tak naprawdę nie wiedział, co robi. Dzieci potrafią być złośliwe. Nie należałem do wyjątków.

- Żałuje pan?

- Naturalnie.

- To niech pan przyjeżdża. Sölve chyba przeczuwał, że długo nie pożyje, dlatego wprowadził mnie w organizację swojego archiwum. Nie wiem, co to będzie, jak ja umrę. Zawsze jestem w domu. Sölve zostawił po sobie sporo pieniędzy. Nie muszę pracować.

Zaśmiała się.

- Wie pan, jak je zarobił?

- Przypuszczam, że był wziętym wykładowcą?

- Nigdy nie pobierał honorariów za wykłady. Proszę zgadywać dalej!

- Nie mam pojęcia.

- Grał w pokera. Bywał w nielegalnych klubach. Chyba właśnie takimi rzeczami się pan zajmuje?

- Myślałem, że teraz w karty gra się w sieci.

- Internet go nie interesował. On jeździł do tych swoich

klubów, czasami tygodniami nie było go w domu. Zdarzało się, że przepuszczał duże sumy, ale najczęściej wracał z walizką pełną banknotów. Prosił mnie tylko, żebym przeliczyła i wpłaciła do banku. A on sam kładł się do łóżka i spał, nawet przez dwa dni. Kilka razy była u nas policja. Parę razy złapano go w czasie obławy, ale nigdy nie doszło do oskarżenia i wyroku. Myślę, że miał umowę z policją.

- Co pani przez to rozumie?

- Czy mogę rozumieć coś innego niż to, że od czasu do czasu przekazywał im informacje? Że w tych klubach pojawiają się poszukiwane osoby ze zrabowanymi pieniędzmi? Przecież nikt nie mógł podejrzewać grzecznego grubasa Sölvego o donosicielstwo? Przyjdzie pan czy nie?

Zapisując adres, Wallander uzmysłowił sobie, że Sölve przez cały czas mieszkał na tej samej ulicy w Limhamn. Umówili się na piątą po południu tego samego dnia. Potem zadzwonił do Lindy. Wysłuchawszy informacji z automatycznej sekretarki, powiedział tylko, że jest w domu. Później wyrzucił zepsute jedzenie z lodówki, w której nagle zrobiło się prawie pusto, i sporządził listę zakupów. Kiedy zbierał się do wyjścia, oddzwoniła Linda.

- Właśnie wróciłam z apteki. Klara jest chora.

- Coś poważnego?

- Naprawdę nie musisz za każdym razem sobie wyobrażać, że jest umierająca. Ma gorączkę i zaczerwienione gardło. Nic strasznego.

- Byłaś z nią u lekarza?

- Zadzwoniłam do przychodni. Myślę, że mam wszystko pod kontrolą. Nie gorączkuj się więc i nie zarażaj paniką innych. Gdzie byłaś?

- Teraz ci tego nie powiem.

- Czyli kobieta. To dobrze.

- Żadna kobieta. Ale mam ważną wiadomość. Przed chwilą odebrałem telefon. Odezwał się Håkan.

Najpierw jakby nie zrozumiała. A potem zaczęła krzyczeć

w słuchawkę.

- Odezwał się Håkan? Co ty, kurwa, mówisz? Gdzie jest? Jak się czuje? Co się stało?

- Nie krzycz mi tak do ucha! Nie wiem, gdzie jest. Nie chciał zdradzić. Powiedział, że ma się dobrze. Nic nie wskazywało na to, że coś mu dolega.

Wallander słyszał jej ciężki oddech. Czuł się fatalnie, okłamując własną córkę. Żałował złożonej na wyspie obietnicy. Powiem prawdę, pomyślał. Nie mogę oszukiwać Lindy.

- To zupełnie nieprawdopodobne! Nie powiedział nic o tym, dlaczego zniknął?

- Nie. Ale zapewnił, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Louise. Był tak samo zszokowany jak my. Nie kontaktował się z nią, odkąd wyszedł z domu.

- Czy moi teściowie są kompletnie niepoczytalni?

- Nie umiem ci na to odpowiedzieć. W każdym razie powinniśmy się cieszyć, że Håkan żyje. Chciał, żebym wam przekazał tę wiadomość. Ma się dobrze. Ale nie mógł powiedzieć, kiedy wróci i dlaczego się ukrywa.

- Tak powiedział? Że się ukrywa?

Wallander zrozumiał, że zdradził za dużo. Było już jednak za późno, by się wycofać.

- Nie pamiętam dokładnie, jakich użył słów. Nie zapominaj, że mnie też totalnie zaskoczył.

- Muszę powiadomić Hansa. Jest w Kopenhadze.

- Dzisiaj po południu nie będzie mnie w domu. Zadzwoń wieczorem, to porozmawiamy. Jestem ciekaw reakcji Hansa.

- Myślę, że tylko się ucieszy.

Wallander odłożył słuchawkę z niesmakiem. Tego dnia, w którym prawda wyjdzie na jaw, będzie musiał zmierzyć się z wściekłością Lindy.

Poirytowany pojechał do Ystad na zakupy. Sprawił sobie nowy garnek, którego nie potrzebował, i po raz kolejny stwierdził, że ceny żywności osiągnęły absurdalnie wysoki

poziom. Przespacerował się przez centrum miasta, zajrzał do sklepu z konfekcją męską, kupił parę skarpet, które też nie były mu niezbędne, i w końcu wrócił do domu. Przestało padać, wypogodziło się, zrobiło się cieplej.

Wallander wytarł huśtawkę ogrodową, ułożył się wygodnie, a kiedy otworzył oczy, było w pół do czwartej. Wsiadł do samochodu i ruszył do Limhamn. Nie wiedział, czego się spodziewa. Już na miejscu poczuł dobrze sobie znaną mieszaninę tęsknoty i czegoś nieprzyjemnego; te uczucia ogarniały go zawsze, gdy wracał do miasteczka, w którym spędził dzieciństwo.

Zaparkował w pobliżu willi Asty Hagberg i najpierw przespacerował się do czynszówki, gdzie kiedyś dorastał. Mimo że zmieniła się fasada i dom otaczał nowy płot, Wallander wszystko dokładnie pamiętał. Piaskownica była większa niż wtedy, a dwie brzozy, po których wspinał się jako chłopiec, zniknęły. Stojąc na chodniku, obserwował kilkoro bawiących się dzieci. Miały ciemną skórę, pochodziły pewnie z Bliskiego Wschodu albo z północnej Afryki. Przy wejściu do budynku siedziała kobieta w chuście. Robiła na drutach, rzucając od czasu do czasu okiem na maluchy. Przez otwarte okno dolatywały dźwięki arabskiej muzyki. Tutaj mieszkałem, pomyślał. W innym świecie, w innych czasach.

Z domu wyszedł mężczyzna, również ciemnoskóry. Spojrzał na Wallandera z uśmiechem.

- Szuka pan kogoś? - zapytał nieporadnym szwedzkim.

- Nie. Kiedyś, dawno temu, mieszkałem w tym domu. Jednym z moich sąsiadów był maszynista kolejowy.

Wskazał okno na drugim piętrze, które wtedy należało do ich salonu.

- To dobry dom - powiedział mężczyzna. - Dobrze się tu czujemy, dzieci też. Nie musimy się bać.

- To dobrze. Ludzie nie powinni się bać.

Wallander skinął głową na pożegnanie i odszedł. Znow zaciążyła mu świadomość, że się starzeje. Przyspieszył kroku, by uciec od siebie samego.

Ogród otaczający willę Asty Hagberg wyglądał na zaniedbany. Kobieta, która otworzyła Wallanderowi drzwi, była równie otyła, jak Sölve, gdy występował w telewizyjnym teleturnieju. Miała spoconą twarz, nieuczesane włosy i zdecydowanie za krótką spódnicę. Najpierw pomyślał, że to ona pachnie ostrymi perfumami, dopiero po chwili uświadomił sobie, że cały dom jest przesiąknięty jakimś sztucznym aromatem. Czy ona skrapia perfumami meble, zastanawiał się. Spryskuje piżmem rośliny doniczkowe?

Zapytała, czy napije się kawy, ale podziękował. Wystarczyło mu, że napływające ze wszystkich stron duszące wonie drażniły nos i przyprawiły go o mdłości. Wchodząc do salonu, odniósł wrażenie, że wkracza na mostek kapitański dużego okrętu. Gdzie tylko spojrzął, widział koła sterowe i kompasy w wypolerowanych okuciach. U sufitu wisiały statki wotywnie, a przy jednej ze ścian - stary hamak.

Asta Hagberg wcisnęła się w fotel obrotowy, zapewne też pochodzący z jakiegoś okrętu. Wallander usiadł na czymś, co w jego przekonaniu było zwykłą kanapą. Ale mosiężne okucia zdradzały, że mebel należał kiedyś do Szwedzkich Linii Oceanicznych.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytała, zapalając papierosa, którego wcześniej osadziła w cygarnicze.

- Håkan von Enke - powiedział Wallander. - Emerytowany kapitan okrętów podwodnych.

Asta Hagberg nagle zaniósła się męczącym, suchym kaszlem. Wallander zaczął modlić się w duchu, by ta otyła palaczka nie umarła teraz na jego oczach. Zgadywał, że ma tyle samo lat co on, to znaczy mniej więcej sześćdziesiąt.

Kaszlała tak intensywnie, że do oczu napłynęły jej łzy. Gdy atak się skończył, spokojnie wróciła do swojego papierosa.

- Zaginiony Håkan von Enke - uściśliła. - I jego zmarła żona Louise? Zgadza się?

- Wiem, że Sölve miał unikatowe archiwum. Może znajdę



w nim coś, co pomoże mi zrozumieć zniknięcie Håkana.

- Ten człowiek na pewno nie żyje.

- W takim razie szukam przyczyny jego śmierci - odpowiedział wymijająco.

- Żona popełniła samobójstwo. To znaczy, że rodzina borykała się z poważnymi problemami, czyż nie tak?

Podeszła do stołu, podniosła serwetę, pod którą leżał komputer. Wallandera zdziwiła lekkość, z jaką jej pulchne palce poruszały się po klawiaturze. Po kilku minutach stukania w klawisze kobieta odchyliła się do tyłu i zmrużonymi oczyma patrzyła w ekran.

- Kariera Håkana von Enkego przebiegała jak najbardziej normalnie. Doszedł do tego, czego można się było spodziewać. Gdyby Szwecja brała udział w wojnie, może wspiąłby się parę szczebli wyżej. Choć to wåtpliwe.

Wallander podniósł się i stanął u jej boku. Woń perfum była tak dusząca, że próbował oddychać przez usta. Przeczytał tekst, zobaczył fotografię mniej więcej czterdziestoletniego Håkana.

- Nie ma nic godnego uwagi?

- Nie. Jako młody kadet zdobył kilka nagród w skandynawskich zawodach sportowych. Dobry strzelec, dobra kondycja, wygrał parę biegów w terenie. Jeżeli to w ogóle można potraktować jako coś szczególnego.

- A co wiemy o jego żonie?

Grube palce znów zatańczyły na klawiaturze; kobieta pisała, nie zwracając uwagi na kolejny atak kaszlu, dopóki na ekranie nie pojawiła się fotografia Louise. Wallander przypuszczał, że miała na niej trzydzieści pięć, może czterdzieści lat. Uśmiechała się. Włosy ułożone w loki, na szyi sznur pereł. Wallander przestudiował tekst. W nim również na pierwszy rzut oka nie znalazł niczego zdumiewającego czy odbiegającego od normy.

Gdy Asta Hagberg otworzyła nową stronę, odkrył, że Louise ze strony matki pochodziła z Kijowa. „W 1905 roku Angela Stefanowicz wychodzi za mąż za szwedzkiego eksportera węgla, Hjalmara Sundblada. Wyjeżdża do

Szwecji i przyjmuje szwedzkie obywatelstwo. Wśród czwórki dzieci Angeli i Hjalmara Louise jest najmłodsza”.

- Jak pan widzi, wszystko jest normalne.

- Oprócz tego, że pochodzi z Rosji.

- Z Ukrainy, powiedzielibyśmy dzisiaj. Większość Szwedów ma korzenie poza granicami naszego kraju. Jesteśmy narodem Finów, Holendrów, Niemców, Rosjan, Francuzów. Pradziadek Sölvego pochodził ze Szkocji, moja babcia miała związki z Turcją. A pan?

- Moi przodkowie byli wyrobnikami folwarcznymi w Smalandii.

- Prowadził pan badania genealogiczne? Na poważnie?

- Nie.

- Jak już pan zdecyduje się je przeprowadzić, na pewno znajdzie pan coś nieoczekiwanego. To zawsze pasjonujące, choć nie zawsze przyjemne. Mam przyjaciela, który jest pastorem. Kiedy przeszedł na emeryturę, postanowił poszukać korzeni swojej rodziny. Dość szybko dotarł do dwóch zstępnych w linii prostej, którzy w ciągu pięćdziesięciu lat zostali straceni. Jeden na początku XVII wieku. Dopusił się zabójstwa na tle rabunkowym i ścięto mu głowę.

Jego wnuk zaciągnął się do jednej z wielu niemieckich armii, które w połowie tego stulecia maszerowały przez Europę. Powieszono go po tym, jak zdezerterował. Po tych odkryciach poczciwy pastor skończył ze studiowaniem swojej genealogii. Chyba można go zrozumieć.

Z nieukrywanym wysiłkiem podniosła się z krzesła i kiwnięciem głowy zachęciła gościa, by poszedł za nią do sąsiedniego pokoju. Wzdłuż ścian stały rzędy szaf na dokumenty. Kobieta otworzyła jedną z szuflad i wyciągnęła przegródkę wypełnioną po brzegi różnymi teczkami.

- Człowiek nigdy nie wie, co znajdzie - powiedziała i sięgnęła do szuflady.

Położyła jedną teczkę na stole. Wallander nie był pewien, czy Hagberg szuka czegoś konkretnego, czy tylko na chybił trafił. Wyjęła jakąś czarnobiałą fotografię i przez chwilę

trzymała ją pod światło.

- Miałam takie mgliste wspomnienie, że gdzieś ją wcześniej widziałam. Nie jest chyba bez znaczenia.

Podawała ją Wallanderowi, który nie dowierzał własnym oczom. Ze zdjęcia uśmiechał się wysoki, szczupły, ubrany w elegancki garnitur mężczyzna o nazwisku Wennerström. Pod szyją miał nienagannie zawiązaną muszkę, w rękę szklaneczkę z drinkiem, a jego spojrzenie było niewzruszenie skierowane ku Håkanowi von Enkemu!

- Kiedy je zrobiono?

- Informację znajdzie pan na odwrocie. Sölve był bardzo dokładny, jeśli chodzi o dokumentowanie miejsc i dat.

Wallander przeczytał napisany na maszynie tekst przyklejony do fotografii. „Październik 1959 roku, delegacja szwedzkiej marynarki wojennej z wizytą w Waszyngtonie, przyjęcie u attache wojskowego Wennerströma”. Usiłował znaleźć jakieś wytłumaczenie. Gdyby obok stała Louise, byłoby o wiele łatwiej. Ale nie stała. W tle majaczyły tylko sylwetki mężczyzn i jedna czarnoskóra, ubrana na biało kelnerka.

- Czy żony nie miały w zwyczaju towarzyszyć mężom przy takich wizytach? - zapytał.

- Tylko wtedy, gdy podróżowali najważniejsi dygnitarze wojskowi. Stig Wennerström często jeździł z żoną. Pod koniec lat pięćdziesiątych Håkanowi von Enkemu daleko było do szczytów władzy. Prawdopodobnie też przyjechał sam. Jeżeli towarzyszyła mu Louise, to musiał zapłacić za jej bilet. I na pewno nie została zaproszona na przyjęcie u szwedzkiego attache wojskowego.

- Chciałbym się dowiedzieć, jak było naprawdę.

Asta Hagberg znów zaniosła się kaszlem. Wallander podszedł do okna i lekko je uchylił. Męczył go zapach perfum.

- To trochę potrwa - powiedziała, kiedy skończył się atak - Muszę poszukać. Ale Sölve na pewno zachował dane o tej i innych delegacjach, w które udawali się szwedzcy wojskowi.

Wallander usiadł ponownie na kanapie. Słyszał, jak gospodyni nuci coś wesoło, szukając w trzecim pokoju spisu uczestników podróży do Ameryki pod koniec lat pięćdziesiątych. Zajęło jej to prawie czterdzieści minut, wróciła jednak do zniecierpliwionego gościa z triumfem w oczach i kartką w dłoni.

- Pani von Enke pojechała z mężem. Jest tu dokładnie zapisana jako „osoba towarzysząca”, a te skróty oznaczają najprawdopodobniej, że armia nie płaciła za jej podróż. Jeżeli to ważne, mogę ustalić ich znaczenie.

Wallander wziął od niej kartkę. Delegacja składała się z ośmiu osób pod przywództwem komandora porucznika Karlena. Wśród „osób towarzyszących” oprócz Louise von Enke wymieniono też Martę Auren, żonę podpułkownika Karla-Axela Auren.

- Czy można to skopiować? - zapytał.

- Nie wiem, co można. Ale mam w piwnicy kopiarkę. Ile kopii pan potrzebuje?

- Jedną.

- Biorę dwie korony od kopii.

Zniknęła. Wallander pomyślał, że byli w Waszyngtonie osiem dni, co oznaczało, że ktoś mógł zdążyć się skontaktować z Louise. Ale czy to prawdopodobne?, zadał sobie pytanie. Już wtedy? Wprawdzie pod koniec lat pięćdziesiątych zimna wojna wkraczała w ostrą fazę, Amerykanie widzieli rosyjskich szpiegów na każdym rogu ulicy, czy jednak naprawdę coś się wydarzyło właśnie w trakcie tej podróży?

Gospodyni wróciła z kopią. Wallander położył na stole dwie jednokoronówki.

- Chyba nie sprostalam pana oczekiwaniom?

- Poszukiwanie zaginionych to często żmudna i bardzo drobiazgowa praca. Trzeba poruszać się krok po kroku.

Wyszła z nim przed dom. Z ulgą wciągnął w płuca świeże, nieperfumowane powietrze.

- Proszę się odezwać - powiedziała na pożegnanie. - Może jeszcze będę mogła panu jakoś pomóc.

Wallander skinął głową, podziękował i opuścił ogród. Wsiadł do samochodu i już miał wyjeżdżać z Limhamn, gdy postanowił odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Często myślał o tym, żeby sprawdzić, czy zachowała się pamiątka, którą zostawił po sobie prawie pięćdziesiąt lat temu. Zaparkował przy cmentarzu. Podeszedł do lewego rogu muru, pochylił się.

Miał wtedy dziesięć, a może jedenaście lat. Nie pamiętał. Był jednak wystarczająco duży, by posiadać jedną z wielkich tajemnic życia: że jest się tym, kim jest, niepowtarzalnym człowiekiem o odrębnej tożsamości. To oszałamiające odkrycie wzbudziło w nim ogromną pokusę, by zostawić po sobie znak w miejscu, z którego on nigdy nie zniknie. Wybrał niski, otaczający cmentarz murek, który wyżej przechodził w żelazne ogrodzenie. Pewnego jesienno wieczoru wymknął się z domu z młotkiem i solidnym gwoździem ukrytymi pod kurtką. Miasteczko było opustoszałe. Miejsce wybrał wcześniej; właśnie w lewym rogu mur wydawał się wyjątkowo gładki. W strugach zimnego deszczu wyrył w tynku swoje inicjały K W.

Zauważył je teraz od razu, choć po latach straciły wyrazistość. Wyżłobione dawno temu głębokie litery ciągle były widoczne i czytelne. Kiedyś przyprowadzę tu Klarę, pomyślał. Opowiem jej o tym dniu, w którym postanowiłem zmienić świat. Nawet jeżeli ta zmiana miała polegać na wyryciu w kamieniu własnych inicjałów.

Wszedł na cmentarz, usiadł na ławce w cieniu drzewa. Zamknął oczy i zdało mu się, że słyszy swój dziecięcy głos, nim dotknęła go mutacja i to wszystko inne, związane ze światem dorosłych. Może to tutaj powinienem kiedyś spocząć, pomyślał. Powrócić do punktu wyjścia, położyć się właśnie w tej ziemi? Inskrypcję nagrobną już wyżłobiłem w murze.

Opuścił cmentarz, wsiadł do samochodu. Zanim włączył silnik, zastanowił się nad spotkaniem z Astą Hagberg. Co mu dało?

Odpowiedź była prosta. Nie posunął się ani krok dalej. Louise była nadal równie anonimowa, jak poprzednio. Była niewidoczną na zdjęciach żoną oficera.

Lecz niepokój, który nie opuszczał go po spotkaniu z Håkanem na jego wysepce, ciągle w nim tkwił.

Nie widzę tego, pomyślał, co już dawno temu powinienem był odkryć. Nie widzę tego, co mogłoby sprawić, że w końcu zrozumieć, co się stało.

### 34

Wallander wrócił do domu. Potrafił pogodzić się z tym, że wyprawa do Asty Hagberg do niczego nie doprowadziła. Ciężała mu jednak śmierć Baiby. Wspomnienie jej nagłej wizyty, a później jej nagłego odejścia przychodziło i odchodziło falami. Fakt był faktem: w jej śmierci widział swoją własną.

Gdy odstawił samochód, wypuścił Jussiego, pozwalając wybiegać mu się do woli, nalał sobie wódki i wychylił szklaneczkę na stojąco, przy zlewie. Napełnił ją ponownie i wziął ze sobą do sypialni. Zaciągnął zasłony w obydwu oknach, rozebrał się do naga i położył do łóżka. Szklaneczkę postawił sobie na falującym brzuchu.

Zrobię jeszcze jeden krok, pomyślał. Jeżeli i ten donikąd mnie nie zaprowadzi, dam za wygraną, niech się wali. Zawiadomię Håkana, że mam zamiar zdradzić Lindzie i Hansowi miejsce jego pobytu. Jeżeli dalej będzie się ukrywał, jeżeli znajdzie nową norę, w której się zaszyje - jego sprawa. Porozmawiam z Ytterbergiem, Nordlanderem i oczywiście Atkinsem. A później to już nie moja historia, zresztą nigdy nią nie była. Niedługo lato dobiegnie końca, mój urlop trafi szlag, a ja będę tutaj siedział i zastanawiał się, gdzie podział się cały ten czas.

Opróżnił szklaneczkę, poczuł ciepło i to przyjemne uczucie odurzenia alkoholem. Jeszcze jeden krok, pomyślał ponownie. Na czym będzie polegał?

Postawił pustą szklanke na stoliku obok łóżka i prawie

zaraz zasnął. Gdy obudził się po godzinie, wiedział, co ma zrobić. W czasie snu mózg sformułował gotową odpowiedź. Wallander ujrzał ją bardzo wyraźnie, jedyną i istotną. Kto jak nie Hans mógł mu udzielić informacji? Był młodym, inteligentnym człowiekiem, może niezbyt uczuciowym. Ale ludzie zazwyczaj wiedzą więcej, niż im się wydaje. O wydarzeniach, obserwacjach poczynionych w podświadomości.

Pozbierał brudne ubrania i włączył pralkę. Później wyszedł na dwór i zawołał Jussiego. W oddali, gdzieś na jednej z właśnie skoszonych łąk należących do sąsiada, dało się słyszeć znajome szczekanie. Pies wpadł na podwórze jak bomba, wcześniej jednak wytarzał się w czymś cuchnącym. Wallander zamknął go za ogrodzeniem wybiegu, wyciągnął ogrodowy wąż i splukał. Jussi stał karnie ze spuszczonego ogonem i wyrzutem w oczach.

- Nie oszukujmy się, śmierdzisz gównem - wyjaśnił zwierzęciu. - Nie mogę wpuścić cuchnącego psa do domu.

Wszedł do kuchni i usiadł przy stole. Zanotował najważniejsze pytania, jakie mu przyszły do głowy, po czym odszukał numer telefonu do pracy Hansa w Kopenhadze. Kiedy dowiedział się, że przez całą resztę dnia Hans ma same ważne spotkania, stracił cierpliwość. Poprosił młodą kobietę w centrali o przekazanie mu informacji, by w ciągu najbliższej godziny skontaktował się z inspektorem kryminalnym w Ystad, Kurtem Wallanderem. Hans wykonał polecenie. Telefon zadzwonił właśnie wtedy, gdy on, otworzywszy pralkę, skonstatował ze złością, że zapomniał wsypać proszek do prania.

- Co robisz jutro?

- Pracuję. Dlaczego jesteś taki poirytowany?

- To nic ważnego. Kiedy znalazłbyś dla mnie trochę czasu?

- Dopiero wieczorem. Mam narady zaplanowane na cały dzień.

- Przełoż je. Przyjadę do Kopenhagi o drugiej. Wystarczy mi godzina. Nie więcej, ale też nie mniej.

- Czy coś się stało?

- Zawsze coś się dzieje. Gdyby to było ważne, oczywiście bym ci o tym powiedział. Chcę tylko kilku odpowiedzi na pytania. Trochę stare i trochę nowe.

- Byłbym wdzięczny gdybyś mógł z nimi poczekać do wieczora. Rynki finansowe są bardzo niespokojne, cały czas następują jakieś nieoczekiwane ruchy.

- Będę o drugiej - powtórzył Wallander. - Chętnie napiję się kawy.

Odłożył słuchawkę i jeszcze raz włączył pralkę, tym razem wsypawszy do niej stanowczo za dużo proszku. Wiedział, że zachowuje się jak dziecko, karząc maszynę za własne roztargnienie.

Później skosił trawę, zagrabił zwirowe dróżki i położywszy się na ogrodowej huśtawce, zaczął czytać biografię Giuseppe Verdiego, którą sam sobie sprezentował pod choinkę. Kiedy opróżnił pralkę, okazało się, że zaplątana między jasną bielizną czerwona chustka do nosa zafarbowała resztę. Po raz trzeci nastawił ten sam program prania. Potem usiadł na łóżku, nakłuł sobie palec i sprawdził poziom cukru. Ostatnio to zaniedbał. Wynik był na szczęście do przyjęcia: 8,1 mmol/l.

Czekając na koniec prania, położył się na sofie i słuchał *Rigoletta* z nowo kupionej płyty. Wracał pamięcią do Baiby, do oczu napływały mu łzy; tak bardzo pragnął, by żyła. Ale Baiba umarła i już nigdy jej nie zobaczy. Gdy muzyka ucichła, odmroził wyjętą z zamrażarki zapiekankę rybną. Do posiłku pił tylko wodę. Rzucił kątem oka na stojącą w kuchni butelkę wina, ale pozostawił ją nietkniętą. Musiał zadowolić się wypitą wcześniej wódką.

Wieczorem obejrzał w telewizji *Pół zartem, pół serio*, jeden z ulubionych filmów i *Mony*, i jego. W dalszym ciągu bawiły go sceny, które widział tyle razy wcześniej. Tej nocy ku swemu zdziwieniu spał wyśmienicie.

Linda zadzwoniła do niego, gdy jadł śniadanie. Okno było otwarte, a ranek - piękny i ciepły. Wallander siedział nago w kuchni.



- Jak Ytterberg skomentował fakt, że Håkan von Enke się odezwał?

- Jeszcze z nim nie rozmawiałem.

Nie ukrywała ani zdziwienia, ani gniewu.

- Dlaczego nie? Kto jak kto, ale on musi się chyba dowiedzieć, że Håkan żyje?

- Prosił mnie, żeby zachować to w tajemnicy.

- Nic o tym wczoraj nie powiedziałaś!

- Widocznie zapomniałem.

Momentalnie wyczuła, że jego odpowiedzi są wykrętne i wymijające.

- Czy jest jeszcze coś, o czym mi nie powiedziałaś?

- Nie.

- Ale i tak uważam, że jak tylko skończymy rozmowę, powinieneś zadzwonić do Ytterberga.

Wallander słyszał irytację w jej głosie.

- Jeżeli zadam ci teraz szczere pytanie, czy dostanę szczerą odpowiedź? - zapytała.

- Tak.

- Co właściwie kryje się za tymi wszystkimi wydarzeniami? Jak cię znam, to na pewno masz swoje zdanie na ten temat.

- W tym wypadku go nie mam. Jestem tak samo skołowany jak ty.

- W każdym razie domniemane szpiegostwo Louise nie może być tu sensownym wyjaśnieniem.

- Sensownym czy nie, nie potrafię na to odpowiedzieć. Faktem jest, że policja znalazła w jej torebce to, co znalazła.

- Ktoś musiał jej te materiały podłożyć. To jedyne możliwe wyjaśnienie. W każdym razie ona nie była szpiegiem - powtórzyła Linda.

- Tego możemy być pewni.

Umilkła, czekając chyba na to, aż ojciec przyzna jej rację. Gdzieś w głębi mieszkania zapłakała Klara.

- Co robi? - zapytał Wallander.

- Leży w łóżeczku. I bardzo nie chce w nim być. Właśnie,

już dawno miałam cię zapytać. Jaka byłam jako niemowlę? Dużo płakałam? Pytałam już o to?

- Wszystkie dzieci płaczą. Ty miałaś kolkę jelitową, mówiliśmy kiedyś o tym. Że to nie Mona, tylko ja nosiłam cię nocami na rękach.

- Tak się zastanawiam. Myślę, że we własnych dzieciach widzimy siebie samych. Ale zadzwonisz dzisiaj do Ytterberga?

- Jutro. Myślę, że byłaś niekłopotliwym dzieckiem.

- Jako nastolatka przysparzałam więcej problemów.

- Tak - potwierdził Wallander. - O wiele więcej.

Gdy rozmowa się skończyła, Wallander siedział jeszcze przez chwilę na krześle. W jego pamięci odżyło jedno z najtrudniejszych wspomnień; nie dopuszczał go zbyt często do świadomości. Piętnastoletnia Linda usiłowała odebrać sobie życie. Prawdopodobnie nie była to poważna próba samobójcza, raczej klasyczna potrzeba zwrócenia na siebie uwagi i wołanie o pomoc.

Ale wszystko mogło się skończyć bardzo źle, gdyby nie to, że Wallander musiał wrócić do domu, ponieważ zapomniał portfela. Znalazł ją zamroczoną, z leżącym obok pustym opakowaniem po tabletkach. Nigdy wcześniej i nigdy później nie ogarnęło go tak silne przerażenie jak wtedy. Traktował to wydarzenie jako swoją największą życiową porażkę: nie zrozumiał w porę, jak fatalnie czuła się jego nastoletnia córka.

Otrząsnął się z niemiłych wspomnień. Był przekonany, że gdyby Linda wtedy umarła, on też odebrałby sobie życie.

Pomyślał teraz o ich rozmowie. Zastanowiło go niezachwiane przeświadczenie córki, że Louise nie mogła być szpiegiem. Nie chodziło o dowody, tylko właśnie o przekonanie: to po prostu niemożliwe. Jeżeli faktycznie tak jest, to jak to wszystko wyjaśnić? Czy Louise i Håkan jednak w jakiś sposób ze sobą współpracowali? A może Håkan von Enke z zimnym wyrachowaniem zapewniał o

swojej miłości do Louise, by nikomu nie przyszło do głowy, że to nieprawda? Bo może to on jest sprawcą jej śmierci i dlatego próbuje teraz wywieść dochodzeniowców na manowce?

Wallander zanotował w notesie: „Przeświadczenie Lindy o niewinności Louise”. W głębi ducha on w to nie wierzył. Uważał, że Louise ponosi odpowiedzialność za swoją śmierć. Właśnie tak.

Kilka minut przed drugą Wallander zadzwonił do szklanych drzwi ekskluzywnego biura przy Rundetarn w Kopenhadze. Okazała młoda dama wpuściła go do środka. Wezwała Hansa, który momentalnie pojawił się w korytarzu. Był błądy, prawdopodobnie niewyspany. Minęli salę konferencyjną, w której trwała głośna wymiana zdań między angielskojęzycznym mężczyzną w średnim wieku a dwoma młodymi blondynkami mówiącymi po islandzku. Ich rozmowę tłumaczyła kobieta w czerni.

- Mocne słowa - skomentował Wallander, gdy przeszli trochę dalej. - Myślałem, że finansiści to spokojni ludzie.

- Czasami mówimy, że pracujemy w branży rzeźniczej - odpowiedział Hans. - W rzeczywistości nie jest tak źle, choć gdy człowiek zajmuje się pieniędzmi, to przynajmniej symbolicznie ma krew na rękach.

- O czym oni tak burzliwie dyskutują?

Hans pokręcił głową.

- O interesach. Nie mogę zdradzić szczegółów, nawet tobie.

Wallander nie pytał więcej. Hans zaprowadził go do mniejszej sali konferencyjnej o szklanych ścianach. Również podłoga była w niej ze szkła, a całość jakby uczepiona fasady budynku. Wallander miał wrażenie, że znalazł się w akwarium. Jakaś kobieta, równie młoda jak recepcjonistka, weszła do środka z kawą i ciastem francuskim. Wallander położył notes i długopis obok filiżanki. Zauważył, że nalewającemu kawę Hansowi trzęsą się ręce.

- Myślałem, że czasy pisania notatek minęły

bezpowrotnie - powiedział Hans. - Wydawało mi się, że policjanci są teraz wyposażeni w magnetofony, a może nawet kamery wideo.

- Seriale kryminalne nie zawsze rzetelnie odzwierciedlają naszą pracę. Naturalnie czasami korzystam z magnetofonu. Ale to nie jest żadne przesłuchanie, to tylko rozmowa.

- W którym miejscu zaczniemy? Pozwól, że ci przypomnę: naprawdę mam jedynie godzinę. Z wielkim trudem udało mi się zmienić rozkład dnia.

- Chodzi o twoją matkę - powiedział z naciskiem Wallander. - Żadna praca nie może być ważniejsza niż wyjaśnienie przyczyny jej śmierci. Sądzę, że się ze mną zgadzasz?

- Nie to miałem na myśli.

- Porozmawiajmy więc o tym, co teraz istotne. Nie o tym, co miałeś, a czego nie miałeś na myśli.

Hans nie spuszczał wzroku z Wallandera.

- Pozwól zatem, że na samym początku powiem tak: to niemożliwe, żeby moja matka była szpiegiem. Nawet jeżeli często zachowywała się tajemniczo.

Wallander uniósł brwi.

- Nie wspominałeś o tym wcześniej. Że była tajemnicza. To coś nowego.

- Sporo myślałem od naszej ostatniej rozmowy. Mama wydaje mi się coraz bardziej tajemnicza. Przede wszystkim ze względu na Signe. Czy można sprawić komuś większy zawód? Ukryć przed dzieckiem fakt, że ma rodzeństwo? Czasami skarżyłem się, że jestem jedynakiem. Zwłaszcza kiedy byłem bardzo mały, zanim poszedłem do szkoły. Ale nigdy nie usłyszałem nawet wahania w jej odpowiedziach. Teraz myślę, że reagowała na moją dziecięcą tęsknotę z przeraźliwym chłodem.

- A ojciec?

- W tamtych latach nigdy go nie było w domu. Przynajmniej tak go zapamiętałem: jako nieobecnego. Za każdym razem kiedy przekraczał próg, wiedziałem, że

wkrótce znów będzie musiał wyjechać. Zawsze przynosił mi prezenty. Ale nie miałem odwagi się niczym cieszyć. Gdy wyciągano z szafy jego mundur, by go wyczyścić i wywietrzyć, dobrze rozumiałem, co później miało nastąpić. Następnego dnia już go nie było.

- Czy możesz powiedzieć coś więcej o tym, co rozumiesz pod pojęciem „tajemnicza”, mówiąc o swojej matce?

- To dosyć trudne. Czasami była nieobecna, tak bardzo pogrążona w myślach, że złościła się, kiedy jej przeszkadzałem. Miałem nieomal wrażenie, że sprawiam jej fizyczny ból, jakbym ją czymś kłuł. Nie wiem, czy mnie rozumiesz, ale tak to pamiętam. Niekiedy zamykała notatnik albo przykrywała w pośpiechu coś leżącego na wierzchu papierów, którymi akurat się zajmowała. Czy teraz wyrażam się jaśniej?

- Czy było coś, co twoja matka robiła tylko i wyłącznie pod nieobecność ojca? Czy zmieniało się coś wtedy w porządku dnia?

- Nie, nie sędzę.

- Odpowiadasz za szybko. Pomyśl!

Hans podniósł się i stanął przy szklanej ścianie. Przez podłogę Wallander widział ulicznego grajka z gitarą w rękach i z leżącym na bruku kapeluszem. Dźwięki muzyki nie przebijały się przez szkło. Hans wrócił do swojego krzesła.

- Niewykluczone... - zaczął z wahaniem. - Nie mogę przysiąc, to może tylko wytwór mojej fantazji, jakieś nieprawdziwe wspomnienia. Ale faktycznie chyba masz rację. Gdy Håkana nie było w domu, często rozmawiała przez telefon, zawsze za zamkniętymi drzwiami. Nigdy tego nie robiła, kiedy ojciec był w domu.

- Nigdy nie rozmawiała przez telefon czy nigdy nie zamykała drzwi?

- Ani jednego, ani drugiego.

- Mów dalej!

- Często na wierzchu leżały papiery, którymi w jakiś sposób się zajmowała. Wydaje mi się, że jak Håkan wracał,

te papiery znikają. Na stole zawsze stały kwiaty.

- Co to były za papiery?

- Nie wiem. Ale czasami leżały wśród nich rysunki.

Wallander drgnął.

- Co przedstawiały?

- Dziewczyny skaczące do wody. Matka rysowała pewną ręką.

- Dziewczyny skaczące do wody?

- Różne skoki, różne fazy poszczególnych skoków. Skok odwrócony ze śrubą, czy jak one się tam nazywają.

- Czy pamiętasz inne rysunki?

- Kilka razy rysowała mnie. Nie wiem, gdzie się podziały te portrety, ale były naprawdę dobre.

Wallander wziął kawałek ciasta i zamoczył go w kawie. Hans spojrzął na zegarek. Muzykant pod ich stopami dalej wygrywał swoje bezdźwięczne ballady.

- Jeszcze nie skończyłem. Chciałbym zapytać cię o poglądy matki. Polityczne, społeczne, ekonomiczne. Co sądziła o Szwecji?

- W naszym domu nie dyskutowano o polityce.

- Nigdy?

- Któreś z nich mogło czasem powiedzieć, że „szwedzkie siły zbrojne nie nadają się dłużej do obrony kraju”. Wtedy drugie mówiło, że „to wszystko wina komunistów”. I to był koniec dyskusji. Każda z tych kwestii mogły być wypowiedziana zarówno przez Håkana, jak i Louise. Oczywiście mieli konserwatywne przekonania, o tym już mówiliśmy. Nie było mowy o głosowaniu na kogoś innego niż na moderatów. Podatki są za wysokie, Szwecja przyjmuje za dużo imigrantów, którzy później tylko rozrabiają na ulicach - można chyba powiedzieć, że myśleli dokładnie tak, jak się po nich spodziewaliśmy.

- Nigdy nie wydarzyło się nic szczególnego?

- Nigdy, z tego co pamiętam.

Wallander pokiwał głową i wziął z talerza drugi kawałek ciasta.

- Porozmawiajmy o wzajemnych stosunkach między

rodzicami - zaproponował, przełknąwszy ostatni kęs. - Jak się układały?

- Dobrze.

- Nigdy się nie kłócili, nie krzydzeli na siebie?

- Nie. Można chyba zaryzykować twierdzenie, że naprawdę się kochali. Dopiero później to sobie uświadomiłem, ale jako dziecko nigdy nie czułem obawy, że pewnego dnia się rozwiądą. Ta myśl po prostu nie istniała.

- Przecież nie ma ludzi żyjących bezkonfliktowo?

- Ale oni żyli. Chyba że sprzeczali się, jak spałem. Trudno mi jednak w to uwierzyć.

Wallander wyczerpał swoje pytania, co nie znaczyło, że się poddaje.

- Czy masz coś więcej do powiedzenia o swojej matce? Była życzliwa, tajemnicza, może zagadkowa, tyle się o niej dowiedzieliśmy. Mówiąc uczciwie, wiesz o niej zadziwiająco mało.

- Właśnie to sobie uświadomiłem.

Słowa Hansa w odczuciu Wallandera zabrzmiały boleśnie szczerze.

- Nie pamiętam chyba ani jednego momentu prawdziwej zażyłości między nami. Ona nigdy do końca nie pozbyła się wobec mnie pewnego dystansu. Oczywiście pocieszała mnie, jeśli rozbiłem kolano. Ale teraz, po latach, dociera do mnie, że to ją musiało męczyć.

- Czy był w jej życiu jakiś inny mężczyzna?

Wallander nie przygotował tego pytania. Gdy jednak teraz padło, wydało mu się jak najbardziej oczywiste.

- Nie. Myślę, że nigdy nie doszło do zdrady. Z żadnej ze stron.

- A zanim się pobrali? Co wiesz o tamtych czasach?

- Ponieważ spotkali się tak wcześnie w swoim życiu, myślę, że po prostu nie mieli nikogo innego. Poważnie. Ale nie wiem tego na pewno.

Wallander schował notatnik do kieszeni kurtki. Nie zanotował ani słowa. Nie miał co zapisać. Wiedział teraz

równie mało, co przedtem.

Wstał. Hans ciągle siedział na krześle.

- Mój ojciec... - zaczął. - Zadzwoił do ciebie? Żyje, ale nie chce się ujawnić?

Wallander znów usiadł. Gitarzysta spod ich stóp zniknął.

- Nie ulega wątpliwości, że to był on. To nie mógł być ktoś imitujący jego głos. Powiedział, że ma się dobrze. Nie wyjaśnił swojego zachowania. Chciał tylko, żebyśmy wiedzieli, że żyje.

- Naprawdę nie powiedział ani słowa o tym, gdzie jest?

- Ani słowa.

- Jakie miałeś odczucie? Był daleko? Dzwonił z telefonu stacjonarnego czy z komórki?

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Dlatego, że nie chcesz czy nie potrafisz?

- Dlatego, że nie potrafię.

Powiedziawszy to, wstał ponownie. Opuścili szklany pokój. Przechodząc obok sali konferencyjnej, Wallander stwierdził, że drzwi są zamknięte, lecz żywa dyskusja w środku ciągle trwa. Rozstali się przy recepcji.

- Czy udało mi się jakoś ci pomóc? - zapytał Hans.

- Byłeś szczerzy. Tylko tyle mogę oczekiwać.

- Prawdziwie dyplomatyczna odpowiedź. To znaczy, że nie potrafiłem dać ci tego, czego się spodziewałeś.

Wallander zrezygnowany rozłożył ręce. W otwartych szklanych drzwiach pomachał Hansowi na pożegnanie. Winda zwiózła go bezgłośnie do wyjścia. Zaparkował w jednej z przecznic przy Kongens Nytorv. Ponieważ zrobiło się bardzo gorąco, ściągnął kurtkę i rozpiął kołnierzyk.

Wtem, zupełnie na to nieprzygotowany, poczuł, że ktoś go obserwuje. Obejrzał się. Ulica była pełna ludzi. Nie znalazł wśród nich ani jednej znajomej twarzy. Kilkaset metrów dalej zatrzymał się przed wystawą z ekskluzywnymi butami dla pań. Kątem oka obserwował ten fragment ulicy, którym przed chwilą przeszedł. Jakiś mężczyzna stał, patrząc na zegarek. Następnie przełożył płaszcz z prawego na lewe ramię. Wallander miał wrażenie, że widział go również, gdy odwrócił



się pierwszy raz.

Znowu spojrzął na wystawę. Mężczyzna przeszedł ze jego plecami. Kiedyś rozmawiał z nim o tym Rydberg. Nie zawsze trzeba znajdować się za śledzoną osobą. Równie dobrze można być przed nią. Wallander odliczył sto kroków. A potem znów zatrzymał się i obejrzał za siebie. Tym razem nikt nie zwrócił jego uwagi. Mężczyzna z płaszczem zniknął. Już przy samochodzie obejrzał się po raz ostatni. Mijający go ludzie byli mu zupełnie obcy. Pokręcił głową. Musiało mu się przywidzieć.

Przejechał przez długi most, zrobił sobie przerwę w przydrożnej restauracji Fars Hatt, a później ruszył prosto do domu.

Gdy wysiadł z samochodu, nagle otwarła się przed nim otchłań niepamięci. Stał tak z kluczami w ręce i kompletną pustką w głowie.

Maska samochodu była jeszcze ciepła. Znów ogarnęła go panika. Skąd przyjechał? Jussi czekał i radośnie skakał za ogrodzeniem. Wallander wbił w niego wzrok, usiłując sobie przypomnieć. Spojrzął na kluczyki, na samochód, jak gdyby one mogły mu udzielić odpowiedzi. Dopiero po dziesięciu przerażających minutach skurcz minął i Wallander odzyskał pamięć. Był zupełnie mokry od potu. Jest coraz gorzej, pomyślał. Muszę koniecznie sprawdzić, co się ze mną dzieje.

Wyciągnął ze skrzynki pocztę i usiadł przy stoliku w ogrodzie, ciągle głęboko poruszony kolejnym zanikiem pamięci.

Dopiero o wiele później, gdy już nakarmił Jussiego, odkrył, że wśród gazet, które wyciągnął ze skrzynki, leży list. Nadawca nie podał swojego nazwiska ani adresu. Wallander nie rozpoznawał charakteru pisma.

Otworzywszy kopertę, zobaczył, że list jest napisany odręcznie i że pochodzi od Håkana von Enkego.

List został wysłany w Norrköping i brzmiał następująco:

*W Berlinie mieszka człowiek o nazwisku George Talboth. Jest Amerykaninem i pracował wcześniej w ambasadzie w Sztokholmie, mówi płynnie po szwedzku. Uważa się go za eksperta w dziedzinie stosunków krajów skandynawskich ze Związkiem Radzieckim, a obecnie z Rosją. Poznałem go jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy pierwszy raz przyjechał do Sztokholmu i towarzyszył ówczesnemu attaché wojskowemu Hotchinsonowi w różnych przyjęciach i podczas wizyt, między innymi w Berdze.*

*Przypadliśmy sobie do gustu, zarówno on, jak i jego żona grali w brydża, zaczęliśmy więc spotykać się prywatnie. Wkrótce zrozumiałem, że jest powiązany z CIA. Nigdy jednak nie próbował wydobyć ze mnie tajemnic, których nie miałem prawa zdradzić. Około 1974, możliwe, że rok później, jego żona Marilyn zachorowała na raka i wkrótce zmarła. To była dla niego prawdziwa tragedia. Stanowili parę, która - o ile to możliwe - żyła w jeszcze bliższym związku niż Louise i ja. George zaczął przychodzić do nas coraz częściej, prawie w każdą niedzielę, a nierzadko też w tygodniu.*

*W 1979 znalazł się na placówce dyplomatycznej w Bonn i po przejściu na emeryturę został w Niemczech, ale przeprowadził się do Berlina. Niewykluczone, że „na stronie” w dalszym ciągu świadczy swojemu krajowi różne usługi. Nic mi jednak o tym nie wiadomo.*

*Nie dalej jak w grudniu rozmawiałem z nim przez telefon. Chociaż skończył siedemdziesiąt dwa lata, nadal ma bardzo żywy umysł. Jest przekonany, że zimna wojna ciągle trwa. Po załamaniu się radzieckiego imperium nastąpiła rewolucja, która na wiele sposobów była równie wstrząsająca jak ta z 1917 roku. Ale według George’a to tylko chwilowe ustępstwo, chwilowe osłabienie. Uważa, że dziś potwierdzają się jego przypuszczenia: Rosja rośnie w siłę i będzie stawiała coraz*

*większe żądania wobec świata.*

*Pozwoliłem sobie napisać do niego kilka linijek i poprosiłem, żeby się z Tobą skontaktował. Jeżeli ktoś ewentualnie może Ci pomóc w wyjaśnieniu śmierci Louise, to na pewno on. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, że właśnie tak próbuję przyczynić się do Twoich - jak zrozumiałem - szczerych wysiłków.*

*Z wyrazami szacunku, Håkan von Enke*

Wallander odłożył list na kuchenny stół. To, że Håkan chce pośredniczyć w nawiązaniu kontaktu, było oczywiście pozytywne. A jednak list mu się nie spodobał. Znow ogarnęło go uczucie, że czegoś nie potrafi w tym wszystkim przejrzeć. Przeczytał tekst jeszcze raz; powoli, jakby przedzierał się przez pole minowe. „Listy należy tłumaczyć”, powiedział kiedyś Rydberg. Trzeba wiedzieć, co znaczą, szczególnie jeżeli czyjaś korespondencja ma znaczenie dla śledztwa.

Ale co tutaj miał do tłumaczenia? Co było napisane, to było napisane. Wallander podszedł do komputera i wstukał w wyszukiwarkę nazwisko Georgea Talbotha. Znalazł kilka osób, ale żadna nie pasowała do opisu. W końcu, z poczuciem, że wali głową w mur, wpisał skrót CIA i ku swemu zdumieniu zobaczył na ekranie stronę jakiegoś instytutu kulinarnego. Oczywiście, poza właściwą CIA.

Zostawił komputer i zmierzył sobie poziom cukru. Tym razem był mniej zadowolony z wyniku: 10,2 mmol/l. Stanowczo za wysoki. Zaniedbał przyjmowania tabletek metforminy i zastrzyków z insuliną. Przeprowadziwszy szybką kontrolę w łódówce, doszedł do wniosku, że w najbliższych dniach będzie musiał uzupełnić zapasy leków.

Każdego dnia zażywał ni mniej, ni więcej, tylko siedem tabletek: na cukrzycę, na obniżenie ciśnienia krwi i poziomu cholesterolu. Nie miał powodów do radości, raczej tylko poczucie porażki. Wielu jego kolegów nie połykało żadnych pigułek, przynajmniej tak twierdzili. W

swoim czasie Rydberg gardził wszelkimi preparatami chemicznymi. Nie brał nawet środków przeciwbólowych, choć często miewał bóle głowy. Każdego dnia wypełniał swój organizm niezliczoną ilością substancji chemicznych, o których w zasadzie nic nie wiem, pomyślał Wallander.

Ufam lekarzom i firmom farmaceutycznym, nie podaję w wątpliwość tego, co mi przepisują.

Nawet Lindzie nie opowiedział o wszystkich buteleczkach z lekarstwami. Nie wiedziała też, że od jakiegoś czasu przyjmuje insulinę. Choć zaglądała do jego lodówki, nigdy nie ruszała słoików z ostrym sosem, i dlatego właśnie za nimi ukrył opakowania z fiolkami.

Przeczytał list jeszcze kilka razy, nie znalazł w nim jednak niczego więcej ponad to, co Håkan napisał. Między wierszami nie kryły się żadne dodatkowe informacje.

Około siódmej złożył mu niezapowiedzianą wizytę Olofsson. Unosił się wokół niego zapach karmy dla zwierząt. Najbliższy sąsiad był roslym bezzębnym mężczyzną i swoim wyglądem bardziej przypominał byłego hokeistę niż skańskiego rolnika. Teraz przyszedł z pytaniem, czy Wallander nie wydzierżawiłby mu swojego poletka, które od jakiegoś czasu leży odłogiem. Wnuczka Olofssona miała dostać w prezencie urodzinowym kuca, i dlatego w przyszłym roku przydałoby mu się niewielkie pastwisko.

Wallander nie miał nic przeciwko temu i nawet nie chciał słyszeć o zapłacie. Wystarczyło, że Olofssonowie tak często pilnowali Jussiego. Sąsiad był rozmownym człowiekiem. Wallander zrozumiał, że nie odejdzie, dopóki nie zostanie poczęstowany kawą. Rozmawiali o pogodzie i zaginionych byczkach. Mężczyzna z ciekawością wypytywał o różne przestępstwa, o których czytał w lokalnym dzienniku. Dopiero o godzinie dziesiątej podniósł swoje wielkie cielsko z krzesła i wrócił do swoich traktorów. Podając sobie na pożegnanie ręce, przypieczętowali umowę o pastwisko.

Kiedy Wallander wszedł z powrotem do domu, poczuł się potwornie zmęczony. Jeszcze raz zaczął czytać leżący na stole list od Håkana von Enkego, przerwał jednak w połowie. Bezskutecznie szukał czegoś, co nie istniało.

W nocy śnił mu się ojciec. Stał na poletku, które Wallander obiecał wydzierżawić sąsiadowi, i poklepywał swoje sztalugi niczym konia.

Właśnie gdy Wallander wstał, zaledwie parę minut po siódmej, zadzwieczał telefon. Pomyślał, że to nie może być nikt inny jak Linda. Tylko ona dzwoni tak wcześnie, szczególnie teraz, w czasie urlopu. Podniósł słuchawkę.

- Czy to Knut Wallander?

Głos mężczyzny. Bezbłędny szwedzki, z niemal niewyczuwalnym obcym akcentem.

- Domyślam się, że mam przyjemność z George'em Talbothem - odpowiedział Wallander. - Czekałem na sygnał od pana.

- Mów mi ty. Mam na imię George, a ty Knut.

- Nie Knut, tylko Kurt.

- Kurt. Kurt Wallander. Często myślę mi się imiona. Kiedy do mnie przyjedziesz?

Pytanie zaskoczyło Wallandera. Co naprawdę Håkan do niego napisał?

- Nie zamierzałem wcale jechać do Berlina. Dopiero wczoraj dostałem list, z którego dowiedziałem się o twoim istnieniu.

- Håkan napisał, że raczej na pewno się do mnie wybierzesz.

- A dlaczego ty nie możesz odwiedzić mnie w Skanii?

- Nie mam prawa jazdy. A w samolocie i pociągu strasznie się nudzę.

Amerikanin bez prawa jazdy, pomyślał Wallander. To musi być jakiś

szczególnie rzadki okaz.

- Niewykluczone, że będę mógł ci pomóc - mówił dalej Talboth. - Znałem Louise. Równie dobrze jak Håkana. A

poza tym ona miała świetny kontakt z moją żoną Marilyn. Często wychodziły razem do miasta na herbatę. Później Marilyn opowiadała mi, o czym rozmawiały.

- I o czym były ich rozmowy?

- Louise prawie zawsze mówiła o polityce. Marilyn nie interesowała się nią, ale słuchała przez grzeczność.

Wallander zmarszczył czoło. Czy Hans nie twierdził czegoś zupełnie innego? Czy nie mówił, że matka nigdy nie dyskutowała o polityce, nie licząc krótkich, urywanych rozmów z mężem?

Nagle spodobała mu się myśl o wizycie u George'a Talbotha i podróży do Berlina. Nie był tam po upadku NRD. Dwukrotnie za to gościł we wschodniej części miasta w połowie lat osiemdziesiątych, razem z Lindą, w okresie jej fascynacji teatrem, kiedy usilnie nalegała na pójście do Berliner Ensemble. Ciągłe pamiętał to nieprzyjemne uczucie, kiedy wschodni Niemiecy strażnicy graniczni w środku nocy otworzyli gwałtownie drzwi w wagonie sypialnym i zażądali od niego paszportu. Zarówno za pierwszym, jak i drugim razem mieszkali w hotelu przy Alexanderplatz. Wallander zawsze czuł się tam nieswojo.

- Mógłbym cię odwiedzić. Przyjadę samochodem.

- Zatrzymasz się u mnie. Mieszkam w Schonebergu. Kiedy przyjedziesz?

- A kiedy mogę?

- Jestem wdowcem. Odpowiada mi ten termin, który odpowiada tobie.

- Pojutrze?

- Dam ci mój numer telefonu. Zadzwoń, jak dotrzesz do Berlina, poprowadzę cię przez miasto. Jesz ryby czy mięso?

- I jedno, i drugie.

- Wino?

- Czerwone.

- To już wszystko wiem. Masz długopis?

Wallander zapisał numer telefonu na marginesie listu Håkana.

- Zapraszam więc! Czy dobrze zrozumiałem, że twoja

córka jest żoną Hansa von Enkego?

- To nie do końca tak. Mają razem córkę Klarę. Ale jeszcze się nie pobrali.

- Weź, proszę, ze sobą fotografię wnuczki.

Wallander zakończył rozmowę. Zdjęcia Klary wisiały tu i tam w całym domu. Ściągnął dwa, przypięte szpilkami w kuchni, i położył je koło paszportu. Przy śniadaniu przestudiował atlas Europy, by sprawdzić, jak daleko jest do Berlina z bazy promowej w Sassnitz. Zadzwoił do przedsiębiorstwa żeglugowego w Trelleborgu, poprosił o podanie rozkładu jazdy promów i zanotował godziny odjazdów.

Cieszyła go perspektywa zagranicznej wycieczki. Zapamiętam to lato dzięki tym wszystkim podróżom samochodem, pomyślał. Tak jak wtedy, kiedy Linda była mała i jeździliśmy na wakacje do Danii, ale też na Gotlandię, a raz nawet do Hammarfest w północnej Norwegii.

Dwudziestego trzeciego lipca wsiadł do samochodu i ruszył wzdłuż wybrzeża w kierunku Trelleborga, promu i kontynentu. Lindzie oznajmił tylko, że zamierza zafundować sobie kilkudniowy wypad do Berlina. Nie zadała żadnych podejrzliwych pytań, powiedziała tylko, że mu zazdrości. W telewizji zobaczył, że w stolicy Niemiec, podobnie jak w całej środkowej Europie, panują rekordowe upały.

Postanowił, że nie uda się od razu do Berlina. Chciał zjechać z autostrady i zatrzymać się w jakimś hoteliku. Nie spieszyło mu się.

Zjadł na promie w towarzystwie rozmownego kierowcy ciężarówki, który poinformował go, że jedzie do Drezna z kilkoma tonami karmy dla psów.

- Dlaczego niemieckie psy dostają pokarm ze Szwecji? - zapytał Wallander.

- Prawda, że to ciekawe? Ale czy właśnie nie na tym ma polegać wolny rynek?

Wallander wyszedł na pokład. Rozumiał, że wielu ludzi wybiera pracę na statkach. Tak jak Håkan von Enke, choć akurat on długi czas spędzał pod powierzchnią wody. Zadumał się nad tym, dlaczego człowiek zostaje kapitanem okrętu podwodnego. Z drugiej strony, na pewno niejeden zastanawia się, dlaczego ktoś inny pragnie zostać policjantem. W każdym razie mój ojciec zadawał sobie takie pytanie.

Kiedy opuścił Sassnitz, zrobił sobie niedługi postój na przydrożnym parkingu, zmienił koszulę, założył krótkie spodnie i sandały. Przez moment poczuł się szczęśliwy: może zatrzymać się, gdzie chce, mieszkać, gdzie chce, jeść, gdzie chce. Tak wygląda wolność, pomyślał, świadomy własnej śmieszności. Podstarzały policjant na gigancie, uwolniony od samego siebie.

Dopiero gdy dojechał do Oranienburga, pod samym Berlinem, zdecydował się na nocleg. Przez chwilę szukał odpowiedniego hotelu i w końcu wybrał leżący na obrzeżu miasta Kronhof. Recepcjonista był starszym mężczyzną o sumiastych włosach. Korzystając z okazji, że gość jest Szwedem, zwierzył mu się, że od pewnego czasu myśli o kupnie domku letniskowego gdzieś w szwedzkich lasach. Czy pan Wallander mógłby mu polecić jakieś dobre miejsce?

- Smalandia - odparł Wallander. - W tamtejszych lasach stoi pełno pustych domów w oczekiwaniu na nowych właścicieli.

Dostał duży narożny pokój na trzecim piętrze. Meble wydawały mu się zbyt ciężkie i ponure, czuł się jednak zadowolony. Mieszkał na samej górze, nikt w nocy nie będzie mu chodził nad głową. Założył długie spodnie i wyszedł do miasta. Przez kilka godzin wałęsał się bez celu po ulicach, wypił kawę, zajrzał do sklepu z antykami i wrócił do hotelu. Wybiła piąta. Był głodny, postanowił jednak, że poczeka jeszcze trochę z kolacją. Położył się na łóżku z krzyżówką. Wpisawszy w kratki zaledwie parę wyrazów, zasnął.



Obudził się o wpół do ósmej. Zszedł do restauracji, usiadł przy stoliku w rogu. W głównej sali nie było szczególnie dużo gości, wieczór dopiero się zaczynał. Kelnerka przypominająca mu Fanny Klarström podeszła do niego z menu. Zamówił sznycel wiedeński i wino. Restauracja zapełniała się powoli ludźmi, większość z nich musiała znać się wcześniej. Na deser poprosił o krem czekoladowy, choć wiedział, że nie powinien jeść tak słodkich rzeczy. Wypił jeszcze jedną lampkę wina i poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie. Teraz przynajmniej nie mam ze sobą żadnej broni, której mógłbym zapomnieć, pomyślał. Jutro przed południem nie wezwie mnie żaden wzburzony Martinsson.

O dziewiątej zapłacił, wrócił do swojego pokoju, rozebrał się i położył do łóżka. Ale nie mógł zasnąć. Nie potrafił znaleźć sobie miejsca, rosło w nim jakieś napięcie. Miłe wspomnienie samotnej kolacji zniknęło bez śladu.

W końcu, zrezygnowany, ubrał się znowu i jeszcze raz zszedł do restauracji. Usiadł w oddzielnym barze i zamówił lampkę wina. Przy kontuarze stało kilku starszych mężczyzn z piwem. Stoliki były puste, oprócz tego naprzeciw, gdzie siedziała mniej więcej czterdziestoletnia kobieta.

Piła wino, wystukując wiadomość na klawiaturze telefonu. Uśmiechnęła się do Wallandera, on też odpowiedział uśmiechem. Wzniesli kieliszki w niemym toaście. Kobieta ciągle była zajęta telefonem. Wallander zamówił więcej wina, prosząc o jedną lampkę dla kobiety. Podziękowała, odłożyła komórkę i przysiadła się do jego stolika. Swoim kiepskim angielskim oznajmił jej po prostu, że jest Szwedem w drodze do Berlina. Ponieważ nie był pewien, jak wymówić „Kurt” po angielsku, powiedział, że ma na imię James.

- Czy to szwedzkie imię? - zapytała.

- Moja matka pochodziła z Irlandii.

Uśmiechając się na myśl o swoim kłamstwie, zapytał ją o

imię. Isabel wyjaśniła mu, że w ciągu kilku kolejnych lat Oranienburg zostanie wchłonięty przez Berlin. Wallander siedział wpatrzony w jej twarz, zmęczoną, zniszczoną, zbyt mocno umalowaną. Przemknęła mu przez głowę myśl, że może rozmawia z prostytutką, która w barze poluje na klientów. Ale przecież w ogóle nie jest wyzywająco ubrana, zastanawiał się dalej. A poza tym ja nie korzystam z takich usług.

Kim więc jest owa Isabel, której zafundował wino? Powiedziała, że jest florystką, samotną, z dwójką dorosłych dzieci, że mieszka - jak to opisała - w *sehr schön* mieszkaniu, w bloku czynszowym w pobliżu parku, do którego teraz próbowała mu wytłumaczyć drogę. Ale Wallandera nie interesowały ani parki, ani drogi; ta kobieta pociągała go coraz bardziej, wyobraził sobie jej nagie ciało w pokoju hotelowym i właśnie tam zamierzał ją zwabić.

Widział, że nie jest zupełnie trzeźwa; czuł, że sam też nie powinien pić więcej. Zbliżała się północ, bar opustoszał, mężczyzna za kontuarem zapytał głośno o ostatnie zamówienie. Wallander poprosił o rachunek, a jednocześnie zwrócił się do Isabel, zapraszając ją na jeszcze jedną lampkę wina w swoim pokoju. Pierwszy raz w ciągu całego wieczoru wyjawiał, że tutaj mieszka. Kobieta nie wyglądała na zdziwioną, może już wiedziała.

Czy istnieją niewidzialne łącza komunikacyjne między recepcją a barem? Nie zaprzętał sobie tym głowy, uregulował rachunek, zostawił stanowczo za wysoki napiwek i minawszy pustą recepcję, zaprowadził Isabel na trzecie piętro. Dopiero gdy zamknął drzwi do pokoju, wyznał jej ponurą prawdę: nie ma jej czym poczęstować. W żadnej z szaf nie było borku, hotel nie zapewniał ani tej wygody, ani serwisu pokojowego. Ale ona doskonale wiedziała, na co się zgodziła, i objęła go bez uprzedzenia, budząc w nim niepohamowane pożądanie.

Rzucili się na łóżko, Wallander nie pamiętał, kiedy ostatni raz uprawiał seks.

W ciele Isabel usiłował odnaleźć zarówno Baibę, jak i Monę, a może też inne, dawno już zapomniane kobiety. Wszystko poszło bardzo szybko i kiedy w Wallanderze po jakimś czasie na nowo rozpalila się żądza, kobieta zdążyła zasnąć. Nie mógł jej dobudzić. Seks ze śpiącą i chrapiącą kobietą mimo wszystko przekraczał granice jego wyobraźni. Nie pozostało mu nic innego, jak ułożyć się do snu, co w końcu uczynił, z ręką wciśniętą między jej spocone uda.

Ciągle trzymał tam swoją dłoń, kiedy obudził się o świcie. Z bolącą głową i językiem klejącym się do podniebienia postanowił natychmiast opuścić pokój i śpiącą Isabel. Ubierając się pośpiesznie, uświadomił sobie, że absolutnie nie powinien teraz siadać za kierownicą, nie dopuszczał jednak myśli, że może tu dłużej zostać. Wziął walizkę i zszedł do recepcji, gdzie młody mężczyzna leżał na pryczy pod staromodną szafką na klucze. Obudził się na dźwięk dzwonka, wystawił rachunek i wydał resztę. Obok kluczy Wallander położył na kontuarze dziesięć euro.

- W pokoju śpi kobieta. Myślę, że dla niej również starczy?

- *Alles klar* - odpowiedział młodzieniec, ziewając.

Wallander pośpieszył do samochodu i ruszył w kierunku Berlina. Nie zajechał dalej niż do pierwszego przydrożnego parkingu. Tam zatrzymał się i zwinął w kłębek na tylnym siedzeniu. Po nocnym epizodzie dręczyły go poczucie winy i żal. Usiłował wmówić sobie, że nie było najgorzej. Mimo wszystko nie zażądała pieniędzy. I chyba nie uważała go za szczególnie odstręczającego.

Obudził się o dziewiątej i pojechał dalej. Zadzwoił do George'a Talbotha spod jakiegoś motelu na przedmieściach Berlina. Amerykanin miał przed sobą przygotowaną wcześniej mapę i bez problemu znalazł miejsce postoju Wallandera.

- Będę tam za godzinę - powiedział. - Usiądź sobie gdzieś i korzystaj z pięknej pogody.

- A jak tu dotrzesz? Przecież mówiłeś, że nie masz prawa

jazdy?

- Poradzę sobie.

Wallander kupił kawę w papierowym kubeczku i usiadł w cieniu niedaleko restauracji. Pomyślał o Isabel: czy już wstała i czy nie zastanawia się, gdzie on się podział. Nie potrafił sobie przypomnieć prawie żadnych szczegółów z ich nieporadnego i niezbyt romantycznego uniesienia. Czy ono wydarzyło się naprawdę? Przed oczami stawały mu niewyraźne, wywołujące zażenowanie urywkowe obrazy.

Poprosił o dolewkę kawy i kupił zapakowaną w folię kanapkę. Miał wrażenie, że przeżuwa gąbczastą ścierkę. Wmusił w siebie połowę, a resztę wyrzucił gołębim, które przeczornie czekały w pobliżu.

Minęła godzina. Ciągłe jeszcze nikt nie zapytał o szwedzkiego inspektora kryminalnego. Po kolejnym kwadransie przed motelem zatrzymał się czarny mercedes z tablicami dyplomatycznymi. Wallander domyślił się, że to przybył George Talboth. Z samochodu wysiadł mężczyzna w białym garniturze i okularach przeciwsłonecznych. Od razu dostrzegł Wallandera, podszedł do niego i zdjął okulary.

- Kurt Wallander?

- Tak, to ja.

Talboth był ogromnej postury, miał blisko dwa metry wzrostu, a uścisk jego dłoni mógłby udusić każdego, gdyby ręka zacisnęła się wokół szyi.

- Tłok na drogach był większy, niż myślałem. Przepraszam za spóźnienie.

- Wziąłem sobie do serca twoją propozycję i korzystałem z uroków pięknej pogody. Nie myślałem o zegarku.

George Talboth pomachał ręką ku niewidocznemu szoferowi i samochód zniknął.

- Mogę liczyć na pomoc, jeśli jej potrzebuję - powiedział.

- No to co, jedziemy?

Wsiedli do peugeota Wallandera. George okazał się żywym odbiornikiem GPS i bez najmniejszego wahania sterował kierowcą w coraz bardziej gęstniejącym ruchu. Po

ponadgodzinnej podróży stanęli przed ładną kamienicą w dzielnicy Schöneberg. Wallander pomyślał, że to musi być jeden z niewielu budynków, które przeżyły koniec drugiej wojny światowej, gdy Hitler w swoim bunkrze odbierał sobie życie, a Armia Czerwona przetaczała się przez miasto kwartał za kwartałem.

Amerykanin zajmował sześciopokojowe mieszkanie na najwyższym piętrze. Sypialnia, którą udostępnił gościowi, wychodziła na niewielki park.

- Zostawię cię samego na parę godzin - powiedział. - Mam kilka spraw do załatwienia.

- Poradzę sobie.

- Jak wrócę, będziemy mieli mnóstwo czasu. Jest tu w pobliżu włoska restauracja ze wspaniałym jedzeniem. Będzie czas na rozmowę. Jak długo zamierzasz zostać?

- Niespecjalnie długo. W zasadzie myślałem o tym, żeby wrócić już jutro.

George Talboth pokręcił energicznie głową.

- Nie ma mowy! Po prostu nie można przyjechać do Berlina z taką krótką wizytą. To byłby afront dla miasta, które doświadczyło tak wiele w tragicznej historii narodów świata.

- Możemy porozmawiać o tym później - wtrącił Wallander. - Ale jak przed chwilą powiedziałeś, nawet starsi panowie mają czasami pewne sprawy do załatwienia.

Talboth zadowolili się odpowiedzią, pokazał mu łazienkę, kuchnię i rozległy taras, a potem wyszedł. Stojąc przy oknie, Wallander widział, jak George ponownie wsiada do czarnego mercedesa. Wyjął z lodówki piwo, stanął na balkonie i wypił je wprost z butelki. W ten sposób pożegnał się ostatecznie z kobietą spotkaną dzień wcześniej. Od tej pory miała zniknąć, zamieniając się jedynie w natrętne wspomnienie w snach. Tak to się zazwyczaj kończyło. Nigdy nie śnił o kobietach, które kochał naprawdę. W snach powracały wyłącznie te, z którymi łączyły go mniej lub bardziej przykre doświadczenia.

Pomyślał, że pamięta to, co chciałby zapomnieć, a

zapomina to, co powinien pamiętać. W takim sposobie życia kryło się coś głęboko niewłaściwego. Nie miał pojęcia, czy inni ludzie też to tak przeżywają. O czym marzyła Linda? Czego pragnął Martinsson? A jak wyglądały marzenia jego uprzykrzonego szefa Lennarta Mattsona?

Wypił jeszcze jedno piwo i na lekkim rauszu napuścił sobie wody do wanny. Kiedy wyszedł z kąpieli i ponownie się ubrał, był w zdecydowanie lepszym nastroju.

Dwie godziny później wrócił George. Usiedli na zacienionym teraz balkonie i zaczęli rozmawiać. Dopiero wtedy Wallander zauważył leżący na stoliku niewielki kamień. Nie miał wątpliwości, że widział go już wcześniej.

## 36

Przez cały czas w Berlinie Wallandera nie opuszczała jedna myśl. Czy George Talboth zorientował się, że jego gość zauważył kamień, czy nie zwrócił na to uwagi? Pytanie dręczyło go również następnego dnia, gdy wracał już do domu. Zrozumiał, że Talboth ma bystre oko i głowę na karku. Jego mózg ani nie przecieka, ani się nie rozsypuje, pomyślał. To, że Amerykanin chwilami sprawia wrażenie niezainteresowanego i nieomal ospałego, nie znaczy, że jego czujność słabnie.

Wallander nie miał wątpliwości, że kamień, który zniknął z biurka Håkana, leży teraz na balkonie George'a Talbotha. Albo jest jego dokładną kopią.

Myśl o kopii dotyczyła również samego mężczyzny. Już przed motelem Wallander miał wrażenie, że Talboth jest do kogoś bardzo podobny, że ma sobowtóra. To niekoniecznie musiał być ktoś znany mu osobiście. Raczej ktoś widziany kiedyś przelotnie, a teraz zupełnie zapomniany.

Dopiero wieczorem, zanim wyszli z domu na kolację,

znalazł odpowiedź. Talboth przypominał Humphreya Bogarta. Był tylko wyższy i brakowało mu papierosa w kąciku ust. Podobieństwo nie dotyczyło jedynie wyglądu; również w jego głosie pobrzmiwało coś, co Wallander przypominał sobie z takich filmów jak *Skarb Sierra Madre* czy *Afrykańska królowa*. Zastanawiał się, czy Talboth zdaje sobie z tego sprawę, i doszedł do wniosku, że chyba tak. Sprawiał wrażenie wyjątkowo świadomego człowieka.

Zanim usiedli na balkonie, gospodarz ujawnił chowaną w zanadru niespodziankę. Otworzył dotychczas zamknięte drzwi. W środku stało ogromne akwarium z błyszczącymi rybami, które niebiesko-czerwoną ławicą przemieszczały się bezgłośnie za grubym szkłem. Pojemniki z wodą i plastikowe rurki wypełniały cały pokój. Ale najbardziej fascynujące w tym wszystkim były położone na dnie akwarium i genialnie skonstruowane tunele, którymi po zamkniętych torach pędziły miniaturowe pociągi elektryczne. Tunele były zupełnie przezroczyste, jak szyba za szybą. Nie przepuszczały ani kropli wody. Wyglądało na to, że ryby nie reagują na kolejki jeżdżące w kółko po sztucznym dnie morskim.

- To prawie kopia tunelu między Dover a Calais - objaśnił Talboth. - Budując ten model, korzystałem z oryginalnych projektów i pewnych szczegółów konstrukcji.

Wallander pomyślał nagle o Håkanie, który w odległym domku łowieckim siedzi ze swoim modelem okrętu w butelce. Istnieje między nimi pewne pokrewieństwo, pomyślał, niezależnie od ich przyjaźni. Ale nie potrafię powiedzieć, co to tak naprawdę oznacza.

- Lubię pracować rękami - mówił dalej Talboth. - Ograniczenie się do pracy umysłowej nie jest dobre dla człowieka. Znasz to z autopsji?

- Nie mogę powiedzieć, że tak. Mój ojciec miał zdolności manualne, ale nie przekazał mi ich w genach.

- Czym się zajmował?

- Produkował obrazy.

- A więc był artystą? Dlaczego mówisz „produkował”?

- Ojciec był trochę dziwny. W zasadzie przez całe życie malował jeden jedyny motyw. Nie ma o czym mówić.

Talboth zauważył niechęć gościa i nie zadawał więcej pytań. Obserwowali powolne ruchy ryb i szaleńcze tempo pociągów w tunelach. Wallander zanotował, że nie mijały się w tym samym miejscu. Musiało następować jakieś opóźnienie, którego początkowo nie sposób było dostrzec.

Na pewnym odcinku pociągi jechały po tym samym torze. Po chwili wahania zapytał o to Talbotha.

- Dobrze widzisz. To prawda. W cały system wliczone jest nieznaczące opóźnienie.

Z półki na ścianie ściągnął klepsydrę, na którą Wallander, wchodząc do pokoju, nie zwrócił uwagi.

- Piasek pochodzi z zachodniej Afryki. Żeby być geograficznie ścisłym: z wyspy Bubaque w archipelagu należącym do Gwinei Bissau, czyli z kraju, o którym mało kto wie, nawet ze słyszenia. Dawno, dawno temu, kiedy jeszcze używano klepsydr do pomiaru czasu, pewien stary angielski admirał zdecydował, że to będzie najbardziej odpowiedni piasek dla angielskiej floty.

Gdybym teraz zaczął wszystko od początku, gdybym jednocześnie odwrócił klepsydrę i włączył prąd, to znaczyłby wprawdzie ruch, zobaczyłbyś, że pierwszy skład dogoni drugi po dokładnie pięćdziesięciu dziewięciu minutach. Od czasu do czasu robię taki eksperyment, głównie po to, by sprawdzić, czy piasek w klepsydrze nie przesypuje się za wolno i czy transformator działa bez zarzutu.

Jako dziecko Wallander marzył o kolejce niemieckiej firmy Marklin, ale ojca nigdy nie było stać na taki wydatek. Sunące teraz przed nim modele pociągów ciągle symbolizowały niespełnione marzenia.

Usiedli na balkonie. Popołudnie było bardzo ciepłe. Talboth przyniósł wodę z lodem i szklanki. Wallander doszedł do wniosku, że nie ma powodu, by nie zacząć mówić wprost. Pierwsze pytanie niejako sformułowało się



samo.

- Jak zareagowałeś na wiadomość o zniknięciu Louise?

Talboth nie spuszczał z Wallandera swoich jasnych oczu.

- Chyba nie do końca się zdziwiłem - odpowiedział.

- Dlaczego?

Talboth wzruszył ramionami.

- Nie muszę ci tłumaczyć tego, co już wiesz. Coraz trudniejsze do wytrzymania podejrzenia Håkana, może nawet pewność, że jego żona jest zdrażczynią ojczyzny. Mówi się tak? Mój szwedzki nie zawsze jest całkiem poprawny.

- Tak, to właściwe określenie. Ktoś, kto zajmuje się szpiegostwem, zazwyczaj jest zdrażcą ojczyzny. O ile w grę nie wchodzi inne, bardziej specyficzne sprawy, na przykład szpiegostwo gospodarcze.

- Håkan zniknął, ponieważ nie mógł już wytrzymać. Ukrył się, by mieć czas do namysłu. Gdy Louise przepadła, zdążył już w zasadzie wszystko dokładnie przemyśleć. Chciał przekazać zebrane dowody wojskowej służbie wywiadowczej. Wszystko miało odbyć się zgodnie z prawem. Nie zamierzał oszczędzać siebie i swojego dobrego imienia. Rzecz jasna zdawał sobie sprawę, że dotknie to również Hansa. Ale nie mógł na to nic poradzić. Chodziło w końcu o sprawę honoru.

Na wieść o zniknięciu Louise oniemiał ze zdumienia. Coraz bardziej się bał. Po kilku rozmowach telefonicznych z Håkanem ja też zacząłem się niepokoić. Ogarnęła go nieomal mania prześladowcza. Miał tylko jedno wyjaśnienie na zniknięcie Louise: w jakiś sposób udało się jej odczytać jego myśli. Obawiał się, że znajdzie miejsce jego pobytu. Jeżeli nie ona sama, to jej pracodawca w łonie rosyjskiego wywiadu. Håkan był przekonany, że Louise w dalszym ciągu ma dla nich tak wielkie znaczenie, że nie zawahają się go zabić, żeby móc oszczędzić jego żonę. Nawet jeżeli jest już zbyt wiekowa na aktywne szpiegowanie, chodziło o to, żeby jej nie ujawnić. Rosjanie nie chcieli oczywiście zdradzić, co wiedzą. Albo czego nie

wiedzą.

- Co pomyślałeś, kiedy dotarła do ciebie wiadomość o jej samobójstwie?

- Nigdy w to nie uwierzyłem. To oczywiste, że została zamordowana.

- Dlaczego?

- Odpowiem pytaniem. Dlaczego miałyby odebrać sobie życie?

- Może ogarnęły ją wyrzuty sumienia? Może zrozumiała, na jakie cierpienie naraziła męża? Istnieje chyba wiele prawdopodobnych przyczyn. Jako policjant miałem do czynienia z samobójstwami popełnionymi ze znacznie bardziej błahych powodów.

Talboth przez chwilę rozważał słowa Wallandera.

- Niewykluczone, że to prawda. Dochodzę jednak do wniosku, że nie przedstawiłem ci całego obrazu Louise. Znałem ją. Nawet jeżeli ukrywała sporą część swojego prawdziwego ja, poznałem ją dość dobrze. Nie była człowiekiem, który popełnia samobójstwo.

- Dlaczego tak uważasz?

- Niektórzy ludzie nie odbierają sobie życia. Po prostu.

Wallander pokręcił głową.

- Ja mam zupełnie inne spostrzeżenia. Wiem z doświadczenia, że każdy człowiek w pewnych trudnych okolicznościach jest w stanie pozbawić się życia.

- Nie zamierzam z tobą polemizować. Możesz interpretować moje słowa, jak ci się podoba. Jestem też przekonany, że twoje policyjne doświadczenia są ważne. Ale chyba nie należy zupełnie odrzucać doświadczeń zdobytych podczas długoletniej pracy w amerykańskich służbach wywiadowczych.

- Teraz wiemy, że została zamordowana. Wiemy też, że w jej torebce znaleziono materiały wywiadowcze.

Marszcząc czoło, Talboth odstawił nagle szklanekę, którą właśnie podniósł, by się napić. Wallander odniósł wrażenie, że wzbudził w nim inny rodzaj czujności.

- O tym nie wiedziałem. Że skonfiskowano jakieś

materiały wywiadowcze.

- I nie powinieneś się dowiedzieć. Nie powinienem być ci tego mówić. Ale robię to ze względu na Håkana. Zakładam, że to zostanie między nami.

- Nic nikomu nie powiem. Tego się człowiek uczy w wywiadzie. Kiedy kończysz służbę, nic nie możesz zostawić. Czyścisz własną pamięć, tak jak inni opróżniają swoje szafy czy biurka.

- A co ty na to, jeżeli powiem, że Louise najprawdopodobniej została otruta w sposób, który znano w byłej NRD? Żeby upozorować wyroki śmierci na samobójstwa?

Talboth powoli pokiwał głową. Jeszcze raz podniósł szklankę do ust. Tym razem się napił.

- To się zdarza również w CIA - powiedział. - My też stosunkowo często czujemy się zmuszeni do likwidacji pewnych osób. W taki sposób, żeby nie ulegało wątpliwości, że chodziło o samobójstwo.

Wallander nie dziwił się niechęci gospodarza do mówienia o czymś, co nie miało bezpośredniego związku z Louise i Håkaniem. Ale postanowił posunąć się tak daleko jak to tylko możliwe.

- Możemy zatem wyjść z założenia, że Louise została zamordowana - powiedział Wallander.

- Czy mogła ją zamordować szwedzka służba bezpieczeństwa?

- W Szwecji w ten sposób się nie pracuje. Poza tym nie ma powodu, by sądzić, że Louise została zdemaskowana. Innymi słowy: brakuje nam sprawcy i wiarygodnego motywu.

Talboth przesunął krzesło w cień. Przez chwilę siedział w milczeniu, przygryzając ostrożnie dolną wargę.

- Można się pokusić o tezę, że chodzi o dramat wywołany zazdrością - powiedział nagle i wyprostował się gwałtownie na krześle. - Praca w Szwecji to naturalnie zupełnie coś innego niż służba za żelazną kurtyną, dopóki ta istniała. Jeśli tam ktoś został ujawniony, z reguły ginął. O ile nie był

na tyle ważny, że dawało się go wykorzystać w handlu wymiennym. Zdrajca za zdrajcę.

Szpiedzy, którzy działają zbyt długo, nieustannie przygotowani na dekonspirację, mogą zatracić jasność umysłu. Presja może być zbyt silna. Dlatego zdarza się, że agenci skaczą sobie do gardeł. Przemoc zwraca się do wewnątrz. Czyjeś sukcesy mogą być zbyt wielkie. Powstaje zazdrość; współpracę i lojalność zastępuje rywalizacja. W przypadku Louise jest to faktycznie do pomyślenia. Ze szczególnego powodu.

Teraz również Wallander przesunął swoje krzesło w cień. Pochylił się, wyciągnął rękę po szklankę. Lód się roztopił.

- Jak Håkan już ci wspomniał, plotki o szwedzkim agencie krążyły od dawna. Dość długo wiedziała o tym CIA. Kiedy pracowałem na placówce w Sztokholmie, przeznaczaliśmy na tę sprawę spore nakłady. Przekazywanie szwedzkich tajemnic wojskowych Rosjanom stanowiło problem także dla nas i dla NATO. Szwedzki przemysł zbrojeniowy przodował w innowacjach technologicznych. Razem ze szwedzkimi kolegami odbywaliśmy systematyczne narady dotyczące tej niepokojącej sytuacji. Ale również z kolegami z Anglii, Francji i Norwegii.

Mieliśmy do czynienia z wyjątkowo uzdolnionym agentem. Zrozumieliśmy też, że po stronie szwedzkiej musi istnieć jakiś człon pośredni, dostawca. Ktoś, kto przekazywał informacje agentowi, by ten mógł przesłać je dalej Rosjanom. Byliśmy zdziwieni, że nasi szwedzcy koledzy nigdy nie wpadli na jakiś ślad. Mieli krótką listę z dwudziestoma nazwiskami; wszyscy byli oficerami różnych formacji. Ale do niczego nie doszli. A nam nie udało się im pomóc. Jakbyśmy poszukiwali fantomu.

Jakiś jasny umysł zaproponował, by nazwać osobę, której szukaliśmy, Dianą. Tak miała na imię narzeczona Fantoma. Uważałem to za idiotyczny pomysł. Przed wszystkim dlatego, że wtedy nic nie przemawiało za tym, iż chodzi o kobietę. Później jednak okazało się, że ten bałwan

nieświadomie, lecz proroczo dokonał właściwego porównania. W każdym razie tak wyglądała sytuacja do marca 1987 roku. A dokładniej mówiąc - do 8 marca. Tego dnia wydarzyło się coś, co za jednym zamachem zmieniło całą sytuację: w odstawkę poszło kilku oficerów wywiadu, a my musieliśmy przemyśleć wiele rzeczy na nowo. Håkan ci o tym nie opowiedział?

- Nie.

- Zaczęło się pod Amsterdamem, na lotnisku Schiphol, wczesnym rankiem. Nagle w drzwiach tamtejszego komisariatu policji stanął mężczyzna ubrany w workowaty garnitur, białą koszulę i krawat. W jednej ręce trzymał niewielką walizkę, w drugiej kapelusz, przez ramię miał przewieszony płaszcz. Musiał sprawiać wrażenie kogoś przybyłego z innej epoki, jakby wyszedł z czarnobiałego filmu z ponurą muzyką w tle. Trafił na policjanta, który właściwie był stanowczo za młody, by sprostać zadaniu, przed jakim się znalazł.

Ale w Amsterdamie szalała grypa, policjant dostał zastępstwo, a teraz miał przed sobą mężczyznę, który łamanym angielskim prosił o azyl polityczny w Królestwie Niderlandów. Pokazał rosyjski paszport, z którego wynikało, że nazywa się Oleg Linde. Nietypowe rosyjskie nazwisko, wszystko jednak się zgadzało. Gość miał czterdzieści lat, rzadkie włosy i bliznę biegnącą wzdłuż jednego skrzydełka nosa. Młody policjant, który nigdy wcześniej nie stał oko w oko z ubiegającym się o azyl uciekinierem ze Wschodu, poszedł po starszego kolegę, by ten zajął się sprawą.

Zanim ów drugi policjant, miał chyba na imię Geert, zdążył zadać pierwsze pytanie, Oleg Linde zaczął mówić. Czytałem te przesłuchania tyle razy, że chyba znam najważniejsze fragmenty na pamięć. Był pułkownikiem KGB, tej szczególnej struktury, której główne zadanie polegało na gromadzeniu informacji wywiadowczych poza granicami ZSRR, i prosił o azyl polityczny, ponieważ nie chciał dłużej uczestniczyć w podtrzymywaniu rozpada-

jącego się radzieckiego imperium. Tak brzmiały jego pierwsze słowa.

A później zarzucił przynętę. Wiedział sporo o radzieckich szpiegach pracujących na Zachodzie. Zwłaszcza o kilku szczególnie uzdolnionych, którzy mieli swoją bazę w Holandii. Potem zajęła się nim służba bezpieczeństwa. Zawieziono go do mieszkania w Hadze, leżącego, jak na ironię, niedaleko Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, i tam rozłożono na czynniki pierwsze, jak to sformułowali holenderscy koledzy.

Nie minęło wiele dni, zanim przekonano się, że Oleg Linde jest na wskroś prawdziwy. Zachowując jego tożsamość w tajemnicy, rozesłano europejskim kolegom wiadomość o wspaniałym pionku, prawdziwym antyku zdobiącym stół. Czy zechcecie przyjechać? Obejrzyć ów pionek?

Nadchodziły raporty z Moskwy o panującym w KGB wzburzeniu; podobno wszyscy biegali wystraszeni w kółko jak mrówki, kiedy wetknie się im kij w mrowisko. Oleg Linde był jednym z tych, którzy po prostu nie mogli zniknąć. Ale właśnie zniknął bez śladu i teraz obawiano się najgorszego. Moskwa zrozumiała, że ukrył się w Królestwie Niderlandów, kiedy zawaliły się działające tam struktury wywiadowcze.

A Oleg Linde zaczął swoją wielką wyprzedaż, jak to nazywaliśmy. Nie był drogi. Zażył sobie tylko nowego nazwiska i nowej tożsamości. Z tego co wiem, wyjechał później na wyspę Mauritius, osiadł w mieście o przepięknej nazwie Pamplemousses i utrzymywał się ze stolarki. Najwyraźniej nasz poczciwy Oleg, zanim zaczął pracować w KGB, zajmował się stolarstwem. Ale akurat tej części historii nie jestem pewien.

- A co robi teraz?

- Teraz odpoczywa snem wiecznym. Zmarł w 2006 roku, na raka. Na Mauritiuisie znalazł młodą damę, z którą się ożenił i miał kilkoro dzieci. Ale o ich życiu nic nie wiem. Jego historia przypomina zresztą historię innego

uciekiniera ze Wschodu; myślę o agencie zwanym Borysem.

- Słyszałem o nim - powiedział Wallander. - W tamtych latach musiało chyba dojść do masowego odpływu Rosjan.

Talboth podniósł się z krzesła i zniknął w mieszkaniu. Ulicą przejechało kilka wozów strażackich na sygnale. Gospodarz wrócił z karafką wypełnioną po brzegi wodą.

- To on dostarczył nam informacji, że szpieg, którego tak długo szukaliśmy w Szwecji, rzeczywiście jest kobietą - zaczął, usiadłszy ponownie. - Nie miał dostępu do jej danych, zajmowało się nią w KGB parę osób pracujących zupełnie niezależnie od innych oficerów. Postępowano tak w przypadku wyjątkowo wartościowych agentów. Nie wątpił jednak, że chodzi o kobietę. Ona sama nie była zawodowo związana ani z armią, ani z przemysłem zbrojeniowym. A to znaczyło, że miała jednego albo kilku dostawców znoszących jej perełki, które ona później sprzedawała innym.

Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czy była szpiegiem ze względów ideologicznych, czy chodziło jedynie o czysty interes. Służby specjalne zazwyczaj wołają szpiegów robiących interesy. Zbyt duża dawka przekonań ideologicznych może okazać się problemem. Zwykliśmy mówić, że na ludziach o niezachwianej wierze nigdy nie można całkowicie polegać. Nasza branża jest branżą cyniczną i musi taka pozostać, by móc funkcjonować. Niczym mantrę powtarzamy, że może nie czynimy świata lepszym, ale też nie gorszym. Usprawiedliwiamy się tym, że utrzymujemy coś w rodzaju równowagi terroru, co przypuszczalnie jest prawdą.

Talboth zamieszał łyżką kostki lodu.

- Wojny przyszłości - powiedział w zamyśleniu. - Te wojny będą dotyczyły podstawowych produktów, jak na przykład woda. Nasi żołnierze będą umierali za kałuże.

Nalał sobie wody do szklanki, niemal ze smutkiem i z ogromną uwagą, by nie zmarnować ani kropli. Wallander czekał.

- Nigdy jej nie znaleźliśmy - mówił dalej gospodarz. - Wspomagaliśmy Szwedów na tyle, na ile się dało, ale nigdy jej nie zidentyfikowaliśmy. Nigdy nie udało się jej zdemaskować i złapać. Zaczęliśmy nawet podejrzewać, że jest tylko wytworem fantazji. Lecz Rosjanie ciągle dowiadawali się o rzeczach, o których nie powinni wiedzieć. Gdy tylko Bofors wprowadził jakiś nowy skomplikowany szczegół techniczny w istniejącym systemie broni, Rosjanie zaraz o tym wiedzieli. Zastawialiśmy mnóstwo pułapek, jednak nikogo nie udało się nam usidlić.

- A Louise?

- Ona była oczywiście poza wszelkimi podejrzeniami. Któż miałby podejrzewać właśnie ją, nauczycielkę języka kochającą skoki do wody?

Talboth przeprosił na chwilę, musiał dopatrzeć czegoś w akwarium. Wallander został sam na balkonie. Zaczął zapisywać słowa Talbotha, ale po chwili przerwał. Doszedł do wniosku, że i tak wszystko zapamięta. Udał się do przydzielonego mu pokoju i położył się na łóżku z rękami pod głową. Kiedy otworzył oczy, odkrył, że zasnął na dwie godziny. Poderwał się gwałtownie, jakby z obawy, że zasnął. Gospodarz siedział na balkonie i palił papierosa. Wallander powrócił na swoje krzesło.

- Coś ci się musiało śnić - powiedział Talboth. - W każdym razie kilka razy krzyczałeś.

- Moje sny są czasami dość brutalne. Przychodzą falami.

- To mi zostało zaoszczędzone. Nigdy nie pamiętam swoich snów. I bardzo to sobie chwalebę.

Zrobili spacer do włoskiej restauracji, o której Talboth wcześniej wspominał. Do posiłku pili czerwone wino i rozmawiali o wszystkim, z wyjątkiem Louise von Enke. Po kolacji George upierał się, by skosztowali kilku rodzajów grappy, zanim - równie stanowczo - oznajmił, że to on zapłaci rachunek. Kiedy opuszczali Il Travatore Wallander czuł, że jest na lekkim rauszu. Talboth zapalił papierosa.



Odwrócił się, wydmuchując dym.

- Minęło wiele lat - zaczął Wallander - odkąd Oleg Linde opowiedział o Szwedce szpiegu. To przecież nieprawdopodobne, żeby jeszcze ciągle działała.

- O ile faktycznie działa. Nie zapomnij, o czym rozmawialiśmy na balkonie.

- Jej ewentualna dalsza działalność oczyściłaby Louise z podejrzeń.

- Niekoniecznie. Pałeczkę mógł przejąć ktoś inny. W tym świecie nie ma prostych wyjaśnień. Często prawda może być zaprzeczeniem tego, co nam się wydaje.

Szli niespiesznie ulicą. Talboth zapalił jeszcze jednego papierosa.

- Pośrednik - nie ustawał drażnić Wallander - ten, którego nazwałeś „dostawcą”, o nim też nic nie wiadomo?

- Nigdy go nie zdemaskowano.

- Co oczywiście oznacza, że to równie dobrze mogła być kobieta?

Talboth pokręcił głową.

- Kobiety rzadko mają takie wpływy w armii albo przemyśle zbrojeniowym. Stawiam moją niewielką emeryturę, że chodzi o mężczyznę.

Wieczór był upalny, duszny. Wallander czuł, że za chwilę zacznie go boleć głowa.

- Czy coś w mojej opowieści szczególnie cię zaskoczyło? - zapytał jakby nieobecny duchem Talboth, głównie chyba dla podtrzymania rozmowy.

- Nie.

- A może doszedłeś do jakiegoś wniosku, który przeczy temu, co powiedziałem?

- Nie. W każdym razie nic mi teraz nie przychodzi do głowy.

- A co mówią policjanci badający sprawę morderstwa Louise?

- Brakuje im tropów. Nie ma sprawcy, nie ma motywu. Oprócz tego, że w jej torebce znaleziono mikrofilmy.

- To chyba wystarczający dowód na to, że była

szpiegiem? Może coś poszło nie tak, kiedy miała przekazać materiały?

- To jedno z sensownych wyjaśnień. Przypuszczam, że policja pracuje według tej teorii. Ale co poszło nie tak jak powinno? Kto ją spotkał? I dlaczego właśnie teraz?

Talboth zatrzymał się i przydepnął niedopałek papierosa.

- To mimo wszystko duży postęp. Teraz są przeciw niej dowody. Można skupić całe śledztwo na niej. Prawdopodobnie z czasem dotrze się również do pośrednika.

Stanęli pod bramą. Talboth wystukał cyfry kodu w elektronicznym zamku.

- Potrzebuję świeżego powietrza - powiedział nagle Wallander. - Jestem nałogowym nocnym wędrowcem. Jeszcze trochę pospaceruję.

Talboth skinął głową, podał mu kod i zniknął za bezgłośnie zamykającymi się drzwiami. Wallander ruszył opustoszałą ulicą. Znów ogarnęło go uczucie, że coś jest nie tak. To samo uczucie, które dręczyło go, gdy opuszczał wyspę po nocy w towarzystwie Håkana. Myślał o tym, co powiedział Talboth, że prawda często okazuje się czymś zupełnie odwrotnym wobec naszych przypuszczeń. Czasami rzeczywistość musi stanąć na głowie, by móc potem stanąć na nogach.

Wallander zatrzymał się i odwrócił. Ani żywej duszy. Z otwartego okna sączyła się muzyka. Jakaś popularna niemiecka melodia. Zrozumiał słowa *leben, eben* i *neben*. Wkrótce doszedł do niewielkiego rynku. Na ławce siedziało kilkoro młodych ludzi, tulili się w objęciach. Mógłbym zacząć krzyczeć, pomyślał. Nie rozumiem, co się dzieje! Właśnie tak mógłbym krzyczeć. Jestem pewien tylko jednej rzeczy: coś umyka tutaj mojej uwadze, coś nieuchwytnego. Przynajmniej dla mnie. Zbliżam się do rozwiązania czy od niego oddalam? Nie potrafię tego rozstrzygnąć.

Obszedł ryneček, coraz bardziej zmęczony. Gdy wrócił do domu, odniósł wrażenie, że Talboth już się położył.

Drzwi na balkon były zamknięte. Wallander rozebrał się i wkrótce zasnął.

W snach znów zaczęły biec konie. Rano zupełnie ich nie pamiętał.

### 37

Kiedy otworzył oczy, w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Rzucił okiem na zegarek. Szósta. Został w łóżku. Przez ścianę słyszał szum aparatów regulujących dopływ tlenu do wody w akwarium. Nie potrafił ocenić, czy pociągi są w ruchu. Żyły bezgłośnie swoim własnym życiem w izolowanych tunelach. Jak krety, przyszło mu na myśl. Albo jak ludzie gnieźdzący się w korytarzach, gdzie podejmuje się tajne decyzje; decyzje później wykradane i przekazywane drugiej stronie, z założenia utrzymywanej w niewiedzy.

Wstał z łóżka; nagle uznał, że nie ma chwili do stracenia. Nie wziął prysznic, ubrał się w pośpiechu i wyszedł szukać gospodarza w jasnym, przestronnym mieszkaniu. Drzwi balkonowe były otwarte. Cienkie firanki powiewały łagodnie na wietrze. Talboth siedział na krześle z papierosem w ręku. Przed sobą miał filiżankę kawy. Odwrócił się powoli, jak gdyby usłyszał gościa, zanim ten doszedł do drzwi. Uśmiechnął się. Wallander powątpiewał w szczerłość tego uśmiechu.

- Mam nadzieję, że dobrze ci się spało.

- Łóżko było wygodne - odparł Wallander. - A pokój zaciszny i ciemny. Ale teraz chciałbym już podziękować za gościnę.

- A więc nie poświęcisz Berlinowi dodatkowego dnia? Mógłbym ci wiele pokazać.

- Chętnie bym został. Ale najlepiej będzie, jak pojedę teraz do domu.

- Rozumiem, że twój pies nie poradzi sobie bez opieki?

Skąd on wie, że mam psa, pomyślał Wallander. Przecież mu o nim nie wspominałem. Odniósł niejasne wrażenie, że

Talboth natychmiast uświadomił sobie swój błąd.

- Tak. Masz rację. Nie mogę w nieskończoność wykorzystywać sąsiadów, którzy pilnują Jussiego. W tym roku mój urlop prawie w całości składa się z wyjazdów. A poza tym mam wnuczkę i chcę ją widywać tak często jak to możliwe.

- Cieszę się, że Louise zdążyła ją zobaczyć. Dzieci to jedno. Ale dopiero z wnukami przychodzi poczucie jeszcze większego sensu i spełnienia. Jeżeli dzieci nadają sens naszej egzystencji, to wnuki są jego potwierdzeniem. Masz jakąś fotografię małej?

Wallander pokazał mu dwa zdjęcia Klary, które wziął ze sobą z kuchni.

- Ładne dziecko - skomentował Talboth, wstając. - Przed wyjazdem powinienś jednak zjeść śniadanie.

- Poproszę tylko o kawę - powiedział Wallander, podnosząc się z krzesła. - Rano zazwyczaj nic nie jem.

Gospodarz pokręcił głową z zatroskaną miną, lecz po chwili wrócił z kawą; czarną - taką, jaką Wallander lubił najbardziej.

- Wczoraj mówiłeś o czymś, co mnie zastanowiło - zaczął Wallander.

- Z pewnością powiedziałem niejedną rzecz, która mogła ci dać do myślenia.

- Powiedziałeś, że czasami trzeba zmienić kierunek, trzeba szukać wyjaśnień jakby po przeciwnej stronie trwających poszukiwań. Chodziło ci o jakąś ogólną zasadę czy myślałeś o czymś konkretnym?

Talboth zastanawiał się przez chwilę.

- Raczej nie pamiętam, żebym mówił o czymś takim. Ale jeżeli już o coś mi chodziło, to z pewnością o generalną zasadę.

Wallander skinął głową. Nie wierzył mu ani trochę. Wiedział, że wczoraj w jego słowach krył się głębszy sens, choć niełatwy do wychwycenia. A teraz można było odnieść wrażenie, że Talboth nie może sobie znaleźć miejsca, że brakuje mu wcześniejszej swobody i spokoju.

- Chciałbym zrobić nam pamiątkową fotografię - powiedział. - Nie prowadzę księgi gości, ale uwieczniam składających mi wizytę na zdjęciach. Przepraszam cię na moment.

Po chwili wrócił z aparatem, postawił go na oparciu krzesła, nacisnął przycisk samowyzwalacza i usiadł obok. A później sfotografował tylko swojego gościa. Gdy nadeszła chwila pożegnania, Wallander stał z kurtką w jednej ręce i kluczykami do samochodu w drugiej.

- Będiesz umiał wyjechać z tego wielkiego miasta?

- Mam dość kiepską orientację w terenie, ale prędzej czy później znajdę drogę powrotną. Poza tym moim zdaniem niemiecka sieć drogowa nie ma sobie równych, jeśli chodzi o logikę.

Uścisnęli sobie ręce. Na dole Wallander pomachał jeszcze Talbothowi, który stał na balkonie oparty o barierkę. Wychodząc z kamienicy, zwrócił uwagę, że w spisie lokatorów nie figuruje nazwisko Amerykanina. Zapamiętał nazwę USG Enterprises i ruszył w drogę.

Zgodnie z przewidywaniami wyjechanie z miasta zajęło mu parę godzin. Gdy w końcu dotarł do autostrady, zbyt późno się zorientował, że przeoczył właściwy wyjazd i z szaloną prędkością zbliżał się do granicy z Polską. Nie bez trudu po jakimś czasie zdołał zawrócić i skierować się na północ. Mijając Oranienburg, zadrżał na myśl, co mu się w nim przydarzyło.

Pozostała droga do domu przebiegła bez niespodzianek. Wieczorem odwiedziła Wallandera córka. Klara była przeziębiona, został z nią Hans, który nazajutrz miał lecieć do USA. Siedzieli obok siebie na ogrodowej huśtawce. Wieczór był ciepły. Linda piła herbatę.

- Jak mu idą interesy? - zapytał Wallander.

- Nie wiem. Ale czasem zastanawiam się, co się dzieje. Dawniej, kiedy przychodził do domu, zawsze opowiadał o oszałamiających interesach, jakie sfinalizowali w ciągu dnia. Teraz nie mówi nic.

Przeciągnęły nad nimi kluczem dzikie gęsi. W milczeniu obserwowali, jak znikają na południu.

- Odlatują już teraz? - zdziwiła się Linda. - Czy to nie za wcześnie?

- Może tylko ćwiczą start i przelot w szyku?

Linda wybuchnęła śmiechem.

- Właśnie taki komentarz mógłby paść z ust dziadka. Czy wiesz, że coraz bardziej go przypominasz?

Wallander zachnął się.

- Oboje wiemy, że miał poczucie humoru. Ale pozwalał sobie na zdecydowanie większe złośliwości niż ja.

- Moim zdaniem nie był złośliwy - zaproponowała stanowczo Linda. - Myślę, że się bał.

- Czego?

- Może starości. Śmierci. Pod tą złością, którą często po prostu udawał, krył się chyba zwykły strach.

Wallander nie odpowiedział. Zapytał siebie samego w duchu, czy właśnie to miała na myśli, mówiąc o podobieństwie między nimi. Bo on teraz też coraz bardziej otwarcie boi się śmierci.

- Jutro ty i ja odwiedzimy Monę - powiedziała ni stąd, ni zowąd.

- Dlaczego?

- Dlatego, że ona jest moją matką, a ty i ja jesteśmy jej najbliższą rodziną.

- A jej mąż psychopata z ICA nie może się nią zaopiekować?

- Nie zrozumiałeś, że już nie są razem?

- Nie. Ale mimo wszystko nie mam ochoty.

- Dlaczego?

- Nie chcę mieć więcej z Moną do czynienia. Teraz, po śmierci Baiby, nie potrafię jej wybaczyć, co o niej powiedziała.

- Zazdrośni ludzie mówią różne głupie rzeczy. Mona też mi opowiadała, co ty wygadywałeś w przypływie zazdrości.

- Kłamała.

- Nie zawsze.

- Nie pojedę z tobą. Nie chcę.

- Ale ja chcę. I przede wszystkim myślę, że mama też chce. Nie możesz jej tak po prostu przekreślić.

Wallander nie powiedział nic więcej. Dalsze protesty miały się z celem. Jeżeli nie postąpi zgodnie z wolą córki, jej złość na dłuższy czas zatruje im życie. A do tego nie chciał dopuścić.

- Nawet nie wiem, gdzie leży ten ośrodek odwykowy.

- Zobaczysz jutro. To będzie niespodzianka.

W nocy nad Skanię nadciągnął niż. Gdy o ósmej ruszyli samochodem na wschód, zerwał się wiatr i zaczęło padać. Wallanderowi było zimno. Nie spał dobrze, dlatego kiedy Linda przyjechała po niego, czuł się zmęczony i miał kiepski nastrój. A córka od razu na powitanie odesłała go do domu, by zmienić stare, wypłowiałe spodnie na nowsze.

- Nie musisz być elegancki. Ale nie możesz przyjechać do niej z wizytą i wyglądać jak obdartus.

Skręcili w starą drogę prowadzącą do zamku Glimmingehus. Linda rzuciła okiem na ojca.

- Pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam.

- Mamy sporo czasu. Zdążymy się zatrzymać.

Wjechała na parking usytuowany pod wysokim murem otaczającym budowlę. Wysiedli z samochodu i przez zwodzony most weszli na dziedziniec zamku.

- Stąd pochodzą moje pierwsze wspomnienia z dzieciństwa - powiedziała Linda. - Przyjechaliśmy tu kiedyś razem, ty i ja. Pamiętam, że wystraszyłeś mnie nie na żarty swoimi opowieściami o duchach. Ile mogłam mieć wtedy lat?

- Jak byliśmy tu pierwszy raz, właśnie skończyłaś cztery. Ale wtedy nie opowiadałem ci żadnych historii o duchach. Dopiero chyba jak miałaś siedem. Może w te wakacje, zanim poszłaś do szkoły?

- Pamiętam, że byłam z ciebie dumna. Myślałam o tobie: mój duży, wspaniały tatuś. Kiedy wspominam tamte chwile, myślę, że miałam ogromne poczucie bezpie-

czeństwa. Byłam po prostu szczęśliwa.

- Przeżywałem to dokładnie tak samo - wyznał szczerze Wallander. - To były najpiękniejsze czasy.

- I co człowiek ma z życia? - zapytała. - Myślisz w ten sposób? Teraz, gdy stuknęła ci sześćdziesiątka?

- Tak. Kilka lat temu uświadomiłem sobie, że zacząłem studiować nekrologi w „Ystads Allehanda”. A jak wpadła mi w ręce inna gazeta, w niej też czytałem nekrologi. Coraz częściej zastanawiam się nad tym, co robią moi koledzy i koleżanki ze szkoły w Limhamn. Jak im się ułożyło życie? W porównaniu z moim? Bez większego entuzjazmu zacząłem nawet badać ich losy.

Usiedli na schodach prowadzących do twierdzy.

- Nasz rocznik poszedł do szkoły jesienią 1955 roku. Różne mieliśmy później koleje życia. Dzisiaj wiem co nieco prawie o wszystkich. Wielu nie powiodło się wcale. Parę osób nie żyje; jeden chłopak zastrzelił się, wyemigrowawszy najpierw do Kanady. Kilku innym udało się zrealizować to, co zamierzali, na przykład Sölvemu Hegbergowi, który wygrał w *Kvitt eller dubbelt*. Większość żyje pracowicie, nie robiąc wokół siebie hałasu. I tak wygląda ich życie. A tak wygląda moje. Kiedy człowiek kończy sześćdziesiąt lat, ma już prawie wszystko za sobą i nie pozostaje mu nic innego, jak tylko to zaakceptować, choć to niełatwe. Przedemną już niewiele ważnych decyzji.

- Czujesz, że twoje życie dobiega końca?

- Czasami tak.

- I co wtedy myślisz?

Zawahał się. A później powiedział, jak jest naprawdę.

- Czuję żal po stracie Baiby. Że między nami nie było nic więcej.

- Są inne kobiety - wtrąciła Linda. - Nie musisz być sam.

Wallander wstał.

- Nie. Nie ma. Baiby nie da się zastąpić nikim innym.

Wrócili do samochodu i pojechali do leżącego kilka kilometrów dalej ośrodka odwykowego. Placówka mieściła się w sporej posiadłości, na którą składały się cztery



budynki z muru pruskiego i zachowany w pierwotnym stanie dziedziniec.

Już z daleka, idąc po kocich łbach, dostrzegli na ławce Monę z papierosem w ręku.

- Zaczęła palić? - zdziwił się Wallander. - To coś zupełnie nowego.

- Mówi, że w paleniu szuka pocieszenia. I że może przestać, jak tylko to się skończy.

- A kiedy się skończy?

- Będzie tu jeszcze przez miesiąc.

- I to wszystko finansuje Hans?

Zostawiła jego pytanie bez odpowiedzi, ponieważ była oczywista. Wallander patrzył z niechęcią na szarobłądą twarz Mony, na ciężkie wory pod oczami. Uderzyło go, że nigdy wcześniej nie dostrzegł jej brzydoty.

- To miło z twojej strony, że przyjechałeś - powiedziała, ściskając mu dłoń.

- Chciałem zobaczyć, jak się miewasz - wymamrotał.

Usiedli na ławce, z Moną w środku. Wallander miał ochotę natychmiast stamtąd uciec. Żadne problemy związane z abstynencją i żadne lęki byłej żony nie usprawiedliwiały jego pobytu w tym miejscu. Dlaczego Linda nalegała, by zobaczył jej matkę w takim stanie? Żeby w jakiś sposób przyznał się do winy? Jakiej winy? Uzmysłowił sobie, że jest coraz bardziej rozdrażniony.

Kobiety rozmawiały ze sobą w najlepsze. Wtem Mona zapytała, czy chcą obejrzeć jej pokój. Wallander nie miał ochoty, Linda sama podążyła za matką do budynku. Czekając na nie, przechadzał się po dziedzińcu. W kieszeni kurtki nagle zadzwonił telefon.

- Pracujesz? - zapytał Ytterberg. - Czy masz jeszcze urlop?

- Mam wolne. A przynajmniej tak mi się wydaje.

- A ja jestem w biurze. Przede mną leży raport sporządzony przez naszych tajnych kolegów z armii. Czy chcesz wiedzieć, co mają do powiedzenia?

- Być może za chwilę będziemy musieli przerwać

rozmowę.

- Myślę, że zdążymy, wystarczy mi parę minut. Raport jest wyjątkowo cienki. Prawie niczego nie uznano za godne mojej wiedzy albo wiedzy innych zwykłych policjantów. Cytuję: „Części raportu są ściśle tajne”. Co oznacza, że prawie wszystko jest tajne. Rozsypali przed nami kilka ziarenek piasku. Perełki, jeżeli takie w ogóle są, zachowali dla siebie.

Ytterberg zaczął nagle kichać raz za razem.

- To alergia - przeprosił. - Jestem uczulony na jakiś środek czyszczący, którego używają tutaj w komendzie. Chyba będę musiał sam szorować swój pokój.

- To na pewno dobry pomysł - odpowiedział Wallander zniecierpliwionym tonem.

- Posłuchaj, co napisali. Cytuję: „Materiał znaleziony w torebce Louise von Enke, między innymi mikrofilm, negatywy fotograficzne, a także skodyfikowany tekst, jest materiałem wojskowym objętym tajemnicą. Większość informacji wymaga szczególnej dyskrecji i została utajniona właśnie po to, by nie dostała się w niepowołane ręce”. Koniec cytatu. Innymi słowy, nie ulega wątpliwości.

- Że materiał jest prawdziwy? - wtrącił Wallander.

- Tak. Z raportu wynika, że podobny materiał dostał się wcześniej w ręce Rosjan, ponieważ metodą wykluczeń udowodniono, że posiadali oni informacje, do których nie powinni mieć dostępu. Rozumiesz, o co chodzi? Mówiąc ogólnie, całość napisano językiem, przez który niełatwo się przedrzeć.

- Taką mową posługują się nasi tajni koledzy. Dlaczego miałoby być inaczej w raportach tajnych wojskowych? Ale sądzę, że rozumiem.

- Raport nie zawiera niczego więcej. Możemy być jednak pewni, że Louise von Enke rzeczywiście maczała w tym palce. Sprzedawała tajne materiały wojskowe. Bóg raczy wiedzieć, gdzie je zdobywała.

- Pozostaje wiele pytań - potwierdził Wallander. - Co się wydarzyło w Värmdö? Dlaczego ją zamordowano? Kogo

miała spotkać? Dlaczego ten człowiek albo ci ludzie nie zabrali ze sobą materiałów, które miała w torebce?

- Może nie wiedzieli, że tam są?

- A może wcale ich ze sobą nie miała? - rzucił Wallander.

- Bierzemy pod uwagę tę możliwość. Że ktoś te materiały podłożył.

- Z tego co wiem, to całkiem prawdopodobne.

- Tylko po co?

- Żeby podejrzewano ją o szpiegostwo.

- Ale przecież ona była szpiegiem!

- Mam wrażenie, że błędzę w labiryncie - powiedział Wallander. - Nie potrafię znaleźć wyjścia. Pozwól mi się nad tym wszystkim zastanowić. Czy ta sprawa ma u was priorytetowe znaczenie?

- Jak najbardziej! Krążą nawet pogłoski, że właśnie o tym śledztwie będzie mowa w jakimś programie telewizyjnym, w którym dyskutuje się o dochodzeniach w toku. A szefostwo zawsze zaczyna się niepokoić na widok dziennikarskich mikrofonów.

- Wyślij ich do mnie - zaproponował Wallander. - Ja się nie boję.

- A kto się boi? Ja się tylko niepokoję, że mogę być niemily, jeśli ktoś zasypie mnie głupimi pytaniami.

Wallander usiadł na ławce i zaczął zastanawiać się nad słowami Ytterberga. Próbował szukać luk, lecz ich nie znalazł. Nie mógł się skoncentrować.

Mona miała błyszczące oczy, gdy w towarzystwie Lindy wyszła na podwórze. Wallander domyślił się, że płakała. Nie chciał wiedzieć, o czym rozmawiały. Nagle jednak dotarło do niego, że jej współczuje. Przecież i jej mógłby zadać pytanie: jak ułożyło się twoje życie? Stała przed nim poszarzała i załamana, bezradna wobec sił, które ją przerosły.

- Pora na moją terapię - powiedziała. - Jestem wdzięczna, że przyjechaliście. Przechodzę teraz ciężki okres.

- Na czym polega ta terapia? - zapytał Wallander,

usiłując przynajmniej w ten sposób okazać zainteresowanie.

- Za chwilę czeka mnie rozmowa z lekarzem. Nazywa się Torsten Rosen. On też kiedyś miał problemy z alkoholem. Muszę już iść.

Rozstali się z Moną na dziedzińcu. Wracali do domu w milczeniu. Wallander miał wrażenie, że Linda jest bardziej poruszona niż on. Po burzliwym okresie dojrzewania, z biegiem lat, jej kontakt emocjonalny z matką stawał się coraz silniejszy.

- Cieszę się, że ze mną pojechałeś - powiedziała, zatrzymując się przed jego domem.

- Nie dałaś mi wyboru. Ale rzeczywiście dobrze, że zobaczyłem, jak ona się czuje, przez co przechodzi. Pozostaje tylko pytanie, czy sobie z tym wszystkim poradzi.

- Nie wiem. Mam nadzieję.

- Tak. W końcu pozostaje nam tylko jedno: nadzieja.

Wsunął rękę przez otwarte okno i pospiesznie pogłaskał córkę po głowie. Po chwili Linda zawróciła i odjechała. Patrzył za nią długo, aż zniknie. Czuł się przygnębiony. Wypuścił Jussiego i siedząc przed domem, drapał psa za uszami.

Gdy tylko otworzył drzwi do domu, zauważył, że ktoś tu przed nim był. Jego ostrożność opłaciła się. Zadziałała jedna z zastawionych przez niego pułapek. W dwuskrzydłowym oknie przy drzwiach wejściowych ktoś przesunął niewielki świecznik, który Wallander postawił dokładnie pod klamką. Teraz lichtarzyk znajdował się w głębi framugi, na lewo od klamki. Stojąc nieruchomo, Wallander wstrzymał oddech. Czy mógł się pomylić? Nie, był pewien.

Kiedy przyjrzał się oknu bliżej, doszedł do wniosku, że otwarto je z zewnątrz za pomocą wąskiego i ostrego narzędzia. Chodziło prawdopodobnie o wytrych, jakim posługują się złodzieje samochodów. Wallander podniósł ostrożnie świecznik, zbadął jego drewnianą podstawę z

miedzianą obręczą, odstawił na miejsce, a później powoli obszedł wszystkie pokoje. Nie znalazł żadnych innych śladów intruza czy intruzów. Postępują rozważnie, pomyślał. Są ostrożni i profesjonalni. Ten świecznik to jakaś wyjątkowa wpadka.

Usiadł przy kuchennym stole i znów przyglądał się lichtarzykowi. Uzmysłowił sobie, że prawdopodobnie istnieje tylko jedno wyjaśnienie włamania. Ktoś był przekonany, że Wallander dysponuje wiedzą, której ten ktoś nie ma. Wiedzą zawartą w notatkach, a może nawet w przedmiotach.

Siedział na krześle nieruchomo. Zbliżam się, pomyślał. Albo ktoś zbliża się do mnie.

### 38

Następnego dnia wyrwały go ze snu nieokreślone koszmary. Może znów galopowały w nich konie, a może było to coś innego - nie potrafił przywołać w pamięci żadnego obrazu.

Stojący w oknie świecznik przypomniał mu o niechcianej wizycie. Wszedł nago na podwórze, wysikał się, później wypuścił Jussiego. Nad polami zawisła pierwsza zwiastująca jesień mgła. Wallander wzdrygnął się z zimna i pospieszył z powrotem do domu. Ubrał się, zaparzył kawę i usiadł przy stole w kuchni. Postanowił jeszcze raz spróbować wyjaśnić, co tak naprawdę przydarzyło się Louise von Enke.

Wiedział oczywiście, że nie uda mu się wyjść poza ogólną interpretację. Chciał jednak pokusić się o dogłębną analizę zdarzeń, przede wszystkim po to, by znaleźć przyczynę dręczącego go poczucia, że cały czas czegoś nie potrafi dostrzec. Niezapowiedziana wizyta złożona przez kogoś w jego domu pogłębiała tylko to doznanie. Krótko mówiąc: nie zamierzał złożyć broni.

Ale tego ranka nie umiał się skoncentrować. Po kilku godzinach poddał się, zebrał notatki i pojechał do

komendy. Znów wybrał wejście przez garaż i nie spotkawszy nikogo po drodze, wszedł do swojego pokoju. Po półgodzinie spędzonej nad papierami wyrzwał na korytarz, by po chwili przemknąć do automatu z kawą. Już miał wracać z kubkiem w rękę, gdy za jego plecami wyrósł Lennart Mattson. Wallander nie widział go od dłuższego czasu i wcale nie odczuwał za nim tęsknoty. Szef był opalony i szczuplejszy o kilka kilogramów, co natychmiast wzbudziło w Wallanderze zazdrość i irytację.

- Już na posterunku? - zapytał Mattson. - Nie możesz wytrzymać? Czujesz zew? I tak powinno być; bez prawdziwej pasji do pracy nie można być dobrym policjantem. A tak w ogóle to zaczynasz dopiero w poniedziałek, prawda?

- Właśnie zbieram się do domu. Musiałem tylko wziąć parę papierów.

- Masz czas? Przed chwilą dostałem dobre wiadomości, chciałbym się nimi z kimś podzielić.

- Mam ocean czasu - odparł Wallander z nieukrywaną ironią, całkowicie pewien, że Mattson i tak jej nie zrozumie.

Weszli do gabinetu szefa. Wallander usiadł na krześle dla petentów. Mattson wziął do ręki teczkę leżącą na posprzątanym biurku.

- Jak już mówiłem, wieści są radosne. Należymy tutaj, w Skanii, do najlepszych, jeżeli chodzi o wykrywalność. Wyjaśniamy więcej przestępstw niż niemal każdy inny region. Możemy pochwalić się nie tylko najlepszym wynikiem, ale także największym wzrostem wykrywalności w porównaniu z ubiegłym rokiem. I właśnie tego potrzebujemy, by zmobilizować się jeszcze bardziej.

Wallander słuchał szefa. Nie miał powodu, by mu nie wierzyć. Z raportu rzeczywiście mogły wynikać takie informacje. Ale wiedział też, że interpretacja danych statystycznych to mydlenie oczu. Za pomocą statystyki można pokazać coś, co jednocześnie jest prawdą i fałszem. Wallander i jego koledzy byli boleśnie świadomi tego, że

wykrywalność przestępstw w Szwecji w porównaniu z innymi krajami zachodnimi należy do najniższych.

Nikt nie wierzył też, że odbito się od dna. Negatywna tendencja utrzymywała się. Nieustanne biurokratyczne rewolucje oznaczały równie niepowstrzymany procentowy wzrost niewyjaśnionych przestępstw. Funkcjonujące jednostki policyjne likwidowano albo przekształcano na niefunkcjonujące. Ważniejsze było osiągnięcie statystycznych celów niż rzeczywiste odnalezienie winnych i postawienie ich przed sądem. Wallander podchodził z dezaprobatą, tak jak zresztą większość jego kolegów, do niewłaściwego ustalania priorytetów. Przyzwalając na tolerowanie „drobnych wykroczeń”, władze policyjne podkopały resztki zaufania, jakie społeczeństwo żywiło do policji.

Zwykły obywatel nie potrafił wyrazić zgody na włamanie do swojego samochodu, garażu czy domku letniskowego. Domagał się wykrywania tego typu przestępstw albo przynajmniej ich ścigania. Ale Wallander nie miał teraz ochoty dyskutować o tym ze swoim szefem. W swoim czasie, jesienią, nadarzy się niejedna okazja do rozmowy.

Lennart Mattson odłożył raport i nagle spojrzął na swojego gościa z zafrasowaną miną. Wallander dostrzegł pot u nasady jego włosów.

- Jak się czujesz? Jesteś jakiś taki blady. Nie byłeś na słońcu?

- Jakim słońcu?

- Lato nie było chyba najgorsze? Sam pojechałem wprawdzie na Krete, żeby być pewnym pogody, ale... Czy byłeś kiedyś w pałacu w Knossos? Te fantastyczne delfiny namalowane na ścianach...

Wallander podniósł się z krzesła.

- Czuję się dobrze. A ponieważ dzisiaj mamy trochę słońca, wezmę sobie do serca twoje słowa i pobędę na świeżym powietrzu.

- Ale nie zapomnisz znów gdzieś swojej broni?

Wallander wbił wzrok w szefa. Mało brakowało, a byłby

go uderzył.

Wrócił do swojego pokoju, usiadł na krześle, położył nogi na biurku i zamknął oczy. Myślał o Baibie. I o rozedrganej Monie w ośrodku odwykowym. Tymczasem jego szef cieszył się ze statystyki, która z pewnością nie odpowiada prawdzie.

Zdjął nogi ze stołu. Podejmę jeszcze jedną próbę, pomyślał. Chciałbym zrozumieć, dlaczego cały czas powątpiewam we własne wnioski. Szkoda, że brakuje mi lepszego rozeznania w polityce, może wtedy nie gubiłbym się tak bardzo.

Naraz przypomniał sobie wydarzenie, o którym nigdy nie myślał jako dorosły człowiek. To musiało być w 1961 albo 1963 roku, jesienią. W soboty Wallander pracował jako posłaniec w kwiaciarni leżącej w centrum Malmö. Właśnie dostał polecenie, by jak najszybciej zawieźć rowerem bukiet do Parku Ludowego, gdzie przemawiał premier Tage Erlander. Po przemówieniu jakaś mała dziewczynka miała mu wręczyć kwiaty.

Problem w tym, że osoba, która miała je w porę zamówić, zupełnie o tym zapomniała. A teraz czas naglił. Zrozumiano? Wallander naciskał pedały z całych sił. Kwiaciarnia uprzedziła organizatorów o jego przyjeździe, natychmiast go wpuszczono, a wydobyte z opakowania kwiaty dano dziewczynce do ręki. Wallander dostał całe pięć koron napiwku i oranżadę. Stał więc teraz ze słomką w ustach i słuchał wysokiego mężczyzny na trybunie, przemawiającego osobiście nosowym głosem. Używał trudnych słów albo przynajmniej takich, których Wallander wtedy nie znał. Mówił o odprężeniu, o prawach małych państw, o bezspornej neutralności Szwecji i nieprzystępowaniu do paktów i sojuszów. Tyle w każdym razie wówczas rozumiał.

Tego samego dnia wieczorem wszedł do pokoju, którego ojciec używał jako atelier. To dziwne, ale ciągle pamiętał, że właśnie tamtego dnia tato wypełniał kolorami namalowane według szablonu tło, wiecznie powracający



motyw lasu.

W owych czasach ojciec i syn żyli w dość bliskiej komitywie. Może to były najpiękniejsze chwile w ich wspólnym życiu? Dopiero za trzy, cztery lata Wallander miał przyjść ze szkoły i oznajmić, że chciałby zostać policjantem. Dopiero wtedy ojciec nieomal wyrzucił go z domu i przynajmniej przez jakiś czas zupełnie się do niego nie odzywał.

Ale tamtego wieczoru kilkunastoletni Wallander usiadł w pracowni na stołku i opowiedział o swojej wizycie w Parku Ludowym. Ojciec często powtarzał mrukliwie, że polityka go nie interesuje. Jednak to nie była prawda. Zawsze głosował wiernie na socjaldemokratów, do komunistów żywił gniewną nieufność, a partie prawicowe oskarżał o faworyzowanie obywateli, którym już i tak dobrze się powodzi.

Ni stąd, ni zowąd Wallander przypomniał sobie, o czym wtedy mówili, słowo w słowo. Ojciec zazwyczaj ostrożnie chwalił Erlandera, uważając go za człowieka uczciwego i godnego zaufania, w przeciwieństwie do wielu innych polityków.

- Powiedział, że Rosja jest naszym wrogiem - relacjonował Wallander.

- To nie do końca prawda. Może nie zaszkodziłoby, gdyby nasi czołowi politycy zastanowili się odrobinę nad rolą, jaką dzisiaj odgrywa Ameryka.

Wallandera zdziwiła ta opinia. Przecież Ameryka uosabiała dobro? Czyż nie pobili Hitlera i nie zburzyli tysiącletniej Rzeszy nazistów? Z Ameryki pochodziły filmy, muzyka i ubrania. Dla niego Elvis Presley wciąż pozostawał najwspanialszy i akurat wtedy żadna piosenka nie dorównywała *Blue Suede Shoes*. Wprawdzie już nie zbierał zdjęć z gwiazdami filmowymi, ale jego ulubionym aktorem był Alan Ladd, możliwe, że głównie z powodu nietypowego nazwiska. A teraz ojciec dyskretnie ostrzegał go przed Ameryką. Czyżby on czegoś nie wiedział?

Wallander powtórzył słowa premiera.

„Nieprzystępowanie Szwecji do paktów i sojuszków, bezsporna neutralność kraju”.

- Co ty powiesz. - skomentował ojciec. - Na pewno tak się wyraził? W rzeczywistości przez szwedzką przestrzeń powietrzną przelatują amerykańskie odrzutowce. Udajemy, że prowadzimy politykę neutralności, a jednocześnie pod kołdrą zabawiamy się z NATO, a przede wszystkim ze Stanami Zjednoczonymi.

Wallander próbował doprosić się jakiegoś wyjaśnienia. Nie usłyszał jednak żadnej odpowiedzi, tylko niewyraźne mamrotanie pod nosem, a później polecenie, by dał ojcu spokój.

- Zadajesz za dużo pytań.

- A czy nie mówiłeś mi zawsze, żebym się nie bał pytać, jeśli chcę się czegoś dowiedzieć?

- Musi być jakaś granica.

- A gdzie ona przebiega?

- Tutaj i właśnie teraz. Pomyliłem się w malowaniu.

- Jak mogłeś się pomylić? Przecież zaczęłeś, zanim się urodziłem, i malujesz wciąż ten sam motyw, każdego dnia.

- Wynoś się i zostaw mnie w spokoju!

A po chwili, stojąc już w drzwiach, Wallander dorzucił:

- Dostałem pięć koron napiwku za to, że przywiozłem kwiaty dla Elandera.

- Erlandera. Nie przekręcaj ludziom nazwisk.

I właśnie wtedy, gdy nagle otworzyły się przed nim wrota pamięci, Wallander zaczął rozumieć, dlaczego podążał niewłaściwą drogą. Został oszukany, i to na własne życzenie. Podążał tropem hołdowania własnym przesądom, zamiast iść tropem odpowiadającym rzeczywistości. Siedział nieruchomo przy biurku, z rękami splecionymi jak do modlitwy, nie chcąc przeszkadzać myślom układającym się w nowe, nieoczekiwane wyjaśnienie przebiegu wydarzeń. To wszystko przyprawiało go o zawrót głowy i początkowo nie chciał uwierzyć, że naprawdę może mieć rację. Znow mógł polegać jedynie na swoim instynkcie,

który przecież go ostrzegał.

Faktycznie coś przeoczył. Pomylił prawdę z fałszem, sądził, że przyczyna jest skutkiem i na odwrót.

Wyszedł do toalety i ściągnął mokrą od potu koszulę. Obmył się trochę i zajrzał do przebieralni, gdzie w swojej szafce znalazł jakąś koszulę na zmianę. Odrobinę rozkojarzony przypomniał sobie, że dostał ją kilka lat temu od Lindy w prezencie urodzinowym.

Wróciwszy do pokoju, zaczął przeszukiwać papiery, aż znalazł fotografię, którą zobaczył u Asty Hagberg. Pułkownik Stig Wennerström rozmawia z młodym Håkanem von Enkem. Wallander położył zdjęcie przed sobą i przez chwilę studiował twarze mężczyzn. Wennerström z chłodnym uśmiechem, z kieliszkiem martini w ręce, przed nim von Enke: poważny, wsłuchany w słowa rozmówcy.

W myślach ponownie rozłożył swoje klocki lego. Byli tam wszyscy: Louise i Håkan von Enke, Hans, unieruchomiona w łóżku Signe, Sten Nordlander, Herman Eber, amerykański przyjaciel Steven i George Talboth w Berlinie. Dodał też Fanny Klarström, a po chwili jeszcze jedną osobę, nie mając pojęcia, kim jest. Następnie powoli, z rozmysłem i ciągle w myślach, zabierał klocek po klocek, aż zostały tylko dwa, reprezentujące Louise i Håkana von Enke. Wypuścił z ręki długopis. To przewróciła się Louise. Tak dokonała życia, powalona na ziemię gdzieś w Värmdö. Ale Håkan, jej mąż, wciąż stał.

Wallander spisał swoje myśli, włożył fotografię do kieszeni kurtki i opuścił pokój. Tym razem skierował się do głównego wejścia, ale zanim wyszedł, ukłonił się dziewczynie w zewnętrznej recepcji, porozmawiał z kilkoma policjantami z drogówki, którzy właśnie wchodzili do środka, i w końcu ruszył

do miasta. Potencjalny obserwator zacząłby się zapewne zastanawiać, dlaczego ów mężczyzna porusza się takimi zrywami: raz bardzo szybko, raz wolno. Od czasu do czasu wymachiwał jedną ręką, jak gdyby w rozmowie chciał

koniecznie podkreślić słowa gestami.

Zatrzymał się po drugiej stronie szpitala, przy kiosku z kielbaskami, i przez dłuższą chwilę zastanawiał się, na co ma ochotę. Skończyło się na tym, że odszedł, nie zamówiwszy niczego. W jego głowie nieustannie kotłowały się te same myśli. Czy to, co właśnie odkrył, rzeczywiście może być prawdą? Czy to możliwe, żeby tak totalnie pomylić się w ocenie sytuacji?

Włóczył się po mieście bez celu, aż doszedł do przystani i usiadł na swojej ławce na końcu mola. Wyjął zrobioną w Waszyngtonie fotografię i przestudiował ją na nowo, włożył z powrotem do kieszeni.

Nagle zrozumiał powiązania wszystkich faktów. Baiba miała rację, kochana Baiba, za którą tęsknił teraz bardziej niż kiedykolwiek. Za każdą osobą stoi zawsze i n n a . Błąd Wallandera polegał na tym, że pomylił kolejność tych osób, to znaczy - kto stał na przodzie, a kto chował się w cieniu.

W końcu jednak zobaczył powiązania; dostrzegł wzór, który wcześniej mu umykał. Ujrzał go bardzo wyraźnie.

Z przystani odpływała niewielka łódź rybacka. Mężczyzna przy sterze podniósł rękę i pomachał na pożegnanie. Wallander odpowiedział tym samym gestem. Nad południowym horyzontem piętrzyły się chmury burzowe. Nagle poczuł, że brakuje mu ojca. To nie zdarzało się często. Po jego śmierci Wallander początkowo odczuwał jednocześnie i przerażającą pustkę, i ulgę. Teraz nie czuł ani jednego, ani drugiego. Po prostu zatęsknił za nim, ogromnie zatęsknił za tymi dobrymi chwilami, które mimo wszystko kiedyś razem przeżyli.

Pomyślał o wizycie u kobiety tak dobrze wyrażającej się o jego ojcu.

Może nigdy nie zobaczyłem go takim, jakim był. Nie rozumiałem, co znaczył dla mnie i dla innych ludzi. Tak jak przez długi czas nie rozumiałem, co tak naprawdę jest

przyczyną zarówno zniknięcia Håkana, jak i śmierci Louise. Nareszcie czuję, że zbliżam się do rozwiązania, a nie oddalam od niego.

Uzmysłowił sobie, że wkrótce będzie musiał odbyć jeszcze jedną podróż. Nie miał jednak wyboru; teraz wiedział, co ma zrobić.

Jeszcze raz wyjął fotografię z kieszeni kurtki i trzymając ją przed sobą, przedarł ostrożnie w połowie. Kiedyś istniał świat, który połączył Stiga Wennerströma i Håkana von Enkego. A teraz Wallander ich rozdzielił.

Czy to zaczęło się już za pierwszym razem, rzucił pytanie w przestrzeń. Czy dopiero o wiele później? Nie miał pojęcia. W każdym razie postanowił, że spróbuje się dowiedzieć.

Nikt go nie słyszał, gdy tak siedział na samym końcu mola i mówił sam do siebie.

### 39

Później z tego dnia pozostały mu tylko mgliste i fragmentaryczne wspomnienia. W końcu opuścił molo i wrócił do miasta, zatrzymał się przed nowo otwartą restauracją na Hamngatan, zajrzał do środka, natychmiast jednak zawrócił i znów wyszedł na ulicę. Krążył jeszcze trochę po centrum, zanim wstąpił do leżącej przy rynku chińskiej restauracji, w której czasami jadał. Usiadł przy wolnym stoliku, popołudniami nie było tu wielu gości, i nieobecny duchem zamówił jakąś potrawę z menu.

Gdyby ktoś później zapytał go, co jadł, prawdopodobnie nie potrafiłby powiedzieć. Myślni znajdował się zupełnie gdzie indziej. Przygotowywał plan, który miał mu pomóc ruszyć z martwego punktu. Musiał się przekonać, czy ma rację, czy nie; właśnie teraz, gdy nagle wszystko zostało postawione na głowie. Dostał do ręki inne karty, a one momentalnie zmieniły perspektywę. Wszystko, w co wcześniej wierzył, w ciągu sekundy okazało się mentalnym

śmietnikiem.

Siedział długo, grzebiąc pałeczkami w talerzu, zanim nagle rzucił się łapczywie na jedzenie, pochłonął je zdecydowanie za szybko, zapłacił i opuścił lokal. Wrócił do komendy. W drodze do pokoju zatrzymała go Kristina Magnusson, pytając, czy w nadchodzący weekend nie zechciałby przyjść do niej na rodzinny obiad. Miał do wyboru sobotę albo niedzielę. Ponieważ nie znalazł żadnej wymówki, przystał na niedzielę.

Wywiesił na drzwiach własnoręcznie zrobioną tabliczkę, na której prosił o nieprzeszkadzanie, wyłączył telefon i zamknął oczy. Po chwili wyprostował plecy, zapisał kilka wyrazów w notatniku i już wiedział, że podjął decyzję. Wóz albo przewóz! Musi zbadać, czy sprawy mają się tak, jak sądzi. Czy nie pomylił się tylko, czy nie dał się wpuścić w maliny.

W niezrozumiałym wybuchu złości, przeklinając, rzucił długopisem w ścianę. Jeszcze tylko raz i nigdy więcej. A później zadzwonił do Stena Nordlandera. Znów był fatalny zasięg. Wallander nalegał na jak najszybszą rozmowę, Nordlander obiecał więc oddzwonić tak szybko jak to tylko możliwe. Odkładając słuchawkę, Wallander zastanawiał się, dlaczego tak trudno połączyć się z okolicami Archipelagu Sztokholmskiego. A może Sten Nordlander znajdował się zupełnie gdzie indziej?

Czekał. Nieustannie mełł te same myśli kłębiące się w głowie. Miał wrażenie, że jego mózg wypełniony jest do granic wytrzymałości. Bał się, że wkrótce zacznie przepuszczać.

Sten Nordlander zadzwonił po czterdziestu minutach. Wallander położył zegarek na stole i zanotował, że wskazówki pokazywały dziesięć minut po szóstej. Połączenie było teraz bez zarzutu.

- Przykro mi, że musiałeś czekać. Zatrzymałem się przy Uto.

- Niedaleko Muskö czy może się mylę?

- Nie, nie mylisz się. Spokojnie można powiedzieć, że

znajduję się na klasycznych wodach. To znaczy wodach związanych z okrętami podwodnymi.

- Musimy się spotkać - powiedział Wallander. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Czy coś się stało?

- Nic się nie stało. Ale nie chcę o tym mówić przez telefon. Jakie masz plany na najbliższe dni?

- Jeżeli zamierzasz tu przyjechać, rozumiem, że to coś ważnego?

- Mam też w Sztokholmie inną sprawę do załatwienia - odpowiedział najspokojniej, jak potrafił.

- Kiedy chcesz przyjechać?

- Już jutro. Nie miałem dużo czasu do namysłu. Wiem, że dzwonię późno.

Nordlander zastanawiał się. Wallander słyszał jego ciężki oddech w słuchawce.

- Jestem w drodze do domu - oznajmił w końcu. - Możemy się spotkać w mieście.

- Jeśli mi wytłumaczysz, jak cię znaleźć, mogę przyjechać tam, gdzie teraz jesteś.

- Najlepiej będzie tak: spotkajmy się w foyer Sjöfartshotellet. O której godzinie?

- O czwartej - odparł Wallander. - Będę wdzięczny, jeśli poświęcisz mi trochę czasu.

Sten Nordlander roześmiał się.

- A pozostawiasz mi jakiś wybór?

- Czyżbym brzmiał aż tak groźnie?

- Jak stary belfer. Na pewno nic się nie stało?

- W każdym razie ja nic o tym nie wiem - powiedział Wallander wymijająco. - Do zobaczenia jutro!

Zasiadł przed komputerem, udało mu się, choć nie bez trudu, kupić bilet na pociąg, a nawet zarezerwować pokój w Sjöfartshotellet. Ponieważ musiał wyruszyć wcześniej rano, pojechał od razu do domu i zaprowadził Jussiego do sąsiadów. Mężczyzna stał na podwórzu i majstrował przy traktorze. Zmrużywszy oczy, patrzył na zbliżającego się z

psem Wallandera.

- Na pewno nie chcesz go sprzedać?

- Na pewno. Ale znów muszę wyjechać. Do Sztokholmu.

- A jak ostatnio siedziałeś u mnie w kuchni, to nie narzekałeś przypadkiem na wielkie miasta?

- Narzekałem i dalej ich nie lubię, ale praca mnie zmusza.

- To tutaj nie ma wystarczająco dużo łobuzów?

- Na pewno jest ich dosyć, ale teraz muszę do Sztokholmu.

Wallander pogłaskał Jussiego i zostawił sąsiadowi smycz.

Przyzwyczajony do rozstań pies nie zareagował, widząc, jak pan wraca sam.

Jeszcze na odchodnym Wallander zadał pytanie, które przez grzeczność

należało postawić o tej porze roku, u progu jesieni.

- Jakie będą zbiory w tym roku?

- Niczego sobie.

Innymi słowy: bardzo dobre, pomyślał Wallander, balansując na nierównej miedzy. Zazwyczaj słyszał od sąsiada tylko ponure prognozy.

Kiedy przyszedł do domu, zadzwonił do Lindy. Jej też nie chciał zdradzić bezpośredniego powodu wyjazdu do Sztokholmu. Powiedział, że wezwano go na naradę policyjną. Zapytała jedynie, jak długo go nie będzie.

- Dwa, może trzy dni.

- Gdzie przenocujesz?

- W Sjöfartshotellet. Przynajmniej pierwszą noc. A później może u Stena Nordlandera.

O wpół do ósmej, spakowawszy trochę ubrań, zamknął dom, wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku Malmö. Po długim wahaniu włożył też do torby swoją - czy może raczej należącą kiedyś do ojca - starą śrutówkę, trochę śrutu i własną broń służbową. Podróżował pociągiem, nie musiał przechodzić kontroli bagażu. Mimo że broń



wzbudzała w nim nieprzyjemne uczucia, nie miał odwagi pojechać bez niej.

Zatrzymał się w tanim zajeździe na obrzeżach Malmö, zjadł kolację w restauracji niedaleko Jagersro i poszedł na długi spacer, by zmęczyć się przed snem. Nazajutrz był gotowy do wyjazdu już przed piątą rano. Płacąc za pokój, ustalił z portierem, że zostawi samochód na parkingu hotelowym, i zamówił taksówkę, która zawiozła go na dworzec.

Zapowiadał się upalny dzień. Może w końcu lato przyszło również do Skanii?

Rano zazwyczaj miał najbardziej bystry umysł. Zawsze tak było, odkąd pamiętał. Czekając teraz przed hotelem na samochód, nie miał najmniejszych wątpliwości. Postępował słusznie. Nareszcie czuł, że zbliża się do rozwiązania.

W pociągu do Sztokholmu najpierw trochę spał, potem przejrzał kilka gazet i rozwiązał do połowy parę krzyżówek, a w końcu po prostu tylko siedział, pozwalając swobodnie szybować wyobraźni. Raz za razem powracał w myślach do wieczoru w Djursholmie. Przypominał sobie leżące w domu fotografie. Niepokój Håkana. I to jedyne zdjęcie, na którym Louise się nie uśmiecha. Jedyne zdjęcie, na którym jest poważna.

W wagonie restauracyjnym kupił dwie kanapki i kawę - ceny wprawiły go w osłupienie - a później, opierając głowę na dłoni, nieobecny spojrzeniem przyglądał się umykającym krajobrazom.

Za Nässjö zdarzyło się to, czego ostatnio najbardziej się obawiał. Nagle nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Musiał sprawdzić na bilecie, by sobie przypomnieć. Koszula znów nasiąkła potem. Jeszcze raz ogarnęło go przerażenie.

O dwunastej dostał klucze do swojego pokoju i zostawiwszy w nim torbę, szedł do hotelowej restauracji. Siedział obok towarzystwa mówiącego po angielsku, usłyszał, jak ktoś mówi,

że przyjechali z Birmingham. Zjadł kotlet mielony, wypił piwo i przeniósł się do baru, gdzie zagłębiając się w niebieskim fotelu pił poobiednią kawę. Zbliżała się za piętnaście druga. Miał przed sobą jeszcze ponad dwie godziny czekania.

Sten Nordlander wkroczył do hotelu parę minut po czwartej. Był opalony, miał krótko przystrzyżone włosy, prawdopodobnie zrzucił też kilka kilogramów. Na widok Wallandera uśmiechnął się szeroko.

- Wyglądasz na zmęczonego - powiedział na powitanie. - Czy na pewno właściwie wykorzystałeś urlop?

- Prawdopodobnie bardzo niewłaściwie - odpowiedział Wallander.

- Pogoda dzisiaj piękna. Wyjdziemy gdzieś na dwór czy zostaniemy tutaj?

- Pomyślałem tak samo jak ty, że wyjdziemy. Co powiesz o Mosebacke? Jest wystarczająco ciepło, żeby usiąść w ogródku.

W drodze do położonego wysoko rynku Wallander nie wspominał ani słowem o celu swojej podróży. Nordlander nie zadawał niepotrzebnych pytań. Spacer pod górę sprawił, że Wallander dostał zadyszki; jego towarzysz miał lepszą kondycję. Usiedli na tarasie, gdzie prawie wszystkie stoliki były zajęte. Wkrótce miała nadejść jesień, a z nią chłodne wieczory. Mieszkańcy miasta korzystali z ostatnich chwil lata i okupowali kawiarniane ogródki tak długo jak tylko się dało.

Wallander zamówił herbatę, bo od kawy bolał go już brzuch. Sten Nordlander zdecydował się na piwo i kanapkę.

Wallander zebrał się w sobie.

- Kiedy powiedziałem, że nic się nie stało, mijałem się z prawdą. Ale nie chciałem o tym rozmawiać przez telefon.

Mówiąc, obserwował dokładnie Nordlandera. Jego zaskoczenie wydawało się na wskroś autentyczne.

- Chodzi o Håkana?

- Tak. O niego. Wiem, gdzie się znajduje.

Sten Nordlander nie spuszczał wzroku z jego twarzy. On nie wie, pomyślał Wallander z ulgą. Jest po prostu kompletnie nieświadomy. A ja właśnie teraz potrzebuję człowieka, na którym mogę polegać.

Sten czekał w milczeniu. Otaczał ich miły gwar z sąsiednich stolików.

- Opowiedz mi, co się stało!

- Opowiem. Ale najpierw muszę ci zadać parę pytań. Żeby sprawdzić, czy moje przypuszczenia o powiązaniu różnych osób i zjawisk mają ręce i nogi. Porozmawiajmy o polityce. Po czyjej stronie opowiadał się Håkan jako czynny oficer? Jakie miał poglądy polityczne? Weźmy na przykład Olofa Palmego. Jak wiadomo, wielu wojskowych nienawidziło go, niektórzy nawet rozpowszechniali niedorzeczne plotki, jakoby był leczony psychiatrycznie w szpitalu albo działał jako szpieg na rzecz Związku Radzieckiego. Jak do tego środowiska pasuje Håkan?

- Wcale nie pasuje. Już ci kiedyś opowiadałem. Håkan nigdy nie należał do frakcji podburzającej przeciwko Palmemu i rządowi socjaldemokratów. Jak pewnie pamiętasz, zdradziłem ci też, że któregoś dnia nawet spotkał się z premierem. Uważał raczej, że krytyka skierowana przeciw Palmemu jest absurdalna, tak samo jak czymś absurdalnym było histeryczne patrzenie na Związek Radziecki, jego militarne możliwości i apetyt na zbrojny konflikt ze Szwecją.

- Czy kiedykolwiek miałeś podstawy, by wątpić w jego szczerłość?

- A dlaczego miałbym wątpić? Håkan jest patriotą. Lecz ma bystre oko i analityczny umysł. Myślę, że męczyła go ta wszechobecna atmosfera ekstremalnej wrogości wobec Rosjan.

- Jaki miał stosunek do USA?

- W niejednym - krytyczny. Pamiętam, jak kiedyś powiedział, że USA to jedyne państwo na świecie, które użyło broni atomowej wobec innego kraju. Można oczywiście mówić o specjalnych okolicznościach, jakie

zaistniały pod koniec drugiej wojny, ale fakt pozostaje faktem: Amerykanie użyli broni atomowej do zagłady ludzi. Nikt inny tego nie zrobił. Przynajmniej do tej pory.

Wallander chwilowo nie miał więcej pytań. Żadne ze stwierdzeń Nordlandera nie wydawało mu się zaskakujące czy nieoczekiwane. Otrzymał odpowiedzi, na które liczył. Wlewając herbatę do filiżanki, pomyślał, że nadeszła odpowiednia pora.

- Kiedyś rozmawialiśmy o tym, że w szwedzkiej armii działa szpieg, którego nigdy nie udało się zdemaskować.

- To coś w rodzaju wiecznie odradzającej się plotki. Jak się nie ma innego tematu do rozmowy, zawsze można pospekulować o kretach kopiących tajne korytarze.

- O ile dobrze zrozumiałem, owe plotki dotyczyły szpiega o wiele groźniejszego niż Wennerström?

- Tego nie wiem. Ale to chyba już tak jest, że szpieg, którego nie udało się ująć, zawsze zagraża najbardziej.

Wallander skinął głową.

- Krążyły też inne pogłoski, albo raczej dalej krążą, że ów nieznany szpieg jest kobietą.

- Nikt chyba w to nie wierzył. W każdym razie w kręgach moich znajomych. Przy tak niewielu kobietach w armii, a szczególnie na stanowiskach, które umożliwiają dostęp do tajnych informacji, wydaje się to prawie niemożliwe.

- Czy rozmawiałeś kiedyś o tym z Håkanem?

- O kobiecie szpiegu? Nie, nigdy.

- Louise była szpiegiem - wycedził powoli Wallander. - Na rzecz Związku Radzieckiego.

Sten Nordlander najpierw jakby nie zrozumiał słów Wallandera. Dopiero po chwili pojął ich znaczenie.

- To nie może być prawda!

- Nie tylko może, to jest prawda.

- Ja w każdym razie nie wierzę. Jakie masz na to dowody?

- Uwierz w to, co mówię. W torebce Louise policja znalazła mikrofilmy tajnych dokumentów i kilka negatywów fotograficznych. Nie wiem, co te ostatnie

przedstawiają. Ale stanowią wystarczający dowód, że Louise to wytrawny szpieg. Przeciwko Szwecji, na rzecz Rosji, a wcześniej Związku Radzieckiego. Innymi słowy: była aktywna przez długi czas.

Sten Nordlander przyglądał mu się z niedowierzaniem.

- Naprawdę mam w to uwierzyć?

- Tak.

- To rodzi we mnie pytania i argumenty przeciwko twojej mylnej tezie.

- Skąd jesteś taki pewien, że się mylę?

Sten Nordlander stęzał ze szklanką piwa w dłoni.

- Czy Håkan też jest w to zamieszany? Stanowili parę?

- To raczej wykluczone.

Nordlander postawił szklankę z hukiem.

- Wiesz czy nie wiesz? Dlaczego nie mówisz całej prawdy?

- Nic nie przemawia za tym, że Håkan miałby współpracować z Louise.

- Dlaczego więc się ukrywa?

- Dlatego że ją podejrzewał. Przez wiele lat był na jej tropie. W końcu zaczął się obawiać o własne życie. Sądził, że Louise domyśla się jego podejrzeń. Chciał uniknąć ryzyka, że zostanie zamordowany.

- Ale przecież zamordowano Louise!

- Nie zapominaj, że kiedy ją znaleziono, Håkan już od dłuższego czasu żył w ukryciu.

Wallander był świadkiem osobliwej metamorfozy. Sten Nordlander, zazwyczaj energiczny i otwarty, teraz kurczył się i malał. Wprawiony w konsternację, uległ przeobrażeniu.

Przy sąsiednim stoliku nietrzeźwy mężczyzna nagle wywołał spore zamieszanie, gdy przewracając się, ściągnął razem z obrusem butelki i szklanki na ziemię. Natychmiast znalazł się na miejscu ktoś z personelu i już po chwili zapanował spokój. Wallander pił herbatę. Sten podniósł się

z krzesła, podszedł do ogrodzenia i przyglądał się rozpostartemu w dole miastu.

Gdy znowu usiadł przy stoliku, Wallander powiedział:

- Potrzebuję twojej pomocy, żeby nakłonić Håkana do powrotu.

- Jak ci mogę pomóc?

- Jesteście najlepszymi przyjaciółmi. Chcę, żebyś pojechał ze mną na wycieczkę. Jutro dowiesz się dokąd. Czy możemy wybrać się twoim samochodem? Możesz zostawić swoją łódź mniej więcej na dobę?

- Mogę.

Wallander wstał.

- Przyjedź po mnie jutro o trzeciej. Weź coś od deszczu. Pożegnamy się tutaj.

Nie pozwolił mu zadać jakichkolwiek pytań. W drodze powrotnej do hotelu

nie obejrzał się ani razu. Wciąż nie był do końca pewny Nordlandera. Ale dokonał wyboru i nie mógł się wycofać.

Trudno mu było zasnąć, przewracał się z boku na bok w coraz bardziej wilgotnej pościeli. We śnie zobaczył unoszącą się nad ziemią Baibę. Miała zupełnie przezroczystą twarz.

Opuścił hotel wcześniej rano i pojechał taksówką do Djurgården, gdzie zdrzemnął się pod drzewem. Za poduszkę posłużyła mu torba ze śrutówką. Kiedy się obudził, ruszył w drogę powrotną przez miasto. Czekał już na Stena, gdy ten zatrzymał się na hotelowym podjeździe. Włożył torbę do bagażnika.

- Dokąd jedziemy?

- Na południe.

- Daleko?

- Dwieście kilometrów, może trochę więcej. Ale nie spiesz się nam.

Zostawili za sobą miasto i wjechali na autostradę.

- Co nas czeka? - zapytał Sten.

- Nic specjalnego. Przysłuchasz się pewnej rozmowie.

Nordlander nie zadawał więcej pytań. Wie, dokąd jedziemy,

zastanawiał się Wallander. Udaje zdziwionego? Nie potrafił rozstrzygnąć.

Nie bez powodu wziął ze sobą broń. Zabrałem ją, myślał, ponieważ nie jestem pewien, czy nie będę musiał się bronić. Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Dotarli do portu o dziesiątej wieczorem. Wcześniej Wallander zmusił Nordlandera do postoju i zjedzenia obiadu w Söderköping. W milczeniu obserwowali płynącą sennie przez miasto zarośniętą rzeczkę. Zamówiona przez Wallandera łódź czekała na nich w wewnętrznym basenie portowym.

Mniej więcej o jedenastej zbliżyli się do celu. Wallander wyłączył motor. Łódź, dryfując, dobiła do brzegu. Nasłuchiwał. Dokoła tylko cisza. Twarz Nordlandera prawie niewidoczna w ciemności.

A później weszli na ląd.

## 40

Przedzierali się ostrożnie przez ciemność późnego lata. Nie udzielając żadnych wyjaśnień, Wallander nakazał Stenowi szeptem, by cały czas siedł jak najbliżej niego. Gdy tylko dotarli do wyspy, utwierdził się w przekonaniu, że Nordlander nie zna kryjówki Håkana. Gdyby naprawdę wiedział, gdzie szukać zaginionego przyjaciela, nie potrafiłby chyba tak świetnie udawać, że nie ma pojęcia.

Wallander zatrzymał się na widok światła sączącego się z okna domku. Przez lekki szum morza przebijały dźwięki muzyki. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że okno jest otwarte. Odwróciwszy się do Stena, szepnął:

- Trudno ci uwierzyć, że Louise była szpiegiem?

- Dziwisz się?

- Wcale.

- Przyjmuję do wiadomości, co mówisz, ale nie mogę uwierzyć, że to prawda.

- I masz rację - powiedział powoli Wallander. - Bo moja opowieść to historia, którą się nam wmawia, chcąc, byśmy w nią uwierzyli.

Nordlander pokręcił głową.

- Teraz już zupełnie nie rozumiem.

- Ależ to szalenie proste! Dokumenty znalezione w torebce Louise posłużyły za dowód na jej działalność szpiegowską. Tylko że te materiały równie dobrze mogły zostać podłożone po jej zgonie. Usiłowano zamaskować morderstwo, stwarzając pozory śmierci z własnej ręki. Kiedy spotkałem tutaj, na wyspie, Håkana, opowiedział mi, bardzo szczegółowo, jak przez wiele lat podejrzewał Louise o współpracę z obcym wywiadem. Przedstawił to wszystko bardzo wiarygodnie. Później jednak zacząłem rozumieć to, czego wcześniej nie mogłem pojąć. Można powiedzieć, że przystawiłem zwierciadło i zobaczyłem wszystkie zdarzenia w lustrzanym odbiciu.

- I co ujrzałeś?

- Coś, co wyróciło całą moją wiedzę do góry nogami. Jak to się mówi? Że trzeba coś postawić na głowie, żeby stanęło na nogach? Tak właśnie to odczułem.

- Mam więc teraz z tego wyciągnąć wnioski, że Louise nie była szpiegiem? O to ci chodzi?

Wallander nie odpowiedział na pytanie.

- A teraz proszę cię, żebyś stanął pod ścianą domu. Stój tam i słuchaj!

- Czego?

- Rozmowy, którą zaraz odbędę z Håkanem.

- Ale po co to skradanie się po nocy?

- Jeśli się dowie, że ty też tu jesteś, nie będzie chciał wyjawiać całej prawdy.

Sten Nordlander pokręcił głową. Ale nie powiedział nic więcej i bez

protestów ruszył w stronę domku. Wallander stał nieruchomo. Dzięki systemowi alarmowemu von Enke wiedział, że ktoś porusza się w pobliżu.

Chodziło o to, żeby nie zorientował się, że w odwiedzinie



przyszły dwie osoby.

Sten Nordlander doszedł do celu. Wallander nie zauważyłby go, gdyby nie wiedział o jego istnieniu. W jakiś osobliwy sposób czuł się jednocześnie wyjątkowo opanowany i niespokojny. Koniec historii, pomyślał. Mam rację czy też popełniam największą pomyłkę w życiu?

Pożałował, że nie uprzedził Stena, iż to może trochę potrwać.

Jakiś nocny ptak załopotał skrzydłami i zniknął. Wallander nasłuchiwał w ciemności, czy nie nadchodzi Håkan. Sten stał nieruchomo przy ścianie. Przez otwarte okno nieustannie płynęła muzyka.

Drgnął gwałtownie, czując na ramieniu czyjąś dłoń. Odwrócił się i nagle znalazł się twarzą w twarz z Håkanem.

- A więc znów tu jesteś - stwierdził von Enke ściszym głosem. - Chyba się nie umawialiśmy? Mogłem cię wziąć za intruza. Czego chcesz?

- Porozmawiać z tobą.

- Czy coś się wydarzyło?

- Dużo się wydarzyło. Jak z pewnością wiesz, byłem w Berlinie i spotkałem się z twoim starym przyjacielem George'em Talbothem. Muszę powiedzieć, że zachowywał się zgodnie z moimi wyobrażeniami o tym, jak powinien zachowywać się wysoki rangą oficer CIA.

Wallander przygotował się najlepiej, jak potrafił. Wiedział, że nie wolno mu popaść w przesadę. Musiał mówić na tyle głośno, by Sten Nordlander zrozumiał sens rozmowy, ale nie aż tak, by Håkan zaczął podejrzewać, że ktoś się im przysłuchuje.

- Wywarłeś na nim pozytywne wrażenie.

- Nigdy w życiu nie widziałem takiego akwarium.

- Tak, akwarium jest bardzo osobliwe. Szczególnie te pociągi w tunelach.

Nagle dał się słyszeć gwałtowny podmuch wiatru. Po chwili znów zapadła

cisza.

- Jak tu się dostałeś? - zapytał von Enke.
- Tą samą łodzią.
- I przyjechałeś sam?
- Dlaczego miałbym nie przyjechać sam?
- Pytania, które odpowiadają na inne pytania, są dla mnie podejrzane.

Bez uprzedzenia Håkan zapalił latarkę, trzymaną wcześniej w ukryciu, i skierował strumień światła prosto w twarz gościa. Jak na przesłuchaniu, przeszło przez myśl Wallanderowi. Żeby tylko nie podświetlił domu i nie odkrył Stena. Wtedy cały plan runie.

Latarka zgasła.

- Nie musimy stać na dworze.

Wallander podążył za gospodarzem. Gdy weszli do środka, Håkan wyłączył radio. Od poprzedniej wizyty nic w domku się nie zmieniło.

Von Enke miał się na baczności. Wallander nie potrafił ocenić, czy chodzi o instynktowne przeczucie niebezpieczeństwa. Na pewno nie była to tylko zwykła podejrzliwość związana z jego nagłą wizytą na wyspie.

- Musisz mieć jakiś powód - zaczął powoli von Enke. - Skąd te niespodziewane odwiedziny w środku nocy?

- Chciałem tylko z tobą porozmawiać.

- O podróży do Berlina?

- Nie, nie o niej.

- Musisz się wytłumaczyć.

Wallander miał nadzieję, że stojący na zewnątrz Sten bez trudu słyszy ich słowa. A co będzie, jeśli von Enke nagle zechce zamknąć okno? Nie mam chwili do stracenia, pomyślał. Muszę wyłożyć kawę na ławę, nie mogę dłużej czekać.

- Musisz się wytłumaczyć - powtórzył Håkan von Enke.

- Chodzi o Louise. O prawdę o niej.

- Czy już jej nie znamy? Czyż nie siedzieliśmy tu niedawno i nie rozmawialiśmy właśnie o Louise?

- Rozmawialiśmy. Ale zataiłeś prawdę.

Von Enke patrzył na niego z taką samą miną bez wyrazu co wcześniej.

- Nagle odniosłem wrażenie, że coś się nie zgadza. To trochę tak, jakbym patrzył w niebo, zamiast studiować ziemię pod stopami. To było w Berlinie. Uzmysłowiłem sobie, że George Talboth nie tylko odpowiadał na moje pytania. On mnie jednocześnie badał. Bardzo dyskretnie i umiejętnie wyciągał ze mnie, co tak naprawdę wiem. A kiedy to do mnie dotarło, zrozumiałem też coś zupełnie innego.

Coś przerażającego i haniebnego, przენiewierstwo tak niegodziwe i pełne pogardy dla człowieka, że początkowo nie mogłem w nie uwierzyć. To wszystko, co wcześniej sądziłem, co myślał Ytterberg, co wyjaśniłeś ty, a Talboth dopowiedział, to wszystko nie jest prawdą. Zostałem wykorzystany, wchodziłem posłusznie i naiwnie we wszystkie pułapki zastawione wzdłuż mojej drogi. Ale to pozwoliło mi również dostrzec inną osobę.

- Kogo?

- Tę, którą możemy nazwać prawdziwą Louise. Ona nigdy nie była szpiegiem. Nie miała w sobie ani krzty fałszu, była na wskroś autentyczna.

Gdy spotkałem ją pierwszy raz, uderzył mnie jej piękny uśmiech. Myślałem o nim później, kiedy spotkaliśmy się ponownie w Djursholmie. Przez długi czas sądziłem, że uśmiechając się, maskowała jakąś tajemnicę. Dopóki nie pojąłem, że uśmiech Louise jest jak najbardziej prawdziwy.

- Przyszedłeś tutaj, żeby mówić o uśmiechu mojej zmarłej żony?

Wallander pokręcił głową, zrezygnowany. Cała sytuacja wydała mu się nagle

tak odrażająca, że nie wiedział, czy sobie z nią poradzi. Powinien kipieć ze złości, ale zabrakło mu sił.

- Przyszedłem tutaj, ponieważ dotarłem do prawdy. A prawda jest taka, że Louise nigdy nawet przez myśl nie przeszło, żeby szpiegować na szkodę Szwecji. Powinienem był to zrozumieć o wiele wcześniej. Dałem się jednak

nabrać.

- Kto cię nabrał?

- Ja sam. Jak wszyscy inni, dałem się uwieść przekonaniu, że wróg zawsze nadchodzi ze Wschodu. Ale najbardziej wprowadziłeś mnie w błąd właśnie ty, faktyczny szpieg.

Nieustannie ta sama twarz bez wyrazu, myślał Wallander. Jak długo jeszcze?

- Ja miałbym być szpiegiem?

- Tak!

- Miałbym szpiegować na rzecz Związku Radzieckiego albo Rosji? No chyba oszalałeś!

- Nie powiedziałem nic o byłym ZSRR czy obecnej Rosji. Powiedziałem, że jesteś szpiegiem. Na usługach USA. Byłeś nim przez wiele lat, Håkanie. Tylko ty wiesz, jak długo i jak do tego doszło. Nie mam pojęcia, czym się kierowałeś. To nie ty podejrzewałeś Louise, to ona podejrzewała ciebie o współpracę z amerykańskim wywiadem. I to w końcu doprowadziło do jej śmierci.

- Nie zabiłem Louise!

Pierwsze pęknięcie, pomyślał Wallander. Mówi coraz bardziej piskliwym głosem, zaczyna się bronić.

- Akurat w to nie wątpię. Z pewnością pomogli ci inni. Może George Talboth? W każdym razie ona umarła, żebyś ty nie został zdemaskowany.

- Nie potrafisz udowodnić swoich absurdalnych twierdzeń.

- To prawda - przyznał mu rację Wallander. - Nie potrafię. Ale mogą to zrobić inni. Zamierzam skłonić policję i wojsko do spojrzenia na to wszystko z innej perspektywy. Szpieg, którego obecność podejrzewano w armii od dawna, nie był kobietą, tylko mężczyzną. Mężczyzną, który bez wahania schował się za żoną i tym samym miał wyśmienity kamuflaż i ukrywał za nim swoją prawdziwą działalność.

Wszyscy szukali rosyjskiego szpiega, kobiety, podczas

gdy powinni byli szukać mężczyzny szpiegującego na rzecz USA. Nikt nie rozważał takiej możliwości, wszyscy byli pochłonięci tropieniem wrogów na Wschodzie. Przez całe swoje życie tak właśnie słyszałem: zagrożenie przychodzi ze Wschodu. Nikomu nie mieściło się w głowie, że ktoś mógłby wpaść na pomysł zdrady kraju na rzecz przeciwnej strony. Pojedyncze sporadyczne ostrzeżenia były głosem wołającego na puszczy.

Można oczywiście powiedzieć, że Amerykanie tak czy owak mieli dostęp do niezbędnej im wiedzy na temat naszych sił zbrojnych. Ale to nieprawda. NATO, a przede wszystkim Stany Zjednoczone potrzebowały zaawansowanych informacji o szwedzkiej armii, a pośrednio o różnych militarnych planach Rosjan.

Wallander zamilkł. Twarz Håkana von Enkego ciągle nie zdradzała żadnych uczuć.

- Stając się najmniej lubianym oficerem marynarki, sprawiłeś sobie doskonałą tarczę - mówił dalej Wallander.  
- Protestowałeś, gdy wypuszczono radzieckie okręty podwodne, które wcześniej udało się złapać na naszych wodach terytorialnych. Zadawałeś tak dużo kłopotliwych pytań, że zaczęto cię uważać za fanatycznego wroga Rosji. A jednocześnie jeśli tylko nadarzyła się okazja, krytykowałeś USA. Tymczasem świetnie wiedziałeś, że wtedy pod wodą kryły się jednostki NATO. Brałeś udział w grze i wygrałeś. Ze wszystkimi.

Choć nie z Louise, która w końcu zaczęła podejrzewać, że coś jest nie tak. Nie wiem, dlaczego tu się ukryłeś. Może dostałeś rozkaz od swoich zleceniodawców? Czy ten mężczyzna na ulicy w Djursholmie, podczas przyjęcia, nie był jednym z nich? Przyszedł, żeby przekazać ci umówione ostrzeżenie? A domek łowiecki na wyspie od dawna przeznaczono na miejsce, w którym mogłeś się zaszyć. O jego istnieniu dowiedziałeś się od ojca Eskila Lundberga, który nie odmawiał ci pomocy po tym, jak załatwiłeś mu odszkodowanie za zniszczone molo i sieci.

Nigdy też nie ujawnił, że ma aparaturę podsłuchową,

którą Amerykanie bez powodzenia próbowali przymocować do radzieckiego kabla. Przypuszczam, że zaplanowano także twoją ewakuację z wyspy, gdyby zaszła taka potrzeba. Widocznie nie powiadomiono cię, że Louise musi umrzeć. Zabili ją twoi przyjaciele. A ty znałeś cenę prowadzonej przez siebie gry. Nie mogłeś niczemu zapobiec, prawda? Zastanawia mnie jedynie, co było twoją siłą napędową? Co sprawiło, że poświęciłeś własną żonę?

Håkan studiował swoją dłoń. Jakby zupełnie niezainteresowany tym, co właśnie usłyszał. Może, myślał Wallander, mimo wszystko oplakuje Louise i żałuje, że musiał zapłacić tak wysoką cenę? Teraz, gdy jest już za późno?

- Nikt nie chciał, żeby umarła - powiedział von Enke, wciąż nie odrywając wzroku od własnej ręki.

- Co pomyślałeś, kiedy dotarła do ciebie wiadomość o jej śmierci?

Odpowiedział rzeczowo, niemal oschle:

- Niewiele brakowało, a skończyłbym z sobą.

Powstrzymała mnie myśl o wnuczce. A teraz już nie wiem...

Znów siedzieli w milczeniu. Wallander uważał, że Sten niedługo powinien wejść do środka. Ale zostało jeszcze jedno pytanie, na które chciał uzyskać odpowiedź.

- Jak do tego doszło?

- Do czego?

- Nie interesuje mnie to, jak zbierałeś tajne informacje. Chciałbym się dowiedzieć, co sprawiło, że zostałeś szpiegiem.

- To długa historia.

- Mamy czas. I nie musisz opowiedzieć mi wszystkiego z najdrobniejszymi szczegółami. Tylko tyle, bym potrafił zrozumieć.

Håkan odchylił się do tyłu i przymknął powieki. Wallander uświadomił sobie nagle, że ma przed sobą bardzo starego człowieka.

- To zaczęło się bardzo dawno temu - zaczął von Enke, nie otwierając oczu. - Amerykanie skontaktowali się ze mną już na początku lat sześćdziesiątych. Dość szybko przekonali mnie o tym, jak ważny dla USA i NATO jest dostęp do informacji, bo tylko wtedy mogli nas bronić. Sami nigdy nie dalibyśmy sobie rady. Bez USA z góry byliśmy straceni.

- Co to byli za ludzie?

- Musisz wziąć pod uwagę panujące wtedy nastroje społeczne. Istniała grupa ludzi, głównie młodych, którzy poświęcali cały swój czas na zwalczanie wojny prowadzonej przez USA w Wietnamie. Ale większość z nas uważała, że potrzebujemy amerykańskiego wsparcia na wypadek konfliktu w Europie. Oburzała mnie postawa tych łatwowiernych i romantycznych lewicowców.

Czułem, że chcę coś zrobić. Wszedłem w to zupełnie świadomie. Można powiedzieć, że moja działalność miała charakter ideologiczny. I dzisiaj jest tak samo. Bez USA świat byłby zdany na łaskę sił, którym zależy na pozbawieniu Europy wszelkiej władzy. Czy wiesz, jakie ambicje mają Chiny? Co zrobią Rosjanie, gdy w końcu uporają się z wewnętrznymi problemami?

- Ale w grę wchodziły też jakieś pieniądze?

Von Enke milczał. Odwrócił się i znów pogrążył w myślach. Wallander zadał kilka pytań, na które również nie uzyskał odpowiedzi. Håkan von Enke po prostu zakończył rozmowę.

Wtem podniósł się i ruszył do kuchenki. Wyjął z lodówki butelkę piwa i wysunął jedną z kuchennych szuflad. Wallander podążał za nim wzrokiem.

Nagle Håkan odwrócił się z pistoletem wymierzonym w gościa. Wallander wstał gwałtownie. Von Enke niespiesznie odłożył butelkę. Uniósł pistolet. Wallander nie spuszczał oczu z broni wymierzonej w swoją głowę. Krzyknął, wrzasnął jeszcze raz. Obserwował ruch broni.

- Dłużej już nie wytrzymam - powiedział Håkan. - Nie

widzę żadnej przyszłości.

Przyłożył sobie lufę do brody i pociągnął za spust. Huk strzału był ogłuszający. W tej samej chwili gdy Håkan osunął się na podłogę z twarzą we krwi, do domku wpadł Sten Nordlander.

- Jesteś ranny? - krzyczał. - Jesteś postrzelony?

- Nie. Zabił się sam.

Patrzyli obaj na leżącego w nienaturalnej pozycji mężczyznę. Nie było widać, czy zalane krwią oczy są otwarte.

Wallander odkrył pierwszy, że Håkan żyje. Chwył wiszący na oparciu krzesła sweter i przycisnął do jego podbródka. Krzyknął do Stena, by poszukał ręczników. Kula przebiła na wylot policzek, wbrew zamiarowi Håkana nie dotarła do mózgu.

- Strzelił ukośnie - powiedział do Nordlandera, który podbiegł z prześcieradłem zerwanym z łóżka.

Oczy Håkana były otwarte, jeszcze żywe.

- Uciskaj! - nakazał Wallander, pokazując Stenowi jak.

Wyjął z kieszeni komórkę i wystukał 112. Nie było zasięgu. Wybiegł na dwór i wspiął się na pobliską skałę. Stamtąd też nie dało się zadzwonić. Wrócił do domu.

- Wykrwawi się - powiedział Nordlander.

- Uciskaj bardzo mocno. Telefon nie działa. Muszę jechać po pomoc. Czasami nie ma tu zasięgu.

- On tego nie przeżyje.

- Jeżeli umrze, nigdy nie poznamy całej historii.

Sten Nordlander klęczał przy rannym mężczyźnie. Spojrzał na Wallandera z obawą w oczach.

- Czy to wszystko prawda?

- Słyszałeś naszą rozmowę?

- Słyszałem każde słowo. Czy to prawda?

- Tak, to wszystko prawda. Przez czterdzieści lat był szpiegiem na rzecz USA. Sprzedawał informacje o naszej armii i musiał to robić dobrze, ponieważ Amerykanie uważali go za tak wartościowego, że nie zawahali się zamordować jego żony.



- Nie potrafię tego zrozumieć.

- Mamy więc jeszcze jeden powód, by nie pozwolić mu umrzeć. Tylko on może nam wszystko wytłumaczyć. Jądem po pomoc. To trochę potrwa. Ale jeśli tylko uda nam się zatamować krwotok, myślę, że możemy go uratować.

W drodze do drzwi usłyszał za sobą głos Nordlandera.

- Nie ma żadnych wątpliwości?

- Absolutnie żadnych.

- To znaczy, że oszukiwał mnie przez całe życie.

- Wszystkich oszukiwał.

Wallander opuścił domek i zaczął biec. Kilka razy potknął się i przewrócił. Kiedy dotarł do brzegu, zauważył, że wiatr przybrał na sile. Odcumował motorówkę i wskoczył do środka. Udało mu się zapalić silnik za pierwszym podejściem. Było tak ciemno, że zaczął wątpić, czy trafi do portu.

Właśnie nawrócił i zamierzał dodać gazu, gdy usłyszał suchy trzask wystrzału. Nie miał wątpliwości - charakterystyczny dźwięk broni palnej doszedł z domku łowieckiego. Zwolniwszy, nasłuchiwał przez chwilę. Czy jednak się pomylił? Zawrócił i znów popłynął w stronę wyspy.

Wyskakując na brzeg, nieoczekiwanie znalazł się w wodzie, czuł, jak przemakają mu buty. Cały czas wyteżał słuch. Wiał porywisty wiatr.

Wyciągnął z torby śrutówkę, naładował ją. A może na wyspie jest jeszcze ktoś inny, o kim nie miał pojęcia? Wracając do domku łowieckiego ze strzelbą w rękach, próbował poruszać się najciszej, jak umiał; zatrzymał się na widok słabych smug światła zza grubych zasłon. Żadnego dźwięku, oprócz szumu wiatru w koronach drzew i odgłosów morza.

Gdy podchodził do drzwi, huknęło jeszcze raz, w ten sam dziwnie suchy sposób. Rzucił się na ziemię, przywarł do podłoża, wcisnął twarz w wilgotną ściółkę. Upuścił broń i obiema rękami nakrył głowę. W każdej sekundzie oczekiwał końca.

Ale nikt się nie pojawił. W końcu odważył się usiąść i podnieść broń. Sprawdził, czy do lufy nie dostała się ziemia. Z wolna wstał i skulony podszedł do drzwi. Zanim otworzył, uderzył dwukrotnie we framugę. Żadnego odzewu. Zawołał Stena, ale nikt mu nie odpowiedział. Dwa strzały, rozważał gorączkowo, próbując zrozumieć, co oznaczały.

Nie wiedział, ale przeczuwał. Jeszcze raz zobaczył przed sobą twarz Stena, gdy zapytał: „Nie ma żadnych wątpliwości?”

Pchnął drzwi i wszedł do środka.

Håkan von Enke nie żył. Sten Nordlander uśmiercił go strzałem w czoło. A później skierował broń ku sobie i teraz też leżał martwy na podłodze, obok swojego dawnego przyjaciela i kolegi. Wallander pomyślał wstrząśnięty, że powinien był przewidzieć taki scenariusz. Stojąc w ciemności, Sten dowiedział się, jak Håkan von Enke zdradził ich wszystkich, a najbardziej chyba tych, którzy mu ufali i traktowali go nie tyle jako kolegę z pracy, ale raczej przyjaciela. Wallander uważał, by nie wdepnąć mokrymi stopami w spływającą po podłodze krew. Opadł na krzesło, na którym wcześniej słuchał opowieści Håkana. Rozsadzało go zmęczenie. Miał wrażenie, że z upływem lat coraz trudniej mu znosić prawdę. A przecież właśnie do niej zawsze dążył.

Jak daleko zaszli, gdy przyjechałem do Djursholmu, zastanawiał się. Jeśli założyć, że jego rozmowa ze mną była częścią planu, który miał przekonać mnie o winie Louise, a tym samym odsunąć od niego jakiegokolwiek podejrzenia, to wszystkie najważniejsze decyzje powinny były już zapaść. Może Håkan sam wpadł na pomysł, by wykorzystać moją osobę? Wykorzystać fakt, że jego syn żyje z kobietą, której ojciec jest głupim policjantem z prowincji?

Patrząc na tych dwóch martwych mężczyzn, Wallander czuł w sobie zarówno smutek, jak i gniew. Pomyślał o Klarze, która nie pozna ani babci, ani dziadka ze strony taty. Będzie musiała zadowolić się walczącą z alkoholem

babcią Moną i coraz starszym, schorowanym dziadkiem Kurtem.

Siedział tak pół godziny, może dłużej, zanim znów zmusił się do powrotu do roli policjanta. Pomysł, jak to wszystko zostawić, był szalenie prosty. Wystarczyło tylko z kieszeni Stena wyjąć kluczyki do samochodu, a później wypłynąć prosto w ciemność.

Zanim po raz drugi zsunął łódź do wody, najpierw stanął na moment na brzegu z zamkniętymi oczami. Wydało mu się, że znów dopadła go przeszłość. Cały ten świat, o którym zawsze tak mało wiedział. Nagle sam odegrał jakąś poboczną rolę na tej ogromnej scenie. Ale czy zrozumiał coś więcej? W zasadzie niewiele, stwierdził. W dalszym ciągu jestem tą zagubioną postacią na obrzeżach wielkiej polityki. Teraz, podobnie jak wtedy, jestem tylko tym samym niespokojnym człowiekiem gdzieś na marginesie wydarzeń.

Zepchnął łódkę na wodę. Mimo ciemności udało mu się dopłynąć do portu. Zostawił motorówkę w tym samym miejscu, z którego ją zabrał. Na przystani nie było żywej duszy. O drugiej w nocy wsiadł do samochodu Nordlandera. Zaparkował w pobliżu dworca, wyczyścił dokładnie kierownicę, drążek zmiany biegów i zewnętrzną część drzwi. Kluczyki wrzucił do studzienki. A potem pozostało mu tylko czekanie na pierwszy pociąg jadący na południe. Kilka godzin spędził na ławce w parku. To było osobliwe uczucie: sam w obcym mieście ze starą śrutówką ojca w torbie.

Zaczęło mżyć, gdy o świcie udało mu się znaleźć jakąś otwartą kawiarenkę. Wypił kawę, przejrzał nieaktualne gazety i wrócił na dworzec. Odjeżdżając, pomyślał, że nigdy tu już nie przyjedzie.

Przez okno w pociągu zobaczył stojący na parkingu samochód Nordlandera. Prędzej czy później ktoś się nim zainteresuje. A później dojdą po nitce do kłębka. Na pewno będą sobie zadawać pytanie, jak dostał się do portu i do Blåskär. Ale mężczyzna z wypożyczalni łodzi nie musi

przecież powiązać Wallandera z tragedią, która rozegrała się na odludnej wysepce. A poza tym napewno wszystkie szczegóły zostaną utajnione.

Wallander dojechał do Malmö po dwunastej, odebrał samochód i ruszył w kierunku Ystad. Przy wyjeździe z miasta zatrzymała go policja drogowa. Pokazał swoją legitymację, dmuchnął w alkomat.

- Jak wam idzie? - zapytał, by okazać zainteresowanie pracą kolegów. - Kierowcy trzeźwi?

- W większości tak. Ale dopiero zaczęliśmy. Kogoś na pewno złapiemy. A co słyhać w Ystad?

- Teraz spokojnie. Za to w sierpniu zawsze jest więcej roboty niż w lipcu. Skinął im na pożegnanie, podniósł szybę i odjechał. Dziesięć godzin temu

siedziałem z dwoma martwymi mężczyznami u stóp, pomyślał. Ale żaden inny człowiek tego po mnie nie pozna. Nasze wspomnienia nie przeświecają przez nas.

W drodze powrotnej zrobił zakupy, odebrał Jussiego i w końcu zahamował przed własnym domem. Zapelniwszy lodówkę, usiadł przy stole w kuchni. Wokół niego panowała cisza.

Próbował zdecydować, co opowie Lindzie. Ale tego dnia nie zadzwonił do niej, nawet wieczorem.

Po prostu nie wiedział, co ma jej powiedzieć.

## EPILOG

W maju 2009 roku Wallandera zbudził nad ranem sen. Coraz częściej zdarzało mu się, że nocne wspomnienia żyły w nim jeszcze, gdy otwierał oczy. Wcześniej bardzo rzadko zapamiętywał swoje sny. Jussi, który ostatnio chorował, spał przy łóżku. Zegarek na stoliku obok pokazywał kwadrans po czwartej. A może winny był nie tylko sen? Przez otwarte okno w sypialni równie dobrze mógł dotrzeć do świadomości Wallandera głos puszczyka; już nieraz tak się zdarzyło.

Teraz jednak nie słyszał charakterystycznego pohukiwania. Śniła mu się rozmowa telefoniczna, którą powinien był odbyć z Lindą tego dnia, gdy wrócił z Blåskär. We śnie opowiedział córce, co się tam wydarzyło. Słuchała, nie komentując. A później sen urwał się nagle, jak przetarte sznurowadło.

Wallander ocknął się z bardzo nieprzyjemnym uczuciem. W rzeczywistości nigdy do niej nie zadzwonił. Usprawiedliwiał się przed sobą w prosty sposób: nie przyczynił się do tragedii, a mógłby znaleźć się w wyjątkowo uciążliwym położeniu, gdyby zrelacjonował dokładny przebieg wydarzeń i tym samym ściągnął na siebie podejrzenie o współudział. Linda i Hans powinni dowiedzieć się o niej dopiero wtedy, gdy wyjdzie na jaw. A on sam miał - w najlepszym razie - pozostać niewidzialny.

To była jedna z najpotworniejszych sytuacji w życiu Wallandera. Mógł ją jedynie porównać do wydarzenia sprzed wielu lat, gdy po raz pierwszy na służbie zabił człowieka i poważnie zastanawiał się nad swoją przydatnością do zawodu policjanta. Zamierzał zrobić to, co teraz planował Martinsson: odejść z policji, poświęcić się czemuś zupełnie innemu.

Wychylił się ostrożnie za brzeg łóżka i spojrzał na psa.

Jussi spał. Jemu też coś się śniło; przebierał w powietrzu łapami. Wallander znów oparł się o wezłowie. Czuł na twarzy rześkie powietrze napływające przez uchylone okno. Kilkoma kopnięciami zrzucił z siebie kołdrę. Myśłami powędrował do stosu notatek leżących na kuchennym stole. Jeszcze jesienią ubiegłego roku zaczął pisać sprawozdanie z tych wszystkich wydarzeń, które zakończyły się tragedią w domku łowieckim na Blåskär.

Zwłoki znalazł Eskil Lundberg. Policja w Norrköping natychmiast wezwała do pomocy Ytterberga. Ponieważ ta sprawa dotyczyła również służby bezpieczeństwa i wywiadu wojskowego, bezzwłocznie ją wyciszono, a całe śledztwo objęto ścisłą tajemnicą. Wallander był więc zdany na dość skąpe informacje, które w największym zaufaniu przekazywał mu kolega ze Sztokholmu. Cały czas podświadomie czekał na to, że wcześniej czy później wyda się jego obecność na wyspie.

Najbardziej obawiał się tego, że Sten Nordlander poinformował żonę o wyjeździe, widocznie jednak nie wspomniał o nim ani słowem. Z ciężkim sercem czytał w gazetach o rozpaczach pani Nordlander; równie trudno było jej uwierzyć w samobójczą śmierć męża, jak i w to, że najpierw zamordował swego starego przyjaciela.

Ytterberg czasami użalał się przed Wallanderem, że nawet on, prowadzący policyjne dochodzenie, nie wie, co się rozgrywa za kulisami sprawy. Nie ulegało jednak wątpliwości, że Sten Nordlander zabił Håkana von Enkego dwoma strzałami, a później sam odebrał sobie życie. Zagadką pozostawało, jak Nordlander dostał się na wyspę. Nikt nie potrafił tego wyjaśnić. To oznacza, napomknął kilka razy Ytterberg, że należy podejrzewać udział jeszcze jednej osoby. Ale kim była i jaką odegrała rolę? Na to pytanie nie potrafił udzielić odpowiedzi. Nie udało się też ustalić właściwej przyczyny tragedii.

W mediach zaczęły krążyć najprzeróżniejsze domysły i spekulacje. Przez jakiś czas pławiono się w tym krwawym dramacie tak bardzo, że Linda, Hans i Klara musieli

niemal opuścić dom w ucieczce przed niejednym ciekawskim dziennikarzem i dociekliwymi pytaniami. Zwolennicy najbardziej fantastycznych teorii spiskowych uważali, że von Enke i Nordlander zabrali ze sobą do grobu tajemnicę morderstwa Olofa Palmego.

Od czasu do czasu w rozmowach z Ytterbergiem Wallander pytał ostrożnie, jakby przez grzeczność, czy potwierdziły się podejrzenia, jakoby Louise von Enke była rosyjskim szpiegiem. Ytterberg miał jednak wyjątkowo skąpe informacje na ten temat.

- Odnoszę wrażenie, że - jeżeli chodzi o nią - wszystko stało w miejscu - odpowiedział. - Nie mam pojęcia, jakiej prawdy szukają służby specjalne, czy raczej jaką prawdę chcą ukryć. Może musimy poczekać, aż zajmie się tym jakiś dociekliwy dziennikarz.

Przez cały czas Wallander nie usłyszał ani słowa o tym, że Håkan uprawiał szpiegostwo na rzecz USA. Nie było żadnych podejrzeń, żadnych pogłosek, żadnych sugestii, że to właśnie tego rodzaju działalność mogła doprowadzić do tragedii. Kiedyś zapytał Ytterberga wprost, czy brana jest pod uwagę taka teoria, on jednak zupełnie nie okazał dla niej zrozumienia.

- Dlaczego, na miłość boską, von Enke miałby być amerykańskim szpiegiem?

- Roztrząsam tę sprawę na wszelkie sposoby - odparł Wallander. - Ponieważ podejrzewamy Louise o szpiegostwo na rzecz Rosji, równie dobrze możemy skierować podejrzenia w przeciwnym kierunku.

- Myślę, że gdyby służby specjalne podejrzewały coś takiego, miałbym jakieś przecieki.

- Ja jedynie głośno myślę - odpowiedział Wallander wymijająco.

- Czy wiesz coś, o czym ja nie wiem? - zapytał Ytterberg nieoczekiwanie ostrym tonem.

- Nie - zapewnił Wallander. - Wiem tylko tyle co ty.

Właśnie po tej rozmowie telefonicznej wziął się do pisania. Zebrał wszystkie swoje przemyślenia, wszystkie notatki i sporządził system samoprzylepnych karteczek, które umieszczał na jednej ze ścian w salonie. Ale ściągał je za każdym razem, kiedy przychodziła z wizytą Linda, obojętnie, czy z Hansem i Klarą, czy sama. Wolał pisać swoją opowieść bez udziału innych, nie chciał nawet, by ktokolwiek wiedział, czym się zajmuje.

Zaczął od wyjaśnienia luźnych faktów, które zostały mu na warsztacie. Niektóre z nich mógł bardzo szybko skreślić z listy. Na przykład bez trudu sprawdził, że pod nazwą USG Enterprises, widniejącą w spisie lokatorów zamiast nazwiska George'a Talbotha, kryła się firma konsultingowa. Nie było powodów, by wątpić w uczciwość owej spółki.

Nie udało mu się natomiast dociec, kto dokonywał dyskretnych włamań do jego domu i kto odwiedził Signe w Niklasgården. To oczywiste, że chodziło o ludzi asystujących Håkanowi. Ale w jakim celu to robili? Najprawdopodobniej szukali tego, co Wallander nazywał „książką Signe”. Teraz leżała na stole w kuchni. Zazwyczaj była schowana w budzie Jussiego.

Dość szybko uświadomił sobie, czym tak naprawdę się zajmuje. Pisał nie tylko o Håkanie, pisał również o sobie i swoim życiu. Powracając w myślach do tego, co słyszał o zimnej wojnie, o braku zgody wśród szwedzkiej generalicji w kwestii neutralności tudzież konieczności przyłączenia się do NATO, uświadomił sobie, jak mało wie o świecie, w którym żyje. Rzecz jasna niemożliwe było nadrobienie wieloletnich zaległości. Tego typu wiedzę o świecie mógł teraz zdobywać tylko retrospektywnie. Zastanawiał się ponuro, czy to jest charakterystyczne dla całego pokolenia, owa niechęć do angażowania się w nieustannie zmieniającą się politykę we współczesnym świecie. A może jego generacja była podzielona? Na tych, którzy się przejmują, i tych, którym to wszystko jest obojętne?



Dopiero teraz zrozumiał, że jego ojciec miał o wiele lepsze rozeznanie w wielu sprawach. I nie chodziło mu tylko o epizod z Tage Erlanderem w Parku Ludowym w Malmö. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś, na początku lat siedemdziesiątych, dostał solidną reprimendę od ojca, ponieważ nie poszedł na wybory, które odbyły się kilka dni wcześniej. Rozjuszony ojciec nazwał go „politycznie leniwym bydłem”, rzucił w niego pędzlem i kazał mu się wynosić z domu. Co oczywiście uczynił. Wtedy uważał ojca za dziwaka. Dlaczego miałby się przejmować sporami szwedzkich polityków? Jeżeli cokolwiek go interesowało, to ewentualnie kwestia niższych podatków i wyższych zarobków, nic więcej.

Siedząc przy kuchennym stole, zastanawiał się teraz, czy jego najbliżsi znajomi są równie niezainteresowani polityką, czy podobnie jak on dbają wyłącznie o swoje prywatne sprawy. Rozmowy o polityce w gronie przyjaciół ograniczały się zazwyczaj do postawienia pod pręgierzem krytyki konkretnych polityków i ponarzekań na ich idiotyczne ekscesy; pozbawione były natomiast refleksji na temat ewentualnych alternatywnych rozwiązań.

W zasadzie tylko raz, przez krótki okres w całym swoim życiu, Wallander na serio zastanowił się nad polityczną sytuacją w Szwecji, Europie i może nawet w świecie. To było prawie dwadzieścia lat temu w związku z bestialskim morderstwem dwojga sędziwych rolników w Lenarp. Dość szybko okazało się, że podejrzenia dotyczą nielegalnych imigrantów lub starających się o azyl uchodźców.

Wallander musiał zmierzyć się wtedy z własnymi poglądami na temat masowej imigracji do Szwecji. Ku swemu zdziwieniu i przerażeniu odkrył, że pod powierzchnią przyjaznego i pokojowego nastawienia tań mroczne, a może nawet rasistowskie przekonania. Wyzbył się ich z czasem i dziś nie pozostał po nich nawet ślad. Tyle tylko że po tamtym osobliwym śledztwie, zakończonym złapaniem winnych na jarmarku w Kivik, znów popadł w polityczną gnuśność.

Jesienią kilkakrotnie odwiedził bibliotekę w Ystad i wypożyczył książki o powojennej historii kraju. Prześledził najważniejsze polityczne debaty dotyczące potencjalnej szwedzkiej broni atomowej i przystąpienia Szwecji do NATO. Mimo że część tych dyskusji odbywała się w latach, gdy Wallander wchodził w dorosłe życie, zupełnie nie pamiętał, by wówczas jakoś reagował na przedstawiane przez polityków wizje. Jak gdyby żył pod szklanym kloszem.

Któregoś dnia zwierzył się Lindzie z refleksji poczynionych na temat własnego życia. Okazało się, że córka ma zupełnie inne podejście do spraw polityki. Zdziwił się, ponieważ nigdy wcześniej nie zwrócił na to uwagi. Odpowiedziała mu tylko, że człowiek nie obnosi swojej świadomości politycznej wymalowanej na twarzy.

- Czy kiedykolwiek zadałeś mi jakieś pytanie dotyczące polityki? Dlaczego miałabym dyskutować z tobą na ten temat, skoro wiem, że to cię w ogóle nie interesuje?

- A co mówi Hans?

- Hans ma rozległą wiedzę o świecie. Ale nie zawsze się zgadzamy.

Wallander często zatrzymywał się myślami właśnie przy partnerze córki.

Późną jesienią 2008 roku, w połowie października, zadzwoniła do niego roztrzęsiona Linda i opowiedziała o akcji policji w kopenhaskim biurze Hansa. Kilka osób, w tym przede wszystkim dwóch islandzkich maklerów, w nieuzasadniony sposób zawyżyło wartość akcji, by zabezpieczyć system własnych prowizji i bonusów.

Gdy wybuchł kryzys finansowy, bańka pękła. Przez jakiś czas wszyscy zatrudnieni w firmie, łącznie z Hansem, byli podejrzani o współudział w aferze. Dopiero w marcu Hans został poinformowany o tym, że oczyszczono go z podejrzeń. Było mu ciężko, tym bardziej że do żałoby po matce doszła żałoba po ojcu. Kilkakrotnie kontaktował się z Wallanderem, prosząc o wyjaśnienie faktycznego przebiegu wydarzeń. Wallander wytłumaczył tyle, ile mógł,

ale wzdrgał się przed chociażby napomknięciem o prawdziwej przyczynie tragedii.

Jednocześnie zastanawiał się, jak upowszechnić swoją wiedzę o wydarzeniach w domku łowieckim na Blåskär. Może powinien przekazać ją anonimowo odpowiednim władzom? Ale czy zostanie potraktowany poważnie? Kto chciałby pogorszenia dobrych stosunków z USA? Może wszystkim zainteresowanym wręcz zależy na tej ciszy która spowiła działalność wywiadowczą Håkana?

Wallander zaczął pisać pod koniec września, co oznaczało, że zajmował się tym już od ponad ośmiu miesięcy. Nie chciał, by faktyczny przebieg wydarzeń został okryty milczeniem. Na samą myśl, że tak mogłoby się stać, wpadał w gniew.

Pisanie nie przeszkadzało mu w normalnej pracy. Dwa ponure śledztwa w sprawie ciężkiego pobicia wypełniły mu praktycznie całą jesień. W kwietniu 2009 roku zajął się serią podpaleń w okolicach Ystad.

Najbardziej niepokoiły go jednak powtarzające się nagłe zaniki pamięci. Najgorszy zdarzył się któregoś z bożonarodzeniowych dni. Rano Wallander ubrał się i wyszedł z domu, by odśnieżyć zasypany przez noc podjazd. Kiedy skończył, nagle nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Nie rozpoznał nawet Jussiego. Minęło sporo czasu, zanim dotarło do niego, na jakim stoi podwórzu. Oczywiście, powinien był pójść do lekarza, ale nie poszedł, ponieważ zabrakło mu odwagi.

Tłumaczył zaburzenia pamięci a to przepracowaniem, a to wypaleniem. Czasami udawało mu się w to uwierzyć. Dręczyła go jednak nieustanna obawa, że problemy będą się nasilały. Najwyczejajniej w świecie bał się, że cierpi na wczesną postać choroby Alzheimera.

Leżał jeszcze w łóżku, był niedzielny poranek, miał

wolne. Na popołudnie umówił się z Lindą; miała przyjechać z Klarą i ewentualnie z Hansem, który uzależniał swój przyjazd od aktualnego samopoczucia.

O szóstej wstał, wypuścił Jussiego i przygotował śniadanie. Resztę przedpołudnia poświęcił swoim papierom. Właśnie tego dnia po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że pisze coś w rodzaju „testamentu życia”.

Oto jego ziemską wędrówka. Nawet jeżeli będzie mu dane żyć jeszcze dziesięć czy piętnaście lat, raczej niewiele się zmieni. Z osobliwym poczuciem wewnętrznej pustki znów zadawał sobie pytanie, czym się będzie zajmował po przejściu na emeryturę. Przypomnił sobie rozmowę z Nybergiem, który już wkrótce zamierzał zaszyć się w północnych lasach.

Była tylko jedna odpowiedź: Klara. Jej obecność zawsze wprawiała go w świetny nastrój. Kiedy wszystko inne przeminie, zawsze będzie miał wnuczkę.

Tego samego dnia postawił ostatnią kropkę. Pomyślał, że dalej nie zajdzie; nie miał nic więcej do powiedzenia. Wcześniej wpisał cały tekst do komputera, a teraz patrzył na leżący przed nim wydruk. Mozolnie, słowo za słowem, zrekonstruował historię człowieka, któremu udało się go przekonać o domniemanej winie własnej żony. Pomyślał, że on sam jest też częścią opowieści, nie tylko jej autorem.

Kilka kwestii pozostało niewyjaśnionych. Parę kartek ciągle wisiało na ścianie. Najbardziej chyba intrygowały go buty Louise. Dlaczego stały tak równiutko obok martwego ciała? Wallander przyjął, że von Enke została zamordowana w jakimś innym miejscu, bez butów. A później ktoś, kto - może odruchowo - położył je obok Louise, po prostu nie pomyślał, co robi. Brakowało też odpowiedzi na pytanie o miejsce jej pobytu po zniknięciu. Z pewnością była więziona, zanim zdecydowano, że musi umrzeć dla dobra męża.

Kolejną nierozwiązaną zagadką była sprawa kamieni. Jeden widział u Håkana, drugi dostał od Atkinsa, a ostatni dostrzegł na balkonie George'a Talbotha. Domyślił się, że

chodziło o coś w rodzaju pamiątek, zbieranych na szwedzkich szkieletach przez ludzi, którzy nie powinni się tam byli znaleźć. Nie potrafił jednak wyjaśnić, dlaczego ten pierwszy zniknął z biurka von Enkego. Rozważał kilka alternatywnych wyjaśnień, ale nie zdecydował się na żadne z nich.

Od czasu do czasu rozmawiał telefonicznie z Atkinsem. Słyszał, jak płacze, wspominając utraconego przyjaciela. Utraconych przyjaciół, poprawiał się zawsze po chwili. Nie zapominał o Louise. Obiecał, że przyjedzie na pogrzeb. Nie przyjechał jednak i nie wziął udziału w ceremonii, która odbyła się w połowie sierpnia. Później nigdy też już nie zadzwonił do Szwecji. A Wallander chwilami zastanawiał się, o czym Atkins i von Enke rozmawiali podczas swoich spotkań. Nigdy już nie miał się tego dowiedzieć.

Żałował również, że nie zdążył zapytać o kilka spraw ani Håkana, ani Louise.

Dlaczego w szufladzie biurka von Enkego panował nieporządek? Czy Håkan planował wyjazd do Kambodży, gdyby okazało się, że musi uciekać? Dlaczego Louise podjęła dwieście tysięcy koron z ich wspólnego konta? Wallander nigdy nie znalazł pieniędzy w sztokholmskim mieszkaniu, kiedy opróżniali je przed sprzedażą. Zniknęły bez śladu.

Zmarli zabrali tajemnice do grobu. Równie zagadkowa jawiła się Wallanderowi decyzja Stena o zabiciu Håkana i popełnieniu samobójstwa.

Czasami wydawało mu się, że rozumie. Czasami nie pojmował ani w ząb.

Pod koniec listopada Wallander miał krótkie szkolenie w Sztokholmie. Korzystając z okazji, że znajduje się stosunkowo niedaleko Niklasgården, wypożyczył samochód i zabrał ze sobą Hansa, któremu wcześniej zabrakło sił na wizytę u nieznaney siostry. Wallander wzruszył się, widząc przyszłego zięcia przy łóżku Signe. Często myślał też o Håkaniu w podobnej sytuacji. Von Enke córce mógł zaufać, pomyślał. Córce odważył się

powierzyć najbardziej tajne dokumenty.

Długo zastanawiał się, czy nie powinien opatrzyć swojej opowieści jakimś tytułem. W końcu postanowił, że za okładkę 212-stronicowej historii posłuży biała, czysta kartka. Ostatni raz przejrzał całość, zatrzymując się od czasu od czasu, by wyłapać ewentualne błędy. Zakładał, że mimo wszystko relacja jest jak najbliższa prawdy.

Zdecydował, że przekaże ją Ytterbergowi, ale nie bezpośrednio, pod swoim nazwiskiem, tylko przez siostrę w Sztokholmie, którą chciał poprosić o wyekspediowanie przesyłki w stolicy. Naturalnie Ytterberg domyślił się, kto jest nadawcą, nigdy jednak nie będzie mógł tego udowodnić. Ytterberg to mądry człowiek, pomyślał. Wykorzysta ten materiał w najlepszy sposób. Zrozumie też, dlaczego postanowiłem pozostać anonimowy.

Jednocześnie uświadomił sobie, że Ytterberg być może też będzie musiał bić głową w mur, a ten okaże się nie do pokonania. W dalszym ciągu wielu Szwedów uważało USA za zbawiciela narodów. Według nich Europa bez USA jest w zasadzie kompletnie bezbronna. I raczej nikt nie chciał poznać prawdy, do której doszedł Wallander.

Pomyślał o szwedzkich żołnierzach wysłanych do Afganistanu. Nigdy by tam nie pojechali, gdyby nie zażądali tego Amerykanie. Nie otwarcie, ale skrycie, w ten sam sposób, w jaki amerykańskie okręty podwodne na początku lat osiemdziesiątych penetrowały szwedzkie wody terytorialne za przyzwoleniem rodzimych dowódców marynarki wojennej i polityków.

Albo jak wtedy, gdy 18 grudnia 2001 roku na szwedzkim terytorium pozwolono pracownikom CIA pojmać dwóch podejrzanych o terroryzm Egipcjan i w upokarzających warunkach deportować ich do ojczyzny skazując tym samym na więzienie i tortury. Przyszło mu nawet na myśl, że zdemaskowany Håkan von Enke mógłby zostać okrzyknięty bohaterem narodowym, a nie godnym pogardy zdrajcą.

Nic nie jest do końca pewne, pomyślał. Ani to, jak wydarzenia zostaną zinterpretowane, ani to, jak ułoży się moje dalsze życie. Postawił kropkę, niezależnie od tego, czy była prowizoryczna, czy nie.

Majowy dzień był bezchmurny, lecz chłodny. W porze obiadu Wallander wyszedł na spacer z Jussim, który najwyraźniej już wrócił do zdrowia. Zanim przyjechała Linda, z Klarą, ale bez Hansa, Wallander zdążył posprzątać i sprawdzić, czy nie zostawił gdzieś papierów, których nie chciał pokazać córce. Klara zasnęła w samochodzie. Wallander przeniósł ją ostrożnie do domu i położył na sofie. Tuląc w ramionach wnuczkę, miał wrażenie, że znów trzyma Lindę, choć w innym wcieleniu. Usiedli przy stole, nalali sobie kawy.

- Robiłeś porządki?

- Cały dzień.

Roześmiała się i pokręciła głową. Po chwili spoważniała. Wallander wiedział, że wszystkie problemy Hansa również dla niej są wielkim obciążeniem.

- Chcę wrócić do pracy - powiedziała. - Nie potrafię dłużej być tylko mamą.

- Zostały ci jeszcze cztery miesiące urlopu, prawda?

- Cztery miesiące to dużo czasu. Łapię się na tym, że tracę cierpliwość.

- Do Klary?

- Do siebie samej.

- Niecierpliwość to cecha, którą chyba odziedziczyłaś po mnie.

- A przecież zawsze powtarzałeś, że cierpliwość to najważniejsza cnota policjanta.

- Owszem, ale to nie znaczy, że cierpliwość przychodzi ot tak, sama z siebie.

Wypiła łyk kawy, ważąc jego słowa.

- Czuję się stary - powiedział Wallander. - Budzę się każdego dnia z uczuciem, że wszystko toczy się tak potwornie szybko. Nie wiem, czy biegnę za czymś, czy od

czegoś się oddalam. Po prostu biegnę. Jeżeli mam być naprawdę szczery, to bardzo się boję starości.

- Pomyśl o dziadku! On się nie przejmował wiekiem, tylko jak zwykle robił swoje.

- To nieprawda. Bał się śmierci.

- Może czasami. Ale nie zawsze.

- To był osobliwy człowiek. Myślę, że nikt nie może się z nim równać.

- Ja się równam.

- Ty miałaś do niego taki stosunek, jaki ja przestałem mieć w młodości. Czasami myślę, że ojciec zawsze był przychylniej nastawiony do Kristiny, mojej siostry. Może po prostu łatwiej dogadywał się z kobietami? Urodziłem się z niewłaściwą płcią. Nigdy nie chciał mieć syna.

- Bzdury! Doskonale o tym wiesz.

- Bzdury, nie bzdury, ale takie myśli chodzą mi po głowie. Boję się starości.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po ramieniu.

- Zauważyłam, że się niepokoisz. Ale przecież w głębi duszy wiesz, że to nie ma sensu. Nie mamy wpływu na nasz wiek.

- Wiem. Czasami myślę, że jedyne, co mi pozostało, to narzekanie.

Linda spędziła u niego kilka godzin. Rozmawiali, dopóki nie obudziła się Klara. Z radosnym uśmiechem puściła się pędem w kierunku dziadka.

I wtedy Wallander poczuł paniczny strach. Znowu zawiodła go pamięć. Nie wiedział, kim jest biegnąca ku niemu dziewczynka. Wprawdzie widział ją gdzieś wcześniej, ale nie miał pojęcia, jak się nazywa i co tutaj robi.

Jak gdyby zapadła kompletna cisza. Jak gdyby zniknęły kolory, zostawiając mu tylko czern i biel.

Cień się pogłębił. Kurt Wallander powoli zniknął w mroku, by po kilku latach definitywnie pograżyć się w pustym wszechświecie zwanym chorobą Alzheimera.



I to już wszystko. Historia Kurta Wallandera nieodwołalnie dobiega końca. Zostało mu dziesięć lat życia, może dwanaście. Ale one należą wyłącznie do niego, do Lindy i Klary, do nikogo więcej.

## Posłowie

W świecie fikcji mogę pozwolić sobie na wiele więcej. Na przykład nierzadko zmieniam krajobraz, by nikt nie mógł powiedzieć: to było właśnie tutaj! Właśnie tutaj rozegrały się te wydarzenia!

Chodzi mi oczywiście o podkreślenie różnicy między fikcją a dokumentem. Opisane wydarzenia mogły mieć miejsce. Ale to nie znaczy, że tak było.

W tej powieści istnieje sporo tego typu przejść między tym, co zaszło naprawdę, a tym, co możliwe.

Podobnie jak większość innych twórców piszę po to, by świat w jakiś sposób stał się bardziej zrozumiały. Myślę, że przy takim założeniu fikcja miewa przewagę nad materiałem dokumentalnym.

I wtedy nie ma znaczenia, czy gdzieś w środkowej Szwecji istnieje dom opieki Niklasgården, czy nie. Tak jak nieistotne jest, czy na Östermalmie w Sztokholmie znajduje się lokal rozrywkowy, w którym bawią się oficerowie marynarki wojennej. Albo kawiarnia gdzieś pod Sztokholmem, służąca podobnym celom. Gdzie na przykład może pojawić się Hans-Olov Fredhall, kapitan okrętu podwodnego. I wiem też, że Madonna w 2008 roku nie wystąpiła na koncercie w Kopenhadze.

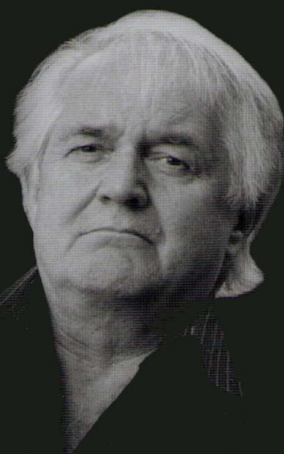
Ale podstawę tego, co w książce najważniejsze, stanowi rzeczywistość.

Wiele osób pomogło mi w pracach przygotowawczych. Dziękuję im za to.

Za efekt końcowy i za ostatnią kropkę odpowiadam jednak tylko ja. Całkowicie i bez wyjątku.

*Göteborg, czerwiec 2009*  
*Henning Mankell*

KONIEC



## Najnowszy kryminał Henninga Mankella i ostatnie śledztwo szwedzkiego komisarza!

Kurt Wallander przenosi się do domku pod Ystad i sprawia sobie psa, o czym zawsze marzył. Komisarz starzeje się, cierpi na różne dolegliwości i samotność. Pewnego dnia dowiaduje się od córki, że będzie dziadkiem. Ojcem dziecka i przyszłym mężem Lindy jest Hans, syn Håkana von Enkego, emerytowanego oficera marynarki wojennej.

Podczas przyjęcia z okazji swoich 75. urodzin Håkan von Enke opowiada Wallanderowi historię z lat 80. XX wieku, kiedy na szwedzkie wody terytorialne wtargnęła obca łódź podwodna, a on otrzymał rozkaz, by jej nie atakować. Po latach von Enke jest bliski rozwiązania tamtej zagadki, ale któregoś dnia znika.

Komisarz rozpoczyna prywatne dochodzenie i trafia na zaskakujący wątek szpiegowski, sięgający czasów zimnej wojny...

